

Georgij Władimow

Generał i jego armia

Tłumaczenie

Renę Śliwowski

Wstęp: Renę Śliwowski

Postowie: Krystyna Pietrzycka-Bohosiewicz

Copyright by Georgij Władimow

Copyright for the Polish edition by „Tysol” sp. z o.o.

i Wydawnictwo ARCANA, Kraków 1999

Copyrigh for the Polish translation by „Tysol”

i Wydawnictwo ARCANA

Projekt graficzny okładki: Marek Pawłowski

Opracowanie redakcyjne: "Wydawnictwo ARCANA

Konsultacja tłumaczenia: Maria Stefanów

ISBN 83-86225-77-7

Wydanie pierwsze, Kraków 1999

Wydawnictwo ARCANA

ul. Dunajewskiego 6, Kraków

Druk i oprawa: Drukarnia Drogowiec, Kielce

Wstęp

O autorze Generała i jego armii

Georgij Władimow jest pisarzem o powikłanej i prostej zarazem biografii twórczej. Powikłały ją warunki, w jakich wypadło mu żyć i pisać. Prostował ją sam wybierając drogę najtrudniejszą z najtrudniejszych, bo wyzbytą kompromisów.

Zaczął swą karierę literacką w Związku Radzieckim w okresie — niby to — sprzyjającym, mianowicie w czasach „odwilży” chruszczowskiej. Bardzo szybko zyskał popularność — i równie szybko znalazł się w konflikcie z decydentami, by wreszcie — jak się to z pewną dozą ironii mówiło — „wybrać wolność”. W jego konkretnym przypadku ironia ta była nie na miejscu: do owej decyzji został bowiem — jak paru innych jemu podobnych — po prostu zmuszony. O prawo pozostania w ojczyźnie walczył przez wiele lat. Bezskutecznie. Nie tylko należał do tych, którzy nie potrafili się pogodzić z ówczesną rzeczywistością, z recydywą stalinizmu miast zapowiedzianych przemian, lecz zmagał się z kolejnymi tego przejawami: najpierw dając temu wyraz w liście skierowanym do IV zjazdu Pisarzy ZSRR w roku 1967 domagającym się między innymi poważnej dyskusji nad wypowiedziami Sołżenicyna w sprawie cenzury, która odegrała tak znacząco-niszczycielską rolę także w jego własnej twórczości. W dziesięć lat później wystąpił z kolei z listem w obronie sądzonych: Jurija Orłowa, Aleksandra Ginsburga i Anatolija Szczarańskiego. Wreszcie zrzekł się sam członkostwa w Związku Pisarzy Radzieckich i objął funkcję przewodniczącego moskiewskiej sekcji Amnesty International. Wzmogło to — rzecz oczywista — szykany KGB nieustannie i na różne sposoby nękające i zastraszające zarówno Władimowa, jak i jego bliskich. Chwyty, których się imano,

były stereotypowe, dysydemtom dobrze znane i po wielokroć opisane, między innymi także przez samego pisarza w utrzymanym w tonacji satyrycznej i powstałym jeszcze w kraju opowiadaniu Niech się pan nie przejmuj, męstro. Opowiadanie dla Heinricha Bolla¹. A więc nieustanne Hżienne i nocne telefony z pogroźkami, demonstracyjna kontrola nad każdym krokiem, nękanie znajomych, zapowiedź rozprawienia się z najbliższymi. Władimow długo opierał się przed emigracją i został do niej w istocie zmuszony. Zdecydował się na ten krok dopiero w styczniu 1983 roku, kiedy groźba uwięzienia zawisła nad jego żoną. Gdy stało się to oczywiste, opuścił wraz z rodziną ZSRR udając się do RFN. W przeciwieństwie do wielu koniunkturalistów, dla których wyjazd oznaczał uzyskanie przede wszystkim lepszych warunków bytowych i którzy z łatwością przefarbowywali się na nowy ład, dla Władimowa była to decyzja dramatyczna, podjęta w ostateczności, choć kto jak kto, ale właśnie on miał wszelkie dane, by się do nowej sytuacji w ZSRR jakoś przystosować i omijając najbardziej skaliste rafy wcale nieźle egzystować.

Władimow był od samego początku sobą i takim pozostał: zadebiutował powieścią mieszczącą się w gatunku „dobrze widzianym”, bo dającą się zakwalifikować do preferowanej od lat prozy produkcyjnej, zwanej pogardliwie „produkcyjniakami”, gloryfikującej ciężki trud podejmowany dla osiągnięcia jak najlepszych wyników „w dziedzinie wykonywania i przekraczania planów”, stawiających owe zadania na pierwszym miejscu w dążeniach i poczynaniach ludzkich: przed miłością, braterstwem, przyjaźnią itd. Zadebiutował w epoce

znaczących „ułatwień” mimo nadal obowiązujących nakazów, zakazów, normatywów, restrykcji obejmujących wszystkie dziedziny: tematykę, problematykę, ba, nawet stylistykę. Powieść zatytułowana po rosyjsku „Bo/szfl/'fl ruda (Wielka ruda) po polsku ukazała się pt. Katastrofa. Bo też taki jest finał życia szofera Proniakina opanowanego nie tyle żądzą wielkich zarobków (motywujących bez mała wszystkich otaczających go), jakie winny przynieść zasoby ogromnej rudy, która — długo poszukiwana — pojawi się w końcu z wnętrza ziemi, ile wyróżniającego się w gronie braci-kierowców wyjątkową smykałką techniczną: rozwaloną przez niedbalstwo szoferów ciężarówkę potrafi doprowadzić do stanu używalności, sam przy niej majstrując i dorabiając przeważnie rozkradzione lub zdewastowane, a niezbędne, by ruszyć z miejsca, części wozu. Znakomicie opisane realia bytu tego środowiska stanowiły już same w sobie mocny atut Katastrofy, ale — co najważniejsze — wtopione zostały w sposób organiczny w cały splot wzajemnych stosunków pomiędzy pojedynczym człowiekiem — ową pogardzaną jednostką, a zespołem — wystawianym na wszelkie sposoby „kolektywem”, od którego losy każdego człowieka w tej czy innej mierze zależą. W gruncie rzeczy to Gieorgij Władimow, pierwszy od dziesięcioleci, oklepanemu konfliktowi — jednostka-kolektyw — nadał nowy wymiar; sięgając do tradycyjnych szat, do jakich przywykli redaktorzy i cenzorzy, przyoblekł w nie osoby dramatu, którego wymowa była całkowicie odmienna.

Współczesny czytelnik, nawykły już do innych lektur, nie jest dziś w stanie wyobrazić sobie, jakie wrażenie na naszym pokoleniu zrobiła ta

niewielka książeczka, z jakim przejęciem ją czytaliśmy! A przecież Władimow nie sili się wcale na atrakcyjną fabułę — zredukowaną do minimum — od pierwszych stron wprowadza jedynie w atmosferę narastającego niepokoju. Głośna Cena strachu Clouzota — także o pogoni za zarobkiem mówiąca — Przy całej swej atrakcyjności, wydaje się anemiczna i jednowymiarowa w porównaniu z Katastrofą. Refleksje, jakie ze sobą niosła ta opowieść, miały bynajmniej nie marginalny charakter, dotyczyły spraw istotnych, głośno dotąd nie poruszanych. Te walory myślowe dostrzegli najbardziej wrażliwi i radykalni ówcześni krytycy radzieccy, jak choćby Jekatierina Starikowa" czy Stanisław Rassadin⁴: zwrócili oni uwagę na ferment intelektualno-artystyczno-pisarski, jaki dał o sobie znać na początku lat sześćdziesiątych w Rosji radzieckiej, na pojawienie się całej plejady młodych przeważnie twórców, do których przyłgnęło określenie „szestidiesiatniki". Pisząc o tej nowej fali, m.in. w prozie rosyjskiej, świadomie nawiązywano do okresu „odwilży" (za sprawą Erenburga i jego powieści pod takim właśnie tytułem) lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, do jej twórców, utalentowanych pisarzy w kraju (Pomiłowski, Reszetnikow, Uspieńscy) i na emigracji (Hercen), do akcentów krytycznych, jakie na temat ówczesnej epoki wnosili, nie chcąc zresztą podówczas pamiętać, czym się ta pierwsza „odwilż" zakończyła...

Można by wymieniać dziesiątki nazwisk pisarzy cieszących się ogromną wówczas poczytnością, którzy do pokolenia tego należeli i niemają rolę odegrali, próbując stawiać odwieczne rosyjskie pytania: Co robić?, Co dalej?, Jak znaleźć swoje miejsce we współczesnym świecie?,

Jak rozwiązać kolejny konflikt pomiędzy „ojcami i dziećmi”? Rzecz jasna, ojcowie nie omieszkali się zachnąć: jakież tu może być konflikt? Stworzyliśmy wam wspaniały świat, a konflikty pokoleniowe, sprzeczność interesów i potrzeb pomiędzy jednostką a zbiorowością — to

7
wasz wymysł prowadzący jedynie na manowce i lejący wodę na młyn wrogich socjalizmowi sił. „O, nie — replikowały „dzieci” — nie tak już bardzo wspaniały jest ów stworzony przez was świat... Popatrzcie tylko dokoła siebie!”

Jednym z owych zbuntowanych dzieci był Wasilij Aksjonow, a dyskusje, jakie budziły wśród młodzieży jego — gdy się je dziś czyta — „niewinne” powieści, były tak burzliwe, iż kluby, w których się odbywały, otaczały kordony milicji konnej. Byłem wtedy na dłuższym stażu w kipiącej życiem Moskwie, biegałem z domu do domu, z jednego spotkania na drugie i wypowiedzi uczniów szkół moskiewskich pozostały mi na zawsze w pamięci. Już docierały do nich w przekazach czy odpisach tłumaczeń teksty Buszującego w zbożu Salingera, uczyli się polskiego, by móc czytać nasze przekłady literatury zachodniej, jeszcze nie znali całej prawdy o Gułagu, ale wiedzieli, że świat, który każą im gloryfikować, daleki jest od ideału. A „młoda proza” uświadamiała im to, mimo całej nieśmiałości, miałości i nierównego poziomu literackiego. Dwaj Anatolowie — Kuzniecowa i Gładilin, Wiktor Koniecki i — należący do nieco starszego pokolenia Władimir Tiendriakow i wielu, wielu innych publikowało utwory — niekiedy ulotne, o wartości przemijającej — które w owym czasie odegrały nader istotną rolę. Jeże-

li dodamy do tego całą plejadę piosenkarzy z Bułatem Okudźawą na czele (jego koncerty także ochraniały kordony milicyjne), łatwiej zdać sobie sprawę z tego, w jakich warunkach powstawała proza Władimowa, z czym współgrała.

Władimow nie znajdował się zresztą wówczas — ani potem — w czołówce najbardziej popularnych autorów, by tak rzec „rozchwytywanych” przez czytelników i organizatorów wieczorów autorskich. Jego proza obliczona była na odbiorcę bardziej wyrobionego, nastawionego na lektury trudniejsze, mniej krzykliwe. I dlatego chyba przetrwała próbę czasu.

Gieorgij Władimow, urodzony w Charkowie w 1931 roku w rodzinie nauczycielskiej, w czasie wojny stracił ojca, który „zaginął bez wieści”, co traktowane było jako „hak” w życiorysie (któż to wie, może nie poległ, lecz uciekł i ukrywa się gdzieś u imperialistów?). Matkę aresztowano w 1952 roku, jemu samemu udało się w roku następnym ukończyć prawo na uniwersytecie w Leningradzie (noszącym wówczas imię Andrieja Żdanowa) i uniknąć procesu tylko dzięki temu, że w marcu tegoż roku kraj optakiwał Josifa Wissarionowicza Stalina. Ze zdobyciem stałego zajęcia długo miał kłopoty, „zaczeplił się” początko-

8

wo w niewielkim piśmie regionalnym, publikował recenzje dając się poznać jako krytyk literacki (1954). W roku 1956 los się do niego uśmiecha: zostaje dostrzeżony przez redaktora najgłośniejszego w tym czasie pisma, jakim był „Nowyj Mir”: Aleksander Twardowski powierza mu dział prozy, na którym to stanowisku pozostanie do 1959 roku. Tu-

taj kolejno ukazały się jego dwie powieści, wspomniana wyżej Katastrofa (1961, nr 7) oraz Trzy minuty ciszy (1969, nr 7-9)⁵. Można by powiedzieć, że tą ostatnią powieścią Władimow wzbogacił literaturę marynistyczną o jeszcze jedną „pozycję”. O morzu i „ludziach morza” powstał wszak, cały ocean utworów prozatorskich lepszej i gorszej próby. Jako „marynista” zadebiutował min. „szestidiesiatnik” Wiktor Koniecki. (I nie on jeden wśród pisarzy rosyjskich, nie wspominając już o literaturze światowej.) Kiedy przed laty w rozmowie z nim niefortunnie przyrównałem go — z pewnymi zastrzeżeniami — do Pierre’a Loti’ego (Monfrere Yves, Rybak Islandzki), obruszył się był. I miał rację: gdzież bowiem jego twardym bohaterom, ludziom szorstkim, ale bogatym w uczucia do postaci Pierre’a Lotiego owianych melancholią, istniejących właściwie poza konkretną rzeczywistością, stanowiącą jedynie niezbędne tło akcji. Jednak również spojrzenie Konieckiego na ludzi morza miało w istocie charakter jednowymiarowy: przyjaźń, wierność, koleżeńskość, solidarność, pomoc wzajemna — oto, co pozostawało w jego polu widzenia. Żadnej, najmniejszej choćby pośredniej aluzji do tego, co widział naprawdę, i o czym sam opowiadał: rejsy, w których latami uczestniczył, prowadziły bowiem na Daleką Północ, a statki rozładowywali łagiernicy...

U Władimowa, którego bohaterowie to zwyczajni rybacy, wszystko jest złożone, nie ma rzeczy prostych, jednoznacznych. Dotyczy to zresztą całej jego twórczości, w tym również Trzech minut ciszy, powieści — jak czytamy w notce na obwolucie jej wydania polskiego — o „zręcznie skonstruowanej fabule”. Trudno o bardziej niefortunne

określenie, bowiem Władimow bynajmniej nie sili się na „zręczne” konstruowanie fabuły. Gdyby tak istotnie było, powieść łatwo poddałaby się streszczeniu. Tymczasem nie sposób jej opowiedzieć „własnymi słowami”. I nie o to chodziło autorowi. Utwór ten czyta się niełatwo, z wolna, choć jednocześnie nie można się od lektury oderwać (zwłaszcza w oryginale, tłumacz bowiem w znacznym stopniu rozjaśnił, jeśli tak to można określić, wyprostował jej znaczenia, omijając językowe zawiłości; w dodatku miał do dyspozycji jedynie egzemplarz ocenzurowany; całość w postaci nie okrojonej ukazała się wszak dopiero w roku 1982 w wydawnictwie „Posiew” we Frankfurcie nad Menem). Władimow nie waha się przed wprowadzaniem wielości morskich terminów fachowych, slangu, jakim posługują się na codzień marynarze. Zna to wszystko nie z lektur, lecz z własnej praktyki, stąd nie ma w tym, co pisze ani krzty sztuczności. Napisać książkę takim językiem i zarazem tak, by wszystko docierało bezbłędnie do przeciętnego czytelnika, nic z morzem nie mającego wspólnego — to prawdziwy wyczyn literacki! „Byłem na burcie nie postronnym obserwatorem — wyznaje Władimow — lecz jako marynarz pokładowy uczestniczyłem w pracy i życiu załogi — okoliczność, która być może wyszła książce na korzyść, przesądziła w niemałym stopniu o jej losie w ZSRR. Widocznie — dodaje autoironicznie — łatwowierny autor zbyt dosłownie potraktował apele towarzyszy z kierowniczych organów, aby dokładnie i wszechstronnie studiować życie.”

Koloryt lokalny, marynistyka, życie i obyczaje rybaków — to tylko pretekst do refleksji ogólniejszych. W istocie z tej powieści rybackiej

wyłania się wszechstronny obraz życia w zniewolonym kraju, gdzie człowiek jest niczym, śrubką w wielkim mechanizmie — nie tylko na morzu, ale i na lądzie, gdzie katorżnicza praca niczego poza kilkoma dniami alkoholowego upojenia nie przynosi, gdzie wszystko jest beznadziejne, pozbawione perspektyw, a ludzi łączy przeważnie — paradoksalnie — wzajemna wrogość. Nie jest bynajmniej rzeczą przypadku, iż prostak-narrator — całkiem nieoczytany — natyka się na „solidny tom” Richarda Aldingtona *Wszyscy ludzie są wrogami*⁶ (jego monolog-recenzja powieści Aldingtona to — nawiasem mówiąc — prawdziwy miniaturowy majstersztyk pisarstwa Władimowa). Sarkastyczna uwaga Władimowa o „apelach towarzyszy z kierowniczych organów do wszechstronnego studiowania życia” każe myśleć o znanym hasle rzuconym przez Malenkowa na którymś ze zjazdów partii: *Nam Gogoli i Szczedńny nużnyl (Potrzeba nam Gogolów i Szczedrinów)*. Złe zaś języki dodawały: *No takie Gogoli, czto by nas nie trogali (ale tacy Gogole, którzy by nas nie ruszali)*.

W Trzech minutach ciszy Władimow poruszył krąg spraw wstydlwych, skrzętnie ukrywanych, omijanych przez literaturę (nawet w amputowanej wersji, jaką Aleksander Twardowski opublikował w miesięczniku „Nowyj Mir”). Posypały się recenzje, z których można by ułożyć całą antologię wyzwisk odsądzających autora od czci i wiary. Część zawarta była już w samych tytułach: *W krzywym zwierciadle, Fałszywy kurs, Poprzez ciemne okulary, Mielizny i rafy myśli, Czyżby oni tacy*

10

*byli, rybacy murmańscy? Takiej książki nie chcemy*¹. *Kogo chcecie ratować,*

WładimowV. itd., itp.

W rezultacie w formie książkowej Trzy minuty ciszy opublikowano — jak już wspomnieliśmy — w wersji nie okrojonej — nie w kraju, lecz w „tamizdacie”.

Nieco wcześniej — po ukazaniu się w 1975 roku w wydawnictwie „Posiew” Wiernego Rusłana — i, jak utrzymuje Gieorgij Władimow, właśnie dzięki tej powieści — gdzieś „na górze” zapadła decyzja o zwróceniu się do autora, aby „zechciał powrócić do literatury radzieckiej”, i w tym celu „uchylono nieco drzwi” moskiewskiego czasopisma „Sowriemiennik”. Jednakże współpraca z redakcją nad opublikowaniem wersji pierwotnej książki nie dała rezultatów. O tym wszystkim Władimow wzmiankuje tylko zdawkowo, zwierając się, iż „w ciągu tych siedmiu lat u autora nabrało się sporo pretensji do powieści, ponadto miał nadzieję, że choćby częściowo zdoła odtworzyć wygryzione przez cenzurę fragmenty, i — odwrotnie — opuścić te, które posłużyły jako łączniki w zmasakrowanym tekście”. W edycji „Sowriemiennika” to się nie udało: autorowi, od którego jeszcze niedawno tak natarczywie żądano „zasadniczej przeróbki”, teraz ani na krok nie pozwolono odstąpić od wersji ogłoszonej w czasopiśmie, z którą cenzor „porównywał każde słowo”.

Pod tym względem Władimow_Rusłan. Historia psa obozowego (1975), powieść krążąca w licznych odpisach w „samizdacie”, takich kłopotów jak Trzy minuty ciszy nie miała, bo się w Związku Radzieckim po prostu ukazać nie mogła. Tu już nie wchodziły w grę tekstologiczne deformacje, opuszczenia fragmentów, itp. Był to w całości tekst „niecenzuralny” i żadnej szansy na opublikowanie na łamach czasopisma „Nowyj Mir” nie

miął.

Bodźcem do napisania *Wiernego Rusłana*, a ściślej poświęconych tematyce tej opowiadań, była ponoć autentyczna historia, która wydarzyła się na Dalekiej Północy po zlikwidowaniu jednego z łagrów, uwolnieniu jego mieszkańców, rozpuszczeniu obsługi, w tym także „zatrudnionych” wraz z nimi owczarków nawykłych do pilnowania więźniów zgodnie z formułą: „krok w prawo, krok w lewo — konwój strzela bez uprzedzenia”. Zrazu autorstwo ich przypisywano Sołżenicynowi, niekiedy Maksimowowi. Sprawa ta wyjaśniła się dopiero wówczas, gdy powstały na tej kanwie *Wierny Rusłan* trafił na Zachód i ukazał się w druku już pod właściwym nazwiskiem .

Jest to zresztą utwór, o którym pisano i pisać będą dziejopisarze i historycy literatury jeszcze wielokrotnie. Jako o dokumencie epoki i ja-

11

ko o dziele literackim. Choć w moim najgłębszym przekonaniu jakimkolwiek definicjom historyczno-teoretyczno-literackim poddawać go nie należy. Pod żadnym względem. Także tematycznym. Psim bohaterom poświęcono już setki stron. Użalał się nad smętnym losem Kasztanki Antoni Czechów, gloryfikował bohaterstwo Białego Kłosa Jack London. Co prawda Bunin, opisując w *Snach Czanga* historię psa towarzyszącego staremu kapitanowi w jego wędrówkach po knajpach i wraz z nim popijającego bodajże „dżin”, snuł zarazem niewesołe rozważania nad kondycją ludzko-zwierzęcą. Ale były to wszystko psy — może nie beztroskie, ale jakoś wiodące żywot na swój sposób pogodny, dramatyczny na miarę nędznego bytowania, ale nie okaleczający

ich bez granic.

Wierny Rusłan spośród całej olbrzymiej literatury z psim światem związanej wyłamuje się w sposób absolutny. O psach szkolonych w taki sposób, by strzegły i kaleczyły więźniów w obozach koncentracyjnych — tu i ówdzie pisano. Hitlerowcy w tym celowali. Jednak tresując i pacząc charakter swoich stróżów troszczyli się o zwierzęta, wręcz je hołubili, co w niczym nie pomniejsza ich zbrodni. Po prostu fakt pozostaje faktem: hitlerowskim psom żyło się lepiej niż ludziom i lepiej niżli ich sowieckim odpowiednikom. Żyło im się po prostu dobrze. Władimow paraleli takiej nie przeprowadza. Rejestruje w sposób bezprzykładny, wstrząsający, jaką rolę człowiek wyznaczył zwierzęciu w zniewalaniu tego, który mógłby być jego panem i przyjacielem, towarzyszem doli i niedoli, żywicielem wreszcie i opiekunem. Ale człowiek nauczył go nienawidzić tego innego człowieka, posadzonego za drutami, zaszcutego podobnie jak on sam. Nauczył go też, jak do takiej sytuacji przywyknąć, uznać ją za normalną, a nawet czerpać z niej satysfakcję. Ale oto nastanie dzień, kiedy okaże się raptem, że ze zniewoleniem było lepiej i prościej, a gdy znikną łagry i kolczaste druty, nie będzie miejsca i dla wykoślawionego zwierzęcia.

Nikt przed Władimowem nie odtworzył tak skomplikowanych zażyłości łączących i dzielących człowieka i zwierzę, uczucia uległości i nienawiści, podporządkowania i buntu, dominacji i strachu, odwetu i znowu tłumionej uległości, upiornej zależności i okrucieństwa. Chyba w żadnym z utworów literatury światowej nie opisano z taką drobiazgową dokładnością potwornych warunków psycho-fizycznych, w ja-

kich za sprawą zdemoralizowanego przez system człowieka znalazł się nieszczęsny wierny Ruslan, kiedy zabrakło mu władzy zniewolonych panów. Kto został bardziej zdeprawowany — człowiek czy zwierzę?

12

Czy rozmyślenia i refleksje psa obozowego nie są li tylko pochodną wykoncypowanej wyobraźni pisarskiej Władimowa?... Sprawa nie jest bynajmniej prosta. Mogło być tak. Mogło też być inaczej. Wiarygodny portret narysowany przez Władimowa jest tak sugestywny, że każe wierzyć wszystkiemu, o czym pisze autor. Stanowi bowiem zarazem zaiste głębokie studium psychologiczne „dusz okaleczonych” (termin Andrzeja Drawicza⁸). „Jest też jedną z najbardziej trafnych i ostrych analiz totalitaryzmu dokonanych za pomocą środków literackich” .

Po lekturze tej bulwersującej książki chciałoby się powiedzieć — parafrazując motto Zofii Nałkowskiej do Medalionów: „Ludzie zwierzętom zgotowali ten los”. Władimow dał temu świadectwo zachowując wyzbyty sentymentalizmu dystans, co przyniosło efekt, jaki rzadko któremu z pisarzy udało się osiągnąć.

Od 26 maja 1983 roku Gieorgij Władimow mieszka wraz z rodziną w Niemczech. Pod jego redakcją ukazało się w latach 1984-1986 dzieśnięć numerów czasopisma „Grani” (nr 131-140). Pieriestrojka, krach komunizmu, najpierw zburzenie muru berlińskiego, a potem rozpad ZSRR zmieniły sytuację pisarza, choć nie wpłynęły bynajmniej na poprawę jego warunków życiowych. Trafia dziś bez przeszkód do czytelników w kraju, ale wydawnictwa—jak wiadomo — nie mają środków na honoraria... Jedna z ostatnich książek Władimowa — Generał i jego

armia — ukazywała się jeszcze przed laty na łamach „Kontynentu”, fragmenty drukował też miesięcznik „Znamja”. Obecnie nareszcie pojawiło się wydanie książkowe, a zarazem jego polski przekład.

I znowu wypadnie napisać o wyjątkowości prozy Władimowa:

niezależnie od tego, jakiej dotyczy problematyki i jakiej epoki. Ta opasła książka stanowi pod względem objętości wyjątek spośród wszystkiego tego, co był dotychczas ogłosił drukiem, a zarazem trudno nie powtórzyć, że i tym razem Władimow pozostał wierny sobie — swemu widzeniu świata, własnemu, jakże obrazowemu stylowi, bogactwu języka, ścisłości używanych terminów, precyzji charakterystyk, a także znakomicie konstruowanych równoległych wątków. Wszystko to razem, zwłaszcza zaś zawiłości językowe i terminologiczne nie ułatwiają życia tłumaczowi, dążącemu, aby w jakimś przynajmniej stopniu przybliżyć polską wersję oryginału, tak by ten do czytelnika dotarł w jak najmniej skażonej formie. Obfita terminologia wojskowa zawdzięcza w przekładzie swoją precyzję specjalistom.

I tu — jak w całej prozie Władimowa — fabuła nie jest rzeczą naczelną, mającą przyciągnąć uwagę czytelnika, pochłaniając go bez re-

13

szty, zafascynować niezwykłością opisywanych wydarzeń. Mamy do czynienia z niezmiennym ciągiem wydarzeń, na które nakładają się mikrofabularne wątki, a z nich wyłaniają się pełnokrwiste postacie, popolite przypadki tworzące rzeczywistość jednolitą i zarazem wieloraką, niejednoznaczną. Jego kolejne dzieło dostarczy niewątpliwie bogatego materiału dla analiz teoretyczno-literackich, jako że wyłamu-

je się z wszelakich schematów, nie pozwala na łatwe zakwalifikowanie i ujęcie w przyjęte ramy normatywne. I chyba pisarz wcale by temu nie był rad, choć zapewne świadom jest tego, iż już od dawna jako twórca wybitny zajął ważne i trwałe miejsce w rosyjskiej literaturze, nie stając się — mimo wystąpień, w których wypowiadał się stanowczo i bez niedomówień, mimo rozgłosu, jaki im nadawano — nigdy bohaterem jednego sezonu.

Władimow najwyraźniej pragnie, aby jego czytelnik nie tylko pochłaniał fascynującą powieść, ale jednocześnie musiał cały czas myśleć, zastanawiać się nad tym, co też wydarzyło się w jego kraju w tym tak ważnym momencie, będącym przedmiotem chluby, świętowanym od dziesięcioleci ze szczególną uroczystością, opiewanym w prozie, poezji i pieśni. Czy wszystko, co się wówczas wydarzyło — poza bezmierną ilością ofiar i krzywd — godne jest czci i chwały? Jak dziś ocenić obrońcę Moskwy i twórcę ROA, generała Andrieja Własowa? A jak uhonorowanych ponad miarę marszałków — dowódców poszczególnych frontów, dla których ilość ponoszonych ofiar nie miała żadnego znaczenia, a liczył się tylko efekt ostateczny, aprobatą Naczelnego i własna kariera. Ich nazwiska — w większości z lekka tylko zaszyfrowane — łatwo dają się rozpoznać.

Władimow nie gromi, nie wieszczy, do niczego — zda się — nie nawołuje, nie poucza. Mówi głosem stłumionym, bacznie wpatrując się i wsłuchując w to, co słyszał i słyszy po dzień dzisiejszy, co widział i widzi nadal, co wreszcie czytał, bo z całą pewnością jego lektury są nader bogate: sam był przecież w tamtych latach, które z taką maestrią

opisuje, dzieckiem. A słuchać i patrzeć umie jak rzadko kto. Po swoim. I tym donośniejsze jest jego pisarstwo.

Renę Śliwowski

1. Po polsku ukazało się w tłum. O. Kalisz, „Nowa”, Warszawa 1985; tytuł oryginału: Nie obraszczajcie wnimanija maestro.
2. Warszawa 1962, PIW, przełożył Jerzy Brzęczkowski.
3. Zob. E. Starikowa, Żyżn' i gibiel szofiora Proniakina, „Znamja”, 1962, nr 1, s. 206-214.
4. Zob. S. Rassadin, O nastojaszczem i podłożem, „Junost”, 1962, nr 4, s. 70-75.
5. Tytuł oryginału: Tri minuty mołczanija; przekład polski: Czytelnik, Warszawa 1973, tłumaczył Jerzy Litwiniuk.
6. A\\ men are enemies; przekład rosyjski ukazał się w 1937 roku.
7. Po polsku wydano Wiernego Rustana w drugim obiegu aż trzykrotnie: w „Nowej” w tłumaczeniu A. Drawicza (1983), w „Kręgu” i w „Feniksie”. Czytelnicy rosyjscy musieli czekać na edycję krajową do roku 1989, kiedy to przemycaną dotąd przez granicę powieść G. Władimowa opublikował na swych łamach miesięcznik „Znamja”.
8. A. Drawicz, Dusze okaleczone. (O Włdimoiuie i „Wiernym Rusłanie”), [w:] Spór o Rosję, „Krağ”, 1987, s. 165-169.
9. Krystyna Pietrzycka-Bohosiewicz, G. Władimoiv — Wierny Rusłan, [w:] Emigracja i Tamizdat. Szkice o współczesnej prozie rosyjskiej, pod red. Lucjana Suchanka, Kraków 1993, s. 162.

Rozdział I

Major Swietłookow

mglatego deszczu wyłania się i pędzi szorując oponami kół

po umęczonym asfalcie — „willis”, król dróg, rydwan naszego Zwy-
ręslwa. Trzaska na wietrze utyłany w błocie brezent, szaleją wyciera-
r/.ki po szybie rozmazując na niej mętne półkoliste pasy, rozwichrzona
plucha leci za nim niczym tren i osiada z sykiem.

Tak pędzi pod niebem walczącej Rosji pogrzmiewającym bezustan-
nie hukiem nadciągającej burzy czy też daleką kanonandą — wściekle,
maleńkie zwierzątko, tęponose i płaskoczołe, ryczące z pełnym zacie-
kłości wysiłkiem, by przewyciężyć przestrzeń, przedostać się do nie-
znanego mu celu.

Chwilami i dla niego całe wiorsty drogi okazywały się nieprze-
l[^]ziliu* — z powodu lejów, które wyrwały asfalt na całą szerokość, za-
l.tnych po samą powierzchnię ciemną mazią — wtedy przeskakuje rów
pi/.ybrzeżny i pożera drogę, rycząc, zrywając warstwy gliny wraz z
11 ,i w,)), wirując w rozwalonej koleinie; wydostawszy się z ulgą, nabiera
/.nowu szybkości i pędzi, pędzi aż po horyzont, a za nim pozostają mo-
kre, postrzelane zagajniki z czarnymi sękami i stertami opadłych liści,
wyp.ilone szkielety samochodów porzuconych tu, by dokonały swego
#.ywolii na poboczach, i kominy wsi i futorów, z których ostatni dym
tm/edl już dwa lata temu.

Trafia czasem na mosty sklecone z pospiesznie okorowanych bierwion
! 4 m >k poprzednich z zapuszczonymi w wodę zardzewiałymi kratownicami
mknie po tych bierwionach niczym po klawiszach, podskakując ze

17

I

zgrzytem a pomost jeszcze chwieje się i skrzypi, kiedy po „willisie”

śladu już nie ma, tylko niebieskie wydechy silnika unoszą się nad czarną wodą.

Trafia też na szlabany — i na długo zatrzymują go, ale omijając z impetem kolumnę furgonów sanitarnych przebija sobie drogę stanowczym klaksonem, dociera do samych torów i pierwszy wskakuje na przejazd omal nie gruchocząc ogona eszelonu.

Trafia na „korki” — z jadących w przeciwnym i poprzecznych kierunkach potoków pojazdów, z ciżby rozpaczliwie trąbiących samochodów; regulujące ruch zziębnięte dziewczęta, o mężnych twarzach i z przekleństwem na ustach, rozpruwają owe „korki”, z trwogą spoglądając na niebo i każdemu podjeżdżającemu samochodowi grożąc z daleka berłem — dla „willisa” jednakże znalazło się przejście i zgromadzeni kierowcy długo patrzyli mu w ślad z niedowierzaniem i nieokreślonym smętkiem.

Oto zniknął za pagórkami, za samym jego szczytem i ucichł — jakby się zapadł, umordowany do szczętu, ale nie — wynurzył się na górze, pieśń pełną uporu zawodzi motor i od niechcienia pełźnie pod kołem lepka rosyjska wiorsta.

Czym — dla kierowcy, który już skamieniały na swym siedzeniu wpatrywał się w drogę tęnym wzrokiem i bacznie, mrugając zaczerwienionymi powiekami usiłował od czasu do czasu z zawzięciem człowieka, który od dawna już nie spał, zapalić przylepiony do wargi niedopałek — była Kwatera Główna Sztabu Wodza Naczelnego? „Kwatera Główna” — słyszał i majaczyło mu się coś wzniosłego i statecznego, wznoszącego się nad moskiewskimi dachami niczym spiczasty baśniowy terem*,

zaś u jego podnóża — długo oczekiwany postój, otoczone murem i zastawione samochodami podwórze, na podobieństwo zajazdu, o którym gdzieś tam słyszał czy też czytał. Ktoś tu ciągle przybywa, kogoś tam odprowadzają, i płynnie pomiędzy kierowcami nieustanny potok rozmowy — nie ustępując owym rozmowom, jakie prowadzą ich panowie-generałowie w mrocznych zacisznych urzędach, za ciężkimi aksamitnymi kotarami, na dziewiątym piętrze. Powyżej dziewiątego piętra wyobraźnia kierowcy Sirotina — który przeżył całe życie na parterze i niczego innego nie znał — nie sięgała; wszelako znajdować się terem — część mieszkalna Kremla

18

) >i miżej zwierzchnikom również nie przystoi: toż minimum wypada co najmniej pół Moskwy z okien obserwować.

I Sirotin byłby okrutnie rozczarowany, gdyby się dowiedział, że Kwatera Główna schowała się głęboko pod ziemią, na stacji metra im. Kirowa, a jej gabinety oddzielone są przegódkami z dykty, w wagonach zaś unieruchomionego pociągu rozmieściły się bufety i szatnie. Uyłoby to całkiem niepoważne, byłoby to głębiej ukryte niżli bunkier Hitlera; nasza Kwatera Główna tak się rozlokować nie mogła, „bunkier” ten był przecież przedmiotem drwin. Co prawda nie napędziłby bunkier nikomu takiego pietra, z jakim schodzili do metra na wpół /giętych, jakby z waty, nogach, generałowie.

Właśnie tu, u podnóża, gdzie przystanął ze swoim „willisem”, Sirotin liczył na to, że dowie się czegoś o swym dalszym losie, który mógłby się połączyć znowu z losem generała, a mógłby potoczyć się

własnym torem. Gdyby tak dobrze nastawić uszu, można by się od kierowców tego czy owego dowiedzieć — tak też dowiedział się zaraz w czasie tej marszrucie od kumpla z kompanii samochodowej. Poszli w łbie na papierosa w oczekiwaniu na koniec dłuższej narady, pogadali /f.ozn o sprawach obojętnych — Sirotin wyraził bodaj przypuszczenie, /«• Kłoby do „willisa" wstawić silniczek z ośmiomiejscowego „dodge'a", 4wielny byłby z niego samochód, lepszego trudno sobie wyobrazić; kumpel nie miał nic przeciwko temu, ale zwrócił uwagę, że silniczek „iloiłge'a" jest nieco za duży i chyba pod maskę nie wlezie, trzeba by mu specjalną osłonę przymocować, ale wówczas urośnie garb; co do lem> obaj byli zgodni: trzeba zostawić wszystko tak, jak jest. I tu doszło ilu rozmowy w ogóle o zmianach jako takich — czy mają jakiś sens — kumpel był za stabilnością i w związku z tym poczynił aluzję do tego, >,f ii nich w armii mają nastąpić zmiany, dosłownie w tych dniach, nie wmlomo tylko, czy na lepsze, czy na gorsze.

Jakie konkretnie zmiany — tego kumpel nie ujawnił, powiedział tylko, że ostatecznie nic nie postanowiono, ale po tym, jak zniżał głos, nuł/na było zrozumieć, że decyzja zapadnie nie w sztabie frontu, a mlzieś tam wyżej; może tak wysoko, że obaj nie mają o tym pojęcia. „(hodaż — powiedział nagle kumpel—ty być może się w tych wyżynach)«(łapiesz. Gdybyś przypadkiem Moskwę zobaczył, to się jej kłaniaj". Dziwować się temu, jak mogła wyglądać Moskwa u szczytu na- Inii ia, Sirotinowi, kierowcy dowódcy, ambicja nie pozwalała; kiwnął jeilynie z powagą głową, a w duchu pomyślał sobie: słyszał ten mój kumpel, że dzwonią, tylko nie wie gdzie. Ale okazało się, że to żaden

wymyśl, ale czysta prawda. Moskwa! Na wszelki wypadek Sirotin jął się przygotowywać, założył nie używane opony, „nasze rodzime”, czyli amerykańskie, które oszczędzał na Europę, przyspawał wspornik do jeszcze jednego karnistra na benzynę, naciągnął nawet brezent, którego — niezależnie od pogody — nie brali ze sobą: generał go nie lubił: „Duszno pod nim — mówił — jak w psiej budzie, i nie sposób się szybko skoncentrować”, to znaczy wyskoczyć przez burtę podczas ostrzału czy bombardowania. Słowem, nie było to znowu tak niespodziewane, kiedy generał wydał komendę: „Zaprzęgaj, Sirotin, zjemy obiad i do Moskwy!”

Moskwy Sirotin nie widział ani razu i ogarnęła go i radość, że raptem ziściły się dawne, przedwojenne jeszcze plany, i lęk o generała, którego nagle, nie wiedzieć czemu, wezwano do Sztabu Generalnego, nie mówiąc już o samym sobie: kogóż to jeszcze wypadnie wozić i czy nie lepiej wyprosić półtoratonową ciężarówkę, kłopotów tyle samo, a szans ujęcia z życiem bodajże więcej; bądź co bądź kabina jest osłonięta, nie każdy odłamek ją przebije. I nawiedziło go jeszcze uczucie dziwnej ulgi, można by nawet powiedzieć, wyzwolenia, do czego nie chciało się samemu przyznać.

Nie był pierwszym u generała, przed nim zmieniło się dwóch mężczyzn — jeśli liczyć od Woroneża, a właściwie tam zaczynała się historia armii; przedtem, zdaniem Sirotina, nie było ani armii, ani historii, lecz beznadziejny mrok i chaos. Tak więc od Woroneża sam generał nie doznał najmniejszego zdraśnięcia, natomiast pod nim, jak to

się w wojsku mówiło, zabito dwa „willisy”, za każdym razem z kierowcą, a raz nawet z adiutantem. Ot, taka krążyła uporczywa legenda: jego samego nic się nie ima, jest jakby nawiedzony, co też potwierdzał fakt, że ludzie ginęli obok niego, dosłownie o dwa kroki. Co prawda, kiedy dochodziło do szczegółów, wyglądało to nieco inaczej, „willisy” te zabito niezupełnie pod nim. Za pierwszym razem — przy bezpośrednim wybuchu dalekonośnego fugasa — generał nie wsiadł do samochodu, zatrzymał się na chwilę przy stanowisku dowodzenia dowódcy dywizji i wyszedł, kiedy już było po wszystkim. Za drugim zaś razem — kiedy wpadli na minę przeciwczołgową — nie siedział w środku, wyszedł, by się przejść po drodze, popatrzeć, jak zostały zamaskowane samobieżne działa przeciwpancerne, kierowcy natomiast kazał odjechać dokądś z otwartej przestrzeni, ten zaś skręcił do zagajnika. Jak się okazało, droga była rozminowana, a zagajnik saperzy ominęli, tutaj ruchu nie zaplanowano... Ale co tam — myślał Sirotin —

20

może generał przewidział swą zgubę, a może tylko spóźnił się; na tym polegało całe to jego nawiedzenie, że nie obejmowało tych, którzy mu low.irzyszyli, zbijało tylko z tropu, ono to było, jeśli się tak dobrze zamimowić, przyczyną ich śmierci. Podliczyli już spece, że na każdego zabitego w tej wojnie wypadnie po dziesięć ton zużytego metalu, Sirotin zaś i bez tych obliczeń wiedział, jak trudno jest zabić człowieka na li omie. Oby tylko ze trzy miesiące się utrzymać, nauczyć się nie słych/er ani pocisków, ani odłamków, a słyszeć siebie, swój bezwiedny ilres/.cz, który im bardziej jest bezwiedny, tym trafniej podszeptnie ci,

Hk>>d by lepiej zawczasu dać drapaka, czasem z najbardziej, zdawało by się, bezpiecznego podziemnego schronu, choćby ze schronu z siedmiokrotnym belkowaniem, że niechbyś przeleżał w jakimś rowku, za mizerną kępką — to schron diabli wezmą, a kępka cię uchroni! Wie- il/iiii, że to zbawcze uczucie jakby gaśnie, kiedy nie jest ćwiczone, wy- »tau zy, żebyś tydzień nie był na pierwszej linii; ale ten generał wcale nit," ii o pierwszej linii nie palił, jednakowoż i nie gardził nią, tak że poprzednicy Sirotina nie mogli do niej nadto tęsknić, czyli że przez włas- ii.) głupotę ginęli, nie wysłuchali samych siebie!

Z miną to już była wręcz śmieszna historia. Czy on, Sirotin, wje- i li.ilby do tego zagajnika, pod osłonę brzoź? A figa z makiem, choćby pod każdym krzakiem widniał napis: „Sprawdzono, min nie ma". Kto upr.iwdzał — dla tego min już nie ma, ledwie uszedł cało, a tobie, mo- żesz być tego pewien, zostawił w pośpiechu tę jedną jedyną minę prze- ri wizolgową; a choćby cały zagajnik własnym brzuchem przecesał — wiadoma rzecz: raz w roku nawet nie nabity karabin może wystrzelić. Ale /. pociskiem sprawa była trudniejsza — na minę sameś się napato- czył, a ten ciebie upatrzył, właśnie na ciebie ktoś tam nakreślił mu dro- gę pod niebną, podmuchem wiatru skorygował błąd, przesunął o dwie, liv.y tysięczne na prawo albo na lewo, i po kilku zaledwie sekundach — j.ik poczujesz, że twój jedyny, rodzimy, przez los wyznaczony, opu- tci\ już lufę i spieszy ku tobie poświstując, pobrzękując, a ty jego świstu ule usłyszysz, inni usłyszą — i przez głupotę mu się kłaniają. Jednako- woż po co było czekać, nie chować się, skoro owo coś zatrzymało generała m.i punkcie dowodzenia? Otóż właśnie to bezwiedne powstrzymało go, a

li u oś należało wyczuć! W swych rozmyślaniach Sirotin niezmiennie u-
mysławiał sobie swą przewagę nad oboma poprzednikami — ale, być
może, była to jedynie odwieczna przewaga żywego nad umarłymi? —
i takie myśli również go nawiedzały. W tym rzecz, że nie powinien
/.urzekać się, a to jeszcze bardziej zbijało go z tropu przepędzając zbaw-
21

cze dreszcze; nauka o przetrwaniu żądała: bądź pokorny, nie ustawaj
w błaganiu, by cię ominęło, wtedy, być może, wyjdiesz sam cało. A
najważniejsze... najważniejsze — ten dreszcz mu podpowiadał: z tym
generałem do końca wojny nie dociągniesz. Niby dlaczego? Jeśli już o
to chodzi, to jaki tam znowu strach? Coś takiego musi się zdarzyć, ale
to niechybnie, zawsze nad nim wisiało, toteż bywał często oklapnięty i
ponury; jedynie wprawny wzrok dostrzegał za jego dziarskością, roz-
paczliwą brawurą, przesadną elegancją ukryte przeczucie. Gdzieś tam
jest koniec sznurka, mówił do siebie, jakoś długo, długo się wiję, i na-
zbyt szczęśliwie, i już marzyła mu się jakaś rana, a po szpitalu jakiś
inny generał, nie tak jak ten chyba nawiedzony.

O tym właściwie, o swych obawach — i tylko o tym — opowiadał
kierowca Sirotin majorowi Swietłookowowi z wojskowego kontrwy-
wiadu „Smiersz”, kiedy ten poprosił go na rozmowę, czy też — ak się
to mówiło — na „ploty”. „Tylko widzisz — powiedział Sirotinowi — u
mnie w oddziale ani pary z gęby, przyczepią się do jakiejś pierdułki,
lepiej gdzieś indziej. A tymczasem nikomu ani słowa, bo... wiesz, lichy
nie śpi. Dobra?” Spotkanie miało miejsce na skraju lasu, niedaleko od
sztabu, o określonej godzinie; major Swietłookow usiadł na powalonej

sośnie — zdjął czapkę, wystawił do jesiennego słońca wypukłe czoło z czerwoną od otoku przęgą, przez co jakby wyzbył się zwierchnictwa i tym samym usposobił Sirotina do szczerzej rozmowy. Poprosił go, by usiadł poniżej, na trawie.

— No, mów — powiedział — co tam masz na wątrobie, co za udręka młodzieńca trapi? Przecież widzę, nic się przede mną nie ukryje... To niedobrze, że Sirotin mówił o takich sprawach, o których instynkt każe nie rozpowiadać, ale major Swietłookow w lot go zrozumiał i poczuł do niego nawet współczucie.

— To nic, to nic — powiedział bez uśmiechu, potrząsając energicznie swoimi lnianymi kudłami i odrzucając je jak najdalej — my potrafimy zrozumieć całą tę mistykę. Wszyscy są podatni na przesady, nie tylko ty jeden, nasz dowódca też. I powiem ci w sekrecie: nie taki on znowu jest nawiedzony. Nie lubi o tym wspominać i naszywek za rany nie nosi, a miał tego przez swoją głupotę w czterdziestym pierwszym, że ho, ho, pod Sołniecznogorskiem. Uszło mu na sucho — osiem kul w brzuch. A tyś o tym nie wiedział? Nie mówił ci o tym ordynans? Który, nawiasem mówiąc, był przy tym obecny. Ja myślałem, że między wami, kumplami... No ten, jak mu tam, Fotij Iwanowicz, zabronił mu mówić. I my też nie będziemy o tym gadać, dobra?..

22

No więc słuchaj — spojrzał nagle na Sirotina wesoło i przymilnie — a może ty strugasz wariata, co? A najważniejszej rzeczy o Fotiju Iwanowiczu nie chcesz powiedzieć, ukrywasz, co?

— A co miałbym ukrywać?

— Nie zauważyłeś ostatnio czegoś w nim dziwnego? Niektórzy zauważyli, a ty nic?

Sirotin wzruszył ramionami, co mogło znaczyć: „nie zauważyłem” i „to nie moja sprawa”, jednak niebezpieczeństwo zawisłe nad generałem uchwycił i pierwszym jego wewnętrznym odruchem było połapać się rhoćby na mgnienie oka, co mogłoby jemu samemu zagrażać. Major Swietłokow przyglądał mu się bacznie, spojrzenie jego niebieskich, przenikliwych oczu niełatwo było wytrzymać. Widać domyślił się, jakie rozterki trapią Sirotina i tym surowym spojrzeniem przywracał go n.i miejsce, którego winien się trzymać człowiek będący w świetle dowódcy, miejsce wiernego sługi, oddanego bez reszty swemu panu.

— O wątpliwościach, podejrzeniach, wszelkich takich andronach lv mi tu nie gadaj — powiedział szorstkim głosem major. — Tylko o l.ikt.ich. Jeśli takowe są, to musisz o nich donieść. Dowódca to wielki i /.lowiek, zasłużony, ceniony, tym bardziej musimy nasze słabe siły wytężyć, pomóc, jeśli mu się noga podwinie. A może jest zmęczony? A może potrzebuje jakiegoś duchowego wsparcia? Sam nie zwróci się o pomoc, a my niczego nie zauważymy, przegapimy ten moment, a po tfm będziemy sobie pluć w brodę. Toż za każdego człowieka w armii my ponosimy odpowiedzialność, a już gdy chodzi o dowódcę — nie 111.1 co gadać.

Kim byli owi „my”, odpowiedzialni za każdego człowieka w armii, on z majorem czy też cały wojskowy „Smiersz”*, w którego oczach generał w czymś tam „przewinił”, tego Sirotin nie zrozumiał, a zapytać jakoś się nie odważył. Przypomniał sobie raptem, że kumpel z kompanii

samochodowej też coś takiego powiedział: „w czymś tam przewinił”, i/yli to już nie jakieś dzwony słyszał, ale wręcz dudnienie ziemi. Wi-
docznie generalskie przewinienie, choć w niczym jeszcze nie dało o so-
Siniersz — specjalna organizacja w ramach sowieckich struktur bezpieczeństwa.
Nazwa pochodzi od skrótu hasia propagandowego Smiert Sq>ionam (Śmierć szpiegom),
/ostała utworzona wiosną 1943 roku, a na jej czele stanął generał Wiktor Siemionowicz
Abakumow. Funkcjonariusze Smierszu byli postrachem całej sowieckiej kadry dowódczej.
Szacuje się, że 8-12 proc. żołnierzy Armii Czerwonej było współpracownikami ludzi Abakumowa.

23

bie znać, nie było niczym nowym dla niektórych, i to właśnie dlatego
wezwał go do siebie major Swietłookow. Rozmowa coraz bardziej do
czegoś wciągała i Sirotin poczuł coś nieprzyjemnego, nieokreślonego,
pomyślał, że zrobił mały kroczek ku zdradzie zgadzając się przyjść na
„ploty”.

Z głębi lasu wiało przedwiecznym mokrym chłodem, i wraz z
nim zlewał się podstępnie wszechobecny mdły smród. — Diabelscy
grabarze — pomyślał Sirotin — swoich zakopują, a Niemców im się
nie chce, trzeba donieść o tym generałowi, już on da im popalić. Nie
chciało się wam świeżych pogrzebać, to teraz zatykajcie sobie nosy...
— Powiedz mi taką rzecz — zapytał major Swietłookow — jak on,
twoim zdaniem, do śmierci się odnosi?

Sirotin wzniosł ku niemu zdziwione spojrzenie.

— No, jak my wszyscy, grzeszni ludzie...

— Nie wiesz — powiedział srogim głosem major. — Oto dlaczego
pytam: W chwili obecnej stoi na ostrzu noża sprawa bezpieczeństwa

kadr dowódczych. Sztab Generalny wydał specjalną instrukcję, i Naczelnym nie raz zwracał uwagę, podkreślał, żeby dowódcy nie narażali się. Chwała Bogu, to nie rok czterdziesty pierwszy, nauczyliśmy się forsować rzeki, osobista obecność dowódcy przy przeprawie mija się z celem. Po kiego licha miałby się pod obstrzałem przeprować na promie? A może świadomie nie oszczędza siebie? Z rozpacz czy co, albo ze strachu, że nie poradzi sobie z operacją? To można by jakoś zrozumieć — operacja jest bądź co bądź nie taka znowu prosta...

Sirotinowi nie wydawało się wcale, by operacja była bardziej skomplikowana od innych, rozwijała się całkiem normalnie, jednakże tam, na górze, skąd do niego przybył major Swietłokow, mogli mieć inny na te sprawy pogląd.

— A może to odosobniony przypadek? — snuł w tym czasie swe rozmyślenia major. — Chyba jednak nie, jest tu jakaś logika. Dowódca armii swój punkt dowodzenia wystawia przed dywizjami, a co w takim razie dowódca dywizji? Może ma się jeszcze bardziej zbliżyć do Niemców? A dowódca pułku miałby wleźć do paszczy przeciwnika? I mielibyśmy się popisywać nawzajem osobistą odwagą? Albo jeszcze jeden przykład: pojedzie sobie na pierwszą linię frontu bez osłony, bez opancerzonego transportera, nawet radiotelegrafisty nie bierze ze sobą.

No i w ten sposób napatoczą się na zasadzkę i wpadną w objęcia Niemców. A ty się potem tłumacz, człowieku, że nie była to żadna zdrada,

24

.i zwykłe nieporozumienie.... Trzeba wszystko przewidzieć. I uprzedzić. I ty, i ja, w pierwszej kolejności.

— A cóż ode mnie zależy? — zapytał Sirotin z ulgą. Przedmiot m/.mowy stał się dla niego wreszcie jasny i zgodny z jego własnymi obawami. — Kierowca nie wybiera przecież marszruty.

— Tylko tego brakowało, żebyś dowódcy rozkazywał!.. Ale wie-
J/ieć zawczasu — to w twojej kompetencji, no nie? Mówi ci Fotij Iwa-
11 yrz jakieś' dziesięć minut przedtem: „Zaprzęgaj, Sirotin, do sto szesnastego
I »< >dkoczymy". No nie?

Sirotina zdziwiło to rozeznanie, odparł jednak:

— Nie zawsze. Jedzie przecież nie do jednego tylko miejsca, w ciągu dnia we trzech czy czterech bywa: raz pół godziny, a czasem i i;\lo dwie.

— Można go zapytać: a dokąd potem, czy starczy paliwa? Nie-
l1 udno przecież porozumieć się telefonicznie.

— A z kimże to się porozumieć?

— Ze mną, jak to „z kim". My mamy zorganizowaną obserwację, ii. i wiążujemy kontakt z tym miejscem, do którego wy, na przykład, w i l.uiym momencie jedziecie, żeby wyjechali wam naprzeciw. Ja to rozu-
miem, dowódcy od czasu do czasu cholernie chce się zaskoczyć swo-
u h, zobaczyć wszystko jak na dłoni. Tylko że jedno drugiemu nie
przeszkadza. My mamy swoją linię i swoje zadanie. Dowódca dywizji
nii1 będzie nawet wiedział, kiedy zwali się Fotij Iwanycz, najważniej-
sze, żebyśmy my wiedzieli.

— A ja myślałem — powiedział Sirotin z uśmiechem — że wy się szpiegami zajmujecie.

— My się wszystkim zajmujemy. Ale teraz najważniejszą rzeczą

— Cst, żeby ani na chwilę nie stracić dowódcy z oczu. Obiecujesz mi to?

Sirotin marszczył w napięciu czoło chcąc zyskać na czasie. Niby to nie było niczego złego w tym, że dokądkolwiek mieliby się z generałem udać, bodzie o tym poinformowany major Swiętookow. Ale jakoś dręczyło go, że bodzie musiał to trzymać w tajemnicy przed generałem.

— Jakże to tak? — zapytał Sirotin. — W tajemnicy przed Fotijem I wanychem?

— Oj, oj, oj — zahuczał ironicznie major. — Co ci tak cięży to słowo? Ano właśnie w tajemnicy, po cichu. Po co dowódcę wtajemniczać \vi" wszystko, niepokoić go?

— Nie wiem — powiedział Sirotin — jak to tak można...

Major Swiętookow wydał z siebie ciężkie, smętne westchnienie.

25

— Ja też nie wiem. A trzeba by. Należało by. Więc co robić? Przedtem w armii mieliśmy instytucję komisarzy — i wszystko było proste! To, co już od godziny usiłuję od ciebie wydobyć, komisarz niewiele myśląc załatwiłby w trymiga. No bo jakże inaczej? Komisarz i kontrwywiad — to jak dwa bratanki. Teraz mają większe zaufanie do dowódcy armii, a pracować jest coraz trudniej. Do członka Rady Wojennej nie śmiej się zbliżyć, on też jest teraz „towarzyszem generałem”, ceni sobie swój stopień bardziej niż komisarza, taki „bzdurami” nie będzie się zajmował! No a my, skromne ludziska, jesteśmy od wszystkiego, na nasze głowy podstępnie wszystko spada. Naczelny skomplikował nam zadanie. Ale go nie zmienić!

Ten smutek i zatroskanie w głosie majora, i jego szczerść, i ciężar

zadania pochodzący nie od kogoś tam, lecz od samego Naczelnego, wszystko to układało się tak, żeby Sirotin nie miał żadnych wątpliwości.

— Z tym porozumiewaniem się, wiecie jak to jest... łącznościowiec ma linię zajęta. A kiedy jest wolna, to też nie tak łatwo się połączyć.

Trzeba poinformować, dokąd się dzwoni. No i dojdzie to do Fotija Iwanycza. Nie, to...

— Co „nie”? — Major Swietłokow przybliżył do niego twarz.

Nagle ubawiła go naiwność Sirotina. — Ależ z ciebie dziwak! Czyżbyś tak miał prosić: „A no połącz mnie z majorem Swietłokowem ze <Smierszu>”? Nie, w ten sposób wszystko diabli wezmą. Ale można i po męsku. To znaczy po babsku. Ta linia zawsze pójdzie ci na rękę.

Znasz tę Kałmykową z trybunału? Starszą maszynistkę.

Sirotinowi przypomniało się coś pulchnego, nadmiernie piersiastego i, jak na jego dwudziestopięcioletnie wejście, bardzo starego, o postawie niezłomnie zwierchniczej, ze szczelnie zaciśniętymi wargami, władczo pokrzykującego na dwie podwładne jej dziewczyny.

— A co, nie warta grzechu? — raptownie poróżwiające oblicze majora rozplynęło się w uśmiechu. — W ogóle to nie jeden miał na nią chętkę. Przechwalali się nawet. No cóż, miłość niejedno ma imię. U nas nie żeński klasztor, no nie? Ot, jak do Europy dotrzemy, jak nie w tym roku, to w następnym, tam są takie klasztory żeńskie, od „a” do „zet”, by tak rzec, dziewicze, od stóp do głów. Dlatego właśnie mniszki te „karmelitkami” nazywają, przysięgę co do dziewictwa składają, aż po grób. Tak się poświęcają! Niewinność masz więc zagwarantowaną. Którą chcesz — bierz, bez pudła.

Te nadto srogie „karmelitki” kojarzące się Sirotinowi, nie wie-
dzieć czemu, z „karmelkami”, jawiły się kusząco i słodko. A co do tej
26

piersiastej, to nie wydawało mu się, by mógł się do niej przystawiać,
albo nawet pogadać z nią przez telefon.

Sehrgut — zgodził się major. — Wybieramy drugi wariant. Co ty na
to: Zojeczka? Nie ta, co w trybunale, a ta telefonistka ze sztabu. Z takimi
kędziorkami.

Popielate kędziorki, zwisające spod furażerki jak spirale nad wy-
pukłym fajansowym czołem, i zmęczone spojrzenie — malutkich, lecz
lisnych, błyszczących oczu — i zręcznie dopasowana kurtka, z jednym
i o/piętym guzikiem, nigdy dwoma, żeby się nie narazić na jakąś uwa-
HV» i buty chromowe na obstalunek, i manikiur na cienkich paluszkach
to było już znacznie bliższe tego, czego pragnął.

— Zojeczka? — zapytał Sirotin. — Toż ona niby to z tym... no, z
oddziału operacyjnego. Jakby jego żona?

— To „jakby” ma jeden tajemny szkopuł — prawowitą małżonkę
w Uarnaule, która listami już cały wydział polityczny bombarduje. I
ilwie przemiłe latorośle. Trzeba będzie coś z tym zrobić... Tak więc Zo-
|ce/.ka nie odpada, radzę się nią zająć. Podjedź do niej, zbuduj przepra-
wę. I dzwoń do niej, skąd tylko będziesz mógł. A co, łącznościowiec cię
nic połączy? Kierowcę dowódcy? Sprawa jasna, można rzec — pilna.
Ty się nie cackaj, w armii trzeba znać swoje miejsce. A w ogóle mów jej
liik: śmichy-chichy, jak się spało? I wtrąć, na przykład, coś takiego: czas
mnie goni, za jakąś godzinkę zadzwonię od Iwanowa. Czegóż to nie

mówią przez telefon, jedna gadka więcej, jedna mniej... No ale to nie musi tak być, potem ustalili się szyfr, każdy będzie miał swoje hasło.

Czy ty tego nie rozumiesz?

— Ale to jakoś tak...

— Co to ma znaczyć „jakoś tak”? Co? — wrzasnął gniewnie major. I Sirotinowi nie wydało się dziwne, przeciwnie, uznał za słuszne, /i1 major nie bez racji obruszył się na jego niepojętliwość, i to z taką /iHiokłością. — Co ty sobie myślisz, że ja o siebie się martwię? Tu cho- (l/i o życie dowódcy! I twoje, nawiasem mówiąc, życie. A może tobie (<•/ śmierci się zachciewa?

1 gniewnie, ze świstem, smagnął po cholewie buta nie wiedzieć hki)d wziętą witką — dźwięk był jakby znikomy, ale Sirotin zjeżył się wewnątrz i poczuł jakieś zimno poniżej brzucha, ów przygnębiający, morderczy chłód, który cię przeszywa przy świcie pocisku opusz- i/iiocego swą lufę i jego klapnięciu w błotne mięsiwo — dźwiękach liiijpii-rwszych i najstraszniejszych, gdyż ani huk roztrzaskującej się Miili, ani wytrysk w kształcie fontanny trzęsawiska, ani trzask gałęzi

27

świętych przez odłamki niczym ci już nie grożą, wszystko cię już omi- nęło. Ten wścibski, natrętny major Swietłokow dostrzegł to, co tkwiło w Sirotinie i nie dawało mu spokoju, ale sam Sirotin dojrzał znacznie więcej: że z generałem dzieje się coś niedobrego, coś niebezpiecznego — i dla niego samego, i dla jego otoczenia. Kiedy tak stał na promie w swej widocznej z daleka czarnej kurtce skórzanej, w sposób tak plastyczny wystawiał się pod kule z prawego brzegu, pod kule pikującego

„junkersa", nie było to brawurą ani „przykładem odwagi osobistej", lecz właśnie tym, co czasami stawało się udziałem innych i nazywało się: „człowiek szuka śmierci".

Nie będąc bynajmniej w sytuacji beznadziejnej, nie w okrążeniu, ani pod lufami oddziałów zaporowych, ale często w skutecznym natarciu, w ataku, człowiek robił rzeczy niesamowite, niepojęte: rzucał się w walkę wręcz sam jeden przeciwko pięciu, albo też wyprostowany jak długi ciskał jeden po drugim granaty pod napierający na niego czołg, albo też podlatując do otworu strzelniczego walił łopatą w drgającą lufę — i z reguły ginął. Doświadczony żołnierz wiedział dobrze, jakie ma szansę, by się uchylić, przeczekać, jakoś tam przechytrzyć. Czy to było w jakimś amoku, w oślepiającym uniesieniu, a może tak opustoszył jego duszę wielodniowy strach, ale słyszeli ci, co byli w pobliżu, jego krzyk, łączący w sobie i mękę, i pełen zawziętości triumf, i jakby wyzwolenie... A w przededniu, jak sobie przypominali potem — a może po prostu to wymyślili — człowiek ten był nierozmowny i pochmurny, żył jakby bez sensu, wodził jakimś niepojętym, skierowanym w głąb samego siebie wzrokiem, jakby przewidując to, co miało nastąpić nazajutrz.

Sirotin nie mógł zrozumieć tych ludzi, ale to, że musieli umrzeć tak szybko, to była w końcu ich sprawa, nikogo do tego nie namawiali, nie ciągnęli na siłę. A generał i namawiał, i ciągnął na siłę. A co, źle mu było w skorupie opancerzonego transportera, co to stał obok na promie? I czy nie pomyślał, że w sposób tak malowniczy pod te kule wystawiali się ludzie, którzy musieli przebywać z nim nieustannie? Ale

oto znalazł się jeden, który wszystko rozumiał, byстрыm okiem dojrzał generalskie gry ze śmiercią i teraz je pokrzyżuje swoją ingerencją. Jakim sposobem miało mu się to udać, choćby miał w niebie odsunąć zwariowany pocisk, tymi sprawami Sirotin jakoś się nie przejmował, były dlań same przez się zrozumiałe, chciało mu się tylko ułatwić zadanie temu wszechpotężnemu majorowi, opowiedzieć jak najszczegółowiej o dziwnym generalskim zachowaniu, żeby miał to wszystko na uwadze.

28

Major słuchał go, nie przerywając, potakiwał ze zrozumieniem, czasami wzdychał albo cmokał językiem, po chwili odrzucił witkę i rozłożył na kolanach mapkę sztabową. Rozwinąwszy ją zaczął się przyglądać jakiemuś świstkowi ukrytemu pod żółtym celofanem.

— Tak — powiedział — to na tyle, wystarczy. A teraz podpisz mi się tu, o, tutaj.

— A to niby dlaczego? — zapytał zbity z tropu Sirotin.

— Co do nierozpowiadania. Rozmowa nasza, jak chyba wiesz, nie jest dla każdego uszu.

— Tak... ale po co? Przecież nie mam żadnych zamiarów rozpowiadać.

— Ano właśnie, to dlaczego nie miałbyś podpisać? No to lu, i po strachu.

Sirotin wziął ołówek i zobaczył, że ma się podpisać na samym dole kartki zapisanej fikuśnym, zgrabnym pismem pochylonym w lewo.

— Tezy — wyjaśnił major. — Taki schemat zrobiłem, jak się potoczyła nasza rozmowa. Jak widzisz, wszystko w porządku, no nie?

Sirotina zdziwiło to, ale też poniekąd uspokoiło. Bądź co bądź nie

— Powiedział temu majorowi niczego takiego, czego by ten nie wiedział przedtem. I podpisał się niezbyt pewnymi palcami.

— No i po krzyku — uśmiechając się do Sirotina major zarzucił mapnik do tyłu i wstał. — A ty, idiotko, bałaś się. Wyglądź spódnicę, ul/iemy.

Szedł twardym krokiem na swych ciężkich, obciążonych miękkim chromem nogach baletmistrza, mapnik i rewolwer chygotały się i podskakiwały na jego spadzistych pośladkach, i Sirotin czuł się niczym dziewczyna, która wraca z lasu po zaspokojeniu uwodziciela i usiłuje uśmierzyć niepokój duszy, że nie opierała mu się tak, jak mogła.

— A nawiasem mówiąc — odwrócił się nagle major i Sirotin niemal wpadł na niego — skoro o tym mowa... Może wytłumaczysz mi kilka son? Potrafisz? No więc tak. Przydybałem sobie taką fajną babkę w miłym miejscu. Chrzanię jej trzy po trzy, że niby to jakiś tam bezkarny, Lermontow, a pod spódnicą gmeram, delikatnie, ale stanowi o, zamiary mam jak najbardziej uczciwe. I już miało dojść do tego, co ja wiem, jak tu nagle — wyobrażasz sobie? — czuję, że to chłop! Matki przynajświętsza, do chłopca się dobierałem, jeszcze chwila — i jednostka ognia zmarnowana. Co ty na to? Obudziłem się zlany potem. (o by to mogło znaczyć?

Sirotin rozplynął się w szerokim, pełnym wyrozumienia uśmie-

• Im. Major przyglądał mu się dobroncznym spojrzeniem niebieskich

29

oczu, z na wpół otwartymi ustami. I nie doczekawszy się wyjaśnienia ruszył przed siebie odpowiadając sam sobie:

— A ja myślę tak, że czas z tą wojną już skończyć. Pora do domu
— do swoich kobiet się dobrać. Bo, jak ja to widzę, wszyscy już mają
kuku na muniu.

Tam, gdzie ścieżka wpadała w przesiekę, i gdzie mogli ich zoba-
czyć razem, znowu przystanął.

— No, tobie na prawo, a mnie na lewo. Ty, tego, Sirotin, wiesz co.
Jak żeśmy się dogadali, nie masz z tym niby to nic wspólnego. Takich,
co by chcieli ze mną współpracować, mogę mieć na kopy. Tak więc
masz moje zaufanie. Widzę, że coś ci leży na wątrobie. Ja to rozumiem.
Ale nic, przyzwyczajasz się. Zastanów się dobrze nad tym, zmiarkuj co
i jak, nakreśl sobie plan, jak masz ze mną pracować. No i do dzieła.

Tymczasem!

Do dzieła jednak Sirotin nie miał powodu się zabierać. Z genera-
łem nie wyjeżdżał — ostatnio ten siedział kamieniem w swym schro-
nie, w rozwalonej stacji Spaso-Pieskowcy, przyjeżdżali do niego z
raportami ze sztabu, i z lewego brzegu, i z całego przyczółka, do tego
stopnia teraz rozrośniętego, że coraz rzadziej nazywano go przyczół-
kiem. A Sirotin sterczał tylko przy swoim „willisie” i stopniowo to
mętne, obrzydliwe uczucie, jakiego doznał w lasku, rozptywało się
przemieniając w zbawczą nadzieję, że major nie będzie go być może
potrzebował.

Uczucie to wypłynęło znowu, kiedy major Swietłookow idąc w
jakichś tam sprawach do generała przystanął przy Sirotinie i dotkną-
wszy go z lekka poniżej piersi swym mapnikiem wesoło skarcił:

— Co ty mi tę dziewczuchę zadręczasz? Skarży się na ciebie.

— Jaką znowu dziewczuchę?

— Jak to jaką? Zojeczkę! Rozochociłeś ją, a nie dzwonisz. Ileż to w niego, powiada, serca włożyłam, a to taka menda.

— No dobrze, ale o czym tu... tymczasem mówić?

— Masz ci los, ucz go jeszcze, o czym z płcią piękną ma mówić.

Zadzwoń, to się dowiesz. Zadzwoń, zadzwoń, nie krępuj się.

I przeszedł wesoło obok osłupiałego Sirotina mierząc go spojrzeniem spiskowca.

Całe dwa dni Sirotin zbierał się z siłami i w końcu zadzwonił do tej Zojeczki, z którą dotąd wymienił kilka zaledwie słów, i teraz nie mógł pozbyć się dojmującego wstydu, od którego wilgotniały mu policzki, za swój głos, słabiutki, to znowu stanowczy, że są tacy, którzy o

30

swoich znajomych nie pamiętają, zadzierają nosa. A Zojeczka wcale nosa nie zadzierała. Zojeczka od razu go poznała i tego telefonu bardzo. o nawet wyczekiwała, na każdy jego wyrzut odpowiadała takim szczebiotem, że mu w uszach dzwoniło. Ledwie zdążył skończyć rozmowę, jak sobie uświadomił, nie bez wysiłku, że umówiła się z nim na i.mdkę, zaproponowała, żeby znalazł — choćby dzisiaj — wolną i hwilkę i wpadł do niej.

Szedł więc z niespokojnym poczuciem winy, niczym do zwierz-

11 mika. Zojeczka zaczęła od wymówek: jak tylko zobaczyła Sirotina z okna węzła łączności, z autobusu, od którego w różne strony biegły przewody podwieszane na tyczkach i gałęziach, podleciała do niego i /u/ęła mówić półszepetem, uśmiechając się przy tym.

— Co ty wyrabiasz, fujaro jedna! Najpierw się przychodzi, a po-
\vm się dzwoni. A ty wszystko na opak. Ni stąd, ni zowąd: „Poproszę
/i >ji'czkę". Jaka ja dla ciebie Zojeczka, jeżeli nas razem nie widzieli? To już
pierwsza wpadka.

— Ależ tak mi major powiedział — jął się tłumaczyć Sirotin.

— Ciszej, durniu jeden. Tak, ale nie tak — zasyczała Zojeczka, od
.1/11 jednak się udobruchała. — Przejdźmy się, żeby nas widzieli.

Najpierw się pokręcili po polance, w pstrym cieniu zamaskowa-
li Viii sieci, żeby kumy-telefonistki patrzące z autobusu mogły sobie
wyrobić pojęcie o charakterze ich wzajemnych stosunków. Z drugiego
diilolnisu, gdzie trzeszczały maszyny do pisania i gdzie redagowano
Hii/flo wojskową, również się im przyglądano. Sirotin nie wiedział, co
mówić, Zojeczka także milczała, tylko zwracała ku niemu uśmiechnię-
ty lw.irz. Komuś postronnemu mogło się wydawać, że niespodziewa-
ni- spotkanie i ogarniające ich uczucie odjęło im mowę.

— No więc jak, będziemy tak w kółko krążyć? — powiedziała Zo-
(vi /.ka. — Zaprowadziłbyś mnie gdzieś.

— Dokąd? — zapytał Sirotin. I aż się spocił od tej swojej głupoty.

— Dokąd, dokąd!.. Nie wiesz, jak się postępuje z dziewczynami?

Mo/i*8z mnie objąć za ramię. Boże, nie za naramiennik, a za ramię!

Sirotinowi ręka, i tak już nie nazbyt czysta, od razu zwilgotniała.

Po fajansowej twarzyćce Zojeczki przemknął pełen wstrętu grymas.

— Nie ściskaj tak mocno...

— To co, mam zabrać rękę? — zapytał równie głupio.

Wzruszyła tylko gniewnie ramieniem. Po chwili wzięta jego rękę

I oplotła nią swą talię.

31

— Trzeba zmieniać od czasu do czasu, bo inaczej jeszcze się przyklei. Tylko to trzeba robić ukradkiem, żeby wyglądało naturalnie... Po jakimś czasie zrzuciła całkiem jego rękę.

— A teraz mamy już inny nastrój. Patrz sobie pod nogi w zamyszeniu i milcz.

Tego jasnego, przedjesiennego dnia mogli ich widzieć w różnych miejscach rzadkiego lasu, gdzie nowy przyczółek zdążył się już rozbiwakować na dobre, przywłaszczając sobie tę przestrzeń, którą określa się mianem drugiego rzutu. Widzieli ich ze stołówki Rady Wojennej rozlokowanej w wielgachnym namiocie z podwiniętymi połamami, gdzie mieścił się długi stół, i obok, pod brezentowym daszkiem, dymiła kuchnia polowa na prętach; kucharz w białym kitlu i czapce kucharskiej i spożywający obiad oficerowie sztabowi odprowadzali zakochaną parę ironicznym wzrokiem. Zojeczka, uśmiechając się marzycielsko, pochylała głowę ku ramieniu Sirotina i gryzła trawkę, którą od czasu do czasu łaskotała go w policzek.

Żołnierze artylerii przeciwlotniczej wylegający się na trawie przy swoich ustawionych w poczwórne kozły karabinach maszynowych, z białymi brzuchami wystawionymi do słońca, również ich widzieli — oni przynajmniej zasłonili oczy furażerkami, ale ich głowy obracały się za nimi, wszystkie trzy jednocześnie.

Mogli ich zobaczyć przy warsztatach dla czołgów, gdzie pod zamaskowaną plandeką naprawiano dwie sprowadzone z pola bitwy

„trzydziestkiczwórki”; remontowcy w przetłuszczonych kombinezonach obstukiwali młotami wyrwy w opancerzeniu, nakładali łaty przylutowując je iskrzącym się spawaczem z przenośnej prądnicy; jeden z nich z przywiązaną do ust i nosa szmatą zeszkrobywał, nadzianym na kij kawałkiem żelaza, z poczerniałej wieży pancernej bryłki przylepionego, zwęglonego mięsa.

Widzieli ich przy batalionie medyczno-sanitarnym składającym się z kilku takich jak stołówka namiotów i mimo to nie mogących pomieścić wszystkich pacjentów; łóżka i nosze w ciasnych rzędach stały na zewnątrz pod szeleszczącymi koronami drzew; sanitariuszki pospiesznie robiąc opatrunki ze zwykłą sobie delikatnością nakłaniały jęczących, by jeszcze trochę pocierpieli i mimowolnie wpadając im w ton takim samym lamentującym, niemal babskim głosem rozmawiali sanitariusze-mężczyźni. Przed wejściem do ostatniego namiotu, oparta o kocioł rurowy, z zaciśniętymi pod pachami żółtymi, gumowymi rękawicami pospiesznie paliła papierosa lekarka w rzeźnickim fartuchu z

32

ceraty zafajdanym rdzawymi zaciekami; od czasu do czasu zwracała spojrzenie ku wnętrzu namiotu i ochrypłym, apatycznym głosem wydawała zarządzenia, niekiedy też po jej zmęczonej twarzy przemykał uśmiech — kiedy patrzyła, jak dwójka lekko rannych, już powracających do zdrowia, wspierając się wzajemnie, usiłowała poradzić sobie z niemieckim rowerem. Co jakiś czas wynoszono stąd w cynkowanych miskach i wypluskiwano do leju po bombie czerwoną ciecz z kawałkami rozmokłej waty. O kilka kroków dalej, przykucnąwszy, do takiej

Nimc) miski doł krowę żołnierz w białawej, całej w łatach kurtce.
Krwawa, łamiąca kości praca w pierwszym namiocie szła nie-
przerwanie — co chwila podjeżdżały przepełnione jękiem, z trudem
mimi)cc od ciężaru poruszającego się ładunku furmanki, samochody z
odchylanymi burtami i furgony. I zapachy śmierci, i męczarni miesza-
ły Hit,' w czystym powietrzu z zapachem kuchni, jadła — przez co sta-
wało się to szczególnie nie do zniesienia, mdlące. Zasepiwszy się
/.ojec/.ka zaproponowała:

— No to wszystko, program wykonaliśmy. Możemy teraz poszu-
Lu jakiegoś ustronnego miejsca. Muszę ci jeszcze coś dopowiedzieć.
Tak oto doszli do tej powalonej sosny i Zojeczka, usiadłszy na niej,
/r/.ucila z siebie wreszcie uśmiech, który jej porządnie obrzydł, i sta-
rannie obciągnęła spódnicą krągłe kolana. Pomyślał, że nieraz przeby-
Wttlii tu z majorem Swietłookowem, przy którym z pewnością nie tak
Mc/.clnio przykrywała skrzyżowane nogi.

— A ty... dawno z nim? — głucho z zaschniętymi ustami zapytał
Sirotin.

— Co „z nim”? — Zojeczka spojrzała na niego zadzierając nosa,
pr/.)v. co wyraz jej twarzy stał się hardy. — Czy sypiam z nim, o to
chodzi?

— Pracujesz — poprawił się Sirotin, zmieszany.

— Trzeba się jasno wyrażać. Co ty sobie myślisz, że to wszystko
llofce być jednocześnie? O, nie! Pracować i sypiać — jedno z drugim
nit* da się pogodzić.

— A to dlaczego? — szczerze się zdziwił.

— A dlatego. Nie ma fikcyjnych romansów. Ktoś się tam zakocha naprawdę i całą konspirację diabli wzięli. Nasza współpraca ma taki charakter, że to jest niepotrzebne. Z tobą — to inna rzecz. Ale ty i ja do Hłcwgo takiego nie zmierzamy, no nie? Mnie twoje życie osobiste nie obchodzi, a ciebie — moje.

33

— Tym bardziej, że masz drugiego. A tymczasem żona jest daleko. W Barnaule — powiedział zgryźliwie Sirotin, nieco dotknięty. Ten, o którym mówił, był to bez mała cała armii znany major Batłuk ze sztabu operacyjnego, malowniczy, tyjący przystojniak — brunet lubiący sobie dobrze zjeść i popić, a także śpiewać pieśni ukraińskie — głosem nienaturalnym, za to nadzwyczaj donośnym.

— Ach, ten... — powiedziała Zojecka, jednakowoż jej matowobiałe policzki jęły z wolna różowieć. — To była pomyłka. To znaczy w ogóle..., to też była robota. Przez jakiś czas go podejrzewali.

— O co? — Sirotin znowu się zdziwił: o cóż można podejrzewać majora Batłuka? Chyba o to, że uchyla się od płacenia alimentów trzem rodzinom.

— Za gapiostwo. Wydawało się, że coś tam wycieka z danych operacyjnych. Ale okazało się, że to nieporozumienie. Nieporozumienie w każdym calu — dodała Zojecka znacząco i w sposób tajemniczy zamilkła, i Sirotin odniósł wrażenie, że te chwile miały coś wspólnego z jej wspomnieniami o śpiewającym majorze. — Widzę, że o wszystkim wiesz. Ale tak w ogóle to rzeczywiście podobał mi się. Chłop na schwał. Tyłko bardzo zarozumiały. Nasz romans był dla niego czymś

przelotnym. Pewno i tak można na to spojrzeć. Bo w Europie wszystko stanie do góry nogami.

— Jak to?

— A no tak, prosta rzecz. Tutaj my jesteśmy dla was takie sobie dziewczuchy frontowe. A tam będziecie mieli bab, ile dusza zapragnie, jakich tylko i ile tylko. I to nie sami oficerowie, lecz byle taborowy woźnica. Nawet ostatnie, skończone zero, bo jak ma broń, to mu się żadna nie oprze. W ogóle, jak powiada major Swietłookow. „Dziewuchy, korzystajcie z życia, bo czeka was dewaluacja”. Dobra, dajmy sobie z tym spokój. Najważniejsze są nasze sprawy. A romanse — pal je lichu. Jemu też chyba po raz pierwszy w życiu podczas rozmowy z kobietą, młodą i nie całkiem mu obojętną, zachciało się pomówić o czymś innym.

— A co cię pociągnęło... do tej roboty? — zapytał posepnie.

— A co? — uśmiechnęła się marzycielsko. — Myślisz, że tu nie ma nic ciekawego? Choćby świadomość, że można tyle rzeczy zrobić, tyle pożytku przynieść... Nie myślałeś o tym?

— Myślałem: każdy, gdzie go postawili, musi robić to, co do niego należy. I tyle.

34

— No, a mnie tego za mało. Cóż ja takiego jestem? Telefonistka.

I)odatek do przełącznika. Ty też jesteś taki przełącznik do „wilfisa”. A major mi takie perspektywy roztoczył, że aż się w głowie kręci, słowo il.iję. Zielonego pojęcia nie masz, ilu jest w naszych szeregach ukrytych wrogów, jak ludzie w większości są nastawieni. Jedni niesłusznie, a

inni wrogo. Czasem nawet wysokie osobistości, z takimi stopniami, że ho-ho, a orderów mają, że daj Boże każdemu. Póki walczą — spełniają Nwój obowiązek, i my w chwili obecnej nie możemy się nimi zająć, jakby należało. Za wcześnie na to. Tymczasem trzeba o każdym z nich zbierać jak najwięcej informacji. I z każdym pracować — cierpliwie, wytrwale i zarazem bezwzględnie.

— On mi mówił o zupełnie innych rzeczach — powiedział zdezo-
liiMi towany Sirotin.

— A co ty byś chciał, żeby cię we wszystkie subtelności wtajemni-
czał? Ja już ze trzy miesiące... pracuję, a on mi tylko mały rąbek odsło-
nił. Ale nawet ten rąbek, to też nie bagatela! Po prostu nabrałam smaku
do tej roboty. Mówi, że być może będzie ze mnie w przyszłości Mata
I l.iii. To był taki znany na całym świecie szpieg w spódnicy. No, a ty
| .ik dotąd smaku w tym nie znalazłeś?

Wyraźne i przyprawiające o strach uczucie, że wciągnięto go już
i In czegoś, skąd niełatwo się wydostać, otrzeźwiło go.

— A co ma do tego „smak”? — odrzekł pochmurnie. — Myśmy o
zupełnie innych sprawach rozmawiali. Żeby dowódca niepotrzebnie
mi; nie narażał...

Zojeczka spojrzała na niego z ukosa ironicznie, ale wnet jej twarz

I > r/y brała wyraz powagi.

— Ależ, kto by to kwestionował, dziwaku jeden. To takie zadanie,
/»• w porównaniu z nim wszystko inne to bzdura, marność nad marno-
!<i i.imi. No i dlatego właśnie spotkaliśmy się.

Wyczuł w jej głosie rozczarowanie. Jakby po tym spotkaniu spo-

il/.icwała się czegoś zupełnie innego.

Zrobiło się jej po prostu z nim nudno. Rozrzuciwszy ręce na pniu
I uniósłszy ramiona, tak że wygięły się na nich naramienniki, i wyciąg-
nąwszy splecione nogi w chromowych butach i nicianych, cielistego
koloru pończochach, kręciła głową spoglądając w górę, odprowadzała
wzrokiem nitki pajęczyny i nuciała półgłosem:

Wieje ciepły wietrzyk, roztopniały drogi

Znów odwilż osnuło Południowy Front.

35

Topnieje śnieg w Rostowie, topnieje w Taganrogu,

Dni te kiedyś wspomni nasz żołnierski krąg.

...Nie wiedziała, do jakiego stopnia miała rację. Po wielu latach
wspominać będzie ten pogodny dzień babiego lata, kiedy coś jej nie
wyszło, na co liczyła; po raz pierwszy przypomni sobie o tym wkra-
czając do wyzwolonej Pragi i fotografując się w grupie przyjaciół-
„smierszowców”, na rojącym się od ludzi, zasypanym kwiatami placu
świętego Wacława, już z naramiennikami podporucznika, z orderem i
medalami na piersiach; od czasu do czasu, z coraz bardziej dojmują-
cym smutkiem wspominać będzie o tym po ośmiu latach, wykonując
pracę, w której tak zasmakowała, że nawet ściągnięto ją do stołecznego
aparatu; następnie, kiedy jej gorliwość nieco ostygnie, i Zojeczkę usuną
z aparatu, i będzie musiała unikać spotkań z mnóstwem ludzi, tak że
prostszy okaże się opuszczenie Moskwy, wspominać będzie ten
dzień coraz częściej i częściej w obcym mieście, decydując o losach lu-
dzkich już w innym charakterze — bowiem decydowanie o ich losie

stanie się jedynym jej powołaniem — gdyż trzeba było gdzieś ułożyć otyłego partyjnego babsztyła, który przespał się ze wszystkimi instruktorami komitetu obwodowego: została więc sędziwą, przebiegłą i chytrą, cenioną za talent formułowania wyroków, pełnych ptasiego szczebiotu i całkowicie bezspornych z uwagi na brak w nich jakiegokolwiek logiki; będzie go wspominać zaniedbana kobiecina o załganej, pustookiej, przepitej twarzy, z opuchniętymi nogami, z tyłkiem ledwo mieszczącym się w sędziowskim fotelu — ten właśnie słoneczny dzień na dniewprowskim przyczółku i tego chłopaka, pierwszego, jakiego wykończyła; i nadejdzie dzień, kiedy powie do siebie: „był we mnie zachowany!”, po czym coraz bardziej będzie się jej wydawać, że między nimi kiełkowało wtedy coś prawdziwego, idealnego, krystalicznie czystego, co darowane bywa człowiekowi tylko raz w życiu, że chłopak ten był i będzie jej jedyną, choć nie wyrażoną miłością...

Zojeczka wstała, wyprężyła, aż niemal zachrzęściło, całą swą zgrabną, szczupłą sylwetkę, wygiąwszy kibić przepasaną oficerskim bandoletem*.

bandolet (fr. bandolier) — pas skórzany przewieszony przez ramię, dawniej używany przez żołnierzy do noszenia ładownicy lub podtrzymywania broni bocznej.

36

— Na mnie już czas — powiedziała potrząsając wspaniałymi popielatymi kędziorami zwisającymi spod furazerki niczym spiralki. —

I u tro zobaczymy się znów, trzeba będzie ustalić szyfr. Mówił ci major?

— Mówił.

— Coś tam rozpracowałam, do jutra skończę. Połapiesz się raz-

ilwa. Nie święci garnki lepią.

Wracał zbity z tropu, niepokojąco rozdwojony. Myślał o Zojeccze / zapalczywą pewnością siebie zdrowego chłopaka — że na przekór Li/dej robocie w końcu może się między nimi zawiązać coś innego, ale Ir/. /. obawą: żeby się jutro nie zbłąźnić, nie wdepnąć w to coś nieokreślonego i przerażającego, w czym ona się już pogryzła i w co jego też mogli wciągnąć. Wyjść z tego cało — i ją z tego wydostać — oto z czym I "ustanowił przyjść na spotkanie, by powiedzieć jej o tym wprost.

Tymczasem nazajutrz wszystko diabli wzięli: „Zaprzęgać, Sirotin, ilu Moskwy!” Jednakowoż miał jeszcze jedno spotkanie z majorem Swietlookowem — był on ostatnim, którego widział i z kim rozmawiał w armii. Silnik się właśnie rozgrzewał, kiedy dostrzegł niewyraźne od- l>Uie w przedniej szybie, i odwrócił się. Major Swietlookow stał za nim w pewnym oddaleniu, przyglądając mu się dobrotliwie i leciutko sma- K«tj«U" witką po bucie.

-- No to jazda — powiedział Sirotin rozkładając ręce, jakby w ! /yms" zawinił. — Czyli że koniec z naszą służbą?

— Wiem, wiem — odpowiedział major. — Z Bogiem, jak się to mówi... A służba nasza jeszcze się nie kończy... Zaczyna się, ale nigdy ie nie kończy.

Rozpamiętując to podczas drogi — siedząc z lewa od generała, milc/.i)«?go i posępnego — Sirotin nagle pojął ze zgrozą, że widać te l1 i/.mowy w lasku, przy powalonej sośnie, miały jakiś związek z jego M|>|<>wnym wyjazdem. I być może, gdyby uprzedził generała, który I >yl tiui przecież mniej obcy niżli major Swietlookow i ta cholerna Zoje-

i A. i! — gdyby się wtedy do wszystkiego przyznał, generał przedsię-
w/ u i l by jakieś kroki, i do wyjazdu, bynajmniej dla niego nie
utłosoego, mogłoby nie dojść. Ale zarazem Sirotin wyobraził sobie

- i l/i wionę i pogardliwe uniesienie generalskich brwi oraz smagające

lWiiiv. pytanie: „I tyś się zgodził? Szpiclować mnie?” I co miał na to
i u 11 n wiedzieć? „Dla pańskiego bezpieczeństwa, generale”? A on na to:
„I'uwiedz lepiej, że dla swojego. O własną skórę ci chodziło!” I w rezul-
tacie Sirotin nie mógłby niczego wyjaśnić generałowi.

37

Patrząc przez zachlapaną błotem szybę na pędzącą drogę zrozu-
miał to, czego nie mógł zrozumieć dawniej: nie bywa tak, by ktokol-
wiek potrafił odciążyć duszę, podzielić się przygniatającym ją
ciążarem, a drugiej jej części bardziej nie obciążyć, nie zwalić na nią
większego brzemienia. I jeszcze jedno pojął Sirotin, który niejedną dro-
gę po ciemku przejechał: jeśli skrzyżowały się twoje drogi z interesami
tajnych służb, to jakkolwiek byś się zachował, cokolwiek byś mówił,
czego byś nie wyrzekł, nigdy nie będziesz z siebie zadowolony.

Adiutant zupełnie inaczej wyobrażał sobie Kwaterę Główną: wie-
dział o niej tyle, co o stacji metra im. Kirowa. Droga wiodła pod górę,
do mostka przez niewidoczny jeszcze potok, z obu stron biegły pasia-
ste czerwono-białe słupki — maciupeńkie skrawki ziemi, które wojna
oszczędziła — a za poboczami ustawili się beżowe pnie topoli, i chyba
w tejże chwili w wyobraźni majora Donskoja rozwierał się korytarz
Kwatery Głównej, którym kroczy z generałem, dosłownie tak samo jak
siedział z tyłu, może nieco bardziej na lewo. Korytarz był szeroki i

mroczny, o wysokich sklepieniach i wyłożony chodnikiem, który tłumił odgłosy generalskich butów, z lekka tylko pobrzękiwały ostrogi. Nogi adiutanta wbite w żelazną wibrującą podłogę „willisa” wyraziście odczuwały kosmatą miękkość owego trójkolorowego jak sztandar, nie wiedzieć jakiej republiki, chodnika i w myślach przemierzał go dwukrotnie. Z początku — jak generał kroczył środkiem, z pochyloną głową, by nie kłaniać się swym znajomkom, lecz jedynie brwiami zaznaczać powitanie — w ten sposób nie tracił dostojeństwa i zniewalającej urody, która, co tu mówić, cechowała jego rzucającą na kolana siłę. A potem przechadzał się sam, noga w nogę za generałem, nie odalając się, żeby nie wyglądało na to, że się od niego dystansuje. Wszak korytarz jest pełen oczu, oficerowie z wydziałów i zarządów pojawiają się w niezliczonych drzwiach, albo przelatują do raportu z przyciśniętą pod pachą teczką. Nie spojrzeć na majora Donskoja, rzecz jasna, nie mogą, a jakże mu zazdrozczą — jego pełnego znużenia, ale zarazem stanowczego kroku, jego wypłowiałej bluzy wojskowej z wyblakłymi naramiennikami, jego zmęczonych, lecz spokojnych oczu, które niejednemu widziały, o czym oni wiedzą tylko z komunikatów. Więcej powodów do zawiści bodajże nie było — żadnych orderów ani nawet baretek, tylko znaczek gwardyjski, ale to żadna nagroda osobista.

38

Wszelako tak czy owak los jego zależy teraz od nich—sztabowych kwa-

11 Tmistrzów-zawistników.

W poczekalni wyłożonej dębową boazerią i jasno-zielonym lino-

Uaim witał ich majestatyczny dyżurny — co najmniej w randze puł-

kownika; przyjmował od nich broń osobistą i dokumenty podróży, po
» zym generał usadowiał się w fotelu odwracając twarz ku oknu, adiu-
l.int zaś, który był tu już zbędny, odpowiednim gestem dawał do zro-
zumienia dyżurnemu, że wychodzi na papierosa, ten zaś potakiwał w
odpowiedzi, że wezwie go w razie potrzeby.

W tej samej chwili, kiedy za podwójnymi drzwiami owego gabi-
itotu miała zapadć decyzja co do losu generała, i zarazem adiutanta —
w przestronnej wyłożonej białymi kafelkami palarni, gdzie stały
wzdłuż ścian pozorujące stylowość wyściełane krzesła i niklowane po-
pielniczki na podstawkach — i jeszcze jedna ogólna, malachitowa, na
t i^romnym niskim stole z hebanu — gdzie zupełnie nie czuło się zapa-
dni dymu tytoniowego ani smrodu z pobliskiej ubikacji, miarowy
't/mer wyciągu wentylacyjnego nie przeszkadzał dwu czy trzem oso-
l tom rozmawiać półgłosem, i to tak, by nie mogli ich usłyszeć inni. Te-
ra/ należało przygotować słowa rzucone niby to w przyjaznym
i o/.targnieniu przez znającego swoją wartość oficera do szczególnych
l mruceń, udręczonego błędami zwierzchników, odpowiadać zaś wy-
kn,'tnie, by nie ponosić za nie odpowiedzialności i nie szkodzić włas-
m>j karierze. Samemu rozmowy nie zaczynać, o nic nie pytać, ale wejść
skromnie, wszystkim nisko się ukłonić i usiąść gdzieś z boku, albo sta-
nai'1 przy oknie — to niemożliwe, by nie zauważyli i nie wszczęli roz-
mowy z nieśmiałym frontowcem wyciągającym poźółkłymi,
zaskorupiałymi palcami papierosa z papierošnicy własnej roboty, na
której szewskim szydłem wygrawerowano coś ciekawego — skrzyżo-
w.iiiie bagnetu ze śmigłem przepasane gwardyjską wstęgą z napisem;

„Zakurzymy sobie, towarzyszu, po jednym" — a nieco poniżej: „Będziemy w Berlinie, Andriusza!" Od tej papierośnicy by zacząć i od razu Miliować ją wstydliwie — ot, bzdura, wyrób okopowej beczynności. I i zujnym uchem wychwycić to, co niewystarczająco wiedział o generale, •ilu/.jami, unikając bezpośrednich pytań, dać do zrozumienia, że gotów |rsl przyjąć braterską dłoń pomocy, a ten, kto ją wyciągnie, nie będzie żałował. O co tu właściwie chodziło? O samodzielność. Być kimś, a nie pi z,y kimś; obrzydł mu już ten gorzki chleb. Oczywiście o tym, by zo- !.l!«'• tutaj nie śmiał nawet myśleć, choć ma za sobą jakieś doświadczenie operacyjne, i gdyby mieli zamiar go awansować..., ale gdzie tam,

39

nie ma co marzyć, już prędzej pomarzyłby sobie o tym, żeby dochrapać się brygady, zresztą i pułk by go zadowolili. Cholernie trudna sprawa i mało czasu, by się nad nią zastanowić, nie mówiąc o przebudowie całego swego życia. Kiedy wezwie go dyżurny i wiadomo będzie wreszcie, co postanowili z generałem, na wszelkie gry będzie za późno, wypadnie się poddać losowi, a decyzja zapadnie bez twego udziału.

Długim nogom adiutanta było ciasno za siedzeniem kierowcy, musiał kolana trzymać przy drzwiczkach, lewemu zaś, zawiniętemu w mokry brezent, było bardzo zimno; miał wrażenie, że błocko przesiąka mu przez buty, dlatego też wraz z obrzydzeniem do samego siebie miał żal do generała — że sam grzesząc lub też popełniając błąd, nie zastanawia się nad jego, to znaczy majora Donskoja, losem, nie dostrzega, iż musi wiecznie siedzieć z boku, za generalskim siedzeniem.

To, że on, major, tu właśnie siedzi, wkurzało go niezmiennie, podczas gdy należało rozpocząć grę na własną rękę. Przypomniało mu się też przy okazji, jak generał pominął go przy nagrodach za forsowanie Donsy — i to w tak przykry sposób. Przesłał swe instrukcje przez Donskoja do dowódcy batalionu broniącego przyczółka; instrukcji tych nie można było powierzyć radiostacji ani przekazać przez telefon, wystarczyło jednak zakomunikować je pierwszemu lepszemu obrotnemu oficerowi, który się przeprawiał na tamten brzeg, Donskoj nie powierzył ich jednak nikomu, sam się przeprawił na tratwie pod ostrym obstrzałem i tak długo je wykladał dowódcy batalionu, do cna przemarzniętemu i na wpół ogłuszonemu, aż tamten nie powtórzył ich sensownie. Potem w cichej, zimnej chacie, nie bez humoru i nie chełpiąc się wcale, opowiadał generałowi, ile męczarni musiał znieść nieszczęsny dowódca batalionu stojąc przed nim na baczność w płytkim okopie, nie mrugnawszy okiem mimo bliskich wybuchów i nie wciągając głowy w ramiona. Generał, siedząc w bufiastych spodniach, z opuszczonymi szelkami, w białej podkoszulce słuchał zasępiony popijając mleko z dzbanka i poruszając palcami bosych nóg, potem nagle zapytał: „Powiedasz, że się kłania?” — chociaż Donskoj mówił akurat coś odwrotnego. — Trzeba by go przedstawić do orderu bohatera, wtedy nie ośmieli się kłaniać. Przypomnij mi jutro, żeby go wciągnąć na listę. — Wychodziło na to, że opowiadaniem o swoich działaniach Donskoj wystarał się o nagrodę dla innego i jeszcze ma obowiązek o tym przypominać; jemu zaś, głównej osobie całej opowieści, przydzielono — jak zawsze — drugie miejsce. Jednakże był to dopiero pierwszy prztyczek,

przypominać musiał nie jeden, ale z dziesięć razy — generał wciąż się opędział: „Nie mam do niego dzisiaj głowy, przypomnij mi jutro”. W końcu obrzydło to Donskojowi i sam zadzwonił do wydziału politycznego, żeby nie pominęli tego dowódcy batalionu. W odpowiedzi usłyszał, że listę już pięć dni temu wysłali do zarządu politycznego frontu i że kapitan Safonow na niej figuruje: wstawił go sam dowódca. Donskoj zdobył się tylko na wymamrotanie: „To właśnie chciałem sprawdzić” — i do najbardziej przykrych należało teraz właśnie wspomnienie o tym mamrocie.

Ze swego ciemnego kąta nieprzyjaźnie spoglądał na potężny kark Hctwrala, z czerwoną pręgą od kołnierzyka, i z przyzwyczajenia usadnwiął się na jego miejscu. Przebywając tak w jego skórze adiutant nie<(i łagodniał, bowiem dochodził do pochlebnego dla siebie wniosku, że w podobnej sytuacji zachowywałby się znacznie lepiej. Nie siedziałby w każdym razie jak nastroszona wrona, pomyślałby o tym, jak będą go wupominać towarzysze — przez całe życie. Nie bez kozery w starej iirmii oficerowie gwardii golili się przed popełnieniem samobójstwa, pili szampana przed pojedynkiem...

Była to mała tajemnica adiutanta — stawiać się w sytuacji genera-
li, i, wchodzić w jego istotę, jak statek z pogaszonymi światłami wpływa
11.1 obco wody terytorialne. Przy tym nie kopiował generała, nie naśla-
i lował jego intonacji i gestów, byłoby to zbyt prymitywne, a poza tym
« i un iczne: generał był wysoki, ale korpulentny, adiutant zaś wyróżniał
! m; „typowo angielskim” przygarbieniem i tyczkowatością; generał

ini. il twarz spasionego kota, fircykowate wąsy biegnące jak nitka nad
irtl. i wargą, oczy — istne ślepie, nie wiadomo nawet jakiego koloru,
rti l i i11.1 nt zaś dumny był ze swego regularnego jak na medalach profilu,
1'iriikich, „tryskających energią” warg i zimnych oczu „o metalicznym
hliihkii”. Pod względem „czysto zewnętrznych danych” stawiał sobie
;mur plusy, a generałowi minusy, choć uznawał jego „czarującą grację
knura / . pewną dozą okazałości”, w jego zachowaniu zaś dostrzegał
„uroczą żołnierską bezpośredniość przechodzącą niekiedy w cham-
stwu”. Usiłował dociec, czy jest rzeczą tak skomplikowaną być tym,
kum u sądzone jest rozkazywać i czemu on nie miałby należeć do tej
kategorii. Wiek nie miał z tym nic wspólnego, w jego latach, przekro-
t/yl niedawno trzydziestkę, niejedną dowodził już pułkiem, dywizją
nawet, czyli piastował stanowisko generała. W dziewięciu przypad-
krti U na dziesięć wyglądało na to, że on, Donskoj, postąpiłby lepiej niż
l, powiedziałby mądrzej, subtelniej, wyglądałby bardziej pocią-

41

gająco. Zapewne i w tej ostatniej sytuacji zakończonej opuszczeniem
armii on chyba nie dałby się wykiwać, nie pozwoliłby się tak łatwo
spławić, zetrzeć na proszek. Oczywiście generał miał jeszcze nadal swe
gwiazdy i świtę, ale tak naprawdę to kimże jest teraz? „Osiem pudów
oburzenia i obrazy”... i nic więcej.

Teraz można było bodaj zreasumować, i właśnie tym się adiutant
zajmował, w myślach zwracając się do generała na „ty”. — Prawdę
mówiąc, szkoda mi się z tobą rozstawać: ze zgrzytem, ale jakoś się do
ciebie przystosowałem. Ganiałeś mnie, że nie daj Boże, ale z innym by-

łoby pewno jeszcze gorzej..., za to sławy też więcej! Sameś gwiazd nie za wiele nałapał, a na moją pierś trafiały tylko „odważniki”, mógłbyś za tę Desnę i do złota przedstawić, bądź co bądź przyczótek, tam czas inaczej płynie: za jedną godzinę powinno się trzy doby zaliczać. Sam teraz na własnej skórze przekonasz się, jak to jest, kiedy za zasługi nie nagradzają. To naučka dla ciebie — na przyszłość oceniaj ludzi według ich wartości. Ale ja nie mam żalu. Ja swego stylu nie zmieniam. Mój styl to opanowanie i skromność. To powinno się szczególnie cenić. Nawiasem mówiąc, człowiek postronny, major Swietłookow ze „Smierszu”, ten to zauważył: „Dobrze się trzymasz, Donskoj, skromnie. Trzeba tylko, żeby od twojej skromności aż para buchała — i to Fotijowi wprost w oczy”. Subtelny człowiek z tego Swietłookowa, i daru obserwacji nie pozbawiony, choć to, prawdę mówiąc, tępak. Buchająca para — to w sam raz dla niego, a prawdziwy arystokratyzm — to już zupełnie co innego!..

Jakkolwiek marzyła się majorowi brygada, jednakże musiał się ze swoim adiutantem pogodzić, a zatem znaleźć w nim szczególny sens. Pośród wielu książek, jakie woził w walizce po frontowych drogach, znajdował się zdekompletowany egzemplarz Wojny i pokoju, i ta okoliczność, że adiutant dowódcy był nieomal głównym bohaterem epopei i że kochała się w nim nieomal główna bohaterka, stanowczo przepełniał go dumą. Z minionego stulecia książkę Andrzej Nikołajewicz Bołkoński wyciągał swą małą dłoń do Andrzeja Nikołajewicza Donskoja i z uznaniem poklepywał go po ramieniu. To że książkę Andrzej był „niewielkiego wzrostu”* i słabego zdrowia, Donskoj poczyty-

wał mu za minus, a sobie za plus; co do „zmęczonego i znudzonego

* Wszystkie cytaty pochodzą z I tomu Wojny i pokoju Lwa Tołstoja, w przekładzie Andrzeja Stawara, PIW 1966.

42

Npojrzienia" i „powolnego, miarowego kroku" — ich osiągnięcia w przybliżeniu równały się sobie, ale tą swoją diabelską umiejętnością „przechodzić mimo woli na francuski" pozostawiał go daleko w tyle, chociaż Donskoj znajdował usprawiedliwienie w tym, że wojuje nie z Francuzami, lecz z Niemcami. Co prawda na niemiecki „przechodzić mimo woli" też mu się nie udawało, ale coś jednak od księcia przy sposobności można było przejąć: jego sposób rozmawiania z kobietami „łagodnie i zarazem wyniośle", a z mężczyznami „z władcym spokojem w głosie" i „wzgardliwie mrużąc oczy z tym szczególnym wyrazem uprzejmego znużenia, który wyraźnie mówi: Gdyby nie obowiązki, ani chwili nie rozmawiałbym z panem". Nie można powiedzieć, by ze stylem wychodziło gładko, jednak książę Andrzej umiał nieco urozmaicać: z jednymi „krzywić twarz w grymasie wyrażającym gniew", drugiego „poufale pociągać za rękaw ku krzesłu, dając tym do zrozumienia, aby nie wstawał". Donskojowi wychodziło to ni w pięć, ni w dziewięć, albo odstępował od stylu przez zapomnienie lub / . pośpiechu, i cały efekt nie tyle brał w łeb, ile wszystko miało odwrotny skutek. Na przykład próbował przejąć od księcia Andrzeja jego często wzmiankowany „nieprzyjemny śmiech", tak przydatny w wiru okolicznościach! Lecz jakkolwiek śmiech ten kultywował, wyhodowało się na opak, a nawet jeszcze nieprzyjemniej: albo roz-

mówcy roztkliwiali się i rozplýwali w odpowiedzi w uśmiechach, albo brzmiało tak fałszywie, że spoglądali na niego z niepokojem — czy aby nie postradał zmysłów. I w ogóle okazywało się, ku smętnemu raczej /dziwieniu Donskoja, że wojna ta i ludzie na wojnie byli zupełnie nie l.icy, jak w roku 1812.

No, choćby major Swietłokow, który od pewnego czasu pochłaniał jego myśli nawet bardziej niżli adiutant Kutuzowa. Oto kto stanowił zagadkę dla Donskoja — choćby z racji swego dziwnego oddziaływania na generała, jak i zresztą całej niepojętej błyskawicznej kariery. Donskoj znał go jeszcze jako starszego lejtnanta, dowódcę baterii ciężkich haubic — stanowiska spowitego jakby tragiczną aureolą, niemal w całej artylerii lufowej bijącej z zakrytych pozycji; tutaj oficerowie ginęli częściej od żołnierzy, ponieważ swoje punkty obserwacyjne mieli wysunięte najbliżej nieprzyjaciela, w szczególności zaś bohaterskich, efektownych wypadkach sprowadzali ogień na siebie. Swietłokowowi nic takiego się nie przydarzyło, ale był to oficer znający się na rzeczy, zwłaszcza jako korygujący obserwator artyleryjski, /ntiny z szybkich obliczeń i pomysłowości. Pewnego razu, utknąwszy

43

na pierwszej linii, Donskoj zanocował u niego w maciupkim schronie mieszczącym jednoosobową pryczę i stolik; Swietłokow był niesłychanie prosty, miły, gościnny, wyłożył wszystkie swe zapasy i pół manierki „surowcówki”, deklamował z sympatycznym zażenowaniem wiersze własnej produkcji, mówił serdecznie i romantycznie — o tym, że nigdy jeszcze nie żył taką pełnią życia jak w tej psiej budzie, o sto

kroków od niemieckich pozycji, że ze swoimi bateriami, oprócz łączności telefonicznej, jednoczy go więź braterska i jakby nadzmysłowa. W takich okolicznościach paliwa zabrakło i Swietłokow pobiegł do starszego sierżanta z kompanii piechoty i wrócił z połową manierki „surowcówki” ku niejakiemu zdziwieniu Donskoja: na pierwszej linii, i to w środku nocy — nie każdemu coś takiego odpała; Swietłokow był tu, widać, swoim chłopem, lubianym. W jego zachowaniu nie czuło się ani fanaberii okopowego bywalca, ani podlizywania się wyższym szarżą. Donskoj był dla niego nie adiutantem dowódcy, a mile widzianym, cierpliwym słuchaczem, w dodatku znającym się na literaturze. Spać położyli się nad ranem, przy czym gospodarz odstąpił mu niemal gwałtem swoją pryczę, sam zaś położył się na podłodze z głową pod stolikiem mówiąc, że tak jest nawet lepiej: głowa będzie się czuła bezpiecznie.

Tej wiosny, kiedy zaczęły powstawać w armii wydziały „Smier-szu”, brano tam, oprócz dawnych ludzi ze „służb specjalnych” także niektórych nagrodzonych oficerów. Chętnych nie znalazło się wielu, większość się wykręciła; nie wykręcił się, niespodziewanie dla wszystkich, starszy lejtnant Swietłokow. Z kumplami z baterii, podobnie jak z pełnią życia w psiej budzie, rozstał się bez żalu i bólu, tłumacząc jednym, że „trzeba przecież odpocząć od huku”, innym — że „trzeba przecież awansować, a tam, tylko patrzeć, i w kilka miesięcy już jesteś kapitanem”, z jeszcze innymi ucinał rozmowę krótko: „ojczyzna nakazuje”. I rzeczywiście po dwóch-trzech miesiącach awansował, przeskakując kapitana: nowi zwierzchnicy mianowali go starszym

lejtantem aparatu bezpieczeństwa, a to już był odpowiednik majora w armii. Zresztą jego prawdziwa ranga była jakoś mgliście nieokreślona: z nie nazbyt zrozumiałych konspiracyjnych pobudek, a raczej prób upodobnienia się do bohaterów powieści detektywistycznych, pojawiał się raz w mundurze kapitana saperów, to znów jako lejtnant lotnictwa, najczęściej zaś jako major artylerii.

Niby pozostał takim samym prostym wesołkiem, jednakowoż dały się już zauważyć pewne zmiany. Jakoś trudno było teraz sobie wyobrazić, że to on biegał po wódkę i spać kładł się na podłodze, a prycę ustępował gościowi. Mimo iż wcale nie utył, jął teraz zajmować więcej miejsca w przestrzeni — czy to nogi rozstawiał szerzej, czy też łokciami się rozpychał, dość, że trudno go było obecnie wyminąć w drzwiach i kiedyś przecież z łatwością obok niego przechodzono. Ponadto | «'KO nieodłączna witka, którą ze świstem wycinał zmyślne trajektorie, ldkze domagała się przestrzeni. Z wierszami też mu się powiodło: już be/, sympatycznego zażenowania zapełniał nimi wojskową gazetkę „On/izeście Ojczyzny", a jak się nazbierała tego większa ilość, posyłał Krenburgowi do zaopiniowania i otrzymywał odpowiednią „aproba-le" wraz z radami, by się więcej uczył u klasyków — Puszkina, Niekra-Miwa. Po jakimś czasie w gazecie pojawiła się nawet specjalna rubryka: Vtwtycka stroniczka Mikołaja Swietłookowa, on zaś mówił z uśmiechem niby żartując:

— Będzie musiał chyba Swietłow* inny pseudonim sobie wymy-Sli't\ bo zaczną jeszcze nas mylić.

Przed świętami i w szczególnie uroczystych chwilach gazetkę z

wierszami przynoszono generałowi do podpisu. Wtedy też pojawiał
Me bez wezwania autor rubryki poetyckiej i niecierpliwie czekał, aż ge-
neralski czerwono-niebieski ołówek dojdzie do jego Kozackiej lirycznej i
I mii kreśli najbardziej wymowne wersy:

Nn bój bezlitosny idziemy, ukochana,

/l/n/ w dniu zwycięstwa spotkać się.

/ . tg radosne myślą siodłam konia,

Moja miła, droga, nie zapomnij mnie,

— Co do rymów — mówił generał — nie zgłaszam pretensji. Ale
czegoś tu nie rozumiem, towarzyszu Swietłokow, wy do tego... jak
Inni... bezlitosnego boju, to w końcu jak — na pieczęć czy konno się
wybieracie? Jak to jest: oni już idą, a wy dopiero siodłacie...

Major Swietłokow wdzięcznie się zarumienił, całe jego spadziste
cx«*lo aż płonęło i promieniało po czubki płowych włosów.

- Nieudany epitet, towarzyszu dowódco? Można zamienić.

Swietłow Michaił A. (1903-64), przedstawiciel poezji komsomolskiej, a także autor
wierszy o tematyce wojennej.

45

Dla niego w wierszach każde słowo było „epitetem”, a generał,
widać, nie wiedział, co to znaczy. Wzdychał i podpisywał numer.

A jednak coś dziwnego zrodziło się między tymi dwoma. Bez-
sprzecznie generał, gospodarz armii, mógłby ze Swietłokowem roz-
mawiać innym tonem, nie tylko wtrącając owe niewinne, drwiące
docinki, jednakże w jakiś niedostrzegalny sposób ustępował pola wczorajszemu lejtnantowi, a ten równie niedostrzegalnie, wciąż rozpychając

się łokciami, zdobywał nowe przestrzenie. Nikt nie znał dokładnie granic jego władzy; zajmował stanowisko „pomocnika kontrwywiadu przy dowództwie armii”, ale nie wiadomo, co to oznaczało — czy że śledzi ludzi ze sztabu?, czy może coś ważniejszego — kontroluje pracę sztabu? Przenosił się wraz ze sztabem, egzekwując dla siebie i swoich sejfów osobne pomieszczenia z niezawodnymi zamkami. Zaczął się pojawiać również na rozszerzonej Radzie Wojennej, dokąd wzywano ludzi z różnych wydziałów sztabu — przychodził nie wzywany, zadawał zazwyczaj dwa-trzy pytania: najpierw o swoją jednostkę artyleryjską, nieco później — widać nieźle poinformowany o sprawach operacyjnych — także o to, jak uzgodniono współdziałanie ze wsparciem lotniczym i czy nie nazbyt przy takim posuwaniu się odsłonięte zostaną flanki? Obecny przy tym dowódca „Smierszu”, pułkownik, nie hamował jego ciekawości: być może skrupulatność podwładnego napawała go dumą, ale niewykluczone, iż podwładny zyskał nad swym zwierzchnikiem jakąś tajemną władzę. Swietłokowowi cierpliwie odpowiadano nie patrząc w jego stronę, że z lotnictwem uzgodniono tak i tak, a o flankach również pomyślano; nigdy nie odpowiadał sam dowódca, lecz niezmiennie zamykał posiedzenie żartem: „Towarzysz Swietłokow nie ma pytań? No to wszystko jest dla wszystkich jasne”. Wszelako — choć przypuszczenie to może się wydać śmieszne — czy nie przed nim uciekł generał do rozwalonej stacyjki w Spaso-Pieskowcach, by wzywać do siebie potrzebnych mu ludzi tam, gdzie major Swietłokow nie miałby pretekstu do częstego pojawiania się? Z takim uczuciem, jakby dotknął ledwie zagojonej rany, Donskoj

wspominał jak dawno temu, wczesnym latem, podczas boju pod Obojanią po raz pierwszy spotkał się z Swietłokowem, innym, nie tym, z którym pił wódkę i rozmawiał o wierszach. Powstała właśnie zwykła sytuacja, kiedy nie jest jasne, kto kogo okrąża. „Pojedź i wyjaśnij — rozkazał generał — kto tam kogo i w jakim miejscu złapał”; okazało się, że „złapali” nasi, ale Niemcy tego nie zrozumieli i usiłowali zejść na tyły naszego wklinowanego pułku, toteż zagłębili się w sposób jeszcze bar-

46
dziej beznadziejny w kleszcze oskrzydlenia. Łączność przywrócono już pr/.cd przybyciem Donskoja i generałowi o wszystkim zdążono zameldować, Donskoja zaś ktoś namówił, by popatrzył na jeńców... Adiutant dowódcy nie musiał wcale iść do tej strasznej, zakazanej /ony, oglądać nieuprzątniętego pola z nie wyschłymi jeszcze kałużami, po którym wałęsały się starszawe chłopiska z oddziału zdobyczo-pogrzebowego, potrącając z lekka buciarami leżących. A jednak poszedł tam, czy to poddając się ogólnemu podnieceniu z odniesionego zwycięstwa, czy też spodziewając się zobaczyć jakieś ważne szczytymogące zainteresować generała; ale nie było nawet feldfebla, sami tylko żołnierze. Stali w ciasnej gromadce — ze siedmiu czy ośmiu — w otoczeniu rozgorączkowanych, lecz nie wiedzieć czemu umilkłych zwycięzców, nie ciskających nawet dawno wyuczonego Hitler kaput; nii* wymieniając między sobą ani słowa posępnie patrzyli pod nogi, z r/.rtdka rzucając spode łba złowrogo-zaszczute spojrzenia. Dwóch z nich męczyły rany od kul, jednakże nie jęczeli, jedynie zamknąwszy oczy wciągali powietrze przez zaciśnięte zęby. Nikt nie spieszył im z

pomocą, nie zamierzał nigdzie odwozić. Na widok Donskoja jeńcy z lekka się ożywili, ich spojrzenie skupiło się na nim, na jego naramiennikach. Zawczasu ułożył zdanie po niemiecku, ale nagle, nie wiedząc i /emu, pojął, że nie będzie ono potrzebne: ci Niemcy nie rozumieją. Inne mieli twarze, inne oczy, choć na sposób niemiecki podwinęto rękawy i rozpięte na piersi mundury. Ten, kto namówił go do pi /yjścia, zakpił sobie z niego w sposób niewinny, ale złośliwy, poddał nii-przewidzianej próbie. Czuł przykre, z każdą sekundą coraz bardziej /iej obezwładniające zakłopotanie, nie wiedział, co rozkazać, o co /upytac tych jeńców, którzy oczekiwali od niego pytania ze strachem i ilimii, ale też jakąś nadzieją. Odruchowy gest wojskowego — obcisnąć pod rzemieniem kurtkę — przedłużył bezwiednie o kolejny m-sł, którego nie spodziewał się po sobie: odsunął pistolet jak najdalej do tyłu i dostrzegł, jak twarze ich zastygły w początkowej fazie tego H«*Mu i doznały ulgi — w końcowej. Wzmogło to jeszcze bardziej jego zakłopotanie, nie miał pojęcia, co robić.

Wtedy to przyszedł mu w sukurs nie wiedząc skąd przybyły Swietłokow, zbliżając się bez pośpiechu, z uśmiechem, poklepując wilk.) po bucie.

- Czemuż to broń porzuciliście, rodacy? — zapytał z pokrzepiają ,\, <i zarazem pełną wyrzutu prostotą. — Z bronią trzeba się było poiM.iwać, to by wam zaliczono na korzyść. A tak to nie wiadomo,

47

ssfe Vtfi><i

może ktoś ją wam z rąk wytrącić. A w takim razie nie można uznać, że

poddaliście się dobrowolnie...

Lekkkie poruszenie, niewyraźne pomruki rozeszły się wśród jeńców i swoich. Swietłokow był wtedy w randze kapitana, ale widać większe wrażenie robiła jego bluza z żółto-zielonej amerykańskiej gabardyny, jakoś uznano go za starszego, wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niemu, ku jego wesołemu uśmiechowi.

— A może nie mieliście jej w ręku, broni, znaczy się? W służbie taborowej woźnicami byliście? A może tłumaczami?

Nikt się na kłamstwo nie zdobył albo nie zdążył uświadomić sobie, czy bardziej zbawienny jest taki wariant czy nie; sam Swietłokow zresztą odrzucił go. — Głupie pytania zadaję. Takich chłopaków trzymać w taborze, kiedy tylu swoich mogliby powystrzelać?.. Nie-e, tak się nie robi! No więc, jak, ziomkowie, będziemy milczeć? Takie radosne spotkanie — i milczymy. Wielki czas, żeby porozmawiać. Jest tu kto ze Smoleńszczyzny?

Dwóch jeńców wypchniętych obłudą nadziei ruszyło ku niemu.

— Patrzaj, rozumieją — Swietłokow mrugnął znacząco do Donskoją niczym do swego współnika. — A wśród was, są bohaterowie? Czyżby nie było nikogo ze Smoleńszczyzny? — Uważnie, badawczo przyjrzał się twarzom swoich żołnierzy: zapaćkani, zabłoceni, pokryci sadzą i spoceni, jaskrawię błyskali białkami oczu, z których nie ustąpił jeszcze do reszty gniew i podniecenie wyniesione z pola walki.

Znaleźli się i tacy, i Swietłokow poklepał ich po ramionach dla otuchy. Znaleźli się, i z tej, i z drugiej strony, także Kałużanie. I Woroneżanie. Coraz więcej ludzi dawało się wciągać do tej porywającej i

złowieszczej gry. I Donskoj nie wiedział, jak położyć temu kres, choć domyślał się już, ku czemu prowadzi.

— No cóż, porozmawiajcie jak ziomkowie z ziomkami — powiedział Świetłookow i witką wskazał kierunek gdzieś obok Donskoj a — o, tam, w krzaczkach...

Donskoj czując na policzkach płonące spojrzenia jeńców, odwrócił się twarzą do Świetłookowa. I, rozumiejąc, jak jest w tej chwili bezsilny, jak głupio i żałośnie wygląda, bezdennie sobą gardząc, a jednak stąpając, stąpając zdrętwiałymi nogami, odwrócił się ku niemu całym ciałem, tak że jeńców miał za plecami.

— Dokąd ci tak spieszno? — zapytał ochryple. W ustach miał jakąś nieprzewyciężoną suchość i nieokreślony miedziany smak. — Trzeba ich przesłuchać... wyznaczyć konwój...

48

— Już przecież wyznaczyłem. — zdziwił się Świetłookow. —

Czyżbyś nie słyszał?

— Nie to miałem na myśli...

— Ty tylko miałeś na myśli, a ja już wydałem dyspozycje. A dokąd mi spieszno? Spieszno mi, póki chłopcy są jeszcze rozgrzani, póki nie ostygli po boju.

Donskoj miał jeszcze bądź co bądź trochę czasu, kilka krótkich sekund, i gdyby to byli Niemcy, wiedziałby i jaki wydać rozkaz, i jak lego Świetłookowa osadzić; teraz jednak nie miał pojęcia, jak postąpić, i tracił cenne sekundy. Ktoś tam za jego plecami rzucił się do ucieczki, i o/legł się tupot butów i ochryple odgłosy pogoni, walki, ciosów i

trask krzaków, bezładne błaganie, zamierający jęk, krótka cisza — i
i iistępnie dźwięczny, śmiercionośny łoskot karabinów. Wydawało mu
•.iv, że huk tych wystrzałów odbija się na jego twarzy — do tego sto-
pnia bacznie, z zaciekawieniem przyglądał mu się Swietłokow.

— Tam jest dwóch rannych — powiedział Donskoj ze
spóźnionym słabym wyrzutem w głosie.

Swietłokow, nie przestając patrzeć mu w oczy, przytaknął.

— Wyleczą ich. Już wyleczyli.

Wciąż nie odwracając się, by nie widzieć, Donskoj wyprężył się
tylko jak długi i okazało się, że przewyższa Swietłokowa o pół głowy,
ulabym drgnięciem ramion wyraził całą pogardę, jaką czuł do siebie. I
. wolna powlókł się stąd. Cały dzień dręczył go dławiący ciężar na du-
n/,y, ręce w podnieceniu podrygiwały, nie chciało mu się ani jeść, ani
palić. I nie miał odwagi poskarżyć się generałowi na Swietłokowa,
który zbrodniczo przekroczył swe kompetencje, w dodatku demon-
stracyjnie, w obecności adiutanta dowódcy. Za podobną skargę Don-
skoj już sam kiedyś oberwał. „Czego się u mnie skarżysz? — nagle
kr/.yknął rozwścieczony generał — co ci się tam majta przy pasie, pi-
stolet czy zapasowy kutas? Uzbrojony mężczyzna i się skarży! Żeby
It^o więcej nie słyszał!"

Pod wieczór odzyskał jednak umiejętność suchego, rzeczowego
i aportowania jakby mimochodem, nie ujawniając swego do referowa-
nr | sprawy stosunku. To, jak przyjął jego raport generał, niewymownie
*il/iwiło Donskoja. Słuchał zasępiony, nie przerywając, jedynie kilka
Irt/y podczas relacji spojrział na Donskoja niemal błagalnie, jakby pro-

d/tii1, by jej nie przedłużyć. Następnie wstał i jął się przechadzać po pokoju, dziwnie zgarbiony, z założonymi do tyłu rękoma, jak muszą t hod/ić aresztanci pod konwojem.

49

— Widzisz w czym rzecz, Donskoj — powiedział po chwili milczenia. — Oni, jak by to powiedzieć... nie są jeńcami. Oczywiście to nie dobrze dla żołnierzy — w sensie wychowawczym. Ale dla nich to bodajże lepiej. Po co im jeszcze dziesięć dni czekać na rozprawę sądową, a potem ta cała ceremonia... Moim zdaniem — tak lepiej, od razu... Donskoj, nabrawszy pewności, ośmielił się zaoponować, mówiąc rozwlekle, pięknie i z patosem pełnym szlachetnego oburzenia — o tym, że te rozprawy bez sądu, o których dotąd tylko słyszał z cudzych opowieści, a oto dzisiaj okazał się świadkiem, rozprawy te są nie tylko szkodliwe w sensie wychowawczym, ale przede wszystkim mijają się z celem, wywołują nawet skutek odwrotny. Zdrajców, szpiegów należy sądzić jawnie, na procesach pokazowych, żeby wszyscy widzieli, na czym ich wina wobec ojczyzny polega i jak nisko upadli. Ale wciąganie w to żołnierzy-frontowców, żeby uczestniczyli w egzekucjach — bynajmniej nie wzmacnia, lecz niszczy psychikę. Ułożą się w ich żołnierskiej pamięci i walka wręcz, i rozprute brzuchy i roztrzaskane czaszki, wybaczą sobie i tego rannego dobitego saperką albo hełmem — bo było to w boju, nie ty jego, to on ciebie — ale nigdy nie uda się zapomnieć, nie wybaczy się sobie bezsilnej ofiary schwytej za łokieć, byś mógł spokojnie odciągnąć zamek, a przedtem rozkwasić mu wargi do krwi, albo swobodnie zamachnąć się zdjętym rzemieniem i sprzączką rozplatać

mu na krzyż twarz. Rozbestwiony sadysta może tego wszystkiego nie przewidzieć albo ma gdzieś konsekwencje, ale ci, których obdarzono władzą...

— Nie obdarzono — głucho odezwał się generał. I Donskoj odniósł nawet wrażenie, że się przestyszał. Generał nie chodził już po pokoju, lecz patrzył cały czas przez okno. — I ty, ot co, bracie, nie musisz mi o tym wszystkim raportować...

Donskoj umilkł i przerwał składanie raportu. Od tego dnia wyraźnie brzmiały mu w uszach słowa zwrócone do generała: „I tyś taki sam” — coś niezupełnie określonego, w czym było i zrozumienie, i współczucie, i lekka ironia, i usprawiedliwienie samego siebie. Niestety, istnieje taki rodzaj strachu, któremu ulegają wszyscy bez wyjątku, w tym nawet uzbrojeni mężczyźni.

A strach tego rodzaju, który nawiedził jego samego, bynajmniej nie tchórza, wciąż nie ułatwiał się. W stołówce Rady Wojennej nie mógł zmusić się, by usiąść koło Swietłookowa, jedynie ukradkiem, z przykrym uczuciem spoglądał z daleka na jego ręce, jakby to one trzymały

50

wtedy broń, kiedy wypowiadał z promiennym uśmiechem słowa: „Są wśród was ze Smoleńszczyzny?”

Lecz oto, po kilku dniach, Swietłookow niespodziewanie znalazł się,* naprzeciwko niego przy stole i powiedział półgłosem patrząc mu prosto w oczy:

— Miałbym chęć, majorze, z tobą poplotkować.

— Tutaj? — nie wiedzieć czemu zapytał Donskoj, omal się nie za-

kszusiwszy.

— Można i tutaj. Były czasy, kiedyśmy wiersze deklamowali i wó-
t It,1 do rana żłopali. Ale lepiej gdzie indziej.

Wydało się dziwne, że na „ploty” wyznaczył spotkanie w lasku,
niedaleko sztabu, choć mógłby, zdawałoby się, zaprosić do siebie, sko-
i o tak drogie były mu wspomnienia. I jeszcze nieprzyjemne wrażenie
wywarła ta jego pewność, że Donskoj przyjdzie, dokąd mu się każe.

Na dobitkę wytknął jeszcze Donskojowi, kiedy ten z rozmyślnym
spóźnieniem zjawił się u powalanej sosny:

— Spóźniasz się, adiutancie. Nie godzi się tak. Od baby nie mo-
y,\rs się oderwać, czy co?

W takich przypadkach wzór księcia Andrzeja wskazywał na spo-
sób pozbycia się owego natrętnego „ty” i zmiany narzuconego tonu —
w tym celu należało przybrać wyraz twarzy, który Donskoj znał na
pamięć: „Pan chcesz mnie obrazić; gotów bym się z panem zgodzić, że
to bardzo łatwo zrobić, jeśli sam nie będziesz miał dość szacunku dla
Niebie; lecz musisz przyznać, że i czas, i miejsce zostały nader źle wy-
iu.ine”.

— Za pozwoleniem — powiedział Donskoj przybierając taki
władnie wyraz twarzy wzmoczony jeszcze zimnym tonem — jak panu
lin imię i jak brzmi imię pana ojca? Nie miałem dotąd zaszczytu...

— Mikołaj Wasiljewicz. Jak Gogol. — odparł Swietłokow, nie oce-
niwszy należyście owego wytwornego chłodu. — Siadaj, pogadamy.

Donskoj stał jednakże nadal, to znów przechadzając się, to przy-
M.ijiic naprzeciwko Swietłokowa, nie zdejmując czapki, jak to uczynił

i ii m ten i nie rozpinając kołnierzyka.

— Ty choć trochę kapujesz, Donskoj, co się dzieje?

— Co macie na myśli? — Donskoj wciąż jeszcze nie poprzestawał nit wysiłkach, by powrócić do formy „wy”. — I gdzież to „się dzieje”, [nk zechcieliście się łaskawie wyrazić?

51

— Czego się wygłupiasz? — wesoło zapytał Swietłokow. — Daj spokój z tymi andronami: „nie miałem zaszczytu”, „za pozwoleniem”.

Wyjął z kieszeni scyzoryk i rozejrzał się dokoła. — Przygnij mi gałązkę.

— Jaką gałązkę?

— Jaka ci się spodoba.

Wzruszywszy ramionami Donskoj przygiął mu wierzchołek młodego wiąz. Swietłokow zręcznie odciął go i jął strugać witkę, usuwając boczne pędy.

— Nie mogę zrozumieć, jaki będzie jego następny krok, Fotija, znaczy się. No, udało mu się z przyczółkiem, wszyscy to przyznają, ale co dalej? Ma on w głowie jakiś plan czy też próżnię Torricellego?

— Ja bym was prosił!.. — powiedział Donskoj wyprężając się. —

Ja bym was prosił o dowódcy...

— Daj spokój — przerwał mu Swietłokow. — Nkt cię tu nie usłysz. Czy zamierza on wziąć ten Myriatin, czy też od razu porywa się na Predsławl?

— Wszystko możliwe. Nasz dowódca to człowiek z rozmachem.

— Bzdura — odciął Swietłokow. — Któż nie marzy o Predsławlu, nie skamle u Watutina*, żeby pozwolili wziąć? Czy ktoś ma roz-

mach, czy nie — wszyscy chcą i wszyscy mogą. A można się tylko udławić: chapniesz coś gorącego — a nie przełkniesz. Toż to sił Fotijowi i na Myriatin nie starcza, czy obiektywnie tak nie jest? Weź pod uwagę, że trzy tygodnie armia drepcze wokół tego parszywego miasteczka.

— Proszę wybaczyć. Nie przypuszczałem, że i sprawy operacyjne was tak żywo interesują.

— Mnie wszystko interesuje. Dlatego cię tu wezwałem.

— Ależ wam, o ile wiem, ze względu na rodzaj waszej działalności dostępne są dokumenty operacyjne, nawet tajne.

— To wtedy, kiedy są, dokumenty, znaczy się. A kiedy ich nie ma, jeszcze nie sporządzono? Co wtedy?

— Co może wiedzieć adiutant? Zapytalibyście szefa sztabu.

— Pytałem. Szefa sztabu on ignoruje, Fotij, znaczy się. Albo są w zмовie. Od szefa sztabu za cholerę niczego się nie dowiesz. Może być i tak, że Fotij jego zawczasu nie wtajemnicza. A kogo wtajemnicza?

Generał armii Nikołaj F. Watutin (1901-1944), od X 1943 dowódca 1 Frontu Ukraińskiego.

52

Pamiętasz chyba, jakie wtedy, w przeddzień wyprawy, psikusy z czołgami wyczyniał. Jaki popłoch wzbudził w sztabie frontu — gdzie się podziela kolumna czołgów, sześćdziesiąt cztery maszyny! On jeden wiedział, ale rozporządzić się nie mógł. A to heca! Własne czołgi, można powiedzieć, ukradł samemu sobie, byle inni ich nie dostali. — Spojrzał z ukosa, zmierzył Donskoja z dołu do góry i szybko zapytał: A ty wtedy — wiedziałeś o tych czołgach, dokąd je pognął?

— No, przypuśćmy...

— A jednak wiedziałeś?

— Proszę wybaczyć — powiedział Donskoj nie odpowiadając na pytanie — a cóż to, u nas, w 38. Armii, zniesiono tajemnicę o przygotowaniach do natarcia?

— Tajemnice tajemnicami, ale gdyby się coś stało? W jednym „willisie” jeździe, wszystkich mogło pozabijać — kto by wtedy za czołgi odpowiadał?

— O ile jestem zorientowany, sprawa była zawczasu uzgodniona / . dowództwem frontu.

— A o ile ja jestem zorientowany, Watutin wobec przedstawiciela Kwatery Głównej wyglądał jak idiota. Na pytanie, gdzie są czołgi W. Armii odpowiedzieć nie potrafił. Tak samo i Chruszczow* — ani be, |tui me.

— Cóż, dowódca może mieć swoje dziwactwa.

— Czyli że bzika, jednym słowem.

— No, jeśli wam bardziej pasuje taki termin...

— Bzik — to dobrze — przerwał Swietłokow. Mówił: „dob-rze-e”.

Bzik może tylko ukraścić stopień generała. — Donskoj pomyślał, że ten aforyzm mógłby chyba włączyć do swej kolekcji celnych powiedzeń. — Tylko co on jeszcze ma poza bzikami?

— Wiecie, nie mogę podtrzymywać w takim tonie...

— Daj spokój! — powiedział Swietłokow, smagnawszy witką po głowie, wskutek czego Donskoj z lekka drgnął i wyprężył się. — Jeszcze ci mówię, daj spokój. Nie jesteś żadna papuga, ani tępy pień. I do-

••konale wiesz, że dowódcy armii waszym rozumem się żywią — szta-
lkiwców, oficerów operacyjnych, adiutantów. Tak, i adiutantów.

Nikita S.Chruszczow (1894-1971) - w 1943 pierwszy członek Rady Wojennej 1
Frontu Ukraińskiego; w l. 1953-64 przywódca partii i państwa sowieckiego..

53

Wystarczy podpowiedzieć mu tylko coś sensownego. I do tego wmó-
wić, że sam to wymyślił, inaczej od was nie przyjmie.

Major Donskoj wprawdzie nie przypominał sobie wypadku, by
cokolwiek podpowiedział generałowi, ale pochlebiało mu to, co usły-
szał. Jednakże jeśli nie zdrowy rozsądek, to dobry styl domagał się sprze-
ciwu.

— I nie zrobicie wyjątku dla generała Kobrisowa?

Swietłookow popatrzył na niego z prostodusznym zdziwieniem
w niebieskich oczach.

— A dlaczegoż to dla niego wyjątek? Są i sławniejsi dowódcy w
armii. Siadajże — poklepał dłonią po pniu, na którym siedział, i Don-
skoj, ku swemu zdziwieniu, podporządkował się. — Skąd u ciebie ta
skłonność do uwielbiania? W twoim wieku, przy twoich możliwo-
ściach inni już brygadami dowodzą. A nawet dywizjami.

— Rozumu, widać, nie starczyło.

— Rozumu tu niewiele potrzeba. Ciamajda z ciebie i tyle. I do
tych, którzy mogliby ci pomóc, sam ręki nie wyciągniesz. Dobrze się
trzymasz majorze, skromnie. Ale trzeba, żeby od twojej skromności
para buchała. I to wprost Fotijowi w oczy. Wtedy cię doceni. A może i
nie.... A ja — bezwarunkowo ciebie doceniłem.

Serce Donskoja wyraźnie drgnęło. Przyjemnie było wiedzieć, że przyglądano mu się bacznie i to zupełnie bez natarczywości, tak, że tego wcale nie zauważał, i jednakowoż nie zauważając, w sposób zupełnie naturalny, wywarł korzystne wrażenie. Mięknął powoli i nabierał uznania dla tej siły, którą reprezentował nowy Swietłookow, do jej nieoczekiwanej przenikliwości, a zarazem odczuwał jakąś pełną szacunku nieśmiałość wobec niego, którą zresztą każdy snob odczuwa wobec ludzi tajnych służb.

— Powiedzieliście „wyciągnąć rękę”. Co to znaczy? My i tak, można rzec, służymy wspólnej sprawie...

Swietłookow znowu smagnął po bucie — jakby zirytowany.

— Cały czas strugasz nierozgarniętego. Toż niegłupi z ciebie chłop.

— Wolałbym jednak, żeby wszystko było wyraźnie powiedziane...

— Powiem. — Swietłookow zamknął oczy, jakby w zadumie, i szeroko je otwartwszy wesoło rozejrzał się dokoła. — Przyjemna tu przyroda, nie? Trzeba się nią cieszyć — może to ostatnia w życiu. A mylicho wie, czym się zajmujemy, intrygami... A ty naprawdę nie wiesz, co on tam postanowił z tym Myriatinem? Brać go czy obejść?

54

— Nie wiem.

— Ani słowa przy tobie nie mówił?

— Nie mówił.

— Wierzę. I w ogóle wiedz — my tobie ufamy. No więc, jeśli powie coś o Myriatinie—ja muszę o tym wiedzieć od razu. Dosłownie w

ciągu godziny.

Donskoj wyprężył się i przybrał surowy wyraz twarzy. Wydało mu się, że ustępuje zbyt wcześnie — a raz oddana pozycja jest niemal nie do odzyskania.

— Wy rozumiecie, co mi proponujecie?

— Ja to rozumiem — powiedział Swietłokow — ty zrozum. My Kobrisowa tolerujemy, bądź co bądź zasługi jakieś ma. Może ja coś o nim niepotrzebnie tego, trzeba być obiektywnym. Był i zastępcą dowódcy frontu, i armię przecież formował, tego mu nie można odmówić. Ale obawiamy się, że narobi bigosu. Trzeba śledzić każdy jego krok. Rozumiesz? Zapobiegać niepożądanym decyzjom. Watutin nie/.iwsze wie, co zamyśla Fotij, dokąd go jutro poniesie. Jest z tego znany. Tu jest taka jedna delikatna sprawa..., nie wiem, wiadomo ci czy nie. On z tych... no, represjonowanych.

Donskoj z surowym wyrazem twarzy przytaknął z godnością.

! — Wiem — powiedział. Chociaż usłyszał o tym dopiero teraz, lednakże nie kłamał, wyraźnie w nim zabrzmiało: „Ach, to tak”, jakby potwierdziły się jego domysły, i wszystko wreszcie stanęło na swoim miejscu. — Ale jemu przecież jakby wybaczone?

— Co mu tam wybaczać? Trafił za nic. Ja przecież nie w rym sen-
i!lc, że mu nie ufają. Kto by go wówczas wziął do armii? Ale on uważa nit,¹ za skrzywdzonego, odwetu mu się zachciewa, odwetu! Nieszczę-
śni* z tymi represjonowanymi. Powiedzieli mu już: „Zasła pomyłka, możesz iść do domu” — nie, sto razy okręci się wokół siebie, żeby ws/.yscy wiedzieli, kto on zacz i co potrafi. Dlatego na Predsławl celuje:

Myriatin go nie urządza: to tylko szóstka, a tam — as atutowy, minimum dwie gwiazdy — i na naramienniki, i na piersi. A jeśli się tak i lobrze zastanowić — wychodzi, że to czyste karierowiczostwo, trzeba przecież o ludziach przede wszystkim myśleć, o stratach. Sam bzik i

- lied niepomierne nie wystarczą, potrzebny jeszcze talent. I liczenie się / . siłami. Siłami jednej armii. Predstawla wziąć przecież nie sposób.

Znaczy się, należy koordynować z sąsiadami. A on wszystko chce na własną rękę. Nie uda się samemu rozbić banku!.. Gdyby to ode mnie zależało, ja bym takim dowództwa nie powierzał. Kto raz nawalił —

55

ÓSs-S5

tego już trzeba spisać na straty. Tylko że gdzieś ponad naszymi głowami pomyśleli. A teraz — na nas spada. Dlatego też proszę cię: pomóż nam. Razem jakoś tam...

— Jeżeli dobrze rozumiem — powiedział Donskoj, uważając za stosowne poczynić mały krok ku straconej pozycji — samych tylko waszych sił nie wystarczy?

Swietłookow spojrział na niego z ukosa, z ironiczną aprobatą.

— No, nie damy sobie rady bez ciebie. To chcesz usłyszeć? Zuch z ciebie, majorze, nauczyłeś się podbijać cenę.

Donskoj przemilczał pochwałę, nie podejmując tego wątku.

— Mógłbym wiedzieć, kto to tacy „my”? To wasz „Smiersz”, czy coś innego?

— Mało ci jednego „Smierszu”?

— Ja tylko uściślam.

— A czy warto uściślać? Im dalej w las — tym trudniej znaleźć powrotną ścieżkę.

Łatwo czytelną groźbę Donskoj puścił mimo uszu; przedsięwzięcie zaczęło go wciągać i w głowie kręciło mu się nie ze strachu — lecz od rysujących się perspektyw.

— Butelka odkorkowana — powiedział figlarnie — trzeba pić wino.

— No to bardzo proszę — odparł Swietłookow dobrodusznie. —

Nasz klient — nasz pan. Kto „my” — chciałeś wiedzieć? Sztab frontu, jeśli łaska. Niektórzy przedstawiciele Kwatery Głównej. Takie, bracie, szczy, że cała twoja biografia może „na gwałt się odmienić”. — I w tej samej chwili nachmurzył się raptownie. — Teraz rozumiesz, majorze, że nasza rozmowa to ścisła tajemnica? O tym lasku żaden pies nie powinien wiedzieć. Ani szofer Fotija, ani ordynans — żeby nie wywęszyli. Oni, miej to na uwadze, tylko patrzą, skąd wiatr wieje.

Przesunął mapnik na kolana. Donskoja coś ścisnęło w dołku — od przecucia, że będzie musiał zaraz złożyć podpis i wątpliwe, czy potrafi wykręcić się elegancko, nie rozgniewawszy odmową Swietłookowa.

Donskoj odkaszlnął i rzekł zasychającymi ustami:

— Rozumiem, wszystko, co zostało powiedziane, to rzecz poufna.

Nie ma żadnej potrzeby mnie o tym uprzedzać.

Swietłookow, otwierając mapnik, uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

— Wiem, ciebie nie trzeba. Co się tak spieszysz, majorze? Czystą mapę ci przygotowałem, trzymaj ją u siebie w torbie. W razie czego — połkniesz. Będziesz tu notował wszystkie jego zagrywki. Absolutnie

wszystko, co mu przyjdzie do głowy. Strzałkę narysuj, potem przekreśli

— ty też narysuj i przekreśl. I w takim samym kolorze. Ołówek masz?

— Poproszę w sztabie.

— Tylko nie to. Ech, ty, strateg... Masz tu, trzymaj. Wszystko zrozumiałeś? Chodzić do mnie, dzwonić — nie trzeba. W stołówce obok niii* siadaj. Sam wyznaczę, gdzie się spotkać. Mógłbym ci przydzielić Licznika do pilnych doniesień. Ale nam zależy na spokoju, jeżeli choil/.i o całą tę detektywistykę, to będziesz miał do czynienia wyłącznie /,«• mną. Bo tu wszystko jest ważne, drobiazgów w naszym fachu nie ma.

Chowając mapę — szybkimi i niezręcznymi ruchami — Donskoj niezdarnie zażartował:

— Teraz będę wiedział, jak się zostaje agentem.

— Spokojnie, nie jesteś jeszcze agentem. Wiele wody do tego czami upłynie.

— I dopiero wtedy — zapytał Donskoj tym samym figlarnym tonem — można się spodziewać nagrody?

Swietłookow gwałtownie wstał i cisnął swoją witkę w krzaki.

— Idziemy. Muszę ci powiedzieć jedną rzecz, Donskoj. Niczego konkretnego ci nie obiecywałem. To nie w naszym zwyczaju. Nie znac/y to, że zasług nie odnotowujemy. Ale czego nie lubimy — to kiedy mv /. nami targują.

Miał wrażenie, jakby mu ktoś wytarł niedbale twarz — ociężała, spoconą dłonią. Donskoj nawet poczuł dotyk tej dłoni na policzkach płonących niepohamowanym rumieńcem.

Swietłookow szedł przed nim, raptem zatrzymał się i schwycił go za bandolet, zbliżył do niego nagle zmienioną twarz o prostodusznych, wytrzeszczonych oczach.

— Słuchaj, Donskoj. Wykształcony z ciebie człowiek, wciąż książk i w torbie taszczysz. Może potrafisz dziwne zjawiska wytłumaczyć, i hoćby sny na ten przykład. Poczekaj, nie wzruszaj ramionami, wysłuchaj. • liii). Znaczą się, taka historia: całą noc z babą baraszkuje. Nie to, że ona mi nie chce ulec, a jakby uwertura — przyjemność odwleka. Potem, mim przecież wiesz, tylko od tego przyjemniej. I, znaczą się, ledwo po-
* .yqę zdobywam, jeszcze nie zdobyłem, ale do pierwszej linii już zdecydowanie przedarłem się, wszystkie przeszkody pokonałem — i mas/, ci los! okazuje się, nie baba to, a chłop! Co to za bzdury?

Donskoj w milczeniu, tępo wpatrywał się w te prostoduszne, zdumione oczy, gdzie w samej głębi, w rozszerzonych źrenicach tańczyło coś chorobliwego, zwierzęco tęsknego.

57

— Nie wytłumaczysz mi? — zapytał ze smutkiem Swietłookow.

— Co? Co to może znaczyć, a?

Donskoj, wyprężwszy się, przyjął wyniosły wyraz twarzy i odparł z odrazą:

— N-nie wiem...

— Szkoda! — Swietłookow potrzymał go jeszcze za bandolet, pocmokał i westchnął. — No to rozejdźmy się. Bądź zdrow! I kto mi to wszystko wytłumaczy?

Czy poważnie to mówił, czy żartem, dość że major nie mógł się po-

zbyć uczucia spoconej dłoni na policzku, które nie tylko nie minęło, lecz, przeciwnie, wzmoгло się. „Diabli cię nadali z twoimi idiotycznymi zwierzeniami!” — rozzłościł się Donskoj, ale tajemny głos mówił mu, że zwierzenia nie były wcale idiotyczne, miały swój cel, choćby taki, żeby go zbić z tropu, dać odczuć, że jest omotany — ohydną, dręczącą, nierozzerwalną więzią.

Jeszcze jedno przypomniało mu się, napawając nieokreślonym niepokojem — jak po raz pierwszy po tym spotkaniu w lasku zaszedł do generała, do pokoju w stacyjce, lepiej od innych zachowanego, gdzie na drzwiach wisiła tabliczka pod szkłem: „Pokój matki z dzieckiem”, pokoju, w którym generał spał i jadł, skąd dowodził armią. Siedział przy stole, nad mapą, w czarnej kurtce skórzanej, i patrząc na niego z tyłu, na jego napięty w zamyśleniu kark, Donskoj nagle wyraziście poczuł dziwną swą nad nim przewagę — czy przewagę tajemnej wiedzy? czy ukrytej, uświadomionej siły? — i, zdaje się po raz pierwszy, domyślił się, dlaczego tak wiele znaczy dla generała jakiś wczorajszy starszy lejtnant, (siane), jak mawiano. Toż on miał dostęp, zaznajamiał się ze sprawą, poznał prawdę na wylot — być może odczytał, jakie stosowano w śledztwie środki oddziaływania na podsądnego i jak ten się zachowywał — oto na czym polegała jego władza! Władzy tej doświadcza nawet czytający cudze listy do kochanki — nie bacząc na osąd moralistów. I to, co kiedyś poczytywane było za haniebne, za co nie podawano ręki, teraz przyrównać można było do tytułu hrabiowskiego, majątności książęcej. Stawiało majora na równi z generałem, a nawet pod jakimś względem i wyżej od niego...

Generałowi ciążyło jego spojrzenie, widać to było po tym, jak podrzucał ramionami kurtkę, by zasłonić kark, i jak z rozmachem zakreślił wygiętą linię, i to tak, że złamał grafit w ołówku.

— Ach, ty... — zaklął siarczyście i robiąc pół obrotu w stronę Donskoja, pokazał mu złamany koniuszek. — Nie masz nożyka, żeby za-

58

ostrzyść? Donskoj wyjął mechanicznie z bocznej kieszonki torby zatemperowany czerwono-niebieski ołówek — i zmartwił napotkawszy zdziwione, sponad okularów spojrzenie generała.

— Już zdążyłeś? Zręcznyś, bracie. Artysta!

To był drobiazg, o którym generał z pewnością z miejsca zapomniał, zatapiając się na powrót w mapie, lecz który Donskojowi przypomniał o wszystkich cierniach krętej drogi, jaką obrał nazbyt pospiesznie.

Zresztą uczynił na niej dopiero pierwszy krok. Okazało się, że nie i iik łatwo spełnić życzenie Swietłookowa. Nie nakreśliwszy planu do końca generał nie rozstawał się ze swoją mapą i nikomu nie pozwalał nii nią patrzeć. I Donskoj musiał doznać uczucia poniżenia, kiedy Swietłookow, wbrew ich umowie, nagle sam podszedł do niego w stołówce, by zapytać, zresztą tylko półgłosem:

— Jest decyzja co do Myriatina?

— Nie — szybko odpowiedział Donskoj rozglądając się po bokach.

W stołówce nie było ludzi ze sztabu. Dwaj przyjezdni korespondenci i Irnci z pułkownikowskimi naramiennikami „zamieniali na produkty” swoje kartki zaopatrzeniowe, głośno i zaczepnie wyjaśniając u kierow-

nika stołówki, czy należy im się wódka i według jakiej normy.

— Tak też myślałem — Swietłokow przytaknął z zadowoleniem, i nawet z jakimś triumfem. — A czym on się w ogóle zajmuje?

— Czyta Woltera.

— Co-o? — Swietłokowowi od nagłej irytacji zbieleły oczy.

— Ja nie żartuję — Woltera.

— No-no. To dobrze. Powiedz to tym — kiwnął głową w stronę korespondentów. — Ani chybi wstawią do swojej pisaniny. A mnie by MV przydało coś konkretniejszego. Jeżeli będzie. Chociaż... — Wątpliwe. Czy należało to tak rozumieć, że siły, którym był Donskoj potrzebny, obeszły się już bez niego? A może marzycielskie rozmyślenia nad chodnikami w Kwaterze Głównej miały mimo wszystko jakieś uzasadnienie?

...A „willis”, wściekle wyjąc, pędził pod szarym, mokrym niebem i idiutanckie rozmyślenia niepowstrzymanie zbaczały z chodników k 11 innego rodzaju przedmiotom, o których tak słodko myśli się w plucku i na wietrze — ku szklance wódki i talerzowi dymiącego kapuśnika k 11, ku ciepłej pościeli z czystymi prześcieradłami, a przedtem, niech to licha, ku gorącej rozkoszy łaźni. Albo snuć myśli o radościach tego przypadkowego urlopu, o tym, czy uda się mimo wszystko pobyc w Moskwie ze trzy-cztery dni i — być może — los ześle jakiś romansik, małą przygodę z gorzkawym posmakiem nieuchronnej rozłąki. A jeśli nawet nic takiego się nie zdarzy, z tych trzech dni, tak czy inaczej będzie miał jakąś korzyść — ruda Gałoczka z wydziału politycznego armii, która wciąż się jeszcze waha, na pewno zapyta, jak je spędził, i

można będzie odpowiedzieć: „Och, Gałoczko, lepiej nie wspominać...”

A jeśli zapyta, czy nie nudził się w Moskwie, można uśmiechnąć się znacząco i dodać ze znużeniem w głosie: „Moskwa żyje!”

Ta Gałoczka wprawdzie słabo kojarzyła się z nadzieją na nową nominację, ale mimo to do niej się zwracał. Coś mu mówiło, że do tej armii on jeszcze wróci. „Z tarczą — dodawał — na pewno z tarczą!”

Książę Andrzej ze swego stulecia podpowiadał inny wariant: „Będzie to twój Tulon”.

Rozdział II

Trzej dowódcy armii i ordynans Szestierikow

C

• óż mógł myśleć o Kwaterze Głównej trzeci — ordynans siedzący za plecami generała? Jak on ją sobie wyobrażał, ten osiłek o wyntajających kościach policzkowych, ze zmarszczką na czole odbijającą wkupienie na niewesołych myślach? Wcale o tej Kwaterze Głównej nie myślał, nie interesowało go ani to, gdzie się rozlokowała — w kremlo-wskiej wieży czy w głębokim bunkrze, jakie są tam ściany i podłogi; nirch sobie będą choćby ze złota albo z kryształu, jemu, Szestierikowowi, nic dobrego nie wróżyła, stanowiła dlań jedynie to miejsce, gdzie generała będą zadrećzać idiotycznymi pytaniami, szydzić z niego i wyśmiewać — za nic. Wszystkie te nieprzyjemności, gotowe spaść na tę siwiejącą i łysiejącą głowę, wydawały się Szestierikowowi jawnie niesprawiedliwe, i on jedyny gotów był rozplakać się z żalości nad generałem, i po prawdzie tylko on, bez widocznych łez opłakiwał jego los, a zarazem też swój własny.

Skurczony w kącie „willisa” trzymał na kolanach worek z rzeczami i torbę od maski przeciwgazowej wypchaną różnymi twardymi przedmiotami; na wybojach rzucało go i grzmociło, ale to wszystko było niczym w porównaniu ze świadomością, że to, co najlepsze w jego / yciu, skończyło się; to, co nadawało mu sens i czyniło wartym cierpienia — minęło bezpowrotnie.

Tak samo, jak przywołujemy w myślach pierwszą miłość, która | i już dawno ulotniła się — dzień po dniu, wciąż bliżej jej pełnego słońca i początku — tak też posępny Szestierikow zbliżał się do mroźnego dnia pod Moskwą, kiedy to ich drogi z generałem skrzyżowały się. Zdumiewające to było skrzyżowanie! Któż by mógł tak zarządzić, tak

61

rozstawić wiechy, żeby ani on, Szestierikow, ani generał, żaden nie spóźnił się na spotkanie, i potem jeszcze tyle spleść wydarzeń, aby spotkanie to nie wydało się im przypadkiem? Jakoś w przypływie szczerości, przy wódeczce, wyraził generałowi swe zdumienie z tego powodu, na co generał odpowiedział: „A wiesz, Szestierikow, nie mogło być inaczej. Trzech generałów, trzech dowódców zdecydowało o twoim losie”. Dwóch spośród nich Szestierikow nie widział na oczy, a tylko swego dowódcę, Kobrisowa, kiedy ten wyszedł w siarczysty mróz na ganek, a Szestierikow właśnie koło tego ganku przechodził z kociołkiem kapuśniaku i z kaszą na pokrywce dla dowódcy swojej kompanii.

Trzy dni przed tym zdarzeniem batalion, w którym walczył Szestierikow, i gdzie zostało ich ze czterdziestu, przydzielono do armii

stacjonującej na moskiewskim pasie obrony — liczyli na to, że zobaczą stolicę, za którą — być może — wypadnie zginąć, ale tak się nie stało — i jak to dobrze, że się nie stało! A mógłby przecież dowódca kompanii sam pójść po obiad, ale czemuś zachorował, leżał w chałupie pod kożuchem patrząc w sufit — i dobrze, że zachorował! Mógłby kogoś innego posłać do kuchni, ale Szestierikow coś właśnie przeskrobał, odpowiedział grubiańsko, i wyszło mu to jak zabłąkany pocisk, i, Boże, jak to dobrze, że przeskrobał! No i wreszcie generał mógłby nie wyjść wtedy na ganek, w bekieszy i w butach filcowych, z mauzerem na rzemieniu przez ramię, gotowy do dalszej drogi — ale tego bodajże nie mógłby, bo zaproszono go na koniak, i to nie byle jaki, francuski. Jeszcze się na dobre nie zadomowił w tej chałupie, pokój jego był pusty, z rzeczy po gospodarzach została tylko jedna prycza, wszystko wynieśli, a biurka ze sztabu jeszcze nie przywieźli, i łącznościowcy dopiero instalowali telefon wprost na podłodze — od nich to Szestierikow dowiedział się o wszystkich szczegółach.

Ledwie podłączyli aparat — zatrzeszczał brzęczyk, i generałowi podano słuchawkę. Telefoniści sprawdzając jakość łączności słuchali przez drugą słuchawkę, odgałęźną.

— Rad jestem cię słyszeć, Swiridow — powiedział generał. Dzwonił do niego dowódca dywizji, pułkownik, z którym przez pół roku byli w odwrocie od samej granicy. — Wyprzedzasz zwierzchników, w zasadzie to ja powinienem pierwszy do ciebie zadzwonić. Jak ci tam leci? Najbardziej martwię się o ciebie.

Swiridow zapytał, dlaczego o niego najbardziej się martwi?

— Jak to? Ty jesteś u mnie na samym skraju. Łączności stycznej nic masz z nikim.

Swiridow potwierdził: jaka tam może być łączność styczna, pracy jego sąsiad — to puste pole.

— Powinna przybyć jeszcze jedna brygada — powiedział generał.

- Z Moskwy, świeżutka. No to rozlokujesz ją z prawa, oddaję ci ją.

Swiridow podziękował, ale napomknął, że lepiej darować to, co się już ma, a nie to, co dopiero obiecują.

— Rad bym, ale tymczasem sam jestem syty obietnic — rzekł generał. — No, melduj. Może czymś ucieszysz...

Swiridow ucieszył go, że do niego na odcinek przybyło uzupełnienie — dwa bataliony żołnierzy pospolitego ruszenia z Moskwy: artyści, profesorowie, jednym słowem, inteligencja, okularnicy, wszystko to w podeszłym wieku, z zadyszką, dużo z płaskostopiem — <t uzbroiła ich komenda wojskowa w karabiny ćwiczebne Osawiachini*, z przewierconymi nasadami zamków, ze spiłowanymi iglicami, o wystrzeleniu z czegoś takiego nawet przy ścierającej na proch nienawiści do wroga — nie ma co mówić, chyba że o walce wręcz. Mają poza tym po dwa granaty, teraz ćwiczą miotanie — choćby niedaleko, byle nii' sobie pod nogi. Zaznamiają niektórych, tych bardziej rozgarnięt yih, z moździerzami — minę wsadzają do lufy statecznikiem do góry, •iii- — chwała Bogu — zapominają przy tym odkręcić kopułę zapalnika.

— Jasne — powiedział generał z westchnieniem. — Ale duch,

(uv,y wiście, bojowy?)

Swiridow potwierdził, że wprost rwą się do boju. Ani kroku

wstecz, mówią, nie zrobimy, z tyłu jest Moskwa.

— Jasne — powiedział generał. — Prochu, znaczy się, nie wǳali.

Ale to jeszcze nie wszystko, Swiridow, powinien jeszcze być oddział zaporowy.

— Słusznie — potwierdził Swiridow — oddział zaporowy nie zamarudził, przybył batalion NKWD, ale rozmieścił się na drugiej linii, r,\ plecami żołnierzy pospolitego ruszenia, tak że frontu nie udaje się rozciągnąć.

— A na pierwszą linię nie zapraszałeś ich?

+ Obszczestwo Sodiejstwija Oboranie i Awiacjonno-chimiczeskomu Stroitielstwu
SSSR - Stowarzyszenie Wspierania Obrony i Budownictwa Lotniczo-chemicznego
ZSRR działające w latach 1927-1948.

63

— A jakże — powiedział Swiridow — byłem tam u nich, proponowałem im odcinek. Dowódca batalionu odmówił kategorycznie:

„Mamy inne zadanie”.

— A tyś pocieszył tych z pospolitego ruszenia, że nie mają dokąd uciec?

Tak, Swiridow pocieszył ich.

— Co oni na to?

— Obrazili się nawet. A my, mówią, nie mamy żadnego zamiaru uciekać.

— Słusznie — powiedział generał. — z powrotem nie pobiegną.

Tego, że za ich plecami jest nie tylko Moskwa, ale jeszcze oddział zapo-

rowy — nigdy nie zapomną. Toteż jak tylko Niemiec zacznie napierać, rozpełzną się na wszystkie strony. I wtedy oddział zaporowy będzie musiał przyjąć uderzenie. Wszystko się dobrze składa, Swiridow.

Uważaj tych enkawudzystów za swoją rezerwę. Oni też nie mają dokąd uciec. W razie czego powystrzelają się nawzajem.

Swiridow pomilczał chwilę i zapytał:

— A może przyjdziecie popatrzeć, jak my tu zadomowiliśmy się?

— A co tam patrzeć... Dobrzeście się zadomowili. Nie wątpię, żeś zrobił wszystko, co w twojej mocy.

— Tym lepiej — ciągnął Swiridow przypochebnym głosem — jest jeszcze jedna okoliczność uboczna. W czerwonym opakowaniu. Z prowincji Cognac. Parlefranse?

— Co ty powiesz? — generał od razu poweselał. — A to swawolnik!.. Gdzieżeś to zdobył?

— Przeciwnik zostawił. W Pieriemierkach.

— Poczekaj no, coś ty? Tyś go w Pieriemierkach wytrzasnął? I nawet się nie pochwalił, skromniś jeden. Aj-aj-aj!

Ale oprócz „aj-aj-aj” nie miał nic do wytknięcia Swiridowowi.

Obaj wszak rozumieli, że lepiej nie spieszyć z meldowaniem. Tylko patrzeć, jak do Naczelnego dojdzie — a nuż te cholerne Pieriemierki trzeba będzie z powrotem oddać? Tobie zaś, za to, żeś je zdobył, urwą jeszcze głowę.

Generał położył słuchawkę na podłogę, zrobił kilka kroków po izbie, rzucił obok telefonu rozwiniętą mapę i patrząc na nią znowu

wziął słuchawkę.

— Swiridow, tutaj są dwie, te Pieriemierki: Małe i Wielkie. Ty w jakich?

64

— W Wielkich, Fotiju Iwanyczu, w głównych. Małe są tymczasem u niego.

— Ty tego..., ty mi tu nie kręć, powiedz mi wyraźnie: wykurzyłeś m>, czy sam sobie poszedł? Tak czy inaczej nagroda cię nie ominie, tylko żeby zgodnie z prawdą.

— Jakby tu powiedzieć...? Trzymać się specjalnie nie miał ochoty. No, a ja ze swej strony pomogłem. W każdym razie zapomniał o konia-ku. Aż cztery kartony, wyobrażacie sobie?

Generał znowu położył słuchawkę, uspokoił się, wziął ją z powrotem.

— Wiesz co, Swiridow... Twoja obrona, nie powiem, podoba mi nic. Niby nic takiego, a podoba mi się. A może jest zatruty?

— Wypróbowaliśmy na jeńcach.

— Toś ty i jeńców wziął? No i jak?

— Trochę sobie podpili. Zeznają aż miło.

Generał spojrział na mapę całkiem wesołymi oczami, jakby się dorwał już do „okoliczności ubocznej”.

— Słuchaj, a gdzie właściwie siedzisz?

— No, w Pieriemierkach. Ze sześć kilometrów od was. Mogę przysłać kunie.

— W żaden sposób nie możesz się nauczyć mówić „konie”, Swiri-

dow. Konie to ja też mam, ale od samego rana pociski woziły, wykoń-
r/.one są, moje konie... Toż to nie ludzie — męczą się...

— No więc jak? Czekać na was? Bądź co bądź, kraj przygotowuje
nic do Dnia Konstytucji...

— Rozgadaliśmy się, Swiridow — powiedział generał nieco suro-
WNzym tonem. — Dzień Konstytucji ujawniamy. A wróg podstuchuje.

Nie masz nic więcej do powiedzenia? No to cześć.

Generał, założywszy ręce do tyłu, przemierzał izbę tam i z powro-
Inn mamrocząc pod nosem swoje ulubione: „Umknęliśmy przed prze-
Ui/ta pogonią, przestań, moja radość, tak dr-rzeć!..” i stanąwszy
naprzeciwko kąta, gdzie mieścił się ołtarzyk z ikonami, jął się im przy-
gadać.

— Zaraz to zabierzemy — pospieszył ku niemu adiutant. — Raz-
ilwa.

— Po co? — zdziwił się generał — Komu one przeszkadzają?

— Przeszkadzają generałowi myśleć — odparł ten chwacko, z za-
i liwytem w głosie. — Myśli odciągają w niepotrzebnym kierunku.

65

Ordynans ten strugał z siebie idiotę, to znaczy nie był głupi z na-
tury, lecz dla własnej przyjemności. Żaden ciura, a całkiem nawet roz-
garnięty, ale mówił często ni w pięć, ni w dziewięć, i w dodatku bardzo
był z tego dumny. Szczególnie irytowało generała, że zamiast „Roz-
kaz” zwykł odpowiadać: „Rozumie się, jak najbardziej!” — i w żaden
sposób nie można go było tego oduczyć. Odpowiedział tak i tym ra-
zem, kiedy generał rozkazał niczego w ołtarzyku z ikonami nie ruszać,

zostawić wszystko tak jak jest.

Nasrożywszy się, zacisnąwszy usta z niezadowolenia, generał przyglądał się ciemnym obliczom — Zbawiciela, Nikoły Cudotwórcy — potrzywał palec nad lampką, dotknął kilka razy czarnego popękane drzewa szafki ze świętymi obrazami.

— A to jak się nazywa?

— To? — ordynans wciąż nie rozumiał, że rozgniewał generała i odpowiadał tak samo dziarsko, ochoczo... A to, Fotiju Iwanyczu, nijak się nazywa.

— Masz ci los — oszołomiło to nawet generała. — Mistrz je zrobił

— może ze trzy tysiące w swoim życiu — i wszystko to nie miałyby żadnej nazwy?

— Skrzyneczka i tyle.

— Tfu! — powiedział generał. — Podaj mi bekieszę. A płaszcz swój zostaw w domu. I żebyś, kiedy wrócę, wiedział dokładnie, jak się ta skrzyneczka nazywa.

I ordynans wszystko pojął, odpowiedział mu tylko swoje „rozumie się jak najbardziej”. Więcej generał niczego od niego nie usłyszał i już go nie zobaczył.

Nastąpiła dla Szestierikowa chwila wkroczenia w pole generalskiej obserwacji — z kociołkiem i pokrywką.

— Podejdźcie, szeregowy — usłyszał z wysokiego ganka głos, niezadowolony i obrażony, ale nie dotyczyło to bynajmniej Szestierikowa, lecz mrozu, jakiego dowódca, grzejąc się w chałupie, nie spodziewał się — musiał więc na kogoś obrazić się. Nieznajomy groźny

człowiek stał skulony, podrygując ramionami, przy tym w malowniczym rozkroku z ręką opartą na kaburze mauzera.

— Rozkaz, towarzyszu dowódcu! — podszedł żwawo i zasalutował przepisowo, w czym kociołek ani pokrywka mu nie przeszkodziły. Przez całą resztę swego żywota będzie się zdumiewał, jakim to sposobem wyczuł pod bekieszą bez naszywek nie tylko po prostu ge-

66

nerała, lecz dowódcę. Chyba że po mauzerze w drewnianej kaburze, jnką widział w kinie u towarzyszy-rewolucjonistów i komisarzy.

— Będziecie mi towarzyszyć — oznajmił generał oglądając szare niebo. — Automat macie naładowany? Dobrze by mieć kilka magazynków w zapasie...

Serce Szestierikowa podskoczyło i słodko dokąś pomknęło. Mimo to odparł, że obowiązuje go rozkaz: zanieść obiad choremu starszemu lejtnantowi. Generał skrzywił się, ale przychylił się do tego, kiwnął (-.-)ową na znak zgody. I wypowiedział czarodziejskie słowa:

— No to lećcie. Ja poczekam.

Wraz z tymi słowami rzeka losu generała i mała rzeczka Szestierikowa jęły się zlewać w jedno.

— Ja raz-dwa — zapewnił generała nie całkiem zgodnie z regulaminem i nie wiedząc czemu pokazując mu kociołek rzucił się do wykonania tego właśnie „lećcie”.

— A ty obiad już jadłeś? — zawołał w ślad za nim generał. I, odsyłając go dalej ręką, sam sobie odpowiedział: — Chociaż niech będzie.

Tiim nas nakarmią.

Ze stępa Historia przeszła w kłus. Szestierikiow nie był jednak z i viii, co to by się jeszcze tarabanili do tego starszego lejtnanta, wszelako i wywalić obiadu w śnieg również nie mógł. Podskoczył więc za 11 >(.,; upił odrobinę z kociołka, sypnął do gardła ze trzy garście kaszy, tuUamał pół przylepki chleba i wsunął za pazuchę, żeby nie zamarzła. Zanim tam jeszcze nakarmią, uspakajał dręczące go sumienie, tymczanrm czekają nas poważne sprawy, to nie to, co leżeć pod kożuchem i llf/.yć karaluchy na suficie. Szczęściem, dwóch kamratów z jego własnl1 kompanii odprowadzało miejscową pannę, usiłując z obu stron — |»uk'n przez drugiego — rozśmieszyć ją. Szestierikow napadł na nich nlc/.ym dziki jastrząb i błyskawicznie rozprawił się odbierając im dwa fł«, *>,kie talerze, a w zamian oddał swój napoczęty obiad i zarazem przekrt/.ał w imieniu generała rozkaz niezwłocznego doręczenia właścicielowi. Nie minęła minuta, gdy zjawił się znowu u generała — i zdążył w nam raz: w oszronionym okienku ujrzał wychuchane kółko, a w nim cr.yjość obrażone i zawistne oko — chyba ordynansa, na którego generał Kił coś tam się pogniewał. I jeszcze pomyślał, że nic dobrego to oko, Świdrujące okno, nie wróży, choć nie wierzył Szestierikow ani w perliowy poniedziałek, ani w liczbę trzynaście, ani w czarnego kota, ale w zamawianie i urok — wierzył.

67

— Już? — zapytał generał i spojrzął z uznaniem na Szestierikowa, gotowego wpakować się w paszczę diabła. No, to, jazda.

I tak — chrup-chrup — rozpoczęli swą śnieżną drogę: generał — na przedzie, przy każdym kroku odrzucał mauzer biodrem; Szestieri-

kow — pozostając w tyle o jakieś osiem kroków. Za opłotkami owiał ich stepowy wiatr, zrobiło się ponuro, a nawet straszno, ale generał kroku nie zwalniał, coś go z zewnątrz grzało i popychało do przodu. Z początku szli wzdłuż przewodu, od żerdzi do żerdzi, potem żerdzie się skończyły, przewód schował się pod śniegiem. Jednakowoż ścieżka utworzona przez łącznościowców i wszelkiego rodzaju postaćców była wyraźnie widoczna — ze zbocza w nizinę, i znowu na pagórek, tak, że — chrup-chrup — szli pewnie, a słońeczko, choć i zamglone, dodawało otuchy, pobliskie zaś lasy, choć czarne, nie straszyły swą tajemniczością. Pole i pole, Szestierikow nie mógł do tego przywyknąć. Ale to wszystko nic, gorzej, że wkrótce, ledwo wiorstę odmachali, mróz zaczął pod płaszczem przenikać na wylot, coraz trudniej było go znosić, nie poklepywać przecież rękawicami po piersiach, po ramionach. Z początku Szestierikow krępował się generała, ale — widać — jemu też mróz doskwierał, co i raz ręce w rękawicach przyciskał do uszu, i te właśnie chwile Szestierikow wykorzystywał, a tak cały czas cierpiał.

— Nie tam klepiesz! — zawołał do niego generał. A więc jednak usłyszał. — Tam młodość cię grzeje. Nogami, nogami trzeba tupać. To najważniejsze — byle nie przegapić.

Toteż Szestierikow nie przegapiał, ale nogom było jakoś znośnie, natomiast dusza mu zlodowaciała.

— Z rodzimej bolszewickiej prasy korzystałeś? — zapytał generał obracając się wesoło i przez czas jakiś idąc przed siebie odwrócony plecami. Onuc gazetką nie owinąłeś? A szkoda.

Taki był dyktat doświadczenia: to, co przeczytane, spożytkować

powtórnie — przeciwko odmrożeniom; ale Szestierikow w takie cuda nie wierzył, prasa służyła mu do palenia i do innych rzeczy; miał więcej zaufania do przysłanej przez żonę chusty wełnianej, podartej na onuce.

Generał wysłuchał opowieść o chuście i rozłożył ręce.

— Wszystko, co genialne, jest proste. Kto to powiedział? Ja też nie wiem.

Potem zwolnił nieco kroku, żeby Szestierikow go dopędził.

— Ty w bilard nie grasz? Zapamiętaj to sobie — ten, kto gra w bilard, lepiej się orientuje w terenie. Jak myślisz, przeszliśmy już ze cztery kilometry?

68

Wedle Szestierikowa, to chyba z dziesięć „przechrupali”, a w bilard nigdy w życiu nie grał, dlatego też widocznie w ogóle się nie orientował.

— Nic to, pocierp — pocieszył generał. — Jeszcze półtora razy tyle przejdziemy i powitają nas w Pieriemierkach Wielkich. Pięć kiedy francuski koniak? Popijesz sobie!

Generał miał widać całą mapę w głowie, kroczył nie zatrzymując się, na rozwidleniu zdecydowanie skręcił w prawo, chociaż Szestierikowowi wydało się jakoś, że równie zdecydowanie można było i w lewo. Ale bodajże to już potem przypisał sobie takie przeczucie, a w rzeczy samej podczas całej drogi nie domyślał się wcale, że historia I > r/y hamowała już swój bieg, wlecze się powolnymi krokami, natomiast gwałtownie nabierała szybkości — geografia.

Szli z generałem do Pieriemierek Wielkich — i dobrze szli, ale po-

winni — do Małych. Swiridowowi, który sądził po wielkości na mapie, i w pośpiechu nie sprawdził, do głowy nie przyszło, że tu, jak to często n.i Kusi bywa, wszystko jest na opak. Pieriemierki Małe, powstałe po Wielkich, to znaczy pierwszych i poczytywane jakby rangą za pomniejsze, stopniowo rozpuchły za sprawą fabryczki butów filcowych i i.i w no już przerosły Wielkie, ale nazwa pozostała; miejscowi i tak je rozróżniali, a przyjezdnymi się nie przejmowali, nie był to ich kłopot. No i, co tu dużo mówić, zmieniać nazwę wsi — to znaczy i szyldów nirmało przemalować wypadnie, i blankiety przedrukowywać, napisy u.t skrzyniach, w których małopieriemierkińskie filcowe buty — walonki — jechały do wszystkich zakątków ojczyzny. A jeśli — kto to mógł, v wiedzieć — podupadłe Wielkie z kolei podciągną się, fabryczkę h/.kła sobie zafundują i Małym — w Wielkie przemianowane — wypadnie znowu je doganiać? A skąd wziąć całkiem inną nazwę? Jeszcze gorzej w jakiejś tam Hucie Szklą mieszkać. Chyba że jedno, powiedzmy Żdanowskiem nazwać, a drugie Skiriatowem albo Kaganowicza-
•*ii, ale i z tym kłopot: na wszystkie miejscowości drogich wodzów nie Mtirczy...

Zmierch jął się już zgęszczać, kiedy Szestierikow i generał „do-rlmipali" wreszcie i na tyłach Pieriemierek ujrzeli ludzi idących naprzeciw. Ze trzydziestu ich wyległo. Ale jakoś nie spieszno im było podskoczyć, zameldować się. Generałowi nie mogło się to spodobać, (przeze z daleka, o jakieś pół setki kroków, rozkazał gniewnie:

— Pułkownika Swiridowa do mnie!

A tamci nawet wtedy się nie pokwapili. Patrzyli i odpowiadali ze śmiechem:

— Karaszo, Wanja! Dawaj, dawaj!

Generał stał jak wryty i rozkazał Szestierikowowi:

— Padnij!

Jak tylko Szestierikow padł, u jednego z tamtych błyskawicznie zapłonęło w rękach przed brzuchem, i doleciał suchy trzask — jakby coś się smażyło na blacie kuchennym. Generał własną komendę wykonując z opóźnieniem runął całym ciałem do przodu. Szestierikow nie pamiętał, w jaki sposób znalazł się obok niego i o czym w pierwszym mgnieniu pomyślał, ale nigdy nie mógł zapomnieć, jak grzebiąc w śniegu w poszukiwaniu rękawicy, natknął się na coś lepkiego i gorącego, co wyciekało spod boku generała.

— Towarzyszu dowódco — zawołał żałośnie. — Ej, towarzyszu dowódco?

Generał tylko chrypiał wciskając twarz w zaspę.

— No i masz bilard! — powiedział Szestierikow ocierając dłoń o lodowaty śnieg. — Ach, co za nieszczęście!..

Ale jakie zdarzyło się nieszczęście, tego sobie jeszcze nie uświadomił. W głowie mu się tak ułożyło, że to swoi po pijanemu nie rozpoznali ich albo się wygłupili, przyczepiając do tego, że nie podano im hasła. Takich chojraków widział podczas odwrotu — to straszna rzecz, kiedy broń trafia takim do rąk. I ze wściekłością, żeby im dać nauczkę, zmusić do turlania się po śniegu, wyrzucił automat do przodu i puścił w nich długą serię — nad samymi głowami. Chojraczy przywarli

sprawnie do ziemi i otworzyli ogień szybko nawołując się gardłowymi okrzykami.

— Niemcy — oznajmił głośno Szestierikow — zwracając się ni to do siebie, ni to do generała.

I złość go wzięła — aż do łez — na samego siebie, za te naboje, które wystrzelił w powietrze przez głupotę, bez żadnego pożytku. Sądząc po odgłosach było ich ze dwudziestu pięciu. Odtąd na taki luksus — strzelać seriami — nie będzie mógł sobie pozwolić. I zdecydowanie przestawił przełącznik na pojedyncze wystrzały. Zgodnie z regulaminem rozstawił nogi, oparł się łokciami w śniegu, przystąpił do rażenia żywej siły przeciwnika. Nie myślał zresztą o tym, ilu uda mu się zabić lub ranić, był już z niego doświadczony żołnierz, i miał przed sobą doświadczonych żołnierzy, i wiedział, że kiedy dwie strony ostrzeliwują się na leżąco, to na rezultaty ani jedna, ani druga nie może szczególnie

70

liczyć. Najważniejsze, nie dać im głów unieść, zyskać na czasie, aż się przekonają, że można podejść spokojnie i wziąć żywcem. I oczywiście n i l' zaszkodziłoby wywołać w nich także wrażenia, że nie on sam jeden 111 postrzeliwuje, ale przynajmniej dwóch.

Wyjął mauzer z kabury i, trzymając po raz pierwszy taki piękny przedmiot, od razu zorientował się, jak się wyjmuje magazynek. Było osiem nabojoy; pomacał skostniałymi palcami ich krągłe główki, bezdźwięcznie poruszając wargami: „Jeden, dwa, trzy...” — a dalej było już pięć pustych gniazd; mauzer liczył czternaście ładunków. Widać Hrnerał lubił sobie z niego postrzelać — dla polepszenia nastroju, a —

być może — na własną rękę kogoś spisał na straty; są tacy amatorzy.

No, cóż, pomyślał Sześciernikow, po to jest wojna, jemu samemu zachciało

Nie skosić ze dwóch takich „chojraków”, aż ręka świerzbiła. Tylko że magazynek trzeba było uzupełnić. W kaburze było puste miejsce na zapasowy.

„(Jdyby tak mieć dwa magazynki talerzowe w zapasie...” — przypomniał

»obic z wyrzutem. Ale i sobie przyganił: po co oddał tym kamratom własną, niepełną? Byli tak zajęci tą swoją panną, że nie zauważyliby wcale, gdyby nie oddał. I zaraz — z żalem i zazdrością przypomniała mu się owa panna, którą, jeden przez drugiego, usiłowali rozśmieszyć żółnierskimi kawałami, przypomniała mu się jej zarumieniona twarz, którą figlarnie zasłaniała do połowy chustką na głowę — dobrze im teraz Mii wsi, w cieple, pewnie już mieli porządnie w czubie i całkiem o nim zapomnieli, a on, nie wiedzieć czemu, leży tu w śniegu, tyłkiem do r/, iniego nieba, przed jakimiś cholernymi Pieriemierkami, tuż obok nieprzytomnego, milczącego generała i wymienia strzały z licho wie Mk.)ii przybyłymi, jakby z księżycą spadłymi, osobnikami. Dobrze jed- iiiik, pomyślał, że przynajmniej na kamratów się natknął, i to z pełnymi magazynkami talerzowymi, daj im Boże przyjemnie spędzić czas.

Na dobrą sprawę, nie wszystko w jego położeniu było złe, mogło być gorzej. Dobrze, że smar nie zastygł i automat nie nawalił, a teraz już się nawet rozgrzał. Dobrze, że jest jeszcze mauzer z dziewięcioma nabojami. Dobrze, że Niemcy nie przyczołgali się do niego, postrzelili, skąd gdzie kto leżał. Generał też dobrze leżał, na płask, głowy z r/. tisy nie wysuwał. Jedną tylko myśl, pełną udręki, co i raz wracała do S/. t%slernikowa — że z tymi Niemcami nie rozstanie się po dobremu.

Ztalar/.ało się, że kiedy żołnierze z żołnierzami spotykali się o równych •iłach, udawało się obejść bez wymiany ognia — jakiemu to rozumnemu człowiekowi chce się wojować? Ale tu—jak się rozejść, kiedy masz generała na karku — i żywy jest jeszcze, oddycha, chrypi. I ci, z Pierie-
71

mirek, jeszcze za dnia widzieli, kto do nich zawitał, widzieli jego ciemno-zieloną bekieszę, oblamowaną szarą smuszką, i smuszkową papachę — czy popuszczą takiemu? Zabitego można rozebrać, podzielić się ubra- niem, a za żywego bodaj każdemu po dwa tygodnie urlopu dadzą. I poddać się też nie można, strzelanina idzie nie na żarty, tamci już się teraz namarzli, źli są jak diabli! Jego, szeregowca, tutaj na miejscu, przy chałupie na skraju, rozwałą, a jeżeli którego jeszcze zabił albo zranił, to dadzą mu -wycisk, nim ducha wyzionie. A generała zawloką do ciepłego pomieszczenia, opatrzą tam, doprowadzą do przytomności, a potem — na przesłuchanie. A jeśli nie będzie mówić — to i z nim patyczkować się nie będą.

Odłączył znowu magazynek i wycisnął dwa naboje, żeby z rozmachu ich nie zmarnować. Te dwa włoży do mauzera przed samym już końcem — strzeli generałowi w głowę, a potem sobie. Bądź co bądź lepiej to samemu zrobić, niż się jeszcze męczyć, kiedy wezmą, zbiją aż miło, postawią pod mur i długo będą zamkami szczękać — potrzeba trochę rozrywki, nim się do ciepła pójdzie. Najpierw naboje te schował do rękawicy, ale przeszkadzały mu tam i nazbyt przypominały o nieuniknionym finale, wsunął je więc za pazuchę. Tu jego palce natknęły się na coś twardego i chropowatego: to ta przylepka spoczywała w kie-

szeni za pazuchą, jakby już zapomniana, a jednakże — kącikiem świadomości — zapamiętana. Ogarnęło go uczucie żywe i ciepłe, ale sieroce, znowu napłynęła żałość, do łez, że będzie musiał wkrótce sam siebie zabić. Pomyślał: a może zjes'ć teraz? Albo — przedtem? I nie wiedzieć czemu, wydało mu się, że jeśli teraz ją zżuje, to już rzeczywiście nie będzie żadnej nadziei.

A nadzieja pozostawała, choć bardzo słaba. Strzelając od czasu do czasu pojedynczo — to ze swojej pepeszy, to z mauzera — po każdym wystrzale chuchając na ręce i już nie rozróżniając, czy to głęboka noc czy też wlokący się zimny wieczór, cały czas ogrzewała go świadomość, że i przeciwnikowi nie jest lepiej. I kiedyż to ci Niemcy będą mieli dość leżenia w śniegu i machną na niego ręką: dla byle jakiej bekieszy komu by się chciało ryzykować życiem, a na urlop — jeżeli generał nie żyje — też nie ma co liczyć. Tylko czy oni pójdą do ciepła wszyscy razem? Naród to akuratny, zostawią ani chybi wartowników i będą się zmieniać — choćby do rana.

Należało coś postanowić jeszcze przed świtem, przynajmniej odczołgać się albo schować w jakimś wądole albo przykryć śniegiem. Generała zostawić nie mógł, ten na razie chrypiał, dlatego też Szestierikow,

72

cofnąwszy się nieco, spróbował podciągnąć go ku sobie za nogi. Nie udawało mu się to: buty filcowe spełzały z nóg, a bekiesza zadzierała się. Postanowił zrobić inaczej: popychając generała ramieniem i czołem odwrócił go głową od Pieriemierek i — nie przejmując się już niczym — uniósłszy się na kolana, powłókł za futrzany kołnierz. Po jakichś pięciu

metrach wrócił po automat — musiał go zostawić, nadto już przeszkadzał. I, oddawszy strzał z kolana, nie kładąc się już na śniegu, pospieszył z powrotem do generała, by poczołgać się dalej.

Tymczasem z Pieriemierok zaczęły dochodzić odgłosy jakiegoś innego poruszenia — strzały się wzmogły, krzyki nasiliły, i Szestierikow zrozumiał to tak, że do tych, marznących, przybyli z odsieczą inni, rozgrzani. Już nie trzydziestu, ale bodajże ze stu waliło bez jednej przerwy, i wszystkie kule, rzecz jasna, leciały na Szestierikowa. Dopiero I lotem dowiedział się, że Swiridow, zaniepokojony zbyt długim marszem (generała, wlepił oczy w mapę i z przerażeniem zrozumiał, do jakiej pułki zaprosił drogiego gościa, wysłał kompanię — przeczesać te Pieriemierki i bez dowódcy, żywego czy martwego, nie wracać. I póki kompania ta toczyła bój na ulicach wioski, Szestierikow pomagał jej jak I lóg i jak pojmował swoje zadanie: odciągał generała, ile mu sił starczyli), jak najdalej. Strzelać nie było już sensu, za swoim ogniem Niemcy nie usłyszeliby jego własnego, a błyski mogłyby go tylko zdemaskować. Kiedy strzelanina nieco ucichła, był już z generałem daleko w polu, przyziemna zamieć zasypała ich szeroki ślad, a tam znalazł się nie>!(,'boki wędół, dokąd można było przywlec umierającego i choćby /ilożyć wreszcie opatrunek. Rozpiąwszy bekieszę z zalaną krwią pod!./cwką, Szestierikow zobaczył, że cała bluza na brzuchu nasiąkła czarni >ścią i lepkością. Z jednej dziurki, rozumował, tyle wycieknąć nie niogło, i nie sposób było jej znaleźć. Szestierikow zadart bluzę, przewrócił generała z boku na bok, owinął mu wokół tułowia cały swój i >) utrunek i mocno zacisnął rzemień. Ot i wszystko co mógł zrobić. Na-

'It,'pnie, odsapnąwszy, znowu pociągnął generała — po dnie wądołu, iri-ii/. już o jakieś sto pięćdziesiąt metrów — następnie przeniósł swój worek z dobytkiem i mauzer, i automat, i wrócił z powrotem do ranne-go. Generał już nie chrypiał i nie bulgotał, a pojękiwał z rzadka i cał-k icm cicho, jakby pogrążony w głębokim śnie.

Jeszcze przed świtem podniósł się jakiś rwetes na górze, za y,i/.bietem wądołu: łoskot motorów samochodowych, skrzypienie kół luimanek, głosy — nie wiadomo czyje. Szestierikow z samym tylko niizuierem czołgając się wyruszył na zwiady. Okazało się, że wądół

73

przebiega pod mostkiem, a mostkiem ciągnie się — droga. Nie zdążył jeszcze dotrzeć do niej, kiedy aż go zatkało z radości na wyraziście do-latujące do niego rodzime taka twoja mat' — nieskończenie znaną mu oznakę odwrotu. A dokąd zawracać, jeśli nie do Moskwy, która była tuż pod nosem, do niej podąża wszak cała masa ludzi, samochodów, furmanek. Nie wiedział, że był to skutek uderzenia dziewiątej niemiec-kiej armii, ściślej wrażenia, jakie wywołało to uderzenie, niweczące wszelkie nadzieje, że wroga zatrzymają bohaterskie czyny panfilow-ców i żołnierze pospolitego ruszenia, i przeciwczołgowe rowy, wyko-pane przez kobiety ze stolicy i przedmieść. Wrażenie było, widać, potężne, przepelnione ludźmi ciężarówki pędziły na czwartym, na piątym biegu trąbiąc bez przerwy ze strachu; furmanki trzymały się poboczy, również nie puste; woźnice smagali zajeżdżone na śmierć ko-nie, ale — jakkolwiek to dziwne — nie można było powiedzieć, żeby piesi pozostawali w tyle — ten z bronią, ów bez, ale wszyscy z obęd-

ny, jakby wódką zalanymi oczyma. Cała ta lawa — z wyciem, krzykiem, chrapaniem, strzelaniną płynęła po drodze, niczym kipiąca z kotła kasza; Szestierikow dostawał od tego oczopląsu.

Ale pojawiła się nadzieja.

Wrócił szybko do generała i opadając z sił podciągnął go jak najbliżej mostu, żeby był stąd widoczny; to niemożliwe, aby nie pospieszono z pomocą, żeby choć dowiedzieć się, co się stało, co tu robi generał. Nikt jednakowoż nie spieszył z pomocą, zresztą wątpliwe, by ktoś coś w ogóle zauważył.

Nagle zobaczył milicjanta, samotnie skulonego na poboczu, zwyczajnego podmoskiewskiego regulującego ruch, w granatowym płaszczu i kaszkiecie na sukiennym hełmie, patrzącego na to wszystko smętnie, lecz bez przerażenia, z ręką opuszczoną na pałce.

— Miły człowieku, zatrzymaj mi jakiś samochód albo furmankę...

Trzęsący się z zimna milicjant spojrział na niego z goryczą.

— Ja nie dla siebie przecież — wyjaśnił Szestierikow. — Dla generała. Zobacz, o tam, leży ranny, jest nieprzytomny.

— Czym ja ci zatrzymam? — zapytał milicjant nie spojrzawszy nawet.

— Jak to „czym”? Masz pałkę i pistolet. — Szestierikow zapomniał jakoś w tej chwili, że sam ma mauzer, a w wądole został poza tym automat. — Jakbyś tak pogroził, może by któryś się zatrzymał?

— Ty tego... — powiedział milicjant. — Armatę swoją schowaj. I nie wymachuj.

I wskazał oczami na to, czego Szestierikow nie zauważył w tym

rozgardiaszu — na człowieka leżącego o jakieś pięć kroków od niego, na tym samym poboczu, w płaszczu z naszywkami lejtnanta. Leżał twarzą do ziemi, z odrzuconą, gołą, bez rękawicy, ręką z pistoletem, obok poniewierała się zakrwawiona uszanka.

— Wygrażał cały czas — objaśnił milicjant — Stawiał się bardzo:

„Łajdacy, kapujesz, tchórze, Moskwę zdradzili, Rosję zdradzili!" A oni z ciężarówki — serię. Teraz, widzisz, leży spokojnie, nie stawia się.

— Co więc robić? — zapytał żałośnie Szestierikow. I powtórzył swój dowód: „Gdyby to dla mnie, a to przecież dla generała..."

— A on co — milicjant spojrzał wreszcie — żywy jeszcze?

Szestierikow nie miał pewności, ale tym goręcej zawołał:

— W tym to rzecz, że żywy! Trzeba by go do szpitala jak najszybciej...

Milicjant ni to głęboko się zamyślił, ni to zamilkł w poczuciu beznadziejności. Jego twarz, ogorzała od wiatru i mrozu, żadnego ruchu myśli nie zdradzała.

— A może spróbujemy we dwóch? — zapytał Szestierikow z nadzieją przypomniawszy sobie wreszcie o automacie. — Rąbniemy po szoferce, co? Tylko najpierw położmy się. Bo jeszcze w nas tego... serią.

— To nie metoda — powiedział milicjant. Widać, że czas ten upłynął mu na rozmyślaniach — trzeba by mieć czterdziestkępiątkę. Z lirczą. I trzepnąć po chłodnicy Z miejsca przyhamuje. A tak, seriami, nic* przemówisz im do rozumu.

— Czterdziestkępiątkę — to jest to — powiedział Szestierikow przypominając sobie pewne epizody, których doświadczył na własnej

skórze. — Ale skąd ją wziąć?

Milicjant pomyślał jeszcze i odwrócił się całym tułowiem ku Moskwie.

— Wiesz ty co — poradził — polecć no jakieś dwieście metrów s(c)d, za zakrętem jest stanowisko przeciwlotnicze. Lufy mają wymierzone przeciwko czołgom, ale może dla generała jeden pocisk odpałą. Nim wyruszył do wskazanego miejsca, Szestierikow wrócił do generała, zobaczyć, co z nim — i przeraził go kolejny cios losu. Dosłownie na minutę zostawił generała, a ktoś zdążył ściągnąć mu z głowy papachę, a / nóg wspaniałe filcowe buty z białej wełny ze skórzanym oblamowaniem. Kim był ten niezwykły, o nieposkromionej energii człowiek, który i w śmiertelnej panice nie zawahał się ograbić leżącego, i to na oczach wszystkich? Przecież widział, że nie jest martwy, że jeszcze oddycha!

75

sja.

Uszy i stopy generała już zbieleły, i nie było czym ich przykryć.

Szestierkow rozwiązał worek, bez wahania wytrząsnął z niego jakieś narzędzia, tytoń, zapalki, mydło, motek nici i kilka sztuk brudnej bielizny. Bieliznę podłożył generałowi pod głowę, przykrył uszy, a worek naciągnął na nogi i ściągnął sznurkiem.

— Ulżyli mu? — podchodząc zapytał milicjant. Pokiwał głową i zauważył ponuro — Nie umarła jeszcze nasza rodzona mateczka Ro-o nie-e!

— Najmilszy! — rzekł błagalnie Szestierikow. — Popilnuj go, żeby chociaż z bekieszy go nie ogołocili. Bo wtedy, to już tylko pisz, bra-

cie, zawiadomienie o śmierci. — A ponieważ przywykł nagradzać człowieka za jego trudy, zastanowił się, co by tu takiego zaproponować milicjantowi. Z zawartości worka, nic — jak widać — tamtego nie zainteresowało. — Może miałbyś chęć coś zjeść?

— A kto nie miałby? — odparł pośpiesznie milicjant.

Szestierikow, znowu bez wahania, wyjął zza pazuchy swoją przyłepkę, i odłamawszy mały kawałek, podał wartownikowi. Ten przyjął nie dziękując, co się nawet Szestierikowowi spodobało.

— Tylko niedługo — powiedział milicjant. — Sam wiesz, każdy chce jak najszybciej dać drapaka....

...Żołnierzy artylerii przeciwlotniczej było dwóch: jeden całkiem młody, nieostrzelany, udręczony myślami o czekającej go próbie, drugi — nieco starszy i spokojniejszy, z rudymi wąsami grenadiera. Szestierikow zapytał, kto tu jest dowódcą — sądząc po naramiennikach obaj byli szeregowcami.

— A nam dowódca niepotrzebny — powiedział ten nieco starszy wyciągając łyżką z puszki po konserwie jakieś jedzenie. — Co tu jest do korygowania? — kiwnął głową w stronę zenitówki stojącej z lufą ustawioną poziomo w kierunku zakrętu, zza którego wciąż wypetzała ludzka lawa. — Jak się pokaże pudełeczko — to grzmotnij w wieżę i — w boga mat'. I ratuj się, jeżeli zdążysz.

Puszka była, widać, na obu, i młody pilnie śledził, aby starszy nie dobrał się do drugiej połowy jej zawartości. Ten od czasu do czasu łyżką pokazywał mu — że nie.

— Dlaczegoż mielibyście się ratować — powiedział przymilnie

Szestierikow usiłując nie patrzeć na jedzenie. Taka z was potęga!

— To jeszcze nie wiadomo — powiedział ten starszy — czy ogon
łóża wytrzyma czy nie. Poziomo nigdyśmy z niej jeszcze nie strzelali.

76

Prośby Szestierikowa wysłuchali ze zrozumieniem i stanowczo
odmówili.

— Spójrz no — powiedział młody — ile mamy pocisków.

Skrzynka z pociskami zrobiona z cienkich listewek, jakby do ogórków lub jabłek, stała na śniegu koło zenitki, a w niej pobłyskując mosiądzem i miedzią, szarymi pyskami głowic, leżały cztery pociski.

— Tylko na czołgi — wyjaśnił starszy — nawet w samolot nie wolno. Inaczej — trybunał.

— Bracia — rzekł Szestierikow — ale tu jest taki przypadek... za generała — wybaczą.

Wzruszyli ramionami wymieniwszy między sobą spojrzenia i nie odpowiedzieli. Starszy jednak zastanowił się i zaproponował:

— A ty się zwróć do generała. Do naszego generała. To jego rozkaz, może go odmieni. W drodze wyjątku.

— W ogólności to wątpliwe — powiedział młody. — Generał najbardziej czołgów się boi. Ale skoro już taki przypadek...

— A gdzież to on, ten wasz generał?

Starszy nie zareagował, a młodszy chętnie uniósł się i wskazał palcem:

— O, ta-am, cerkiewkę na górze widzisz? Powinien tam być. Z pięć kilometrów będzie. A może i mniej.

Szestierikow spojrzał z udręką na daleki krzyż, ledwie-ledwie czerniejący w mętnej mgłę mroźnego poranka. Oczy mu łzawiły od zimnego wiatru, i żadnych ludzi w pobliżu dzwonnicy nie dojrzał.

— Co wy, bracia — powiedział ze smutkiem — kto by tam do waszego generała dotrzeć zdołał. — Miał na myśli i odległość, i rangę. I czy w ogóle on tam jest? Może go wcale nie ma...

— A gdzie ma być? — powiedział niepewnie młody. — Miejsce wysokie, w sam raz na punkt obserwacyjny. Stąd, uważasz, na trzydzieści wiorst widać.

— Jeżeli widać — odparł Szestierikow — to o jednym tylko teraz myśli: jak najprędzej do samochodu i w nogi. Oni pierwsi dają drapaka. Tak mówiło mu jego półroczne doświadczenie i żołnierze artylerii przeciwlotniczej nie zaprzeczali, a tylko wymienili spojrzenia — z nie-trudnym do odczytania na ich twarzach pytaniem: „A nie pora i nam?” Szestierikow powstał jeszcze chwilę koło nich ze słabą nadzieją, że zmienią HWf postanowienie, i poczłapał z powrotem do swego generała. W tej chwili był jedynym, który zmierzał w kierunku przeciwnym do Moskwy.

77

Tymczasem generał, o którym mówili żołnierze artylerii przeciwlotniczej, i który wydał rozkaz grożąc trybunałem: „na żaden inny cel poza czołgami pocisków nie marnować”, ulokował się na przycerkiewnym cmentarzu i bynajmniej nie zamierzał wsiadać do samochodu i dawać drapaka. Chociaż ze swej wysokości widział rzeczywiście wszystko. Nie miał zresztą samochodu i wspiął się tu na piechotę. Trzy konie, przywiązane do żelaznych sztachet cmentarnego ogrodzenia, przerna-

czone były dla adiutanta i łączników, ale stały od dawna zapomniane, z pośpiesznie przymkniętymi oczami, przemienione w oszronione posagi. Komuś postronnemu mogłoby się wydawać, że generał udzielał w chwili obecnej, by tak rzec, audiencji, jak to czyni król, który przyjmuje swych dworzan, by na nich popatrzeć i samemu się pokazać, podobnie jak każdy dowódca, który poczuwa się do obowiązku pokazania się od czasu do czasu podwładnym, obowiązku dla jednych uciążliwego, dla innych nie pozbawionego przyjemności. Generał ten należał, widać, do tych ostatnich, otoczenie zaś nie mogło od niego oderwać oczu, pełnych oddania i rozczulenia. Wyraźnie wyróżniał się wśród nich — przede wszystkim wzrostem, którego nie pomniejszało nawet, lecz podkreślało przygarbienie; w szczególności zaś wyróżniała go wspinała męska twarz, którą nieco psuły — a może właśnie czyniły ją taką — ciężkie okulary o grubych soczewkach. Piękna, po męsku ascetyczna była wklęsłość policzków przy kanciastości silnego podbródka, uwagę przyciągało wysokie czoło i pośpiesznie srogie spojrzenie zza soczewek; usta miał niewielkie, lecz gdy milczał, mocno zwarte i skupione; z całej twarzy bił mozół, po części cierpiętniczy; odzwierciedlała ona nieprzeciętną inteligencję i silną wolę.

Człowiekowi o takiej twarzy można zaufać bezgranicznie, i chyba tylko szczególnie bystry obserwator, o długim doświadczeniu życiowym, dostrzegłby w niej wymykającą się innym zwodniczość.

Przechadzał się wśród swych współtowarzyszy bez pośpiechu, stanowczym krokiem, z rękoma splecionymi za plecami; cała jego postać w białym kożuchu przepasanym rzemieniem i bandoletem promie-

niała spokojem i pewnością siebie. Żołnierze artylerii przeciwlotniczej byli w błędzie: żadnego punktu obserwacyjnego tutaj nie było, nie potyskiwały z okien dzwonnicy szkła lornety nożycowej, które mogłyby tylko zwabić niemieckich artylerzystów, a niczego nie wyjaśniłyby. I co tu sprowadziło generała, sam nie mógłby tego określić. Chyba zrodzony z niezrozumienia tego wszystkiego, co się wokół działo, strach,

78

który wzmagał się w zamkniętej przestrzeni. Nagle zrobiło mu się niezmiernie ciasno w ciepłej chałupie, pośród telefonów, map, stołów i twardej pryczy za kotarą, ciasno również w kabinie „emki”, zachciało mu się przestworzy, wspiąć się na jakąś wyżynę, żeby choć cokolwiek /..rozumieć i podjąć decyzję.

Przed kilkoma dniami, wraz z sześcioma innymi dowódcami, wezwał go do siebie dowódca Frontu Zachodniego, Żuków*, i jak zawsze ponuro, ostrym tonem i z nieokreśloną groźbą w głosie oznajmił, że gdyby przynajmniej jednej armii udało się posunąć choćby o dwa kilometry, to zadaniem pozostałych sześciu byłoby niezwłocznie ją wesprzeć za wszelką cenę, wszystkimi swoimi siłami poszerzając i pogłębiając wyłom. Siedmiu dowódców przyjęło to do wiadomości, bez żadnych zapewnień, ale z pewnością każdy musiał zapytywać samego siebie: „Dlaczego by nie ja?” Co do swojej osoby generał nie miał żadnych wątpliwości, powiedział sobie od razu: „Właśnie ja”.

I oto, nie dalej jak wczoraj, spróbował to zrobić — siłami dwóch dywizji — i wpadł natychmiast w kleszcze wraz z całym swoim sztabem. Zakosztował co to strach przed niewolą, strach, który dotąd jesz-

cze nie ucichł, co i raz wspominał z drżeniem serca mieszane uczucie zakłopotania i wstydu, że musiał przez radio rozkazać wszystkim swoim jednostkom przyjść mu na ratunek. Zdołał wyjść z tego cało, wyrwał się bez większych strat, ale coś mówiło mu, że Niemcy nie mogliby stworzyć wystarczająco szczelnego okrążenia frontu — wewnętrznego i zewnętrznego — być może więc niepotrzebnie pośpieszył się / zaprzestaniem natarcia. Być może należało wciąż iść i iść naprzód?

Przeciwko temu przemawiała cała ta panika na Szosie Rogaczowskiej, którą stąd widział: Niemcy zaciskając kleszcze dokoła niego wywarli także potężne wrażenie na sąsiadach. Jednakowoż wiedział: piinikę tę mógł wywołać równie dobrze jeden jedyny czołg, być może M.łwet zabłąkany, który się pojawił tam, gdzie się go nie spodziewano. Największy efekt osiągają nader często właśnie ci zabłąkani. W sierpniu pod Kijowem był świadkiem, jak trzy bataliony porzuciły swoje i >(>/.ycje nie wytrzymując piekielnego huku i trzasku dobiegającego z

- **Zukow Gieorgij K. (1896-1974)** uważany za najwybitniejszego dowódcę sowieckich sił zbrojnych podczas II wojny. Wykonał ostateczne kontruderzenie pod Moskwą, które zadecydowało o odrzuceniu Niemców spod stolicy. Frontem Zachodnim dowodził od października 1941 do sierpnia 1942 r.

79

pobliskiego lasu; jak się okazało, był to nieszczęsny Włoch-bersalier*, sam oszalały ze strachu, który miotał się między drzewami na motocyklu... Wszystko było możliwe w tej konfiguracji frontu, jaka się ukształtowała na zachód od Moskwy, a ściślej — przy braku jakiegokolwiek konfiguracji, kiedy to przeciwnicy nie wiedzą, kto kogo w danej chwili

okrąża. No więc jak—potrzebnie czy niepotrzebnie pospieszył się?

Do tych jego rozmyślań wdarł się głośny i pełen oburzenia spór współtowarzyszy, potępiających panikę tak, jak ludzie postronni patrzący na cudzy strach. Trzeba, dowodził jeden z nich, wysłać tam pluton fizyliarów i tego, i owego spośród tej hołoty powystrzelać, wtedy pozostali opamiętają się. Jeszcze inny mówił, że przeciwnie, wszyscy ci ludzie, którzy utracili swych dowódców, to rezerwa niczyja, którą byłoby dobrze przyłączyć do siebie.

Generał wysłuchał argumentów jednych i drugich i — zagłuszając ich i kładąc kres sporom — powiedział swym donośnym, głębokim, hucznym basem:

— Kiedy ruski Iwan napiera — plecami do znenawidzonego wroga — wara od niego. Rozdepcze!..

Powiedział to po części w zachwycie, ozdabiając ostatnie słowo kwieścicie-złożoną dokładką, jako że miał w armii reputację największego mistrza w bluzganiu, dzięki czemu stał się ulubieńcem żołnierzy. Współtowarzysze śmiali się ochoczo, ale on sam nie roześmiał się, zdziwił się swej niespodziewanej decyzji.

Nie wiedząc jeszcze, czy wyda dzisiaj rozkaz kontynuowania natarcia, wyraźnie sobie uzmysłowił, że przeciwko zbiegłym nie wystawi żadnego fizyliera, nie straci ani jednego naboju. Lepiej przepuścić ich obok, a wyruszyć wzdłuż szosy odłogami. Jest w tym nawet pewien sens operacyjny, rodzynek niejako — żeby nie było przerwy w tej panicznej ucieczce.

— Że Iwan się opamięta, przyjdzie po rozum do głowy i stanie

okoniem, tego Niemiec się nie spodziewa — wyrzekł głośno. — A czego się najmniej spodziewa — to tego, że dostanie pięścią po mordzie! I była to pierwsza jego właściwa decyzja.

Tymczasem zerwała się niespodziewanie zamieć, śnieg padał tak beznadziejnie gęsty, że nie było już widać koni przy ogrodzeniu, i ucie-

* bersalierzy — istniejące od poł. XIX w. doborowe oddziały lekkiej piechoty włoskiej, noszące szerokie kapelusze z kogucimi piórkami. Tu określenie ironiczne.

80

szył go nawet powód zwlekania z rozkazem. Nigdy jeszcze w swym wojennym żywocie nie zetknął się z tak nieprzeniknioną niejasnością. Żadnych danych rozpoznawczych o przeciwniku, oprócz najbardziej ogólnych, w dodatku dezaktualizujących się z każdą godziną; liczyć mógł jedynie na intuicję, no i na odwagę wreszcie, o której jeden z Molkc-ów, starszy czy młodszy, a może Clausewitz*, powiedział wcale nie głupio: „Uwzględniając siły, czas i przestrzeń, należałoby również kilka procent oddać i jej”.

Kazał sobie rozwinąć mapę. Oparł nogę o schodki cerkiewne i poło/.ył ją sobie na kolana, zdjął rękawicę i ogromną, kościstą, czerwoną od mrozu dłonią strząsał z niej zasypujący ją śnieg. Dwóch spośród jt'j»o współtowarzyszy stało w kącie. Widocznie i oni rozumieli, że gran.n.i zwłokę, żadnych szczegółów mapa nie mogła mu ujawnić, a to, co Nit,1 stało teraz pod Moskwą, widział i bez niej. Od północy, od Kalinina, rozciągnęły się drapieżne, rozdwojone szczypcy raka — czołgi Reinlutrdta i Hóppnera; od południa, od Tuły, celowały drugie szczypcy, Jeszcze bardziej złowieszcze — czołgi Guderiana**, i nie mogło być de-

czyż bardziej ignoranckiej, obłądnej niż rzucić się w rozwartą gardziel tych gotowych zamknąć się kleszczy. Gdyby jednak chociaż czasami nit* wyręczał nas obłąd, a tylko trzeźwa rachuba była naszym jedynym In/c-wodnikiem, życie stałoby się zbyt nudne, by warto je było zaczynać od nowa. W powietrzu unosiło się coś nieuchwytnego, nie potwierdzonego, zdawałoby się, żadnymi obiektywnymi oznakami, a jednak profesjonaliści odgadywali to bezbłędnie — coś, co obiecywało przełom, jak obiecuje wiosnę zapach lutowego śniegu. W życiu gene-

* Moltke Helmut von, zwany młodszym (1848-1916) — generał niemiecki, bratanek feldmarszałka Helmuta von Moltke starszego. Dowodzone przez niego wojska niem. poniosły w 1914 roku porażkę w bitwie nad Marną; Clausewitz Karl von (1780-1831), pruski generał i autor dzieł z zakresu sztuki wojennej (m.in. O wojnie).

† Reinhardt Georg Hans (1887-1963), generał niemiecki; w latach 1938-1945 dowodził jednostkami pancernymi, zarówno w operacjach na zachodzie jak i w kampanii wschodniej; Hóppner Erich (1886-1944), jako błyskotliwy dowódca 4. Armii Pancernej miał szansę zdobycia Moskwy; Guderian Heinz (1888-1954), generał-pułkownik, zdobył sławę jak teoretyk broni pancernej i wojsk zmechanizowanych oraz organizator niemieckich jednostek pancernych. W kampanii rosyjskiej grupa pancerna „Guderian” rozwinęła się do stanu 2. Armii Pancernej. Czołgi stały się główną siłą Blitzkñegu na równinach Rosji.

81

raz: kiedy musiał całą armię, którą teraz dowodził, i resztki innych rozgromionych armii wyciągać z kijowskiego „kotła”. Jaką to obietnicą zapachniało wtedy, co się tam unosiło w powietrzu? Potęgujące się

dudnienie ziemi, ryki setek motorów, dymem przesłonięty horyzont — wszystko to razem nazywało się „Guderian” i pojawiało się tam, gdzie najmniej się spodziewano. Słowo daję, gdyby nagle znowu wyłoniło się z tej zamieci, nie poczytywałby tego za cud. Raczej cudem było, że udało się wtedy wyrwać, uniknąć stalowego uścisku kleszczy. A przecież udało się! Powiodło się, co więcej — potrafiono nie zmarnować okazji. Cóż, teraz to samo — trzeba tylko, by cud się powtórzył. I nawiedziła go nieśmiała myśl — że coś się jeszcze powinno zdarzyć dzisiaj, jakiś znak powinien mu zostać przekazany, znak obiecujący powodzenie. Byle tylko nie przegapić...

Od dawna już patrzył ponad mapą na wyszczerbione, malinowe cegły kruchty, zardzewiałe drzwi z ciężkim spichrzowym zamkiem, brudną, ledwie widoczną ikonę na wrotach cerkiewnych. Jedna rzecz go niepokoiła: jeśli mimo wszystko kontynuować natarcie, trzeba będzie przejść swoją prawą flanką obok północnych kleszczy, wystawić bok, a następnie tył pod czołgi Reinhardta. Teraz osiem kilometrów stąd toczył się bój o małą wioskę Biełty Rast, kilka dni wcześniej oddaną Niemcom. Dwa bataliony marynarzy szły na śmierć, żeby tylko dowiedzieć się czy Reinhardt posunie swoje czołgi, czy też pogodzi się ze stratami. Bez tego, zdecydował generał, nie można zaczynać.

O jedenastej rano wynurzył się z zamieci jeździec i zameldował:

Biełty Rast wzięty, czołgi Reinhardta nie wyruszyły.

Generałowi niespieszno było się wypowiedzieć. Bowiem ta wiadomość prawie nic nie oznaczała. Zrozumiał to w tej samej chwili, gdy ją usłyszał. Słowo daję, więcej kłopotów sprawia przeciwnik, kiedy

czegoś nie robi, z tego co — zdawałoby się — powinien zrobić, niż kiedy działa — i nie można ocenić jego planów oraz przewidzieć następnego ruchu. Nie pogodził się, ale i nie wyruszył — może dlatego, że nie mógł? A może miał jakieś inne pomysły i oddanie tego Białego Rasta wchodziło nawet w jego plany?

Łącznik czekał, zwieszony na siodle, z uchem odgiętym na uszance.

— Dowiedz no się — powiedział generał — pod czym wezwaniem jest ta cerkiew.

Twarz posłańca nie wyraziła zdziwienia tylko dlatego, że stężała na mrozie.

— Pytanie zrozumiałeś?

82

Łącznik pytanie powtórzył, ale z kolei zapytał, gdzie można się tu dowiedzieć.

— O to się dowódcy nie pyta.

— Przepraszam, towarzyszu dowódcu. U kogo rozkażecie się dowiedzieć?

— U pierwszej lepszej babuli na wsi, o trzysta wiorst dokoła. I może nie sprawdzać.

Posłaniec otrzepał walonki, włożył nogę w strzemień i rozptynął się w zamieci. Dopóki nie wrócił, nic istotnego nie zostało powiedziane, jakby oczekiwano wiadomości od tego najważniejszego i głównego.

— Dowiedziałem się, towarzyszu dowódcu. I to nie u babki, a u mi mego ojca Wasilija w łobnie. Sądzę, że to jest wiadomość pewna.

— No więc, pod czym wezwaniem? — zapytał generał niecierpliwie.

— Męczennika Andrieja Stratiłata.

— A kto z nim był?

Przedstawiciel łączności patrzył otępiałym wzrokiem i zwolna

Mrumienił się.

— Stratiłatem się nazwał? A ilu było z nim zabitych?

— Najmocniej przepraszam, liczby nie zapamiętałem.

— Dwa tysiące pięciuset dziewięćdziesięciu trzech?

— Tak jest!

Wszyscy patrzyli na skamieniałą twarz generała, nieprzeniknioną

ta połyskującymi okularami.

— Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? — zapytał uśmiechając się

ilowódca artylerii, niskiego wzrostu i tęgawy, lecz strasznie bojowy w

iiwych skrzypiących rzemieniach, z „parabelum" obciążającym pas i

lornetką na piersiach. Nazywał się German. Wielu dowódców artylerii

lubi nosić to imię: German.

— Nie ma to żadnego znaczenia — odpowiedział generał. — Chy-

lm tylko tyle, że to mój patron. A także mojego ojca.

— A Stratiłat — co to znaczy? — zapytał dowódca artylerii. —

Nd/wisko?

— Ty oczywiście jesteś bezbożnik? — generał spojrzał na niego z

dobroduszną ironią. — No, a ja, niestety, cośkolwiek wierzę. Teraz się

li'no nie zabrania, co? — i szeroko, nawet nieco teatralnie, przeżegnał

*lc zmarzniętą ogromną dłonią trzema palcami i odparł na pytanie do-

wódcy artylerii: — Stratiłat znaczy dowódca, strateg.

— O, to ma znaczenie. I to duże. Można pogratulować?

— A to dlaczego? Nie jestem męczennikiem.

83

— E! — powiedział dowódca artylerii. — A my to nie męczennicy?

Dowódca artylerii nie wiedział, że generał znał straszną historię Andrieja Stratiłata, zdradzonego i zamordowanego przez swój oddział, przez tych, którym umożliwił zwycięstwo. Wróżba miała swoją straszną wymowę. „A więc będę ranny” — zdecydował generał, lecz nie nazbyt lękając się bólu, jaki go czekał, zrozumiał, że chciał w ten sposób odsunąć od siebie to, co najgorsze. — Przecież — pomyślał — Stratiłat odnosił zwycięstwa, a dopiero potem został zdradzony i zabity. Ostatecznie, być może, jest to sprawiedliwe, za cuda trzeba płacić. Zapytywał sam siebie, czy zgodziłby się na taką zapłatę, lecz szerokie jego usta, drewniejące od zimna, wyrzekły coś innego:

— Jak ja bym chciał wiedzieć, co tam teraz kotłuje się w głowie tego Reinhardta!

Łącznik, jakby pytanie było zwrócone do niego, rozłożył bezradnie ręce. Dowódca artylerii uniósł oczy ku niebu.

Niewykluczone bynajmniej, że w tej samej chwili posępny Reinhardt, ubrany w rosyjski serdak, garbił się przed niskim okienkiem chałupy, układając i mnożąc trzydzieści pięć stopni mrozu przez trzydzieści pięć kilometrów, jakie dzieliły go od Kremla. Nie dlatego nie rozkazał wyruszyć swym czołgom, że utrata Białego Rasta nie miała dlań żadnego znaczenia — tak bywa, kiedy już w lornecie widzi się koniec wojny! — a dlatego, że plan jednoczesnego zdobycia Moskwy wiązał go z południowym kleszczem. Osie natarcia krzyżowały się na

obwodnicy Sadowoje Koko: gdzieś w okolicy Taganki czy też Samotioicznej, albo na dawnej Triumfalnej, obecnie Maj akowskiego, czołgści Reinhardta i Hóppnera powinni uściskać dłonie czołgistom Guderiana i tym samym położyć kres przewlekłemu Blitzkriegowi. Tak to było zaplanowane — i było tak bliskie!

Jednak Reinhardt wiedział: tego dnia ruch niemieckich wojsk na wszystkich frontach został wstrzymany, i tylko Guderian jakimś cudem jeszcze parł naprzód. Trzeciego grudnia przeciął linię kolejową Tuła-Moskwa i szosę Tuła-Sierpuchow, pozostało rozprawienie się z samą Tułą. „Tuła — za wszelką cenę!” — powiedział Fuhrer, ale nie było w naturze „kapryśnego Heinza” wykonywanie rozkazów „za wszelką cenę”; zmarnowanie własnych czołgów w jałowym uderzeniu czołowym przeczyło wszelkim jego zasadom i całej jego wiedzy. Za Tułę i jej fabryki broni Rosjanie gotowi byli zapłacić Bóg wie, jaką ilo-

84

ścią ludzkiego życia. Ich strzelcy przeciwpancerni i miotacze butelek zapalających umierali z taką ochotą, jakby śmierć była dla nich jedynym w życiu celem. Zresztą dowcipkować na ten temat nie bardzo się chciało, i Reinhardt szczerze współczuł Guderianowi, wiedząc ze swego niedawnego doświadczenia, jak mu jest ciężko. Takiego przeciwnika, jakiego mieli obaj przed sobą, jeszcze dotąd nie spotkali.

Kalinina, dawnego Tweru, broniła nędzna dywizyjka, pozostało w niej zaledwie dwa tysiące zdolnych do walki, ale wycofać się nie zamierzała. Kiedy wypchnięto ją z miasta, uczepliła się elewatora na krańcu wschodnim — i tam rozlokowana w betonowych pudełecz-

kach, wpadła w absolutną euforię. Puste otwory okienne Rosjanie zakali dyktą, wypuścili na zewnątrz niezliczoną ilość rur od piecyków, które nazywali „burżukami” i zaczęli żyć dziwnym życiem. Służba iikustyczna donosiła, że niemal codziennie występują tam frontowe zespoły pieśni i tańca, odbywają się konkursy artystów-amatorów, i przemówienia na niekończących się wiecach, których sens sprowadzał się do tego, że oni, cudowni bohaterowie powstrzymali zachwalanych hitlerowskich wojaków i nie cofną się dalej ani o krok. Padały nazwiska.) Reinhardta, Hóppnera, Buscha*. Elewator ten potrzebny był Niemcom jak zesłoroczny śnieg, ale nie można było w żadnym wypadku pozostawiać Rosjan w długotrwałej obronie: jest to ich ulubiony stan, ilosłownie w nim rozkwitają, wzmacniają na duchu. Nie niepokojeni przez tydzień rozzuchwalili się zupełnie, jeżeli dokonywać wypadów na najbardziej wysunięte posterunki niemieckie, a pewnego razu do Kalina wdarł się czołg rosyjski i narobił tyle hałasu i paniki pędząc po ulicach i strzelając, że nawet udało mu się wyjść z tego bez szwanku. l'<> tej historii postanowiono zabrać Rosjanom ich zimowe schronisko; i lwa pułki strzelców przy wsparciu lekkiej artylerii w ciągu trwających i alą dobę walk wyparty dywizyjkę z wiszących galeryjek i ferm, rozpraszając ją po polach. Tam się okopała, wydrążyła po nocach podziemne schrony i wreszcie przycichła. Jedynie dym unoszący się z piecyków i kuchenek dawał znać, że śnieżne pole nie jest martwe. Znajdowały się te pozycje — jeśli można je nazwać pozycjami — do

- łownie pod nosem Niemców, obserwatorzy o szczególnie wrażliwym

MuschErnst (1885-1945), feldmarszlek niemiecki; odpaździernia 1943 r. dowódca

Grupy Armii „Mitte”, na skutek klęski wojsk niemieckich w 1944 na Białorusi /ostał zdymisjonowany.

85

powonieniu rozróżniali nawet zapachy gotowanej stawy i mogli wszcząć spór o to, jaką tam Rosjanie mają dziś na obiad kaszę. I cóż? Nie minął tydzień, jak z tych podśnieżnych nor zaczęło się donosić przebieranie strun gitar i dźwięk harmonii, zagrzmiały zespoły i konkursy, i rozległy się przemówienia, że teraz to już ani jednej piędzi ziemi cudowni bohaterowie nie oddadzą... Jednocześnie wszakże zaczął się już zakradać strach. Co oni tam tak świętują? Czemu się cieszą? Że tracą stolicę? A może mają nadzieję, że jej nie stracą? I czekają, aż przetrzucą do nich z beczynnych dalekowschodnich armii świeże posiłki? Może być i tak, ale oni sami też stali się jacyś inni.

O tym nowym przeciwniku w Berlinie mieli zbyt słabe wyobrażenie. Nie bał się już frontalnych ataków, wziąć go można było tylko okrężnym manewrem. I, na ile Reinhardt mógł to pojąć, Guderian nie podjął działań, jakich spodziewali się po nim i Fihrer, i Rosjanie; pozwolił tylko swoim czołgom wdać się w bój, pozwolił Rosjanom postuchać ryku dwustu motorów, ale napotkali jedynie jego piechotę, konnicę i jednostki motocyklowe, czołgi zaś wycofał, sobie znanym manewrem, i długim, okrężnym rajdem ominął Tułę od wschodu. Dywizja znalazła się w kotle, i kocioł ten wciąż się rozciągał, i — zdawało się — Reinhardt był już na tropie zamysłu Guderiana: nie Tuła była mu potrzebna, a Kaszyra. O, rzecz jasna, Kaszyra to zaledwie połowa drogi do Moskwy! Przy cudownych okolicznościach, jakie umiał stwarzać

„szybki Heinz", mogło to być przejście do krańców rosyjskiej stolicy, jedna jednostka ognia, jedno tankowanie, jedna dzienna racja dla załogi. W każdej chwili mogła nadejść wiadomość o wzięciu Kasziry; byłoby to sygnałem dla Reinhardta, czy rozpocząć ma ostatni skok. I tej właśnie chwili Reinhardt oczekiwał z przerażeniem.

Jego czołgi stojąc w miejscu spalały resztki paliwa, inaczej przed porankiem nie można by zapuścić motorów. Do płaszczy chłodnic zamiast niezamarzającego płynu wiano wodę — po jakichś dwóch-trzech godzinach wyłączone motory nadawały się tylko na złom. A poza tym tak nieobliczalnie dużo zużyto paliwa, że dawno już starły się czopy na ogniwach gąsienic, i buksowanie po gołoledzi pochłaniało go dwukrotnie więcej. Przed kilkoma dniami na stację Kalinin przybył eszelon załadowany „szczególnie cennym ładunkiem". Nie roztraskany przez lotnictwo rosyjskie, nie nadwyreżony przez partyzantów, przywiózł zamiast paliwa, zamiast niezamarzającego płynu, zamiast nowych gąsienic, zamiast pocisków — oszlifowane płyty czerwonego granitu fińskiego na pomnik Adolfa Hitlera w centrum zdobytej Mosk-

86

wy...* Tak więc jak? — pogratulować powodzenia Heinzowi, czy też lepiej o tym nie słyszeć?

Nie wiadomo zresztą, czy byłby Reinhardt bardziej ponury czy by się ucieszył, gdyby znał prawdę. Tego samego dnia, kiedy generał Kobrisow po wysłuchaniu niewesołego raportu dowódcy dywizji Swiridowa rzekł do niego: „Wiesz, twoja obrona podoba mi się" — i zabrawszy ze sobą Szestierikowa tak lekkomyślnie udał się z nim w gości na

francuski koniak, tego samego dnia — może również w tę godzinę o zmierzchu? — o dwieście kilometrów na południe za Tuła, przechylając się na oblodzonym zboczu i również bez czopów, spełzał niepowstrzymanie do wąwozu czołg dowodzenia Guderiana. Zwichrzony śnieg zasypał szczeliny obserwacyjne i długie ześlizgiwanie się w dół w białej ślepotcie było udręką niczym nudności.

Jeszcze gorzej, w sposób jeszcze bardziej upokarzający poczuł się Guderian, kiedy wreszcie czołg stanął — na samym dnie. Ani słowa wymówki do kierowcy — tradycja pruska nakazywała adresować swoją irytację jedynie tylko do wyższych rangą, ale nigdy poniżej. Wygramolił się z wjazdu i poczłapał przez zaspy szukając miejsca, z którego mógłby się wydostać. Czołg z zadartą lufą z wolna popętlął za nim. A przecież dopiero godzinę temu znajdował się na pozycjach 43.

Korpusu Armii i wracał stamtąd przepełniony nadzieją, w duszy coś mu śpiewało. Wzruszony był niemal do łez, ale w dzienniku swym napisał słowa surowe, uroczyste, rzymskie: „Żołnierze poznawali mnie i witali radosnymi okrzykami”.

Tak też i było. Ten jego czołg, pomalowany na biało, z żółtym tylko krzyżem i czarnymi literami „G” na burtach, z chybotającymi się nad wieżyczką czułkami anteny, równie powoli pętlął po dnie wąwozu—jakiegoś być może zamrożonego potoku — i z obu stron ze stromych stoków /biegali się, schodzili ku niemu żołnierze. Stojąc do pasa we włązie przyglądał się ich twarzom zwróconym do niego z nadzieją i pytaniem, sam przy tym nie miałym wysiłkiem utrzymując wyraz twarzy taki, jaki przywykli widzieć w lepszych dniach: stanowcze oblicze wciąż młode-

Lo zawadiaki, figlarne, lecz niezmiennie przyjazne. A tymczasem sam dostrzegał coś nowego w ich twarzach — brudnych, porośniętych szczecią, dotkniętych odmrożeniami, z zaczerwienionymi od zapalenia

* Tymi płytami wyłożone są w Moskwie na ulicy Twerskiej cokoły budynku Telegrafu Centralnego i gmachy sąsiednie.

87

spojówek oczami — widział porozrzucane dokoła zbielejące pagórki, wyzierające tu i ówdzie podbródki i czubki butów, niekiedy nogę zgiętą w kolanie, skurczone palce, przysypane śniegiem oczodoły. Stało się coś ostatecznego i zapewne nieodwracalnego: Niemcy przestali grzebać swych zmarłych! Odciągali ich tylko od okopów — stąd, do tego wądołu.

Jechał i tratował gąsienicami cmentarz!

Jednak — jak się wydawało — żywi byli mu mimo wszystko radowi; słyszał okrzyki, jakie pragnął usłyszeć:

— Staruszek prosił...

— Zuch z niego, wygląda, jak zawsze...

— A może nie jest tak źle?..

— Zaraz powie..., któż, jeśli nie on?

— Heinz, nie ukrywaj niczego przed nami!

Przestali wierzyć swoim oficerom, wierzyli tylko jemu. Był to jego batalion, w którym dawno temu, jeszcze jako lejtnant dowodził kompanią; pozostały tu, zgodnie z tradycją, jego furażerka i pistolet, on zaś zyskał miano „żołnierza honorowego”; tutaj każdego dnia w jego kompanii feldfebel na apelu wykrzykiwał: „Guderian Heinz!” — i równie donośnie odkrzykiwał prawoskrzydłowy: „Nieobecny z usprawied-

liwionego powodu: dowodzi 2. Armią Pancerną!" Ci strzelcy i on uważali się za kriegskameraden, a więc mogli się zwracać do niego per „ty” i pytać o wszystko. Ale, Boże, co się działo z jego batalionem! Cóż to było za wojsko! Tylko nieliczni mieli normalne umundurowanie — to znaczy byli w kuszach płaszczykach, w skamieniałych buciorach, uszy przykryte robionymi na drutach kominiarkami, większość — w pilotkach zaciągniętych na policzki, albo w rosyjskich podartych uszankach, albo okutani w babskie chusty, w chłopskich kozuchach, damskich futerkach, jedni w filcowych buciskach — walonkach, drudzy w gumowych kaloszach wypchanych szmatami i papierem, jeszcze inni w kapciach z onucami... brudni, udręczeni przez wszy, grzejący sobie ręce pod pachami, przeskakujący z nogi na nogę, mieli w oczach coś psiego, łzawego, błagalnego — tak wyglądali bohaterowie wyprawy na Polskę, bojów na rzece Mozie i pod Dunkierką, zdobywcy Brześcia, Smoleńska, Orła!

Rozkazał kierowcy zatrzymać się, zerwał z głowy hełm z ochronnymi okularami i czarnymi kapsułkami laryngofonu, ściągnął podbite futrem rękawice, położył ręce na gorące opancerzenie. Wiedział, jak rozmawiać z żołnierzami, ale należało, choćby w niewielkim stopniu, utożsamiać się z nimi.

88

Głos tamtego Guderiana rozległ się teraz nad czymś, co bardziej przypominało śmierdzącą hałastrę niż dawny batalion:

— Żołnierze! Starłem się poprowadzić was drogą zwycięstwa, i wyście mi podarowali te zwycięstwa. Jestem szczęśliwy, że dowodzę wami. Do góry głowy, mamy z czego być dumni. Bywało z nami go-

rzej, niż w tych rosyjskich śniegach, no nie? Ale o żadnym naszym zwycięstwie nikt nie mógłby nigdy powiedzieć: „Udało się im”. — A naszemu przeciwnikowi — wyciągnął rękę tam, gdzie znajdowały się niewidzialne pozycje Rosjan — powodzi się w sposób po prostu nieprawopodobny. Nie znaczy to jednak, że szczęście opuściło nas na zawsze, leszcze trzy dni — i wszystko się zmieni, trzeba tylko poczynić jeden, ostatni wysiłek. No, żołnierze... Generał może zażądać od was tylko ti«go, co jest możliwe, co leży w granicach sił ludzkich, o rzeczy niemożliwe wolno mu tylko prosić. Jesteście umęczeni, zasłużyliście na odpoczynek, a ja powinienem wycofać was na tyły. Ale nie potrafię tego /robić, nie mam kim was zastąpić. I oto wasz stary Heinz prosi was...

Rozejrzał się po tłumie i niczego nie wyczytał z twarzy skostniałych z zimna, tępych, nie potrafiących wyrazić ani strachu, ani znękania, ani nawet pokornej gotowości do śmierci.

— ...prosi was — powtórzył przykładając rękę do piersi — aż do chwili, kiedy wasi towarzysze nacierać będą na inny odcinek frontu, po/ostać jeszcze ze trzy dni w okopach. I "każdego, kto nie zechce — zwolnię. Nic mi nie przychodzi innego do głowy. To wszystko, żołnierze. Słyszał ich milczenie, zdając sobie jasno sprawę z tego, że tylko to mil- i/enie mogło być odpowiedzią na jego nawoływanie do ostatniego wysiłku.

Mróz spalał mu policzki i uszy, lodowaty wiatr rozwiewał włosy, skóra na głowie zmartwiała. Ileż to mokołu kosztowało go, by się nie wzdrygnąć, nie kurczyć z zimna pod futrzanym kombinezonem. Ale jakiś ruch dał o sobie znać w tłumie, do jego czułego ucha dotarła jakaś zmiana. I oto czyjś ochrypy głos wypowiedział to, czego w takim napięciu oczekiwał:

— Po co ta mowa, Heinz. Ma się rozumieć... Zostajemy.

Jakby jedno wspólne westchnienie wyrwało się z tłumu, skupionego wokół jego czołgu, i przytłumione, wibrujące z zimna głosy brzmiały dlań słodziej niżli najśłodsza muzyka.

— Skoro prosisz, Heinz, to znaczy, trzeba... Naprawdę, zostaniemy wszyscy, jak jeden mąż.

— Mógłbyś i nie prosić, a żądać. Niemiec jesteś i znasz święte słowo „verboten”.

— Postaramy się, Heinz! Przegnamy ruskich z ich pozycji!

89

— O to nie proszę — odpowiedział niemal nikogo nie widząc, czując w gardle dławiący gruzetek. — Tylko w swoich okopach. I tylko na trzy dni. W tym czasie nadejdą uzupełnienia, paliwo, dostaniecie zimowe umundurowanie. I odpoczniecie w ciepło.

— Nie za dużo obiecujesz, Heinz?

Głos rozległ się z tyłu, odwrócił się więc gwałtownie i gniewnie.

Jakiś maleńki człowieczek, czarnobrody i nosaty, podobny do Włocha, w szynelu okutanym podartym kocem, spochmurniały ze złości, z automatem zaciśniętym pod pachą, wyciągał ręce ku kłapom żaluzji, skąd wiało ciepłem silnika.

Roześmiawszy się, Guderian, pobłyskując zębami wskazał go ręką:

— Ten już nic nie potrzebuje. Rozgrzał się przy moim „tyłku”.

„Ten” zaś, drgnąwszy, cofnął ręce, speszony, ale wszyscy patrzyli na niego z czymś przypominającym uśmiech, i on również spróbował się uśmiechnąć.

— Jak się nazywasz? — zapytał Guderian.

— Szeregowy Weber, panie generale-pułkownika.

— Panie Weber, na cóż te ceregiele? Nazywam się Heinz. A ty?

— No, Friedrich... Friedrich Weber.

— Co ty mówisz? Czyżby — Fritz?

Ten, jeszcze bardziej speszony, już bez uśmiechu, zapytał urażo-

ny: — Nie rozumiem, co w tym śmiesznego?

— Nic. Mój ojciec był Fritz. I mój brat—Fritz. Śmieję się z tego, jak Rusczy cię nazywają: „zamrożony Fritz”. Im się wydaje, że nie jesteś już wojakiem. Co ty na to?

I ten kurdupelek, taki z wyglądu cherlawy, ale widać z tych, co to swój charakter mają, i w boju, i w łóżku — nagle wrzasnął, trzęsąc się z wściekłości, unosząc rękę ze skurczonymi, w żaden sposób nie dającymi zacisnąć się w pięść, palcami:

— Daj rozkaz do ataku, Heinz!

— No, no, uspokój się...

— Zobaczysz dzisiaj „zamrożonego Fritza”. Dziesięciu ruskich nieboszczyków, ciepłutkich, masz u mnie, jak amen w pacierzu!..

Tak, to było jednak wojsko. Duch teutoński pod równymi szeregami głębokich hełmów, pod sztandarami na placu defilad, w donośnym kroku maszerujących legionów — to nazbyt już proste!.. Duch ten dał o sobie znać przekraczając granice rozpacz, wmarzając w zaspy obok nieboszczyków; pożegnali się już z myślą, że powrócą kiedyś do życia, lecz przy pierwszym wezwaniu otrząsnęli się, podnieśli na du-

chu niczym bojowe konie na dźwięk trąbki, i oto już kroczyli hurmem

/..a jego czołgiem i żądali potrząsając bronią:

— Poprowadź nas choćby teraz, Heinz!

— Rozgrzejemy się w ataku!

— Pamiętasz, jak było pod Dunkierką?

— A jak forsowaliśmy Berezynę? To było naprawdę coś!

...Co powiedzieliby teraz widząc, jak snuje się po dnie niekończą-

cego się parowu, wskazując kierowcy, gdzie jest spadek, i już zawcza-

su wiedząc, że nic z tego nie wyjdzie! Białego czołgu nie dostrzegliby

bodaj w ciemnościach, a jedynie jego samego w czarnym kombinezonie,

komuś tam wskazującego ręką — widowisko z pewnością dziwaczne, ale

leż i żałosne; ten „zamrożony” niezgorzej by się uśmieł w odwecie.

Zrezygnowany, wszedł do czołgu i kazał wyłączyć silnik, a włącz

trzymać otwarty, żeby nie przegapić jakiejś przypadkowej maszyny.

Nie był w stanie powiedzieć przez radio o swoim nieszczęściu, dzie-

siątki słuchaczy dowiedzieliby się o jego prośbie, której nie sposób na-

wet zaszyfrować, i oczywiście rozniosłoby się to po całym froncie.

Skurczony w stygnącym stalowym pudle, bojąc się zasnąć i od czasu

do czasu podnosząc na duchu załogę, wciąż jeszcze powracał myślami

do tych strzelców i zastanawiał się, czy żołnierską obietnicę, którą wy-

rwał dzisiaj — nie wyłudził! — z ich zamarzających ust, czy jego same-

go nie omotała i czy nie spoczywa na nim swym morderczym

ciężarem. Generał, rozkazując żołnierzowi umrzeć, przynajmniej nie

oszukuje go. Lecz jest trzykrotnym mordercą, kiedy obiecuje zwycię-

stwo, w które sam nie wierzy.

Koło północy przypadkowy samochód łączności zabrał ich i dowiózł do sztabu 2. Armii Pancernej rozlokowanej w Jasnej Polanie, posiadłości Tołstoja. Białe wieże wrót — podobnie jak po raz pierwszy, kiedy w nie wjechał — wydały się bastionami, które za każdym razem trzeba szturmować od nowa, i podchodząc do folwarku aleją potężnych lip, czuł, że /dobywa się na najbardziej znaczące w swoim życiu postanowienie.

Adiutant i oficerowie sztabu, czekający na niego z raportami, pomogli mu zdjąć kombinezon; zjadł z nimi kolację przy rodzinnym stole Tołstojów, rozgrzewając się koniakiem i opowiadając ze śmiechem o tym, co przydarzyło się w wąwozie. Wiedział, że będą to powtarzać w armii jego słowami, naśladowując jego intonacje. Wówczas się z nimi po/cgnał, prosząc, by nie wzywając ordynansów sami sprzątnęli ze stołu i zamienili wszystkie cztery świece w lichtarzach. Poza tym poprosił o

91

połączenie go z dowódcą Grupy Armii „Środek” feldmarszałkiem von Boćkiem* — jak tylko to będzie możliwe.

Kilka minut przesiedział bez ruchu, przysłuchując się szelestom, skrzypieniu i żalonym westchnieniom starego domu, wyciu zawiei i okrzykom patroli, przenikającym przez szczelnie zasłonięte story, potem wstał, podszedł do stojącego zwierciadła w potrząskanej owalnej ramie z orzechowego drzewa. Zwierciadło, w którym lubił się zapewne przeglądać córki Tołstoja, odbijało szczupłą, lecz i na swój sposób tęgą postać pięćdziesięcioletniego generała-pułkownika niemieckich wojsk pancernych, w szarym mundurze z czarnym, pluszowym kołnierzykiem, z Krzyżem Rycerskim z Liśćmi Dębowymi na

szy — szczególnie cenionym odznaczeniem — starzejącą się powoli młodzieńczą twarz o szaro-błękitnych oczach i niewielkich, pszenicznego koloru wąsach. Teraz, kiedy twarzy nie było dla kogo upiększać, nie miała uśmiechniętego, figlarnego wyrazu, lecz jakiś udręczono-szary. Wpatrując się w siebie z uporem, po kobiecemu, umył ją ręką, ale tym ostrzej zarysowały się ciemne worki pod oczami. Następnie ręka opadła, rozpięta dwa guziki munduru, dotarła za mankietem do lewej strony piersi. Nikt w całej armii, nawet z najbliższego otoczenia nie wiedział, że dziarski Heinz, uchodzący za okaz zdrowia — ducha i ciała — był w ruzciy samej bardzo chorym człowiekiem, narażonym na niespodziewane omdlenia i ataki serca. Tymczasem jeszcze ten uścisk serca pod żelazną, lecz odzianą w coś miękkiego ręką, to budzące strach dławienie udawało się rozluźnić dwoma kieliszkami koniaku. Ale wcześniej czy później bez lekarza się nie obejdzie. Miał zamiar to zrobić w Moskwie. Tymczasem z perspektywy dzisiejszego wądołu Moskwa wydawała mu się zbyt daleka.

Wziął ciężki lichtarz i przeszedł do gabinetu gospodarza, do biurka, które były teraz jego gabinetem i jego biurkiem. Miał decyzję wyraźną i niemal gotową, lecz w obawie przed nią, odsuwając ją w świadomości, postanowił najpierw napisać list do żony. Uskarżał się w nim na ucisk w sercu, o czym już wiedziała, opisał szczegółowo swoje doznania i poprosił, by ostrożnie, nic nikomu nie mówiąc, poradziła się lekarza. I dalej, bez żadnego przejścia, zarzucił ją skargami bynajmniej nie dotyczącymi stambocka Bock Fedor von (1880-1945) — feldmarszałek niem. W czasie uderzenia na ZSRR dowóca Grupy Armii „Mitte”. Po klęsce pod Moskwą odwołany wskutek sporu z

Hitlerem. 1-VII 1942 dowódca Grupy Armii „Siid”, ponownie zdymisjonwany.

92

nu zdrowia, jakby frau Margarita Guderian, jego Gretel, jedna jedyna w całych Niemczech mogła mu w tym pomóc. Zresztą po latach, wymieniając trzy rzeczy, które „czynią nasze ziemskie życie świętym”, wspomni o miłości do kobiety, i to niewątpliwie mając na myśli ją, Margaritę Herne, którą spotkał dwadzieścia lat przedtem jako szczęśliwy lejtnant, dowódca kompanii strzelców, i w sposób szczególny ocenił jej umiejętność bycia wierną przyjaciółką żołnierza; komuż więc innemu mógłby wysyłać bolesne wyznania? „Mnie samemu trudno w to uwierzyć — wykaligrafowała jego ręka — że w ciągu dwóch miesięcy można było tak pogorszyć sytuację, która wydawała się niemal wspaniała!..” Miała się nibawem dowiedzieć, że „nasze dowództwo nazbyt naciągnęło ciężew łuku, żąda od armii wykonania zadania niewykonalnego przy obecnym stanie dróg, pogody, zaopatrzenia w paliwo, techniki, zimowego umundurowania...” Docierał w końcu do niej lament duszy, mówiący o tym, że jej I leinz zna swoją cenę, swoje umiejętności, i to, że rezerwy tych umiejętności są na wyczerpaniu: „Nie mogę przecież sam jeden rozwalić całego frontu wschodniego!”

Skąd jednakże wzięło się to małe słówko „niemal”, które ręka sama wykaligrafowała i nie odważyła się wykreślić? Czyż na początku inwazji sytuacja nie wydawała się wspaniała — i bez żadnych „niemal” — choć wiadomo było z góry, i jemu bardziej niż komukolwiek innemu, że rosyjski „argument pancerny” pięciokrotnie przewyższa niemiecki? „My natomiast, moi panowie — tak przekazano mu słowa

Rihrrera — mamy Guderiana!" I jakże przyprawiała o zawrót głowy ta lekkomyślna w gruncie rzeczy pochwała!... „Drogi mój generale-pułkownik, ile dni wam potrzeba, by rozprawić się z Mińskiem?" „Jakieś pięć-sześć, mój Fuhrerze". — „A więc mogę mieć pewność, że przybędzie tam co najmniej przed 28?" — „Tak, mój Fuhrerze". Pomylił się o jeden dzień: jego czołgi i czołgi grupy Hotha* były w Mińsku 27. Blitzkrieg z wyprzedzeniem o jeden dzień, choćby nawet z opóźnieniem o tydzień, czyż to nie wspaniałe? Ale jeszcze na wiosnę, kiedy w Niemczech po raz ostatni przebywała komisja wojskowa Rosjan i oglądała Hoth Hermann (1885-1971) gen. niem. Od 1938 dowodził dywizjami zmechanizowanymi i pancernymi. Od jesieni 1941 jako dowódca 3 Grupy Pancerniej (następnie 3 Armii Pancerniej) brał udział w kampanii rosyjskiej w składzie GA „Mitte". 5 X 1941-1 VI 1942 dowódca 17 A., następnie 4 A. Panc, która poniosła klęskę w bitwie stalingradzkiej.

93

jąc fabryki Porsche'a pytali z niedowierzaniem: „Czyżby T-IV był najcięższym waszym czołgiem?", już wówczas zakradło się podejrzenie, że przewaga polega nie tylko na liczebności. I już w końcu czerwca rozeszła się wieść o nowym czołgu rosyjskim przewyższającym wszystkie znane dotąd konstrukcje.

Nie chciało się w to wierzyć, ale kiedy zaznajomiono się ze zdobyczym „rosyjskim Christie"* pod skromnym kryptonimem „1-34", rozwiały się wszelkie wątpliwości. Zdumiała przede wszystkim elegancja kształtu, pochyłość płyty korpusu i wieży, opływowe jej czoło. Żadnej płaszczyzny pionowej i co za niskość osadzenia, i jakie szero-

kie, półmetrowe gąsienice! — jakże mogli na to nie wpaść ani Christie, ani Ferdinand Porsche**, ani on sam wreszcie: ten, którego uważano za twórcę sił pancernych Niemiec!

Pilno mu było wypróbować „trzydziestkęczwórkę”; usadowił się przy dźwigniach i pognał po polu zrytym okopami i lejami, przebił mur z cegieł, wystrzelił z armaty i obu karabinów maszynowych — z wieży i z kierunkowego. Potem ostrzeliwano ją z armat czołgowych, stawiała aktywny opór, odsyłając pociski w niebo; padając pod kątem prostym tworzyła jedynie wgłębienia; tylko ciosem z tyłu, w chłodnicę, udawało się ją uszkodzić. Czołg umarł, ale się nie zapalał — co oznaczało, że uratowałby swoją załogę — pracował wszak nie na benzynie, od której czołgi niemieckie płonęły jak stosy. Podchodząc do tej cudo-maszyny, położywszy rękę na ciepłe opancerzenie, mógł tylko powiedzieć z uśmiechem zachwyty ukrywającym zakłopotanie, oszołomienie: „Taką limuzyną objechałbym cały świat”.

Nic lepszego nie można było wymyśleć; tego — niestety! — nie można było nawet powtórzyć. Niemiecki wynalazek — diesel — Rosjanie spożytkowali tak, jak nie potrafili sami Niemcy: wykonany z Walter Christie — amerykański konstruktor czołgów. Niemcy nazywali „rosyjskim Christie” radzieckie czołgi z uwagi na zbyt jawne zpożyczenia jego rozwiązań konstrukcyjnych. W odniesieniu do „T-34” była to opinia niesłuszna.

Porsche Ferdinand (1875-1951) — niemiecki producent samochodów, w 1934 skonstruował VW „garbusa”, w czasie wojny jego zakłady pracowały dla przemysłu zbrojeniowego. W sierpniu 1942 Porsche otrzymał zamówienie na produkcję nowej wersji „tygrysa” (Tygrys II Ausf. B), z grubszym pancerzem ułożonym pod większym

kątem (podobnie jak w T-34), ale w osteczności zwyciężył konkurencyjny projekt zakładów Henschela.

94

.iluminium, z jakiegoś tajemniczego stopu, wyszedł spoisty i lekki, w dodatku wystarczająco ochładzał się w tylnej części kadłuba czołgu. Nieznanemu rosyjskiemu konstruktorowi udało się przewyciężyć to, co stanowiło niedorzeczny, potworny paradoks Niemiec: lekkie motory na benzynę w czołgach i żeliwne diesle — w samolotach, gdzie jeszcze mogły się ochładzać w szybkim strumieniu powietrza.

Będąc kilka razy w Rosji jeszcze w latach dwudziestych, w składzie komisji generała Liitza, nie odniósł wrażenia, by Rosjanie mogli tak posunąć się do przodu. Chętnie pokazywali swoje fabryki i poligony, przyglądał się manewrom w Kazaniu, pojechał do Tuły tą właśnie szosą o dwa kilometry stąd, z całą kawalkadą samochodów; i major Cuderian tak miło, otwarcie rozmawiał z dowódcą zmechanizowanego pułku P. — nie przewidując oczywiście, że po jakimś czasie generał-pułkownik Guderian spotka i uściska generała-lejtnanta P., który trafi do niego pod Kijowem do niewoli. Zapytał wówczas wprost tego przymusowego gościa podczas przyjacielskiej kolacji, w jaki sposób powstał rosyjski czołg i dlaczego Niemcy nic nie wiedzieli? „To wszystko bardzo proste, Heinz. Robili go wrogowie ludu — czyli sumiennie i, oczywiście, w największej tajemnicy”. — „Jak to rozumieć?” — „Więźniowie. W specjalnej hali fabryki parowozów w Charkowie. Wa-«i agenci szukali chyba w fabryce traktorów?... A nazwisko rosyjskiego Christie brzmiało — Koszkin. Oskarżono go, zdaje się, o trockizm, a

być może o zamach na Stalina. Nie ma to w danym wypadku znaczenia. Ważne jest to, że miał pomysły i trzech dobrych pomocników. Wiele rzeczy trzeba było robić po raz pierwszy i oczywiście nie obeszło się bez rosyjskiego pomysłu. Kiedy się ma stać od Kruppa, nikt nie zastanawia się nad formą; oni takiej stali nie mieli, a trzeba było zadbać o jak największą nieprzebijalność — oto skąd się wzięły pochyle płyty. Diesel aluminiowy — to też konieczność: wyobrażasz sobie, ile by ważył żeliwny — przy mocy 500 koni, a tu jeszcze problem chłodzenia!.. Trzeba było wymyśleć nowy stop. Najważniejsza rzecz — to bodziec: ot, choćby dodatkowe jedzenie i każdego miesiąca spotkanie z żoną, cały dzień, w osobnej celi. W razie powodzenia obiecywali wolność".

- „I otrzymali ją?" — „Oprócz Koszkin. Sam się oswobodził. Nerwy zawiodły podczas badań próbnych, serce nie wytrzymało".

Tak oto dosięgnął go ze swego uwięzienia, a teraz już mogli, nieznanemu Koszkin, jego, znanego w całej Europie, z Krzyżem Rycerskim z Liśćmi Dębowymi. Tak czterech więźniów, natchnionych marzeniami o wolności i dodatkowej misce zupy, stworzyło prawdziwy

95

cudo-czołg i zmusiło serce Guderiana, by ścisnęło się w trwodze! „Zaiste, prawdą jest — powiedział do P. — nie kamień i żelazo decydują o sile więzienia. Jego siła bierze się z aresztantów. Runęłaby chyba, gdyby nie było choćby jednego więźnia-patrioty".

— „Możesz co do tego nie mieć wątpliwości" — odparł z uśmiechem P. — „Koszkin nie jest u nas jedyny. Takich patriotów mamy, ile dusza zapagnie".

(Rozmowa o patriotyzmie ciągnęła się po kolacji. „Chałupa, gdzie cię ulokowali, Misza — powiedział Guderian — nie ma zamknięcia. Strażnicy czasami zasypiają na warcie. Z jakiej strony jest wschód, można określić wedle gwiazd, a zresztą dam ci kompas. I możesz wziąć ze sobą dwóch ludzi". P. zastanowił się ze dwie minuty — i odmówił: „A któż uwierzy, Heinz, że ja, generał, odszedłem od Guderiana!" — „I ty, patriota, wolisz więzienie?" — „Wolę więzienie — odpowiedział P. — od trybunału i muru. Zapytają, czemu nie podzieliłem losu Kirponosa*, i co ja wtedy odpowiem?"

A przecież były — chociaż coraz więcej wprowadzano do walki tych „trzydziestczwórek" — „kotły": białostocki, kijowski, briański; były w przeciągu pół roku trzy miliony rosyjskich jeńców, spośród których mógłby połowę sobie przypisać. Co to za kraj, gdzie krocząc od zwycięstwa do zwycięstwa dochodzi się niezawodnie do klęski? A przecież nie mógł nie pamiętać, że na tym samym stole, przy którym siedział, leżał niegdyś rękopis wyjaśniający, co to za kraj i skąd czerpie taką siłę oporu, kiedy już całemu światu i sam sobie wydaje się pokonany i rozbity. Przygotowując się do inwazji czytał tę książkę pośród materiałów odnoszących się do wypraw na Rosję Karola szwedzkiego i Bonapartego, znalazł ją i tutaj, a kiedy go najbardziej interesowała, mógł czytać jedynie fragmenty, po kilka minut przed snem. A jednak tylko jedno miejsce podsumowujące bitwę pod Borodinem było założone wstążką, i powracał do niego wciąż i wciąż:

„Nie tylko Napoleon doznawał owego uczucia, podobnego do zmory sennej, że straszliwy rozmach ręki pada bezsilnie, lecz i wszy-

scy generałowie, wszyscy uczestniczący i nie uczestniczący w bitwie
żołnierze armii francuskiej — po doświadczeniu we wszystkich poprze-

* Kirponos Michaił Pietrowicz (1892-1941), sowiecki generał-pułkownik, dowódca
Potudniowo-Zachodniego Frontu. Znalazł się w kotle pod Kijowem i - zgodnie z
oficjalną wersją - zginął w walce; krążyły pogłoski, że się zastrzelił.

96

ilnich bitwach (podczas których po dziesięciokrotnie mniejszych wysiłkach nieprzyjacieli uciekał) — doznawali tego samego uczucia przerażenia wobec wroga, który straciwszy POŁOWĘ WOJSKA stał tak
Hamo groźnie w końcu bitwy, jak na jej początku. Moralna siła atakującej armii francuskiej była wyczerpana. Pod Borodinem Rosjanie odnieśli zwycięstwo [...]. Wojsko francuskie mogło jeszcze siłą rozpędu iJotoczyć się do Moskwy, lecz tam bez nowych wysiłków rosyjskiego wojska musiało zginąć. [...] Bezpośrednim skutkiem bitwy borodińskiej była niczym nie spowodowana ucieczka Napoleona z Moskwy, powrót starą szosą smoleńską, klęska pięćsettyśięcnej armii najeźdźcy i klęska napoleońskiej Francji, na którą pod Borodinem po raz pierwszy spadła dłoń silniejszego duchem przeciwnika".*

Z tych zdań, z taką energią brzmiących po niemiecku, które
wszakże, być może, utraciły w przekładzie swój utajony, mistyczny
nimis, chciał wyciągnąć naukę dla siebie — i nie mógł jej wyciągnąć,
choć kroczył tak blisko drogi Napoleona i kilkakrotnie ją przecinał. Nie
tóżnawał dotknięcia czyjejkolwiek ręki, silniejszej od jego własnej, nie
odczuwał też moralnej wyższości radzieckich generałów, z taką szczodrością rzucających najlepsze siły na rzeź, nie licząc się z niczym, bez

wnsu, aż nadto usprawiedliwiając znaną tezę Alfreda von Schlieffena**, że również zwyciężony wnosi swój wkład do twego zwycięstwa. C' hyląc czoła przed rosyjskimi żołnierzami, ich walecznością, spokojny, ofiarną gotowością do rozstania się z życiem, jednocześnie stanowczo sądził, że w odróżnieniu od Niemców brak im inicjatywy, boją się każdej niejasności, zachowują się w sposób nieprzewidywalny dla nich samych. To ulegając niewytłumaczalnemu strachowi sprawiają wrażenie stada baranów, lub też gnają nie wiedzieć dokąd, to znów nagle garstka desperatów broni do upadłego skrawka ziemi nie wartego nie tylko ich życia, lecz nawet kropli krwi. O obrońcach twierdzy w Urzćsciu, którzy walczyli tylko dlatego, że nie mogli uwierzyć w uciekę swej armii i nie pojmowali, iż znaleźli się na głębokim tyle armii niemieckiej, tej twierdzy, o którą wciąż miał do niego pretensję Ftihrer, mlyż, ni mniej ni więcej, obiecał Mussoliniemu wydać w jej murach obiad, on, Guderian, mówił: „Znaczenie tej twierdzy niepomierne

L. Tołstoj, *Wojna i pokój*, t. III, Warszawa 1966, s. 325-326, tłum. Andrzej Stawar.

Schlieffen Alfred (1833-1913) — feldmarszałek niemiecki, który przeszedł do historii jako twórca planu wojny na dwa fronty.

97

wzrasta, skoro interesujemy się nią i spada do zera, kiedy przestajemy się nią zajmować Trzeba przy jednym z wejść ustawić gniazdo karabinów maszynowych i reflektor, a przy drugim — kolejne gniazdo karabinów maszynowych i reflektor, samemu zaś wyruszyć dalej."

Niektórych wojennych stronic Tołstoja nie mógł czytać bez uczucia zażenowania w stosunku do autora. Pogardę dla „zawładnięcia ka-

wałkami materii na drzewcach"*, do ceny, jaką ma teren, na którym rozlokowano wojsko, można było jakoś wybaczyć laikowi, jednakże nie można było wybaczyć, ani pojąć uporą, z jakim negował wojnę jako rodzaj sztuki, ani traktowania jej jako domu wariatów, chaosu, gdzie nikt niczego nie jest w stanie przewidzieć, dlatego też żaden wódz w rzeczywistości niczym nie dowodzi. Ileż namiętności włożył w to, by udowodnić, że Napoleon nie dowodził i dowodzić nie mógł operacjami pod Borodinem! I przy tym autor zapomniał na amen, jaki komplement zrobił Napoleonowi, kiedy opisywał, jak on z miejsca, zanim jeszcze rozpoczęła się bitwa, przypuścił szturm na redutę Szewardyńską, wysyłając tam konnicę i zmusił tym Rosjan, by przysunęli się do pola, które było „nie bardziej pozycją niż jakiegokolwiek inne miejsce w Rosji" i na którym „nie do pomyślenia było w ciągu trzech godzin uchronić armię od całkowitej klęski i ucieczki"**. Tak więc wygrał! Już nie pozycja broniła ich, lecz oni musieli bronić czegoś, co nie stało się pozycją. Po takim manewrze Napoleon nie musiał już sam dowodzić, mógł wszystko powierzyć swoim marszałkom, a sam pójść pograć w karty albo wypić swój poncz. A jeśli już chodzi o sprawiedliwość, to nazwę swą bitwa pod Borodinem zawdzięcza jemu, gdyby nie on — byłaby to bitwa pod Szewardinem. Jednakowoż autor nie zdobył się na to, by napisać, że bitwę Bonaparte wygrał już dwie doby przedtem, nim się w ogóle zaczęła — ze zgrzytaniem zębów przyznał tylko, że przegrało ją głupie dowództwo rosyjskie. Hrabia zapewne podzielał obiegową opinię, że spośród dwóch generałów jeden wygrywa po prostu dlatego, że drugi musi być głupszy. Z tego rodzaju dowcipów Gu-

derian nic sobie nie robił, znał tę poprawkę: w sposób podejrzany

zwycięża właśnie ten, którego z góry poczytywano za głupszego.

Jeden epizod wszelako przemawiał do niego nie na żarty i wiele

wyjaśniał — to miejsce mianowicie, gdzie młodzieńca Rostowa pod-

Tamże, s. 326.

Tamże, s. 231,234.

98

czas ewakuacji Moskwy poleca, by wyrzucono cały dobytek rodzinny

i oddano furmankę rannym oficerom. Docenił w zupełności fakt, że

pozbawiła się tym samym posagu i bodaj nadziei na zamążpójście, po-

blażliwie odniósł się do wypowiedzianych przez nią słów: „Czy to my

jacyś Niemcy?”* Cóż, stulecia ukształowały u Niemców inną zasadę:

.irmia walczy, naród pracuje, więcej od niego nigdy niczego nie żada-

no. Ciekawe jednak, czy ten postępek zwariowanej „hrabianeczki”

przewidział staruszek Ku tuzów, kiedy przystał na bitwę pod Borodi-

i lem? Czy przewidział uległe porzucenie przez Rosjan Moskwy, party-

zanckie wypadki Płatowa i Dawydowa, inicjatywę starościny

Wasyliśy, która stanęła na czele oddziału chłopów pańszczyźnianych?

leżeli tak, to Bonaparte przegrał bitwę nim się zaczęła, niepotrzebnie

! .tracił siły ulegając azjatyckiej przynęcie „starego lisa Północy” i przyj-

mując generalną bitwę, która nie była wcale generalną, skoro w rezer-

wie u Kutuzowa pozostawały główne rosyjskie atuty — gigantyczne

przestrzenie Rosji, zdolność jej narodu do bezbrzeżnej uległości i po-

świecenia — bez najmniejszego żalu — wszystkiego, bez względu na

ilość ofiar ludzkich. I to on, Guderian, nie przewidział tego? Gdzież ma

Ieraz szukać swego Borodina?

Unikał przecież na wszelkie sposoby tych azjatyckich przynęt, zetknięcia pierś w pierś, przede wszystkim zaś przerwy w ruchu; bez ruchu nie było „szybkiego Heinza”, na nic by się zdały jego manewry oskrzydające, kleszcze przecinające uderzenia, błyskawiczne rokadowi” przesunięcia, jego słynne „walcowanie”, „szydełkowanie” — bez tracenia przy tym kontroli nad wszystkimi swoimi czołgami, trzymanymi zawsze „w garści, a nie porzrzuconymi”. A przynęta spokojnie c/okała na niego — Kijów, zawrócenie armii na południe, ku Łochwicy, gdzie jego czołgiści spotkali się z czołgistami von Kleista*** i w uwoim uścisku zamknęli „kocioł”, w którym znalazło się pięć rosyj- Tamże, s. 387.

rokada — linia kolejowa, szosa strategiczna równoległa do linii frontu, zapewniająca łączność między różnymi ujęgo odcinkami.

Kleist Paul von (1881-1954) — feldmarszałek niemiecki uważany za jednego z najwybitniejszych dowódców połowych Wehrmachtu. Przełożony Guderiana i Hotha, w Rosji dowodził początkowo I Grupą Pancerną, później objął komendę Grupy Armii „Południe”, atakował na kierunku kijowskim. Po utracie przez Niemców inicjatywy strategicznej dowodził obroną na południu Rosji.

99

skich armii. Ponad sześćset tysięcy jeńców — czyż to nie wspaniałe zwycięstwo? Blitzkrieg ma wszakże swoją specyfikę: nie znosi zmian, nawet zmian na lepsze. Odejście od głównego kierunku na Moskwę było zgubne. Czemuż to na naradzie w Borysowie zgodził się z Fiihrerem, który nagle przestał interesować się Moskwą i całą uwagę

skupił na Kijowie i Leningradzie? Dlaczego zaniechał prób przekonania go, nie zagroził dymisją? Dlatego, że jest żołnierzem? Nie, to za mało. To jemu samemu zachciało się porzucić Jelniński występ, gdzie Rosjanie stawiali bardzo silny opór i gdzie właśnie dojrzewała ta generalna. Jemu samemu zdawało się, że „przebiec” 450 kilometrów na południe i powrócić — zdąży się jeszcze przed zimą. Nie zdążyło się. I nie bez podstaw czynił mu wtedy wyrzuty Halder*, ten oschły egoista, cywilus, profesor, który nigdy w życiu nie dowodził nawet pułkiem, w dodatku znalazł sposób, by się nie pojawić na naradzie:

— Jak pan mógł, mój drogi Guderianie, zgodzić się na to? Był pan przecież przeciwnikiem takiej decyzji. Czym pana zwabili?

Słuchanie tego sprawiało Guderianowi największą przykrość, jemu, który jedyny spośród generałów odważył się przeciwstawić Fiihrerowi. Tamci tylko ciągle głowami kiwali, nawet wówczas, kiedy Fiihrer mówił: „Moi generałowie nie mają zielonego pojęcia o wojennej ekonomice”. Jednak właśnie dlatego, że do wysłuchiwania wyrzutów takich jak Haldera nie był przyzwyczajony, że dotyczyły go do żywego, wybuchnął, odpowiadając wyniośle i zuchwale, a — co najważniejsze — już niemal z przekonaniem:

— Przez dwie godziny rozmawiałem z Fuhrerem w cztery oczy, i zdołał mnie przekonać. Obiecałem mu i obietnicy dotrzymam, jak można najlepiej. Dokonam tego, co niemożliwe.

— W takim razie, mój drogi Guderianie, niech pan zatem sam zaplanuje tę operację. Proszę o pozwolenie, by Sztab Generalny palcem tego nie tykał. Nie zajmujemy się ofensywami zaliczanymi do kategorii

„niedokonalnych”.

Halder Franz (1884-1971) — generał, dowódca Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych. Po 20 czerwca 1944 roku Hitler na to stanowisko mianował Guderiana. Halder był autorem części założeń strategicznych planu „Barbarossa”, mimo że uważał wojnę z Rosją za poważny błąd. W lipcu 1944 poparł zamach Stauffenberga. Po uwolnieniu z Dachau przez Brytyjczyków został internowany. W 1947 odzyskał wolność i poświęcił się studiom nad historią II wojny.

100

— Mój drogi Halderze — odparł Guderian, ochłonawszy, uśmie-
tając się swym słynnym uśmiechem żołnierza, „swego chłopca” — to
właśnie to, o czym zawsze marzyłem. Żeby Sztab Generalny zajął się
lym, co potrafi, a do moich operacji nie wtykał palca.

Oschły egoista miał jednakowoż rację — oczywiście nie z nadmia-
i i rozumu, lecz wskutek doświadczenia życiowego, które podpowia-
dało mu, że temu krajowi wszystko wychodzi na korzyść, przede
wszystkim zaś jego nędza, jego fatalne drogi, niegospodarność i chro-
niczne niedożywienie po wsiach, brak paliwa, warsztatów, narzędzi,
karmy dla koni. Tymi sześciuset z nawiązką tysiącami jeńców Rosjanie
spłacili rzecz dla siebie naważniejszą — czas, kupili sobie i deszczową
jesień, i tę nieznośnie ostrą zimę, cały diabelski okres niepowodzeń,
|rtkich doznawali teraz Niemcy. Dobrze jeszcze, jeśli była to tylko strata
c/.asu. A jeśli — męstwa? A jeśli nawet sensu inwazji?

„Jestem tylko żołnierzem” — mówił o sobie, ale z czegoś musiała
cwrpać natchnienie jego energia, nie z samych tylko marzeń o buławie
feldmarszałka; i czerpała ona natchnienie ze świadomości, że szarej

ij/umie bolszewizmu nie potrafi się przeciwstawić rachityczna Euro-
pa, że położyć jej kres — potrafią jedynie silne duchem, zmobilizowane
Niemcy. I czuł się ostrzem miecza wzniesionego, by odciąć wszystkie
tl/.iewięć głów hydry, ale niestety..., niestety, nieruchawą jego rękojeść
il/.ierzyli inni. I nie on to wymyślił: generałowie prowadzą wojny, po-
litycy są od polityki. Jak tu wy tłumaczyć tym panom w Berlinie, którzy
nie lubią wychylać się poza świat swych iluzji, wypełzać ze skorupy
rtwietej niewiedzy, że tutaj, w Rosji, trzeba zajmować się i tym, i tam-
tym, i nawet nie wiadomo czym w pierwszej kolejności, trzeba —
nilach powiedzieć — ujmować w inny sposób same cele wojny. Jakby,
n,i przykład, ustosunkowali się do słów starego generała carskiego,
I- loremu bezskutecznie proponował stanowisko burmistrza w Orle:
— Przyszliście zbyt późno. Gdyby tak dwadzieścia lat wcześniej
)akżebyśmy was powitali! Ale teraz — dopiero co zaczęliśmy odży-
wać, a wyście przyszli i odrzucili nas wstecz o te dwadzieścia lat. Kie-
11 v odejdziecie — a odejdziecie! — będziemy musieli zaczynać
ws/.ystko od początku. Proszę wybaczyć, generale, ale teraz walczymy
11 Kosję, i w tym sensie stanowimy niemal jedność.

Był przy tym w pachnącym naftaliną i pomarszczonym od dwu-
il/iostoletniego leżenia na dnie kufra mundurze ze wszystkimi insyg-
niami. I nie wahał się przyznać, jak przez te wszystkie lata trząśnięty ze
ul i achu, że jego generalstwo wyjdzie na jaw.

101

W tych właśnie dniach doniesiono Guderianowi, że w celach i su-
terenach miejskiego więzienia znaleziono setki trupów — aresztantów

rozstrzelanych na dzień czy dwa przed upadkiem miasta. Rozkazał, by wyjaśniono, co to za ludzie i za co ich stracono. Który to już raz miał się przekonać, że pytanie „za co?” — konkretne dla pierwszego z brzegu rzeźnika z Gestapo — tutaj brzmi jak beznadziejna abstrakcja. Ani jeden ze straconych nie miał wyroku śmierci. Najczęściej skazani byli na pięć lat, niektórym wyroki już się kończyły, byli też tacy, którzy nie mieli żadnego wyroku, znajdowali się pod śledztwem — przeważnie w sprawach o „szkodnictwo”, udział w „antyradzieckich spiskach”, „zamiary kontrrewolucyjne”...

Polecił, by ułożono wszystkie trupy szeregami na podwórzu więziennym i otworzono wrota dla całego miasta. Sam też zjawił się tam, wyznaczywszy sobie piętnaście minut, i cierpliwie odstał je pod murem, bliski omdlenia. Przecenił jednakże swoje nerwy, okazało się to jeszcze straszniejsze, niż się spodziewał, jeszcze gorsze, niż gdyby ta bezsensowna masowa egzekucja odbywała się na jego oczach. Frontowego generała nie przerazi wygląd i zapach martwych ciał, nawet w większej masie, jednakże dotąd widział je na polach bitew, w milczeniu i spokoju czegoś już dokonanego i nieodwracalnego. Nie do zniesienia był widok — żywych, kiedy w napadzie rozpacz i jakiejś obłądnej nadziei usiłowali coś przywrócić, ożywić drogie twarze już dotknięte rozkładem, głaszcząc je, okrywając pocałunkami, oblewając łzami. Jednakowoż najbardziej nim wstrząsnęło, było straszniejsze od smrodu, od niekończącego się, nie milkącego lamentu — to, jak patrzyli na niego samego: ze strachem i wyraźnie widoczną nienawiścią. Jak gdyby on też miał z tym jakiś związek i jakby jego to było winą, że

martwi głusi są na rozpaczliwe błagania, żeby się odezwali. Najwyraźniej żądali, by sobie poszedł, by odszedł niezwłocznie, a przecież sprawa dotyczyła armii, która w niczym tu nie zawiniła i ludzie powinni byli to zrozumieć!

Między rzędami, szczerze błogosławiąc zabitych i żywych, chodził duchowny w liliowej sutannie, tłuściutki, siwowłosy, wymiętoszony rosyjski pop, po którym było widać, że jest to pijaczek boży i obżartuch, ale w duszy litościwy i przepętniony miłością. Opłakiwał wszystkich szczodrymi, nie wysychającymi łzami, co i raz wycierając oczy i nos podolem sutanny. Guderian kazał go wezwać i zapytał: — Czemu wasi wierni tak na mnie patrzą? Może ktoś im powiedział, że to zrobili moi czołgiści?

202

Nim przetłumaczyli jego pytanie, pop pochlipując i kurcząc się ze strachu, spoglądał z góry na dół na przystojnego generała w czarnym płaszczu i czapce-polówce, na której srebrny orzeł trzymał w szponach wieniec ze swastyką. Wydawało się, że wszystkie słowa ugrzęzły mu w gardle na widok potężnych strażników, którzy niezwłocznie, gdy tylko podszedł, wymierzyli weń karabiny. Z tymi chłopakami, tępymi, ale gotowymi, nawiasem mówiąc, umrzeć za niego, Guderian nie mógł sobie poradzić; wykonywali rozkaz Fiihrera, głową odpowiadali za bezpieczeństwo czołgisty numer jeden.

— Proszę mówić — powiedział Guderian — i niczego się nie obawiać. Byłoby jednak lepiej zostawić w spokoju sutannę.

Pop w odpowiedzi kiwnął głową i, nie mogąc się powstrzymać,

i /.knął od łez.

— Panie generale, czy nie zechciałby pan, aby odpowiedzi udzieliły

I >.inu nie grzeszne moje usta, lecz wstrząśnięta nieszczęściem dusza?

— Tak — powiedział Guderian. — Tylko tak.

— Nikt nie myśli, że to zrobili pana czołgiści. Ale być może nie doszłoby do tego, gdyby nie pańskie czołgi.

— Czy ma to znaczyć, iż nacierałem zbyt szybko? Przecinając szono nie dałem czasu na ewakuację? Cóż, to moje rzemiosło, ojczulku.

Starodawne i czcigodne, Bóg temu nie zaprzecza. Ja tylko starałem się wykonywać swoje obowiązki jak najlepiej. Czy jesteście przekonani, iż gdybym je wykonał gorzej i dał więcej czasu dozorcóm więziennym, i iic wystrzelaliby tych nieszczęśników, lecz wywieźli ciężarówkami?

Mam — nie wiedzieć czemu — pewność, że zrobiliby to samo, a samo- i hodami wywieźliby siebie samych i swój dobytek — i to jak najwięcej.

— Któż i w czym może mieć pewność poza Bogiem Jedynym?

— Tym nie mniej padł zarzut pod moim adresem. Dobrze, zgad/.am się. Jednak tym, którzy to zrobili, nie wypominacie niczego, przemilczacie to. Jak gdyby byli narzędziem mechanicznego śledztwa, lekkomyślnej, ślepej siły. Niczym huragan, trzęsienie ziemi...

Pop, spozierając na karbiny strażników, ciężko westchnął, po jego

I warzy, po głębokich zmarszczkach popłynęły łzy.

— Nie chciałbym pana obrazić, panie generale...

— Proszę mówić — wszystko.

— ...wszakże to nasz ból — wykrztusił pop — nasz i niczyj inny.

Wy zaś palcami swymi dotykacie cudzych ran i pytacie: „Dlaczego to

lioli? Jak śmie boleć?" Nie możecie jednak leczyć i ból od dotknięć wa-
•./ych tylko się wzmacnia, a rany, na które się patrzy, nie goją się wcale.

203

— Wynika z tego zatem, że popełniłem błąd obnażając przed wa-
mi te wasze rany? Lepiej byłoby je ukryć?

— Każdy krok człowieka to błąd, jeśli nie powoduje nim miłość i
miłosierdzie. Jeśli zeche pan być wobec siebie uczciwym, panie genera-
le, to przyzna pan...

— Dziękuję — powiedział Guderian. — Nie śmiem dłużej zatrzy-
mywać.

Przerwał nie duchownemu, lecz tłumaczowi, domyślając się już
tego, co zostało powiedziane i wiedząc, że pop mógłby za to oberwać
— potem, za jego plecami. Nastawiali już ucha oficerowie z działu pro-
pagandy, którzy pisali co i raz do Berlina donosy także na niego same-
go — skrupulatnie zresztą przechwytywane przez zaufanego
człowieka w kontrwywiadzie armii — tak więc nie było potrzeby wy-
słuchiwania tego, co czuli ci wszyscy płaczący, lamentujący, zawodzą-
cy, a o czym on sam i tak dobrze wiedział. — Przyszedłeś pokazywać
nam nasze rany, a co — z szubienicami na placach? A przepięknie
rozstrzelanymi parowymi i przydrożnymi rowami? A spalone wsie, a w nich
spaleni żywcem staruszkowie i niemowlęta? A wszystkie bestialstwa
sonderkommand i oddziałów specjalnych, wszystkie gwałty i grabieże
dokonywane przez armie Trzeciej Rzeszy? Sława o ich wyczynach wy-
przedzała ruch jego czołgów i dotarła już tutaj, na podwórze więzien-
ne, nim się pojawił. Czyż mógł nie rozpocząć się — lub choćby

przerwać w jakimś ogniwie — ów odwieczny bezmyślny, krwawy
kontredans: opór — kara — odwet za karę — nowa kara za odwet —
nowa zemsta za nową karę?

...A przecież w Łochwicy, tej, która zamknęła kijowski „kocioł”,
jego czołg zarzucili kwiatami.

Rękojeść miecza dzierżyli inni — i oni nie dosłyszeli słów kremlo-
wskiego tyrana wypowiedzianych jedenastego dnia wojny do tego sa-
mego narodu, z którego tak sobie do woli dotąd szydził. A przecież,
opamiętawszy się, Azjata ten wyrzekł to najprostsze, genialne, niez-
wodne: „Bracia i siostry!..” Być może nie dosłyszano tego, gdyż podobne
puste słowa ciskał z taką łatwością Hitler; w ustach posępnego Józefa Stali-
na miały one większą wagę i stanowiły obietnicę jakichś zmian. W rzeczy
samej niczego nie obiecywał, nie przyznawał się do żadnej ze swych zbrod-
ni i okrucieństw, jedynie opuścił jedną flagę i podniósł inną. Jednakże na-
wet po miesiącach Hitler nie dostrzegł zmiany flagi — rozeźliła go
bezczelna listopadowa defilada na Placu Czerwonym, ale tego, co powi-
nien był przewidzieć, znowu nie dosłyszał, nie wsłuchał się w przemó-

104

wienie, po którym miał już przeciwko sobie nie Sowdepnię z jej wzma-
gającą się bezustannie walką klasową, miał przeciwko sobie — Rosję.
Guderian, który zawsze, do końca swych dni, poczytywał za mit
„nirzwyciężoność rosyjskiego kolosa”, tej nocy przyznał się przed so-
ki samym, że w każdym razie letnia kampania została przegrana —
przegrana tego jedenastego jej dnia, kiedy z Kremla rozległ się bijący
n,i alarm głos: „Do was się zwracam, przyjaciele moi!..” — a Kancelaria

Rzeszy w Berlinie puściła to mimo uszu. Tak, zapewne, puściłby mimo uszu i Bonaparte, gdyby jego zwiadowcy donieśli mu, że kiedy on zdobywa pozycje i oczekuje na Pokłonnej Górze kluczy od Kremla — w tym samym czasie przez nikogo nie zapowiadana, przez nikogo nie przewidziana, zwariowana „hrabianeczka” Rostowa bez wahania oddaje swoje podwoły dla rannych. A przecież tym samym wypowiadała mu wojnę — i to wcale nie lżejszą niżli wojny Kutuzowa i Barclaya. Cóż — Rubikon został przekroczony, i czasu zawrócić nie sposób, nie powtórzy się 21 czerwca. Co pozostawało teraz, kiedy siły natarcia były wyczerpane? Kiedy motory się zużyły i czopy zatarty? Kiedy paliwa zostało na dwa dni walki, na tyleż czasu pocisków, a w garści — tylko jedna czwarta dawnej ilości czołgów, i nie ma nadziei, że wsko to nadejdzie choćby w ciągu tygodnia? Wykonać rozkazy Hitlera? Zebrać oddziały piechoty i poprowadzić je do rozpaczliwego celu, turmu? Nieźle by to brzmiało dla historii — „Lodowa wyprawa Guderiana”. Oni zaś — wspaniali żołnierze — pójdą za nim, dokąd ich poprowadzi... Ale niechaj ktoś inny popędzi ich do lodowatej mogiły. (Cóż może Guderian bez swoich czołgów?)!

Jego ręka kaligrafowała jeszcze w liście: „Rostow był początkiem innych nieszczęść...”, ale wiedział: to, co wybaczano Kleistowi, nie będzie mu wybaczone. Staruszek von Kleist zdobył Rostow i został z Rostowa wyparty, ale nie pozostawił żadnych śladów, nie pisał rozkazów, nie podejmował ważkich decyzji. Guderian, z którym tyle wiązano nadziei, musiał podjąć taką decyzję, na którą nie odważyłby się Sztab Generalny; zresztą już ją podjął i wiedział, że rozkaz sam napisze

(czście dzisiaj. Zapewne w tę mroźną noc nad tym, że można wycofać wic nie ponosząc klęski, niemal bez strat, zastanawiał się niejeden, ale nikt nie odważył się tego wypowiedzieć. On także się nie odważył, wystarczało to, że podjął decyzję o wycofaniu. Wybrał już odcinek obrony, dokąd należało wyprowadzić wojska z Kaszary i Tuły — linie rzek Szat, Upa i górny bieg Donu — z punktem dowodzenia w Orle. Tutaj Nii,' umocnić, przezimować, a na wiosnę kontynuować to, co rozpoczę-

105

to — drugą kampanię. Decyzja wydawała mu się sensowna i jedynie możliwa, lecz jakże zadrwił sobie z niego los, że to właśnie on, geniusz i dusza Blitzkriegu, musiał tutaj, w domu Tołstoja i przy jego stole, napisać pierwszy w swoim życiu rozkaz o odwrocie! Rozkaz zagrażający mu dymisją, niełaską Fuhrera, wezwaniem do rycerskiego pojedynku, złośliwym triumfem wielu jego kolegów-generałów. I taki właśnie los był mu sądzony.

Z dowódcą Grupy Armii „Środek”, Fedorem von Boćkiem, połączono go o piątej nad ranem. Feldmarszałek nie położył się jeszcze, był potwornie zmęczony, mówił głosem słabym i roztargnionym. Kiedy Guderian powiadomił go o swej decyzji, odpowiedzi nie było tak długo, że można było odnieść wrażenie, iż łączność została zerwana. W końcu von Bock zapytał:

- Gdzie się właściwie pan znajduje?
- W Jasnej Polanie, piętnaście kilometrów od przedmieść Tuły.
- A mnie się, nie wiedzieć czemu, wydawało, że w Orle...
- Panie feldmarszałku, generałowie-czołgiści takich błędów nie

popętniają. Znajduję się wystarczająco blisko swoich wojsk, by na własne oczy widzieć, jak cierpią nasi waleczni żołnierze. I znajduję się w wystarczającym oddaleniu, by mieć pojęcie o sytuacji ogólnej. Jest beznadziejna.

— Rozumiem. — powiedział von Bock. — Rozumiem pana decyzję.

Guderian oczekiwał widać jeszcze czegoś. I doczekał się.

— Proszę mi powiedzieć, mój drogi Guderianie, czy ma pan wystarczającą ochronę? Czy może pan przynajmniej dobrze spać?

— W zupełności, panie feldmarszałku.

— A ja, wie pan, choć o siedemdziesiąt kilometrów dalej, a czuję się...

— Panie feldmarszałku — powiedział Guderian — życzę panu dobrej nocy.

Przerywając w sposób wysoce impertynecki rozmowę z oficerem wyższej rangi dawał do zrozumienia, że nie liczy na to, by ten interweniował w jego sprawie u Fuhrera. Von Bock odpowiedział pośpiesznie i nawet jakby uradowany:

— Dobranoc, mój...

Guderian odłożył słuchawkę nie dosłuchawszy do końca. Po chwili dopisał w liście: „Najmniej myślę o sobie, o wiele bardziej obchodzi mnie

106

los całych Niemiec, o który bardzo się lękam". Po czym położył przed sobą czysty formularz z pieczętką dowódcy 2. Armii Pancerniej.

Zdobywając się na ten postępek — być może najdonioślejszy w

jego życiu — poczuł się jak biegacz, który w przedśmiertnym odruchu zubożniał nagle na wszystkie honory oczekujące go na finiszu, a bezmyślnym i niewiele wartym wydał mu się — hazard pierwszych chwil biegu. Nigdy jeszcze napisanie kilku zdań nie przyszło mu z takim wysiłkiem.

— Tak mi dopomóż Bóg — wyrzekł głośno odkładając pióro.

Rozkaz spoczywał na biurku Tołstoja. Kończył się standardowym I leil Hitler!, należało go tylko podpisać. Tymczasem „Szybki Heinz” zwlekał z tym, jakby w obawie, że kiedy papierek ten zostanie podpisany, przestanie być jego panem, lecz stanie się pokornym wykonawcą. Nagle ujrzał samego siebie z boku, z góry, jak błądzi po dnie niekończącego się wądołu, wskazując drogę jednemu-jedynemu czołgowi nie potrafiącemu pokonać bynajmniej nie spadzistego stoku. I już bez wahania podpisał. Po raz pierwszy zwykły jego podpis — bez imienia, stopnia, stanowiska — wydał mu się jakby oddzielony od niego, obcy wszystkiemu, co dotąd robił, co osiągnął, dzięki czemu zdobył rozgłos. Po prostu człowiek, nagi i bezsilny — Guderian...

Rozkaz ten dopiero co został rozesłany do wojsk, jeszcze nie podjęto /godnie z nim żadnych działań, toteż generał radziecki, znajdujący się na terenie cmentarza przy cerkwi Andrzeja Stratiłata, nie mógł o nim wiedzieć. Bezczyność przeciwnika, wyrugowanego z wioski Biełty U.ist, uspokojenia nie przyniosła; w nieoczekiwanym i jakby pokornym milczeniu Reinhardta mógł się kryć i nowy podstępny zamysł, i oczekiwanie na jakąś obiecaną mu rezerwę, ale też po prostu apatia, niechęć posyłania umordowanych żołnierzy w zamieć i mróz, do

szturmu. I, przewidując najgorsze, generał co i raz posyłał łącznika na koniu o półtora kilometra od swego punktu dowodzenia w Łobni, do węzła telefonicznego, chociaż łatwiej byłoby przeciągnąć dotąd przewód albo samemu tam poczłapać. To, czego tak pragnął — to samotnik'i, wzniesić ponad całą tą krzątaninę i bałagan—nie udawało się tutaj; brak informacji wycieńczał jeszcze bardziej, nie usuwając bynajmniej zagrożenia. Tutaj był niczym struś z wetkniętą w śnieg głową.

Ostatnim razem czekano na łącznika szczególnie długo, i wyłonił nie z zamieci nie wiedzieć czemu pieszo, prowadząc konia za uzdę.

107

Obok niego pojawił się jeszcze ktoś — w białym długopółnym kożuchu, uszance i walonkach; na piersi wisiała lorneta w nowiutkim futerale, szczelnie wypełniona raportówka chybotą się na biodrze. Na młodej jeszcze, spalonej przez mróz twarzy z dołeczkami na policzkach malowało się jakby zakłopotanie.

— To do was, towarzyszu dowódco — oświadczył łącznik. — Powiada: zabłądzili odrobinę.

Przybysz potwierdził to — ochoczo szczerząc zęby w uśmiechu

— i dodał, nieznacznie poruszając palcami w rękawicach obramowanych na nadgarstkach białym futerkiem:

— Mało to się przydarza... Przepraszam.

Generał cofnąwszy nogę ze schodów cerkwi rozmyślnie odwrócił się najpierw do łącznika i zażądał raportu o wiosce Białej Rast. Słuchając z uwagą — wciąż o tej samej bezczynności przeciwnika — kącikiem oka bacznie obserwował przybysza. Skrzypiący ekwipunek i zbyt czy-

sty kożuch zdradzały nie frontowca, ale nie mógł to też być oficer do szczególnych poruczeń ze sztabu frontu, a tym bardziej z Moskwy, inaczej się zachowywał. „Mordę ma jednakowoż dowódcy” — pomyślał w duchu generał. I poczuł jakby maleńkie uderzenie w serce: czy aby ten przybysz stojący w niezręcznym oczekiwaniu nie jest tym właśnie wydarzeniem, które musiało dzisiaj niechybnie nastąpić, to właśnie posłane z góry znamię powodzenia?

— Tak więc zabłądziliście — przeciągłym basem wyrzekł generał odwracając się wreszcie w jego kierunku. I ze sztucznym oburzeniem dodał igrając swym bogatym głosem: — Jakże to tak? Nie pojmuję! I lorneta nie pomogła?

— Jednak — odparł przybysz ochoczo się uśmiechając — udało się przecież do was dotrzeć. Jeśli, rzecz jasna, trafiłem do generała Kobrisowa. Chyba się nie mylę?

Łącznik stał z niewzruszoną twarzą głaszcząc nozdrza konia.

— Mylicie się, mój gołąbku, mylicie — przy tym żartobliwie-dramatycznym tonie, jakim mówił generał można go było zrozumieć dwojako. A z kim mam zaszczyt?

Przybysz nie nazbyt pośpiesznie wyprężył się, z wdziękiem dotknął rękawicą swej wspaniałej uszanki — o wiele wspanialszej od generalskiej.

— Podpułkownik Wiedienin, dowódca 206. Samodzielnej Brygady Strzeleckiej. Przybył do dyspozycji generał-majora Kobrisowa.

— A co z waszą brygadą? Zgubiliście, nie daj Boże?

— Skądże znowu. Widzicie... punktem docelowym miały być Pie-
riemierki Wielkie. A może Małe... Podpułkownik miał już sięgnąć do
BWej torby, ale rozmyślił się. — No, teraz to już nieważne, jedno i dru-
jiii' minęliśmy. A trafiliśmy do Łobni. Prosiłem waszego łącznika, żeby
pomógł nam się zorientować, a on zamiast tego przyprowadził do was...

— Mądrała z niego — odrzekł generał tonem ironicznie-aprobują-
i ym. — Ale dlaczego „zamiast tego”? Słusznie, że tu przyprowadził.
Łącznik stał na baczność z tym samym niewzruszonym spojrze-
niem, koń, brzęknąwszy wędzidłem, położył mu głowę na ramieniu i
/.ndirapał.

— Ilu masz ludzi? — zapytał szybko i władczo generał wymusza-
li równie szybką odpowiedź:

— Dwa pułki w pełnym składzie.

— W pełnym składzie — powtórzył niczym echo generał. — Cóż,
I icwnie dopiero co sformowane?

— Świeże, towarzyszu generale.

Podpułkownik odpowiadał takim tonem, jakby mówił: „Grena-
.lifrzy!C>rfy!”

— Świeże, czyli nie ostrzelane. Tak się to mówi — w języku woj-
skowym?

— Sybiracy, bądź co bądź — odparł podpułkownik.

— No i co z tego? — Generał podszedł do niego całkiem blisko i
nhr/.ucił spojrzeniem od góry do dołu z ironicznym zaciekawieniem.

Jak mam to rozumieć — to jakaś szczególna rasa — ci Sybiracy?

I .im, na Syberii, z niedźwiedziami pod rękę się chadza? Wódkę z mi-

!i.c/.erpakami się chleje i żywymi tygrysami zakąsa?

Towarzysze generała ochoczo zachichotali, ale on przerwał im i

!>.ilr/.ąc poprzez grube szkła z przenikliwą surowością wyrzekł podwyższonym do tonu rozkazu głosem:

— Szczególnych waszych syberyjskich zalet nie dostrzegam. Za-

! 'lodziliście jak małe dzieci. Wasze szczęście, że wasza kolumna marszowa i nie natknęła się na przeciwnika. Już on by was doskonale zorientował do grobu.

Podpułkownik w odwet besztającemu go dowódcy, jak to jest

}»!/yji/te w armii — poruszając tylko samymi palcami rąk w rękawiczkach i palcami nóg w walonkach — wyprężył się jeszcze bardziej, a (p^ n pociemniała twarz przybrała surowszy wyraz.

— Proszę, towarzyszu generale, wskazać nam miejsce rozlokowania i wyznaczyć zadanie. Jeśli istotnie mam honor stać przed generałem

109
łem Kobrisowem. Jeśli nie — proszę o pomoc w sprostowaniu naszego błędu. — I natychmiast poprawił się: — Mojego błędu.

— Twojego — potwierdził generał. — A ty wciąż swoje: „my” i „my”.

! , odwróciwszy się, jął się przechadzać po cerkiewnym podwórzu z rękoma splecionymi za plecami. Brygada ta, składająca się z dwóch pułków w pełnym składzie, to znaczy z pewnością trzech tysięcy ludzi, jak widać przyrzeczona została jego sąsiadowi Kobrisowowi, żeby czymś zatkać szeroką wyrwę pomiędzy prawym skrzydłem jego armii i szosą Rogaczowską, toteż w myśl wszelkich praw wojennych, a i po prostu sąsiedzkich obyczajów, należało ją przeprowadzić zgodnie z przeznacze-

niem, dając — wobec braku doświadczenia dowódcy i zupełnej nieznamo-
jomości terenu — jeszcze przewodnika. Cóż jednak warte były teraz
opinie sąsiada i nawet, niech to diabli, dyscyplina? Armia Kobrisowa,
zgodnie z planem, nie brała udziału w natarciu i nie należała do Fron-
tu Zachodniego; była to jedna z dwóch armii, których przekazania
Naczelnym bezapelacyjnie odmówił Żukowowi, a rozstawił na we-
wnętrznym pasie obrony. Zachowywał dla siebie tę rezerwę na wy-
padek, gdyby kleszcze czołgów Reinhardta, Hóppnera i Guderiana
zamknęły pierścień okrążenia wokół Moskwy — wtedy umierając obie ar-
mie pozwolą jeszcze ewakuować się jemu i jego towarzyszom z Biura Poli-
tycznego oraz komisariatów ludowych, z ich rodzinami i dobytkiem.
Brygady tej nie można było wyprosić ani u Kobrisowa, ani u Żukowa, a je-
dynie u samego Naczelnego — czyli u nikogo, chyba że u Pana Boga. Ale...
czy to nie On posłał mu ją teraz — wodząc na ciężkie pokuszenie: przy-
właszczyć te trzy tysiące młodych, silnych, podobno dobrze umunduro-
wanych i uzbrojonych, choć nie ostrzelanych, ale — Sybiraków,
myśliwych, strzelców! W wypadku powodzenia — gdy obie te armie staną
się niepotrzebne — rozumie się, wybaczą mu to! Jednakże, jeśli nie prze-
mierzy choćby dwóch kilometrów — jakież trybunał zawaha się, by uznać
go za winnego i wymierzyć mu jedyną w takim wypadku karę?
Męczennik Andrzej Stratiłat z wyszczerbionej ikony nad wrotami
carskimi patrzył wyblakłymi oczami i z żadną radą nie przychodził,
przypominał tylko o własnym strasznym losie.
Dowódca brygady zamarł i wodził wzrokiem za każdym jego ru-
chem, wszyscy pozostali również śledzili w napięciu, i dalsza zwłoka

byłaby wyrazem słabości.

Generał podszedł powoli do podpułkownika i powiedział ze spuszczonego wzrokiem:

220

— Z Kobrisowem zawsze się dogadamy. Pozostaniecie do mojej dyspozycji.

— Nie rozumiem, towarzyszu generale — powiedział podpułkownik. — Zawsze się dogadywaliście, a teraz macie tylko zamiar się dogadać?

W dołkach na jego policzkach mocniej teraz uwydatniły się okazałe gule. Jakby rozluźniała się schowana w nich dotąd napięta sprężyna.

— O moje zamiary — władczy basem wyrzekł generał — proszę pytań nie zadawać. W armii, zgodnie z regulaminem, wykonuje się ostatni rozkaz. Toteż możesz być spokojny, nie ty będziesz odpowiadać.

— Zgodnie z regulaminem może tak i jest — przytaknął podpułkownik, ale od razu dodał: — A jednak poproszę o waszym rozkazie i i i >wiadomić generała Kobrisowa. Albo, pozwólcie, że ja go powiadomię. Ten drobny opór podziałał na generała całkiem odwrotnie — 111 wierdził go jedynie w samowolnym, niebezpiecznym dla niego, choć być może, lichy czuwa — właściwym postanowieniu — drugim te- K<> dnia, po tym, jak machnął ręką na ucieczkę na szosie Rogaczowskiej I zrozumiał, że jedyną rzeczą, jakiej nacierający przeciwnik się nie spoil/iewa, jest cios „pięścią w mordę”.

Zresztą nie tyle o takim ciosie myślał, ile o tym, żeby stłamsić opór tego, który stał przed nim, kiedy spojrzał na zegarek i wyrąbał:

— Ot co, podpułkowniku. Ogłoś swoim ludziom: daję im półtorej godziny odpoczynku. I — do boju.

Dowódca brygady, przygryzając wargi, błyskawicznie tracąc różnów rumieniec jeszcze z sekundę trwał w namyśle.

— Rozkaz, półtorej godziny odpoczynku — i do boju...

— Dać mu konia — powiedział generał. — Podołasz?

Podpułkownik kiwnął głową w milczeniu. Łącznik przekazał mu uzdę i podrzucił na siodło.

Wbijając posępne spojrzenie w plecy jeźdźcy, bardzo proste, lecz / opuszczonymi ramionami, generał wyobraził sobie, jak drgną serca tych trzech tysięcy, kiedy dowiedzą się, że wojna zacznie się dla nich w niedzielę, jak się spodziewali i do czego się sposobili, ale dzisiaj, /, i jak przeszyje ich wszystkich świadomość, że z wieloma spośród siebie widzą się po raz ostatni. Wyobraził sobie, jak zamierają najpierw od tej wiadomości, powitanej w milczeniu, a następnie stopniowo w tej trzytysięcznej masie zacznie się poruszenie — z początku

zaczętku gorączkowe, potem coraz bardziej skoordynowane, spokojne i roztropne: przygotowanie na to najgorsze, co musiało się kiedyś wydarzyć i oto teraz wydarzyło się. A winę za to ponosi — słowo, krótkie, które padło jakby od niechcenia...

Tymczasem zaczął się jakiś ruch także wokół niego samego: jak w półśnie słyszał zarządzenia i rozkazy, ktoś tam odwiązywał konia przy

ogrodzeniu, wskakiwał i odjeżdżał, inni otwierali swoje mapniki i torby, wyciągali dwuwiorstówki, plany i szkice bojowe; radiotelegrafista niby to nikogo o nic nie pytając rozpakowywał radiostację, wtykał sworzeń anteny z listkami w kształcie gwiazdy, wrzeszczał do słuchawki: „Zorza! Słyszysz mnie, Zorza? Siódmy będzie mówić, przekazuję Siódmemu!..” Nikt o nic nie pytał generała, wszystko działo się samo przez się, i z niewidocznego stąd wąwozu dochodził turkot i ryk — zapuszczano motory piętnastu czołgów przydzielonych mu z rezerwy osobiście przez Naczelnego i nazywanych niezgodnie z rangą „dywizjonem”; w rozpryskach i opadaniu metalu widać było, jak do tego wąwozu z dalekiego wzgórza pędzi kłusem szwadron kozaków i wychlustuje się całkiem już blisko, na tamten brzeg, czerniejąc burkami, pąsowiejąc wierzchami kubanek. I z zamierającym sercem, jakby skoczył w przepaść, uświadomił sobie, że rozkaz o kontynuowaniu natarcia został już przez niego wydany — lub przynajmniej tak właśnie zrozumiano nieodwołalne słowo dowódcy, wypowiedziane do tego, który dawno już odjechał, dowódcy brygady: „Póltorej godziny odpoczynku — i do boju!”

Przemknęło mu przez myśl — wszystko wstrzymać, władcym głosem wszystkich zawrócić na poprzednie stanowiska, powiedzieć, że go źle zrozumiano, że zupełnie co innego chciał powiedzieć. Ale usta jego, mocno zaciśnięte, jakby ich nie mógł rozewrzeć, nie potrafiły, nie śmiały wydobyć z krtani najprostszych słów. Zarazem jedna myśl, i uskrzydlająca, i paraliżująca, miotła się w nim, posyłając impulsami krew do skroni: że zrozumiano go właściwie, że rozkazał

właśnie to, czego chciał — i na co nie mógł się nie zdecydować.
Gdyby wiedział jeszcze z samego rana, że los pozwoli mu przejść do natarcia nie dwa kilometry, czego się niejasno spodziewał, i nie dwadzieścia, o czym nie śmiał nawet marzyć, ale całych dwieście kilometrów — do Rżewa — że jego armia będzie pędzić przed sobą Niemców nieprzerwanie — od małej wioski Biełyj Rast aż po Sołniecznogorsk — pobudzając i wprawiając w ruch wszystkie sześć sąsiednich armii Frontu Zachodniego!

112

Tak oto minuta jego stanowczości i godzina samowoli zadecydowały o losie Moskwy.

I chociaż reszta już nie od niego jednego zależała, na zawsze wchodził do historii jako wybawca stolicy rosyjskiej — tej, do której cztery lata później przywiozą go, żeby sądzić i stracić, a jednak nigdy, pomimo wszelkich usiłowań, nie oddzielią od niej jego imienia.

W tydzień później cały świat będzie mówił „o rosyjskim cudzie pod Moskwą”, ale wtedy wydawało się to cudem bodajże tylko jednemu człowiekowi — pogrążonemu w bezbrzeżnej rozpacz Szestierikowowi, stojącemu na poboczu szosy przy swoim umierającym generale. Już i milicjant odpalił, niby w testamencie: „Nadszedł czas dla wszystkich: dać drapaka”. A jednak, trzeba mu to przyznać, odpracował tę przylepkę — nic więcej z rzeczy nie ukradziono: utworzył z nich nawet wspaniałą wzgórek zgarniając na nie śnieg buciorami. Drugim taki wzgórkem, tyle że dłuższym, był generał. Jednakowoż koło jego ust jeszcze tajało, a to znaczyło, że nie nadszedł czas, by Szestierikow dał drapaka.

Nieoczekiwanie przez zasłonę zamieci dojrzał w pobliżu, w polu, coś niejasnego i dziwnego, poruszającego się w kierunku przeciwnym do ruchu na szosie. Rzadkim łańcuszkiem wy płynęło kilka czołgów wlokących za sobą sanie, a w saniach gnieździli się ludzie — w białych kożuszkach, w uszankach, w walonkach — trzymając skierowane ku niebu czarne lufy pistoletów. Niczym widma, w płaszczach maskujących sunęli jeden za drugim narciarze z przytroczonymi do pleców karabinami. I jak we śnie powolnym kłusem, rozmiatając zaspę szli czarną ławą jeźdźcy w kosmatych burkach o szerokich ramionach; ten na przodzie trzymał sztorcem przy nodze owinięty w pokrowiec sztandar.

Dotychczas Szestierikow tylko uciekał i chował się, toteż gdyby mu powiedziano, że jest świadkiem początku wielkiego natarcia, nie tylko by w to nie uwierzył, ale nie dopuścił nawet do takiej myśli. Olśniła go nadzieja arcypraktyczna: najbliższy od niego czołg, nie ciągnący przy tym sań, pełzył o jakieś trzydzieści kroków od niego i nie był wcale mirażem, lecz grzmiał silnikiem, i czarny obłoczek wydechu płynął za jego rufą; gdyby Szestierikowa zawiodły oczy i uszy, to nos poczułby znajomy zapach pracującego traktora. Był to czołg, rzecz przekonująca, o wiele skuteczniejsza od tej czterdziestki piątki, o której marzyło się jemu i milicjantowi, i nawet od tej zenitówki z jej niepewnym łożem. Rzucił się więc na przełaj wymachując mauzerem i krzycząc do czołgu, by się zatrzymał. Wobec ślepej maszyny wydawał się sam sobie mrówką wymachującą łapką przeciwko bucirowi. Ale stał

123

się cud: czołg zwolnił bieg i uniosło się wieko wieży pancernej; wynu-

rzyła się z niej młoda twarz, pod zsuniętym do tyłu czarnym hełmem, oraz kołnierzyk kombinezonu z naszywkami lejtnanta w kształcie kwadracików.

Chłopiec-lejtnant wysunięty do pasa rozglądał się dumnie i mierzycielsko oddychając pełną piersią. Jakby nie słyszał Szestierikowa, który biegł obok w podskokach, wyciągając ku niemu ręce i i wykrzykując swoje błagania. Jednakże nie odpowiadając ani słowem, lejtnant kiwnął doń i osunął się nieco we włązie i wydał jakiś rozkaz. Czołg obrócił się dokoła siebie i popęzł ku szosie. Przeciął rów przydrożny, ale całkiem na drogę nie wyszedł, lecz powoli kręcąc wieżą przegrozdził ją niczym szlabanem swoją długą armatą.

Dla lejtnanta, malowniczo stojącego we włązie, mogło się to źle skończyć, Szestierikow zawołał więc do niego, by się miał na baczności, ale ten albo nie dosłyszał, albo jak to młody — nie wziął pod uwagę. Zresztą nikt się nie odważył strzelić, a pierwsza furmanka zatrzymała się, konie zaś, choć na wpół oszalały woźnica smagał je, ile wlezie, stanęły przed armatą, chrapiąc i szamocąc się w chomątach. Ci w furmance, jakieś osiem osób, wyskoczyli i pobiegli, ale woźnica nie zszedł z kozła, patrzył ze strachem na lejtnanta, który w milczeniu wskazywał ręką na Szestierikowa.

— Dobry człowieku! — Szestierikow rzucił się ku woźnicy, przyciskając jedną rękę do piersi, a drugą z mauzerem w roztargnieniu skierował na niego. — On cię przepuści, ty tylko pomóż mi z generałem. Byle dowieźć go do Moskwy, do szpitala, a tam już jak Bóg da... Z trudem dotarło do woźnicy, że śnieżny wzgórek to właśnie ge-

nerał. Inni, bystrzejsi, pokrzykiwali: „Pod pachy go bierz, a ty pod kolana...” — a potem nie wytrzymali i sami ruszyli do pomocy.

Szestierikow położył generała na sianie — głową do przodu, ku Moskwie, zdmuchnął z twarzy śnieg, podetknął mu trochę siana pod głowę i pod boki, sianem przykrył nogi okutane brudną bielizną; chciał je przykryć, ale krępował się woźnicy i lejtnanta, machnął tylko ręką w kierunku czołgu. Armata powoli odwróciła się, i woźnica nie tracąc ani mgnienia, smagał konie do galopu.

Szestierikow podszedł do lejtnanta, który nie wyrzekł ani jednego słowa, stał dumnie we włązie, z lekka tylko ująwszy się pod boki.

— Słuchaj, lejtnant, a jak ja cię potem będę wspominać? — zapytał i z wdzięcznością i z niemąym zdziwieniem. — Takeś mnie, miły czło-

114

wieku, wyręczył. I skąd żeście się tu tacy wzięli? Wszyscy rejterują, a wy nacieracie...

To, co odpowiedział mu lejtnant, nim zamknął nad sobą ciężkie wieko włązu, prawdę mówiąc nie zrobiło na Szestierikowie szczególnego wrażenia. Ale w jakiś czas potem przypomniał sobie wyraźnie te słowa — i gorzko żałował, że nigdy nikomu nie mógł ich powtórzyć:

— Zakarbij sobie, przyjacielu, 20. Armia naciera! Dowódca nasz to Własow*, Andriej Andrieicz. Na żartach się nie zna, wszystko bierze na serio.

Szestierikow nigdy nie dowiedział się, że temu lejtnantowi nie są il/.one było już samemu otworzyć sobie włązu. Po jakiejś godzinie zetknął się z przednim oddziałem 9. Armii niemieckiej, jego czołg zo-

stał ugodzony w wieżę pociskiem, i chociaż ten nie przebił opancerzenia, ale oderwany wewnątrz odłamek stali zrobił swoje, przebijając na wskroś hełm i przez kości czaszki docierając do mózgu...

Nie dowiedział się Szestierikow i tego, że ludzie, których tak niespodziewanie dojrzał przez zasłonę zamieci — desantowcy na saniach, narciarze, jeźdźcy — przydali się tylko na to, by wymierzyć 9. Armii ledno kontruderzenie — i bez mała wszyscy polegli, usławszy rozległe pole białymi kożuszkami, maskującymi płaszczami i czarnymi burkami o szerokich ramionach. 9. Armia jednak zatrzymała się. Jej też nie starczyło sił, by ruszyć dalej tratując ich ciała. Maksimum tego, co zdołała osiągnąć, to tylko tyle, że zawładnęła na krótko polem, które było moc bardziej pozycją niż jakiegokolwiek inne miejsce w Rosji, i na którym nic do pomyślenia było w ciągu trzech godzin uchronić armię od całkowitej klęski i uciezki...

Uspokojony Szestierikow podniósł swój worek, wrzucił do niego cały dobytek, w tym i mauzer w kaburze, i, zarzuciwszy automat na ramię, skierował się do swej kompanii. Szedł tą samą ścieżką, którą tak r/eśko posuwali się we dwójkę, tyle że teraz o wiorstę omijając te diu-lskie Pieriemierki — nie wiedząc, że żywego tam z bronią nikogo nie Własow Andriej A. (1900-1945) — generał rosyjski. Podczas pobytu w niemieckiej niewoli przyjął ofertę utworzenia z rosyjskich ochotników jednostek skłonnych walczyć przeciw komunistom. W sierpniu 1945 roku został wydany Rosjanom przez Amerykanów i powieszony.

115

zostało, sami powystrzelani Niemcy oraz ci, których oni zdążyli powy-

strzelać. I nie spodziewał się po tej historii jakiegokolwiek dalszego ciągu.

Jednak i on nastąpił. Całą tę masę zatrzymał na rozwidleniu Szosy Rogaczowskiej i Dmitrowskiej swoimi karabinami maszynowymi oddział zaporowy; niektórych — chyba z dziesięciu najbardziej aktywnych, zawsze gotowych do rozróby, którzy zawsze pierwsi się pojawiają — z miejsca postawiono pod mur i zastrzelono dla odstraszenia innych, a z pozostałych — jednych zgarnięto dla wyjaśnienia, drugich zmuszono, by na miejscu odkupili swe winy ściągając z ciężarówek i ustawiając słupki betonowe oraz pospawane z szyn „jeże”, które nie miały już żadnego sensu, a nawet przeciwnie, należało je usuwać z szosy. Woźnicę z generałem nie tylko przepuszczono, lecz jeszcze pochwalono i zapisano wszystkie dane, by przedstawić go do medalu „Za odwagę”. I medal ten jął odpracowywać tak gorliwie, że nie uspokoił się, dopóki nie dowiózł generała do szpitala, pomagał tam nosze taszczyć po schodach, i do sali je wnosił opowiadając ze szczegółami dyżurnemu lekarzowi i komisarzowi szpitala całą historię bohaterskiego ranienia generała i bohaterskiego uratowania go spod ognia. W dodatku, do chwili gdy nie wyjęto „blaszki identyfikacyjnej”, szczęśliwie uniknął pytań o nazwisko generała i o to, czym dowodził, mówiąc o nim krótko i wyczerpująco „nasz generał”, a podczas indagowania, na pytanie, gdzie się podziały papacha i buty filcowe, odpowiadał: „Co tam, dobrze że głowy nie stracił i nogi ma całe”, i miał taki wyraz twarzy, że lepiej już nie pytać. W nagrodę nakarmiono go i napojono wódką, a także wydano zaświadczenie dla patroli, że

przybył do Moskwy „wykonując zadanie swego dowództwa”, a takie zaświadczenie miało większą wagę niż medal, który otrzymał na dodatek, i to po upływie trzydziestu dwóch lat, z rąk utykającego komisarza wojskowego podczas uroczystego capstrzyku pionierów-„tropicieli”, w obecności dziennikarza, który napisał potem notatkę pt. Nagroda znalazła bohatera.

Osiem kul z automatów, które trafiły do przestronnego brzucha generała, szczęśliwie przeszło na wylot nie naruszając życiowo ważnych organów; szczęśliwym trafem przed zranieniem nic nie jadł, obeszło się bez zapaleń i ropienia, a silny organizm obiecywał wessać wszystkie dziury i rozcięcia — i wkrótce obietnicy dotrzymał. O wiele gorzej było z nogami niemal poczerńniętymi od odmrożeń; pojawiło się nawet pytanie, czy nie amputować ich do kolan, lecz po wielu długich

216

konsyliach zaryzykowano zostawić je, ograniczając się do transfuzji kiwi i zastrzyków wspomagających. Pomieszczono go w sali dla odmrożonych, choć i w pojedynce, ale wypełnionej takim potwornym, mdlącym zapachem gnijącego żywca mięsa, że już choćby z tego powodu nie mógł się nie ocknąć. Kiedy zaś ocknął się, poczuł śmiertelny smutek i tęsknotę, zażądał więc, by sprowadzono żołnierza, którego zapamiętał.

Generałowi opowiedziano oczywiście cudowną historię jego oca-Irnia, dość nawet sensownie, jednakże do pełnej prawdy zabrakło w mej Pieriemierek i francuskiego koniaku; żądał, rzecz jasna, sprowadzenia nie woźnicy, lecz ni to Szus trikowa, ni to Czetwiertuchina ze

.mcchanizowanej kompanii fizylierów. W ciągu tych dni, gdy generał leżał nieprzytomny, jego armia przebyła ze czterdzieści kilometrów i l. |i'/ność z poszczególnymi jednostkami była taka, że nie można się było ani dodzwonić, ani zasięgnąć informacji listownej, ale generał tak się naprzykrzał, iż słabą, zaplataną nitkę rozsypłano. Kompania taka była tylko jedna w pułku stacjonującym przedtem w tej samej wiosce, co N/.tab armii, ale ani Szustrikow, ani Czetwiertuchin w spisach nie figurował; znalazł się natomiast Szestierikow, z którego też niewiele pozostało. I oto na wpół głuchego, nieomal obłąkanego, wyciągnięto ze zmarzniętego okopu, gdzie spać musiał zagrzebawszy się w śniegu albo w popiole z ogniska, wydano mu nowy szynel i uszanke, prowiant na trzy dni, kartę zaopatrzeniową i nakaz pojawienia się w Moskwie, w komendanturze wojskowej. Z tym nakazem, gdzie po raz pierwszy ujrzał swoje nazwisko w druku, choć z dwoma „E” podniesionymi do góry, przygodnymi samochodami dotarł do białokamiennej, za którą omal nie oddał ducha Bogu, i którą wreszcie zobaczył na własne oczy. Ze wzruszeniem, jakiego nigdy dotąd nie doznawał, szedł po Moskwie, czasami przełaził przez nie usunięte barykady z drewnianych bierwion, wagonów tramwajowych i worków z piaskiem, mijał na skrzyżowaniach stojących na posterunkach milicjantów z karabinami, a/ zaszedł pod sklepienia poczekalni dawnego instytutu muzycznego, obecnie szpitala dla wyższej rangą kadry, wspiął się po marmurowych schodach — i niemal zbił go z nóg ten straszny smród, od którego ocknął się generał. A tu jeszcze sanitariusze wywieźli tuż przed nim z windy wózek na kółkach ze stosem odciętych kończyn, zaledwie

przykrytych zakrwawionym prześcieradłem; od tego różnokolorowego, co wyzierało spod spodu, Szestierikow zachwiał się i zamknął oczy. Usiłując oddychać jak najrzadziej, i to przez usta, przemógł mdłości, mi-

117

nał, nie zaglądając, drzwi sal ogólnych i dotarł wreszcie do pojedynki, gdzie ujrzał swego dowódcę — nieszczęśliwego, wychudzonego, bez kropli krwi w twarzy, ale — jak spostrzegł bystry i dyskretny wzrok Szestierikowa — z obiema nogami pod kołdrą. I pierwsze słowo generała przy powitaniu brzmiało:

— Popiliśmy!

— Co tam — powiedział Szestierikow starając się uśmiechać jak najweselej. — Odłożyło się na następny raz...

— Ale za to — odrzekł generał — będziemy teraz wiedzieć, gdzie są Pieriemierki Wielkie, a gdzie Małe. No nie?

— Tak, teraz to się już nie pomylimy!

Szestierikow wyciągnął z worka, który przemycił jednak pod białym fartuchem, mauzer i podał go bez słowa generałowi. Generał otworzył kaburę, wyciągnął mauzer za rękojeść i odczytał ozdóbny napis wygrawerowany na bocznej ścianie.

— Pokazywałeś go komuś? — zapytał nie podnosząc oczu.

— Nikomu — odpowiedział Szestierikow. — Inaczej by zabrali.

Dużo jest amatorów na taką rzecz.

W ostatnie zdanie włożył i inny, utajony sens. Ładny, pełen szacunku napis kończył się niedobrym nazwiskiem — Bliicher.* Generał zrozumiał go i uśmiechnął się nieznacznie.

— Można by zetrzeć, ale szkoda. Podarowany bądź co bądź.

Generał oddał mu mauzer.

— Niech będzie u ciebie. Amatorów i tu nie brak.

Był to dzień wizyt, i generał oczekiwał żony, jednakże Szestierikow, czując się jakby jego opiekunem, odradził wpuszczania jej tutaj: nie ma po co kobieta żołnierskie zapachy wdychać, to nie spotkanie dla niej, a męka. Generał, dziwiąc się, zgodził się i kazał zadzwonić do siebie do domu. Tak wyszło, że z generałową, Mają Afanasjewną, poznali się telefonicznie.

— A, Szestierikow! — odezwała się przyjaźnie. — Wiem, wiem, słyszałam. A jak panu na imię?

— A to, Majo Afanasjewną, potem, kiedy się zobaczymy. A tymczasem jestem przy dowódcy, tak więc — Szestierikow i tyle.

* Blucher Wasilij K. (1889-1938) — marszałek ZSRR, dowódca Armii Dalekowschodniej; został zamordowany na rozkaz Stalina w ramach wielkiej czystki wśród kadr Armii Czerwonej.

118

— No-no — przytaknęła generałowa. I przyznała, że w rzeczy samej lepiej będzie męża nie niepokoić.

W worku Szestierikowa pośród innych ciekawych rzeczy znalazł się słoik z jakąś złożoną miksturą leczniczą, której przez dwieście lat używali jego przodkowie przy odmrożeniach: składały się na nią wywar z korzeni i ziół, gęsi tłuszcz, pszczeli wosk i miód. Te maści, których używał generał, Szestierikow zdyskwalifikował, poradził, żeby "nii" dawać siostrom nacierać, lecz żeby słoik zostawiały, ze słoika zaś

wszystko wyrzucać. Nacierał sam, ukrywając odrazę, wstrzymując od-
ilfch na całą minutę, a potem odwracał uwagę generała od straszego
swędzenia i pieczenia, coś mu tam opowiadał o swym życiu na wsi, no
I nawzajem, ostrożnie wypytywał o jego żywot. Zamieszkał tutaj, w
Nzpitalu, w komórce pod schodami u palacza, tutaj też otrzymał przy-
dział na wyżywienie, jadł w stołówce zgodnie z normą sanitariusza.
Norma ta była mniejsza od frontowej, a okazywało się, że tu lepiej niż
na froncie, gdzie nie codzień człowiek mógł zjeść coś ciepłego. Palacz
pełnił jednocześnie obowiązki strażaka, a więc miał telefon, i Maja Afa-
n.isjewna o określonej porze mogła się dowiedzieć „co tam u naszego”.
— Nasz niczego sobie — odpowiadał Szestierikow. — Wkrótce
|uiści się w płasy. Już go nogi swędzą, żeby potaćzyć.
Nie spotkał się z nią jeszcze, a już o wszystkim się wywiedział: i
że mieszkanie mają na ulicy Gorkiego — cztery pokoje nie licząc spi-
żarni i „hallu” — słowo to wymawiano również w szpitalu, była tu
laka sala dla chodzących, a w niej szachy i domino, i takim właśnie
i ^romnym go sobie Szestierikow wyobrażał, ów „hol”, który się nie
lic/.ył — i że generał ma dwie córki, szesnaste- i czternastoletnią, jedna,
|rtk generałowa, ma na imię Majka, a druga — Swietłanka, na cześć cór-
ki Stalina, i że — to najważniejsze — sama generałowa pochodzi ze
wsi, spod Wysznie Wołoczka, a jej panieńskie nazwisko brzmiało Nali-
i/.nikowa, a Mają nazwała się sama, naprawdę ma na imię Maria. Ale,
widać, że wsią swoją już nic ją nie łączy, bo pytała Szestierikowa, że
właśnie generałów mają na działki letniskowe zapisywać, po dwa he-
ktary w Aprielewce, tak więc brać tyle czy nie brać.

— Brać! — krzyczał do słuchawki Szestierikow. — Ziemię? Ile da-
|.t, tyle brać.

Ta Aprielowka tak mu zalażała do głowy i w żaden sposób stam-
l.iii nie wychodziła, przez nią nocami przewracał się po podłodze w
komórce palacza, aż ten musiał zaaplikować sobie dwieście centyme-
liow sześciennych spirytusu lekarskiego, żeby wreszcie zachrapać na

119

pryczy. Tak jak się myśli o grożącym zranieniu lub okaleczeniu, a na-
wet z jeszcze większą tęsknotą, Szestierikow myślał o powrocie do ro-
dzimej penzeńskiej wsi. Nie marzył wcale o tym, by ujrzeć znowu
wierzby płaczące nad spokojną, leniwie płynącą rzeką, przejść się na
bosaka po rosie, albo konia pogłaskać po aksamitnych nozdrzach,
wskoczyć na niego bez siodła, pocwałować z pół wiorsty i zapędzić do
rzeki po grzywę. Wszystkie te radości już od dziesięciu lat odeszły w
niepamięć, od kiedy z ojcowskiej zagrody trzeba było dobrowolnie
wyprowadzić i oba konie, i krowę, a z ziemi został tylko skrawek, tak,
że nie skowronka słychać było w niebie, a sapanie sąsiada kopiącego
grządki w ogródku. Z dwóch szop trzeba też było jedną znieść — bo to
i ciasno, i dwóch mieć nie wolno. Wszystko jest teraz wspólne, a więc
niczyje. Na własność masz tylko biedę — i to tak beznadziejną, na sto
lat przewidzianą, że ręce opadają, nie wiesz za co się najpierw wziąć,
wszystko się starzeje, wali, linieje, cały twój trud idzie na marne. Wszy-
stko zobojętniało, nawet to, kogo na przewodniczącego wybrać. Ot, te-
go, kogo polecą — najbardziej uległego wobec władzy i największego
krzykacza, chłopka, co ma obie lewe ręce i do niczego się nie nadaje, a

jak takiego nie znajdą — to skądś tam przywiozą. I donikąd nie można się stąd wyrwać, wyjechać, bez dowodu osobistego na pierwszej stacji cię zgarną — a zaświadczenie z kotchozu — najwyżej na tydzień dadzą, i to wyproszone, wyblagane. Oto jak, bynajmniej nie poetycznie, widział z okopu Szestierikow swoją ojczystą krainę, w której miast radosnej hulanki, weselnych czastuszek i przyśpiewek, brzęku dzwoneczków w zaprzęgu — rozlegał się w księżycowe noce pijacki ochrypły głos:

We wsi ciągle wyję psy;

To brygadier a nie pies:

„Do roboty, hej tam, wy,

Bo nie damy chleba jeść”.

A Aprielowka ta, Aprielowka, toż to ziemia generalska, kto się na nią targnie, kto ośmieli się okroić? Dwa hektary — ileż to można z niej wyciągnąć, z dziesięć rodzin wyżywić tak, że za ogrodzenie nikt nie wyjrzy. Byle mieć sprawne ręce i żeby trochę sił wojna pozostawiła.

Tymczasem generalskie nogi goiły się z wolna, wyrastała na nich nowa skóra — różowiutka, jak u tygodniowego prosiaczka — i pewnego razu postanowił wstać, zachciało mu się pod prysznic. Ledwie go

220

I, un Szestierikow doprowadził, tak się chwiał ze słabości; tam zaś, w przytulnej kabinie, rozebrali się i nawet wyparzyli nieco, nalewając z kranu tylko gorącej wody. Generalskie ciało zdumiało Szestierikowa - i szczodłą białością, i wieloma bliznami. Generał brał udział we wszystkich wojnach, jakie prowadziła Rosja od 1914 roku, i ze wszy-

stkich tych wojen przywoził jakąś ranę. Nawet na czole spod włosów wyzierała blizna — od cięcia szabłą. O każdym z tych uszkodzeń można było snuć osobną opowieść, ale on miał tylko jedno wyjaśnienie: „I'rzeż głupotę". Szestierikow umył go, niczym niemowlaka, kazał mu potem posiedzieć, a sam myślał przy tym ze wzruszeniem, że mógłby dyle swoje życie, które tak czy owak nie układało się, poświęcić pielęgnowaniu tego ciała i tej beładnej i, jak się nie wiedzieć czemu wydawało Szestierikowowi, obolałej duszy.

Ale oto nastąpił dzień, kiedy generał rano nie położył się do łóżka, lecz siedząc na nim i przyglądając się swoim różowym piętom, powiedział marzycielsko:

— Ech, gdybym miał teraz konika, byle jakiego. W siodle bym całkiem zdrowiał!

„Chce mu się do domu" — Szestierikowowi zrobiło się ciepło na sercu. — Jasna rzecz — w domu prędzej się zagoi. Ale skąd mu wyli zasnę konika? Łatwiej byłoby o samochód, który sprowadziliby mu lekarze, nie mający nic przeciwko wcześniejszemu wypisaniu go ze szpitala; ale i tu Szestierikow nie pokpił sprawy. W jasny, mroźny poranek, wychodząc na ganek, podtrzymywany przez siostry, generał ujął przed sobą — konia. Nawet trzy od razu: na drugim siedział bliźniaczek Szestierikow, a na trzecim ten rożnowski milicjant, który też służył w Moskwie, w patrolu konnym. Spotkali się przypadkowo koło komendantury, dokąd co trzeci dzień chodził się meldować; Szestierikow skarcił go za przedwczesnego drapak, ten nic nie miał na swoje usprawiedliwienie, natomiast z całą serdecznością dopytywał

sie o zdrowie generała i ot — żeby odkupić swoją winę — wyświadczył przysługę konikami.

Generał obszedł deresza wkoło, przyjrzał się z pobłażliwością je-
Ho posturze, spróbował sam usadowić się w siodle, ale nie udało mu
sio, trzeba go było podsadzić z ganku. Za to, kiedy już znalazł się w
siodle, tak naturalnie jedną ręką chwycił za cugle, tak, samym tylko
poklepywaniem po szyi uspokoił i dodał animuszu konikowi, że nie
!>ył wcale potrzebny obcas pod brzuch, a wystarczyło tylko trochę po-

121

puścić cugle — i już pomknął ukosem wyginając pięknie szyję, z miej-
sca puszczając się cwałem.

Tej zimy Moskwa była taka, że nikt nie zwrócił szczególnej uwagi
na trzech jeźdźców pędzących niemal przez całą ulicę Gorkiego, od
Dworca Białoruskiego do Rady Miejskiej Moskwy (Mossowieta); snuli
się po niej beładnie w rozciągniętej kolumnie żołnierze pospolitego
ruszenia, śpiewając z cicha, jakby dla samych siebie Świętą Wojnę; kro-
czyły w szynelach dziewczęta z surowym wyrazem na twarzach odpro-
wadzając we czwórkę olbrzymie srebrzyste cielsko aerostatu*,
najbardziej, jak się wydawało, przejęte tym, żeby ich nie uniósł do nieba;
kręte i prawie nieruchome kolejki marły przed zamkniętymi sklepami z
zastawionymi workami z piaskiem witrynami; nikt nie odwracał się na
stukot podków, maleńka kawalkada z malowniczym generałem na
czele przemknęła niczym po bezludnym mieście. Generał był jednak
zadowolony — odmłodniał, nabrał rumieńców, oczy mu błyszcząły —
koło domu, oddając niechętnie cugle milicjantowi, powiedział:

— No, dziękuję ci, Szestierikow.

Nie powiedział tego, gdy go uratowano, nie powiedział ani za przechowanie mauzera, ani za całą opiekę w szpitalu, a za konika — powiedział.

Maja Afanasjewna nie wyszła na spotkanie na ulicy, a — jakby spóźniwszy się — powitała na klatce schodowej, w na wpół rozpiętym szarym futerku karakułowym, w takiej samej czapce-kubance i z mufką w jednej ręce — wszystko to było taktycznie dobrze przemyślane, jak zauważył Szestierikow: w jej wieku na mrozie nie wyglądałaby tak rumiano. Z natury blondynka, o czym świadczyły niebieskie oczy, farbowała się już jaskrawię — także na blondynkę, jednakże jej dawna niewątpliwa uroda przygasła nie na tyle, by córki przyćmiły matkę; żadna nie miała takiego doskonałego, w sam raz zwycięsko zadartego noska, takich wydętych i pełnych warg, takiej twarzy, nieco oschłej, ale za to mocnej, nie mówiąc już o zgrabnej sylwetce. Generalskie córki były podobne jak dwie krople wody do generała, i to, co było jego zaletą—co było przestronne, potężne, ciężkie—wszystko to zagrażało ich zamążpójściu, chociaż, prawdę mówiąc, na generalskie córki amatorzy zawsze się znajdują.

aerostat — statek powietrzny (balon lub sterowiec)

122

Generał, obcałowany przez całą trójkę, przedstawił im Szestierikowa:

— To nasz gość, nie zawracajcie mu zbytnio głowy.

Generałowa wyjęła rękę z mufki i dłonią w dół podała ją posuwi-

ście Szestierikowowi, następnie wpatrując się w niego szeroko otwarte mi oczami, powiedziała, żeby nie było wątpliwości:

— Maja Afanasjewna Kobrisowa.

Córki zaś objęły go tak gwałtownie, że się z lekka zachwiał, i ucałowały z obu stron w policzki.

Ód tej chwili życie Szestierikowa potoczyło się tak, jak sobie nie mógł wyobrazić w najśmielszych marzeniach. To ono, samo życie — w I mstaci generała — wychodziło mu co rano naprzeciw w jadalni, oblepił go w perłowo-liliową piżamę, i, wyciągając ręce ku nakrytemu stolikowi, obwieszczało niczym o początku bitwy:

— A teraz będziemy śniadać. Proszę!

Siedząc przy stole rodzinnym i ucząc się z wolna, jak należy spożywać chleb nasz powszedni, żeby nie tylko tobie było przyjemnie, i drugiemu sprawiało zadowolenie patrzeć na ciebie, Szestierikow dochodził do stanowczego wniosku, że jeśli trafiają się takie dni człowiekowi, kiedy wszystko mu się podoba, to takie właśnie mu się przydarzyły. Podobało mu się, jak w rodzinie tej wszyscy się kochają i szanują, i że generał nie omieszka ucałować obu córek rano i wieczorem, podobało mu się, że Maja Afanasjewna w sposób niezawodny umacnia swoje pozycje wysiadując dwa razy dziennie po godzinie przed lustrem i nigdy nie pojawia się przed obliczem męzkowskim niechcąc, i że generał szczególnie ją za to ceni, podobała mu się nawet choroba generała — nie jakaś tam kiła z hemoroidami, a piękne genetyczne: „migotanie przedsionków”. Jemu samemu, Szestierikowowi, nie wolno było zwracać zbyt wiele uwagi na obowiązki, sam zresztą tymi obo-

wiązkami gotów był się obciążyć: raz w tygodniu ze swym workiem i walizką chodził po przydział żywności, codziennie sprzątał całe mieszkanie, codziennie mył i wycierał podłogi, wszystko naprawiał, umacniał, dokręcał, powoli jął wyprowadzać generała — najpierw na I >odwórze, potem na ulicę, na Twerski bulwar. Jego własna pozycja w domu tak się umocniła, że Maja Afanasjewna nie mogła się obejść bez zasięgnięcia jego opinii; mówiła do sąsiadki z klatki schodowej: „Mój Szestierikow nie poleca..., Mój Szestierikow, na przykład, tak uważa...”; wołała go do komórki, żeby się poradzić, czy nie należałoby przypadkiem wyrzucić starego tapczanu. „W żadnym wypadku, Maj-
123

fanasino! A nuż zachce się Fotijowi Iwanyczu na nim sobie odpocząć po obiadku. Wszystko się zreperuje, na wszystko znajdzie się miejsce”. Cały czas nie wychodziła mu z głowy ta Aprielewka, gdzie będzie jeszcze i „szale”... Co do Aprielewki, to nie przestawał o niej przypominać, i cała rodzina snuła projekty, jaka będzie dacza i jak będą wyglądać ogród i kwietniki, i gdzie zasadzi się sałatę, ogórki, rzodkiewkę. Romantyczny pejzaż nieco na tym tracił, ale, oponował Szestierikow: „Czyż można porównywać swoje do kupnego? Tutaj każda witamina się liczy”. No i — choć sam o tym nie mówił — ale w marzeniach sobie również wybudował na tych dwóch hektarach domeczek i koniecznie łaźnię, gdzie będą się wygrzewać z generałem i wspominać dni bojowe.

Głównym przedmiotem studiów i trosk był oczywiście sam generał, a w to rozległe pojęcie wchodziła także kolekcja czternastu strzelb

myśliwskich, spośród których jedenaście były to podarunki, a także liczne albumy z fotografiami odtwarzającymi całą jego biografię. Sześcierek oglądał je w wolnych chwilach, siedząc w fotelu w tym właśnie „holu”, który okazał się po prostu częścią przedsionka, tyle że oddzieloną od niego rozsuwaną przegrodką z ryflowanymi szkiełkami. Na początku były poźółkłe fotografie z okresu dzieciństwa — mały Fotia z dwoma starszymi braćmi i trzema siostrami, z matką, osobą przy kości i bardzo do niego podobną, i z ojcem, kozakiem ze stancy Romanowskiej, niewysokim i chudym, ale, widać, bystrym i zuchwałym. A oto Fotia na koniu, bez siodła, w ojcowskiej czapce spoczywającej na uszach, szczerzący zęby w uśmiechu od ust do ust. A oto pierwszy smutek — cała rodzina za trumną ojca, z napiętymi, wyciągniętymi twarzami, oczy wszystkich jakby rybie. Kilka lat później — wyrosnięty już Fotij Kobrisow stał w bluzie wojskowej i w czapce z daszkiem i bączkiem, z ręką opartą o ramię siedzącego kolegi, takiegoż wyłupiastego zucha; obaj — żołnierze wojny imperialistycznej. Dalej siedział sam z rękoma na rękojeści szabli, teraz już z wąsikami, jak dziś, nad pulchną jeszcze wargą, junkier Szkoły Chorążych w Peterhofie. Potem była Armia Czerwona: rocznik Szkoły Czerwonych Dowódców, jeden rząd stoi, drugi siedzi, a u ich nóg dwóch leży głowami ku sobie, podpierając się dłonią o skroń, a łokciem o podłogę; Fotij Iwanowicz siedzi trzeci z prawej, nieco odwrócony i rozmarzony. Niektóre zdjęcia odklejono, a na grupowych, które się zachowały, niektóre twarze były jakby zatarte czymś palcem lub wyskrobane brzytwą, tak że zamiast głów miały na ramionach białe kule. Było dużo zdjęć kawale-

124:

rzystów — ścinanie końców witki, branie przeszkód, wołyżerka, stanic dęba, zwane też „świecą”; wszelako im bardziej awansował Fotij Iwanowicz, tym jego koń stawał się bardziej stateczny: zmieniając maść i sylwetkę, polubił fotografować się w jednej pozie z nogą wysuniętą do przodu i przygiętą do niej szyją. Ale oto i koni zabrakło, korpusy kawaleryjskie zostały zreformowane i dawny kawalerzysta Kobrisow siedział już wśród słuchaczy Akademickich Kursów Technicznego Udoskonalenia, w skrócie AKTUS, a następnie w czarnym kombinezonie odmykał nad sobą trumnopodobne wieko czołgu — lwim z kanciastymi oczami zsunięty do tyłu, twarz umorusana i wesolą, głowa ogolona „pod Bliichera”. I oto ostatnie przedwojenne zdjęcie:

•..niatorium w Jałcie, ganek z szerokimi stopniami i kolumnadą. Fotij Iwanowicz z Mają Afanasjewną, od stóp do głów ubrani na biało i opaleni na czarno, stoją w różnych krańcach kolumnady i rozglądają tak, jakby zagubieni szukali się nawzajem; a potem — przy fontannie spotkali się i oto siedzą obok siebie — w jaskini spowitej łągami chmielu i w bluszczu...

Jeden tylko obłoczek przesuwiał się na pogodnym niebie Szestierkowa — ten, który napływał na czoło generała, kiedy po śniadaniu czytał gazety. Szło natarcie, sypały się nagrody, grzmiały imiona Żukowa, Własowa, Rokossowskiego, Goworowa, Leluszenki, a Kobrisowa — nie grzmiało. W żadnych spisach siebie nie znajdował. Maja Afanasjewną tak to tłumaczyła sąsiadce:

— A za co nas nagradzać? Myśmy przecież, wedle planu, nie po-

winni byli nacierać, myśmy tylko asekurowali. A gdyby tak z natarciem u nich nie wyszło, to cała nadzieja byłaby w nas. Ale kto o tym dzisiaj pamięta?

Generał zaś milczał, tylko wargi przygryzał i palcami bębnił po Mole, pewnego razu jednakowoż nie wytrzymał, kiedy przeczytał, że 11 o Własowa dopuszczono — po raz pierwszy spotkało to radzieckiego generała — zagraniczną korespondentkę, by udzielił jej wywiadu.

— Ciekawe, ciekawe! Nie opowiedział jej przypadkiem, jak mi ukradł całą brygadę?

Kiedy jednak ochłonął, a — być może — przypomniał sobie swoje ! ; / (! / . eśliwe ocalenie, dodał roztropnie:

— Ale trzeba mu oddać sprawiedliwość..., ukradł bo ukradł, ale I m istużył się nią nieźle.

Wszelako i on — za czyny nacierającej bez niego armii — dostał 11.1 naszywkę gwiazdkę, mianowali go generałem-lejtnantem.

225

— Przypomnieli sobie! — powiedziała Maja Afanasjewna — Dobrze i to.

Gdyby go to jednak uspokoiło! Właśnie od tego dnia jakby podmieniono generała: nie cieszyło go ani wiosenne słońce, ani wódka nie brała, stał się jednym kłębkim nerwów. I pewnego ranka z łazienki, gdzie się golił, z wesołą złością w głosie zawołał:

— Szestierikow, myślisz jeszcze o wojaczce?

Wszyscy na raz zamilkli, i generałowa, i córki, a serce Szestierikowa wyraźnie podskoczyło i potoczyło się niczym sierpniowa gwiazda

pozostawiając zamierający ślad.

Do swojej armii jednakże nie wrócili — tam mianowano już nowego dowódcę, byłego szefa sztabu, posłano więc generała Kobrisowa na pobliski tył, pod Woroneż, by formować tam nową — tę właśnie 38.

Armię. Z nią też najpierw wycofali się znad Donu niemal do Wołgi i następnie z powrotem dotarli do Woroneża, a stąd, już nie cofając się ani razu, doszli do Dniepru i zdobyli przyczółek na Prawobrzeżu.

Życie przy generale miał Szestierikow stosunkowo ciepłe i syte, chociaż trzeba się było mieć na baczości: zginąć było nietrudno. Ale też sens był niemały w tym życiu, i nie chodziło tylko o ciepło i sytość, a właśnie o ten niemały sens. Szestierikow był głęboko przekonany, że nikt inny na jego miejscu nie byłby tego wart, a też, że on sam na innym miejscu wart byłby po trzykroć mniej. Nie tyle przyzwyczał się, co przyrósł do generała, znał wszystkie jego dziwactwa i pragnienia, niby to nieskomplikowane, ale spróbuj tu, człowieku, im sprostać. Sam generał mówił o sobie: jestem żołnierzem i przyzwyczajenia mam żołnierskie; i tylko Szestierikow wiedział, jak sobie z tymi przyzwyczajeniami poradzić. W czasie mrozów — łaźnia taka, żeby para aż do kości przenikała, w upały — woda mroźna, żeby zęby trzaskały, kapuśniak — żeby tyżka w nim stała i nie przewróciła się, a do obiadu — dwie setki, najlepiej spirytusu odrobinę ochrzczonego, po obiedzie zaś — siedemdziesiąt minut snu i żeby mucha nie przeleciała. Trzeba się tu nauwić, nakręcić tyłkiem, nie ma co! I w chałupie, jaka się tam trafi, żeby było czysto, i ogień rozpalony, i żeby niczym nie cuchnęło, żeby powietrze było świeże, a lufcik — zamknięty. Czy ciężko było Szestieri-

kowi sprostać temu wszystkiemu? Tak, ale właśnie dlatego to lubił!

Oto z jakim człowiekiem wypadło się spotkać majorowi Swietłokowowi z wojskowego kontrwywiadu „Smiersz”, oto kogo poprosił, by znalazł godzinkę i przyszedł na „ploteczki”. Spotkanie miało mieć miejsce niedaleko sztabu, w lasku, major wytłumaczył dokładnie, jak

11(>jść do polany z powaloną sosną, i jeszcze poprosił, żeby generała nie powiadamiać, bo temat rozmowy jest „delikatny”. Szestierikow nie przybył o wyznaczonej godzinie, jak kierowca Sirotin, ale i nie spóźnił

M(\ jak adiutant Donskoj, przyszedł zawczasu i przyglądał się zza krzaków majorowi, jak ten, otworzywszy mapnik, coś tam wyczytuje i poprawia, drapiąc się w czoło ołóweczkiem. Następnie podszedł bezszelestnie, stanął za plecami majora i westchnął. Major, przestraszony, wyciągnął pistolet, ale mapnika nie zamknął.

— Czego się szwendasz? — zapytał niezadowolony z siebie, że i lał się zaskoczyć. — Toż wykitować można ze strachu.

— A czego się tu bać — powiedział Szestierikow — teren strzeżony. A mnie się grzybków poszukać zachciało. Dowódca ma na nie <hetkę.

— No i znalazłeś?

— Gdzie tam, już ze dwa tygodnie deszczu nie było. Same opieńki obrzydnać mogą bez prawdziwka albo choćby maślaka.

— Troskliwy z ciebie człowiek — powiedział major chowając pistolet gorączkowym ruchem, z malującym się na twarzy nadal niezadowolaniem i wyraźnym zakłopotaniem.

Szestierikow nie odpowiedział, usiadł naprzeciwko na trawie, ob-

lawszy kolana i popatrzył majorowi w oczy pokornie i wyczekująco.

— Troszczysz się o swego dowódcę — ciągnął major, zatrzasnąwszy niedbale swój mapnik. — Widzę, że lepszego sojusznika nie znajdę. O tym właśnie chciałem z tobą...

— O grzybkach?

— „Grzybkach”, „grzybkach”! Niepokoi mnie coś więcej. Zdrowie dowódcy, jego stan ogólny. Nie podoba mi się ostatnio. Nerwowy i.ikiś. Nie uważasz?

— Niby to zawsze taki był...

— Nie mów. Zawsze ton zadawał, był duszą armii. A teraz coś go V,m,'bi, miejsca sobie nie znajduje. Dlaczego wybrał osobne od sztabu miejsce dowodzenia, co? Męczą go ludzie?

— A od czegoż to można się bardziej zmęczyć? — powiedział Szestierikow. Od nich najbardziej.

Jakieś niewyraźne niebezpieczeństwo przybliżyło się do generała, i Szestierikow nie mógł zrozumieć, z jakiej mu ono zagraża strony. Ale wiedział dobrze, że z tej strony, gdzie stoi on, Szestierikow, niebezpieczeństwo to nie jest groźne. Powziął co do tego decyzję zdecydowanie i szybko, jak w ów straszliwie mroźny dzień przed Pieriemierkami,

127

kiedy runął razem z generałem w krwawy śnieg i przesunął przełącznik automatu na ogień pojedynczy.

— Powiedz mi szczerze — major pochylił się ku niemu z zatrokaną twarzą — Ta dziewczyna... czy nie nazbyt go tam tego? Chyba dotąd przeżywa, że tak z nią wyszło...

— Jaka znowu dziewczyna? — zapytał Szestierikow, nie mniej z troskany.

— No ta, co przed przeprawą była... Nadiusza, siostrzyczka.

Przychodziła do niego robić zastrzyki. I nie jedne tylko zastrzyki, co?

— Oczywiście, że nie jedne. Ciśnienie mu mierzyła. No i puls.

— I tylko tyle?

— Jakie tam „tylko tyle”?! — Medycy — ludzie dociekliwi, lubią wiedzieć co i jak.

— Zwłaszcza te frontowe — śmiał się major — zwłaszcza młode, gorące. A, nawiasem mówiąc — znowu spowaźniał — rozkaz Naczelnego zabraniający utrzymywania jakichkolwiek stosunków w odległości pięćdziesięciu kilometrów od linii frontu nie został odwołany. I generałów to też dotyczy. Tak więc, jeśli się ktoś wygada... Na szczęście to mnie polecono tymi sprawami się zajmować, ja przynajmniej wiem, o czym pisać, a ktoś inny gotów zaraz raport polityczny wysmarować na temat demoralizacji.

— Oczywiście, oczywiście — przytakiwał Szestierikow — Idiotów i plotkarzy mamy, ile dusza zapragnie... Choć, kto wie, może na pięćdziesiąty pierwszy kilometr specjalnie pojechali. Nie wiem, mnie ze sobą nie brali.

Na temat „jakichś tam stosunków” generała Szestierikow nie wypowiedział kategorycznego „nie”, ponieważ nie był pewny, jakie ma o tym informacje major. Wygadać się mogła sama Nadiusza do koleżanek, a któraś z nich bez wątpienia była jego wtyczką. O surowym rozkazie Naczelnego Szestierikow słyszał i wiedział, że rozkazu tego

dawno już wobec nikogo nie stosowano, a więc nie było się z czym kryć. Jednakowoż mogli go zastosować, gdyby to komuś nagle było do czegoś przydatne. Dlatego też podjął jedynie słuszną decyzję: skoro jest ci to, nie wiedzieć czemu, potrzebne, to tym bardziej nie powiem. I major Swietłokow w lot to zrozumiał i porzucił swoje tej strony dotyczące się zamiary.

— A co, z sercem u niego jest rzeczywiście nietęgo? Zrozum, nie o jakieś tam rozróby mi chodzi, a o jego stan. Czy dobrze śpi? Nie nadużywa proszków?

128

Okazało się, że serce generała boli. Boli — o ojczyznę. Okazało się, h> śpi marnie, prawie wcale nie śpi, ciągle się martwi o armię. Co do proszków — sprawa pozostała nie wyjaśniona.

— Lepiej już ze dwie szklaneczki wódki chlupnąć — poradził mali >r. — A rano szklankę herbaty na kaca — z buteleczki z trzema gwiazdkami.

„Ach, sukinsyn — myślał Szestierikow patrząc na niego przymilnie i uważnie — ja bym ci teraz nie trzy, a cztery zęby wybił". Ale odpowiedział rzeczowo:

— Oni tam nie zwyczajni, żeby na noc pić, a rano kaca zalewać.

Kieliszek jeden za zwycięstwo wychylą — i to mają za złe, że sobie pofolgowali.

— Tak, tak — powiedział major. — A więc niczegośmy nie wyjaśnili? Albo nie jesteś ze mną szczerzy, albo źle znasz swojego Fotija Iwanycza. Poobserwowałbyś jego uważniej, sprawa to pierwszorzędnej

w. \gi, wszyscy są gotowi przyjść z pomocą, a ja pierwszy. Taki już obowiązek.

Szestierikow kiwnął głęboko i zapytał z największym zainteresowaniem w głosie:

— A co to takiego — „Smiersz”?

— Nie wiesz? — zdziwił się major. — Pierwszy raz słyszysz?

— Słyszeć — słyszałem, ale nie bardzo wiem.

— No — „Śmierć szpiegom”, skoroś ciekaw.

— Jak to — nie ciekaw? Przecież sam pierwszy na nią zasłuży, jeśli przy dowódcy szpiegiem zostanę.

— Co to znaczy „szpiegiem”? — zirytował się major zaczynając już I oswieć. — To wroga kategoria. A my mówimy o przejawieniu troski.

Ik ty to rozumiesz — prawdziwą troskę, a nie formalną?

— A ja tak rozumiem, towarzyszu majorze: nocy nie dośpię, ale /ridna gnida do Fotija Iwanycza nie podpełźnie.

— Słusznie — powiedział major Swietłokow.

Uśmiechał się już mocno zaczerwienioną twarzą i oczy nie były mu całkiem posłuszne, zdradzały irytację i złość.

— Ja też myślę, że słusznie — powiedział Szestierikow.

Najbardziej lubił filmy o szpiegach i agentach — Legitymacja parh/jna, Pomyłka inżyniera Koczyna, małoż tego było! — i oto zetknął się oko w oko z główną postacią tych filmów, wywiadowcą czy też agentem kontrwywiadu — licha wie, ale odbierał go Szestierikow zupełnie niticzej. Nie chodziło o to, żeby tamci byli lepsi, były to równoległości

euklidesowe, w żadnym punkcie się nie przecinające. Z takim samym uniesieniem oglądał komedie z życia kołchozowego, gdzie pyskate i piersiaste baby, zachłystując się życiem, wyśpiewywały dziarskie marszowe pieśni wiążąc snopy i układając je w kopy, a gdyby go zapytano, co to ma wspólnego z tym życiem, jakie poznał na własnym grzbiecie, na własnych dłoniach z odciskami, zamrugałby tylko zdziwiony: „Toż to kino!” A zresztą nie wykluczał i tego, że gdzieś są, być może, takie szczęśliwe, rozśpiewane kołchozy, i ludzie tacy nadzwyczajni, którym poszczęściło się i przyszli na świat tam, gdzie nas nie ma. Jednak co do tego, który siedział przed nim, nie miał żadnych wątpliwości. I jeśli dla kierowcy Sirotina „smierszowiec” ten był potężnym jasnowidzem potrafiącym nieomalże pocisk powstrzymać w biegu, jeśli dla adiutanta Donskoja był on tajemną, nie mającą granic siłą, wkraczającą w sfery niedosiężne, to dla Szestierikowa był to — obibok. I nic więcej — tyle że obibok energiczny, z tego gatunku, który okaleczył, wytrzebił, uczynił bezmyślnym całe życie Szestierikowa i z którego powodu wszystkie jego wysiłki spętały na niczym. Granice zaś władzy takich ludzi, jak Swietłookow, określał on bez żadnego namysłu, instynktem szczonego zajęcia; tam przebiega owa granica, gdzie nie dopuszczasz ich do swej duszy, nie odpowiadasz uśmiechem na ich uśmiech.

— No, więc jak będzie z nami? — zapytał major — Nie znajdziemy wspólnego języka?

— Alboż to nie znaleźliśmy? — usłyszał spokojną odpowiedź.

Krwawooka nienawiść wzywała z łagodnych, niebieskich oczu Szestierikowa — ta nienawiść, która rzucała na plecy obrzyny, a na

widły — łasych na cudze ziarno i kazała swoje podpalać, żeby się nie dostało w ręce grabieżców, i która była odwrotną stroną miłości — do miękkiej, rodzącej ziemi, do rosnącego kłosa, do pokornego i ufego, jakby rozumiejącego swoje obowiązki bywała — nienawiść człowieka gotowego do pracy w pocie czoła, by wyżywić cały świat, i któremu to się nie udaje, nie dane mu zostało, nie dostanie ziemi tyle, ile mu potrzeba, gdyż z tego powodu dziwnym sposobem naruszony zostanie cały ten porządek, który pozwala takiemu Swietłokowowi pielęgnować swoją gębę, pisać nadające się do podcierania papierki i czuć się dlatego gospodarzem.

— Nie jesteś jednak nasz człowiek, Szestierikow — powiedział major przestając się uśmiechać. — Albo nie całkiem nasz.

— Wasz — odparł Szestierikow. — Całkiem wasz. Właśnie tak — wasz.

130

W smutku, z jakim to wyrzekł, pobrzmiwało echo człowieka bez dowodu osobistego, chłopca pańszczyźnianego, który nie mógł nigdy 11.1 jeść się do syta, uchwycić się ździebełka słomy i poczuł teraz, że je leż ktoś mu z rąk wyciąga.

— Wiem, skąd się to u ciebie bierze.

— Co „skąd”?

— Pretensja do nas. Można rzec, klasowa pretensja. Myślisz, że przed spotkaniem z tobą nie przyjrzałem ci się bliżej? Jak by ci to powiedzieć? Wpadłeś pod koła historii. Może i niesprawiedliwie; do kukików nie należałeś, ale im sprzyjałeś jako podkułacznik, czyli że był z

t iobie prawie średniak, ideologia taka sama. A jakież z ciebie, u diabła, sprzymierzeniec kułaków! Wielkie rzeczy, dwa konie, krowa, i ziemi, ci> kot napłakał. Dużo wtedy dREW nałamano. Ale przecież partia sama to przyznała. Czytałeś Zawrót głowy od sukcesów towarzysza Stalina? „Do zawrotu głowy to się przyznała, tylko że niczego nie zwróci- li.” — chciał powiedzieć Szestierikow. Ale zmilczał. Takich słów lepiej liyło nie wypowiadać, nawet w cztery oczy. Chciał poza tym dojść, do czego zmierza teraz major Swietłookow.

— Odetnij mi gałązkę — poprosił major wyjmując nożyk.

— Po co?

— Żal ci?

— Co tam żałować — powiedział Szestierikow. — Kiedy już tyle marnowano...

Jednak nie wstał z miejsca. Dla majora jakoś nie miał ochoty ruszyć się, podnieść.

— Dobra — powiedział major. — Sam zetnę.

Wyciągnął rękę ku krzakowi olchy, odciął gałązkę z poczerwieniałą już skórką, zręcznie jął nożykiem ociosywać witkę.

— Chcesz, Szestierikow, to ci udowodnię całą twoją głupotę klasową. Sam się zdziwisz, jakimi durniami bywamy. Do swego pana się modlisz, chciałbyś na całe życie do niego przylgnąć, co, może nie? A w J)lowie masz — właśnie taki zawrót głowy. I nic o tym nie wiesz. To liicy jak on nałamali wtedy niemało drzew. I oddziałami rekwizycyjnymi* ten twój Fotij Iwanowicz dowodził, i rozkułaczał w dwudzie-

* Prodotdiely (prodowolstwiennyje otdiely) — oddziały rekwirujące u chłopów

zboże, często także przeznaczone na siew, co spowodowało katastrofalny głód na wsi, zwłaszcza na Ukrainie (przyp. tłum.).

131

stym dziewiątym, i bunty uśmierzał, i całe wsie przesiedlał do miejsc odległych. Rodzic twój, wedle moich informacji, kolektywizacji specjalnie się nie przeciwiał, bo wtedy dopiero byście, mój drogi, poczuli co to ręka Fotija Iwanowicza! Gdzieś tam niedaleko waszych okolic buszował. I taki był z niego służbista, że rodzzonego brata by nie oszczędził. No, ale teraz, rzecz, jasna, wspólna sprawa was zjednoczyła — wojna... I Szestierikow ze smętnie ściśniętym sercem poczuł, że co to — to prawda. Czymże jeszcze mógł się generał zajmować między dwiema wojnami, czym się cała armia zajmowała, na czym taktykę ćwiczyła!? Z pamięci wypłynęła teraz taka dziwna ich rozmowa przy wódce, kiedy generał wypytywał z naciskiem: „A jednak chłopina nasz przyjął kołchozy?” — „Jakże miał nie przyjąć, Fotiju Iwanyczu, skoro obrzyńców nie starczało”. I generał, zasępiony, nie podnosząc na niego oczu, wpatrując się w kieliszek rzekł: „No, wypijmy, żeby następnym razem starczyło...” Ot, co za tym „wypijmy”, jak widać, się kryło!.. „Mimo wszystko jednak — pomyślał Szestierikow — nie wierz temu majorowi”. Od tylu już lat rozbrzmiewało w nim jak zaklęcie: nie wierz im! Nigdy im nie wierz! Nie wierz ani w dzień, ani w noc. Nie wierz ani w zimie, ani latem. Ani w deszczu, ani przy pogodzie. Nie wierz nawet wtedy, kiedy prawdę mówią!

Spojrzał na majora ze smutkiem, z mimowolnie napływającymi łzami i powiedział drżącym głosem:

— A wam — co do tego?

Major Swietłokow, jakby nie wytrzymując tego spojrzenia ani drżącego głosu, wstał gwałtownie i smagnął się witką po cholewie.

— Koniec, temat wyczerpany. A więc umawiamy się: o naszej rozmowie nikomu ani słowa. W ogóle to zuch z ciebie, Szestierikow. Tajemnice dowództwa potrafisz zachować.

— Służę Związkowi Radzieckiemu — powiedział Szestierikow.

Major smagając się witką ruszył przodem po ścieżynce, ale nagle przystanął z tajemniczą miną.

— Słuchaj no, Szestierikow, ty się chyba znasz na snach? Ot co, widzisz: całą nockę śni mi się, że z babą baraszkuje, i nagle okazuje się, że baba to nie baba, a chłop? Co by to mogło znaczyć?

— Jasna sprawa, towarzyszu majorze — powiedział Szestierikow z łagodnym uśmiechem.

— Co ty powiesz, a może należałoby o tym jak najmniej myśleć?

— O coś zupełnie innego tu chodzi. Po prostu — będzie zmiana pogody.

132

— Co też ty mówisz!

— Właśnie to mówię. Była przecież zmiana: zamiast baby — chłop.

Major nie odwrócił się już więcej ani razu, rozeszli się nie spojrzawszy na siebie.

I oto teraz, trzęsąc się na tylnym siedzeniu „willisa”, Szestierikow oii nowa przypominał sobie całą tę rozmowę w lasku. Czuł, że od tej rozmowy coś zależało, że to coś tajnymi nićmi związane było z nagłym

odjazdem generała z armii — i zastanawiał się, co mógłby sobie wyrzucić? Co przegapił? Jaką pozycję oddał? Kogo zdradził? I uświadomił sobie, jak i gdzie pokpił sprawę — wtedy, kiedy major Swietłookow prosił, by o tej rozmowie nikomu nie opowiadać, a on — nic opowiedział. A może było to ważne dla generała, może wtedy ten uli wyjazd nie miałby miejsca? Ale opowiedzieć o tym przecież nie mógł — trzeba by wtedy wszystko wyłożyć od początku do końca, on z.iś nie mógłby spojrzeć w oczy generałowi, gdyby mu doniósł to wszystko, czego się dowiedział o jego wyczynach. O oddziałach rekwizycyjnych, o dwudziestym dziewiątym „przełomowym” roku, o tłumionych buntach, o przesiedlaniu całych wsi do miejsc odległych. Szestierikow nie mógł tego prognozy przestąpić — i sam złamał słomkę, za którą się uchwycił.

A przecież prawdę powiedział major Swietłookow: najdawniejszym, najskrytszym pragnieniem Szestierikowa było móc służyć generałowi także po wojnie. Dodawały mu skrzydeł i te moskiewskie projekty związane z Apriewką, gdzie rozumiało się samo przez się, że bez Szestierikowa się nie obejdzie, i listy generałowej, w których Maja Afanasjewna napomykała przy końcu: „A poza tym, przekaż moje pozdrowienia swojemu wiernemu giermkowi, i niechaj ma nad I obit pieczę. No i nad sobą, oczywiście...” W częstych marzeniach wyobrażał sobie, jak to zakończy się wojna, przebrzmia salut, i generał żegnając się, zapyta go: „No cóż, Szestierikow, dokąd się teraz udasz, ilo siebie na wieś, pod Penzę?” — „Nie, Fotiju Iwanyczu. — Tak się |,ikoś przyjęło, że ordynans, jedyny spośród świty, zwracał się w ten

sposób do generała. — Nie, nie pod Penzę". — „A dlaczego? — zapytał generał. — Penzeński przecież jesteście, stamtąd pochodzisz". — „Niby tak, ale nikogo u nas tam z żoną z rodziny nie zostało. Matka i ojciec i siostra, a brat, cze przed wojną odumarli nas, jak pamiętacie, a braciszek nie odzywa się od roku czterdziestego pierwszego, nie wiem — żyje jeszcze (żyje nie. Jakoś tam się urządzą..." — I w tym momencie nabierze powie-

133

trza pełną pierś i głośno wypali: — „Z wami zostanę. Tak postanowię. Nie wiem, jak wy na to..."

Cała rozmowa była już dawno przemyślana właśnie do tego miejsca. Ale dalszy jej tok rozdwajał się. Wedle pierwszego wariantu miało to wyglądać tak — generał ze zdziwieniem uniesie brwi i powie rozkładając ręce: „Jak to ze mną, Szestierikow? Będę przecież w stanie spoczynku. — I rzeczywiście zamierzał po wojnie podać się do dymisji. — Wedle statusu, obsługa mi się nie należy..." I trudno temu zaprzeczyć, generał był nader gościnnie, ale wartość pieniądza znał. No a bez pieniędzy, za sam wikt — jakoś nie wypada.

Wedle drugiego wariantu, od którego dusza Szestierikowa słodko zamierała, generał miał się uśmiechnąć ze wzruszeniem, nawet łzę obetrzeć i powiedzieć: „A więc postanowione: nie rozstajemy się? Czy tak, Szestierikow?" — „Tak jest, Fotiju Iwanyczu, takie z nas już konie bojowe". I na tym ich męska rozmowa się zakończy.

Teraz jednakże, wraz z wyjazdem, oba warianty odpadały na amen. Ich rozmowa nie miała dalszego ciągu. To znaczy, oczywiście, generał zapytał przy rozstaniu: „A dokąd wy teraz, Szestierikow?" —

ale odpowiedzieć mu: „Gdziekolwiek, byle przy was” — nie sposób, niepodobna. Dlatego, że spyta wówczas ironicznie: „Jak to — przy mnie? Mnie, być może, na tyły odeślą. I tobie się tam zachciewa?” I to będzie straszne, tym bardziej na ostatek. Takim go generał zapamięta, tak też będzie opowiadać: „Żołnierz mój, ordynans, proszę, żebym go ze sobą zabrał na tyły. Okropnie bał się śmierci”. I nie wytłumaczyłby mu Szestierikow, że wybrałby nawet piekło — byle być z nim razem.

Z każdą godziną jazdy ogarniał go coraz większy smutek i w duszy coraz większą miał pustkę i coraz wyraźniej czuł, że to, co było najlepsze w jego życiu, uchodziło wstecz, ku temu strasznie mroźnemu dniu, kiedy pod Moskwą niósł kociotek z kapuśniakiem, i

t jeszcze nie zawołał do niego z ganku — ale zaraz zawoła! — groźny człowiek w bekieszy i z mauzerem w drewnianej kaburze.

Rozdział III

Jednemu pamięć, drugiemu sława,
a trzeciemu czarna woda...

I jeśli dla adiutanta Donskoja, jeśli dla kierowcy Sirotina i ordynansa Szestierikowa wszystko, co zdarzyło się z generałem, zdarzyło już bezpowrotnie, to dla niego samego jakby ciągnął się dalej podległy jego władzy teatr działań, który mógł jeszcze nie raz stracić szukając i znajdując coraz korzystniejsze posunięcia. Zapewne zajmował się najbardziej bezsensowną sprawą — planowaniem przeszłości, ale w Hi-norale Kobrisowie praca ta odbywała się pomimo jego woli, musiał MV nią wręcz zajmować. Co więcej, z każdą chwilą oddalał się coraz

bardziej od armii, której strata oznaczała dla niego vi tratę wszystkiego, co — jak mu się wydawało — przywiązywało go do życia, w dodatku c/okało go jeszcze tłumaczenie się przed Sztabem Generalnym, owa upokarzająca procedura, której nie on pierwszy był poddawany: niewymuszona rozmowa, podczas której przypadała mu rola „pomocy naukowej” podczas analizy błędu operacyjnego, opowiedzieć, niczego nie tając i nie szukając usprawiedliwienia dla swych wpadek, po czym zostaną mu one triumfalnie wytknięte i ogłoszony werdykt, przez niego samego przygotowany i przeżuty: „Dlatego właśnie was usuwamy”.

Wyraziście, w rażących oczy szczegółach, przypomniał sobie

(>^romny gabinet wyłożony dębową boazerią, długi stół pod zielonym sukniem i Naczelnego, który powolnym krokiem przechadza się wzdłuż

135

stołu po dywanie ssąc ustnik gasnącej fajki i od czasu do czasu przerywa ogólną rozmowę jadowitą repliką. Co powiedzieć im wszystkim, odwracającym głowy za każdym jego krokiem, pragnącym choćby o sekundę wcześniej odgadnąć jego decyzję?

A może zacząć od tego, jak jednego z ostatnich sierpniowych dni w okularach lornety nożycowej pojawiło się ogromne miasto na tamtym brzegu — stosy cegieł i brył żelbetonowych, dymiące ruiny ulicy, pochyło i ukośnie schodzącej ku Dnieprowi, i czarny anioł z krzyżem na ramieniu, wysoko unoszący się nad zielonym wzgórzem, nad gęstwiną parku? A raczej wyglądało to tak, jak gdyby anioł, zmęczony niesieniem ku rzece ciężkiego krzyża, wbił go w ziemię grubym koń-

cem i odpoczywał przywarłwszy doń ze spuszczoną głową. Daleko za nim, w błękitnej, porannej mgiełce i niewygasłych po bombardowaniach dymach, pobłyskiwały cebulki dzwonnicy i czterech bocznych kopulek oraz gigantyczna kopuła z dziurą od pocisku, który jakimś cudem nie eksplodował w środku. Nie, żaden Bóg nie wykrzywił lotu pocisku; rację miał starodawny budowniczy, który z góry chyba wiedział, że wszystko przemija, choćby nie wiedzieć ile nabudowano, wszystko skazane jest na zagładę, a to jedno — ostatek się. Wydawało się, że tylko jedna Jego biała świątynia wznosiła się nad morzem kamiennego rumowiska. Nie da się tego wytłumaczyć troskliwością artylerzystów czy pilotów, fugasy — swoje i cudze — w sposób jednakowo gęsty pokrywały wszystkie kwadraty dzielnic, a cerkwie obrywały szczególnie często jako dogodne punkty obserwacyjne — ale — czy to tajemnica budowania murów, czy też jakieś zauroczenie, że pociski trafiając w owe mury nie burzyły ich, lecz tylko urywały rogi i wydrążyły dziury. Czy taka opowieść — ich zainteresuje? Czy też przerwą natychmiast ironicznie? A może jeszcze wspomnieć o sztukieterii starych domów, zawisłej nad popieliskiem, o obnażonych klatkach schodowych i wnętrznościach niegdysiejszych domostw, a nad tym wszystkim — o wszechwładnym żałobnym połączeniu malinowej czerwieni cegły z czernią pogorzeliśka i sadzy. I czy trzeba jeszcze dodawać, jak wszystko to, co się widziało i słyszało, paliło oczy i jak dźwięczało w uszach bicie serca?

Nie opanowując wzruszenia porzucił okop obserwacyjny i podpełzł z lornetą ku pustynnej plaży, gdzie jeszcze pozostały czerwone,

niebieskie, żółte, zielone kabinki i leżaki, a obok buciki ratownika —
łódki z roztrzaskanymi burtami, na wpół zasypianymi piaskiem lub zala-
nymi wodą. Rozpłaszczony niczym wielka żaba wchłaniał przez okulary

136

i oczami wszystko, co miał przed sobą — szeroki nurt, fabryki, wysep-
ki porośnięte sitowiem i turzycą, całą rozległą srebrzysto-łuskowatą
wstęgę Dniepru — na tamtym jego brzegu — zasieki z bierwion i wor-
ków z piaskiem, lufy armatnie i wielkokalibrowe karabiny maszyno-
we, wieże czołgów, przywalone ceglami i brukowcem.

Przyglądał się ruinom bez tej goryczy, którą się z góry zakłada, i
(i której przyjęto mówić. Nie widział przedwojennego Predsławla, ist-
niał dla niego tylko ten, terażniejszy — i jego wzruszenie było innego
rodzaju. Samo nieogarnione nagromadzenie rumowisk mówiło o wiel-
kości miasta — zapewne największego spośród tych, jakie oddano
Niemcom. O jego starożytności przeczytał w wojskowej gazecie, gdzie
były historyk, a obecnie korespondent wojenny, opowiadał, przytacza-
jąc cytaty z dawnej kroniki — i chyba je z pamięci trzepał, nie nosił
przecież ze sobą annałów w torbie polowej! — że miasto założyli trzej
bracia: Kij, Choriw i Szczek oraz ich siostra Peresława; na jej cześć na-
zwali bracia małą osadę, nie wiedząc jeszcze — a może jednak prze-
czuwając — co z osady tej wyrośnie. Było coś wzruszającego i
rozculającego w tym, że wielkie miasto zachowało imię kobiety, po
której zapewne nie tylko kości, ale pyłku nawet nie zostało się. W jej
starosłowiańskim imieniu dał się słyszeć zwiastun, przecucie sławy, i
mimowolnie pojawiała się myśl, że i jego imię kiedyś kojarzyć się bę-

dzie z tym miastem; gdzieś tam, pod rumowiskami, leży jego ulica lub n; i wet jego plac — i tym samym usprawiedliwiona zostanie, odkupiona cała gorycz, poniżenie, wszystko co straszne, co było w jego życiu. Poczuł żar na twarzy, drżenie spoconych dłoni, ściskających lornetę, i kil się, że coś wyplószy; wydawało mu się, że ktoś podsłuchuje jego myśl, odgaduje jego pragnienie, równe podnieceniu myśliwego na wi- i Ink zdobyczy nazbyt dużej dla jednego, nazbyt kuszącej, by inni się na 11 iii nie zląkomili. A może było to podobne do namiętnego oczekiwania kochanka słyszącego w ciemności szelest zrzucanej odzieży.

— Ja to wezmę, powiedział głośno. — Będziesz moja, zdobędę i ie!.. — I spostrzegłszy się, że może zapeszyć powodzenie, dodał: „Że- li y tylko nie uprowadzili dziewczęcia”.

Obok, podpełznąwszy do niego, zasapał Szestierikow, z czegoś lam niezadowolony. I generał, oddając mu na chwilę lornetę, powiedział, ni to do niego, ni to do siebie samego:

— Teraz, Szestierikow, powinniśmy się zachować, jak smakowita dziczyzna. Taka, co wie7 że jest smaczna. Widziałeś kiedy, jak chodzi?

237

Nózkę przestawi — i ogląda się. Jeszcze jeden krokczek zrobi — i zno- wu obejrzy się.

— Wszystko to prawda — odpowiedział Szestierikow przywierając do lornety. — Ale robicie wszystko na opak. Na co wam okopek wyrzyci? Żebyście głowę wystawiali wprost pod snajpera?

— Daj spokój, żaden ptak nie doleci do środka Dniepru!

— Co do ptaka nie będę się sprzeczał, a kula nawet przezeń przeleci!

— Patrzysz, czy nie patrzysz?

— Patrzę. Choćbyście płaszcz nieprzemaklany sobie podścielili.

Przeziębicie piersi, kasłać będziecie.

— Zawracamy — powiedział generał odbierając lornetę. — Daj no

tu mapę, żwawo! I ołówek z cyrklem. I ten, jak mu tam?

— Wiem — powiedział Szestierikow odpędzając nogami do przodu. — Kurwimetr.

Generał wciąż wpatrując się w anioła z krzyżem, w złocącą się pod obłokami kopułę, w fortyfikacje przyczółka mostowego, zadawał sobie pytanie, czy to jego szczęście, że wyszedł ze swoją armią wprost na Predsławl. Któż nie marzył, któż nie prosił dowództwa frontu, nie pisał próśb do Kwatery Głównej, żeby mu zezwolono zdobyć Predsławl! Im bliżej podchodził front, tym bardziej generał Kobrisow odczuwał jakby nacisk na flanki swojej armii — tak w trójce przyprzążkowe napierają na konia dyszlowego zmuszając do zmiany pozycji, i tylko dlatego ten nie zmienia, że każdy z nich równoważę pozostałe. Wypadło mu być tym koniem dyszlowym — i dopiero potem wyjść na wielki Predsławl, żeby cieszyć się nim i nic nie móc zrobić. Forsować rzekę na oczach miasta, czy nawet o dziesięć kilometrów powyżej lub poniżej jej biegu — ta myśl, choć zdawała się szaleństwem, przemykała jednak, zamieniając się przy bliższym rozpatrzeniu w irytację na bzdurne swoje marzenia. Położy tutaj połowę swojej armii — i nie zdobędzie ani piędzi ziemi na tamtym brzegu, nawet na małej wysepce. Swój

„wschodni szaniec" Niemcy przygotowywali długo i starannie, tutaj każde rumowisko stało się DOT-em*, pozycją armatnią, gniazdem karabinów maszynowych, nie mówiąc o przycumowanych do kotwic minach pływających nad samą powierzchnią rzeki. Wyszadzony batalion — DOT {Dołgowriemiennaja ogniewaja toczka) — gniazdo ogniowe.

138

<&!

I

mlyby jakimś cudem udało się go wysadzić — zlikwiduje pierwszy lepszy „junktors" jedną bombą, niezbyt ciężką, żeby zaś ją zrzucić, poleciał nisko nad ulicą, że się go nie wyprzedzi. Gdyby choć ten po trzykroć przeklęty Predsławl leżał w nizinie, ale stał on na dominujących nad okolicą wzgórzach, jak przystało wielkiemu rosyjskiemu miastu, i n, i tym polegało jego piękno i jego niedostępność.

Tak pokierował generałem Kobrisowem jego los, być może zły los, do samego Predsławla, by stał przed nim w pogotowiu — na ten niewiarygodny wypadek, gdyby feldmarszałkowi Erichowi von Steinhilfowi, dowódcy grupy Armii „Ukraina", przyszło na myśl przeprawić się z powrotem i zamknąć od wschodu zdobyty już przyczółek | >od wioską Sibir. Całe zadanie Kobrisowa polegało na tym — niechaj S/Tab Generalny wspomni o tym, weźmie pod uwagę! — żeby ubezpieczać swego sąsiada z lewa, 40. Armię Tierieszczenki, który wyszedł mu1 na wprost, a o osiemdziesiąt kilometrów poniżej biegu rzeki. Tam miało się szczęśliwie znaleźć kolano Dniepru, który w kapryśny sposób skrzył ku wschodowi jakieś pół miliona lat temu, żeby teraz poda-

rować Tierieszczence nieocenioną możliwość — oznajmić o swych prawach i do pierwszego przyczółka, i zarazem do samego Predstawlit. Szczodrość podarunku polegała jeszcze na tym, że na całej swej rozciągłości prawy brzeg Dniepru jest wyższy od lewego i odsłonięty, w niektórych zaś — tak samo niski, poryty wądołami i zalesiony, nie trzeba więc wspinać się po urwiskach, ani głowić nad tym, jak ukryć desant wojska. Wyglądało kusząco to zakole w oczach obecnych na naradzie u dowódcy frontu Watutina, w Domu Kultury we wsi Olchowatka; wprzejęci byli w nie jak zakłęci i sam Watutin, i przedstawiciel Sztabu Głównego, marszałek Żuków i dowódcy czterech armii, które wyjechały na Predstawl — trzech ogólnowojskowych i jednej pancernej, która, dowodził Rybko. Wtykając cały czas w to zakole laskę zamiast wskaźnika, Tierieszczenko namiętnie dowodził, że zostało mu ono dane jakby od samego Pana Boga — argument działający niekiedy bez pudła na znające się na rzeczy dowództwo, jeśli wypowiadać go stanowczo i entuzjastycznie, jak to Tierieszczenko potrafił. Do głównego argumentu naderwiała nie dochodziły uzupełniające — że ten odcinek brzegu, dzięki temu właśnie zakolu ostrzeliwany jest przez nas z trzech stron. Choćby nie wiem co, to drugiego wariantu być nie mogło, jak tylko zdobyć przyczółek przy Sibirze, Predstawl zaś — szturmem od południa.

Pewien mankament tego planu widoczny był z miejsca: wszystko, co przyszło do głowy nacierającym, mogło też przyjść do głowy Niemcom,

139

właśnie generałowi-feldmarszałkowi Erichowi von Steinerowi*. Na ten argument, wypowiedziany przez sąsiada Kobrisowa z prawej stro-

ny, generała-lejtnanta Czarnowskiego, Tierieszczenko miał gotową odpowiedź: „Cóż, jeśli my sami potrafimy przewidzieć, co przeciwnik może przewidzieć, to znaczy, że czegoś nauczyliśmy się”. — „Denisie Trofimowiczu — to żadna odpowiedź — krzychał zapalczywie Czarnowski. — Samo tylko przewidywanie to za mało, nieźle by i coś nowego zastosować, gdyby von Steiner o tobie wcześniej pomyślał...” Ale Tierieszczenko z chytrym uśmieszkiem natychmiast odparował: „Wasilu Daniłyczu, a czemuż to miałby się ten von Steiner mnie bać? Raczej o Czarnowskim myśli, więcej o nim słyszał...”. I wszyscy obecni, też uśmiechając się, spojrzeli na Czarnowskiego, młodego, przystojnego, ambitnego szczęściarza, o którym nie tyle von Steiner, ile cały front wiedział, że zasypywał Sztab Generalny listami: „Nigdy o nic nie prosiłem, ale teraz o jedno proszę — pozwolić mi wziąć Predstawl”. Uzasadniał swą prośbę tym, że urodził się w pobliżu tego miasta, uczył się tam, wstąpił do Komsomołu, ożenił się i pierwsze lata jego służby też tutaj minęły, za to miasto gotów jest oddać życie, itd., itp. On to właśnie napierał na Kobrisowa, niczym przyprządkowy koń na dyszlowego, mieszając niekiedy jego szyki bojowe, zachodząc „przez pomyłkę” na jego „odcinek natarcia”. Napomknąwszy o zawiści oponenta i wprawiając go tym samym w zakłopotanie, Tierieszczenko dodał już poważnie: „Chciałbym zapewnić, że w zupełności zdajemy sobie sprawę z tego, kim jest von Steiner. Zetknęliśmy się nie raz. Ogólnie rzecz biorąc, wojak z niego niezgorszy”. Powiedziane to było o generale, którego jego niemieccy koledzy nazywali „najlepszym mózgiem”. W powieści obok dowódców historycznych, występujących pod własnymi nazwiskami (jak N.F. Watutin czy feldmarszałek Friedrich von Paulus — dowódca

6. Armii niemieckiej wziętej do niewoli pod Stalingradem), pojawiają się postacie fikcyjne, konstruowane w oparciu o cechy osobowe i pewne wybrane fragmenty życiorysów realnie istniejących generałów. Do tej grupy należy Erich von Steiner — w rzeczywistości znany jest gen. SS Felix von Steiner (1898-1966), dowódca III Korpusu Pancernego SS na froncie wschodnim, czy Manteuffel — istniał gen. Hasso von Manteuffel (ur. 1897), dowódca dywizji pancernych na froncie wschodnim. W istocie jednak obie sylwetki łączą tutaj cechy feldmarszałka Ericha von Lewinskiego Mansteina (1887-1973), dowódcy Grupy Armii „Don”, najwybitniejszego generała niemieckiego na froncie wschodnim, a także feldmarszałka Ferdinanda Schórnera (1892-1972), dowódcy Grupy Armii „Siid” i „Siidukraine”.

140

operacyjnym Niemiec” i który, gdyby miał w rozporządzeniu nie tyle f»it, co Tierieszczenko*, lecz o połowę mniej, zdruzgotałby go w kilka godzin. Był to zresztą styl nie tylko Tierieszczenki, lecz taki, jaki ukształtował Nie już w całej armii, styl mówienia o przeciwniku, ot tak, po żołniersku, ironicznie: niezgorszy wojak von Steiner, coś tam kapujący Paulus, i nie l.iki znowu idiota Manteuffel. Za dobry ton uchodziła „pogarda wobec wroga” — za to, że ma mniej czołgów, mniej broni, że jest w niekorzy- Mnej sytuacji, a my mamy niemal sześćo- siedmiokrotną przewagę — on zaś jeszcze „podryguje”. Kiedy ten osłabły niedorajda nagle dawał w mordę albo wychodził elegancko z okrążenia, stawał się wówczas „pełzającą gadziną” i „wyjątkową swołoczą”.

Jednak dowody Tierieszczenki odniosły swój skutek, kontrargu- mentów Czarnowskiego zaś, a w ślad za nim Kobrisowa, nie brano bo-

ilaj pod uwagę. Tymczasem przy wątpliwościach Kobrisowa, dowody
ti" traciły swoją początkową siłę, a koronne argumenty rozsypywały
sio w pył. Jakim ogniem zamierzał ostrzeliwać się z trzech stron zamie-
rzony przyczółek? Jeżeli cekaemami, to sprawa oczywista, trzy strony
so najbardziej odpowiednie; dalekonośnej artylerii natomiast jest to zu-
pełnie obojętne — a zatem zakole Sibięzkie nie stwarzało żadnych
udogodnień w porównaniu z jakimkolwiek innym odcinkiem rzeki,
czy to prostym, czy wygiętym w odwrotnym kierunku, ku zachodowi.
I)alej, w miejscowości zalesionej i pokrytej wądołami łatwiej się scho-
wać, ale o wiele trudniej poruszać; czymże okażą się tam, jak nie kulą
ii nogi, bezużyteczne czołgi i opancerzone transportery, samobieżne i
przewożone działa? Z całą mocą może tu działać tylko piechota, ale i ta
nie podczas natarcia. Zdawało się, że i Żuków, i Watutin przysłuchi-
wali się temu, jednakowoż Tierieszczenko spoglądał na wszystkich ze
zwycięskim uśmiechem, jakby wiedział z góry, jakie zapadnie posta-
nowienie. Zresztą wszyscy znali jego koronny argument: ten skrawek
prawobrzeża można szybciej zdobyć — a zatem o wiele wcześniej za-
meldować Naczelnemu o sforsowaniu Dniepru. Tak tego pragnęli, że
Autor ukrywa także część znanych dowódców Armii Czerwonej pod łatwymi do
rozszyfrowania pseudonimami. Tierieszczenko to Kirył S. Moskalenko
(1902-1985), m.in. dowódca 40 A. i 38 A. (od X 1943). Rybko to Paweł S. Rybałko
(1894-1948), od jesieni 1942 dowódca 3 A. Pancерnej Gwardii. Czarnowski to
Iwan D. Czerniachowski (1906-1945), dowódca 60. A., od 1944 3 Frontu
Białoruskiego.

II;

żadne argumenty nie mogły tu przeważać; jedynym ich objaśnieniem była — nie bez podstaw zresztą — zawiść wobec Tierieszczenki, do którego przyłgnął już przydomek „specja od ataków”.

„Ilu trzeba poświęcić za taki przydomek? Ze czterdzieści tysięcy, chyba nie mniej? — zadawał sobie w duchu pytanie Kobrisow, wpatrując się w chudą, ostronosą, niezmiennie obrażoną twarz Tierieszczenki, w jego szczupłą, ruchliwą sylwetkę, wyprężoną, jakby go wciśnięto w wąski mundur. Spośród wszystkich cnót generalskich wyróżniał się bezsprzecznie jedną — niepohamowaną energią, to znaczy umiejętnością popędzania do boju młodszych od siebie mężczyzn i trzymania armii w ryzach, bez pardonu waląc w łeb i rozbijając pięścią lub też sękatym kijem nosy i wargi. Na wyrzuty Watutina odpowiadał: „Ja sam siebie nie szczędzę, więc i innych mam prawo nie oszczędzać”. O tym, jak nie szczędzi on innych, świadczyły straty jego armii, największe na całym I Froncie Ukraińskim; o tym, jak nie szczędzi siebie dowódca, mówiła głoszona powszechnie legenda, że śpi tylko cztery godziny, troszcząc się o armię i „wszechstronnie doskonaląc swoje wykształcenie”, które poczytywał za niewystarczające, w związku z czym zasypywał zarząd polityczny zaproszeniami dla moskiewskich zespołów i spisami zamawianych specjalnie dla niego książek. Byli tu Clausewitz i Szekspir, von Schliffen i Turgieniew, obaj Moltkowie i Górki; sławne te nazwiska jednak nie kłóciły się z kijem i pięścią ani z pluciem w twarz. Ów przydomek „specja od ataków” — który sam chyba wymyślił — też sprzyjał sprawie: któż by jeszcze mógł z taką śmiałością

wydębić po piętnaście, po dwadzieścia tysięcy uzupełnienia — komuż to daliby coś takiego bez mrugnięcia? I wreszcie, komu uszłoby na sucho to, kiedy przyczótek Sibiński okazał się w końcu pułapką, starannie zmontowaną przez von Steinera, kiedy całe uzbrojenie ugrzęzło w lasach i wądołach, które ciągle zapełniały się gnijącymi ciałami, a natarcie w żaden sposób nie mogło się rozpocząć? Pułapką okazała się też cała narada w Olchowatce, gdzie wszyscy koledzy Tierieszczenki bez sprzeciwu przyjęli na siebie całą odpowiedzialność. Pułapką okazał się również raport do Naczelnego, który od razu zmienił termin wzięcia Predsławla: nie „przed zimą”, a teraz, dokładnie na święto 7 listopada. Sam zaś Tierieszczenko niczego nie stracił: na półknie nie starczyło sił, natomiast za to, co odgryzł, został generałem-pułkownikiem i choćby miał sterczeć w Sibiezu całe pół roku na generała-lejmana już go nie zdegradują. I dziwna rzecz — z im większą oczywistością ujawniały się wszystkie przewidywane niebezpieczeństwa Sibińskiego

242

przyczółka, tym goręcej bronił tego wariantu i tym więcej posyłano

l.im, w tę nienasyconą topiel, ludzi i sprzętu.

Nie wiedzieć czemu, tak się składało, że cały front musiał praco-

wać na Tierieszczenkę, a kiedy stało się oczywiste dla wszystkich, i on

s.un zaczął wątpić, że z tylko swoją armią w Sibiezu poradzi sobie, nie

wyciągnęli jej stamtąd, lecz rzucili na pomoc sąsiednią, 27. Armię ge-

nerała Omielczenki, a w ślad za tym niemal całą pancerną Rybki. Tie-

rieszczenko zaś i wtedy nie spokorniał, lecz z tą samą energią

wytargował zawczasu, że główne uderzenie na Predsławl zada jego

armia, a te dwie pozostałe pełnić będą rolę posiłkową. I wyglądało na to, że zastosowano jedynie możliwą teraz zbawienną taktykę, którą Kobrisow nazywał w duchu mianem „rosyjskiej czterowarstwowej”: trzy warstwy kładzie się i wypełnia nimi nierówności skorupy ziemskiej, czwarta zaś — po nich pełźnie. Dawało o sobie znać, jak zwykle, przekonanie, że skoro tyle sił już stracono, to w żaden sposób odstąpić nie wolno, a może się zdarzyć i tak, że „wyrwie zwycięstwo ostatni rzucony do boju batalion” — to właśnie rosyjskie przekonanie zgubiło Niemców pod Stalingradem.

Jeżeli chodzi o armię Kobrisowa, dotychczas jeszcze nie biorącej udziału w walkach, coraz częściej myślał o niej z niepokojem, że wcześniej albo później, zaczną wyszarpywać z niej kawałki dla tej wlnśnie nienasyconej topieli. I tę myśl, która mu przyszła do głowy, kiedy patrzył na czarnego anioła z krzyżem i na kopułę soboru Iśniącą, ale odrobinę przygaszoną, a może zakopconą poźłotą, należało przeanalizować i wprowadzić w czyn jak najszybciej. Myśl ta nie od razu przyszła mu do głowy. Jakkolwiek to dziwne, najprostsze myśli nawiązują nas nie tak prędko, jak te bardziej złożone i ważne. Objeżdżał poprzedniego dnia swoje wojska na północy od Predstawla — laski wymyślono pretekst, aby zapolować sobie w dniewprowskich rozlewiskach, odpocząć od całego tego zgiełku, pozostać choćby kilka godzin/sam na sam ze sobą. Wrzesień był tuż-tuż, czuł zbliżającą się jesień całą swoją istotą, której już rok temu minęło pół wieku; zbliżał Nie kres wieku męskiego, ten szczyt pagórka, za którym jest tylko zboże. Tak ostro wyczuwał zakradającą się jesień, z takim smutkiem do-

strzegął jej początek w zielonym jeszcze listowiu, w jaskrawię błękitnym niebie, że nawet pomyślał: a może to ostatnie polowanie w jego życiu? Lepiej nie czekać, aż osłabnie wzrok i ręka utraci swą sprężystość, lecz rzucić wszystko w diabły, żeby nie przysparzać Bożemu utworzeniu zbędnych mąk. Polowanie się nie udało — postrzelił kaczkę,

143

ale ona z ładunkiem śrutu w ciele, krzycząc żałośnie i smętnie, pomachała jeszcze kilka razy poranionymi skrzydłami i zniknęła daleko od brzegu. Dotrzeć do niej było nie sposób nawet w butach gumowych, nie było też psa, który by za nią popłynął, zresztą nie puściłby psa pod kule niemieckiego snajpera. Rozdrażniony tym wszystkim przestał strzelać. Ale być może wtedy to właśnie nawiedziła go ta myśl, kiedy ostrożnie rozsuwając sitowie i patrząc z żalem na umierającą kaczkę, którą unosił prąd, spojrzął ponad nią. Daleki i złowrogi w swej ciszy, tamten brzeg zwiślał nad wąskim pasem piasku niczym przekrój geologiczny, i był porośnięty czarną osiką, ospowaty od czarnych gniazd jerzyków. Na tych stromiznach nie tylko się uczepić, ale nie było nawet na czym oka zatrzymać, same łyse pagórki, ciągnące się chyba setki wiorst, jedynie tu i ówdzie pomarszczone rozpadlinami — z nich w każdej chwili mogły walnąć karabiny maszynowe. A jednak nie walnęły. Ośmielony, stał całkiem na widoku, po kolana w wodzie, i nagle pojął, że nie tyle rozpadliny nadają temu brzegowi widok nieprzystępny, co jego nagość. Nie, myśl ta jeszcze nie wtedy zrodziła się w nim, jeszcze nie poczuł głośnych uderzeń serca, jak w chwilach, gdy ujrzał ten brzeg rzeczywiście niedostępny, obwarowany tysiącami luf przyczółku

mostowego. Trzeba było najpierw zobaczyć go zupełnie pustym, a dopiero potem ufortyfikowanym i w myślach zebrać wszystkie te umocnienia, żeby serce raptem забиło mocniej i częściej. Być może majaczyła w jego pamięci ta niepotrzebna, powoli odpływająca kaczka, kiedy powiedział sam do siebie: „Ja to wezmę!” — a do Szestierikowa: „Musimy się zachowywać jak smakowita dziczyzna...”

Szestierikow przepęłznął z powrotem z mapą i przyborami, ale przedtem zmusił go, by przylgnął do rozpostartej pałatki. Wszystko, co mu polecał robić namolny Szestierikow, generał wykonywał potulnie, wiedząc, że będzie to sensowne i słuszne, a co najważniejsze — że i tak się od niego nie odzepi, póki swego nie dopnie. Nawet pod mapę podłożył coś twardego — wieko od skrzyni po akumulatorach do zasilania artyleryjskich radiostacji. Predsławi oznaczony był na tej mapie, jak każda większa miejscowość — czterema nierównym zakreskowanymi prostokątami, jakby „dzielnicami” rozdzielonymi białym krzyżem „ulic”; Sibir — oznaczony był kółkiem z kropką. Generał Kobrisow, z wyraźnym drżeniem palców wetknął szpikulec cyrkla w białe skrzyżowanie i jął rozsuwać ramiona tak długo, aż to drugie z grafitem trafiło w sam środek kółka oznaczającego Sibir, następnie zaś — wykonując półobrót — tymże rozstawieniem cyrkla przeleciał nad niebieską, wijącą się nitką wodnej przegrody „rz. Dniepr”, w północnej jej części. I ramię z grafitem trafiło do takiegoż kółeczka, w sam środek. Cofnął rękę i przeczytał nazwę — „Myriatin”.

Nic mu to nie mówiło, poza tym, że miejscowość znajdowała się w takiej samej odległości na północ od Predsława co Sibir — na po-

łudniu. Te same osiemdziesiąt kilometrów. Jednakże to, że ramię znalazło się w samym środku kółka, wydawało się znaczące. Sam los czy Nóg, jak zwał tak zwał, upewniał go w jego decyzji. Ale przecież i fatalista wychodzący na spotkanie wróżby, nie tylko powodzenie przewiduje, lecz czuje też zimno w piersi, strach przed nieznanym. Coś w tej właśnie chwili powiedziało Kobrisowowi, że z tym nieznanym złączył się, być może, to najważniejsze w jego życiu, i to najstraszniejsze, nie wyłączone śmierci. Pomyślał nawet, czy nie swoją własną mogiłę kopie, kiedy wydaje się nam, że znaleźliśmy poszukiwany cel... To iukzucie — i porywające, i przerażające — trwało krótko i wnet zgasło, niemal zapomniane. I huknął błazeńskim głosem:

Tosiu, miła, z mego domu,

Dobrze radzę tobie:

Nie dawaj lepiej nikomu

Gazetę zatkaj sobie...

Szestierikow oderwał się od lornety i spojrzał na niego podejrzliwie.

— Kapujesz, Szestierikow? — zapytał generał, powtarzając opowieść z cyrklem.

— A może byśmy tak do okopu zajrzeli? — Bo w wesołków najwięcej trafiają.

— Jaki tam okop! — zawołał generał — Tylko tego brakowało — jakiego okopu... Do samochodu trzeba, ale to już. Czołgi trzeba ratować, jakiego! Zanim ten bałwan Tierieszczenko nie wprowadzi ich sprzed nosa!

Jakże późno podjął tę decyzję! Gdyby zdobył się na nią wtedy, w

< Uchwatce, być może ci, gnijący w wadołach, zostaliby przy życiu?
t hyba jednak nie, byli z góry skazani — by swoją śmiercią dowieść
i .iły bezsens pomysłu z Sibięskim przyczółkiem. Oni to też, parado-
ksalnie, wzmocnili „dowódcę natarcia” — wszyscy byli zajęci tylko
tym, jak mu pomóc wyjść z awantury, do jakiej innych wciągnął. Ale i
przedtem, nie wiedzieć jak, usposobił do siebie przychylnie Watutina,
.1 /i jego pośrednictwem także Żukowa; brał od sąsiadów, co chciał —
145

pułki artyleryjskie i moździerzowe, dywizje i brygady pancerne — i
zwracał pogruchothane, przerzedzone, do takiego stopnia wymęczone,
że należałoby je przede wszystkim wysłać na tyły na odpoczynek, a
potem uzupełnić. Tierieszczenko zaś, oddając, nawet nie zamierzał ich
uzupełniać, wszystkie należące się im uzupełnienia zostawiał dla sie-
bie. W tejże Olchowatce, kiedy zapadła już decyzja w sprawie przy-
czółka i wsiadano do samochodów, donośnie, przy wszystkich,
zapytał Kobrisowa — być może żartem, ale żartem nie nazbyt miłym:
— Nie wypożyczyłbyś mi, Fotiju Iwanyczu, jakiejś dywizyjki?
Tak czy owak, u ciebie będą stały beczynnie.
— A jakież to jeszcze, Denisie Trofimyczu, dywizyjki ci się zachcia-
ło? — zapytał Kobrisow przy akompaniamencie ogólnego, dobroduszne-
go śmiechu.
— 6. Dywizję Gwardyjską masz niezłą.
Ten mędrak czytywał Clausewitza — i nie wiedział, że nie ma jed-
nostek gorszych i lepszych, że o wszystkim decyduje duch armii, a ten

u wczorajszych zwycięzców mógł się rozwiać i sprawić, że stracili siły, natomiast świetni okażą się ich wczorajsi sąsiedzi, którzy onegdaj niczego nie dokonali, albo nawet ponieśli klęskę, a teraz przepętnieni są wściekłością i żądzą odwetu.

— Po cóż się rozdrabniać? — powiedział Kobrisow na odjeźdźnym.

— Wziąłbyś już sobie całą moją armię. Ja z samym taborem mogę wojskować.

A tymczasem perspektywa pozostania z samym tylko taborem nie była wcale tak odległa. Trzeba się było spieszyć, spieszyć, niczego teraz nie oddawać. W szczególności zaś — czołgów.

Pod wieczór ułożył sobie w głowie plan czekającej go rozmowy z Watutinem. I chwila wypadła jak najbardziej sprzyjająca. Wczoraj było jeszcze za wcześnie, Tierieszczenko jeszcze nie nawalił do reszty na Sibiżu, jeszcze czekano, że wypłacie się jakoś z tego, nazajutrz zaś — mogło być za późno, na tę myśl, która przysłała do głowy Kobrisowowi, wpadną sami, i pozbawią go inicjatywy. Licho nie śpi: Tierieszczenko zechce skorzystać naprawdę z jego propozycji: „Bierz już sobie całą armię...”. Liczyła się każda godzina. Jednakże dopiero grubo po północy adiutantowi Donskojowi udało się połączyć z dowódcą frontu, kiedy ten wrócił do siebie z Olchowatki z przyczółka Sibiżskiego. Dzwonić zaś do Watutina na przyczółek, gdzie mógł być z Żukowem i Tierieszczenką, rzecz jasna, nie należało.

146

— Mikołaju Fiodorowiczu — zapytał Kobrisow od razu po przywitaniu — macie przed sobą mapę?

— Tak, słucham cię. — Watutin odpowiadał głosem zmęczonym i / . lekka niezadowolonym. Mapy przed sobą, widać, nie miał, ale jako Mary sztabowiec zachował ją chyba w pamięci, ze wszystkimi miejscowościami i odległościami między nimi.

— Widzicie ten Myriatin? Siedemdziesiąt kilometrów na północ...

— Osiemdziesiąt — powiedział Watutin. — No i co? Tam zdaje nic Czarnowski się trzyma.

Tak więc mapy przed sobą nie miał. Konfigurację frontu pamiętał, .tle jednak nie wszystkie styki flanków.

— Jeszcze nie Czarnowski. Tymczasem jeszcze ja tam się trzymam. Samym skrajem prawego skrzydła. Tak więc naprzeciwko tego Myriatina... Jest tam od brzegu bodaj o jakieś dziesięć kilometrów...

Kobrisow zrobił pauzę, by wymusić od Watutina odpowiedź:

— Chcesz wziąć przyczółek?

— Prosiłbym o pozwolenie. — Kobrisow niemal widział, jak jego i n/.mówca, zaskoczony pytaniem, rozpina kołnier, zawsze uwierający (y jego krótką szyję. — Mikołaju Fiodorowiczu, tak naprawdę, jestem brzczyzny. Po cóż mi stać naprzeciwko Predstawla, niczym kawaler przed narzeczoną? I to w obecności rodziców. I to na dobitkę — nie przed swoją.

Wiedział, że w ten sposób Watutin będzie musiał odparować, zanim przemyśli sprawę do końca.

— Jak to — „nie przed swoją”? Narzeczoną mamy — wspólną.

— Czyżby tak bywało? — zapytał Kobrisow z uśmiechem w głosie, ale Watutin żartu nie podtrzymał.

— Nie jesteś beczynny, Fotiju Iwanyczu. Wiesz, po co tam stoisz.

| «*fUi von Steiner zamyśli z powrotem przeciąć Dniepr i zajdzie od wschodu na Sibięz...

— Nie przetnie. Na takie fortele Guderian zdobywał się w czterdziestym pierwszym, ale dzisiaj i on by się na to nie zdobył. Siły nie te. Toz on, von Steiner, znaczy się, połowę swoich wojsk, miejcie to na uwadze, pod Sibięzem trzyma.

Był to przygotowany rewerans w stronę Watutina — że jego uko-

t liany Sibięzski przyczołek tyle uwagi na siebie ściąga. W xxQczy samej von Steiner rzucił tam jedną dywizję — co prawda, nie zwykłą, połowa,, a dywizję SS „Reich", liczącą czterdzieści tysięcy i wzmocnioną

•/.eścioma setkami czołgów, którą można było uważać za maleńką ar-

U7

m

mię — a jednak tylko ona jedna przeciwstawiała się trzem armiom radzieckim. Watutin wszakże nie zaczął się spierać, że nie połowę, lecz co najwyżej jedną trzecią swych sił von Steiner unieruchomił pod Sibięzem. Kobrisow odgrodził się od wszelkich argumentów murem pochlebstw, pozostawiając w nim tylko jedną otwartą furtkę — Myriatin.

— Cóż, Fotiju Iwanyczu, nie zawadziłoby mieć ten Myriatin. Jako przyczołek uzupełniający, zagrażający Predstawlowi. Wcale by nie zaszkodziło. Ale to pustynia, łysy brzeg. Wziąłeś to pod uwagę? Bezdzięsz tam, jak łza na rzęsach Allacha, strząsnąć ją z siebie — to tyle, co splunąć.

— A może nie strząsną? Przecież nie spodziewaliście się, że o ten

przyczółek poproszę? Tym bardziej, zapewne von Steiner nie spodziewa się tego?

— Pochlebca z ciebie — powiedział Watutin z ironią. Lecz zarazem przeciwko jednemu jeszcze reweransowi nie zaproponował. — No, cóż, wal śmiało... Dlaczego jednak naprzeciwko Myriatina? Miasteczko jak miasteczko, ale przedpoła ma umocnione. Dlaczego nie bardziej na północ? Albo na południe?

— A dlatego, żeby sobie pomyślał, że ja mu ten Myriatin chcę całać.

— Słusznie — powiedział Watutin. — A ty go brać nie zamierzasz? Kobrisow odpowiedział wymijająco:

— A kto mi go za darmo odda? Nie łasimy się na to, czego połąknąć nie potrafimy. — I po chwili milczenia dodał: — Mikołaju Fiodorowiczu, ja nie brałem miast, które potem trzeba było oddawać.

— Pamiętam — powiedział Watutin. — I doceniam.

„Gdyby tak było!” — pomyślał Kobrisow. Bowiem bardziej ceniono Tierieszczkę, który zawsze „siedział na całego”, jak mawiano wszystkim dla przykładu, wziął pospiesznie Charków, by wkrótce go oddać — nie zwróciwszy, oczywiście, nagrody otrzymanej za to zdobycie. Kobrisowowi przypadło w udziale brać Obojań lub Sumy, owe małe miasteczka, które nikogo szczególnie nie ucieszą, nie zabrzmiały w rozkazie Naczelnego, ale o których nikt nie usłyszy, że wypadło je pozostawić. Należał do tych „cichych dowódców”, których mogło dostrzec jedynie przenikliwe oko tych, co umieli czytać skąpe zdania: „wojskom generała N. udało się przesunąć o 12 km... Udało się utrzymać...”

— Przy sposobności wezmę — powiedział Kobrisow, wcale nie zamierzając tego robić.

148

!m

— Dobrze, Fotiju Iwanyczu. Sam się zastanów nad okolicznościami. A ja dlatego zapytałem, żebyś za dużo nie stracił na ten Myriatin.

My myślimy głównie o Predstawlu — no i na twoje siły też liczymy.

— Moich sił wystarczy. Ale swoją artylerię — ciężką, hatibiczną na tamtym brzegu zostawiam. Żeby zza Dniepru pojedynkować się ponad naszymi głowami.

— Ty już się za Dnieprem czujesz? — uśmiechnął się Watutin.

— Z ręką na sercu powiem wam, Mikołaju Fiodorowiczu — jak Kdyby odstaniał swoje karty Kobrisow — na waszą zgodę tak się nastawiłem, że mój 7. Korpus Kaukaski już się przygotowuje do przeprawy. I sam jestem jedną nogą tam, choćby za godzinę gotów odjechać...

— A gdybym się nie zgodził?

— A czemuż mielibyście się nie zgodzić?

Watutin przemilczał i zapytał:

— W porządku. A jak sprawa z czołgami?

Dla tej to właśnie sprawy — o czołgach, o sześćdziesięciu czterech ukochanych jego „pudełeczkach”, „prymusach”, „maszynkach naftowych”, „turkotkach” — przygotowywał się do tej rozmowy i

i ni powiedział miał w zanadru — z długim, ciężkim westchnieniem:

— O-ho-ho, czołgi... Tak sobie myślę, że się wam bardziej na Sibie-
/u przydadzą.

— Nadto jesteś łaskawy. Czyżbyś je spod serca oddał Tierieszczence?

— Przecież tak czy inaczej odbierzecie — powiedział Kobrisow beznadziejnym tonem.

— Tymczasem nie odbieramy...

— Odbierzecie, wiem to z góry. Dla niektórych jestem skarbonką rezerw. Tak to wygląda: „Pożycz no, Kobrisow, twoje czołgi, na jakiś tydzień. Co tam masz jeszcze dobrego?”

— Możliwe, że tak będzie — przerwał Watutin. — Ale tymczasem uważam, że czołgów Tierieszczenko ma dość.

— Tym to dobrze! Czołgów mają dość! Mikołaju Fiodorowiczu, odkiedy to na wojnie czegoś brakuje? Tylko tego, czego zastosować się nie da. Na tę filipikę przeciwko Tierieszczence i wszystkim tym, którzy jej, i« wsparli — Watutin nie odpowiedział. Zarazem Kobrisow z takim uporem i z takim beznadziejnym smutkiem narzucał swoje czołgi, których na Sibiżu zastosować nie sposób, że już niepodobna było nie zrezygnować z nich kategorycznie.

— Powiedziałem: tymczasem są twoje.

149

— Radzicie je także przeprowić? — zapytał Kobrisow z niewinną nutą gotowości.

— Fotiju Iwanyczu, tyś mi dopiero co o tym Myriatynie powiedział, a już chciałbyś rady usłyszeć. Przyjdź jutro. Zastanowię się. Może mi coś przyjdzie do głowy. Życzę ci powodzenia.

Z lekkim rozdrażnieniem w głosie dawał do zrozumienia, że py-

tanie o rady jest niestosowne. Nie należy przesadzać. I nie trzeba zapominać: od podwładnego zawsze lepiej usłyszeć decyzję, która już zapadła. Tak więc najważniejszą wskazówkę, jaką chciał usłyszeć Kobrisow — otrzymał: nie naprzykrzać się władzy. A co powie władza nazajutrz, kiedy wszystko odbędzie się zgodnie z jego planem, łatwo mógł sobie wyobrazić. A ponieważ znał co nieco uczestników rozmowy, nie był zbyt daleki od prawdy...

...W głębokim, ukrytym pod siedmioma warstwami białego wioń schronie sztabowym na Sibijskim przyczółku zaterkotał brzęczyk i dyżurny operacyjny przy sztabie frontu zameldował, że ruchome formacje 38. Armii generała-lejtnanta Kobrisowa przeprowadzają skrytą zmianę pozycji w kierunku — Myriatin. Sam dowódca także udał się na miejsce przyszłej dyslokacji. Trzej najstawniejsi dowódcy — marszałek Żuków, generał armii Watutin, generał-pułkownik Tierieszczenko — unieśli głowy znad mapy.

— A cóż to on? — zapytał Tierieszczenko. — Czyżby przyczółek zamierzał wziąć?

— Prosił o pozwolenie. — powiedział Watutin. — Uzasadnił przekonywająco, odmowę uznałem za niestosowną.

— Ależ to niepoważne, Mikołaju Fiodorowiczu! Toż to go tam o trzydzieści wiorst widać jak na dłoni. Zmiotą go stamtąd małą miotłą. Zwyczajny bzik Fotija!

Jednak Żuków, gładząc w zadumie swój masywny podbródek, raptem przyciągnął mapę za róg ku sobie i wlepił w nią przenikliwy, wszechobejmujący wzrok.

— Nie mów, nie mów, Denisie Trofimowiczu — zaproponował z uśmiechem. — Na wojnie często wielkie poczynania zaczynają się niepoważnie.

— A czołgi? — spostrzegł się Tierieszczenko. — Też je na przyczółek przepawi? Po co mu tam one — na tych gołych stromiznach? Potrzebniejsze są nam, tutaj.

I Watutin nie mógł nie wspomnieć z irytacją, jak mu sam Kobrisow proponował swoje czołgi dla Siebieża, dosłownie narzucał je, a on

150

! •! nie przyjął. Ale przyznać się do tego, że tak łatwo owinięto go wokół palca — po tym, jak powiedział: „zastanowię się” — Watutin również nie mógł. I rozkazał, by dyżurny operacyjny wyjaśnił niezwłocznie, gdzie w danej chwili znajduje się pułk czołgów 38. Armii. W niespełna d/.iesięć minut później dyżurny operacyjny oddzwonił i poinformował, że kolumna czołgów znajduje się gdzieś w drodze, posuwając się prawdopodobnie w kierunku na Myriatin.

— Co to znaczy „gdzieś”? Co to znaczy „prawdopodobnie”? — /awołał Tierieszczenko obrażonym kogucim tenorkiem, omal nie wyrwijając Watutinowi słuchawki. — Niech zapyta dowódcę pułku, gdzie się znajduje!

Okazało się, że już próbowano zapytać dowódcę, ale widocznie nie wolno mu odpowiadać na nie szyfrowane pytania. Co zresztą zawsze obowiązuje podczas marszu.

— Ale przecież sam generał Kobrisow — zapytał Watutin — może się połączyć z pułkiem? Przecież jakiś szyfr został uzgodniony?

Dyżurny operacyjny zadzwonił raz jeszcze po dziesięciu minutach i przekazał informacje jeszcze bardziej zdumiewające. Generał Kobrisow nie może się połączyć ze swymi czołgami i nawet nie wie, jaką trasą zmierzają ku Myriatinowi. Wybór trasy pozostawiono do ilecycji dowódcy pułku. Radiostacje czołgowe są opieczętowane i nie pracują nawet na odbiór — w celu uniknięcia prowokacyjnych rozkazów ze strony przeciwnika.

— Ach, ten Fotij!.. — zawołał Tierieszczenko nawet z pewnym podziwem. — Prawdziwy artysta! Sam u siebie czołgi ukradł — byle tylko sąsiadom nie oddać. Widział kto podobnego sknerę, bandziora? Watutin westchnął tylko beznadziejnie. Żuków zaś, wciąż tak samo się uśmiechając, mrugnął porozumiewawczo do Tierieszczenki.

— Co robić, gdy się sąsiadów ma — takich samych?

Jednakże, jeśli pominąć sprawę czołgów, to doniesienie dyżurnego operacyjnego przy sztabie frontu nie wywarło na wszystkich trzech dowódcach nadto silnego wrażenia. Byłby to już drugi skrawek ziemi /dobyty na Prawobrzeżu, co powinno oczywiście ściągnąć na siebie /iikieś siły von Steinera, nie tak jednak znaczne, by Sibieżski łuk utracił znaczenie głównego punktu wyjściowego przy skoku na Priedsławl. Właśnie to wchodziło w plany generała Kobrisowa.

151

Naprzeciwko szły pokryte brezentem „studebackery” holując armaty z lufami w pokrowcach. Na spadzistym zakręcie szosy artylerzyści wesóło wrzeszczeli do „willisa”: „Dalej od lufy!” — i pospiesznie salutowali na widok generalskich naramienników. Pod brezentem sie-

dzieli żołnierze w hełmach z bronią między kolanami. Patrzyli za sobą — i widzieli skraj nieruchomego, szarego nieba i szybko uciekającą przed nimi ziemię. Byli to jeszcze nie ostrzelani żołnierze, i nowiusieńkie samochody, i 122-milimetrowe armaty, toteż generał nie mógł nie pomyśleć, co się z nimi stanie na przyczółku Myriatyńskim. W jego pojęciu wszystko, co tylko posuwało się naprzeciwko, zmierzało oczywiście ku jego przyczółkowi. Już dwa pontonowe mosty przerzucono przez Dniepr, na północ i na południe od Myriatina, i ku tym dwóm niteczkom płynęła rzeka ludzi i sprzętu. Z lotu ptaka ujrzałby tę rzekę — szeroką na trzydzieści kilometrów: drogami i po bezdrożach, polami i leśnymi przesiekami sunęły kolumny czołgów, samobieźnych dział, ciężarówek z piechotą, ciągnęły tabory konne z dymiącymi kuchniami, autobusy sanitarne i samochody osobowe z pasażerami, którzy tak chętnie zapełniają tereny tuż za frontem, kiedy przedni skraj odsunął się wystarczająco daleko, by nie zagrażać odwrotem.

Trudno było wymyśleć coś głupszego i bardziej upokarzającego: generał Kobrisow pozostawił swoją armię, z każdą chwilą, z każdym obrotem koła coraz bardziej się od niej oddalał, i nikt w tej lawinie woj-ska, które z jego przeciw inspiracji i woli ruszyło z miejsca w kierunku Myriatina, nie mógł się tego domyśleć, a mógł jedynie zdziwić się, dla-czego samotny „willis” z takim uporem przedziera się na wschód, podczas gdy wszystko rusza, wali, płynie — na zachód. Jeszcze się z tym nie pogodził i w myślach, nie mając sił, by przestawić się na coś innego, dowodził nadał swoją armią i napływającymi do niej uzupeł-nieniami, dokonywał podziału wojsk, wskazywał drogi kolumnom,

regulował ich ruch, przesuwał z odcinków nie zagrożonych na zagrożone, wyznaczał dla artylerii sektory ostrzału i reżim ognia — słowem, robił to, czego armia pod wodzą większych i mniejszych dowódców mogłaby, jak się zdaje, dokonać i bez niego, w rzeczy samej wszakże niezłomnie wierzył, że nigdy nie dokonuje, choćby była nie wiedzieć jak silna i doświadczona, i wszę musi być zasilana energią dowódcy, jego nerwami i bezsennością, jego zdolnością do wniknięcia w każdy szczegół.

152

•.-•6

Po telefonie do Watunina i uzyskaniu jego przyzwolenia na zajęcie przyczółka — przystąpiono do przygotowania taboru do przeprawy, i napłynęły doniesienia, że oto w pobliżu stacji Toropiłowka tamtejsi mieszkańcy mają z pół setki drewnianych łódek i ze trzydzieści pontonów, i że partyzanci obiecali dostarczyć dwieście rybackich barakasów, a jakiś staruszek-rybak przyniósł zdumiewającą informację, że na dnie, blisko brzegu, spoczywa kilka promów zatopionych jeszcze we wrześniu czterdziestego pierwszego, które można by wydobyć, połatać, ożywić silniczki i na nich przeprawić czołgi. I oto saperzy, w samych tylko kalesonach, nurkują i przywiązują do nich liny, a potem wyciągają na brzeg przy pomocy ciężarówek — półtonówek i trzytonówek, które mniej hałasują niżli gąsienice ciągników — i o tym trzeba przypomnieć, wydać rozkaz, by spawacze łatali je za dnia, broń Boże po nocy, kiedy o wiorstę widać przerywane światło spawarki. Potem dopiero przybędą pułki pontonowe i pontonierzy przerzucą most — nie

wcześniej jednak niż przynajmniej trzem batalionom uda się umocnić, przeprawiwszy się na łódkach, tratwach, bierwionach, na beczkach, obwiązanych sznurkami, na leżakach plażowych i parkowych ławkach.

A jeszcze przed tymi batalionami mała grupka — dwudziestu jeden ludzi w czterech łódkach — musi w ukryciu, w ciemnościach, wylądować na wąskim pasemku brzegu pod stromizną i rozpoznać, gdzie się znajdują (i czy się tam w ogóle znajdują?) niemieckie pozycje, podać sygnał. Do tej grupy — „szturmowej” albo inaczej „grupy natarcia” — dobierano ludzi umiejących wiosłować bezszelestnie, potrafiących nie krzyknąć z bólu w przypadku ranienia, a jeśli wypadnie tonąć — nie wzywać pomocy; okazywano ją — jeśli tylko było można — jedynie temu bezgłośnemu, ten zaś, kto krzyknął, mógł oberwać wiosłem po głowie. Do tych „szturmowców” czy też „zdobywców” zwracał się, zgodnie z tradycją, sam dowódca i powstał już cały obrzęd takiego pożegnania: ustawiano ich przed szlabanem we wsi, C.dzie mieścił się sztab, wychodził do nich wraz z naczelnikiem wydziału politycznego, wspólnie wysłuchiwali jego nawoływań do bezgranicznego umiłowania ojczyzny, nie szczędzenia swej krwi i samego /.ycia, następnie sam obchodził szeregi, sprawdzając osobiście ekwipunek, każdemu ścisnął dłoń, i wreszcie proponował: „kto się nie czuje na siłach, niech wystąpi dwa kroki do przodu”. Mówiono tak po to, by upiększyć obrzęd: nikt oczywiście z szeregów nie występował: jedni — bo im to zasmakowało i pragnęli nowych nagród lub 10-dniowego urlopu, drudzy — bo byli z batalionów karnych i pierwsze zranienie

oznaczało darowanie kary; w danym zaś wypadku „pierwszą krew” zaliczano im nawet wtedy, gdy nie została przelana, trzeci wreszcie — tych „kroków hańby” bali się bardziej niż samego zadania.

Tym razem generał Kobrisow zrezygnował z tradycji — raptem cała ta procedura wydała mu się zbędna, niepotrzebnie tylko wzmagająca u ludzi napięcie i tak już napiętych do ostateczności nerwów; doznawał tego na sobie samym, czując nieokreślony strach przed czymś, co było związane z owym Myriatinem — zamiast więc pouczać i wieśczyć pozwolił im pospać dodatkowo godzinę po kolacji i skreślić pożegnalne listy, w których pisali zawsze o sobie w czasie przeszłym: „Drodzy moi, pamiętajcie, byłem wesoły, kochałem przyjaciół i życie...” Zapragnął porozmawiać jedynie z dowódcą grupy, lejtnantem Niefiodowem, i zaprosił go do siebie. Szestierikow podał kolację na dwie osoby, postawił butelkę wódki, a sam oddalił się do drugiego pokoju, do telefonów. Cztery dodatkowe butelki włożono Niefiodowowi do worka — dla całej grupy.

— Niefiodow — powiedział generał, kiedy wychylili pierwszy kieliszek — teraz ty jesteś główną osobą w armii. Nie ja, a ty. Cała armia na ciebie patrzy.

Niefiodow, spuściwszy oczy, powiedział zmieszany:

— Postaram się nie zawieść zaufania...

— Powtórz mi, proszę, co powinieś zrobić. Tylko — jedz. Jedz i opowiadaj.

Bacnie przyglądał się, jak 19-letni mężczyzna, o chudej, szerokokostnej twarzy, jasnych włosach z przedziałkiem, nieposłusznych ze

skrępowania rękach, kraje mięso na fajansowym talerzu zgrzytając po nim nożem.

Niefiodow, opowiadał jak o czymś, co już się stało, że bezszelestnie pokona przeszkodę wodną (tak właśnie nazywał Dniepr: „wodną przeszkodą”) — następnie po wylądowaniu na zakolu pośle trzech ludzi w trzy różne strony na stromiznę, by się zorientowali, w jakiej odległości od linii wody (tak właśnie powiedział: „od linii wody”) znajdują się okopy niemieckie albo inny punkt oporu; jak wrócą ci trzej, da sygnał latarką: jeśli wszystko odbędzie się spokojnie — trzema długimi błyskami, przy niebezpieczeństwie — serią krótkich. Radiostacji użyje tylko w przypadku okrążenia. Wtedy chyba wypadnie skierować ogień na siebie.

— A co zrobisz z łódkami? — zapytał generał. — Zatopisz? A może zasypiesz piaskiem?

154

Niefiodow szybko, po ptasiemu, odwrócił ku niemu głowę i odpowiedział patrząc w oczy:

— Odeślę z powrotem. Chociaż każdy człowiek jest mi tam porzeźbny.

Oznaczało to, że odetnie sobie drogę odwrotu. I przecucie, że temu młodzieńcowi przydarzy się coś złego — przecucie zresztą w takich wypadkach zwyczajne — przeszło generała dojmującą litością.

I omyślał, że starzeje się i że nie wolno mu poddawać się temu uczuciu, które jest nie na miejscu i nie na czasie.

— Minus czterech — powiedział generał. — Zostanie was siedem-

nastu.

— Dziewiętnastu, towarzyszu dowódco. Łódki zwiążemy wszystkie razem, wystarczy i dwóch wiosłarzy.

— A potrafią wiosłować przeciwko prądowi?

— Z powrotem — tak. Posłałbym jednego, ale jak się z nim coś stanie — koniec z łódkami.

— Co się martwisz o łódki! Obejdziemy się bez nich.

Niefiodow spojrzał mu znowu w oczy..

— Nie o to chodzi, towarzyszu dowódco. Nam ci ludzie tam — są niepotrzebni.

Tak, tego właśnie chciał — odciąć sobie drogę odwrotu.

— Wyznaczyłeś sobie zastępcę? — zapytał generał nalewając drugą kolejkę.

— Tak jest..., oczywiście, towarzyszu dowódco. Starszy sierżant Kniaziew mnie zastąpi. Wydałem mu odpowiednie instrukcje.

— No... Daj Boże, żeby nie musiał... ciebie zastępować. Wypijmy za to.

Niefiodow bez słowa trącił się z nim kieliszkiem i odczekał, aż generał pierwszy upije trochę.

— Lejtnancie Niefiodow — powiedział generał czując nadciągającą i a słabość, przyływ dobroci — weź mi ten przyczótek. Bardzo cię proszę. Ty, bracie, nie wiesz, co to dla mnie znaczy. I nie musisz tego wiedzieć. Myśl o całej armii. Jak się zaczepisz, proś o każde wsparcie — artylerią, lotnictwem. Poślę ci batalion w sukurs. Bohatera Związku Radzieckiego masz już, można powiedzieć, w kieszeni. I jeszcze czte-

rej, których wyznaczysz. Wszyscy pozostali — „Czerwony Sztandar”.

Tylko postaraj się, mój drogi. W razie czego wiesz, jak mnie odszukać przez radiostację. Zwracaj się tylko do Kiriejewa. To ja będę tym Kiriejewem. Tak właśnie żądaj: „Z Kiriejewem natychmiast!”

155

Było coś zaiste niestosownego, fałszywego w tym, o co i jak prosił młodzieńca, który miał przepłynąć tysiąc dwieście metrów zimnej wartkiej rzeki, narażony na to, że przy najmniejszym pluśnięciu wywoła szaleńczą wiązkę niemieckich rakiet oświetlających, a potem, na wąskim pasemku brzegu umierać będzie ze strachu przed zasadzką, przed serią z automatów, przed którą pod stromizną nie sposób uchronić się — podczas gdy on sam pozostanie w czystej, spokojnej chałupie, jasnej i ciepłej, gdzie na stole postawiono kolację z wódką, i dokąd wkrótce przyjdzie ta, na którą z takim napięciem czekał, i o której Niefiodow z pewnością nasłuchiwał się niejednego. Jakby również czując fałsz i niezręczność tego, co zostało powiedziane, Niefiodow odparł z zawstydzeniem, nie podnosząc oczu:

— Towarzyszu dowódco, dla Kiriejewa zrobię wszystko...

Zdawało się, że miał teraz ochotę odejść, pobyć w samotności, ale nie mógł się zdecydować na odmeldowanie. Generał zaś zastanawiał się, czy powiedzieć mu o tym, co usprawiedliwiłoby jego samego, posyłającego ludzi na zgubę. Powiedzieć, czy nie powiedzieć, że on sam przeprawi się — jeśli nie z pierwszą kompanią, to z pierwszym batalionem? Nie pamiętał, kiedy powziął tę decyzję — być może wtedy, kiedy w lornecie nożycowej ujrzał czarnego anioła z krzyżem i na-

gle poczuł, że być może urzeczywistni się to, co jest jego największą nadzieją? Albo kiedy ramię cyrkla utknęło w samym środku kółeczka, a on poczuł ledwie słyszalne ukłucie w sercu, jakby ktoś tam na górze dawał mu znak, że z tym Myriatinem połączy go, być może, coś najstraszniejszego? A może wbrew temu strachowi postanowił włączyć do planu operacji swoją zgubę—jako możliwy lub nawet nieuchronny jej epizod. Najprawdopodobniej jednak kierował nim zabobon, który — wiedział o tym — jest niezgodny z wiarą, ale głos, wyraźnie w nim rozbrzmiewający, zwracał się do Tego, o Kim dotąd nie nazbyt często myślał poważnie: „Weź więc i mnie, jeśli nie sądzone mi jest powodzenie. Uczynię tak, nadstawię się pod taki ogień, że Ty nie będziesz mógł mnie nie wziąć. Pozwól mi tylko dopłynąć. A żywego mnie z tego przyczółka nie zrzuci żadna siła!"

Oto co wypadłoby wtedy opowiedzieć młodzieńcowi, który zapewne uznałby to za brednie zamroczonego alkoholem mózgu. Dlatego też generał powiedział tylko:

— Czegośmy jeszcze nie wzięli pod uwagę, Niefiodow?

I ten odparł z wyraźną ulgą:

156

— Towarzyszu dowódco, w dwóch łódkach trzeba ciągnąć kabel dla artylerii. Ale co to za kabel, gdybyście widzieli! Poszarpany niemiłosiernie. Jakoś go tam powiązali, ale nie zlutowali, izolacja przegniła. Chłopaki go omotali gazetami, natłuszczonymi szmatami, potem taśmę izolacyjną nawinęli, ale my nie na suchej ziemi będziemy go rozwijać, a na samym dnie. Ze trzy doby wytrzyma, a potem — koniec.

Generał poczuł, że jego twarz i szyja nabrzmiwa krwią wstydu i gniewu — na obiboka, cherlawego łajdaka, który tak zarządził, że ci chłopcy, których jutro być może na tym świecie już nie będzie, namęczyli się też dzisiaj reperując i układając z góry do niczego nie nadający się kabel.

— Szestierikow! — zawołał nie odwracając się, z zamkniętymi oczami, by się uspokoić. Szestierikow pojawił się w milczeniu i tak szybko, jakby siedział przy drzwiach i podsłuchiwał przez dziurkę od klucza. — Połącz się z dowódcą do spraw zaopatrzenia łączności i powiedz mu w moim imieniu: jeżeli w ciągu godziny nie dostarczy im półtora kilometra kabla — całutkiego, zdobycznego, z gutaperkową izolacją, on taki właśnie ma... Jaki ci jest potrzebny, Niefiodow? Cztery sześćdziesiąty?

— Lepiej sześćdziesiąt. Będzie ciężiej, ale przynajmniej nie na darmo się człowiek napoci. Drugiego może nie wypadnie już układać.

— Więc tak, sześćdziesiąt — powiedział generał. — Jeśli nie przytaszczy w zębach i sam do łódki nie położy razem ze swoimi tłusłodupymi zaopatrzeniowcami, ja z nich flaki powyciągam. A jego — liitro rozstrzelam. Swoją żelazną ręką. Na oczach wszystkich. Zrozumiano?

Szestierikow jakoś nie przypominał sobie, żeby generał kogokolwiek rozstrzeliwał własnoręcznie na oczach wszystkich, tym nie mniej / powagą kiwnął głową i oddalił się. Słysząc było, z jaką zaciekłością kreci rączką brzęczyka.

— Co jeszcze? — zapytał generał Niefiodowa.

— Niby to wszystko...

— Żadnych innych życzeń?

Niefiodow wzruszył chudym ramieniem i, wierząc w palcach pulsy kieliszek, powiedział zmieszany:

— No, skoro pytacie, towarzyszu dowódco... Nie chciałbym, żeby / . mojego powodu kogokolwiek rozstrzelowano. Sam rozumiem, kabel)cst na wagę złota, a wszyscy naciskają: „Daj kilometr! Daj półtora!" (hciał człowiek zaoszczędzić. A ten, być może, nie od razu wysiądzie,

157

ze dwa tygodnie posłuży, potem będzie przeprawa, wówczas przeprowadzą...

— W porządku — przerwał generał zasępiając się. I trudno było pojąć, czy nie zgadza się, czy też obiecuje nikogo nie karać.

Pojawił się Szestierikow i generał spojrzął na niego pytająco.

— Załadowali kabel — powiedział Szestierikow. — Już dawno, okazuje się, załadowali.

— Jak to „dawno”?

— Ze dwie godziny temu, mówią, jak wyprawili. No, może samochód ugrzązł...

— A on co, nie wie, co robić? — zapytał generał wpadając znowu w największą irytację. — Niech się potrzęsie w innym samochodzie, a ten wyciągnie, jeśli ugrzązł. Albo przeładuje.

— Tak też obiecał — powiedział Szestierikow nie wiedząc czemu wzdychając. — W ciągu dwóch godzin będzie zrobione.

Obaj rozumieli, że kablem tym zajęto się dopiero po otrzymaniu

specjalnego rozkazu, a te dwie godziny dowódca do spraw zaopatrzenia łączności wziął sobie awansem. Do diabła, pomyślał generał, zawsze musi być jakaś lipa. Bez lipy nie ma wojska.

— A ty skąd jesteś, Niefiodow?

— Leningradczyk.

— W instytucie tam uczyłeś się?

— Na uniwersytecie. Na wydziale filologicznym. Z drugiego roku poszedłem.

Nie dodał: „na ochotnika” i generałowi to się spodobało.

— Filologiczny, wiem — oświadczył generał. — To tam, gdzie uczą wierszy pisać. Szczęściarz z ciebie, lejtnancie.

— Dlaczego szczęściarz?

— No, zawód masz powojenny. A ja — nie.

— Przecież jesteście... generałem.

— Co z tego? Generał powinien wojować. A co po wojnie będę robić — pojęcia nie mam... Jestem człowiekiem pola. Pola walki. Nauczyłbyś mnie wierszyki klecić. Ty też pewno takie pisałeś?

— Trochę...

— „Czekaj na mnie, ja wrócę — zadeklamował generał. — Tylko bardzo czekaj...” Jak tam dalej? „Czekaj na mnie, ja wrócę — wszystkim diabłom na złość”.

— „Śmierciom” — poprawił Niefiodow.

— Lubisz wiersze?

158

— Podobają mi się — powiedział Niefiodow z lekka rumieniąc

Nic.

— Mnie też. Chociaż „śmierciom” — jest gorzej. Z diabłami po-
/.irtować można, a już ze śmiercią — lepiej nie. Dlatego jest taki pewny
siebie ten Simonow, że nie bywał u nas na przyczółku. Którego jeszcze
nie ma, ale będzie. Ty — na ten przykład, czy możesz z ręką na sercu
powiedzieć: wróce, niezawodnie wróce, czekajcie?

Mając w pamięci swoje postanowienie, generał uważał, że ma
prawo tak pytać i pytanie to stawiał także samemu sobie. Niefiodow,
nie odpowiadając mu, zauważył:

— Nie, on jeździ po wielu frontach, w odróżnieniu od innych.

— Jeździć po frontach — to nie znaczy jeszcze wojować... A w
oil różnieniu od kogo?

— No, choćby..., choćby Ługowskoja...

— Wołodzkę znam — oświadczył generał potrząsając głową. —

Występował u mnie w garnizonie w trzydziestym dziewiątym. A po-
lem popiliśmy sobie. Sam na sam, wyobraź sobie. No, był jeszcze mój
.uliutant, ale ten raz-dwa pod stół się zwałił. A Wołodźka — zuch. Całą
iu>c wiersze mi deklamował. Tylko dla mnie.

I jął deklamować dyrygując butelką w jednej ręce, a kieliszkiem —
w drugiej:

A zatem zaczyna się Pieśń o wicherze,

O wicherze, co się swych bucisk nie wyprze.

O butach, co miały szlak wojen przebyć,

O wojnach, dla których wierszy może nie być...

Ta pieśń maszeruje za Ugłajem

Kołysze bagnety. Rytm nogom poddaje...*

Zamilkł, opuściwszy głowę, i wyglądało na to, że się zaraz rozpłaczę.

— Dalej nie pamiętam. Piliśmy całą noc. Na umór.

- Pieśń o wicherze Władimira Ługowskoja w tłumaczeniu Józefa Waczkowa.

259

— A co się z nim stało? — zapytał Niefiodow. — Słyszałem, że nie uda się wyciągnąć go do nas, żeby wiersze deklamował. Do frontu na odległość stu kilometrów nie przybliży się...

— A na pięćset — nie chciałbyś? W Taszkencie się okopał. Albo w Ałma-Acie. — Generał sam jakby po raz pierwszy pomyślał, co się stało z poetą, takim po męsku przystojnym, i tak dźwięcznie opiewającym męstwo, waleczność, honor wojskowy. Czyżby takiego nieprzezwycięzonego strachu napędziły mu pierwsze moskiewskie bombardowania? A może wojna okazała się zupełnie nie taką, jak ją sobie wyobrażał, natchniony własną poezją? Jednakże młodzieniec zadał pytanie i oczekiwał odpowiedzi; toteż generał odpowiedział: — Wiesz co, Niefiodow, nie nam go sądzić. Weź, na ten przykład mnie — gdzie tylko nie wtykałem nosa. No i co w tym dobrego? Na niepogodę wszystko, co ma boleć — boli. A co najważniejsze — wszystko to przez głupotę. A jeśli się tak dobrze zastanowić, to także ze strachu. Sam sobie bałem się przyznać, że się boję. I ty, i ja, obaj się boimy, no nie? A on — nie zląkł się. Tak też powiedział: „Strach mnie ogarnia. Wiem to z góry: tam mnie niechybnie zabiją...” No i Bóg z nim, nie ma po co tutaj przyjeżdżać, niech lepiej tam siedzi i pisze. — I spostrzegłszy się, przy-

pomniat sobie, że wypowiada w czyimś imieniu to, czego tamten, być może, wcale nie mówił, nalał po kieliszku i zmienił temat: — Kogo tam zostawiłeś w Leningradzie?

— Nikogo. Matka zdążyła ewakuować się z fabryką — jeszcze przed blokadą, a ojciec też wojuje. Na II Białoruskim.

— A dziewczyna?

Niefiodow z wolna pięknie się zarumienił.

— Co dziewczyna, towarzyszu dowódco?

— Zdążyła?

— Tak, tylko do innego miasta. Za Wołgą.

— Jej adres też zostawiłeś?

Zgodnie z ustalonym zwyczajem uczestnicy grupy wypadowej nie brali ze sobą żadnych dokumentów, nawet „blaszek identyfikacyjnych", wszystko oddawali oficerowi, który ich wyprawiał.

Niefiodow kiwnął głową w milczeniu, jeszcze bardziej się rumieniąc.

— Jak ma na imię? — zapytał generał głosem obojętnym, nie nadto zbyt interesując się odpowiedzią.

— Pozwólcie, towarzyszu dowódco, że na to pytanie nie odpowiem.

160

— Proszę bardzo — powiedział generał ze zdziwieniem. — Do-
tu y /, ciebie chłopak, Niefiodow.

Przywidział mu się jakiś skomplikowany dramat, z nieporozumieniami, pogodzeniem i krótkim pożegnaniem, które zapewne nie obie-

cywało obowiązkowego spotkania, jeśli zostaną przy życiu. Tacy jak
len Niefiodow, uczciwi, zbytnio rumieniący się, nadto wiele poświęca-
jący uczuć swym dziewczynom, które z pewnością nie są tego warte,
/.twsze mają z nimi kłopoty. I żadna wojna chyba tego nie zmieni.

— Jeśli się z tobą coś, nie daj Boże, stanie — zapytał generał —
!; omu przestać nagrody, jej czy matce?

Niefiodow znowu szybko, po ptasiemu, odwrócił głowę i popa-
I r/.ył mu w oczy.

— Wszystko napisałem, towarzyszu dowódco. Nagrody — mat-
ce. A do niej — niech po prostu napiszą.

— Napiszą do niej — obiecał generał, doznając jakiegoś głuchego,
mściwego uczucia do tej nie nazwanej. — Sam napiszę.

Niefiodow jeszcze bardziej się zmieszał i odpowiedział, odkaslną-
wszy:

— Dziękuję...

— Na zdrowie — generał uniósł kieliszek. — Czegóż żeśmy się
lak rozkrakali? To znaczy — ja. Nic nie powinno się wydarzyć. Dawaj
strzemiennego, nie zawadzi, żebyś sobie jeszcze odpoczął. Szcze-
m larz z ciebie, Niefiodow, wszystko będzie w porządku. Złotą gwiaz-
dę: przypniesz, dziewczyna za tobą biegać będzie.

Niefiodow z kieliszkiem w ręku przytaknął z uszanowaniem.

Strzemiennego wypił także Szestierikow, ale jakoś starał się nie
patrzeć na młodzieńca. Z jakimś przecuciem, przebijającym nawet w
/amroczonym mózgu, generał zrozumiał, dlaczego on nie patrzy. On
I.ikże wiedział, że takim jak ten Niefiodow, uczciwcom i romantykom,

nic jest sądzone przeżyć wojnę, i oto nadszedł czas, by się to potwier-
ti/iło. — „Może go zostawić? Mianować innego, starszego?” — pomy-
isl.il przez mgnienie, ale sprzeciwił się tej myśli. Ciężar wojny właśnie
11.1 nich spoczywał, na tych dziewiętnastoletnich, to ta wspinała mło-
l1 (>ść, która tak raptownie dlań stawała na nogi i tak chętnie podstawia-
l.i swoje kruche ramiona, i nic i nikt tych dzieciaków nie zastąpi.

Najlepiej rozumieli to żołnierze: czterdziestoletni ojcowie rodzin, od-
i u >s/.ąc się do nich z ojcowską dobroduszością, niekiedy nawet ironi-
i /nie, podporządkowywali się im bez szemrania. Kiedyś o tym ktoś
powie, napisze: wojnę tę wygrali nie generałowie, lecz dzieciak-lejt-
161

nant, plutonowy-Wańka. Cała hierarchia strachu, będąca istotą dowo-
dzenia wojskami, opierała się w ostatecznym rachunku na nim, jedy-
nym dowódcy, który mógł bardziej się bać przeciwnika niżli
dowództwa. Naczelnym naciskał na dowódcę frontu, ten — na dowódcę
armii, dowódca armii — na dowódcę dywizji, następni straszili niż-
szych rangą, dowódcę pułku, batalionu, kompanii, a na najniższym
szczeblu tej drabiny stał ten, kto nie miał już kogo straszyć i kim trząść
oprócz swoich piętnastu-dwudziestu żołnierzy, i nie mógł już liczyć na
żadne przywileje — nie iść do boju razem z nimi, ryzykując, że dosta-
nie kulę w twarz, albo — co się też zdarzało — w plecy. „No więc jak
— zapytał sam siebie generał — jednego plutonowego-Wańkę zоста-
wić i takiego samego posłać? Nie, wojny się nie oszuka, co jednemu
sądzone, to i drugiemu.”

Zerknął na zegarek i jakkolwiek się starał, nieznaczny ten gest nie

uszedł uwagi młodzieńca. Szybko wstał, włożył furazerkę i odsalutował. Generał wstał z wysiłkiem, przyciągnął go do siebie, objął chude ciało i poklepał po plecach. I jemu — i zapewne młodzieńcowi — wydało się to zbędne, niepotrzebne.

Potem, ledwo doczekawszy się, kiedy ucichną kroki Niefiodowa i zamkną się drzwi od zewnątrz, nalał sobie jeszcze dwa kieliszki i szybko wychylił jeden za drugim, tępo patrząc w kąt i czując, jak rośnie w nim napięcie oczekiwania.

Nie spóźniła się ani na chwilę. Ta jej wieczna punktualność i podobała mu się, i zarazem odpychała: nie mógł zrozumieć czy ceni sobie każdą chwilę spotkania, czy też tylko spieszy na wezwanie dowództwa. Ale szybkie postukiwanie jej obcasików po glinianej podłodze, kiedy przemierzała pokój z telefonami, wywoływało w nim radosne echo i, miał wrażenie, że zespala się z uderzeniami serca. W takich chwilach myślał o tym, że nie jest jeszcze taki stary i że do starości daleko.

Szestierikow, przepuściwszy ją, zamknął za nią drzwi. Jakoś tak się ustaliło, że kiedy przychodziła pochylona na bok od ciężkiej brezentowej torby z czerwonym krzyżem, telefoniści od razu wychodzili 1 przy aparatach zostawał tylko Szestierikow. Utarło się, że podczas badania żadne telefony nie powinny go niepokoić, chyba że od Naczelnego. Nic dla nikogo od dawna nie było tajemnicą, ale generałowi Kobrisowowi chciało się wierzyć, że jakąś tajemnicę jednak zachowano i że otaczający go ludzie są mu na tyle wierni, iż tajemnicy tej strzegą, a nie tylko przestrzegają zewnętrznych oznak jej zachowania. Zapewne utraciłby wszelką wiarę w ludzi, gdyby przypadkiem dowiedział się,

że jakiś tam nieleniwy major Swietłookow przedał się i tutaj, by owe słowa wypowiedane w cztery oczy, i nie tylko słowa, lecz i towarzyszące im czyny zaprotokołować i następnie analizować z punktu widzenia „ujawniania kompleksów”. Ale dlaczego właściwie miałyby nie przedrzeć się? Cóż stanęłoby na przeszkodzie?

Zrzuciwszy torbę na taboret, ujęła go za rękę, pottrzymała przez chwilę, wpatrując się w swój zegarek z czarnym cyferblatem i czerwoną strzałką sekundnika — jego podarunek z amerykańskiej paczki dla wyższych oficerów.

— Co czujecie? — zapytała zatroskana.

— Ciebie czuję, córeczko.

— Ja mówię poważnie.

— Ja też nie żartuję.

— No, dobra, pomilczmy choć trochę, bo mi się pomyli. No i...

pomyliło się!

Patrząc z dołu na jej twarz, skupioną, z przygryzioną dolną wargą, myślał, że takich twarzy nie mają chyba dziewczęta przeżywające swoje panieństwo między wojnami: jedynie czas wojny nakłada to znamię męstwa i prostoty, nadaje spojrzeniu szczerzy i dumny wyraz. Ale co się stanie z jej twarzą za dziesięć-piętnaście lat — jeśli, rzecz jasna, do tego oblicza dożyje! — jakże straci ona w porównaniu z twarzami czasów powojennych, wypiełgnowanymi, nawykłymi do ukrywania swych uczuć! Przypomniały mu się twarze dawnych dziewczyn z czasów Wojny Domowej, bez końca powracających do wspomnień,

twarze szorstkie i żałosne — gdyż ich życie wypełniała jedynie pamięć o przeszłości. To, co było wtedy krwawe, brudne i straszne, stawało się /, biegiem czasu pięknym, najwspanialszym z losów. A tego prawdziwego, o którym się wówczas tak marzyło, nie sądzone im było osiągnąć, ażeby uzyskać nową twarz, o rysach w inny sposób pięknych. Teraz jej twarz, niezbyt ładna, była piękna wyrazem nieudawanej lmski — o niego, o niego! Zupełnie inna niż u żony, podniecała go owym szczególnym niepodobieństwem; ta ciemnoruda, ciemnooka dziewczyna, młódka, o dużych, po dziecięcemu pulchnych wargach stanowiła cząstkę innego życia, i zanurzenie się w tym życiu, w przerażającą słodycz zdrady, przyprawiało go o zawrót głowy. Nie mogąc się opamiętać, przyciągnął ją do siebie, obejmując cienką talię, przepasaną szerokim, twardym rzemieniem z przywieszonym doń pistoletem — ten mały hiszpański browning „Lama” również był jego podarunkiem. Zawsze darował jej coś z ekwipunku wojskowego. Z wielką

163

przyjemnością podarowałby jej zestaw kosmetyków („Czerwona Moskwa”, innych nie znał) albo koronkową koszulkę, ale nie sposób było kogokolwiek poprosić, by przywiózł z Moskwy, a zamówić u zaopatrzeniowców coś ponad ów nędzny „asortyment”, który znajdował się w magazynach przeznaczonych dla kobiet służących w wojsku, było dlań jeszcze bardziej rzeczą niedostępną niż dla niej samej. Nie mógł też zlecić tego Szestierikowowi; stałoby się zbyt widoczne, dla kogo myszkuje ordynans, który sam znakomicie radził sobie i bez tego, a wówczas, jak uważał Kobrisow, nawet pozory tajemnicy przestałyby

istnieć w całej armii.

— Co też wyprawiacie? — przyganiała mu delikatnie. — Muszę was osłuchać, wasz puls mi się całkiem nie podoba, znowu jakieś zakłócenia. I co ja mam z wami robić, po prostu nie mam pojęcia. Prosimi, żebyście wam coś przyniosła, żebyście spali, albo, żebyście zrobili zastrzyk, ale wyście przecież pili...

— No i przyniosłaś. Alboż to przy tobie można zasnąć?

— No, rzeczywiście... I co ja mam z wami robić?

Siedząc u niego na kolanach, rozpiniała mundur na jego piersi, przykładając ucho do serca; w jej ruchach, w całej miłej, dziewczęcej, nieukształtowanej jeszcze twarzyczce, nie było żadnej przewrotności, gry — wruszało go to i obrażało.

— Kochasz mnie przecież?

— Dobrze przecież wiecie...

Jak tu zrozumieć jej pokorę? Dobrze wiecie, że tak? Albo — że muszę to znosić, bo jesteście generałem, dowódcą, a ja — lejtnantem, lekarką? A jednak, przy całej pokorze, mimo że się temu przeciwstawiła, mówiła mu „wy”. Dopóki byli ubrani, nigdy nie zwracała się do niego po imieniu, tylko per „wy”. Inna rzecz — w łóżku.

— Przygotowałam zastrzyk — powiedziała ze smutkiem. — No, powinien przecież być jakiś porządek, reżim, po coście wypili przed czasem?

— Jakim znowu czasem?

Opuściła tylko głowę, wzruszyła ramionami.

— No to i ty wypij. Dla porządku...

Nalał jej do swego kieliszka, z rozmachem, przelewając, i podniósł jej do ust. Od zapachu skrzywiła się, z lekka odrzuciła głowę, by mógł wlać cały kieliszek za jednym razem. To on nauczył ją tak pić; podczas pierwszych spotkań zawsze brała kieliszek oburącz i piła małutkimi, konwulsyjnymi łykami. Wypiwszy, znowu przylegała policz-

164

kiem do jego piersi i było to jakby umownym znakiem, częścią preludium, po którym wszystko wolno.

Boże, to było tak, jakby przynajmniej z nią wszystko mu było wolno! Przecież wszystko to robił natychmiast, ledwo do niego weszła, nie dając jej nawet ściągnąć spódnicy, nie troszcząc się o to, że wyjdzie potem w pogniecionej, podobnie jak nie obchodziło go w ogóle to, ile wysiłku kosztowało ją, przy wszystkich przemieszczeniach armii, by pojawić się u niego zawsze czysta, schludnie ubrana i wyprasowana; jej wylężnione spojrzenia na drzwi nie skłaniały go do ich zamknięcia przynajmniej na haczyk, a co najwyżej do zasłonięcia kotarą kąta, gdzie stało jego łóżko polowe — chociaż i tego można było nie robić: niczyja noga nie przestąpiłaby przez próg bez ominięcia Szestierikowa. Jak wiele stracił — i z jej gestów przy rozbieraniu się, wzruszającej gotowości, i z własnego, żarliwego pragnienia, z tego wszystkiego urokliwego, tajemnego, o czym jedynie pamięta się później, wtedy kiedy to, co nazywał „sprawą”, pójdzie w zapomnienie. Teraz z goryczą wyobrażał sobie, jak, zapewne, paskudnie wyglądał przy niej, z goryczą szczególną, że takim właśnie go sobie zapamięta. I, być może, innego dnia, w innym łóżku, z kimś innym, wspominając go, wzdrygnie się z

obrzydzeniem.

A zresztą wstyd za siebie, jakim był niedawno, nie trwał długo.

Nawet teraz sądził, że swoim postanowieniem, w które nie uważał za stosowne ją wtajemniczać, zwalnia sumienie od wszelkich wyrzutów.

„Być może jutro już mnie nie będzie — mówił do siebie z niemal dziecięcą urazą w głosie — Może to ostatni raz... Czyż nie zostanie mi to wszystko wybaczone?” I rozbierał ją pospiesznie i stanowczo, gorączkując się coraz bardziej jej uległością, jawnie rozkoszując się przy świetle lampy naftowej każdym skrawkiem jej dziewczęcego ciała, po czym, nie spuszczać z niej oka, rozbierał się sam, pełen dumy, że i ona rozkoszuje się nim, nieśmiało dotykając jego blizn. Wziąwszy ją na rękę, nie poczuł wcale jej ciężaru, przeciwnie — przyptyw sił na myśl o czekającej jeszcze większej bliskości — i, zdmuchnąwszy lampę, zaniosł swoje brzemię do kąta, w ciemność, pospiesznie, jakby ktoś zamierzał mu je odjąć.

Potem istotnie niczego już nie można było zapamiętać — od pierwszych jej konwulsyjnie nieśmiałych objęć po ostatni oddech, aż do chwili, kiedy wygiąwszy się z nadspodziewaną siłą, padła wreszcie na wznak, od razu z wyczerpania tracąc całą swą jędrność. Jednakże świadomość jego nie uległa zaćmieniu ani przez mgnienie, przemknę-

165

I

to mu wyraźnie to, co kiedyś ktoś już powiedział: „Najlepsza nie może dać więcej niż ma” — i zdumiał go oczywisty błąd lub rozmyślne kłamstwo — tak mówią ci, którzy nie wiedzą, co wziąć albo wziąć nie

potrafią. Nie wiedzieć czemu zadowolony ze swego odkrycia, odsunąwszy się, z rzadka i jakby machinalnie przylegał wargami i czołem do jej skroni z puszystym puklem, jakby prosił o wybaczenie odwiecznej męskiej winy, i od niechcenia, ochryplym głosem mówił o czymś całkiem nie najistotniejszym: że łóżko jest wąskie, w oknie pełno gwiazd, że coś tam skrobie w kącie — może mysz?..

— Co z nami będzie? — zapytała nagle z głębokim westchnieniem.

Patrzyła na ciemny sufit izby, on zaś raczej domyślił się, niż zobaczył lzy na jej twarzy — od poniżenia i wyjąłwienia? a może od szczęśliwego zmęczenia? albo od miłości, której nie sądzono trwać nigdzie, nigdy? Pogładził ją po policzku dłonią, chciał wymamrotać banalne:

„No, co ty, głuptasie? No, przestań...” — ale ona szybko chwyciła jego rękę oburącz i przywarła do niej policzkiem, potem ustami, szybko całując i pochlipując.

— Coś się z tobą musi stać... Tak się boję o ciebie, jesteś taki nieobliczalny! Po prostu widzę, jak leżysz — na tamtym brzegu, od razu po przeprawie, całkiem bez ruchu...

— Na tamtym — to jeszcze nic — powiedział beztroskim, żartobliwym tonem, jakim zawsze mężczyzna lubi rozmawiać z kobietą, która się o niego niepokoi.

— Na tamtym — powtórzyła niczym echo. — Nie, zdążysz się przeprawić. Ale daleko nie zajdziesz.

— A co mi się może przydarzyć?

— Nie wiem. Czyżbym cię nie uprzedziła, gdybym wiedziała?

Ale ciebie już przy mnie nie będzie. Nie doczekam się tego. Nigdy.

Chciał ją zapytać, skąd to przeczucie—nie dlatego bynajmniej, by lękał się go bardziej niż własnych przeczuć, ale po prostu dlatego, że wiedział, iż wiele kobiet uspakaja sam dźwięk jego głosu — gdy nagle do pokoju wdarł się trzask brzęczyka telefonu i za drzwiami klasnęła szybko podniesiona słuchawka.

— Halo — powiedział głuchym głosem Szestierikow, widocznie przykrywając ją ręką. — Nie, nie, towarzyszu dowódco. Odpoczywają w danej chwili... Odpoczywają, mówię, bardzo się zmęczyli.

— Spryciarz — powiedział generał z uśmiechem.

Ona również się uśmiechnęła.

166

— Proszę mi powiedzieć, jeżeli coś ważnego — mówił przytłumionym głosem Szestierikow. — Zobacz się, czy warto budzić... Dopłynęli, mówicie?.. Poświecili latarką?.. Dobra, zamelduję. — I ją wyjaśniać głośno, jawnie do wiadomości tego, kto miał być obudzony. — Znaczą się, że dopłynęli, dali sygnał... Ile błyśnięć?.. Dwa. Znaczą Nic, że nie mają jeszcze rozpoznania, a tylko dotarli. Jak będą mieli rozpoznanie, powinni zaświecić trzy razy... Przyjął Szestierikow, dyżurny przy aparacie. Możecie być spokojni, toż czeka mnie trybunał, jeśli nie zamelduję...Warn też wszystkiego najlepszego. Do widzenia.

Wykręcił sygnał zakończenia rozmowy i czymś głośno zaszeleścił - widocznie gazetą.

Czas zatrwożony dzwonkiem telefonu i popędzony cwałem po tym pierwszym doniesieniu, znowu zwolnił bieg i rozpułnął się w nieskończonej, rozpaczliwie-męczącej wdzięczności dla niej, tak czułej i pokornej,

która tak chciała oddać mu się bez reszty. I choć zmęczenie jeszcze nie i istąpiło, a siły nie wróciły, nie mógł nie zbliżyć się do niej znowu, przywierając ustami i gorącym wilgotnym czołem. Odsunęła się o tyle, o ile było można, żeby nie dotknąć, zanim nie przyjdzie odpowiednia chwila.

— A jednak szkoda, że cię nie podkurowałam — tak objaśniła swój ruch. — Nie dbasz o siebie, kichasz po prostu na własne zdrowie. A wiek robi przecież swoje, co tu ukrywać. I niepotrzebnie tak dużo wypieś... Dużo wypieś, co? No, przyznaj się.

— Acha — powiedział. — Przyznaję.

Westchnęła z zadowoleniem i pomilczawszy przez mgnienie powiedziała nagle z nieoczekiwaną żarliwością i poprzez łzy w głosie:

— Szczęśliwa ta twoja żona!

— A to dlaczego? — zdziwił się. — Że ją tutaj z tobą zdradzam?

W tej samej chwili pożałował, że to powiedział, ale ona jego słów jakby nie dosłyszała, wybaczyła.

— Jakże może być nieszczęśliwa — z takim jak ty!

— A co we mnie takiego?

— Nie, wcale nie o to chodzi, że jesteś generałem... Nie o to chodzi...

— A o co?

Po raz pierwszy odpowiadała mu na pytanie, którego nie decydował się zadać, i bał się, że ją sponoszy, czekał na dalszy ciąg. Ale dalszego ciągu nie było.

— No więc o co?

— Czyżbym ci nie powiedziała wszystkiego? — odparła ze zdziwieniem i smutkiem. — Czy sam nie widzisz, jaka jestem przy tobie?

Kiedy tylko wchodzę do ciebie, to już jest moje święto, ręce i nogi omdlewają... A kiedy jestem sama i o tobie myślę, to taki smutek mnie ogarnia, taki lęk o ciebie, jesteś przecież... zupełnie sam! Taki samotny, tak mi cię żal. A tobie dla mnie i pół godziny to zbyt wiele. Nie dlatego, że trosk pełno dokoła i westchnąć nie ma kiedy, a po prostu — potrzebna ci jestem na pół godziny. — I zmieszana, że czyni mu wyrzuty, na co przedtem sobie nie pozwalała, dodała łagodniej: — Ja nie mam żalu, i tak jestem szczęśliwa. Ciebie mi żal, że się oszukiwałeś. Z inną nigdy tego nie rób. Obiecujesz mi?...

...A jednak zasnął na krótko — może na dziesięć minut — jakby zapadł się w czarną dziurę, bez żadnych snów, i obudziło go to, co zawsze trwoży i budzi człowieka walczącego — cisza. U wyrwanego ze snu wywoływała lęk, kryła w sobie coś złowrogiego. Ale leżąca obok niego młoda kobieta miała oczy otwarte, czuwała nad jego snem, a więc nic szczególnie straszego nie mogło się stać, w każdym razie wtedy, kiedy był nieobecny. Przyłgął do niej z poczuciem nieokreślonej winy i wdzięczności za wyrozumiałość, ale ostry brzęczyk znowu przedarł się przez drzwi, klasnęła słuchawka, Szestierikow stłumionym głosem powiedział swoje „Halo!” i głośniejszym niż to było potrzebne jego rozmówcy na drugim końcu, jął wypytywać:

— Trzy razy zaświecili?.. No, to znaczy, że mają rozpoznanie. Ty tam tego, nie myśl, że ja nie melduję, jeszcze mi życie miłe. Ale po co budzić, kiedy wszystko gra? Dziękuję w imieniu służby... Kto przyjął? Szestierikow przyjął. Jest taki... No to teraz będziesz wiedzieć... Chwi-

leczkę, dokąd idziesz? Kabel rozwinęli? Do wody nie upuścili? Trzeba by przedzwonić, a nuż nie działa, może jakaś przerwa? Właśnie się tym zajmij... Dobra, służymy dalej. Jak ojczyzna każe.

Słuchawka opadła na widełki i znowu czas zaczął płynąć powoli, można było z powrotem przylgnąć gorąco do siebie, przeplatając się jak łodygi, ale równości i harmonii w ich miłości, dopiero co jakby osiągniętych, już nie było, coś wtargnęło i domagało się swego miejsca w jego świadomości; czuła to i godziła się z tym, litując się nad nim i jedynie nieśmiało prosząc, by z nią pobyl, nie odchodził tak daleko. Jednakże daleki i jakby zupełnie postronny obraz majaczył w jego świadomości, obraz tych ukrywających się na wąskim pasemku pod urwiskiem, nekanych strachem, a jednak robiących to, co dla któregoś z nich będzie ostatnie w życiu. I nie dawało mu spokoju to, że coś przegapił i nie może sobie przypomnieć, jaki jeszcze należało wydać rozkaz; w tym momencie nagle władczo odezwał się Szestierikow:

168

— Halo, proszę się przedstawić... No, niech będzie, że mówi Kieriejew. Co tam porabia wasza szósta kompania?.. Gotowa? Wysyłajcie kompanię. Z Bogiem. Czy ludziom ogłoszono względem, nagród? Pięciu Bohaterów — przydział na kompanię, kto pierwszy się zaczepi, ten lepszy... Jasne?

— Co on tam robi? — zapytała strwożonym szeptem.

— Nic szczególnego. Dowodzi armią. Ty mi go nie zbijaj z tropu.

— Co może zdziałać jedna kompania?

— Wszystko w porządku. On się zna na rzeczy. Zaraz każe wyru-

szyc batalionowi.

I zupełnie jakby Szestierikow mógł to usłyszeć, znowu do kogoś dzwonił:

— Jak tam ludzie? Słodko pospali sobie, oczęta zlepiają się? Dość tego spania!.. Dowódca, znaczy się, tak rozkazali: ludzi nakarmić, a wódki im nie dawać... „Dlaczego”, „dlaczego”! Sam przecież wiesz dobrze, rzeka pijanych nie lubi. Na tamtym brzegu podwójną taryfę dostaną... Westchnęła przeciągle, jak dziecko, i zapytała ze smutkiem:

— Musimy już się pożegnać? — I nie doczekawszy się odpowiedzi, powiedziała stanowczo: — Pójdę z tym batalionem.

Nie pytała o pozwolenie, to była jej sprawa, jej obowiązek żołnierski, do którego on się nigdy nie wtrącał. Zdziwiła go jedynie nieoczekiwana zbieżność. Jakby się wszystkiego domyśliła.

A jednak jeszcze raz zapragnął tego, co mogło być ostatnim. Przyłapał się na tym, że nie myśli o niej, która być może już tego tak bardzo nie chciała. Jednak mimo wyrzutu powiedział głucho:

— Jeszcze czas nie nadszedł. — Włożył w te słowa podwójny sens, ona zrozumiała i głowa dotknęła jego ramienia. Dodał: „Czekamy na jeszcze jedną kolumnę”.

— Jaką kolumnę?

— Tę, co trzeba. Nie zwracaj sobie głowy...

Ustalono, że o wyruszeniu kolumny marszowej czołgów sunącej wpraw w kierunku na Myriatin w połowie drogi ogłosi się w eterze. W tym celu zostawią tam radiotelegrafistę, który uruchomi radiostację w pół godziny po wyruszeniu. Jeśli go namierzą, ogień skoncentruje się

tylko na nim. I potencjalny skazaniec zapewne nie spieszył się z nałożeniem słuchawek, wyciągnięciem anteny, przekazaniem swych znaków wywoławczych. Generał go rozumiał, a jednak kipiał z niecierpliwości, narastającego gniewu.

269

Podniósł do oczu rękę ze świecącym cyferblatem zegarka, którego nie zdjął. Noc jeszcze czerniała w otwartym na oścież oknie, jeszcze migotały gwiazdy, a czas płynął nieubłaganie. I oto nareszcie ryknął brzęczyk, i Szestierikow głośniejsz niż zazwyczaj zawołał do słuchawki: — Dał o sobie znać radiotelegrafista? W porządku, dziękuję! — I jakby uprzedzając pytanie generała, sam zapytał: — A nie namierzili go?.. Fryc nie śpi, co tu gadać, czuwa na posterunku... No to czas budzić. Zaraz zamelduję.

Jednak po odłożeniu słuchawki siedział dalej, szeleszcząc głośno, niczym blachą, papierem. A noc w oknie nie była już tak nieprzenikniona, jak przed kilkoma minutami, w jej czerni wkradał się ciemnobłękitny brzask. Ostatnia rzecz, jakiej niepodobna było sobie odmówić — to pożegnanie z kobietą, jakby pożegnanie z życiem, z tym, co w nim najdroższe, co odkupuje wszystkie cierpienia, żale, przewrotności losu. I ona również odpowiadała mu pożegnalnie, choć bez żaru, bez zawodzenia, które chciałby zapewne usłyszeć, lecz z takim głębokim, namiętym, upartym milczeniem, jak gdyby składała ukochanemu ostatnią ofiarę i nie miała już nic więcej do podarowania.

I kiedy oderwali się od siebie, długo nie odzywali się ani słowem, leżeli w odrętwieniu, dalecy od siebie. Tak samo w milczeniu wstali, i

ona patrzyła na niego z głową zarzuconą do tyłu i opuszczonymi rękami. Zdążył pomyśleć, że po tej nocy, która dobiegała końca, być może, coś zostanie — nowe życie, i ona poniesie je z tą samą pokorą, z jaką zawsze zachowywała się wobec niego. Ale tę myśl, budzącą i lęk, i dumę, przerwał brzęczyk.

— Zbliżacie się już? — krzyczał Szestierikow. — Mówcie, minęliście Toropiłowkę?.. Szybciej! A co meldują obserwatorzy? Żadnych strat?.. Znaczą się, mogę zameldować, że „pudełeczka”, „prymusy”, „turkotki” — wszystkie są całe? Dziękuję w imieniu służby!

Pochylając się, opuszczając nieco wydłużone dzwonkowate czarki dziewczęcych piersi, które jeszcze nie straciły dlań niczego ze swej niepowtarzalności i tajemnicy, a więc wciąż kochane, zbierała z podłogi swoją odzież, wstydząc się tego teraz bardziej niż nagości, szorstką odzież nie dziewczyny, a żołnierza. Podszedł do niej porywiście przypomniawszy sobie, że czeka ją dzisiaj to samo co jego. Ale myślał już bardziej o czymś innym, o armii, szykującej się do przeprawy, kiedy przyciągnął do siebie szczupłe, ciepłe ciało, ścisnął, pocałował ją w czoło. I powiedział patrząc już gdzieś przez ściany, ponad jej ciemieniem:

— Pilnuj się, córko.

170

Czołgi

Czołgi

Czołgi

Witaj nam, nasza stal!

(S. Kirsanow)

Jak mu się wszystko udawało na początku, jak się wszystko układało i było w przewidzianych terminach!

Pułk czołgów przybył jeszcze przed świtem i znalazł się w długim i niegłębokim wąwozie wychodzącym ukośnie, pod ostrym kątem, ku I Inieprowi. Ujściem wąwozu była przytulna бухta, cicha zatoczka, do której mogły wejść płytko osadzone promy przeznaczone do przewozu czołgów i opuścić na piasek swe porzewiałe, pogruchotane pochylnie. Jeszcze w nocy stłoczyły się tam, przywierając burtami do Niebie, lekko się kołysząc i poskrzypując. Wziąwszy na siebie całe dowodzenie przeprawą, sam przyjrzał się też tej zatoczce i polecił, by dokonano pomiarów szybkości prądu i jego znoszenia, a także, by posiano saperów z żerdziami — do ustalenia głębokości, i żeby było na wyrost, aby pod ciężarem czołgów promy nie osiadły na dnie.

Tymczasem prawy brzeg milczał, i nie było sygnału, że przeprawioną kompania umocniła się, oczyściła choćby ze dwieście metrów przynajmniej przyczółka. Milczenie budziło, ma się rozumieć, niepokój, ale mogło być i dobrym znakiem, że wszystko odbywa się zgodnie z planem, i kiedy chwila zachrypi w słuchawkach wesoły, rozwiązły głos: „Kiriejew! Mówią, że się ożeniłeś? Kiedy zapraszasz na wesele?” I z tym samym koim uśmiezkiem odpowiedzą mu: „Żenię się, ale narzeczona coś marudzi, długo jakoś się wypindrza...”. Ten niewymyślny szyfr Niemcy oczywiście z miejsca rozwiążą, zacznie się obłądne szczekanie wielkokalibrowych karabinów maszynowych, ciężkie grzmocenie haubic i wyłoni się na pociechę nieoceniona, z lekka przerzedzona nocna mgła, «./i!lest turzycy i sitowia, żałosny krzyk czymś strwożonego ptaka.

Jechał wyboistą drogą, ścielącą się na dnie wąwozu, drżąc pod swym płaszczem skórzanym od porannego chłodu, ale bardziej z podniecenia i niecierpliwości; i oto jedna za drugą wyłaniały się z półmroku ciemne gromady — jego „pudełeczka”, jego „maszynki naftowe”, [t'go „prymusy” i „turkotki”. Pogruchothane, wygryzione przez odłamki, wiele z nich było połatanych, pokrytych sadzą, chowały swoje rany i blizny pod gałęziami, których jeszcze nie zrzucano z wieżyczek,

272

przywiązanymi szpagatem do luf armatnich. Oto co bodaj przegapił — wydać rozkaz, by naciągnięto nad wąwozem maskujące sieci. Ale być może nie będą potrzebne — jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z jego planem, a czołgi wyruszą ku przeprawie jeszcze w ciemności.

Minął dwie ciągnięte przez konie kuchnie pułkowe, posuwające się niespiesznie od czołgu do czołgu; załogi nie schodząc z maszyn, a niektórzy prosto z wjazdu wyciągali ręce z kociołkami, do których szczerze wsypywano im czerpakiem guzełkowatą strawę. Mgła zaścielająca dno wąwozu mieszała się z dymem kuchni, z jeszcze nie rozproszonymi dieslowymi wydechami, pachniało olejem solarowym, strawą mięsną, końmi — wchłaniał te zapachy nozdrzami i czuł się podniesiony na duchu, przewyciężając swój strach — przed tym, co zamyślił i co miało się zaraz rozpocząć.

Pojawienie się dowódcy było do tego stopnia nieoczekiwane, że z początku nie zwracano na niego uwagi, jednakże wkrótce zadziałał tajemniczy, niewidoczny dla niego telegraf, i gdzieś ze środka kolumny już wychodził mu na spotkanie dowódca pułku — z umorusaną twa-

rzą i czerwonymi zapewne od niewyspania oczami. Spod hełmofonu widać było w półmroku ciemną grzywkę, a nad górną wargą drgała niteczka wąsów. Tego rodzaju wąsiki generał Kobrisow widywał każdego poranka goląc się przed lusterkiem; u dowódcy pułku, przy szczupłej twarzy i zapadłych oczach, wyglądały inaczej i upodobały go do Gruzina. Moda w 38. Armii, jak już nie raz zauważył generał, szła od niego; ci, którzy nie mogli go widzieć, przejmowali ją od swych przełożonych — a więc to on, a nie jakiś tam legendarny zwiadowca lub inny bohater był najpopularniejszą osobą w armii; przyjemnie było zdawać sobie z tego sprawę, a zarazem irytowało go to: jeśli każdemu zachce się upodobnić do Kobrisowa, trudno będzie samemu Kobrisowowi różnić się od reszty.

Raportu dowódcy wysłuchał na siedząco, nie wytrzymał jednak do końca, wygramolił się z „willisa”, przyzwalającym gestem kazał opuścić rękę przyłożoną do hełmofonu, następnie chwycił ją i mocno, porywiście uściśnął, gorącą i brudną.

— Dobra, witam cię, majorze. Wszystkich doprowadziłeś? Nikogo nie posiałeś?

— Z czym wyszliśmy, towarzyszu dowódco, z tym i przybyliśmy

— powiedział wymijająco dowódca pułku speszony — czy tym nieregulaminowym uściśnięciem dłoni czy też dlatego, że nie wszystko przebiegało u niego bez niedociągnięć.

172

— Dobrze mówisz, tylko niezrozumiale. Co to znaczy „z czym wyszliśmy”?

Doprawdy generał nie znalazłby niczego, co mógłby mu zarzucić.

Nocna wyprawa odbyła się bez opóźnienia, w dodatku posuwali się b»v. reflektorów i bez świateł pozycyjnych; kierowcy zachowywali odpowiednio odległości orientując się jedynie dzięki białemu kręgowi na tyle jadącego przed nimi; i to osiem godzin bez postoju; cud, że nikt nie /.isnął, nie zderzył się, że nie uszkodzili ani armat, ani chłodnic.

— Towarzyszu dowódco — powiedział major zacinając się — ja, piimiętacie, meldowałem... Dwie maszyny nie wyszły z remontu.

— No? A co z nimi?

— Meldowałem — wieże się nie obracają. Jeżeli pamiętacie.

— Jak to nie obracają się? Dlaczego?

I w chwili, gdy zadawał to pytanie, generał przypomniał sobie i lokładnie, jak w odpowiedzi na jego rozkaz o kolejnym przegrupowaniu dowódca ten skarżył się, że w warsztatach wciąż mitrężą z remontem dwóch maszyn. I przypomniał sobie nawet, o co chodziło. Pociski, które trafiły w złącza między wieżami i korpusami, wybiły zęby dużych i)brotowych kół zębatach; zęby te, które odskoczyły do środka, zraniły w jednym czołgu strzelca pokładowego, w drugim — dowódcę; obaj zdążyli już zresztą wrócić z batalionu medyczno-sanitarnego, ale z zębami sprawa wyglądała gorzej niż z ludzkim ciałem. Spaczyli je przy lutowaniu; małe koła zębate, wpadając na spawany szew, zatrzymywały nit,1 i silniki obrotu wież huczały i dymiły. Zapasowych zaopatrzeniowcy nie przywieźli, i wieże po prostu wpuszczono do gniazd i umocowano je kierunkowo — dlatego też armaty, rzecz jasna, zostały pozbawione celowania poziomego. Celować można było jedynie obracając całym czoł-

giem, co wymagało nierealnej w czasie boju zgodności pomiędzy kierowca i strzelcem. Generał wysłuchawszy raportu wściekł się wówczas:

„Wieczny u ciebie burdel!” i cisnął słuchawką. Wydawało się, że wystarczy jego gniewu, żeby w porę wszystko doprowadzić do porządku i tymi zaklinowanymi wieżami więcej nie zwracano mu głowy; ale i >lo znowu wypłynęły — jako pierwsza i nieprzewidziana przeszkoda.

— I ty je zostawiłeś? — zakrzyczał generał, odrzucając rękę, którą ilopiero co ścisnął mocno i porywiście. — Dwa czołgi zostawił! No, majorze, toś mi się przysłużył! Nisko ci się kłaniam...

Nagle poczuł, że ma rękę czymś zapaćkaną, jakimś oleistym pa-skudztwem, i z odrazą potrząsnął nią. Donskoj, stojący obok z nie-

273

wzruszoną twarzą, podał mu czystą chustkę. Generał wytarł swoją rękę chustką i cisnął ją na ziemię.

— Wiek będę wdzięczny! — zawołał niemal żałośnie.

Donskoj kiwnął głową w milczeniu, jakby to odnosiło się do niego, i ta niedorzeczność jeszcze bardziej rozeźliła generała. W gniewnym zaślepieniu nie znajdował odpowiednich słów, by je cisnąć w umęczoną twarz, która stała mu się tak nienawistną, w dodatku z po trzykroć teraz nienawistnymi wąsikami. I jeszcze bardziej złościło go to, że twarz ta była uosobieniem skruchy, nawet jakby skrzywiona od powstrzymywanych łez.

— Czego się krzywisz? Płakać mi tu jeszcze będzie!

— Towarzyszu dowódco — nieśmiało odparł major. — Pozwólcie, że wytłumaczę... Ja przecież pomyślałem...

— Coś ty takiego „pomyślał”?

— ...po co nam na ten brzeg „inwalidów” taszczyć?

— A to mądrała! „Inwalidów”! No i co z tego, że wieża się nie obraca. Czołg jest czołg. W dodatku ma silnik. I opancerzenie. Mnie na tym brzegu każdy gruchot się przyda, byle się ruszał.

Niczego, ma się rozumieć, te dwa czołgi nie rozwiązywały, ale mogły się stać groźnym początkiem w łańcuchu nieprzewidzianych komplikacji, a łańcuch ten zawsze zaczyna się od bzdurnych drobiazgów. Zawsze znajdzie się jakiś niedojdą — żeby zepsuć święto. I chociaż generał dobrze rozumiał, że do święta jeszcze daleko, i że dowódca ten nie jest żadnym niedojdą i zasługuje nie na nagane, lecz na wdzięczność, i że nawet istnieją argumenty na jego usprawiedliwienie — choćby zabobonna niechęć do rozpoczynania odpowiedzialnej operacji z „inwalidami” — nie mógł jednak pogodzić się z tym, że jakiś drobiazg zakłócił jego plan, a co więcej, nie mógł pogodzić się z tym, że ktoś miał inne zabobony od niego. Niedopuszczalnym luksusem wydawało mu się teraz, by każdy w armii miał swoje własne zabobony.

— Towarzyszu dowódco — powiedział major wyprężając się i blednąc, co widać było nawet w półmroku — możecie mnie usunąć, jeśli nie stanąłem na wysokości zadania. Ale pozwólcie...

— Co-o?! — przerwał mu generał i w zdumieniu cofnął się nawet o krok, przyglądając mu się jakby po raz pierwszy. I, zdawało się, w tej samej chwili każdy z nich rozumował po swojemu. Major — że można było i zabrać tych „inwalidów”, szkody by nie przyniosły, a pożytek byłby z większego jeszcze szczęku i brzęku, generał zaś — że można

było ich i nie brać, pożytek z nich tylko w szczęku i brzęku. — Co to, to

174

me. Idź i wojuj. Z tym, co jest. I wykonaj mi zadanie. Jak nie wykonasz pójdziesz pod sąd...

Rzucił okiem na leżącą na ziemi chustkę, którą dopiero co wycie-
t, il rękę, i zdał sobie sprawę, że scenę tę obserwują w milczeniu załogi
i / .ołgów — scenę w istocie szpetną, gdyż beształ dowódcę w obecności
podwładnych — i obserwują nie tyle z ciekawością, co z posępnym
potępieniem.

Ogromne chłopisko, i muskularny, i tęgi, siedzący na czołgu z ko-
i łótkiem między nogami, brzęknął łyżką, sam drgnął od tego dźwięku
i pospiesznie powiedział:

— A może nie będzie trzeba, towarzyszu dowódcu, „pod sąd”?

Wykonamy zadanie. Alboż to nie wykonamy?

Generał obrzucił spojrzeniem jego dobroduszną księżycopodob-
ii. I twarz — i jeszcze bardziej się zirytował: po co takiego dryblasu w
rzołgu trzymać, gdzie i szczipłemu ciasno, nie lepiej by mu było w
piechocie, w walce wręcz się poćwiczyć. I w tej samej chwili przypo-
mniało mu się, że zdarza się i tak: trzeba złączyć pękniętą gąsienicę, i
oto gdzie przydają się takie niedźwiedzie. Właśnie taki księżycogęby
gołymi rękoma weźmie końce, pąsowiejąc ściągnie je i będzie trzymać,
aż wstawią zapasowe ogniwo, wsuną, gdzie trzeba, i sklepią młotem
kowskim zawlecarki. Generał plastycznie wyobraził sobie dryblasu
przy tej robocie — i udobruchał się.

— A ty siedź tam! — huknął na księżycogębego, przez co ten jesz-

i'ze silniej wzdrygnął się i z łomotem upuścił kociołek.

Wylana strawa — ni to rzadka kasza, ni to gęsta zupa — popęzła po płycie pancерnej. I nagle generałowi zrobiło się żal tych ludzi, którzy w istocie wspaniale wykonali pierwsze zadanie, i pomyślał, że przecież to przyjemność — przynajmniej najeść się do syta na godzinę przed przeprawą — może ostatnią w życiu księżycopodobnego.

— Podnieś kociołek — powiedział generał idąc do „willisa”. I gestem powstrzymał spieszącego usiąść Donskoja. — Powiedz na kuchni, żeby mu trzy porcje nałożyli. Popatrz, jakie to... chucherko. Trzeba y,o odkarmić. A do obiadu jeszcze nieprędko...

Z raptownym smutkiem poczuł się zbędny wśród tych ludzi, najmniej potrzebujących jego besztania i poganiania. Usiadł i unikając wzroku majora, stojącego z wyrazem winy i strapienia, powiedział:

— No już dobrze... Bądź zdrów. Tam się zobaczy.

„Tam” oznaczało — na prawym brzegu.

175

„Willis” popędził ku kawalerzystom rozlokowanym na szerokiej łące, za zagajnikiem, który ich ukrywał przed obserwatorami z tamtego brzegu. Oczywiście, nie spodziewał się zobaczyć szwadronu w szyku bojowym, ze sztandarem i postawionymi na sztorc klingami, jednak roztaczający się przed oczami widok zdumiał go. Kawalerzystów jeszcze nie nakarmiono, oni zaś, nie tracąc czasu, karmili swoje konie, to znaczy po prostu paśli je na łące. Rozkiełznane, nie spętane, konie porozłaziły się po całej łące, jeszcze szarej w półmroku, a w tym czasie ich właściciele palili sobie, rozsiadłszy się grupkami na trawie.

Od jednej z takich grupiek odłączył się i skierował ku „willisowi”, nie nazbyt się spiesząc, dowódca szwadronu. Generał darząc go z góry przyjaznym uczuciem, dostrzegł od razu kawaleryjski, z lekka plączący się krok, przy którym szczególnie melodyjnie pobrzękiwały ostrogi, rozmyślnie niezdarne stąpanie rozkraczonych odrobinę nóg w lekkich butach w harmonijkę i nie brzęczącą, leciutko ręką podtrzymowaną szablę. Pozostali podnieśli się z ziemi, jednakże papierosów i skrętów nie zgasili. W oczekiwaniu na bój starzy wojacy nie są już tak układni wobec przełożonych, są już pod inną władzą, i generał nie czuł się tym wcale dotknięty, żadną taką dającą się wytłumaczyć poufałością; z przyjemnością przyglądał się imponującej figurze dowódcy szwadronu, jego szerokim barom, wąskim biodrom, ogorzałej jakby wyrzeźbionej twarzy, z lekka muśniętej uśmiechem, z przyjemnością wdychając przy tym zawsze wzruszający go zapach konnicy, bez domieszki solarki i wydechów silnikowych, zapach zaschniętego końskiego „mydła”, nawozu, moczu i zbutwiałej, rzemiennej uprzęży. Dowódca szwadronu zbliżył się i elegancko podrzucił do furażerki rękę ze zwisającą na nadgarstku szpicrutą, drugą ręką obejmując czarną obłuszczonej pochwę. Furażerkę miał na bakier, imponujący czub wypuszczony, rzemyk owijał sam koniuszek podbródka. Nad górną jego wargą generał dojrzał swoje wąsiki.

— No, jak, przeżytku bojowy? — zapytał generał uprzedzając jego raport. Znasz dobrze twoją drogę krzyżową? Sprzętu do przeprawy dla ciebie nie starczyło, sami będziecie musieli płynąć.

— Płynąć to płynąć, towarzyszu dowódco — odpowiedział do-

wódca szwadronu z żartobliwą pokorą wobec losu. — Zwykła sprawa.

— Żal mi ciebie — powiedział generał — za piękny jesteś. Co z twego piękna zostanie?

— Wyschniemy — zapewnił dowodzą szwadronu. — Jeszcze piękniejsi będziemy. Nie pierwszyna przecie.

276

Generał, przepętniony ogarniającym go uczuciem, nieco się uspokoił. I rzeczywiście, dla niego, sukinsyna, to nie pierwszyna i moknąć, i schnąć.

Widząc, że raport przeistacza się w rozmowę, podchodzili bliżej także inni kawalerzyści. Któryś z nich, zapatrzywszy się, wpadł na idącego przed nim, inny się potknął, zaczepiając przy tym o ostrogę. I' o tym zaś, jak patrzyli na generała, odróżniał bezbłędnie weteranów od nowicjuszy z uzupełnienia. Nie dlatego, by nowicjusze zachowywali się bardziej nieśmiało wobec przełożonych, lecz po tym, jak w jego słowach, w jego uśmiechu lub zasępieniu szukali z trwogą odpowiedzi na to, co ich czeka, podczas gdy weterani, którzy poznali prawdziwy strach, odpowiedzi szukali w sobie, i w nikim innym; podporządkowując się jedynie własnemu nastrojowi przed bojem, można by rzec, iż nie podlegali żadnej innej władzy. Rozumiał nieuchronność ich zubożenia, zagłębienia się w sobie, ale z bezwiedną gorliwością chciałby przypomnieć im, że i od niego zależą w nie mniejszym stopniu niż od swojego losu.

— Są tacy mądrale — powiedział podnosząc głos, by usłyszeli go 11 alej stojący — którym się zachciewa płynąć w siodłach. Jak, nie przy-

mierzając, wiejskie podpastuchy, kiedy kąpią konie w rzece. Jak zobac/.c takiego — rąbnę z mauzera. Płynąć trzeba obok. Jak z rodzonym bratem albo ukochaną dziewczyną w stawie. I nie trzymać się siodła, a tylko pod uzdę. Najważniejsze ! — nie dawać mu głowy zadzierać. Bo się fali boi i do góry ciągnie, a może się nawet zdarzyć, że w wodzie „świecę" zrobi. A przez to, bywa, zachłystuje się, tonie. Pilnować, żeby miał tylko nozdrza nad wodą...

Nagle zobaczył, że pasący się w pobliżu źrebaczek uniósł głowę i, postawiwszy uszy, przysłuchuje mu się z zaciekawieniem. W tym odwróceniu się pięknej, suchej głowy, w patrzących z ukosa, obrażonych oczach można było wyraźnie odczytać: „Co ty pleciesz? Wcale nie zadzieram głowy. I o wszystkim wiem, co się ze mną stanie..." Doprawdy, zdawało się, że rzeczywiście wiedział, co się z nim dzisiaj stanie, biedny konik, Bogu ducha winny, który musi dzielić z człowiekiem wszystkie jego sprawy i całą głupotę. Generał nawet zaciął się i z wyraźnym poczuciem winy wobec niego patrzył w pełne wyrzutu oczy konia, aż ten machnąwszy głową opuścił ją nisko ku trawie. Tę wymianę spojrzeń bodajże wszyscy dostrzegli i uśmiechnęli się.

— Nie pierwszyzna przecie, towarzyszu dowódco — powiedział dowódca szwadronu. — Albośmy to dawno temu Desnę forsowali?

177

— To była Desna — odparł generał. — Jakieś trzysta metrów. A tutaj, widzisz sam, kilometr dwieście...

— Czyli ze cztery Desny — podchwycił z uśmiechem dowódca szwadronu i już całkiem zuchwale mrugnął porozumiewawczo. —

Skoro tak, to może należy się nam poczwórne zaopatrzenie bojowe?

— Ja ci dam „poczwórne zaopatrzenie"! — zakrzyczał generał. —

Poczwórnego mu się zachciało! Na tamtym brzegu — proszę bardzo.

Tylko najpierw dopłyń. Do niego, wiesz...

Ale co on sam wiedział o tamtym brzegu, przestoniętym ciemnym, wyszczerbionym murem zagajnika? W dalszym ciągu nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. I wydawało się dziwne, że gdzieś tam, za rzeką, o pięć kilometrów stąd, panuje cisza, chutory żyją swym niespiesznym rytmem, i dopiero co się budzą, pastuch zabiera z zagród bydło, kobieta w chustce nasuniętej na oczy, przebierając rękoma drąg „żurawia", wyciąga wiadro z wodą ze studni. Spojrzał na tamtą stronę i w ślad za nim spojrzeli wszyscy. Czarne strzępy chmur zaczęły powoli szarzeć, i można się było domyśleć, że to nie chmury, ale obłoki. Póki nie zaświtało, należało się spieszyć, spieszyć...

Czuł się zbędny i tutaj. W rzeczywistości było nie tak, wszędzie był potrzebny, tylko nie po to, by opowiadać ludziom o tym, co sami bez niego wiedzieli, lecz by wniknąć w ich nastrój i przekazać im swój własny.

Miało to o wiele większe znaczenie, niż cała jego besztanina i rady.

Kazał się zawieźć do zatoczki. Promy już postękiwały silnikami i właśnie przedni czołg, z zadartą armatą, rycząc gramolił się na stromą pochylnię. Gąsienice zgrzytały po przylutowanych listwach, pochylnia pod strasznym ciężarem grzęzła w piasku i piszczała histerycznie, ledwie wytrzymując i wściekle uderzenia ogniów, i następnie przetaczanie na pokład. Chlipiący mały prom trząsł się cały, kiedy czołg się na nim obracał i sadowił jak najwygodniej, rozszarpując pomost z de-

sek. Za nim, nie dając barce się uspokoić, wyrównać na wodzie, już wpełzał drugi czołg, a w kolejce sposobił się trzeci.

Generał, unosząc się z siedzenia, w napięciu obserwował, czy aby prom nie osiadzie na dnie zatoczki, ale wszystko odbyło się sprawnie: silnik zachrapał dziarsko i niecierpliwie, zaskrzypiał na pożegnanie piasek zakola, i prom, kotłując się, powoli wyruszył w drogę, niczym bryła lodu, która oderwała się od brzegu. Bezgłośnie wyszeptał w ślad za nim: „No, z Bogiem!” — i przytapał się na tym, jak bardzo pragnął przeżegnać znakiem krzyża te trzy czołgi, już stopniowo znoszone przez prąd w lewo. Jeszcze chwila, i zniknęły z pola widzenia, przęsto-
178

mi/te wysoką trzcina. W to samo nieznane udawał się drugi prom, i HHierął odprowadzał go z tym samym uczuciem trwogi i obłądnej ra-
ilości, a zarazem ze świadomością jakiegoś, jemu samemu niepojętego, uwojego grzechu; na trzeci zaś pozwolił załadować tylko jeden czołg.
— Wjeżdżaj teraz ty — rozkazał Sirotinowi. — Jazda!

Teraz siedząc tak samo z prawa od Sirotina, znowu zobaczył, jak ow spojrział na niego ze zdziwieniem i raptowną rozpaczą, a na jego twarzy wyraźnie było napisane: „Co też wy z nami wyprawiacie?” Ofi-
rtr, który pełnił dyżur przy przeprawie, ze zwiniętą w rurkę chorągiewką, podbiegł, by zatrzymać nieprzewidzianego „willisa”, ale Donskoj z takim spokojem spojrział na dyżurnego, tak wymownie przekonywająco wyciągnął przed nim rozczapierzoną dłoń, że ten od rii/u wszystko zrozumiał: oni się też przeprawiają, i opancerzony Ir.msporter ochrony — także, co zostało ustalone zawczasu; dziwne

lylko, że dyżurny nic o tym nie wiedział. Nie nazbyt zdziwił się i Szestierikow, westchnął tylko z wyrzutem:

— Nie można to było wcześniej powiedzieć? Co ja wam przygotuję." tam na obiad?

Ani załadowania, ani chwili odptknięcia pamięć nie zachowała, |i-dynie to, jak stał na pokładzie, jak już płynął w nieznane, z rozstawionymi po marynarsku nogami, z pięściami w kieszeniach swego skórzanego płaszcza, obok „willisa" przymocowanego łańcuchami do pierścieni cumowniczych na pokładzie, a w twarz, podnosząc na duchu i trwożąc, uderzał wilgotny i zimny rzeczny wiatr.

Czy rozumiał do końca, co robi, i po co? Czy rozumieli to sternik w pokładówce i stary szkiper? Szestierikow, skurczony na siedzeniu, i rozwalony tamże Donskoj, z wyłożonymi przez burtę „willisa" nogami? Radiotelegrafista wyglądający przez na poły otwarty właz rufy transportera opancerzonego? Przyglądali mu się ukradkiem, on zaś wyostrzonym spojrzeniem z boku wychwytywał ich zdziwienie, irytację, a po części i złość. I gdyby ktoś zapytał go wtedy, dlaczego tu jest, nie bardzo wiedziałby, co odpowiedzieć. Teraz, w drodze do Kwatery < itównej, niewyraźnie uświadamiał sobie, że dokonywało się podówczas roś bardzo ważnego i usprawiedliwionego, a nawet nieodzownego.

Generał Kobrisow uznał, że jego śmierć na przyczółku Myriatyńskim jest nie tylko prawdopodobna, ale wręcz nieomal nieuchronna; pogodził się z tym, że jego kości spoczną gdzieś na myriatyńskim i mentarzu albo w centralnym parku tego miasteczka, którego nigdy nie widział, jednakowoż żadna siła nie wyprze go żywego z prawego

brzegu Dniepru, skoro tylko postawi nogę na tym brzegu, który zyskał już miano „przyczółka”. A kiedy człowiek tak stawia krzyżyk na swym własnym życiu — tak spokojnie i po prostu, nikogo nie powiadamiając, kiedy nie ze ślepej rozpacz i nie dla teatralnego efektu włącza do swych przewidywań możliwość własnej śmierci, wówczas często zdarza się, że udają mu się przedsięwzięcia, zda się szalone, w które nie śmie wierzyć nadzieja i nie ma nadziei wiara, wtedy wody rzeki tężeją i ulegają mu niedostępne twierdze i przyczółki.

Ale jakże było do tego jeszcze daleko! Dwa promy, które wcześniej odcumowały, były znowu widoczne, i pierwszy z nich już zapewne przecinał tę niewidoczną, upragnioną linię, która zwie się bystrzyną i na prostym odcinku rzeki powinna znajdować się bliżej środka; w ciszy z natężeniem terkotały ich przestarzałe silniki, nie zagłuszając przy tym sennie-łagodnego pochrapywania pod burtą — i w jednej chwili ciszę tę przerwał ryk i wycie. To, co wydawało się już przewyciężonym, stanęło przed nim jako nowa przeszkoda, i on sam omal nie zawył z urazy, bezsilnego gniewu, kiedy ujrzał eskadrę „Junkersów”: trzy trójki stały nad jego głową — tak spokojnie, jakby tutaj naznaczyły sobie z nim spotkanie. Nie leciały, nie płynęły po niebie, lecz właśnie stały w miejscu, czekając, kiedy zadrze głowę i popatrzy na nie, i następnie natychmiast równie płynnie ruszyły ze swych miejsc nabierając szybkości.

Pierwsza trójka pikujących szturmowców „Junkers-87”, które Niemcy zwali „stukasami”, a nasi nadali im przezwisko „łapciarz”, w dokładnym, symetrycznym szyku — jeden na przedzie, dwa odrobinę

za nim — przeszła nad promem i zawróciła zatoczywszy piękne półkole. Za plecami, na swoim brzegu, pospiesznie zaszczekały szybkostrzelne zenitówki, wspaniałym, basowym trelem rozszalał się wielkokalibrowy kulomiot, ale wybuchy i powstałe wokół nich obłoki nie przeszkodziły „Junkersom” płynnie dokonać bojowego zawrotu dla bombardowania czy też ostrzału określonego celu. Zbyt wczesnie pozwolił sobie pomyśleć: „Przeżyjemy...”

...towarzyszu dowódco! — już dawno krzyczał do niego radiotelegrafista z czeluści opancerzonego transportera, podając słuchawkę. — Do was.

— Słucham! — przycisnąwszy do ucha ciepłą słuchawkę dosłyszał przerywany oddech i daleki szcęk gąsienic czołgowych. Coś się stało i tam, na prawym brzegu, dokąd tak spieszył, i gdzie, jak mu się wydawało, grupa Niefiodowa wykonała już swoje zadanie. — Słucham!.. Przy aparacie!

— Kto? — zapytała słuchawka. — Kto mnie słucha?

180

4

Ś i

—Ja—powiedział generał patrząc wzięty w niebo.—Kobrisow słucha.

—Jak? — zapytała ponownie słuchawka ochryłym i jakby wysuszonym z pragnienia głosem. — Kobrisow? Nie znam takiego. Nie wzywałern. O żadnym Kobrisowie nie słyszałem

O Boże, zupełnie zapomniał, kim jest dzisiaj, zapomniał swego umownego nazwiska i uznał to za jeszcze jedną nieprzewidzianą prze-
••/kodę. Na dobitkę tego wszystkiego — niespodziewanie ujawnił się i

/ostał przez niemiecki nastuch zdemaskowany, dla nich to pestka, a
\\i\\r/.ność z prawym brzegiem natychmiast się urwie, naleganie nie ma
/! uinego sensu, głupotą byłoby spodziewać się, że na wpół ogłuchły
Nii'fiodow pozna go po głosie.

— Niefiodow! — zakrzyczał, rad, że znalazł wyjście. — Wczoraj
przecież razem poszliśmy w cug. Przypomnij sobie, kochany, wódkę
piliśmy, wiersze ci deklamowałem... No, przypominasz sobie?

Słuchawka jeszcze ze trzy sekundy pomilczała i odpowiedziała
nl.ibym głosem:

— Kiepsko z nami, Kiriejew.

Oto kim on był dzisiaj — a wyleciało z głowy. Wybiły mu to
wszystkie te junkersy.

— Kiepsko z nami — powtórzyła słuchawka. „Ferdynandy” są u
mnie... Nie przewidziałem, że się pojawią. Na chutorze je ukrywali,
/..imaskowane... Osiem sztuk. A jakie środki obrony? Granaty, chwata
Hogu, wzięliśmy przeciwpancerne... Niewiele, co prawda. Butelki z
„knesem”*, z dziesięć sztuk, ale to wtedy, kiedy blisko da się im po-
ili-jść... A z nimi — uzbrojonych w automaty co najmniej pluton. Jeżeli
11,1 wet przesadziłem ze strachu — tak czy owak ludzi mam mniej...
Niefiodow w ten sposób się ujawniał, ponieważ Niemcy wiedzieli
li-r.iz, jakie ma „środki odparcia”. Najstraszniejsze, co mogło się stać —
! lalo się. Nawet nie tak straszne były owe „Junkersy”, co przegapione
przez wywiad powietrzny „Ferdynandy”. Zamaskowane, ani chybi, w
! •logach siana, wypełzły teraz te samobieżne straszzydła i stanowiły za-
porę dla jego czołgów. Uderzenie ich pocisku całą wieżę „trzydziestki

iv.worki" wywala z gniazda i odrzuca niemal na sto metrów. A korpus... Jaki tam korpus! Gina, gina, nie dotknąwszy nawet brzegu, jego KS (samozapalający się płyn) — nazwany tak od inicjałów wynalazców Kaczugina i Sołodownikowa. Na Zachodzie określany mianem koktajlu Mołotowa, który nic z nim wspólnego nie miał.

181

„turkotki”, „prymusy”, „maszynki naftowe”. Przeciwno grubemu opancerzeniu „Ferdynanda” cóż warte były ich armaty! Natomiast jego arcydługą lufa robi z nich wypalone pudełka. I wyobraził sobie tępe mordy tych potworów, szkaradne tylne osadzenie wieży na korpusie, arcydługą lufę z gałką hamulca lufowego. I stało się jasne, dlaczego niemiecka artyleria nie uderzyła natychmiast na grupę Niefiodowa, skoro się tylko ujawnił, nie rozniosła całego brzegu, który był wszak wcześniej ostrzeliwany. Mieli tam „Ferdynandy” — ot i cała tajemnica milczenia. Nie, to nie do zniesienia! To było niesprawiedliwe! A przecież tak dobrze się wszystko zaczęło!..

— Niefiodow! — zakrzyczał do słuchawki błagalnym, a nawet skomlącym głosem. — Zatrzymaj mi ich! Wszelkimi siłami zatrzymaj!

— Jakże ja mam siły? — tym samym zmęczonym głosem powiedział Niefiodow. — No cóż, postaram się, towarzyszu Kiriejew..

— A gdzie kompania? Posłałem kompanię pod twoje dowództwo.

Mają broń przeciwpancerną... No i w ogóle — bądź co bądź kompania...

— Kompanię trzeba by jeszcze zebrać do kupy. Gdzieś tam niżej wylądowali, zniósł ich prąd. Słyszę, że walczą... Słyszę, ale nie widzę. I wydaje mi się..., może się mylę, załamuje się kompania...

— Rozumiem — powiedział generał załamany głosem. — Rozumiem, kochany... No, zaraz ci podrzucę trochę ognia haubic. Skontakuję cię z nimi, ty skoryguj...

— Za blisko ich podpuściłem... Teraz tylko sobie na głowę mogę korygować.

— Coś ty, Niefiodow? Czemuś nie rozpoznał wcześniej?

— Sam się gryzę... Tak już wyszło.

W słuchawce dał się słyszeć rosnący zgrzyt, w ucho uderzył z niej gruchot i generał wypuścił słuchawkę — w ręce Donskoja.

— Każdego ognia żądaj — powiedział generał.

Donskoj w milczeniu kiwnął głową, nie zmieniając ani na jotę wyrazu twarzy. — Tylko powiedz, żeby dokładniej pracowali artylerzyści. Nikomu się nie pali do śmierci.

Ale sam rozumiał, że Niefiodow i dwudziestu jego ludzi, którzy tak pomyślnie pokonali wodną przeszkodę i umocnili się na skrawku ziemi, są już podwójnie skazani. Jeśli nie wdepczą ich w ziemię „Ferdynandy”, to uczynią to swoi szczodrym ogniem — choćby nie wiem jak go korygować. Niefiodow powinien opuścić plac boju i wyprowadzić całą grupę... Czy to możliwe? Czy też już się tak zagłębili, że nie ma mowy o wyjściu? Więc co, zastanawiał się gorączkowo, zawrócić czołgi, póki nie jest

182

za późno? Rozkazać, by wstrzymali się z ładowaniem — tych, których jeszcze nie załadowano? Nic z tego, to niemożliwe, sprawa zaczęta, i on winien był przewidzieć ciąg dalszy. A przecież przewidział, dobrze wiedział: cały koszmar przeprawy polegał na tym, że była nieodwra-

calna. Kto raz wszedł do wody — musi ją przepłynąć. Albo pójść na
*Ino. Tylko jedno było mu, generałowi, dozwolone — wrócić samemu.
Nikt nie uczyni mu wyrzutów. Ani jego świta, ani wszyscy ci, którzy
poczytywali za fanaberię jego pragnienie przepłynięcia się wraz z ni-
mi. Ale czy kiedykolwiek wybaczy sobie, on, który tyle nadziei pokła-
dał w tym przyczółku, przysięgając na swoje życie?

Zresztą, żadnej ze swych myśli nie był w stanie do końca przetra-
wić. Dopiero co wszystko widział i słyszał, niczym strwożone zwierzę,
|i*szcze przed chwilą, jeszcze kilka sekund temu, i oto już się wszystko
/.mieniło, a on ogłuchły, z napływającymi do oczu tęczowymi kręgami,
nie mógł zrozumieć, co to za pluśnięcia zaczęły skakać nagle po wo-
dzie, na połykających falach, zbliżając się do burty promu, dlaczego
S/.estierikow i Donskoj pochwycili go pod pachy i dokądś wloką, i cze-
mu nagle zbieleły na twarzy odskoczył tkwiący w otwartym włazie
opancerzonego transportera radiotelegrafista, a dziwnie zjeżony, kur-
cząc się na siedzeniu, przykrywa głowę rękami — rękami! — Sirotin.
Uniósłszy twarz w kierunku, skąd dobiegał ryk, ujrzał, jak jeden z
„Junkersów" utraciłszy swą wysokość, swój kształt krzyża, rozrasta
się na całą szerokość rozpostartych skrzydeł, pikuje ukazując szczegóły
pomalowanego w żabi kolor kadłuba, oszklenie kabiny, osłony nie cho-
wającego się podwozia — oto dlaczego „łapciarzem" go nazywają, po-
myślał spokojnie, nawet nazbyt spokojnie — i widać było wyraźnie, jak
mimośrodowo kręci się szeroka i tępa osłona piasty śmigła, jego gwin-
lowana tulejka — nie wiedzieć czemu czerwona, cóż to za maskowanie?
I takie same czerwone ozdoby na skrzydłach... Jakie tam ozdoby! Błyski

karabinów maszynowych ze skrzydeł...

Kule stukotały po opancerzeniu czołgu i rykoszetem, z przeciągłym śpiewem, gdzieś znikaty. Wokół promu, na połyskujących falach kipiał deszcz rozsypujących się pęcherzyków.

Ciągnęli go siłą, przycinając mu głowę, aby wepchnąć do włazu.

()dczuwał to jako nieznośne poniżenie i nagle, rozwścieczony, wyrwał się z tych rąk, które stały mu się nienawistne.

— Ile mam myśliwców? — wrzasnął trzęsąc się z gniewu silniejszego od strachu. Twarz Donskoja, blada, ale czujna, usiłując uchwycić

183

nieślyszalne słowa, przybliżała się do niego, do jego twarzy. — Pytam, ile mam myśliwców?...

W tej samej chwili „Junkers”, osiągnąwszy niebezpieczną dla siebie wysokość, zaczął wychodzić z nurkowania, znowu ukazując swą nieskończoną długość i kształt krzyża, swój błękitny brzuch, rozczłonkowany stykami, łuskowaty brzuch ogromnego jaszczura, który jeszcze bardziej przybliżał się przy „osiadaniu”, przestaniając niebo. I oto wreszcie przeleciał obok z przerażającym rykiem. Pod skrzydłami wiślały na wspornikach dwie brzuchate bombki. Dlaczego ich nie zrzucił? Zostawił, by zrzucić przy drugim okrążeniu? Ale ten pierwszy raz — czy już się skończył?

Nie przyszło mu do głowy, że „stukas” odchodzący jest wciąż straszny. Bowiem wzbijając się otwiera pole widzenia siedzącemu z tyłu strzelcowi i umożliwia mu ostrzał. Na szczęście płynący na promach o tym nie zapomnieli. I zadarłwszy lufy, wychodząc naprzeciw

jego ogniowi, strzelali po oszkleniu kabiny z automatów, karabinów, kulomiotów wieżowych.

— Proszę wybaczyć, Fotiju Iwanyczu — nagle jakby z nieba, poprzez ryk i trzask strzelaniny, dał się słyszeć czyjś głos. — No, spóźniliśmy się odrobinę, trzeba przecież herbatki się napić przed odlotem. Zaraz go sprzątnę...

Radiotelegrafista z włazu, skąd donosił się ten głos, wyciągnął do generała słuchawkę radiotelefonu. Generał ją odebrał, nie bardzo wiedząc po co, skoro jego rozmówca i tak usłyszał.

— To ty, Gałagan? — zapytał generał, chociaż ani trzask w samej słuchawce, ani ryk pozostającego już dalego za plecami „Junkersa” nie mogły tego znajomego głosu zniekształcić. Gdzież to się twoje sokoły podziały?

— Ja nie mam sokołów — powiedział Gałagan. — Ja mam orły. Ty im nie urągaj, łatwo się obrażają. Chłopcy, rozchodzimy się! Każdy sobie kamrata wybiera, wedle upodobania...

Czerwonogwiezdna szóstka — cztery „MIG-i” i dwie „Airakobry”* — kończąc zbyt wysokie podejście i przekroczywszy niewidzialny szczyt płynnie rozchodziła się pięknym wachlarzem opadając na P-39 Airacobra, Bell — amerykański, jednoosobowy myśliwiec szturmowy eksploatowany w latach 1941-1944. 4773 tych maszyn (wyprodukowano ogółem 9558 egzemplarzy) było m wyposażeniu rosyjskiej armii.

184

„lunkersy”. Jedna „Kobra” należała do samego Gałagana, druga — do |i'^o prowadzącego. Ni mniej, ni więcej, a sam dowódca armii powie-

trzej wyleciał na polowanie.

— Chłopczy, proszę o uwagę! — rozkazał Gałagan, teraz pełen życia. — Tego tam, sto czterdziestego szóstego, który omal Fotija Iwanicza nie skrzywdził, nie ruszać, należy do mnie... Trzeba go przykładowo ukarać... Zaraz dam mu w mordę...

„Niczego sobie z nas konspiratorzy” — zdumiał się generał. —

(>n mnie Fotijem Iwaniczem nazywa, ja jego — Gałaganem. Jakby

Niemcy nie wiedzieli, kto to taki Fotij Iwanicz. A o nim pewno we wszystkich słuchawkach rozlega się wycie: „Achtung! Gałagan na niebie!”

Cała szóstka naszych przeleciała nad Dnieprem i wkrótce wróciła oświetlona wschodzącym już gdzieś tam słońcem, którego nie było już na ziemi i na wodzie. „Junkersy” rozchodziły się w różne strony, który atakował, teraz mocno przechylony zawracał, żeby odlecieć.

— Odchodzisz po angielsku, bez pożegnania? — oburzył się Ga-

li[^]an. — Do czego to podobne? Nie-e, nie, tak nie odleci.

Niemiec, dobrze wiedząc, że w prostym locie „Kobra” dosięgnie go /łatwością, i że uratować go może jedna tylko jego przewaga — manewrowość, przeleciał z kilometr i zawrócił. Gałagan ze swoim prowadzącym, przeleciawszy nieco dalej, zniknęli z pola widzenia i ukazali się niebawem. Niemiec nie miał już raczej głowy do promów z czołgami, obie n woje wiszące bombki zrzucił gdzie popadło, całkiem na uboczu, byle byli >żej; i nie tak straszni byli mu wszyscy ci, którzy płynęli pod nim na całej szerokości rzeki, całkiem bezbronni, stanowiący taki dogodny cel nieliniowy, tarcze strzelnicze, no, może nieco nadto rozrzucone; z tej gry wyłączył się zupełnie, a włączył do drugiej, na wyższym pułapie, do nie

u/bawionego powabu powietrznego pojedynku z rosyjskim asem,
l/.ic- stawką było już tylko własne życie, a wygraną — uniknięcie śmier-
> Na co jednak liczył Niemiec? Że zdoła tak długo umykać przed super-
/ybką, ale niezwrotną „Kobrá”, aż wyczerpią się jej zbiorniki? Znowu z
i ykiom świdrującym uszy i mózg przemknął nad promem „Junkers” —
i.ik nisko, że aż wydawało się, iż nogą podwozia strąci generałowi czap-
la <_• Miał chyba nadzieję, że prześladowca nie zdobędzie się na to, by go
i >śli zeliwać nad głowami swoich. Miał radio, ale nie znał rosyjskiego — i
mi” znał Gałagana. Zestrzelić w powietrzu — to dla Gałagana nie była
/.iilna przyjemność, przyjemnością było — dać po mordzie...

Rozpędzona „Kobra” dosięgnęła „sto czterdziestego szóstego” z
u kim nadmiarem szybkości, że można było pomyśleć: albo znowu

185

przeskoczy obok i trzeba będzie powracać, albo wbije mu się w ogon.
Jednakże nie doleciawszy o jakieś pięćdziesiąt metrów nagle wzbiła się
ostro, niemal pionowo i stąd, z dużej wysokości znowu powróciła wy-
wrotem, opadając wciąż na dół, na dół, nie pozostawiając wątpliwości,
że za chwilę rozpląszczy się na wodzie. Generał Kobrisow patrząc za-
uroczony, z bijącym sercem, mimo to przegapił niepojętym sposobem,
kiedy to padanie ustało i jak się to stało, że Gałagan znalazł się równiu-
sieńko za ogonem „Junkersa”. Pokładowy strzelec „Junkersa” przestał
już widocznie mu zagrażać — zabity czy też zabrakło mu naboju;
zadarta do góry czarna żeberkowata lufa karabinu maszynowego maj-
tała się na wszystkie strony.

Zmniejszywszy swoją szaleńczą szybkość, Gałagan nadmiar, jaki jeszcze pozostał, zlikwidował najeżonymi płacami hamulcowymi — i leciał już niemal równo z Niemcem, lokując się nieco wyżej, o jakieś trzy metry, powoli opadając na niego swym srebrzystym brzuchem. Jednakże, aby uderzyć śmigłem, pozostawał jeszcze pewien jej nadmiar, i chyba niejednemu, kto widział to wszystko, chciałoby się zawołać w zapale: „Przeskoczysz!” — ale z wolna, jakby w półśnie, otworzyły się klapy pod skrzydłami, i wysunęły nogi podwozia — tak jastrzęb-cietrzewnik wysuwa swe pazury nad nieuchronną ofiarą. Przyparty do wody Niemiec pozbawiony został jedyne manewru, który może wykonać prześladowany — gwałtownego dziobnięcia, zapadnięcia się. Wobec „Kobry” był zupełnie bezbronny. Płynne zapadanie się, cios nogą po oszkleniu kabiny, i zabłyśły, kręcąc się, rozpryski pleksiglasu. „Kobra”, nabrawszy wysokości, popędziła bardziej do przodu, znowu zapadła się i kolejnym dotknięciem roztrzaskała Niemcowi przednie oszklenie. Następnie, po jakiejś chwili — tylne. Teraz nad ściętym kadłubem sterczała tylko czarna głowa pilota wierząc się i uchylając od kolejnych ciosów gumowego młotu.

Kiedy prostym i czułym wejrzeniem

Pieścisz mnie, przyjacielu

— nucił pod nosem Gałagan w swojej kabinie; głos miał taki sobie, ale bardzo lubił podśpiewywać „na polowaniu” —

To nagłe kwiecistym wzorem

Ziemia i niebo się maluje.

— Gałagan — błagalnym już tonem zwracał się do niego Kobri-
sow — po co ci te koziołki, nie masz co robić, do jasnej cholery!
Przepędź go i wykończ raz-dwa!

Gałagan usłyszał, zasunął lufcik swojej kabiny, pomachał ręką w
rękawicy.

— Ordynus z ciebie, Fotiju Iwanyczu — odpowiedział Gałagan —
I'o cóż tak „raz-dwa”? Trzeba delikatnie. I stopniowo. Kolejnym nu-
merem naszego programu będzie skalpowanie...

Obaj zniknęli z pola widzenia, i kiedy pojawili się znowu. Nie-
mieć już nie miał na sobie czarnego hełmu — widocznie zerwał go ra-
zem ze słuchawkami i okularami ze strachu, żeby wszystkiego nie
widzieć i nie słyszeć. Wiatr z naprzeciwka wichrzył jasne, słomianego
koloru włosy, głowa pochylała się nad pulpitem sterowniczym, czarna
< ibręcz dokonywała nad nią koliste ruchy.

Było w tym jakieś szaleństwo. Gałagan nie w pustym powietrzu
koziołkował i nie na pustym niebie prowadziła swój korowód piątka
„MIG-ów” z ósemką „Junkersów”, a w podziurawionym, przeszytym
pociskami zenitek z lewego brzegu, seriami wielkokalibrowych działek;
li” niewidzialne trasy stawały się nagle widoczne, kiedy uruchomiono
zapalniki o opóźnionym działaniu i wokół „Junkersów” wybuchały mle-
rzno-różowe obłoczki — trudno było nie podziwiać umiejętności żołnie-
rzy artylerii przeciwlotniczej, którzy znajdowali sposób aby, jeżeli nie
I rafić nawet w Niemca, to w każdym razie swego nie zadrasnąć. Ale oto
ircinemu z „Junkersów” dostało się — pocisk wrył się w rdzeń skrzydła
i oddzielając się od kadłuba skrzydło poszybowało w górę, obracając

sit; w zamaszystej spirali, sam zaś „Junkers” — także w spirali, tyle że wirując w odwrotnym kierunku — poszybował ku wodzie. Przy tak małej wysokości ani pilot, ani strzelec nie mogli wyskoczyć na spadochronach; zresztą, nie wiadomo było, co by się z nimi stało przy takim wstrząsie; padając nie otworzyli swoich oszklonych kabin, nie otworzyli ich uderzając o wodę, pogrążyli się w swym przezroczystym pudełku i nie wypłynęli; w miejscu upadku migotało jeszcze jakiś czas, niczym plrta olbrzymiego rekina, drugie skrzydło z czarnym krzyżem.

Napływająca od topielca fala tak przechyliła prom, że czołg ze >rzytem popętlł bokiem ku nadburciu, omal nie zrywając słabych I ńcuchów. Z traskiem podniosło się wieko włazu wieży, i ukazała się <v nim przerażona twarz. Młodzieńki czołgista nie wytrzymał tego !/.czegośnego strachu, zaiste nieznośnego w ciasnej przestrzeni i cie-

187

mności: wyleźć pod kule nie było wcale straszniejsze niż iść na dno dusząc się w męczarniach.

— Zamykaj się! — wrzasnął na niego generał. — Nie jesteś mi tu potrzebny, żebyś się pejzażem zachwycał, potrzebny mi jesteś cały i zdrowy. Czegoś się przestraszył — że się nie wydostaniesz? Jak ci życie miłe — to się wydostaniesz.

Lejtnant patrzył otępiało, ale z wolna powracał do siebie, widząc jak promem zakółsało z powrotem i łańcuchy, rozluźnione, upadły na pokład. Donskoj spokojnie, dłonią, przypomniał mu, żeby zamknął za sobą właz. I lejtnant wykonał polecenie, uśmiechając się drżącymi wargami, wstydząc się swego strachu. Wydostać się przy zatopieniu

mógłby tylko on, los strzelca pokładowego, siedzącego niżej, a tym bardziej mechanika-kierowcy, był przesądzony: nie mieli szansy — musieli utonąć.

Wszystko to działo się dokoła generała, jakby w półśnie. Krzyczał na czołgiste, ale jakby tylko słyszał i obserwował, jak ktoś inny krzyczy. I jakby komuś innemu znowu podano słuchawkę z włazu opancerzonego transportera, i on za tego drugiego powinien zdecydować, co robić. Niefiodow meldował mu, że „Ferdynandy” zajmują już pozycję ogniową, celować będą na wprost, czekają, kiedy czołgi przyplyną bliżej. — Odejdź! — krzyczał generał. — Odejdź z ludźmi jak najdalej i koryguj. Nic więcej nie możesz. Niefiodow! Nasi artylerzyści to nie takie znowu lewe ręce, a nuż coś tam zmajstrują!..

Słuchawka milczała. Widać na wpół ogłuszony Niefiodow usiłował pojąć, co też takiego mogli „zmajstrować” artylerzyści. A może już po prostu niczego nie słyszał...

— Czemu milczysz? — zapytał generał.

— Ano właśnie zastanawiam się... Czy to dobrze tak całą robotę zwalić na artylerzystów?.. Sam nie wiem.

I słuchawka na długo zamilkła. Już na zawsze.

...A jednak ktoś z nich wynurzył się, z załogi zatopionego „Jun- kersa”. Nieoczekiwanie wśród fal pokazała się samotna głowa w hełmie z wypukłymi okularami, jak gdyby z głębin wyłonił się mieszkaniec dna, i pierwszą rzeczą, jakiej dokonał zachłysnąwszy się rozpalonymi ustami powietrzem — to zakrzyczał na cały głos. W krzyku tym było przeżyte przerażenie, nieprzebrana litość do siebie, pre-

tensja do całego po trzykroć przeklętego świata. Krzyczał i płynął — w pośpiechu, zagarniając wodę szerokimi machnięciami, wyskakując z niej nieomal do pasa, tracąc mnóstwo wściekłej energii, ale nie tam pły-

188

nał, dokąd należało, płynął ku lewemu brzegowi, do którego mogło mu zabraknąć sił, płynął na spotkanie z tymi, którzy nie powinni go oszczędzić, lecz winni byli uśmiercić, czym się dało — kolbą, wiosłem, saperką. Coś się stało z jego głową — stracił wszelkie poczucie orientacji i czy też oślepnął, albo po prostu nie wpadł na to, by przetrzeć zapocznono, zabryzgane okulary albo wyrzucić je w diabły — i zobaczyć, że leszcze nie wszystko stracone i można się uratować... A nad nim, nad całą przeprawą, prześladowany przez szalonego Gałagana, wciąż latał zaszczyty „sto czterdziesty szósty”, zapewne już z ostatkiem paliwa, i być może zazdroszcząc losowi towarzysza z eskadry, marząc o tym, by osiąść na wodzie, jak tamten, albo też przeciwnie, lękając się takiego „lądowania”, w którym było tak samo mało szans ratunku, jak i w przesyconym nienawiścią powietrzu...

...Pokład nagle usunął się spod nóg. To prom z rozpędu wbił się w piach zakola. Dopiero wtedy generał, odwróciwszy głowę, ujrzął wiszącą nad nim, uchodzącą do nieba stromizną brzegu. Strwożone jeżyki wyfruwały ze swych gniazd i krążyły stadami, nie chcąc odlatywać zbyt daleko. Pochylnie opadły na zakole i z czołgu wyskoczył jednak licjtnant, który całkiem niedawno miał takiego pietra, teraz zaś razem z S/.estierikowem uwalniał czołg z jego łańcuchowych więzów. Mechanik-kierowca wyglądał ze swego włazu — czy nie czas już ruszać.

I ruszył nie czekając na rozkaz, omal nie wyrwawszy z pokładu ostatniego przytrzymującego go pierścienia cumowniczego; gąsienice z wściekłością odrzuciły do tyłu piszczącą pochylnię, i prom, wypływając, odbił od brzegu i zakotłosał się na fali, nie dając spełznąć „willisowi” i opancerzonemu transporterowi.

Połatana, umorusana „trzydziestka czwórka” szła już po Prawobrzeżu, szła pod urwiskiem, wąskim pasemkiem, gdzie dwie nie mogłyby się wyminąć, grzęzła w rozpadlinach, szukając łagodnego spadku, skąd mogłaby wydostać się na stromiznę, a gdzieś wysoko, ponad jej wieżę, trwał zapewne bój o jej ocalenie: garstka ludzi usiłowała uchronić ją przed lufami „Ferdynandów”. Pod stromizną była jeszcze bezpieczna, ale co ją czekało na górze? Co tam się w ogóle działo?

Generał, nie czekając na niepotrzebnego mu teraz „willisa”, skoczył do wody, sięgającej mu, jak się okazało, do pasa, i pobrnał ku brzegowi pomagając sobie machnięciami rąk, jak przy koszeniu. Piechota, która zeskoczyła z promów, doganiała go, ktoś go poznał, przekazał ilalej: „Dowódca na przyczółku!” — i innym też zachciało się popa-
irzeć na dowódcę: nie często trafia się taka gratka żołnierzowi. A może

189

spoglądali, żeby nie dopuścić do zguby tego dziwaka, wiedząc z odwiecznego rosyjskiego doświadczenia, że nowi zwierzchnicy są zawsze gorsi od poprzednich. We wszystkim, co czynił, również nie brakowało szaleństwa — dokąd się tak teraz spieszył? Donskoj i Sze-
stierikow znaleźli dla niego ścieżkę biegnącą serpentyną, szli przed nim, osłaniając go zawczasu przed kulami, które mogły chlusnąć z ur-

wiska. Po tej ścieżce, wydeptanej zapewne przez mieszkańców chutoru, którzy przychodzili tutaj kąpać się lub przypędzali bydło do wodopoju, wspinał się nieskończenie długo, ciężko sapiąc, nadwreżając serce, od wysokości zaczynało brakować tchu, a w nozdrza uderzał zapach spalenizny i gryzący dym szczypał w gardle; męcząco, mdląco cuchnęło palącą się gumą...

...To dopalały się ogumione koła „Ferdynandów”, porzrucane na polu koniczyny, dalej pustym, aż do ogrodowych opłotków chutora. Tam już gospodarzyli swoi — nachylając „żuraw” wyciągali, dziarsko pokrzykując, wodę ze studni. „Odpowiednie miejsce wybrałem” — pochwalił sam siebie generał. — Ale czego oni tu bronili? I jakim zmysłem wyczuli, że właśnie tu wyląduję z czołgami? Niektóre pytania bez odpowiedzi pozostały na zawsze, odpowiadał na nie niezmiennie po prostu: „Wojna”. Sześć nadpalonych, rozbitych potworów z otwartymi włazami — porzucane przez swoje załogi „Ferdynandy” — nadal wyglądało groźnie, ale ich stal była martwa: to się czuło od razu. Całe życie miał do czynienia ze śmiercionośną, porażającą, lub przeciwnie, ochronną stalą, jakimś niepojętym, nieomylnym węchem określał stal martwą, niezdolną już do poruszania się, do pracy, wykonywania swego przeznaczenia; wydawało mu się nawet, że cuchnie padliną i wkrótce zacznie się rozkładać niczym ciało ludzkie. Tego ciała, zapakowanego w czarne kombinezony, też tutaj nie brakowało; szukając ratunku przed nieznośnym żarem, ze strachu, by nie spłonąć żywcem, znaleźli jedynie lżejszą i szybszą śmierć nieopodal swych maszyn. Jasne włosy sterczały spod hełmofonów, wiatr nimi poruszał i owiewał je żółtawo-czarnym dymem. Falu-

jąca pod tym samym wiatrem koniczyna uspokoiła także swoje „szare bydlątka”, również kapryśnie porozrzucane — niektóre twarzą ku niebu, z najczęściej ostrzyżoną „na zero” potylicą — widowisko tylekroć już oglądane, do którego nigdy nie mógł przywyknąć. Między swoimi i Niemcami nie było żadnej strefy neutralnej; tak blisko zetknęli się w boju, że teraz tu i ówdzie niektórzy leżeli przemieszani. Jeden ze swoich jakby słabo się poruszył, ale, być może, generałowi tak się tylko zdawało.

190

Przy życiu pozostało czterech. Trzech spośród nich zdążyło już po boju porządnie sobie golnąć z butelek, a może zbzikowali; rozmawiać z nimi było trudno. Lejtnanta Niefiodowa znaleziono w małym, płytkim okopie, pospiesznie wrytym, w którym ledwie się mieścił na medzaco, opierając się karkiem o blindaż. Ręce przyciskał do brzucha; upod zadartej bluzy, zapaćkanej lepłą ziemią, białą szczodrą i bezludnie ponawijane bandaże. Oczy miał zamknięte, blade wargi pogryzione, twarz zmizerowaną, niemal nie do poznania.

Donskoj pochylił się nad nim.

— Żyje — powiedział z przekonaniem. I zapytał rannego: — Mo-

*«%sz porozmawiać z dowódcą?

Niefiodow z widocznym wysiłkiem uniósł powieki. Oczy jego gdzieś tam błędziły, patrzyły jakby poprzez ludzi. Na widok generała ledwie zarysowało się w nich zdziwienie.

— Więc to wy rozmawialiście ze mną z promu? — zapytał jakimś bezbarwnym głosem. — A ja myślałem, że z brzegu. I co to, myślę, za hałas u niego taki? Znaczą się, że osobiście będziecie przyjmować?...

Znowu zamknął oczy.

— Co on powiedział? — zapytał generał. — I również pochylił się ku rannemu. — Co przyjmować, Niefiodow?

— Przyszótek, towarzyszu Kiriejew — odpowiedział ranny. —

Przyszótek... Albo nie jesteście już Kiriejewem?... Tam, w chutorze, jeszcze dwie „Fiedki” się ukrywają. Odeszły. Wy już je sami jakoś tam...

— Nie martw się — powiedział generał. I spostrzegłszy się, że jeszcze coś powinien powiedzieć, dodał. — Dzięki ci, mój drogi. Możesz uważać, że Bohatera masz w kieszeni.

— To wam dzięki — odpowiedział nieprędko Niefiodow, i trudno było pojąć czy się uśmiecha, czy też krzywi z bólu. — Ale mnie już nli/.ego nie potrzeba... Widzicie, całą serię oberwałem...Teraz tylko apokoju mi potrzeba...

— Kogo byś jeszcze wymienił, wszystkich czterech? — zapytał I)onskiej otwierając mapnik. — Kto, według ciebie, szczególnie się wyróżnił?

— Nikt. Myśmy się nie wyróżniali. Myśmy się wszyscy starali...

Iftkże bym mógł kogoś skrzywdzić?

— Wszyscy otrzymacie ordery. Ale kto więcej, niż pozostali się usłużył? — mówił Donskiej łagodnie i cierpliwie, a zarazem stanowczo. — Może Kniaziew, twój zastępca? Kto jeszcze?

191

— Starszy sierżant Kniaziew zginął pierwszy. Butelka rozerwała mu się w rękę. Przy zamachu. A może kula trafiła... Nie wiem, nie widziałem. Widziałem, że pali się jak pochodnia. I w żaden sposób nie

można było ugasić... Tam leży, można go poznać. Tylko ostrożnie tutaj chodźcie, a nuż któryś zacznie strzelać... półprzytomny.

— Kniaziewowi — pośmiertnie — powiedział Donskoj spojrzawszy pytająco na generała. — Kogo jeszcze wymienisz?

— Nikogo. Nikomu niczego nie trzeba pośmiertnie. Ja to dobrze wiem. I mnie też nie trzeba, jeśli umrę. I jeżeli wyżyję — nie trzeba. Ja zbyt dużo zrozumiałem... Tylko mówić trudno... A pamiętacie — otworzył znowu oczy i zaraz zamknął — obiecaliście napisać?..

— Coś ty! — powiedział generał. — Będiesz żyć, Niefiodow. Zaraz ci pomogą.

— Ach, niczym wy mi nie pomożecie... Nikt. I nie wypytujcie mnie... Jeśli można, ja sobie tak po prostu poleżę?...

Wszyscy trzej stojący nad nim wyprostowali się. I generał nie wiedział, co jeszcze powiedzieć umierającemu, jak dodać mu otuchy. Cała jego monstrualna władza — jednego nad setkami tysięcy — była teraz bezsilna: nie mógł nie tylko pomóc chłopakowi wyżyć, lecz choćby zmniejszyć jego cierpień. Nawet takiej prostej rzeczy nie był w stanie teraz uczynić — odesłać go z powrotem, na przekór tej przeprawie, aby go dostarczono, gdzie trzeba, położono natychmiast na stół, i — być może — coś tam z nim zrobiono.

— Szestierikow — powiedział generał odciągając go nieco dalej.

— Sanitariusze winni zaraz tu przybyć, ale co oni tam wiedzą? Idź no, odszukaj siostrę, miała się przeprawić z batalionem. Trzeba mu zrobić opatrunek, bandaże przemokły, bez niej tylko napartaczymy. Może należałoby go obmyć, a może, jak go zmoczymy wodą — to mu tylko

zaszkodzimy. Ona wie.

Szestierikow kiwnął głową w milczeniu i zarzuciwszy automat na ramię skierował się ku urwisku.

Generał rozpiął skórzany płaszcz, zdjął czapkę i wolnym krokiem przemierzał ten mały obóz niemych. Nikt się już nie poruszał, i nie było kogo zapytać, jak się to wszystko odbyło. Bój był krótki, szybki, nawet godzina nie minęła od chwili, kiedy Niefiodow powiedział, że sit,¹ jeszcze zastanowi, czy powierzyć tę robotę artylerzystom, czy też wykonać ją samemu, zdając się na granaty i butelki. W jaki sposób z ośmiu „Ferdynandów” sześć zlikwidowano, można było wyraźnie wyczytać z nich samych, a dwa odeszły najpewniej dlatego, że zostały całkowicie

192

nie pozbawione osłony piechoty. I oto wszyscy leżą — siedemnastu swoich i zapewne tyluż Niemców; sądząc po naszywkach, była to obsługa techniczna, mechanicy, ślusarze-rusznikarze, którzy nie mieli obowiązku uczestniczyć w boju; u Niemców było to wszystko ściśle określone, jednakowoż w trudnej dla ich towarzyszy chwili sięgnęli po automaty i usiłovali obronić swe „pudełeczka”, swe „prymusy”. Oni również się nie wyróżniali, oni się starali. Cóż, i oni spełnili swój obowiązek, odpowiedzieli po żołniersku na wyzwanie losu, ale czy sami sobie odpowiedzieli, po co się tu znaleźli? Po co przybyli na obcą ziemię — i zginęli, ratując żelazne „pudełka”? I oto dosłownie stało się tak, jak w banalnym, zda się, Ludzie giną dla metalu.* Dwóm przynajmniej załogom starczyło rozumu, by wycofać się z tego szaleństwa.

— Wrócił — powiedział Donskoj całkiem blisko. Okazuje się, że

przez cały czas kroczył jak cień za generałem. — Po śmierć trzeba by cię posyłać, Szestierikow!

Szestierikow, wspiąwszy się na stromiznę, szedł i oglądał się gdzieś za siebie, na Dniepr. Nie spieszo mu było ani odezwać się, ani podejść bliżej. I generał w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego dłużej idzie ku niemu Szestierikow. Nagle usiadł na ziemi, zdjął but, zaczął przewijać onucę. Zapewne coś mu tam wpadło, kamyczek albo piasku się nasypało, ale czemuś to, uporawszy się z jednym butem, wziął się za drugi. Do obu od razu wpadło mu po kamyczku? I jeszcze 111 ugo, podskakując na jednej nodze naciągał but po bucie. Serce generała biło z coraz większą trwogą, a Szestierikow wciąż szedł i szedł i w żaden sposób nie mógł się przybliżyć.

Wreszcie podszedł i nie podnosząc oczu na generała splunął na bok.

— Co powiesz? — zapytał generał. — Czy batalion ląduje?

Szestierikow kiwnął głową w milczeniu.

— Gdzie siostra? Powinna być z nimi.

— Powinna, ale nie musi — powiedział Szestierikow i znowu splunął. Nigdy jeszcze nie pozwolił sobie na tak swobodne zachowanie. Wreszcie spojrzał generałowi w oczy. — Utonęła siostrzyczka, Fofka Iwanycz. Najważniejsza rzecz, że nikt nie widział jak. Patrzą, a tu już ona nie ma w łodzi. Widocznie dostała w głowę. Inaczej by zakrzyczała.

— Jak to tak? — zapytał generał. — Jak do tego dopuścili?

Liudi gibnut za mietai - cytat z rosyjskiego libretta opery Faust Gounoda.

193

— Przeprowadzenie — wyjaśnił Szestierikow.

Powiedział rzecz bezsensowną, ale wszystko wyjaśniającą. Generał patrzył na niego i czekał, co jeszcze powie. Być może, powie, że to jeszcze nie jest absolutnie pewne, że zaraz wszystko sprawdzą i zameldują — i okaże się, że zaszła pomyłka, ona była w drugiej łodzi...

— Nie ma wątpliwości — powiedział Szestierikow. — No, przynajmniej się nie męczyła...

— A skąd to wiesz?

Szestierikow tylko westchnął pokornie.

Generał, zostawiwszy go, poszedł ku urwisku. To samo uczucie ogarnęło go, jakie ciągnie nas, by popatrzeć na czyjąś świeżą mogiłę. A przecież jeszcze tak niedawno to było, jeszcze dźwięczał mu w uszach, nie zniekształcony upływem czasu, smutny, nocny szept: „...widzę, jak leżysz od razu po przeprawie, zupełnie bez ruchu, daleko nie zajdziesz...” I oto stał wysoko nad otchłanią, dokąd wciągnęła ją ciężka torba, z którą nie mogła się rozstać, a on był cały i mógł iść dalej. Tylko jedno spełniło się: „...ciebie już ze mną nie będzie”.

Ochryple głosy wdarły się do jego świadomości: „Trzymaj!.. Jeszcze raz! Trzymaj ją!” W dole, dosłownie pod nim, artylerzyści wciągali „czterdziestkę piątkę”. Pomagała im piechota. Ze dwudziestu ludzi obciążanych swą amunicją i bronią, gołymi rękoma opierając się o piasty kół, o ogon lawety, o tarczę, ktoś tam chwytając za żebra hamulca lufowego, chrypiąc z wysiłku, wciągało armatę na stromiznę. Pokonawszy metr czy półtora podkładali pod koła kamienie i odpoczywali, ocierali pot spod hełmów, poprawiali składki szyneli, trzymając się swojej „żegnaj ojczyzno!” i czemuś tam uśmiechając się do siebie. Spo-

strzegłszy się, po jakiejś chwili zabierali się znowu do dzieła. Było w tym wszystkim coś zapomnianego przez człowieka, coś z epoki jaskiniowej. „To jeszcze nic, drobiazg — pomyślał generał — a jak będziemy wciągać trzydziestotonowe czołgi?.. A wciągać będziemy". I trzeba było się spieszyć, zanim nie wyniuchali Niemcy, że „Ferdynandów" już nie ma, i nie skierowali ognia na ostrzelany brzeg. Cud to jakiś, że się nie połapali! Wreszcie znalazł dla siebie zajęcie: zrzucił swój skórzaną płaszcz — prosto na ziemię, wiedząc, że podniesie go Szestierikow, i jął zawijać rękawy koszuli. Dopóki na przyczółek nie wpelzną czołgi, nie można sobie powiedzieć: „Robota skończona", do przeprawy jeszcze nie doszło.

Tam, na wschodzie, dokąd biegło jego spojrzenie, dzień już się zaczął, ale słońce nie mogło w żaden sposób się przebić przez gęste, mgli-

194

nic obłoki. Jedyne krągła, płynna jasność wskazywała, gdzie się ono teraz znajduje. Patrzył długo, nie będąc w stanie ochłonać po tym wszystkim, co się wydarzyło tego ranka i co miało się jeszcze wydarzyć wraz z rozpoczynającym się dniem, i oczy mu łzawiły. Przetarł je rękoma, a kiedy spojrzał znowu, to ujrzał w obłokach prześwit, maciupeńkie jeziorko błękitu, dokąd słońce dotarło skrajem i natychmiast bryznęło złotym promykiem. Był cały zwrócony ku górze, ku zasepio-nemu sklepieniu nieba, lecz wiatr pędził obłoki i promień zawrócił w prześwicie pomiędzy nimi, w odtajanych miejscach błękitu, niczym ogromna strzałka zegara. Najpierw poszerzył się wachlarzowato, lecz wkrótce zaczął się zwężać, z każdą sekundą zmieniając barwę, aż stał

nie miedziano-czerwony. Niczym cienki, rażący miecz spadł na wodę, rozrząbał Dniepr na dwie części, i jasna, potyskująca dróżka przecinająca rzekę zapłonęła, przybrała czerwono-malinowy kolor. Po obu stronach dróżki rzeka była jeszcze ciemna, ale zdawało się, że i tam, pod ciemną zasłoną, była również czerwona i cała pokryła się parą, tak jak ilymi świeża, obfitująca w ciepłą krew, rana.

Rzeka krwi ciekła między brzegami i wszystko, co mogło płynąć, płynęło w tej krwi. Płynęli kawalerzyści, trzymając za uzdy konie, umieszczeni na siodłach tobołki z ubraniem i bronią. Płynęli artylerzyści na tratwach, wieźli swe „czterdziestki piątki” i ciężkie moździerze, upierając się nogami o mokrą nawierzchnię, rękoma zaś mocno trzymając swoje skarby, by ich nie utopić przy przechyłach. Płynęła piechota i huta w łodziach i na tratwach, na powiązanych w kiście beczkach, na kłach plażowych, na kłodach, na stertach desek, na zbitych ze sobą inwalidzkich kulach i po prostu wpław pchając przed sobą sękate polano lub nadmuchaną dętkę samochodową.

I płynęli gęsto — zderzając się z nimi — zabici, najczęściej twarzą i Id dołu, a karkiem ku niebu, i na plecach u wielu z nich wzdymał się pęcherz powietrza. Żywi odpychali ich, odsuwając od siebie wiosłami i bosakami, lufami automatów, i płynęli dalej.

Wszystko, co żywe — pstre, gwarne, niekończące się — zmierzało w i i /.akolu, czepiając się skrawka brzegu butami, kopytami, kołami, ogonkami gąsienic i peźło, peźło po stromiznach stoku, tam, ku niemu, - takim utęsknieniem dążąc do smętnego pola koniczyny z jego nie-IM >szczykami i spalonymi „Ferdynandami” — tworząc złowrogi, od-

pychający, lecz i piękny obraz, od którego nie mógł oderwać oczu.

Rozdział IV

Na Przedstaw!

Kobieta przechodziła przez drogę i przystanęła, usłyszawszy niedaleki, z gąszcza leśnej przesieki dochodzący warkot motoru. Zbliżał (i)it,1 pokryty brezentem „willis”, bez tabliczki rejestracyjnej i z zamaskowanymi granatowymi reflektorami, z białą lewą częścią zderzaka, a kobieta wiedziała z doświadczenia, że kierowcy frontowi nie mają głowy do przepisów i bardzo nie lubią hamować; szczególnie zaś nie lubi.(), kiedy ktoś przebiega im drogę, i to w dodatku w lesie, najroztropniej jest więc zastygnąć na miejscu i przeczekać. Tak też kobieta postąpiła: postawiła na asfalcie wiadra pełne grzybów. „Willis” przemknął obok i popędził dalej owionąwszy ją wilgotnym wiatrem i >.wadem benzyny. Przez mgnienie ukazało się na wpół ciemne jego wnętrze, i przez zabryzganą błotem przednią szybę zdążyła dojrzeć masywną postać człowieka siedzącego na przodzie — jego nachmu- i żoną twarz, wymiętoszoną czapkę polową, dwie duże gwiazdy na namienniku.

We wsi, gdzie mieszkała kobieta, zobaczyć generała poczytywano za dobry znak, choć rzadko kto potrafiłby wyjaśnić, na czym ów i loby znak polega. Jednakże widmo, które przemknęło, wprawiło ją w ilobry humor i czymś ten dzień wyróżniło spośród tysiąca innych. Ponieważ „willis” pędził w kierunku Moskwy, uznała, że generał jedzie lam widocznie po order i życzyła mu, by otrzymał najgłówniejszy ze wszystkich orderów, a z przyzwyczajenia pomyślała o nim jako o po-

lencjalnym mężu, z którym mieszkałaby w tej dalekiej Moskwie, gdy-
by jej wypadło tam się urodzić i gdyby zetknęły ich jakieś szczęśliwe
okoliczności. Ponieważ jednak Moskwy nie widziała i nie miała na-
dziei, że się w niej kiedykolwiek znajdzie, to i wyobrażenie o mężu-ge-
i terale nie zadomowiło się w jej świadomości, wypełniły ją inne rozmyślenia,
głównie o grzybach, które trzeba będzie zaraz przebrać, oczyścić, oddzielić

197

te, przeznaczone do gotowania dzisiaj, od tych, które trzeba zasolić —
na gorąco albo na zimno.

Z kolei generał również zwrócił uwagę na kobietę w szarej chu-
ście, w przeogromnym waciaku i gumowych butach, stojącą na pobo-
czu szosy z pełnymi wiadrami — wydało mu się to dobrym znakiem,
choć i on nie wiedział dokładnie, co by to oznaczało. Jego myśl o tej
kobiecie była też zwykłą myślą przejezdnego: że oto żyją i tutaj ludzie
swym mrówczym życiem, w którym znalazłoby się miejsce i dla niego
— ot, choćby jako męża tej kobiety, niestarej, i niemłodej, w sam raz
pasującej do jego wieku; zawieruszyłby się tu niczym ziarnko piasku
w przybrzeżnej mieliźnie, ukrył się przed wszystkimi zmartwieniami i
troskami, dokonując rzeczy, być może, naturalnej dla człowieka —
ucieczki od krzątania tego świata, od zbyt ciekawskich oczu bliźnich.
I być może nie przeżywałby wcale tych wszystkich niepokojów, gdyby
sądzone mu było urodzić się tutaj, w nietkniętym gąszczu leśnym. Zre-
szta wojna, która i dotąd dotarła, i odpłynęła, tak czy inaczej dosięgła-
by go i stąd wyciągnęła, poza tym nie leży w jego naturze —
ukrywanie się przed czymkolwiek...

...Jak przepowiadała mu ta, o której nadaremnie usiłował nie myśleć, nie odszedł daleko od przeprawy. Jego tymczasowe bytowanie na ustroniu, w rozwalonej stacyjce Spaso-Pieskowcy, o dwa kilometry od Dniepru, zakończyło się niespodziewanie i z miejsca, kiedy usłyszał żelazny warkot i w wyłomie ściany przepłynął pierścień wylotu lufy czołgu, a w ślad za tym wyłoniła się i zamarła wysoka wieża „KW”*. To bodajże Chruszczow zaprowadził modę, by wyżsi rangą jeździli wszędzie czołgami — prawdę powiedziawszy, nie było to pozbawione sensu: zwiększało możliwości przejazdu i zmniejszało konieczność znacznej ochrony. W czołgu tym przybył do niego Watutin — lubił bowiem zjawiać się niespodziewanie u swych podwładnych, by zastać wszystko takie, jakie jest w rzeczywistości. Nadaremnie Kobrisowowi wydawało się, że jeśli nie będzie niepokoił zwierzchników nowymi pomysłami, to wszystko jakoś tam się ułoży. Zapomniał swoje własne mądre powiedzenie o smacznej dziczyźnie: budzi zainteresowanie nie dlatego, że kogoś niepokoi, lecz dlatego, że jest smaczna.

KW — ciężki czołg rosyjski. Nazwa pochodzi od inicjałów Klima Woroszyłowa, komisarza obrony w latach trzydziestych.

198

Kobrisow, zapinając się pospiesznie, wyszedł na spotkanie. Dwódca frontu z widocznym wysiłkiem, z racji krępej budowy i otyłości, z trudem precyzyjnie się przez właz, ale zeskoczyć jak młodzieniec nie odważył się. Kobrisow pomógł mu zejść — za co otrzymał dobrą rnde:

— Jeździłbyś tak samo, bardzo to wygodne. Ale ty — gardzisz

moimi radami.

W ten sposób przypomniał, że Kobrisow nie zwrócił się do niego w przededniu przeprawy, lecz pospiesznie uprowadził swoje czołgi.

Kobrisow pochylił głowę, co mogło oznaczać zarówno przyznanie się do swego przewinienia, jak i to, że zwycięzców się nie osądza.

— Nie lubię duchoty — powiedział pojednawczo. — Lubię oddy-
(!u\ć czystym wiatkiem. — I dodał ni stąd, ni zowąd: — Armia rów-
nierz chce widzieć swego generała.

— A ja chcę ciebie widzieć — odparł Watutin z lekką zapalczywo-
*<ią w głosie. — Żywego i nie rannego.

Schron Kobrisowa — w pośpiechu wyrytą szczelinę pod oknami obejrzał krytycznie, zauważył, że jest zbyt blisko ściany i podczas liombardowania może się zawalić, nie mógł się też powstrzymać od innych uwag:

— Co się u was dzieje, generale Kobrisow? Żadnego ubezpiecze-
111.1 . Od samej przeprawy jadę i nikt nie zatrzymał mojego czołgu.

— Czyli, że wiedzieli, kto w czołgu jedzie.

— Ach, tak...

— No tak, domyślili się. A że mojej ochrony nie zauważyliście, za
In im, za waszym pozwoleniem, wyrażę swoją wdzięczność. Umieją
i»iv maskować i dowództwa nie niepokoją bez potrzeby.

Watutin popatrzył na niego z lekkim uśmieszkiem, ledwie ukrywającym irytację.

— Z ciebie, Kobrisow, chłopek-roztropek. Dobra, prowadź do swoich apartamentów, zobaczę, jak ci się tu mieszka.

Kobrisow zaprowadził go na pierwsze piętro, do najdalszego narożnego pokoiku z wywieszką na drzwiach „Pokój matki i dziecka”; Szentierikow postawił tu łóżko, biurko i taboret. Inne meble już by się nie /mieściły, toteż gospodarz usiadł na łóżku, gość zaś osiodłał taboret — nie zdejmując skórzanego płaszcza, czym podkreślał pośpiech i krótkość swej wizyty.

Nie można powiedzieć, by pomieszczenie zajmowane przez Kobrisowa przypadło mu do gustu.

199

— Ty coś jakoś...nazbyt już skromnie. Po prostu jak jakiś student mieszkasz... Przy sztabie byłoby weselej...

— Przecież mój sztab nie cały się jeszcze przeprowadził. Jak tylko się okopie — tu, niedaleko, we wsi — to się przeprowadzę.

— Aha... Bo już krążą pogłoski, że z ludźmi nie potrafisz się zżyć.

— Pogłoski — powiedział Kobrisow.

Watutin długo patrzył na niego niebieskimi oczami, z lekką irytacją zagryzając wargi. Podczas tego przyjazdu z większą uwagą wpatrywał się w twarz Kobrisowa, pragnąc widocznie wyczytać w niej coś nowego, co się jeszcze nie ujawniło, lub czego wcześniej nie zauważał.

— Chcesz znać moją opinię? — zapytał.

— Zamieniam się w słuch, Mikołaju Fiodorowiczu.

— Z przeprowadzą, w zasadzie, udało ci się. Prawie nie napotkałeś na opór. Przeciwnik nie miał tu rezerw. Co, nawiasem mówiąc, zgodne było z naszą wstępną oceną. Nie znaczy to, że nie ma w tym twojej zasługi — choćby w doborze miejsca. A jednak jeszcze dwie przyczyny

dały o sobie znać: po pierwsze, że Sibiński przyczółek, do którego odnosisz się krytycznie, zatrzymuje znaczne siły Steinera. A po drugie — być może — jakąś rolę odegrało to, że nie od razu do tej przeprawy przystąpiłeś. On już bodajże uważał, że my tutaj niczego nie zaryzykujemy. A my zaryzykowaliśmy — pozwoliliśmy ci wziąć przyczółek.

No, twoja w tym też zasługa — przypomniałeś, nalegałeś...

Kobrisow dwukrotnie z wyrazem uległości pochylił głowę, nie zgadzając się ani z pierwszą, ani z drugą przyczyną.

— Podejrzana to rzecz — powiedział Watutin — kiedy się zgadzasz. A jednak zagadkowy z ciebie chłop, Fotiju... No, cóż... Bóg z tobą. Nie po to na promie do ciebie się przeprowiałem, żeby cię o zgodę pytać...

„To po coś się przeprowiał?” — pomyślał Kobrisow.

— A po to — ciągnął dalej Watutin — żeby ci powiedzieć: musisz się określić, Kobrisow. Określić swoje stosunki z sąsiadami. Przeprowiłeś się — i już łypiesz okiem na Predstawl. Twoja armia już prawym skrzydłem rwie się do przodu i na rozkaz „Marsz!” czeka. Takeśmy wszyscy od razu pomyśleli. Nie będę cię egzaminował, jak smarkacza, wypytywał, jakie masz dalsze plany. Tylko o Myriatinie ty poważnie nie myślisz — co, nawiasem mówiąc, nie byłoby od rzeczy. Dla ciebie to błahostka. A szkoda, przeciwnik jeszcze nie wykitował, może właśnie tutaj podciągnąć swoje rezerwy. Na nic nie nalegam, generale Ko-

200

iii

I >risow. To znaczy tymczasem nie nalegam. Ale nadejdzie taka chwila,

kiedy to miasteczko będą ci wytykać...

— A cóż wy myślicie, że ja ni stąd, ni zowąd wezmę Predsławi? Z moimi słabymi siłami?

— Nie bądź taki skromny — powiedział Watutin. — Ja ciebie cenię, cenilem w każdym razie dotychczas, za to, że nie liczebnością staisz się wojować, a jakąś taką umiejętnością. Ale żadne „nagle” z całą pewnością ci nie wyjdzie. Pókiś stał sobie spokojnie, gdzie ci los miejsce wyznaczył, nikt się nie denerwował. A ty — przyczótek bierziesz....Tak, że „nagle” samemu ci nie wyjdzie. Ale do swojej części... znacznej części w zwycięstwie ostatecznym — możesz teraz pretendoować. Za pomyślną przeprawę. Za zuchwałość. I w ogóle — pora, byś Nic bardziej zbliżył do ludzi, zainteresował ich sprawami. Mógłbyś zostać ulubieńcem frontu, tak samo jak Czarnowski. Pomyśl o tym. I nie skąp podziękowań sąsiadom. Za ich udział. Za poczucie wspólnoty... czy jak tam? W ogóle, przejawiaj solidarność. Dobrze ci radzę. Nie jako zwierzchnik — jako przyjaciel.

— Dziękuję...

— Na zdrowie. Starym zwyczajem...

Na większą szczerłość by się zdobyli, gdyby sięgnęli do kieliszka, jednak w tym wypadku nie wchodziło to w grę, jako że jedna z osób, mianowicie Watutin, był niepijący. Spośród generałów, jakich tylko znał Kobrisow, ten wyróżniał się nie tylko wyjątkową pracowitością, Ircz i tą dziwną cechą. Za to właśnie uchodził za „inteligenta”. Nie był z niego wprawdzie zaprzysiężony abstynent, mógł przy okazji wychylić kieliszek, ale do szczerłości go to nie usposabiło bardziej niżli

„napój dowódców” — herbata.

A jednak Kobrisow mógł ocenić przychylność doń dowództwa, kiedy zniżonym głosem wyrzekło ze smutkiem:

— Wiesz przecież, Fotiju, my ze swoimi więcej wojujemy niż z Niemcami. Gdybyśmy ze swoimi" nie wojowali, dawno już bylibyśmy w Berlinie... Słowami tymi, podkreślając intonacją i smutną mimiką twarzy, iż stanowią one szczyt zaufania, zakończył tę rozmowę. Odpowiedzieć na nie można było jedynie długim westchnieniem i niewyraźnymi bąknięciami. A ile jeszcze pytań chciałby zadać Kobrisow, aż świerbił język: „Zarzucono mi, że nie działam na wielką skalę. No i cóż, nie zdążyłem nawet nabrać rozmachu, nawet się nie zamierzyłem — i co? Nie mam prawa do takiego działania, wszelkie prawa — ma Tierieszczenko?” Wolał jednak — wyrazić wdzięczność. I chyba

202

jego wdzięczność nie wzbudziła podejrzeń Watutina. Czyli, że zachował się jak smakowita dziczyzna.

Natychmiast po odjeździe dowódcy frontu generał Kobrisow wjął swoją mapę z pierwotnym planem, który naszkicował od razu po przeprawie. Plan zdążył się zdezaktualizować: już nie jeden, a dwa przyczółki miała jego armia na Prawobrzeżu, połączone wąskim, półkilometrowym pasemkiem brzegu. Pomiędzy nim wbijał się klinem — „świnią” — przedni skraj niemieckiej obrony; niemal w centrum tego trójkątnego występu znajdował się właśnie Myriatin. I pierwszą myślą Kobrisowa było — uderzyć z dwóch stron w podstawę tego występu. Dwa głębokie wbicia się klinem, tak zwrócone ostrzami ku sobie, żeby

gdzieś tam za Myriatinem można było się domyśleć przecięcia osi, stworzyłyby przesłanki do okrążenia. Myśl była tak prosta, że aż prymitywna, ale właśnie dlatego spodobała się Kobrisowowi. W pełni potwierdzała znany imperatyw Hindenburga*: „Największe powodzenie zapewnia nam prostota zamysłu”. Kryła się tu, co prawda, i komplikacja związana z przekazaniem inicjatywy operacyjnej przeciwnikowi; trzeba byłoby czekać na jego odpowiedź, ale generał Kobrisow nie martwił się tym zbyt i mówił sam do siebie mrugając porozumiewawczo: „Poczekamy, dokąd to się spieszyć...” Jego zamysł, pomimo zalet prostoty, uspokoiłby w dodatku tych, dla których należało stworzyć pozory operacji. Kliny te, wbite w linię obrony przeciwnika, choćby się do tego tylko ograniczyły, wyglądały znacznie dynamiczniej niżli front ciągły; Niemcom zagrażały „kotłem”, sąsiedzi mogli się przekonać: człowiek pochłonięty jest bez reszty operacją mającą stanowczo określony cel i przeprowadzoną z rozmachem, o jakim Przedstawlu może jeszcze myśleć...

Nakreśliwszy te dwie strzały, przystąpił do rozkładania pasjansu. Niezmiennie bolesne zajęcie generała — coś wykrawać z drogich mu i tak niezbędnych sił oraz środków, których zawsze brak! Brak ludzi, dział, czołgów, samolotów, pocisków, paliwa, wódki, żarcia, diabła, czorta. (I, oczywiście, zawsze brakuje bab!..) Tu już nie chodziło o ilość dywizji, lecz o pułki; rozpoznane siły przeciwnika niczego więcej się nie domagały, ale szkoda było i pułków! Z bólem w sercu przeznaczył na każde wbicie się klinem po trzy specjalne pułki piechoty, wzmoc-

* Hindenburg Paul von Benckendorf (1847-1934) — niemiecki polityk i wojskowy;

pogromca armii rosyjskiej w I wojnie światowej, prezydent Republiki Weimarskiej.

202

nione dywizjonami artylerii przeciwpancernej. Chrząknąwszy przypomniał sobie, że skąpiec płaci podwójnie, i dodał po batalionie karabinów maszynowych. Zanotował też: poprosić Gałagana o przynajmniej ze dwie eskadry szturmowe. Co do czołgów — ręka zadrżała: żadnego z sześćdziesięciu dwóch nie mógł oddać. „Wypchaj się! — rzekł do tego nieznanego, który ostrzył sobie na nie zęby, wciąż tylko żądał i żądał... I za to, co dostajesz, podziękuj!”

Przestrzegania szczególnej tajemnicy nie domagał się, przeciwnie — dowódcom pułków polecono nie tać przygotowań. Polecił im nawet nieco pohłasować silnikami czołgów, pozgrzytać, postrzelać, a następnie niezauważalnie wyprowadzić je i już bezpowrotnie skierować na Predsław! Była nadzieja, że obejdzie się bez okrążenia, nadto oczywiste jest jego nieodwracalne zagrożenie, i każdy będący przy zdrowych zmysłach powinien zawczasu dać drapak z „kotła”.

Kiedy jednak jego powyginane strzały wcieliły się w rzeczywistość, kiedy sześć pułków, tocząc nie nadmiernie krwawe boje, a miejscami, w lasach, w ogóle bez walk, zagłębiło się w podstawę Myriatyńskiego występu, nagle ujawniło się to dziwne zachowanie przeciwnika: nie wykazał wcale namiętnego pragnienia wydostania się z „kotła”. Jakby w ogóle nie wziął poważnie zagrażającego mu okrążenia. Wywiad powietrzny nie zauważył żadnych oznak ewakuacji ani przygotowań do niej. Dowódcy pułków donosili o wściekłej obronie, każdy kilometr pochłaniał coraz więcej wysiłku i ofiar. Takiej obrotowości — i

I. ikiej nieostrożności — nie oczekiwano od Niemców po łuku Kur-
skim. Cały czas trwożył się Kobrisow, że kliny diabli wezmą i że po-
wtórzy się sytuacja jak na Sibieżu. I nie będzie już mowy o tym, że
Myriatin — dla ciebie, i Predsławl, ale albo to, albo drugie. A najpew-
niej — to. Zaczną od niego żądać, i oczekiwać, by wyszedł z godnością
/. tej awantury, w którą się wplątał, albo też by kontynuował swoją
operację do zwycięskiego końca, on zaś będzie szafować wojskami, nie
widząc temu końca, ani dna w owej nienasyconej topieli, i cała nadzieja
w tym, że zwycięstwo zdobędzie ostatni rzucony do walki batalion...
Głowił się nad tym, dlaczego Niemcy nagle wrzepili się w to za-
lajdane miasteczko? Co kryje się za tym, za pozwoleniem, punktem
oporu. Jakież zamysł operacyjny na nim się opiera? A może była to jesz-
cze jedna pułapka von Steinera, ażeby ugrzęźli tu Rosjanie — i przesta-
li i myśleć o ataku na Predsławl? Czerwoną szmatę rzucili przed bykiem
- można ją tylko deptać z wściekłości. Teraz Kobrisowowi wydawało
się, że już wówczas było coś groźnego w podejrzanej prostocie zamy-

203

ślu. Kryła się w tym jakaś przewrotność — niczym w perpetuum mobile,
które okazuje się absurdem inżynieryjnym: nie tylko nie działa, lecz
nawet z trudem wydobywa się z inercji bezruchu. Kładł przed sobą
fotografię feldmarszałka jadącego na czołgu po nadwołżańskim stepie,
wysuniętego po pierś z włazu i wpatrywał się w wypielęgowaną,
okrągłą twarz pod czarną czapką polową, z wyniosłym wykrzywie-
niem ust, wąsikami w kształcie „łopatki" i błyszczącym w oku mono-
klem. Wąsiki pod Fiihlera i monokl w połączeniu z wieżą czołgu nie

świadczyły o nadmiernie oryginalnej osobowości, ale był to przecież rzeczywiście niezły wojak. „Cóżes mi przygotował, bracie Erichu?” — zapytywał Kobrisow i w tej samej chwili ogarniała go wątpliwość: tak, nie jest wykluczone, że ni cholery nie przygotował brat Erich, nie mógł przecież przewidzieć, że nastąpi rozdwojenie przyczółka, że przyjedzie Watutin ze swymi radami, że Kobrisow sam, jeszcze przedtem, na wszelki wypadek, przystąpi do projektowania swego planu. Tak się po prostu złożyło. Ale skąd ta zaciekłość? Co ich tam trzyma, tych nie myślących o jakimkolwiek odwrocie?

W końcu dotarło do niego, co go tak niepokoiło. Znał liczebność wojsk przeciwnika, ale nie wiedział nic o ich składzie. A mogły przecież być w Myriatinie jednostki SS, które ze względów prestiżowych nie chciały się wycofać. I na dezertków z nich nie można było liczyć, jako że uczestniczyły one w ekspedycjach karnych. I wtedy pojawiła się myśl, iż potrzebny jest na gwałt jakiś jeniec. Skoro zaś chodziło przede wszystkim o stan ducha armii, to było sprawą obojętną, jakiej będzie rangi. Prawdę mówiąc pierwszy lepszy taborowy ciura o duchu tym mógł nawet znacznie więcej powiedzieć.

I dosłownie po godzinie od chwili, kiedy adiutant Donskoj zamówił „języka” w oddziale zwiadowczym sztabu, powiadomiono go, że mają takiego, świeżutkiego, wziętego niedaleko od naszych pozycji, twierdzącego, iż zamierzał się właśnie poddać. Nawiasem mówiąc, jeszcze go nie zaczęto przesłuchiwać.

— No i dobrze, że go jeszcze nie przesłuchano, takiego mi właśnie potrzeba — powiedział generał. — Przesłuchany „język” będzie tylko

o tym myśleć, jakby nie rozminąć się z pierwotną wersją. Sprowadźcie go od razu do mnie, z tłumaczem.

Dowódca plutonu zwiadu odparł, jakoś dziwnie skrępowany, że tłumacz nie będzie potrzebny.

— A co — zapytał generał — on po rosyjsku gada?

— Tylko po rosyjsku, innego nie zna. Tak mówi.

204

— Nie rozumiem... Tutejszy czy co? Albo jakiś dezterter?

— Nie z tutejszych, towarzyszu dowódco. I nie dezterter. Z jego słów — jakby nasz. Ale głowy nie dam.

Nic nie zapowiadało jakiejś niespodzianki, kiedy jeńca doprowadzono i generał poszedł do drugiego skrzydła stacyjki, do pokoju, z którego uprząnięto gruz, a nawet wstawiono szyby, i gdzie przyjmował podwładnych. Na jego widok poderwał się niski, krępy, kragłogłowy chłopak w pstrym kombinezonie, wymienił nazwisko ni to Łobanowa, ni to Baranowa, generał nie dosłyszał. Jeniec był bardzo spięty i z tego też zapewne powodu gwałtownie się jąkał.

Spod okna wstał ktoś jeszcze, oświetlony z tyłu, powiedział nieco żartobliwym tonem:

— Wciąż wszechobecny major Swietłokow. Można? Nie będę przeszkadzać. — I zanim generał zdążył odpowiedzieć, wyjaśnił siadając: — Jeniec jest bądź co bądź mój, należy do naszego wydziału.

Generał sprostował, że SMIERSZ i on interesują się jeńcem z różnych powodów, więc może lepiej byłoby przesłuchiwać go osobno, jednak nie bardzo wiedział, jak się do Swietłokowa zwracać: na „ty”

czy na „wy”. Tak się przyjęło w armii, że do podwładnych mówiono po ojcowsku na „ty”, ci zaś, po synowsku zwracali się na „wy” — w zależności od rangi, a nie od wieku. Tak rozmawiał z Watutinem, znacznie od niego młodszym. Z majorem Swietłokowem też wyszło jakoś na „wy”, ale ton rozmowy był żartobliwy, więc można to było potraktować za kpinę. Poważnej rozmowy jak dotąd nie prowadzili, w dodatku generał dobrze wiedział, w jakim stopniu major ten jemu podlega. Mówiono o podwójnej zależności SMIERSZ-a, o „ściśłym kontakcie” z Urzędem Bezpieczeństwa, ale chyba tak naprawdę uznawali oni zwierzchnictwo tylko swego ministra, Abakumowa.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedział posępnie generał i rozsierdził się na samego siebie — za to, że Swietłokow nie czekał wcale na jego przyzwolenie. Pobębniwszy palcami po stoliku, przy którym usiadł naprzeciwko jeńca, generał uspokoił się i zadał nieoczekiwane, lecz nader naturalne w armii pytanie: — Nakarmili cię? Jeniec znowu się poderwał, patrząc zdezorientowany na Swietłokowa. I Swietłokow, który dopiero co obiecał się nie wtrącać, odpowiedział za niego:

— Towarzysz dowódca raczy się nie niepokoić. Oni tam najedli się do syta.

— Gdzie „tam”?

205

— Tam, skąd przybyli. U przeciwnika. Nie minęły dwie godziny. Jeniec otworzył usta, by coś powiedzieć, ale kiwnął tylko potakująco.

— Gadaj — powiedział generał — jak się dostałeś do niewoli. Jakżeś stamtąd uciekł.

Na Swietłookowa nie patrzył, i jeniec — wcielenie skupienia i zwierzęcego napięcia — zauważył to, zaczął mówić nie jękając się, a co najważniejsze, z widocznym pragnieniem wypowiedzenia się.

Jego opowieść nawet generała zaskoczyła, znającego przecież swoich, niezbyt skrupulatnych sąsiadów, których awanturnicza decyzja przepełniła brzegi krwawej czaszy Sibińskiego przyczółka. Na domiar złego kolejnym niefortunnym posunięciem był desant powietrzny i to tak zmasowany, jakiego dotychczas nie znała historia wojen. Ogólnej liczby jednostek jeniec oczywiście nie znał, ale swoją powietrzno-desantową brygadę nazwał piątą, z czego generał mógł wywnioskować, nie popełniając większego błędu, że pewnie pięć uczestniczyło w akcji — ulubiona cyfra durniów... Do tej potężnej operacji dodano jeszcze subtelny ideał nocnego desantu „pod osłoną ciemności” — jakby Niemcom sprawiało szczególną trudność rozproszyć tę osłonę reflektorami i rakietami oświetlającymi oraz wiszącymi bombami-lampionami! No i stąd wzięły się wszystkie nieszczęścia. Postawiono rzucić pięć brygad w ciągu jednej, najwyżej dwóch nocy, nie mając lotnisk bliżej niż w odległości dwustu kilometrów od Dniepru, nie mając też wystarczającej ilości samolotów. Jakiś mieszczący czterdzieści osób LI-2 lub też holownik szybowców musiałby w ciągu nocy odbyć kilka lotów, kilka startów, lądowań... Tak się spieszyli, że zadanie postawiono przed skoczkami na godzinę przed startem, a obmyślano je w locie. Tak się spieszyli, że załogi składały się z lotników nic

mających doświadczenia w nocnych lotach: utrzymać się na niskiej wysokości wcale nie usiłowali, od ognia dział przeciwlotniczych i nocnych myśliwców unosili się coraz wyżej i zwiększali szybkość, a lud/.i rozrzucali po ogromnej i niezbadanej powierzchni. Spadali w wodę Dniepru — i wielu utonęło, nie potrafiąc jeszcze w powietrzu uwolnić się od pętli z lin. Spadali oślepieni przez reflektory, na niemieckie szyki bojowe, spadali wprost na trasy ognia przeciwlotniczego, na wielokrotnie przewidzianych, płonących czaszach spadochronów. Szc/.e ściarzy znosił zbawienny wiatr ku lewemu, swojemu, brzegowi, i już ani chybi swoje podejrzewali ich o dezercję, co nie jest sprawą trudną dla skoczka, którego nauczono, jak spadać i jak zachować się w chwili znosu. C 'i

206

zaś, co lądowali jednak w wyznaczonym miejscu, winni byli je oznaczyć ogniskami i raketami, ale wnet Niemcy z oddziałów przeciwdesantowych zaczęli sami rozpalać ogniska i wystrzeliwać swoje rakiety. Innej łączności nie było: z obawy, by radiotelegrafiści nie wpadli w łapy wroga z tajnymi kodami radiowymi, postanowiono nie podawać ich aż do momentu lądowania, i kody te oraz sygnały wywoławcze leciały osobno, w innych samolotach, na ziemi zaś nie było im sądzone połączyć się z bezużytecznymi radiostacjami, które nadawały się tylko do zniszczenia i wyrzucenia.

O tym właśnie opowiadał skoczek-radiotelegrafista, zdumiony ową bezmyślnością, której bezmiar jeszcze nie całkiem wywietrzył mu z głowy.

— U nas wszystkie kody były pod kluczem, a głosem... — toż mi-

krofonu nie mam, zakazano brać ze sobą — mówił z ciągle jeszcze świeżą, nie przemijającą rozpaczą. — No, co..., no, ja mogę jawnie: tutaj, tego, nie zrzucacie ludzi, tutaj pełno zasadzek dokoła... Ale kto mi uwierzy, skoro nie mam danych radiowych, nie znam kodów, sygnałów rozpoznawczych? Dowódca batalionu ma wszystko, ale gdzież on jest, ten dowódca?

— Rzeczywiście — podchwycił major Swietłokow — kto ci uwierzy. Nie mogłeś sam wszystkiego widzieć. A może ktoś ci o tym później opowiadał?

Desantowiec nie zareagował na te słowa i znowu zamknął się w sobie. Tymczasem widać było, że to człowiek bynajmniej nie bojaźliwy, który nie raz wpadał w opaty i znajdował w nich urok oraz sens życia, z tych, co to umieją i lubią wojować. Było coś zwierzęcego w jego silnej, wytrenowanej postaci, nieokieznana kocia siła i zręczność, które budziły sympatię generała i młodzieńcze pragnienie zmierzenia się z nim, była też, zapewne, przedtem dumna postawa człowieka cenionego przez dowódców i znającego swą wartość, nawykłego do wyrażania się nie przebierając w słowach. Ale, widać, tym razem doznał tego, co przewyższyło miarę jego odwagi i złamało ją, co — być może — pozostawi niezatarty, przerażający ślad na całe życie.

— Tak — powiedział generał — radiostację rozwaliłeś. I co dalej?

Niespodziewanie dla niego skoczek odpowiedział nie od razu, a utkwiał wzrok w podłogę i chwytając się obiema rękoma za brzeg stołu, wyrzekł z wysiłkiem:

— Nie rozwaliłem, towarzyszu dowódco. No bo jak to wygląda-

li)? Dopóki padałem — najadłem się strachu — jak sobie przypomnę,

207

to mi się niedobrze robi. A wylądowałem — całkiem nieźle — na polance, nie na drzewach. Ręce, nogi całe, nie skaleczyłem się nic a nic. I ciągnęło mnie niedługo, czaszę spadochronu zwinąłem raz-dwa. I jakby dokoła nikogo nie ma, można przyjść do siebie. No i uruchomiłem radiostację — żeby się choć cokolwiek dowiedzieć, słuchawki założyłem, przystępuję do roboty. I nie usłyszałem, jak z tyłu podkradli się, było ich z pięciu. Nagle zrywają mi słuchawki z głowy i w gębę — gałęziami: Hiinde hoch! Nożyka nawet nie zdążyłem wyciągnąć.

— I automat trzeba było oddać — powiedział major Swietlookow.

— Automat zabrali — powiedział spadochroniarz. — Jak tylko rozprostowałem się — butem wyrznęli w szczękę...

Pokazał ręką, gdzie go wyrznęli, w tym miejscu widniał liliowy siniak. A nieznaczny jego uśmiezek świadczył o tym, że dostać po mordzie, choćby i butem, to nie taka już dla niego tragedia. Major Swietlookow spojrzął z boku i pokiwał głową.

W jakim momencie, którego nie uchwycił generał, chłopak zaczął działać na swoją zgubę? Czy kiedy ulegając jego budzącemu zaufanie tonowi, albo po prostu nie ośmielając się oszukiwać dowódcy, zaczął mówić prawdę — że nie rozwalił radiostacji, zgodnie z rozkazem, nie ostrzeliwał się do ostatniego naboju, nie dźgnął wroga finką, nie gryzł zębami? Tak, dla „smierszowca” były to wystarczające powody do wzmożenia czujności. Ale rzecz w tym, że on uczynił to już znacznie wcześniej — kiedy tamten mówił w ogóle o desancie, o którym opo-

wiadać masie żołnierskiej nie przystoi, jest nawet nie do pomyślenia, bowiem wygląda to na oszczerstwo pod adresem dowództwa, na złośliwą propagandę antyradziecką. Jakże często ludzie ponoszą odpowiedzialność za to tylko, że nie mogą nie opowiedzieć o grzechach popełnionych przez innych, a ci inni z taką ochotą przerzucają na nich swe własne winy! Pozostaje tylko sprawa znalezienia odpowiedniego sformułowania. W istocie za każdym oskarżeniem natury politycznej krył się zawsze jakiś interes osobisty — i niezmiennie — troska o własną skórę? Ach, ci mistrzowie osłaniania siebie przed Naczelnym, wyłudzenia dla siebie nagród i wychodzenia z każdego niedołęstwa — z honorem: „W toku operacji żołnierze przejawili masowe bohaterstwo, męstwo i niezłomność”. I to wszystko jest czystą prawdą, ktoś tam przejawiał..., sformował grupę, oddział, stawiał opór. A wszyscy inni będą już na nim budować swoje legendy. Tylko ten chłopak nie zatroszczył się o swoją legendę. A więc był stracony, skazany już w tym momencie,

208

kiedy skoczył w ciemną noc, a być może jeszcze wcześniej, kiedy wchodził po trapie do samolotu.

— A co się stało z tymi, co się ostrzeliwali? — zapytał generał. —

Udało im się jakąś obronę zorganizować?

— Ja, kiedy mnie wieźli, widziałem — wieszali ich na pętlach z liny. Na ich własnych linach. No, zabawę sobie robili. Niektórych ciężko rannych albo z połamanymi nogami — zwalili na kupę, chrustem przywalili i podpalili. Krzyk był straszny. W całym lesie. I czuć było spalonym mięsem.

— A ciebie, znaczy się, wieźli — powiedział Swietłokow.

— A mnie wieźli — powtórzył desantowiec. I nagle wybuchnął.

— A co, ja ich p-p-prosiłem, żeby mnie za-zawieźli, cz-czy co? S-sprze-
dałem się im, co? S-służyć im o-o-obiecałem? Lepiej gdyby mnie t-też
po-powiesili? Albo s-s-spalili? P-p-powiedzcie już wyraźnie!

— To ci powiedzą — odpowiedział major Swietłokow. — A co
jest dla ciebie lepsze, a co gorsze — o tym sam zdecydujesz. — I jakby
się spostrzegłszy, dodał: — Przepraszam, towarzyszu dowódco. Chy-
ba przeszkadzam?

„Nie chyba, a na pewno przeszkadzasz!” — miał ochotę od-
szczeknąć generał. Skoro jednak dopuścił do pierwszych pytań i replik
Swietłokowa, czemuż miałby sprzeciwić się ni stąd, ni zowąd tej
właśnie? Przeciwnika zatrzymuje się na dalekim przedpolu, a na bliż-
szym — czy to się jeszcze uda?

Z tą samą ufnością w głosie i jakby nie słysząc Swietłokowa — co
wydawało mu się w tym momencie najlepszą taktyką — generał zno-
wu zwrócił się do desantowca:

— A dokąd cię zawieźli?

— Do miasta zawieźli.

— Do jakiego?

Spadochroniarz potarł czoło wierzchem dłoni, jakby z trudem
wspominając.

— Do tego... Do Myriatina.

...Jak sobie teraz przypominał generał, przy dźwięku tej nazwy
poczuł, jak zapłonęła mu twarz i żar przeszył całe ciało — z przeczucia,

iż za chwilę ujawniona zostanie tajemnica, którą powinien był znać, nim ją kreślić swoje kliny i rozkładać pasjans. I kto tu zawinił, jeśli nie on sam, że wywiad tej tajemnicy mu nie ujawnił? On przecież nie stawiał przed wywiadem pytania, co to za ludzie bronią tego miasteczka, choć i kołatała mu się po głowie myśl o duchu armii.

209

II

— Dlaczego do Myriatina? — zapytał. — Dlaczego?

Żołnierz spojrział na niego spode łba ze zdziwieniem.

— Tam są przecież Rosjanie. — powiedział. — Rosjanie.

I generał wyraźnie poczuł na swej zaczerwienionej twarzy jego przytłaczające spojrzenia i Swietłokowa.

— Co, jeńców tam zapędzili? Obóz koncentracyjny? — zapytał w oszołomieniu, gdzieś na obrzeżu świadomości znając odpowiedź, ale usiłując ją odpędzić, zakłając, żeby prawdą okazało się to, o co pytał.

Skoczek pokręcił głową.

— Jakoś nie widziałem, żeby ich pod eskortą trzymali. Całkiem nawet są swobodni. Sami bataliony sformowali, sami na front wyruszyli, nikt ich nie zmuszał. I na mnie też nie nazbyt naciskali. Powiedzieli: „No, skoroś Rosjanin, to niech się Rosjanie tobą zajmą. I bądź wdzięczny, że nie do chochłów cię wieziemy, do samostijników, już oni by ci przyjaźń narodów wyrznęli na brzuchu. Albo gdzieś niżej”.

— Powiadasz, że formowali bataliony. A ile ich było tych batalionów, choćby w przybliżeniu?

— Podobno, mówili, dziesięć czy jedenaście już wojuje. A ten, co

w mieście się formował, do którego wcisnąć mnie chcieli, też był już prawie skompletowany, i broń im rozdali, tylko mundurów jeszcze nie dowieźli. Byli — kto w czym dał drapaka. Niektórzy po cywilnemu — to ci, co z miejscowych doszli.

— A mundury jakie? Niemieckie?

Pytanie tak zdumiało przesłuchiwanego, że nie zdobył się nawet na odpowiedź. I to już było odpowiedzią.

— Ja nie wkładałem. — powiedział po chwili milczenia. — Nie włożę, mówię, choćbyście mieli postawić pod mur. No, ale też nie nalegali. „Pożyjesz z nami, rozejrzysz się. Może się rozmyślisz...”

— Kto nimi dowodzi, nie słyszałeś? — zapytał generał. Spodziewał się usłyszeć o Własowie.

— Jak to kto? — powiedział desantowiec. — Niemcy. Dowódcami batalionów są sami Niemcy. I ich zastępcami — też.

— A oni co, po rosyjsku mówią?

Żołnierz znowu wzruszył ramionami.

— No, może znają z dziesięć rozkazów. Albo to dużo trzeba Iwanowi?

— A nad tymi Niemcami — kto?

— Inni Niemcy.

— A jeszcze wyżej? Jakiś generał?

210

— Generała nie widziałem, ale chyba też jakiś fryc. Raz, kiedy byliśmy już na pozycjach, oberst przyjechał na inspekcję. Po naszymu pułkownik. Coś tam poszczekał niezrozumiale, nie wiadomo — wy-

myślał, czy na odwrót, chwalił.

— Znaczy się, wojują, powiadasz — rzekł generał. — A sytuację znają? Że okrążenie im się przygotowuje?

— Wiedzą. Mówią o tym.

— To dlaczego nie odchodzą?

Desantowiec znowu wzruszył ramionami. Jakby mu podskakiwały — widać nerwy miał porządnie rozklekotane.

— Toż rozkazu nie było... Jak odchodzić? Zobowiązali się rozkazy wykonywać, skoro mundur włożyli, inaczej — erschiessen — rozstrzał.

Jak to u Niemców. Do tyłu — ani kroku!

Generał chciał zapytać o oddziały zaporowe, o których była mowa na pogadankach politycznych, ale spostrzegł się, że takie pytanie może być niebezpieczne dla desantowca, a ściślej, odpowiedź na nie, jeśli okaże się negatywną.

— Czyli że czekają na rozkaz, a tego ciągle nie ma?

— Kiedy odchodziłem, wszyscy czekali — że już-już. Ale wygląda na to, że zapomnieli o nich — gdzieś tam, na samej górze...

Oto na czym polegała — i jakże prosta! — cała „pułapka” zastawiona przez brata Ericha. I nie mogło to przyjść do głowy, chociaż o kilku „zapomnianych” słyszało się. Zapominano o kompaniach i batalionach, zapominano o dywizjach i korpusach, o całej armii zapomniano w „kotle” koło wsi Miasnoj Bor w pobliżu rzeki Wołchow — o tej właśnie 2. Szturmowej, którą wypadło wyciągać stamtąd Własowowi. W panice przed groźącym okrążeniem zwiewali w sztabowych „willisach”, zapominali o wydaniu rozkazu batalionowi osłony, aby i on wy-

cofał się. Natomiast nie zapominali o tym, by rzucić do boju nawet poczet sztandarowy liczący raptem trzech ludzi: chorążego i asystentów. Nie zapomnieli w jednej z jego dywizji wysłać pod ostrzał chodzących rannych z batalionu medyczno-sanitarnego — w szlafrokach i kalesonach, nie troszcząc się o rozdanie im choćby jakiegokolwiek broni, byle tylko zatkać wyłom. I stał się cud: ci nieuzbrojeni zatrzymali Niemców. Powystrzelawszy z ćwierć setki ciał, Niemcy raptem opuścili zdobyte wzgórza, a w tym czasie nadciągnęła kawaleria i wyparła ich zupełnie. Wzięli ich dowódcę, w tym również obersta, i generał Kobrisow zażądał, by go przyprowadzono do niego. „Dlaczego się wycofaliście? — zapytał surowo. — Takie mieliście pozycje, z tych wzgórz

212

samymi tylko karabinami maszynowymi można było rozpędzić dywizję do wszystkich diabłów." Oberst spojrział na niego ze smutkiem, a nawet z jakimś politowaniem i odpowiedział krótko: „Panie generale, moi cekaemiści — to prawdziwi żołnierze, nie mam do nich żadnych pretensji. Ale strzelać do bezbronnego tłumu w szpitalnych szlafrokach — tego ich nie uczyli. Po prostu nie wytrzymali nerwowo — być może po raz pierwszy w tej wojnie." Wiele dni później generał jeszcze zastanawiał się, jakby on postąpił z tymi, którzy zasłaniaли się ciałami rannych. Minęło pierwsze pragnienie, od którego paliła i zaciskała się dłoń: rozstrzeliwać własnoręcznie przed szykiem bojowym, i w końcu wymyślił inną zemstę: ustawić w dwa szeregi naprzeciwko siebie, zrywać nagrody ze shańbionych uniformowych kurtek dwurzędowych i natychmiast rozkazać, by przypięto je do brązowych szpitalnych szla-

froków. Zwierzył się nawet z tego zamiaru dowódcy sztabu — i od razu został sprowadzony z nieba na ziemię: przecież ci bezwstydnicy poskarżą się do Prezydium Rady Najwyższej, które ich nagradzało, i wszystko zostanie im zwrócone, on zaś, Kobrisow — surowo ukarany za samowolę. Co jak co, czy to nie zdarzało się na tej wojnie, ale żeby troskliwi Niemcy zapomnieli o swoich, czegoś takiego nie mógł sobie przypomnieć. A oto — i oni zapomnieli. Zresztą nie o swoich — o Rosjanach. A ściślej — o „rosyjskich zdrajcach”.

— Mogę, jeśli trzeba — powiedział desantowiec — względem ubrojenia opowiedzieć.

Generał wstał i jął się przechadzać po pokoju.

— To mi niepotrzebne. Opowiedz lepiej, jak ci się udało uciec?

Utajona myśl była taka — dać chłopakowi szansę pokazania się w jak najlepszym świetle. I niewyraźnie czuło się, że tym samym bierze on udział w grze, którą narzuciła obecność Swietłookowa. A każdą grę oni wygrywają zawczasu.

— Nic szczególnego — powiedział skoczek — nie bardzo pilnowali. Byłem u nich dziesięć dni, „kwarantannę”, jak to oni mówią, przeszedłem, no i zapytali: „Nie namyśliłeś się, zostaniesz z nami?” A kiedy powiedziałem, że nie, chłopaki, ani mi to w głowie, nikt o nic więcej nie pytał. Poprosiłem, żeby zwrócili mi automat — zwrócili, tylko bęben dali pusty: „A nuż jeszcze po naszych puścisz serię”. I na pożegnanie powiedzieli: „Jak się spotkamy w boju — nie miej pretensji”. — Zamilkł na chwilę, jakby coś wspominając, i dodał: — Mam takie wrażenie, towarzyszu dowódczo, że walczyć będą jak bestie, a na

swój los — machnęli ręką... Żadnych perspektyw nie widzą i do nicze-

212

^o nie mają serca, chyba że do wódki. I — do krwi. Pieśń taką śpiewają, bojową, coś jakby hymn: „Za ziemię, za wolność, za lepszy swój los, po karabin sięga pracowity lud...” A śpiewają smętnie, niemal ze łzami w oczach...

— Chwyta za serce, co? — wtrącił Swietłookow. — Widać, że smutne było rozstanie.

Przesłuchiwany spojrzał na niego przeciągle i powiedział z gory-
i/.ą i urazą:

— Tak jest, towarzyszu majorze, smutne. Dlatego, że jeszcze powiedzieli mi tak: „Niepotrzebnie wracasz, nie ma dla ciebie drogi odwrotu. Skoroś u nas pobył jakiś czas, i w ogóle w niewoli, nie dadzą ci wiary. Ciesz się jeszcze, jeśli wyjdiesz obronną ręką z ich sprawdzianów, i pozwolą ci dalej wojować.” No i nie wiem, prawdę mówili czy leż nie...

— Ja też nie wiem — powiedział Swietłookow. — Żaden ze mnie
lx')g, ani car, ani bohater. Inni będą decydować...

Zaległo milczenie i generał nie wiedział, jak je przerwać. Poczł nawet ulgę, kiedy Swietłookow zapytał:

— Potrzebny wam jeszcze jeniec, towarzyszu dowódco?

Generał odwrócił się i założywszy ręce do tyłu odpowiedział:

— Dla mnie wszystko jest jasne.

Dla niego samego było jasne, że żadna inna rozmowa przy osobie trzeciej nie jest możliwa.

Swietłookow nie wstając rzekł do desantowca:

— Idź do samochodu. Powiedz konwojentom, że pobędę tu jeszcze kilka minut. Widzisz, ufam ci, wszystko powinno się odbyć bez ekscesów...

Żołnierz poderwał się, stanął na baczność i zwrócił się do generała:

— Mogę się odmeldować, towarzyszu dowódco?

W jego głosie wyraźnie brzmiało: „I oddacie mnie, nie wstawicie się za mną?” Odwracając się generał napotkał spojrzenie utkwione w niego z rozpaczą, błaganiem, nadzieją. Chciał podejść i ucisnąć mu rękę, ale nagle poczuł, że nie może tego uczynić w obecności Swietłookowa, coś niepojętego go obezwładniało, jakby kaftan bezpieczeństwa.

— Wszystkiego najlepszego — powiedział generał. — Oby ci się udało dowieść... tego... czego będą żądać.

Jeniec wyszedł w milczeniu, i słychać było, jak powoli, jakby pomacku, szukając stopni, schodzi po schodach. W rozwalonej stacyjce było chyba z pięć czy sześć dużych wyrw — i tyleż bodaj możliwości nie

213

trafić do wejścia, gdzie czekał ośmioosobowy „dodge” z konwojentami ze SMIERZ-u, a jednak major Swietłookow był przekonany, że wszystko obejdzie się bez ekscesów, że spadochroniarz ten, który mógłby poradzić sobie z całym konwojem, pokornie wsiądzie do „dodge'a” i pojedzie na mordercze przesłuchania, do obozu „oczyszczającego”, ku swemu, wiadomemu z góry przeznaczeniu. Który to już raz generałowi przyszło na myśl, jak wielka i nieobjęta jest Rosja i jak znikoma możliwość ukrycia się w niej bez śladu. A jeśli już taka okazja się trafia, człowiek

najczęściej rezygnuje z niej, jako z najstraszniejszego wyboru.

— Dobrze by chłopakowi dać odpocząć — powiedział generał nie patrząc na Swietłookowa. — Nerwy podreperować — i do armii. Ja bym takich u siebie zostawiał, w swojej armii. Jaki dowódca batalionowy go nie zechce?

— A jaki czekista nie sprawdzi? — dodał Swietłookow.

— No, cóż, tak to już jest u was przyjęte... I długo tak będą go... wymacywać?

— To od niego zależy. Na ile będzie szczery. My przecie obaj, towarzyszu dowódco, nie wiemy, dlaczego tak łatwo wypuścili go. Najważniejszego nam nie powiedział — dlaczego jego to właśnie do Myriatina zawieźli, do rodaków? A on — ręce podniósł.

Generał, konstruując zdanie bez zaimków osobowych, zapytał z rozdrażnieniem:

— A skąd o tym wiadomo?

— Ależ to rzecz elementarna — powiedział Swietłookow — Kto nie podniósł, tego likwidowali.

—A cóż, jeśli go nie wykończyli, nie spalili, to jego wina? Czyli że mu dali zadanie szpiegować? Albo propagandę uprawiać? Bzdury skończone...

Swietłookow zerwał się na równe nogi i okręcając na ręku rzemyczek swojego mapnika spojrzął na generała prostodusznymi, niebieskimi oczami.

— To ciekawe, towarzyszu dowódco. Oburzamy się, że kogoś tam uznano za winnego: o tym, znaczy się, winien trybunał decydować. A o niewinnym — to już my sami zadecydujemy, tutaj ani kontr-

wywiad, ani trybunał nie jest dla nas wyrocznią. Nielogiczne, nieprawdaż? Co do mnie, to nie ośmielę się ani oskarżać nikogo, ani uniewinniać; niechaj już ci, co lepiej wiedzą, głowią się nad tym... A rozmowa była tutaj ciekawa, osobiście wielu pożytecznych rzeczy się dowiedziałem. Ot, choćby co do tego Myriatina i tych... dezertków, tych kameleonów, czyli ogólnie mówiąc własowców. Jak zdążyłem za-

2U

uważyć, was to też interesuje. I, o ile stać mnie na niekompetentny osąd, piękną podjęliście operację.

Pochwała ta była dla generała jak zgrzyt po szkle, operacja zaś wydała mu się natychmiast szpetną, nieudolną.

— I pomyślałem sobie — ciągnął dalej Swietłokow — że dobrze by było, gdyby dowództwo, planując tę czy inną operację, brało pod uwagę nasze interesy, mówię o SMIERSZ-u. Gdyby tak to wszystko skoordynować z nami... Nas, na przykład, bardzo interesowałoby okrążenie.

Generał czując ogarniający go nieprzewyciężony gniew, wyrzekł z wolna:

— A to, jakie straty będziemy mieli przy okrążeniu, was również interesuje? Niedoczekanie wasze, żebym z wami koordynował swoje operacje.

— Szkoda... — Swietłokow westchnął z pokorą i, wyprężony na baczność, stuknął obcasami. — Proszę wybaczyć, nie pomyślałem. Mogę się odmeldować?

Po jego odejściu uczucie wewnętrznego okaleczenia jeszcze się wzmogło. Od jakiegoś czasu generałowi trudniej było pozostawać sam

na sam ze sobą, niż znosić obecność nawet największych natrętów. Poczucie własnej winy było bardziej dojmujące niż czyjkolwiek wyrzut: dziś ujawniło się to, z czym tak bardzo nie chciał się spotkać, mając nadzieję, że jego właśnie ominie. Jakże to przeoczył, nie przeczuł? A przecież nie były to małe ugrupowania, owa jakby przypadkowa enklawa w niemieckich jednostkach, o której słyszało się jeszcze przed łukiem Kurskim, jeszcze podczas pierwszych przemieszczeń armii od Woroneża — nie, miał przed sobą zorganizowaną siłę, stanowiącą, być może, kościel obrony.

Nie sposób było przewidzieć rok wcześniej, kiedy po raz pierwszy usłyszało się: „Generałowie Poniedielin i Własow — to zdrajcy”, kiedy zabrzmiały straszne słowa: „Rosyjska Wyzwoleńcza Armia” (ROA)*, straszne, bo kryjące w sobie fatalizm, zgubny upór skazanych na śmierć — a zarazem słaby wyrzut pod adresem tego, kto, wszystko ROA (Russkaja Oswoboditielnaja Armia) — Rosyjska Armia Wyzwoleńcza; powstała głównie z jeńców sowieckich wziętych do niemieckiej niewoli pod dowództwem A. Własowa. Nie miała jednak zbyt wielkiej wartości bojowej i Niemcy nie powierzali jej zadań frontowych, kierując do walki z partyzantami. W maju 1945 żołnierze ROA wystąpili w Pradze, razem z Czechami, przeciw oddziałom niemieckim.

215

rozumiejąc, w owym zgubnym przedsięwzięciu nie uczestniczy. Niebawem posypały się z samolotów prymitywne ulotki — stanowiące zarazem przepustkę do niewoli i „agitację artystyczną”: Naczelną z harmonią w rękę płaś w ściśle zakreślonym kręgu, gdzie mieścił się tylko jeden jego but, a z ust wachlarzowato wydobywały się słowa przyśpiewki:

Ostatni już ja dzisiaj dzionek

Przehulam z wami, przyjaciele...

Wydano rozkaz oficerom i żołnierzom, aby ulotki te przekazywali pracownikom politycznym, za przechowywanie zaś i udostępnianie innym groził najwyższy wymiar kary. Nikt się zresztą nie kwapił, by je zbierać, a jeszcze mniej było takich, którzy by je chcieli zachować. Ale wkrótce posypały się inne ulotki, gdzie tekst był poważniejszy, i z których zza okularów wзираło posępne, nieprzeniknione oblicze Własowa. Miało w sobie, przy wystających kościach policzkowych i szerokim nosie, coś prostackiego i zarazem arystokratycznego. Spojrzenie zza rogowej oprawy okularów było przenikliwe, czujne i badawcze, duże usta — nie kurze, kąciki z urazą podwinięte — mówiły o sile, o umiejętności rozkazywania. Z takiego mógłby wyrosnąć wódz.

Poniedziałina generał Kobrisow nie znał, a z Własowem, swoim podmoskiewskim wybawcą (trudno się było tego wyprzeć), spotkał się w Moskwie na zjeździe dowódców dywizji, gdzie jako przykład stawiano wszystkim własowską 99. Dywizję Strzelców, która zajęła pierwsze miejsce w Związku Radzieckim. Dywizja Kobrisowa, wchodząca w skład Armii Dalekowschodniej, również okazała się jedną z najlepszych, toteż w prezydium siedzieli obok siebie, i Własow zdumiał go jakoś tym, że słuchał przemówień z notatnikiem w ręku i wyławiał z nich Bóg wie jakie peretki, podczas gdy wszyscy inni ziewali z nudów. Potem znaleźli się — nieprzypadkowo — obok siebie podczas bankietu. Nazywało się to, co prawda, nie „bankietem”, lecz „wieczorną dowódców”; była ona niczym fala, która się zamknęła nad toną-

cymi; imion tych, którzy nie wypłynęli, i tych, którzy jeszcze pluskali się na powierzchni, nie wymieniano, toasty wznoszono za Armię Czerwoną, za jej „sławną przeszłość i zwycięską przyszłość”; o dniu teraźniejszym nie mówiono, ale kto wie — było w tym jakieś milczące requiem za nieobecnych, i każdy, kto wznosił swój puchar, zaklinał los, by go ominął ten kielich goryczy. Oczekiwano na zjeździe przemówienia Stalina, ale on nie pojawił się. „Nie zaszczycił swą obecnością —

216

powiedział Własow. — Zajęty. No, ma teraz nad czym się głowić”.

Sam zaś wyglądał na szczęśliwca, który dzięki wyróżnieniu się uniknął wspólnego losu, i dawał do zrozumienia, że Kobrisowowi także się powiodło.

Andriej Andriejewicz za kołnierz nie wylewał, wątku rozmowy jednak nie tracił i mógł całkiem przytomnie kontynuować to, o czym była mowa na trzeźwo. Czuło się rozum, rozległą erudycję, pogłębioną lekturami; mówiąc sypał cytatami z Suworowa i innych rosyjskich dowódców, przytaczał mało znane przysłowia, z których teraz najczęściej przypominało mu się: „Każdy baran za swoje nogę wisi”. Od dawna nie miał już wątpliwości, że wypadnie wojować z Niemcami, i że wojna ta będzie najcięższą próbą dla Rosji Radzieckiej. Wyglądało na to, że pakt z Ribbentropem nie zachwiał go w tym przekonaniu. „Dogodniejszej, niż teraz, chwili nie będą mieli” — powiedział, mając na uwadze wszystko to, o czym się nie mówiło. — „A my — mniej dogodnej”. I nie tylko nie pomylił się Własow w swej przepowiedni, lecz okazał się lepiej od innych do tej próby przygotowany. W owych miesiącach 1941

roku, kiedy wszystko runęło na wschód i pozostawały tylko dwa wyjścia z tej panicznej ucieczki — albo dostać się do niewoli, albo znaleźć się w okrążeniu — na 37. Armii Własowa trzymała się cała obrona Kijowa: nie tylko nie utracił swojej armii, lecz wyprowadził też resztki innych z potężnego kijowskiego „kotła”, gdzie zginęło ponad 600 tysięcy ludzi. Tak oddawać miasta, jak Własow oddał Kijów, tak wy dostać się ze śmiertelnych szponów Guderiana i von Kleista — było równoznaczne z daniem do zrozumienia i swoim, i Niemcom, że nie wszystko, co najlepsze, zostało zniszczone przez przedwojenne „czystki”, że jeszcze coś zostało, w czym można było pokładać nadzieje. Po raz drugi dał o sobie znać pod Moskwą — i Kobrisow nie mógł nie ocenić całego zuchwałego piękna jego awanturniczej decyzji, obłądnego, pełnego zadufania skoku bez danych rozpoznawczych, prosto w zamieć, na oślep, z zagarniętą cudzą brygadą, za co, przy ewentualnym niepowodzeniu, zostałyby niechybnie postawiony pod mur. I raczej ten właśnie skok uratował Moskwę, niż owe dywizje syberyjskie tak hołubione przez dowództwo, strzeżone przez Naczelnego, które prochu nie wachały, ale nie wiedzieć czemu miały się okazać bardziej waleczne od wycofujących się frontowców. Zgodnie ze złodziejskim obyczajem — nie cenić żadnych zasług — wszystko to zostało teraz Własowowi puszczane w niepamięć. Po raz trzeci spodziewali się po nim cudu — kiedy Naczelnny, za poradą Żukowa, posłał go na ratunek

227

2. Szturmowej, którą tak bezsensownie wydali na zatracenie na przyczółku Wołchowskim, licząc na to, że za cenę jej zguby można będzie

udaremnić blokadę Leningradu. Po raz trzeci cud się nie zdarzył.

Mistrz beznadziejnych sytuacji, dowódca-awanturник, czy wiedział, że lecąc pod gęstym ogniem dział przeciwlotniczych do na poły okrężnej armii, niczym już jej nie pomoże? Tu, oceniając Własowa, Kobrisow kierował się już nie ścisłymi danymi — takich nie było — lecz tą pełną sympatii legendą, jaka powstała wokół postaci zadziwiającego generała. Mówiono, że do Wołchowskiej operacji odnosił się nader sceptycznie, jako do z góry przegranej, i miał jedynie nadzieję, iż Naczelnny pozwoli mu armię rozpuścić i przedzierać się na wschód małymi grupami. Od Naczelnego takich pełnomocnictw nie uzyskał — Własow dał je sobie sam — i już od tej chwili stał się zdrajcą, a nie wówczas, kiedy czy to pop, czy też stróż cerkiewny zaprowadził Niemców do jego schronu. Na służę Bożą, chyba, jak podejrzewał Kobrisow, niesłusznie zwalili winę, wydali generała raczej radzieccy chłopci, którzy nie mieli powodów, by darzyć miłością Armię Czerwoną i jej sławnych dowódców, poczynając od Tuchaczewskiego, a bodaj jeszcze wcześniej, od Trockiego. I pewnie nie doznali owi pańszczyźniani chłopci bardziej złośliwej satysfakcji, niż wówczas, kiedy z czeluści świątyni rozległ się basowy głos: „Nie strzelajcie, jestem — Własow”.

Już w lipcu, z Winnicy, zaledwie po dwóch miesiącach pobytu w obozie jenieckim, wezwał naród rosyjski do walki ze Stalinem. W styczniu zaś ogłosił w Manifeście Smoleńskim: „obalić bolszewików można, niestety, tylko z pomoce Niemców”. To „niestety” powiedziane było i przy Niemcach, tak samo występował w Smoleńsku, w teatrze, o rosyjskie zwycięstwo z niemiecką pomocą modlono się w na nowo otwar-

tym soborze, który za bolszewików zamieniono w zbożowy spichlerz. W kwietniu — miała miejsce podróż do Rygi, Pskowa, odwiedziny klasztoru Peczerskiego, ihumen kłaniał mu się w pas, w teatrze urządzono owację. W sztabie 18. Armii niemieckiej powiedział, że ma nadzieję już w niedalekiej przyszłości przyjmować Niemców jako gości w Moskwie. Radzieckie gazety nazywały go trockistą, współpracownikiem Tuchaczewskiego, szpiegiem, który już przed wojną był związany z Niemcami, Japończykami. Kobrisow, który też był „lokajem Bliichera" i sprzedawał ojczyznę Japończykom, nie traktował tego poważnie. Nie uszło jego uwagi, że Własow nie nazywa Niemców gospodarzami, lecz jedynie pomocnikami, gośćmi w Rosji, że usiłuje się od

218

T-Otfcte

-#Sfe*-A

nich zdystansować, stara się nawet robić wrażenie, iż swoje manifesty pisze niejako pod groźbą pistoletu.

Jedna rzecz tylko niepokoiła: swoje odważne, antybolszewickie przemówienia, swoje ataki przeciwko Naczelnemu jął Własow wyowiadać dopiero wówczas, gdy znalazł się w niewoli. A gdyby się tam nie znalazł? Wspinałby się wówczas nadal po drabinie kolejnych stopni i nagród kryjąc w głębi wszystkie urazy? Tak, chyba nie było ich zresztą zbyt wiele, co zaznaczył w swoim pierwszym liście otwartym w zdaniu: „Nie byłem ofiarą władzy radzieckiej". Ze swymi zdolnościami dostąpiłby się do generała armii, zostałby dowódcą frontu, a może nawet marszałkiem, zastępcą Naczelnego, na równi z Żukowem.

Może jedynie okulary stanowiłyby przeszkodę, zdradzając, że dużo czyta. I wzrost nie na miejscu — bez mała dwa metry. Wśród niedożywionych kurdupli, z których rekrutują się radzieccy dowódcy, był zawsze kimś obcym. Kobrisow, sam też postawny, rozumiał go dobrze. Okulary można było wybaczyć, traktując jako dziedziczną krótkowzroczność, przy wysokim zaś wzroście bardziej wyraziste stają się niskie ukłony. Ale oto trafił do niewoli — i przyjął inną rolę, jakby całe życie się do niej sposobił, wypowiedział na głos całą prawdę. Jednak o wiele bardziej by się w nią wierzyło, gdyby z własnej woli przeszedł. Czyż to tak trudno przejść mając w świecie wiernego człowieka? Nigdy nie doświadczając niczego podobnego, Kobrisow nie wiedzieć czemu miał pewność, że gdyby skinął tylko głową, Szestierikow poszedłby za nim o nic nie pytając, chyba tylko o to, czy zabrać zapasową tarczę do karabinu maszynowego. Oto co zapewne powinien był zrobić Własow — odejść z dziesiątką ludzi i na tej bazie stworzyć armię. Z jego nazwiskiem, sławą, postawą wodza, mogłoby się to udać — zjednoczyć rozproszone, ale już sformowane jednostki — w kozackie, ukraińskie, białoruskie, gruzińskie, kałmuckie legiony. Nie byłaby to „żałosna gromada Judaszy sprzedających się za trzydzieści srebrników”, którym nagle „zachciało się powrotu do przeszłości”; zdrada stała się czymś tak masowym, że termin ten stracił swój sens, zaczęto już przebąkiwać o drugiej wojnie domowej w Rosji. Ale wówczas trzeba ją prowadzić — pod własnym sztandarem, nie wybierając pomiędzy Stalinem a Hitlerem. Własow zaś postanowił odegrać tego, który w niewoli, pod wpływem nowego (starego — emigracyjnego) otoczenia, przejrzał — i

było zaiste coś sztucznego w jego burzliwych wyznaniach. Dopuszczać do tego, żeby stać się tym, kim chcieli go widzieć — oto co robi polityk

219
ka nawet z ludźmi silnymi i utalentowanymi. Był graczem, a stał się — pionkiem.

Generał Kobrisow, zgodnie ze swym stanowiskiem, miał prawo do zapoznawania się z dokumentami, których nie udostępniano nawet wyższym oficerom, najczęściej — mógł wysłuchać tylko ich lektury, przybierając wyraz twarzy pełen odrazy, zasępiony, z nikim nie wymieniając spojrzenia. Czytał zazwyczaj naczelnik wydziału politycznego lub pierwszy członek Rady Wojennej, dawniej — komisarz, w ten sam ustalony raz na zawsze sposób, co ich do siebie upodobało. W lekturę tę każdy z nich wkładał odrobinę aktorstwa, pewne miejsca uwypuklając w sposób karykaturalny, tu i ówdzie chichocząc — i jakby zachęcając do chichotu słuchaczy, gdzieś tam zaś wznosił się do patosu pełnego grozy oburzenia. I Kobrisowa nawiedzała podstępna myśl, że takie czytanie może wywoływać odwrotny skutek, że z przeczytanym ktoś może się zgodzić całkowicie lub częściowo. Aby się o tym przekonać, należało podnieść oczy i przyjrzeć się wszystkim słuchającym, nie uczynił tego jednak ani razu. Wszakże ta podstępna myśl mogła nie tylko jego jednego nawiedzić i ktoś mógł jego o to samo podejrzewać, podobnie jak on — innych.

Już choćby za to, że Kobrisow poczytywał zdradę Własowa za fatalną pomyłkę, natychmiast — gdyby o tym komukolwiek powiedział — wyrzucono by go z armii, zdegradowano oraz pozbawiono nagród

i w najlepszym wypadku zesłano do Kazachstanu tłuc kamienie, a może nawet do kopalni w Workucie. Błąd tkwił — jego zdaniem — w tym, że nie wolno było znaleźć się u boku Niemców, i nie dlatego, że ci nie dali — i nie dadzą — zjednoczyć się w decydującą siłę. Błąd polegał na tym — że przez chwilę stanęli obok tych, w których naród zobaczył katów i oprawców. Skoro potrafili im wszystko wybaczyć i iść z nimi ręką w rękę — oznacza to, że są tacy sami! I tego swojego błędu Własow nie rozumiał, podobnie jak tego, że spóźnił się ze swoją Rosyjską Wyzwoleńczą Armią. Po Stalingradzie, po Łuku Kurskim, nie widząc, nie czując, że Naczelnny już tę wojnę wygrał i że cała masa ludzi na frontach i tyłach staje po jego stronie, Własow, który sam przyczynił się do jego wygranej, obiecał, że zakończy wojnę przez telefon! To znaczy, że zadzwoni do Żukowa, Rokossowskiego, do przyjaciół z Akademii, z którymi rozmawiali tak szczerze — i oni przekażą mu fronty! W tym momencie widać już było wyraźnie, w jakim stanie znajduje się Własow — waleczny generał, który przestał rozumieć Rosję!

220

•- &.- i

Z ludzkiego punktu widzenia było to zrozumiałe dla Kobrisowa, który potrafił wcielić się w skórę kogoś innego — z tym, oczywiście, nieodłącznym poczuciem wyższości, z jakim ten, co pozostał wierny swemu obowiązkowi, patrzy na tego, co przekroczył jego granicę. Nie raz przymierzał się do sytuacji Własowa i nawet usprawiedliwiał pewne jego posunięcia. Nie uważał, na przykład, że powinien być się zastrzelić, jak w podobnych okolicznościach postąpił generał Jefriemow,

którego gazety z upodobaniem przeciwstawiały Własowowi. Po cóż jednak, za pozwoleniem, pociągnął za sobą tych perkatych, pulchnous-tych, kłapouchych, ogłupiałych, przybitych pobytem w niewoli niemieckiej — po tym wszystkim, czego doświadczyli od rodzimej władzy robotniczo-chłopskiej — skoro niczego im nie mógł dać oprócz swego głośnego imienia? Idea była tak nęcąca, któż nie marzył, by wrócić do Rosji na czele armii! Ale oto minął prawie rok wojny — i desantowiec powiada, że rosyjskimi batalionami dowodzą Niemcy, i nie on jeden to mówi — cóż to, za pośrednictwem Niemców wydaje rozkazy swym wojskom generał-jeniec? A zatem nie ma Własow armii w Rosji, i wszyscy ci Rosjanie wtłoczeni do jednego kotła pod jego imieniem nie są żadnymi „własowcami”.

Z Własowem sprawa była jasna, czeka go stryczek. Ojczulek do- bierze się do niego. Nie jemu, a sobie nie wybaczy Naczelnny, że półtora czy dwa miliony nierozumnych dzieci wystąpiło zbrojnie przeciwko Ojcu Narodów, i wyciągnie z tego wnioski, iż był jeszcze zbyt dla nich łagodny. Nad ich losem nie mógł się nie zastanawiać Kobrisow, i sam wobec nich poczuwał się do winy. „Sprzedali ojczyznę”... A za cóż to sprzedali? Za taki sam walący się okop, za atak po brudnej, chlupoczącej mazi, za spanie w śniegu lub w rozmokłym błocie, za szubienicę, jeśli zostaną schwytani (przecież do niewoli nie biorą!) lub tułaczkę po obcych ziemiach — gdy wypadnie opuścić Rosję? Ci, którzy chcieli resztę życia spędzić w dostatku, w dobrobycie, którzy porzucili ojczyznę w ciężkich dla niej czasach — ci nie pojawiali się przed Kobrisowem, nie znajdował ich nazwisk w tajnych dokumentach „Smierszu-u” ani

w doniesieniach wydziałów politycznych. Byli tylko ci, którzy jej nie opuścili. Ot ci, w Myriatinie, którzy odmówili wyjścia z okrążenia, nie porzucili jej! A przy tym — czyż nie wiedzieli, że miano „zdrajcy” z dawien dawna naród rosyjski poczytuje za haniebne i że zdrada nigdy nie zostanie im wybaczona? Jakież obowiązki mieli do spełnienia lub też — jaki ból nimi powodował, jeśli nie powstrzymało ich to, że na wieki będą wyklęci i nigdy nie doczekają się wdzięczności? Wszakże

221

gdyby stał się cud, i gdyby oni zwyciężyli—jakże parszywie poczułby się naród, że sam sobie nie poradził, że pomogli cudzoziemcy, i to — wrogowie, okupanci!

Do ludzi, co przekroczyli ową granicę, pociągała go jakaś tajemnicza moc, niezwykła ciekawość, która każe spojrzeć w twarz skazańca, któremu sążone jest za chwilę położyć głowę pod topór. I jakże chciałoby mu się choćby jednego z nich posadzić naprzeciwko siebie i wypytać na osobności, przecież nie byłby tu potrzebny tłumacz. Ale nazbyt dobrze wiedział, że to niemożliwe. Nie dopuszczą do tego. Nie on będzie wypytywać tych ludzi, lecz major Swietłokow. Nie po to jest potrzebny, i on i jego armia, by zaspokoić swą ciekawość, wyjaśniając motywy ich grzechu.

A do czego jest im potrzebny? Żeby ich wyłapać, związać, rzucić na kolana, przygiąć ich winne głowy do ziemi, którą „sprzedali”? Powiedział wszak ostrożny Watutin: „My ze swoimi więcej walczyliśmy niż z Niemcami”. Co to było? Mimowolnie wyrwało mu się to, o czym ciągle myślał? Był przecież dowódcą sztabu Okręgu Kijowskiego, słu-

żył razem z Własowem, nie mógł o nim nie rozmyślać. Zresztą, nie on jeden teraz rozmyślał o tym, że nie ma niczego straszniejszego od wojny domowej, dlatego, że to — swoi. Poważanie, jakim z dawien dawna otaczano cudzoziemca — u Rosjan szczególnie silne, pełne wręcz niewolniczej uniżoności — nie każdemu pozwoli zrobić z nim to, co ze swoim można. Jak w istocie szybko ostyga złość do niemieckiego jeńca, i jak jest pełna zaciętości wobec „swego”. Zielone ogniki zamigotały w oczach Swietłookowa zawczasu rozkoszującego się „świętym porachunkiem”. Zaprawdę nie ma na Rusi zajęcia bardziej upojnego!

W gorące lato 1942 roku, po oddaniu Rostowa i Nowoczerkaska, po ogłoszeniu rozkazu nr 227: „Ani kroku wstecz”, jakże po słowiczemu zaczęły trzaskać wystrzały trybunalskich egzekutorów! Strach napędzał strach i napędzali go ludzie sami pozostający we władzy nieprzewycięzonego strachu — że plan nie będzie wykonany, że zawali się kampania — że samemu trzeba będzie powędrować tam, skąd wycofano skazańca. Na porządku dziennym było pytanie: „Dużo już u was rozstrzelano?”. Dodatkiem niejako do tego okrutnego rozkazu było polecenie określające, ilu w danej jednostce należy wyłowić panikarzy i tchórzy. I strzelali zgodnie z normą, nie przepuszczając okazji. Mogli rozstrzelać dowódcę, który stracił wszystkich swych żołnierzy i wycofał się z pustym magazynkiem. Mogli — żołnierza, który ciężko ranne go przyjaciela postanowił wynieść na tyły: „Od tego są sanitariuszki”.

222

A mogli i sanitariuszkę, całkiem młodziutką, która nie wytrzymała widoku straszliwej rany, nic nie potrafiła zrobić, zbiegła z piekła. Stawiali

przed szykiem padających z nóg ze zmęczenia, a zdarzało się — z upływu krwi, odczytywali wyroki ogłuchłym, ledwie poczytalnym. I zabijali triumfalnie, z taką satysfakcją, jakby tym samym przybliżali Zwycięstwo.

...I oto pewnego razu wrócił z boju lejtnant z jedenastoma żołnierzami, resztkami jego kompanii, i powiedział, że idiotyzm ma też swoje granice, że z taką garstką ludzi niepodobna zdobyć wzgórza 119, i że on nie ma zamiaru posyłać ich na śmierć, niechaj jego jednego rozstrzelają. Lejtnant Galisznikow — tak nazywał się ten desperat, generał zapamiętał jego nazwisko. Sam obserwował ten bój z otworu strzelniczego dywizyjnego punktu obserwacyjnego i widział, że o zdobyciu tego wzgórza nie ma mowy, w każdym razie przed zapadnięciem zmroku mogą jedynie wszyscy polec u jego stóp, by wykonać rozkaz nr 227. Ale obserwował nie tylko on sam, wraz z nim znajdował się w schronie pełnomocnik Kwatery Głównej generał Drobnis z liczną świtą. Świta owa stanowiłaby znakomite uzupełnienie dla tych jedenastu umordowanych żołnierzy. Wiadomo jednak: do ataku — zawsze brak ludzi, natomiast jest ich w nadmiarze tam, gdzie niebezpieczeństwo mniejsze. I im dalej od „przodka”, tym więcej ludzi, tym są odważniejsi i bardziej pyskaci. Tak właśnie i świta Drobnisa, obserwując bój przez świetne niemieckie, zeissowskie lornetki, krytykowała nieudolne działania dowódcy kompanii: guzdrze się cały czas u stóp wzgórza, które Niemcy porządnie ostrzelali, rozkazuje ludziom kłaść się, kiedy należałoby jednym skokiem pokonać strefę ostrzału. I oni wprost zatrzęśli się z oburzenia, kiedy stało się oczywiste, że się wycofuje.

Generał Drobnis kazał go wezwać do schronu. I lejtnanta Galisznikowa przyprowadzono — czarnego i spoconego, ledwie poruszającego językiem. Opierał się o automat niczym o kij, i cały czas zrywał się ni to, żeby przysiąc, ni to, by się położyć i zasnąć.

Generał Drobnis był postrachem generałów, i umiał napędzać im pietra, nie będąc ani dowódcą, ani koryfeuszem sztabowym, ani w ogóle żadną wybitną osobowością; był psem łańcuchowym Naczelnego i okazywał tak żarliwe psie oddanie, że Naczelnny nie mógł mu się oprzeć, też miał swoje słabości — i wybaczał Drobnisowi to, za co inny mógł otrzymać najwyższy wymiar kary, jak nieszczęsny Pawłów. Rozstrzelać Drobnisa mogli już za sam Krym, dokąd posłano go, by ratował sytuację, opatrując w pełnomocnictwa, które równały go z dowódcą

223

w^

Frontu Krymskiego; oczywiście Drobnis odsunął go, żołnierza zdolnego, lecz nadto pobłażliwego, i wziął dowodzenie w swoje ręce, czym wydatnie pomógł Mansteinowi, który mając jedną tylko 11. Armię poradził sobie z czterema radzieckimi. Opowiadano, że wybaczenie Naczelnego uzyskał na klęczkach, płacząc i przysięgając, że mogą mu zabrać życie, ale nic i nikt nie odejmie mu wierności wobec ukochanego wodza, i nie tyle śmierć jest dlań straszna, co przedwczesne rozstanie z obiektem swej miłości. Ponoć przepowiadano mu, że umrze na trzy tygodnie przed Naczelnym — i tym samym ominie go smutek przeżycia go i nie na długo pozbawiony zostanie szczęścia, jakim jest żywot w tym samym czasie co on. Wstrząsnęło to Naczelnym do głębi

duszy. Dowódcę frontu odsunął, Drobnisa zaś, jako że miał do niego słabość, jedynie porządnie skarciwszy i obiecując mu, że następnym razem bliżej zapozna się z towarzyszem Berią,* mianował przedstawicielem Kwatery Głównej. Sądzone mu będzie podczas całej wojny pełnić funkcję członka Rad Wojennych siedmiu frontów — i nigdzie nie zagrać miejsca, wszystkich dowódców obrzydzić Naczelnemu przy pomocy intryg i donosicielstwa, doprowadzając do tego, że błagali ze łzami: „Zabierzcie go!” I Naczelnny, wzdychając, znowu prznosił go gdzie indziej, zabijając jednym strzałem dwa zajęce: okazywał swą łaskawość jednemu dowódcy, który mu tego nie zapomni, a drugiemu — żeby nie wpadł w zarozumiałość — napędzał stracha.

Tego lata Drobnis, koczując po wszystkich frontach, pojawiał się niespodziewanie z grupą starszych oficerów z różnych formacji wojskowych i wprowadzał w życie wolę Naczelnego. Nawet dwóch pisarzy było w jego świetle w randze pułkowników, mających, zapewne, za zadanie utrwalić jego działalność w słowie. Walenie dowódców po pysku, jako nie przynoszące konkretnych rezultatów, wychodziło już jakby z mody; zresztą generał Drobnis nie korzystał z tego, szanując swój status komisarza; postępował inaczej, co dla niejednego okazywało się czymś znacznie gorszym: dowódcę, który, jego zdaniem, nie odpowiadał swemu stanowisku, natychmiast usuwał, i chwilowo, aż do rozkazu Kwatery Głównej, mianował na jego miejsce któregoś ze swoich. Ze Beria Ławrentij P. (1899-1953) — jeden z największych zbrodniarzy XX wieku. Stał na czele sowieckiej policji politycznej w latach 1938-1953. Od 1939 członek Komitetu Obrony Kraju; nadzorował tzw. „ruch służbowy” (tj. tajne teczki) w

siłach zbrojnych, sieć sowieckich łagrów, podlegał mu także „Smiersz”.

224:

swych pełnomocnictw korzystał z rozmachem i rozciągały się one aż na dowódców dywizji.

Generałowie, którzy niejedno widzieli, przyznawali, jaki strach budzi w nich jego twarz, z gęsto zarośniętym po rogach niskim czołem, czerwonymi, świdrującymi spod ciężkich powiek oczkami, haczykowatym nosem, wzgardliwie, po patrycjuszowsku, obwisłą wargą — takie oblicza mieli zapewne Neron albo Kaligula. Strach budziła jego mowa, niezmiennie kryjąca w sobie jakąś pogrózkę, z irytacją wybuchająca przy najmniejszym okazanym mu sprzeciwie, błyskawicznie przechodząca w pełne wrogości i niechybnie zasadnicze oskarżenie. I żadnego dostępu do niego nie było, Drobnis był ze wszech stron nieprzenikniony. Nie można było z nim zjeść obiadu, wypić; od lat chory na owrzodzenie żołądka pił tylko herbatę, wyłącznie ze swego termosu, odżywiał się dietetycznymi kotlecikami, które przygotowywał mu jego własny kucharz; nawet swój materacyk woził ze sobą, żeby nikomu nie być wdzięcznym za zapewnienie mu noclegu. Wszędzie podkreślał swoje odosobnienie, a tym samym niedostępność i bezkompromisowość, „niezgodność”, jak to sam określał. Ośmielał się zbliżyć często do linii frontu, ale nawet tutaj, o dwa kroki od śmierci, z nikim się serdecznie nie zbliżał, nie mieszkając podkreślać, kogo reprezentuje. Z powodu niskiego wzrostu nosił buty na wysokich obcasach i nie zdejmował uszytej na zamówienie czapki z daszkiem i z wysokim otokiem oraz podwyższoną główką. Tacy zazwyczaj jeszcze w dodat-

ku nienawidzą „dryblasów”.

Z Kobrisowem jego stosunki nie ułożyły się z miejsca, od pierwszej wizyty na punkcie obserwacyjnym. Tego dnia szef wojsk chemicznych umyślił założyć ładunki dymne, licząc na wiatr w naszą stronę, aby ukryć przemieszczenie czołgów i przerzut dział naprowadzonych prosto w cel. Ale wiatr zmienił kierunek i dym skierował się ku Niemcom — skrywając od naszych oczu ich przemieszczenia i przerzuty. Drobnis groźnie zapytał szefa wojsk chemicznych, kto go uczył tak wystawiać zastonę dymną. Ten stał zmieszany, od razu spocony, ale bynajmniej nie ze strachu przed wyższą władzą, lecz ze zmartwienia z powodu popełnionego błędu. Była z niego, istotnie, ciamajda i niepoprawna offerma, ale w gruncie rzeczy — człowiek sensowny i znający swój fach, szkoda byłoby go stracić. Nie wiedział, co odpowiedzieć na pytania Drobnisa — i dobrze, że nie wiedział. Z pokoju łączności wyskoczył telefonista i zameldował, o czym mu przed chwilą doniesiono.

225

fc

Na widok nadciągających dymów, Niemcy zaczęli porzucać okopy, zapewne w obawie przed takim dziwnym manewrem Rosjan.

— Bardzo dobrze — powiedział Kobrisow do szefa wojsk chemicznych — takeśmy to z tobą właśnie zamyślili.

Drobnis zniechęcił go. I zawsze szukał pretekstu, by się przyczepić do jego ludzi.

I oto stanął przed obliczem Drobnisa wysoki, niezgrabny młodzieniec, o umęczonej twarzy, bezustannie mrugając zapróższonymi

ziemią oczami, w podartej, bez guzików na piersi, bluzie, z przekręconym na bok rzemieniem. Dla wszystkich w schronie, wyelegantowanych, wyprasowanych był kimś zupełnie obcym, a najbardziej dla Drobnisa, i wydawało się, że nie odczuwał przed nim strachu, w każdym razie większego, niż ten jaki przeżył dopiero co na wzgórzu 119, po którym już nic nie mogło go nastraszyć.

Drobnis zmiarkował to, był wszak psychologiem i znał się na ludziach, to znaczy wiedział, że nastraszyć można zawsze, co więcej, wiedział, czym nastraszyć.

— No, co, wojaku? — zapytał z pogardliwą ironią. — I sam najwyższy wymiar kary zarobiłeś, mądralo, i pięknie się swoim żołnierzom przysłużyłeś.

— A to dlaczego? — jakby ocknął się lejtnant Galisznikow. —

Czym się im przysłużyłem?

— No, jakże! Naczelnny, zdaje się, maksymalnie jasno wyraził się: „Ani kroku wstecz bez rozkazu wyższego dowództwa”. A twoi ludzie na czyj rozkaz wycofali się? To ty jesteś dla nich — wyższym dowódcztwem? Wszystkich — do karnego batalionu, oto jak się im przysłużyłeś.

Lejtnant Galisznikow z wolna rozwarł spieczone wargi:

— Bądź co bądź to nie śmierć...

Generała Drobnisa rozbawiło to:

— Mówię przecież — mądrala. Myśli, że tam — sanatorium! Uzdrowisko!

Cała świta też nie posiadała się z uciechy. Lejtnant Galisznikow posępnie pochylił głowę, postać tak ze dwie sekundy, i nagle poderwał

automat. Wydawało się, że zaraz powystrzela wszystkich w schronie.

Świta chwyciła się za swoje kabury.

— Macie — na obu dłoniach, jak na tacy, wyciągnął automat ku Drobnisowi. Bierzcie swoich ludzi, jest ich tutaj wystarczająco dużo! Atakujcie! Może wam się uda.

226

Generał Kobrisow zdążył pomyśleć — zastrzelą go zaraz, tu w schronie, bez żadnego sądu. Jednakże Drobnis powiedział spokojnie, nie podnosząc głosu:

— Nieźle to wymyśliłeś. Tylko ja, widzisz, nie mam twoich lat, zęby do ataku biegać. Mnie już, chwała Bogu, pięćdziesiąt sześć stuknęło. I moi ludzie mają na głowie inne obowiązki, jakie im ojczyzna powierzyła. Dlatego też zrobimy ot co: zaraz mój człowiek weźmie twoich ludzi i pokaże, jak się to robi. Jak się zdobywa wzgórze, kiedy się je chce zdobyć. A potem z czystym sumieniem rozstrzelamy cię. I napiszemy do twojej rodziny. „Lejtnant Galisznikow został rozstrzelany za tchórzostwo”. Zgoda? A może się rozmyślisz, sam pójdziesz? Lejtnant Galisznikow w milczeniu pokręcił głową. Spojrzenie Drobnisa przesunęło się po całej świecie, zatrzymało się na najmłodszym wiekiem i szarżą. Był korpulentny, słusznego wzrostu, o krągłej, jasnej twarzy z zabawnymi dołeczkami w policzkach, o ruchach niespiesznych i z lekka nonszalanckich, lecz dokładnych.

— Majorze Krasowski — powiedział Drobnis — przyjmijcie od niego broń.

Zawsze uśmiechnięty major, choć i nawykły do dziwactw gospo-

darza, wziął jednakże automat z pewną konsternacją, nagle zmieniony na twarzy. Uśmiechał się, ale jakimś wymuszonym uśmiechem, wyraźnie przeczuwając coś niedobrego. — Z taką twarzą — pomyślał Kobrisow — nie idzie się zdobywać wzgórze. Nawet kiedy bardzo chce się je zdobyć.

I oczywiście nie zdobył go, biedny major. Pod ogniem legł jeszcze szybciej niż Galisznikow, i od razu stracił kilku żołnierzy, pozostali popęzli pod osłonę spalonego „Tygrysa”. Utraciwszy najwidoczniej nad nimi władzę, popęzł i on. Więcej się stamtąd nie wychylali. Do schronu wrócił zgnębiony, drżąc jak w febrze, i nie miał odwagi spojrzeć na Drobnisa. Temu również niespieszno było patrzeć na niego. Teraz z kolei lejtnantowi Galisznikowi zebrało się na śmiech. Podobne to było do szlochu, tży brzmiały w jego śmiechu i tży ciekły mu z oczu, pozostawiając bruzdy na policzkach. Nigdy nie zapomni Kobrisow, jak strasznie, z pianą na ustach, złorzeczył lejtnant Galisznikow.

— No i co, ojczulku? — wykrzykiwał przeplatając swoje wrzaski przekleństwami, przechodzącymi w ochryply falset, a na jego czole i szyi nabrzmiewały żyły. — Nie udało się twojemu pachołkowi? Aha, otóż to tak, ojczulku! Dzięki ci, że chociaż dałeś mi możliwość pośmiać się przed śmiercią! Teraz można i pod murek. W spokoju ducha. No to

227

gdzie mnie rozwalać będziecie? Coś mi się majaczy, że Naczelnny wyraźnie powiedział: rozstrzeliwać na miejscu!

Generał Drobnis, czerwony na twarzy i karku, wysłuchiwał tego odwróciwszy się tyłem do nieprzystojnego dlań widowiska — rozhi-

steryzowanego, płaczącego mężczyzny. Aby się na zawsze nie zbłąźnić, musiał się w jakiś sposób znaleźć i dokonać czegoś niezwykłego. I jednak znalazł się i dokonał tego.

— Lejtnancie Galisznikow — powiedział głosem spokojnym i cichym. — Jesteście wolni.

Był to chyba dla wszystkich grom z jasnego nieba. Lejtnant Galisznikow, spojrzawszy ze zdziwieniem, pokręcił głową i wyszedł, ciężko stąpając. Major Krasowski, cały w pąsach, przylgnął do lornetki, pograżony w obserwacji porzuconej przez siebie pozycji. A Kobrisowowi zrobiło się lżej na duszy: przynajmniej jeden swoim strachem nie sprowadził na siebie śmierci, lecz oddalił ją. Tymczasem spełniła się ta część umowy, której milcząco się spodziewano. W tym podniebnym kręgu, w którym obracał się Drobnis, istniały przecież jakieś kumoterskie reguły, swoja zbójcka etykieta, i jemu nieobca. Zaiste, Bóg porzucił ten kraj, cała nadzieja — w szatanie.

Późnym wieczorem, wracając do siebie, do wiejskiego sztabu, przejeżdżając przez porośnięty rzadkim lasem wądoł, ujrzał od strony drogi dziwne jarzenie nieba. Rozproszone światło z wądołu czy też innej jakiejś niziny oświetlało pnie sosen i tuż nad głową płynące strzępy obłoków; jednocześnie słychać było słabe trzaski rewolwerowych strzałów. Nie przypominało to boju, zresztą nie mogło go być z dala od śpiącej „pierwszej linii”, skąd wracał Kobrisow. Kazał podjeżdżać ostrożnie — i ze zбочa ujrzał widok, którego zrazu nie mógł pojąć. Kilka „willisów”, rozmieszczonych w półkolu, na dnie porzuconej gli-nianki świeciło na całego swymi reflektorami, a na granicy mroku sła-

bo majaczyły zastygłe postacie ludzkie.

Wszystko, co niepojęte, momentalnie wprawiało Kobrisowa w stan irytacji. W dodatku tutaj widać nie myślano o rozlokowanych w pobliżu osłoniętych pozycjach artylerii z zapasami pocisków. Licho nie śpi, a nuż jakiś skradający się „Junkers” machnie tu bombkę, wszystko dokoła poleci w diabły od wybuchu.

— Po co to światło? — zapytał gniewnie.

Spojrzano na niego, ktoś poświecił mu latarką w twarz, odpowiedzi nie doczekał się. Ale wkrótce sam dojrzał tego, który stał w centrum owego półkola — w bluzie bez naszywek, z gołą głową i na bosaka. Zre-

228

/ .tą nie stał, lecz wił się i podskakiwał, wykrzykując piskliwie przy każdym kłaśnięciu, jakby go chłostano batem. Choć stał w pełnym świetle, trudno było w nim rozpoznać majora Krasowskiego, rankiem leszcze tak zadbanego i nonszalancko pewnego siebie.

— Za co? — pytał żalonym głosem, w którym pobrzmiwał nie tyle ból, co oszałamiająca i paląca krzywda. — Leonidzie Zacharowi-
< / .u, za co?

Generał Drobnis, w swojej słynnej czapce, siedział bokiem na prze-
11 nim siedzeniu „willisa”, z nogami wywalonymi na zewnątrz i strzelał niespiesznie. Dźwięk wskazywał na pistolecik Korowina, kalibru 6,35, generalską zabawkę, ginącą w solidnej męskiej dłoni, ostatnią pociechę pechowych dowódców — można było ją trzema palcami podnieść do skroni. Zwalić z nóg człowieka jedną kulą z odległości dziesięciu kroków było nie lada wyczynem, ale tutaj nie o to chyba chodziło. Drobnis umiał

strzelać i trafiał tam, gdzie chciał, bez pudła. Celował dokładnie, długo wodząc lufą z góry do dołu, i wbijał kulę za kulą w swego krzepkiego majora — mierząc w pośladki. Na bluzie i bufiastych spodniach Krasowskiego, na rękawach i na udach sączyła się krew. Przy tym ofierze egzekucji nie odmawiano odpowiedzi na jego „za co?”

— Krasowski — mówił Drobnis w przerwach, monotonicznie i skrzypiąco, ale z coraz większą złością — przeczytali wam wyciąg z wyroku trybunału, czego jeszcze nie rozumiecie? Pogwałciliście najświętszy rozkaz Naczelnego: „Ani kroku wstecz”.

— Dla mnie wasza opinia, Leonidzie Zacharowiczu, droższa jest niż trybunału — mówił w pośpiechu Krasowski. — Czyżbym już wam nie był potrzebny?

— Mnie osobiście niepotrzebny jest człowiek, który mnie zawiódł, zdradził w ważnej chwili... Zhańbiliście moje wystarczająco siwe włosy.

— Poddajcie mnie jeszcze jednej próbie! Dajcie mi inne zadanie... śmiertelnie niebezpieczne. Zobaczycie... Nie zawiodę was.

— Mieliście takie zadanie, Krasowski, i nawaliliście w sposób zbrodniczy. I teraz też macie możliwość — przyjąć karę, jak przystoi żołnierzowi radzieckiemu, a tym bardziej dowódcy. I nie trzeba mnie oddzielać od Naczelnego. Nie w swoim imieniu was karzę, ja bym wam wybaczył, lecz za wykroczenie przeciwko jego rozkazowi.

Drobnisowi skończyły się naboje, wyrzucił łuski, pusty magazynek cisnął w krzaki i wyciągnął rękę nie patrząc przed siebie. Ktoś ze świty z gotowością podał mu nowy.

— Macie jeszcze jakieś pytania, Krasowski? Moim zdaniem, wszystko jest jasne. Winniście dziś umrzeć z honorem, a miast tego umieracie haniebnie.

Major Krasowski miał wystarczająco dużo miejsca na pośladkach i mogło to ciągnąć się jeszcze długo.

— Po co się tak męczyć? — powiedział Kobrisow. — Wzięlibyście strzelca z karabinem maszynowym i dwóch konwojentów, zrobiliby wszystko jak należy. A tak — w coź się ta kara przekształca? Toż to praca dla was — niewyznajna...

Włożył w swoje słowa, ile tylko mógł, zjadliwej pogardy, która zresztą na nikim z obecnych nie zrobiła wrażenia. Drobnis obrzucił «j;o krótkim spojrzeniem, w świetle reflektorów zabłysnęło ogniem jego oko, i znowu wycelował. Lecz oto kto mu odpowiedział — Krasowski.

Ze wzrokiem utkwionym w Kobrisowa, z głową odrzuconą do tyłu, wrzasnął — z dającym się słyszeć wyraźnym oburzeniem w głosie:

— A wy, towarzyszu generale... Czego się wtrącanie w nie swoje sprawy? Leonid Zacharowicz wie lepiej, jaką mi karę wymierzyć. I w co się ona ma przekształcić... Tak więc nie wsadzajcie nosa, gdzie nie trzeba, zrozumiano? Jeśli jestem winien, to umrę z rąk Leonida Zacharowicza, ale waszych sentencji nie życzę sobie wysłuchiwać...

W krzyku zamęczonej istoty ludzkiej Kobrisow dosłyszał odgłos ostatniej nadziei, którą wywołał swoją interwencją, sam też obrywając. Ale nie tylko o to chodziło, nie tylko o wyrzeczenie się na skraju możliwości jakiegokolwiek współczucia, ale jeszcze o coś absolutnie niedopusz-

czalnego, budzącego niedowierzanie i protest. O, jakże żałosny jest mały człowieczek, który powierzył swe życie innemu, uznając jego prawo do odebrania mu go lub pozostawienia! Czyżby z własnej woli przerwał je choćby na cząsteczkę sekundy w nieogarnionej wieczności? Dlaczegoż więc godzi się z cudzą wolą jako najwyższym prawem? Tak, jest żałosny, ale zarazem straszny: skoro nie ratuje się ucieczką, nie rzuca się jak zwierz na swego kata, to jaką cenę mieć może dla niego cudze życie? Kobrisow, machnąwszy jedynie ręką, pobrał dalej.

Dochodziły do niego odgłosy trzasków i lamentów.

Nigdy potem nie mógł sobie wybaczyć swoich słów o strzelcu z karabinem maszynowym i konwojentach. Wypowiedział je bynajmniej nie po to, by narazić ofiarę na więcej mąk i strachu, a wyszło tak, jakby sam wziął udział w egzekucji. Kiedyż to skończy się ta niewola — sprawiająca, że uczestniczy we wszystkich poczynaniach tych lu-

230

dzi, którzy mu są obcy, nienawistni — i tak samo wrogo nastawieni wobec niego?

Być może właśnie od tego dnia z generałem Kobrisowem zaczęło dziać się coś niebezpiecznego i zgubnego, na co nie może sobie pozwolić człowiek, któremu sądzone jest rozporządzać życiem dziesiątków tysięcy ludzi — jeśli nie zamierza on stać się tą stonogą, która nie w porę jęła się zastanawiać, w jakim położeniu znajduje się jej siedemnasta łapka wtedy, kiedy podnosi trzydziestą drugą. Wstąpił na drogę wiodącą przez wciągające w głąb trzęsawisko, z którego prawie nikt nie potrafi się wydobyć na poprzednią, bitą drogę, prawie żadnemu

sercu nie jest sądzona ponowna obojętność. Coraz częściej odczuwał rozpaczliwy, wewnętrzny sprzeciw duszy, duszy umęczonej niesprawiedliwym i niedobrowolnym uczestnictwem. Wcześniej też nieustannie rozmyślał o ponoszonych stratach i usiłował traktować ludzi jak roztropny gospodarz swój nieuchronnie zużywający się materiał, który należałoby na wszelki sposób oszczędzać, aby ten, komu sądzono jest zginąć, przynajmniej sprzedał swoje życie drożej, padł choćby o sto kilometrów dalej na Zachód. Teraz zaczął zastanawiać się nad tym, że kompanie i bataliony składają się z ludzi noszących konkretne imiona i nazwiska, posiadających pamiętne daty, dni urodzin, tajemnice sercowe, konkretne sprawy codziennego życia, że wszyscy oni są nie tylko szeregowcami, starszymi strzelcami czy sierżantami, ale jeszcze czyimiś dziećmi, mężami i ojcami, że gdzieś tam na nich czekają, żywiąc głęboką nadzieję, że ktoś taki jak generał Kobrisow przekaże ich z wojny żywych i, co nie mniej ważne — całych... I coraz częściej zwracał się — dawniej rzecz mu obca i nie uświadomiona jako coś niezbędnego — ku Temu, o Kim nie myślał będąc w drodze, a wspominał dopiero wtedy, kiedy zagrażała śmierć albo męczyła rana, albo dręczyła choroba. To, co przyniósł desantowiec, zaskoczyło go, i znowu odczuł wewnętrzny sprzeciw duszy i żal: dlaczegoż musiało się to przydarzyć właśnie jemu? Czemu nie komuś innemu, komu, być może, byłoby zupełnie obojętne, kim oni są, ci obrońcy Myriatina? Mogło mu się przecież powieść, jak się powiodło choćby Czarnowskiemu: miał przed sobą całe skrzydło składające się z Rumunów, o których Fuhrer powiedział: „Żeby zmusić do wojaczki jedną rumuńską dywizję, trzeba, by

za nią stało osiem niemieckich".

I jak tu wyślizgnąć się z tej pułapki? Być może jest tylko jedna droga: wciągnąć do niej kogoś innego, dla kogo nie będzie to pułapka,

232

lecz najzwyczajniejsze miasteczko, baza Prawobrzeża, za którą również nagrodzą...

...Tego wieczoru generał Kobrisow powiedział do adiutanta Donskoja:

— Połącz mnie, mój kochany, z naszym sąsiadem.

— Z którym — zapytał Donskoj. — Z prawa? Z lewa?

— No coś ty, mój kochany! Do tego z lewa nie dodzwonisz się, ma ważniejsze sprawy na głowie. Bierze Predsław. Z Czarnowskim chcę porozmawiać. Jeśli go tam nie ma, niech zadzwoni, jak będzie mógł.

Mam dla niego niespodziankę.

— Tak mam powiedzieć: „niespodziankę”?

— Tak właśnie powiedz.

I oto zbliżał się do decydującej granicy, do Rubikonu. W ten słoneczny, nawet zbyt szczodry jak na połowę października dzień, stali obaj przy oknie, generał Kobrisow z generałem Czarnowskim, na pierwszym piętrze stacyjki w miejscowości Spaso-Pieskowcy, bacznie przyglądali się placowi u dołu i wylotowi wpadającej weń alei.

Mały placyk, usłany spadającymi, zielonymi liśćmi topoli, był pusty, stał na nim tylko „willis” Czarnowskiego. Spod „willisa” sterowały nogi kierowcy Sirotina — jak zawsze ochoczo naprawiał cudze.

Kierowca Czarnowskiego, przykucnąwszy, dawał rady.

W centrum placu był okrągły, wysoko usypany klomb, a na nim zachował się, cały wygryziony przez kule i odłamki, szary cokół „pod marmur”, z którego wyrastały nogi w butach i nogawice. Sam gipsowy wódcz, pomalowany na srebrny kolor, leżał plackiem, twarzą do ziemi w wysokim burzanie, z odrzuconą, odpryśniętą, wskazującą w dal ręką. Powalił go chyba nie pocisk, lecz obrót armaty czołgowej — przemawiały za tym wygięte, wyrwane z cokołu pręty uzbrojenia.

— No cóż, Wasylu Daniłyczu, można uważać — żeśmy się dogadali? — powiedział Kobrisow pełen niecierpliwości, a nawet, nie wiedzieć czemu, strachu.

Czarnowski, trzymając rękę na jego ramieniu i z lekka uwieszony na nim, pochylił ku niemu głowę i leciutko uderzył w skroń. Twarz Czarnowskiego promieniała uśmiechem, klasyczna, czarnobrewa i białożęba twarz ukraińskiego „łycara” z pieśni, twarz gogolowskiego Andrzeja.

— Możesz być spokojny, Fotiju Iwanyczu, nie denerwuj się. A jednak coś cię nurtuje, przyznaj. No, nie?

232

— A bo co?

— A może się przeliczyłeś? — Czarnowski dużym paluchem stuknął go w szeroki bok, nieco powyżej rzemienia, ale Fotij Iwanowicz nawet nie drgnął. — Odcinek należy do ciebie, wyrażasz gotowość odcięcia mi części — a co jeśli raptem — to złota żyła? A ja ją rozpracuję. Prawdę mówiąc, z tym twoim Myriatinem rozprawię się w dwa-trzy dni, nie więcej. Przecież ku niemu już doprowadzono dwie przeprawy. Które, nawiasem mówiąc, zaliczę na swój rachunek.

— No i słusznie.

— Tak więc należy się Czarnowskiemu salwa honorowa — ze stu dwudziestu czterech dział. A ty z Predstawlem chyba sam sobie nie poradzisz? Czy nie będziesz wtedy żałować?

— Nawet bardzo — powiedział Kobrisow całkiem szczerze. — Ale za to cóż za rozmach!

— Za sam rozmach zbyt wiele nie zapłacą. Płacą, kiedy się uda.

Albo — jeśli się nie uda, ale przyczyny były obiektywne. A tu tego ci nie powiedzą. Powiedzą, żeś się sam wprosił i że sytuacja była wyjątkowo korzystna. Nie wyobrażasz sobie, jak ci teraz zazdroszczą.

— Wyobrażam sobie — powiedział Kobrisow. I trwoga w nim jeszcze się wzmogła. — No, a może kota w worku ci sprzedają?

— Nie wątpię, Fotiju Iwanyczu. Czyż po tobie można się czegoś dobrego spodziewać?

Twarz Czarnowskiego rozpromieniła się w łagodnym, chłopięcym uśmiechu. Żartował, czy też domyślał się istotnie, jaki kot ukryty był w tym worku? To, co ustępował Kobrisow swemu prawemu sąsiadowi, Czarnowskiemu — skrawek przyczółka z doprowadzonymi już do niego przepławami, no i nie zdobytym jeszcze miasteczkiem Myriatinem — wszystko to wyglądało nie bardziej na podstęp, niż każdy inny rodzynek, orzeszek, bastion „Wschodniego Szańca”, jak Niemcy nazwali swoją linię obrony na Prawobrzeżu Dniepru. Kłopotów tam było oczywiście więcej niż na trzy dni, tak się tylko mówi dla upiększenia mowy żołnierskiej i aby obniżyć cenę podarunku. Ale to najważniejsze, co najbardziej niepokoiło Kobrisowa, od czego chytrze chciał

się wyzwolić, mogło być najzupełniej obojętne dla tego szczęśliwca, „ulubieńca frontu”. Rosyjskie bataliony, rzucone na obronę Myriatina, tworzące jej kościec, byłyby dla niego, kto wie, tylko przeciwnikiem, takim samym jak Niemcy czy Rumuni, tyle że bardziej zaciekłym i szczególnie niebezpiecznym — w okrążeniu. A losy tych obrońców, prokuratorские namiętności, bachanalia „świętego rozrachunku” — cóż to mogło

233

obchodzić żołnierza spełniającego swoją powinność i wykonującego rozkaz? Zresztą, być może, sam się zdziwi, kiedy się dowie...

— Jadą — powiedział Czarnowski.

W tym samym momencie Kobrisow też usłyszał ryk motorów i cichy skrzyp opon po wypolerowanych, wciśniętych w ziemię kawałkach cegły. Z alei wypłynął opancerzony transporter ubezpieczenia przedniego z zadartym ku niebu podwójnym karabinem maszynowym; nad pochyłą jego burtą, w zamaskowanych żabich kombinezonach sterczały głowy w hełmach. W ślad za nim pojawił się samochód Watutina, zrobił płynny półokrąg i stanął obok „willisa”. Ochrona dowódcy frontu rozproszyła się po krzakach otaczając dokoła stacyjkę. Kierowca Czarnowskiego skoczył na równe nogi, naciągnął czapkę i wypiął pierś. Nogi Sirotina w dalszym ciągu sterczały spod samochodu — zresztą nikt z przybyłych tego nie zauważył.

— Trzeba przywitać — powiedział Kobrisow.

Ale ręka Czarnowskiego jeszcze silniej wpiła mu się w ramię.

— Spokojnie. Ty jesteś tu gospodarz, winieneś ich powitać na progu. A poza tym jesteś dziś solenizantem. A ja wyjdę im na spotkanie —

na prawach gościa.

— Boję się — Kobrisow z troską wpatrywał się w puste, jasnoniebieskie niebo. — Nie daj Boże, jakiś wróg nadleci...

— A ty, co, władzę własną piersią osłonisz? Nie wystarczy, Fotiju Iwanyczu, twojej piersi. Jeszcze nie wiesz, ilu ich do ciebie raczyło przybyć. Ale to nic, żaden wróg się nie zjawi, jużes go tak przycisnął, można rzec, całym ciałem!...

Czarnowski zbiegł szybko na dół i zanim Watutin wygramolił się ze swego „willisa”, zdążył okrążyć klomb. Krok miał, jakby biegł, tak był sprężysty i prężny. Ręce przy tym zręcznie obciągały bluzę pod rzemieniem. Kitla nigdy nie nosił, wolał bluzę — wyglądał w niej przystojniej, barczyściej, a co najważniejsze — młodziej. Ostatnie trzy kroki wybił, podrzucając rękę ku skroni. Watutin mimowolnie uśmiechnął się, powiedział kilka słów — najpewniej, jak zwykle: „Z ciebie to nie żaden generał-lejtnant, ale lejtnant-generał” — i patrząc na Czarnowskiego niemal z miłością, oparł rękę o maskę „willisa” pozwalając tym samym podwładnemu stać na „spocznij”.

Przy którychś słowach Czarnowskiego z lekka zmarszczył się, odzegnując się jak od jakiejś bzdury, jął przekonywać i w tejże chwili raptem spojrział mimowolnie w okno. Ciężka, nabrzmiała twarz Watutina odzwierciedlała przez mgnienie zakłopotanie, jakby Kobrisow

234

mógł go słyszeć, i obaj natychmiast zwrócili się ku alei zmierzając na spotkanie kolejnego samochodu.

Tym kolejnym przybył Chruszczow. Tego żaden mundur, żadne

odznaczenia na piersi nie czyniły generałem-liniowcem, albo przynajmniej komisarzem, jakim był przy Watutinie; coś w nim pozostawało nie do wykorzenia z kwatermistrza na tyłach. Spłaszczona, z długim daszkiem czapka siedziała na nim jak słomkowy kapelusz. Na tylnym siedzeniu adiutant z ordynansem trzymali na kolanach ogromne pudło przewiązane czerwoną wstęgą — przypominało imieninowy podarunek: lalkę mówiącą „mama” i paskudnie zamykającą oczy. Wydostawszy się na zewnątrz, Chruszczow podreptał w miejscu — nie tyle nogi rozprostowując, co raczej utwierdzając je na ziemi. Uporawszy się z tym, przeszedł do innego zajęcia — jął wydawać rozporządzenia, aby wyniesiono pudło, i to z całą ostrożnością. Wszystko było zrozumiałe bez słów — wystarczyły jego gesty.

Trzeci samochód wprowadził Kobrisowa w zdumienie. Przybył w nim Tierieszczenko. Po co to było potrzebne dowódcy armii, który walczył Bóg wie jak daleko stąd, o jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów w dół rzeki, tego Kobrisow nie był w stanie zrozumieć. Ale jeszcze większą niespodzianką było ujście tego, który pospieszył na przywitanie gościa — majora Swietłookowa! I skąd on się wziął, chyba nie czekał na spotkanie w krzakach? Wydawało się nawet, że są w dobrej komitywie. Tierieszczenko uśmiechnął się do niego łaskawie, podał rękę, i ten, również z uśmiechem, ukłonił się z uszanowaniem wyprężając na baczność, jak nigdy nie kłaniał się Kobrisowowi. Wymienili parę słów, i Swietłookow nagle zniknął bez śladu, jakby krzaki się rozstały, wciągnęły go i na powrót za nim zamknęły. Widocznie Tierieszczenko nieporęcznie było z nim dalej rozmawiać, zbliżała się wyższa

władza, Watutin z Chruszczowem — po raz tysięczny Kobrisowa
wprawiło w zdumienie, jak można przy pomocy sztuki nadrobić — i to
7. nadmiarem — to, czym nie obdarzyła nas natura. Tierieszczenko,
chudziutka chwyтлиwa małpka, powinien był, wydawałoby się, zręcz-
nie wyskoczyć i podskoczyć na spotkanie Watutinowi i Chruszczowo-
wi, ale nie, nadal siedział z laską między nogami i czekał, by do niego
podeszli i zaczęli rozmowę ponad jego głową, wciąż siedząc w tej sa-
mej pozycji. Ludzie korpulentni, jego zwierzchnicy, żartowali z nim —
on zaś odcinał się, bez pośpiechu, z urazą i niezadowoleniem.

Z obawy przed nalotem kawalkada samochodów rozciągnęła się
znacznie, goście przybywali z przerwami, co trzy, cztery minuty. I każ-

235

dego witano wesoło, gwarnie, jakby rozstali się nie godzinę, a miesiąc
temu. Przybył podobny do Cygana Gałagan, dowodzący armią powie-
trzną wspierającą armię Kobrisowa — jak zawsze bez świty, „willisa”
sam prowadził i to tak pędził, że nie każdy odważył się z nim siadać.
Robiono mu z tego powodu wymówki — za brawurę w powietrzu i na
ziemi — z pewnością robili wymówki i teraz; on kichał na to wszystko
i spoglądał z tęsknotą na niebieskie niebo, chciał mu się latać bez koń-
ca, o każdej porze. Przybył dowódca 1. Armii Pancерnej, Rybko —
„pancerny ojczulek”, jak go nazywano — człowiek już niemłody i z
postury cywil w każdym calu, przypominający dyrektora sowchozu
lub kierownika wiejskiej szkoły. Zdjąwszy czapkę, położył ją na grubej
teczce przed tłustym brzuchem, ocierał chustką lśniąca czaśkę, na
wpół łysą, na wpół ogoloną, i coś tam opowiadał ze smakiem — na-

pewno o tym, jak jego kucharz nauczył się przyrządzać gęś z jabłkami.

Plac zaludnił się, ciasno było od samochodów, jednakże wciąż na kogoś czekano, nie ośmielając się przed jego przybyciem wejść do pomieszczenia.

Wreszcie przyjechał i on, w asyście opancerzonego transportera, wysoki, masywny jegomość, o surowym, szerokim obliczu, w czarnej kurtce skórzanej bez naramienników, w czapce polowej nasuniętej nisko i prosto, ani trochę na bakier, jednak żadna odzież, ani sposób jej noszenia nie ukryłyby w nim wojskowego, stworzonego do wydawania rozkazów. Kiedy wstał, okazał się bynajmniej nie wysoki, ale przy nim wszyscy się wyprężali, jak tylko mogli, i zadzierali głowy, co wyraźnie nie sprawiało mu przyjemności. Poderwał się także natychmiast Tierieszchenko, nie ośmielając się ani przez chwilę siedzieć, skoro tamten wstał. Poznawszy go, Kobrisow poczuł chłodek w okolicy serca; strachu napędzały już same tylko legendy otaczające tego człowieka; zaiste, było w nim coś, co przerażało.

Marszałek Żuków, zastępca Naczelnego, nieomal i sam Naczelny, nie odpowiadając na powitania, jedynie obrzucił wszystkich wzrokiem i skierował się ku drzwiom stacyjki. Za nim wszyscy podążyli niemal bezszelestnie, rozlegały się tylko jego twarde kroki. I Kobrisowa nogi same poniosły w dół po schodach — by zdążyć otworzyć drzwi i stanąć na baczność.

Tu w pewnym sensie okazała Kobrisowowi pomoc sprężyna u drzwi, którą musiał przytrzymać ręką, dlatego też jego postawa nie była sztuczna, a raczej na odwrót, bardziej swobodna. Surowe spojrzenie

marszałka — z dołu do góry — smagnęło go po twarzy, baczne, wcią-

236

gające, jakby przeżuwające stojącego przed nim, wyrażające jedną tylko myśl — zjeść czy wypluć? Potworny podbródek, zajmujący nieomal trzecią część twarzy poruszył się, gdy zaczął mówić, a twarde usta wyrzuciły z siebie słowo, które Kobrisow ledwie dosłyszał. Słowo to było:

— Wit...

Kobrisow coś tam wybąkał, czego sam nie dosłyszał. Marszałek z wysuniętym ku przodowi ramieniem minął go, nie zwracając nań więcej uwagi, ale raptem odwrócił się.

— Ty kim jesteś — szwajcarem czy dowódcą? Drzwi sam potrafię otworzyć. Jeśli jesteś dowódcą, to daj rozkaz, gdzie mamy iść.

— Do poczekalni, bardzo proszę.

Marszałek nie zdziwił się, ale machnął ręką, jak się macha na niewydarzonego durnia.

Stacyjka miała jedną dużą salę o wysokości dwóch pięter, z wyjściami na plac i na peron, i kilka klitek służbowych w skrzydłach. Z kopułowatego sufitu spozierały zakopcone oblicza: górnika z młotem na ramieniu, piersiastej kołchoźnicy obejmującej snop jakiegoś zboża, żołnierza straży pogranicznej z psem, podobnym raczej do wychudzonego dzika, lotnika i pionierów pod gębą samolotu ze śmigłem. W roku czterdziestym pierwszym stacyjka dostała, jak się patrzy — i od swoich, i od obcych — hulał w niej wiatr i wity sobie gniazda ptaki, kąty zarosły pajęczyną. Saperzy pospiesznie uprzątneśli stopy gruzu, zatkali dziury w kopule dyktą i brezentem, ustawili ocalałe ławki, z

gabinetu naczelnika stacji przynieśli stół. Dziury w ścianie zostawili tak jak było — przez nie płonęło pożegnalną czerwonią listowie klonów i dębczaka.

Marszałek, rzuciwszy na to wszystko okiem, i więcej na nic nie patrząc, usiadł przy stole i zwrócił się bokiem do mapy, którą powieszono na ścianie kasy biletowej, niegdyś oszklonej, obecnie tylko okratowanej. Kobrisow stał obok niej ze wskazówką, czekając aż wszyscy się usadowią. Wyglądało to — jak w szkole: nauczyciel przy stole, uczniowie w ławkach, wywołany do odpowiedzi — przy tablicy. Lekcja jednak nie od razu się zaczęła — w ślad za Chruszczowem wniesiono to właśnie pudło z czerwoną wstęgą.

— Gior Konstantynyczu — zwrócił się Chruszczow do Żukowa, konspiracyjnie uśmiechając się całą szeroką twarzą z dwiema różnej wielkości i kapryśnie rozmieszczonymi brodawkami. — Pozwólcie, zanim zaczniemy, znaczy się, wręczyć wszystkim skromne podarunki tego, znaczy się, obecnym wszem i wobec, w imieniu, znaczy się, Rady

237

Wojennej Frontu. Tak, 1. Ukraińskiego. Dni mamy, można powiedzieć, szczególne, znaczy się, wyzwolenie świętego grodu Predsławla, perły, można rzec, Ukrainy. I chciałbym zauważyć, że oto słońeczko wszystkim nam, znaczy się, z tego powodu tak świeci, cieszy się jakby razem z nami, naszym triumfem...

Żuków z kamienną twarzą przytaknął:

— Dobrze powiedział Nikita Siergiejewicz. A najważniejsze, że krótko.

Pudło wtaszczyli na stół. Nikita Siergiejewicz, który miał znacznie więcej jeszcze do powiedzenia, podreptał z udręką, napinając krótką szyję i dał znak ręką, jakby miał wysadzić most. Długi, i ze wzruszenia jeszcze dłuższy adiutant rozwiązał wstęgę, otworzył pudło i cofnął się. Chruszczow, zanurzając w nim ręce, wyjmował i każdemu wręczał, zgodnie z przywiązaną metką, co się komu należało w celofanowym opakowaniu: dla palących — tombakowe papierośnice z wygrawerowanym na wieczku widokiem Wieży Spaskiej Kremla i po kartonie amerykańskich papierosów, dla niepalących — bombonierki z czekoladkami, a dla wszystkich — po butelce gatunkowego koniaku ormiańskiego, kalendarzu z obrazkami oraz po zegarku, na którym wryto nazwisko, również amerykańskim, z modnym właśnie od niedawna czarnym cyferblatem i świecącymi wskazówkami. Każdy obdarowywany otrzymywał też nieodłączną koszulę bez kołnierzyka, haftowaną we wzorek ukraiński, ze sznurówką zamiast guzików, zakończoną czerwonymi, puszystymi frędzlami.

Goście chrzęścili papierami, przykładali koszule do piersi. Żuków również przyłożył i zapytał:

— A kiedy się to nosi?

— Zawsze! — odpowiedział Chruszczow z zapalem. — Ja na co dzień noszę taką pod kitem. — I rozpinając kitel obnażył przed wszystkimi wyszytą pierś. — Chociaż z wierzchu nie widać, a moją chochłacką duszę grzeje. Myślę, że z dowódcami nam się udało, kto z nich nie chochoł szczery? Tierieszczenko — chochoł, Czarnowski — też stamtąd, o Rybce — nie ma co mówić, Omielczenko ze Żmaczenką

— aż im z nosa kapie. A ty Gałagan — wykapany Białorusin... A Białorus — to co? Rodzona siostra Ukrainy, można je nawet zlać do kupy.

Tylko z tym Kobrisowem nie wiem — tyż, jak ja rozumiju, chochoł?

— Co to, to nie. Kozak znad Donu.

— Znad Donu? ... No, ale w duszy — chochoł?

— I w duszy — Kozak.

238

— Ta ne breszy — Chruszczow zamachał na niego rękami. — To dlaczego ja cię za chochtła uważałem? Pamiętam, u nas, w Donbasie, mieszkała taka rodzina górnicza, Kobrisowów, zgodna taka, ani słowa po kacapsku, tylko ukraińska mowa.

— Zdarza się — powiedział Kobrisow. Na głupotę, wiedział, najlepszym środkiem jest — taka sama głupota. A w mojej Stanicy Romanowskiej były trzy kurzenie Chruszczowów, i ci ani w ząb po ihochłacku nie umieli, nic tylko po rosyjsku.

— Udawali! — nie dawał za wygraną Chruszczow. — A może matka ukrywała przed tobą, szo wy chochtły?

— Matka coś tam przebąkiwała, ale ojciec przekonał, że nie. A ja się jego bardziej bałem. Tak więc... No, a za podarunek — dzięki.

— To kobietom naszym, wspaniałym robotnicom należy dziękować — wyjaśnił Chruszczow. — Najlepsze, to znaczy, stachanówki z charkowskiej fabryki „Czerwonna Robitnycia” nasze zamówienie wykonały. W godzinach nadliczbowych, rozumiecie, ponadplanowo. Specjalnie dla dowódców-Ukraińców.

— Czyli że nie dla mnie — powiedział Kobrisow. I czując na sobie

spojrzenia wszystkich — nastroszone, ciekawskie — podszedł do pu-
stej ławy i położył zawiniątko.

— Nie, co ty, noś sobie — powiedział Chruszczow. Miał tę szczę-
śliwą cechę, że nie dostrzegał swoich gaf. — Noś, Kobrisow, wcześniej
czy później przekabacimy cię na chochłacką wiarę.

Żuków, pozbywszy się swego surowego, wilczego uśmiešku,
odsunął zawiniątko na brzeg stołu, zrobił miejsce dla rąk, splótł obie w
jedną pięść, pokręcił bawiąc się wielkimi palcami.

— Tak więc, dowódco. Pauzę operacyjną zapełniliśmy. Dowódco,
słucham waszego meldunku.

Kobrisow odwracając się przez ramię do mapy, wymachując
wskazówką, niczym pałeczką dyrygenta, odraportował:

— Dwudziestego czwartego sierpnia, za zgodą dowódcy wojsk
(rontu, zdobyłem przyczółek znajdujący się naprzeciwko miasta My-
riatin. Po tygodniu, ściśle, drugiego września — jeszcze jeden przyczó-
łek, bardziej na południe, o jakieś osiem kilometrów niżej wzdłuż
Dniepru. Następnie oba te przyczółki udało się połączyć. Jednocześnie
siłami sześciu pułków strzeleckich, dwóch dywizjonów samobieżnych
dział, wspieranych przez frontowe samoloty, udało się wbić klinami
na północy i na południu od Myriatina, tworząc groźbę okrążenia.

Główne zaś siły armii... — Zamilkł na krótką chwilę i usłyszał wiszącą

239

w powietrzu ciszę, nawet rozróżniał w niej szelest listowia. — ...można
uznać, że całą armię zwrócono prawym ramieniem na południe, w kie-
runku — Predstawla.

Nikt mu nie przerywał i on pokrótce omówił aktualne rozmieszczenie swoich dziewięciu dywizji, objaśnił znaczenie narysowanych strzał, określił rozpoznane siły przeciwnika, i na ostatek wymienił miejscowości, w których toczą się obecnie walki.

— Najbliżej do Predstawla — powiedział — znajdują się we wsi Gorlica. To dwanaście kilometrów od granic miasta. Według raportów dowódców niektóre budynki — na wzniesieniach, oczywiście — dobrze widać przez lornetę.

— Gorlica! — nie wytrzymał Czarnowski. — Toż to miejscowość letniskowa! Mieliśmy tam kursy dla wyższej kadry dowódców, taki obóz szkoleniowy. Znam Gorlice... Nawiasem mówiąc, tam poznałem swoją przyszłą żonę.

Sala zahuczała, zaskrzypiała ławkami.

— Wspomnienia liryczne — na potem — powiedział Żuków. —

Ta Gorlica — jest wciąż w naszych rękach?

— Od wczoraj — cała, towarzyszu marszałku.

Kobrisow z trudem powstrzymał się od niedorzecznego, pełnego satysfakcji uśmiechu. Żuków chwytnym, drapieżnym, wszechogarniającym spojrzeniem, można rzec, wchłaniał w siebie mapę, igrając wielkimi palcami.

— I to wszystko, dowódco?

— Tymczasem... wszystko.

— Będą jakieś uwagi? Wypowiadają się dowódcy. Najpierw młodszy.

Dowódców poniżej generała-lejtnanta nie było, wśród nich Czar-

nowski był najmłodszy wiekiem.

— Jakże tu mogą być uwagi? — powiedział Czarnowski wstając i wyglądając bluzę, na skutek czego jeszcze bardziej uwydatniły się jego ramiona i pierś. Do generała Kobrisowa nie mam pretensji, oprócz... Oprócz zapiekłej, czarnej zawiści! Gdyby mnie to przypadło w udziale, nie zrobiłbym tego lepiej.

— Ale i nie gorzej, co? — swoim ochryłym falsetem wtrącił Tieriszczenko.

Czarnowski odpowiedział posępnie nie odwracając ku niemu głowy:

— Uważasz, Denisie Trofimowiczu, że Kobrisowowi po prostu się powiodło? Tak, powiodło się niesamowicie. Ale to powodzenie

240

trzeba jeszcze — przewidzieć! Trzeba jeszcze umieć swoje powodzenie /a skrzydła schwytać. I nie wypuścić!

„Pancerny ojczulek” Rybko, który dotąd jakoś spokojnie drzemał z rękoma na grubej teczce, odemknął jedno oko.

— Najlepiej — za kuperek ją.

Czarnowski, machnąwszy ręką, usiadł.

— Generale Gałagan, a wasze zdanie? — zapytał Żuków.

Powietrzny śmiałek Gałagan, patrzący posępnie przez wyłom w ścianie na skrawek nieba, wypowiedział się nie wstając.

— Moim zdaniem, chwacko! Kobrisow taki zrobił obrót, że daj Boże każdemu! Ryzykant z niego, ja takich lubię. Obserwowałem całą operację — i aż serce podskakiwało z radości. Rób tak dalej, Fotiju Iwanyczu, i my z tobą, lotnicy, w każdy ogień polecimy.

I zrobił taki ruch ręką, jakby poruszył sterem myśliwca.

— A tyś skąd obserwował — zapytał Tiereszczenko — że, aż ci serce podskakiwało z radości, Jonie Apollinariczu?

„Pancerny ojczulek” Rybko odemknął drugie oko.

— Ze stratosfery.

Bardziej dotknąć Gałagana nie można było. Jego smagła twarz po-
ciemniała jeszcze bardziej.

— Ty, Denisie Trofimowiczu, niepotrzebnie chcesz mi dopiec. Ja w stratosferę nie uciekam, ja, kiedy trzeba, to i brzuchem po ziemi pełzam. W każdym razie, kiedy Kobrisow na promie Dniepr przepływał, sam jego czarną kurtkę skórzaną widziałem. I widziałem, jak zbladł ze strachu, kiedy na niego „Junkers” pikował, a jednak z pokładu nie /szedł. Z największym trudem tego „Junkersa” uprowadziłem, tak mu się chciało generała postrzelić.

— A co tu dobrego — zauważył Tierieszczenko — kiedy dowódca armii życiem swoim bez potrzeby ryzykuje.

Gałagan, nie odpowiadając, spojrzął na Kobrisowa udreńczonym wzrokiem jaskrawo błękitnych oczu (szczególnie cenionych w lotnictwie!), przesłoniętych gęstymi, czarnymi rzęsami. W oczach tych można było wyczytać: „Po kiego diabła, Kobrisow, nie latasz? Wspaniała rzecz — niebo! Tam by za tobą nikt nie polazł...”

— Teraz ja — powiedział Żuków. W sali zaległo momentalnie milczenie. Marszałek, zanim się wypowiedział, pokręcił kilka razy krótką szyją pod uwierającym go kołnierzykiem, odrzucając głowę ku ramieniu i przymykając oczy. Kąciki jego ust wyginały się ku dołowi.

— Od was, Gałagan, oczekiwałem właśnie spojrzenia z wysoka.

Orlego spojrzenia, jak mówi Naczelnny. Nie doczekałem się. Same emocje. — Spojrzał bacznie na Kobrisowa tym spojrzeniem, pod którym, jak mówiono, niektórzy nieomal padali trupem. — Dowódco, stoicie zbyt blisko mapy. Radzę wam spojrzeć na nią z odległości co najmniej półtora metra. A wyście się uparli przy swoim zamyśle i nie widzicie całości obrazu. Takiego awanturniczego wariantu, jaki obraliście, świat jeszcze nie widział. Nacieracie w wąskim korytarzu o szerokości kilometrów... osiem czy nie tak?

— Miejscami nawet sześć.

— Jeszcze gorzej! Z lewej strony — rzeka, przeciwnik — z prawej.

Posuwanie się — z odsłoniętym prawym skrzydłem, z rozciągniętymi połączeniami. W istocie — nie zamknięte okrążenie. W które sami się wpakowaliście. Przeciwnik może was przeszyć na wylot. Bijąc w cel. Z parszywej 57-milimetrowej armatki. O każdej porze, kiedy mu się zachce, potnie waszą armię na kawałki. Jak kiełbasę. Nie musi was przypierać do brzegu, i tak jesteście przyparci. Musi tylko wybrać, od jakiego kawałka lepiej zacząć, a jaki na potem zostawić. Oślepliście? A może myślicie, że wasz przeciwnik jest ślepy?

— Ale przecież tymczasem, towarzyszu marszałku... — zaczął Kobrisow.

— „Tymczasem” — to nie gwarancja. — przerwał Żuków. — To się zdarzy jutro. Dzisiaj. Za godzinę.

— Proszę pozwolić, że będę trochę bronił mego pomysłu?

— Na to tylko czekam.

— Oto, wy, towarzyszu marszałku, zaryzykowaliście przyjazd do mnie — zaczął Kobrisow z daleka. — Po rokadzie jechaliście — nie myśląc, że wam mogą w każdej chwili przeciąć drogę. Dlaczego nie miałbym i ja zaryzykować? Tym bardziej, że swoje ryzyko zabezpieczyłem, jak sądzę, wcale nieźle. Całej ciężkiej artylerii na przyczółek nie taskałem, zostawiłem na tamtym brzegu. Po to, żeby wzdłuż całego brzegu prowadziła pojedynkę ponad naszymi głowami, tworząc obronny wał ogniowy. I w tym wypadku, towarzyszu marszałku, wąski korytarz — to może nasza przewaga? Artyleria, nawet haubice, działają nie na granicy celowania, mogą manewrować ogniem. Każdy metr, dosłownie, ma wstrzelany. Przyznaję — tak jest, były próby zrobienia wyłomu i pocięcia nas... jak kiełbasy. Były — ale z miejsca położyliśmy im kres. Przewaga naszego lotnictwa też swoje zrobiła.

Żuków pomilczał i zapytał:

242

— Łączność z artylerią — radiowa?

— Przewodowa, towarzyszu marszałku. Moja pierwsza grupa łodziowa kabel układała na dnie. Zdobyczny, sześcioprzewodowy. Potem ułożyliśmy następny. Przewidzieliśmy też, rzecz jasna, zaszyfrowaną łączność radiową, ale tymczasem nie musieliśmy jej stosować.

— Przekonywająco — powiedział Żuków. — Przekonywająco bronicie się, dowódco. A wygląda to, powiem wprost, niepoważnie. Wpatrzył się znowu w mapę. Kąciki jego ust wyprostowały się przy tym. Być może przypomniał sobie, jak sam powiedział na wieść o

zdobyciu przyczółka na gołych myriatyńskich stromiznach: „Cóż, na wojnie, wielkie poczynania często zaczynają się niepoważnie”. Być może, iż swym zwierzęcym „wyczuciem przeciwnika” rozumiał, że obrońcy „Szańca Wschodniego” wcale nie są tak spragnieni wojaczki, zwłaszcza jeśli armia rosyjska przechodzi obok, nie wyrządzając im szczególnych szkód, zmierza ku Predsławlowi, za który ostatecznie nie oni odpowiadają.

— Z ręką na sercu, powiedzcie — zapytał — przeciwnik okazał się bardziej bierny, niż się spodziewaliście?

Kobrisow z pewnym wahaniem odpowiedział:

— Ja, towarzyszu marszałku, na tę jego bierność właśnie liczyłem.

I niezwłocznie, jakby tylko na to czekał, poprosił o głos Tierieszczenko.

— Fotiju Iwanyczu — rzekł nie wstając, opierając się obiema rękami o łaskę, z urazą w głosie. Od urazy kosmyk na głowie mu się zwichrzył. — Dziwne rzeczy słyszę — powiadasz: „Liczyłem”. Wszystko sobie na plus zapisujesz. A dlaczego liczyłeś — nie mówisz. Cóż to za niewdzięczność wobec sąsiadów swoich, dowódców armii? A może dlatego tobie lżej, że innym jest trudno? Dlatego, że główny ciężar przyjęli na siebie na Sibieżu? Ty po równej drodze idziesz, a ktoś inny w wąwozach się telepie, w błocie leśnym nurza, glinę miesi, kości swe kładzie, żeby tobie na spodeczku, na poślacanym, Predsławl podać...

A ty tylko rączkę wyciągniesz.

Zukow powiedział nie patrząc na Tierieszczenkę:

— Naczelnny doceni wasze zasługi.

— A czy doceni, że ja byłem posiłkowym? Nie głównym, ale posiłkowym? — zapytał Tierieszczenko wybałuszając smutne oczy obrażonej małpki. — Bo kto w ogóle wszystko to zaczął, Puszkina?

„Nie mogę tego słuchać! — pomyślał ze zdumieniem Kobrisow — Czyżby oni sądzili, że całą chwałę sobie przypiszę, całą kołdrę na sie-

243

bie ściągnę? Czyżbym mógł sobie pozwolić pomyśleć nawet, żeby zdobyć Predstawl sam, swoimi tylko siłami? Dlaczego jednak nie mogę być głównym? Dlaczego nie mogę być koniem dyszlowym, a tylko przyprzążkowym?"

— Zgadza się, tyś zaczynał — powiedział czując, jak rośnie w nim irytacja, jak zaćmiewa mu rozum, i obawiając się tego — nie mógł się powstrzymać. — Ale czyżby nie widać było, że ten wasz Sibiński przyczótek niczego dobrego nie rokuje? Sami sobie urządziliście bałagan, no i macie teraz za swoje...

— Proszę, żeby dowódca — powiedział beznamiętnie Żuków — używał wojskowej terminologii.

— Przepraszam, towarzyszu marszałku. Ale chciałbym zapytać sąsiadów-dowódców: czy to diabeł wykopał tam te parowy, zanim się przeprawialiście?!

Zadał to pytanie, na które i po upływie dwudziestu, i trzydziestu lat będą szukać odpowiedzi i nie znajdować jej: jakże tak, czyżby zawczasu nie było jasne, że południowy przyczótek przy wsi Sibiż — to pomyłka, pułapka? Że wąwozy, lasy i bagna nie tylko nie stanowią o przewadze tego wyboru, lecz kryją w sobie ciężkie utrudnienie. Dlaczego tak

niewyraźne, wymijające, są objaśnienia historyków: „Niestety, Sibiński przyczółek okazał się miejscem, gdzie zbyt wiele krzyżowało się dróg, obfitującym...” Kiedy „okazał się”? Przed, czy po przeprawie?

— A więc uważasz — zapytał Tierieszczenko głosem cienkim, zalamującym się, niemal płaczącym — że nasze wysiłki, nasze straty ogólne, ofiary nasze — to wszystko na próżno? Dlaczego wcześniej milczałeś? A sam podstępnie, rozumiesz...

— On nie milczał — powiedział Żuków nachmurzywszy się.

Tak, w chwytliwej jego pamięci utkwiała narada w Olchowatce, gdzie i Kobrisow i Czarnowski wypowiedzieli się przeciwko wariantowi przewidującemu utworzenie Sibińskiego przyczółka, którego on sam bronił.

Tierieszczenko zamilkł, zjeżył się, spoglądał tylko spode łba na Kobrisowa — z urazą, wyrzutem, poblakłymi ze złości oczyma.

Żuków, przygryzając dolną wargę zmarszczył brwi i posepnie utkwiał wzrok w mapę. Nad czym zastanawiał się teraz marszałek? Czy nie nad tym, że sam dał się ponieść emocjom, pozwolił, by go wciągnięto w aferę, zaufał oczywistości, która wcale nie była oczywistą? Przymknął oczy na wszystkie inne możliwości, które dostrzegł ten niedźwiedz, dający teraz wszystkim lekcję genialności? Tak, podejmując wtedy swoją „niepoważną” decyzję, był on przez chwilę geniuszem.

244

Miernoty czepiają się spojrzeniem wąwozów, zakola, krążąc w leśnych zaroślach, a spojrzenie geniusza zatrzymuje się na pustynnym brzegu i w nagich stromiznach odnajduje rozwiązanie zagadki.

A rozwiązanie było takie proste — czołgi! Trzeba było je kochać,

tak jak ten Kobrisow, żeby wiedzieć, że one lubią równą, lekko pofałdowaną miejscowość, gdzie można się schować w sam raz po wieżę albo nagle wylecieć na pagórek, ostrzelać się, znowu zagubić na nizinach, w rzadkich laskach i zagajnikach, zniekształcających ryk i szczęk, a co najważniejsze — nie tracąc tempa...

— Awantura. — powiedział Żuków. — Ale sympatyczna awantura. Jesteście generałem znającym się na czołgach, cenię to sobie. Jakście je wtaszczyli na stromizny?

— Różnie. Zdarzało się, że i żerdziami podpieraliśmy pod gąsienicami. Jednego się wciągnie — następnego on taszczy na linach.

— Pewno i ramię podstawialiście?

— Kobrisow wzruszył tylko potężnym ramieniem, a sala zaskrzyphiała ławkami i rozległ się szmer chichotu.

— Naszemu Fotijowi Iwanyczowi — powiedział Tierieszczenko

— takiemu moczowi, można choćby na plecy zwalić...

— Ile było maszyn? — zapytał Żuków.

Zamiast Kobrisowa, otrząsnąwszy się z drzemki, odpowiedział

Rybko:

— Sześćdziesiąt cztery. Minus dwie.

„Pancerny ojczulek” zawsze wiedział, nawet obudzony w środku nocy, ile kto ma czołgów.

— Dwa jeszcze na tamtym brzegu straciliśmy — uściślił Kobrisow, nieoczekiwanie dla samego siebie tonem usprawiedliwiającym.

— Teraz to z nich najdrobniejszy pyłek zdmuchujemy...

Znowu zapanowało milczenie. Żuków, odwracając się do sali, pa-

trzył na wszystkich niedobrym wzrokiem. Pod tym spojrzeniem wszyscy wydawali się — albo chcieli się wydawać — o głowę niżsi, spuszczała oczy. Chruszczow wiercił się na ławce, jakby była usiana szpilkami. Watutin patrzył wprost, ale jakimiś nieobecnyimi oczami.

— Tak, dowódcy... — zaczął Żuków złowieszczo. Ale nie kontynuował. I Kobrisowowi wydało się, że nie tylko on ma nad nimi władzę, ale jakąś też mają oni nad nim. Być może, nie mniejszą.

Tierieszczenko wymienił szybkie spojrzenie ze swym sąsiadem z lewej strony, Omielczenką, ten mrugnął na znak zgody i podniósł rękę, żeby zabrać głos. Tęgi, krągłogłowy, księżycopodobny Omielczenko, z

245

przedziałkiem w rudych, ułożonych w fałdy włosach, przybrał pozę człowieka do głębi przejętego, cały był smutkiem i obolałą duszą.

— Usłyszeliśmy od naszego towarzysza, Kobrisowa, dosadne słowa...

— Nie dla delikatnych uszu przeznaczone? — powiedział Żuków.

— Nie to jest przykre, towarzyszu marszałku, że dosadne, my, w swoim kolektywie jesteśmy po żołniersku do takich przyzwyczajeni, chodzi o to — że krzywdzące. Trzyma się człowiek swego tylko koryta, a nie widzi tego, że, być może, wszystko idzie zgodnie z planem. Ze dowodzenie frontem było zamyślone tak a nie inaczej. Jednym taki przypadł los, żeby tego, znaczy się, von Steinera, na siebie ściągnąć, denerwować go, a innym — sztandar na radzie miejskiej zatknąć. Nie należało koniecznie wszystkich wtajemniczać, ale teraz można się przecież domyśleć, że manewr został wcześniej zaplanowany i jak

mówi poeta, nie zawadzi przypomnieć Majakowskiego: Podzieln.y sławivf//toć myśmy swoi...*

Oto, jak się wszystko odbywało, okazuje się! Oto co się odbywało, kiedy on, Kobrisow, patrzył przez lornetę nożycową na czarnego anioła z ciężkim krzyżem na ramieniu, wysoko wznoszącego się nad gąszczami parku, nad oślepiającą kopułą cerkwi, z otworem od pociągu, który cudem nie wybuchnął w środku, na dymiące zgliszcza alei pochyło i ukośnie schodzącej ku Dnieprowi, i rozmyślał o tym, jak krzywdząca rola mu przypadła: stać naprzeciwko wielkiego miasta i tylko asekurować Tierieszczenkę — na ten niewiarygodny wypadek, gdyby von Steinerowi przyszła ochota przeprowić się na drugi brzeg i zamknąć Sibiżski przyczółek od wschodu. Oto jak było, kiedy trzęsącymi się rękoma, podłożywszy pałatkę, rozkładał mapę i kółeczkiem krzywomierza wodził po zakrętach wodnej przegrody „rz. Dniepr”, kiedy rozsunięciem cyrkla odmierzał odległość od Predstawla do Sibiża i tę odległość przeniósł ku północy, i ramię cyrkla utknęło w samym środku kółka, i odczytał: „Myriatin”. I było, jak się okazuje, przewidziane, zaplanowane zawczasu, jak on, po kolana w wodzie, szukając swej postrzelonej kaczki, rozsunie szuwary w zalewisku i popatrzy na tamten brzeg, i jak porazi go złowieszczą cisza, i usłyszy pulsowanie serca w skroniach...

Cytat z poematu Włodzimierza Majakowskiego Pełnym głosem w tłumaczeniu Władysława Broniewskiego.

246

— Czy mam odpowiadać na zarzut? — zapytał Kobrisow.

— Niekoniecznie — powiedział Żuków.

Z dołu powstał wieloznaczne spojrzenie, którego Kobrisow jednakże nie widział, patrzył w oczy Watutinowi.

— Mikołaju Fiodorowiczu, czy przewidywaliście, że sam poproszę o zezwolenie?

— Dlaczego miałem nie przewidzieć? — zapytał z irytacją Watutin. — Kiedy dzwoniłeś do mnie do Olchowatki, nie zdziwiłem się, od razu dałem zezwolenie. A gdybyś nie poprosił — to by ci wcześniej czy później rozkazano...

— I kiedy ja swoje czołgi szybciotko na prawe skrzydło uprowadzałem, sam przed sobą chowałem, żeby inni nie uprowadzili...

— No, wszystkiego się nie przewidzi. A co do czołgów, to od ciebie nie żądałem, żebyś je komukolwiek oddawał.

Dwaj ludzie krzyczeli w Kobrisowie, i jeden z nich twierdził z uporem: „Nie było tego, nie było!”, a drugi: „Zatrzymaj że się! Tu właśnie zatrzymaj się!” Ale rozumiejąc wyraźnie, że każdym słowem odrąbuje nitkę, którą do niego wyciągnięto, mimo to nie mógł powstrzymać się i nie cisnąć w nich gorzkiego, pełnego złości wyrzutu:

— Nawet gdybyście po prostu stali na brzegu naprzeciwko Sibięza — i tak byście von Steinera na siebie ściągnęli. A przynajmniej go denerwowali. A tak — zbyt droga okazuje się ta maszynka do mięsa.

— Zobaczył smutne, ostrzegające spojrzenie Gałagana i mimo to ciągnął dalej. — Czekał na was na południu — i doczekał się. A gdybyście od razu zaczęli tam, gdzie ja, gdybyście się hurtem zwalili, nie zdążyłby wykonać rozszady.

— To nieudowodnione — powiedział Żuków. — Nie karmcie nas hipotezami. W tym i owym macie rację, ale — nie we wszystkim. Z kim uzgadnialiście natarcie na Predsławl?

Kobrisow odpowiadał wymijająco:

— Towarzyszu marszałku, a po co w takim razie zdobywa się przyczółki?.. Jak można mnie osądzać, kiedy moje jednostki znajdują Kię o dwanaście kilometrów?...

Poskromił swój język, nie dodał tego, co w nim krzychało: „Co tu się dzieje? Wy, tam, na Sibieżu, zwaliliście góry ludzkiego mięsa, i wciąż drepacie, drepacie w miejscu któryż to już miesiąc, a ja, ze stratami dziesięciokrotnie mniejszymi, doszedłem już pod sam Predsławl, ale to nie ja was sądzę, lecz wyście przyjechali sądzić mnie i ni-

247

kogo z was to nie dziwi!.. Jechaliście tutaj — i nie dziwiliście się, po co jedziecie?"

— Nikt was nie osądza — powiedział Żuków.

— Zwycięzcą jesteś, Fotiju Iwanyczu — zaczął Gałagan, ale Żuków powstrzymał go ruchem dłoni.

— Nie sądzimy, a chcemy zrozumieć. Żeby wiedzieć, co dalej robić.

—Ja też chciałbym połapać się w tym wszystkim — podniósł rękę Chruszczow. — Dlaczego to jest tak, że i osądzić nie można? U nas nie ma takich, żeby ich osądzać nie można było. Ja nie w tym sensie, to znaczy, żeby pod trybunał, a w sensie wypowiedzenia się, znaczy się. Partia zawsze ma takie prawo i nam też takie dała. I zwycięzców też, to znaczy, czasami, jeżeli oni...

— Nikito Siergiejewiczu, ty jeszcze długo? — zapytał Żuków.

— No... Chciałem się wypowiedzieć w sprawie operacyjnej. No więc nacieracie, Kobrisow, czy tak? Nacieracie tymczasem, można rzec, z powodzeniem. Ale spójrzcie przez ramię. Przez prawe. I co się u was za plecami dzieje? A tam, rozumiesz, całe miasto u was na tyłach zostaje. Myriatin ten, to znaczy. Macie zamiar coś z nim zrobić, czy jak?

— A po kiego... jest mu on potrzebny? — zapytał Gałagan.

— Jak to „po kiego?” — zdziwił się Chruszczow. — Ładne rzeczy

— „po kiego?” Miasto radzieckie. Zajęte, rozumiesz, przez wroga.

Na to pytanie, którego najbardziej obawiał się Kobrisow, powinien był odpowiedzieć Czarnowski: „Odetnijcie mi ten kawałek przyczółka razem z Myriatinem. Nie mam przed frontem żadnych mniejszych czy większych miast, będę z tego tylko rad”. Tak powinien był powiedzieć Czarnowski, ale nie wiedzieć czemu milczał. Usiadł jak najdalej od Kobrisowa i utkwiał skupiony wzrok w podłogę.

— Dowódcu — zapytał Żuków—jak się układają stosunki z przeciwnikiem w rejonie Myriatina?

— Neutralnie, towarzyszu marszałku. Nikt nikogo nie niepokoi.

— Ale zagraża waszym przeprawom.

— Zagrażał. Głównie lotnictwem. Było i tak, że po czterdzieści samolotów przylatywało, a raz nawet siedemdziesiąt naliczyliśmy.

Ale potem generał Gałagan zapewnił nam taką przewagę, że teraz siedzą cicho.

— Ale wyście przecież po coś te kliny wysunęli. Planowaliście okrążenie?

— Nie było takiego planu. Tylko groźba okrążenia. Gdzie mi tam,
z moimi siłami, jeszcze okrążyć!

248

— I nie trzeba, jeśli nie chcecie. Przesuńcie wasze kliny o jakieś
pięć kilometrów. Sam stamtąd jak rak wypełźnie!

„Tak chyba właśnie będzie — pomyślał Kobrisow. Sami wypeł-
zną. Tylko w ostatniej kolejności tamci, którzy najbardziej boją się tego,
że dostali się do niewoli. Kiedy zacznie się panika, Rosjanie nie dostaną
ani samochodów, ani furmanek, ani siodeł, ani broni przeciwpancer-
nej. Dostaną — kolbami po palcach, żeby się nie uczepili. Tu nastąpi
kres wspólnoty bojowej, każdy za siebie. Zdychajcie, ścierwa, nasze
odejście osłaniajcie. Wy w swojej Rosji przecież zostajecie, czego mieli-
byście się bać — spotkania z rodakami?...”

Tymczasem odezwał się Tierieszczenko:

— Pozwólcie, towarzyszu marszałku, i z wami się nieco posprze-
czać... Jak rozumieć to — „niech wypełźnie”? To przecież pozostawie-
nie inicjatywy przeciwnikowi. To my jeszcze czekać mamy, jak on
postanowi: zechce — wypełźnie, zechce — kliny utnie. Zbyt wielki to
honor, jak mi się wydaje. To nie czterdziesty pierwszy rok, teraz my
winniśmy narzucać swoje idee, a on — niech je przyjmuje. Tymczasem
tutaj nie widzę jak dotąd u dowódcy wyraźnej idei. Ja bym takiej
drzazgi jak Myriatin u siebie na skrzydle nie pozostawiał.

Żuków, nie odpowiadając mu, zwrócił się do Kobrisowa:

— Ile byście jeszcze potrzebowali maszyn? Gdyby front miał takie
możliwości.

Kobrisow zastanowił się, nabrał w piersi powietrza, i głośno ode-
tchnął.

— Ze sto. „Trzydziestekczwórek”.

— Dlaczego sto? Bierzecie to z sufitu?

— Przecież dwustu nie dadzą.

— Generale Rybko, czy wasza armia mogłaby mu tyle przydzielić?

„Pancerny ojczulek”, ocknąwszy się, przysunął do brzucha swoją
teczkę, jakby te czołgi tam były.

— Ce treba rozżuwaty, towarzyszu marszał. Psotnik z niego, z
tego Kobrisowa. Daj mu sto, dwieście, on je przecież wszystkie na
Predstawl pogna.

— No, to już jak on rozporządzi.

...albo gdzieś indziej. A sam nie będzie wiedział, gdzie mu się po-
działy.

— To nic, znajdą się. On je gubi, on je też znajduje.

— Dawaj „pancerny ojczulku”, otwieraj kiesę — powiedział Ga-
łagan.

249

Kobrisow również patrzył wyczekująco na „pancernego ojczul-
ka”. Kto jak kto, ale pancerny generał największą odpowiedzialność
ponosił za pomysł z Sibiżem/ powinien był przewidzieć lepiej od in-
nych, że jego „prymusikom” zgotowany tam zostanie los złomowiska
i sprzeciwić się temu; teraz mógł jedynie cieszyć się, że zaistniała mo-
żliwość wydostania ich stamtąd.

Pełna udręki zaduma przecięła czoło „ojczulka” poziomą zmarsz-

czką. I nagle rozpląnął się w błogim uśmiechu.

— Przypomniała mi się anegdota. Pozwolicie, towarzyszu marszałku?

— Pauza operacyjna — powiedział Żuków.

— Przychodzą czekici z GPU do Żyda: „Rabinowicz, oddaj pieniądze do budżetu państwa!” No, Rabinowicz się wykręca: „Taż skądże u mnie pieniądze?” — „Ty może nie masz, ale twoja Saroczka, GPU wie o tym, ma schowane. Dawaj, wykładaj!” — „A po co wam pieniądze?” — pyta Rabinowicz. — „Jak to co? Socjalizm budować”. — „A wy nie macie pieniędzy?” — „Otóż to, że nie!” — „To wam powiem jedną rzecz: jak się nie ma pieniędzy, to się nie buduje socjalizmu”.

Na anegdotę generałowie zareagowali ochoczo, Żukowowi krańce ust podwinęły się ku górze.

— A myśmy socjalizm już niby zbudowali? — zapytał, uśmiechając się jakoś niepewnie, jakby prosząc o pobłażliwość. Coś w jego uśmiechu przypominało bezzębne dziecko.

— A jakże, Gior Konstantinowiczu! — Naczelny dawno temu już mówił: „Zdobycze socjalizmu”.

— Zatem jeszcze trzeba te zdobycze osiągnąć...

— Ależ skąd, Gior Konstantinowiczu, one są osiągnięte — te zdobycze socjalizmu!

— Trudno za wszystkim nadążyć — powiedział Żuków ze skruką. — No, ale od tego mamy komisarzy. Dobra, dowódcy, pauza operacyjna skończona. Powróćmy do Predstawła.

— Do Myriatina — przypomniał Tierieszchenko.

— Tak, do Myriatina.

Do czołgów jednakowoż nie powrócili.

Marszałek pomilczał, obszorował dłonią swój cud-podbródek z „dowódczym dołkiem”. Zapewne w innych okolicznościach sam nie zawracałby sobie głowy jakimś rejonowym miasteczkiem, mając przed sobą „perłę Ukrainy”, i rozumiał zapewne Kobrisowa, dlatego też znowu patrzył na wszystkich niedobrym wzrokiem.

250

||xt- -

— Co jest jednak przyczyną — zapytał — że dowódca nie chce zdobywać Myriatina? Leży przecież przed wami jak na dłoni.

Jeszcze w tym momencie można było wygrać przedłużający się bój, przeciągnąć Żukowa na swoją stronę, byle przytoczyć bardziej ważki dowód.

— Towarzyszu marszałku — powiedział Kobrisow — to się tylko tak wydaje, że na dłoni.

— Mnie się wydaje?

— Nie zameldowano wam o wszystkim. Operacja ta jest bardzo droga, z dziesięć tysięcy będzie mnie kosztowała.

Przy tych słowach generałowie patrzyli tak, jak się patrzy przez ścianę. Jeden tylko Chruszczow zapytał ponownie, nachmurzając się:

— Ile-ile?

I usłyszawszy po raz wtóry, głośno westchnął.

— No cóż, poprosicie wtedy o uzupełnienia — powiedział Żuków. — Po Myriatinie dodamy.

— Szkoda mi tych... dziesięciu. Niepotrzebna to teraz ofiara.

Rzecz w tym, że ludzie nastawili się na wyzwolenie Predsławła, za to i umrzeć nie żal, a ja ich tymczasem poderwę i przerzucę na jakiś Myriatin. To coś zupełnie innego. Szkoda mi ich. W imię czego ich poświęcę, kiedy teraz każdy z nich jest mi potrzebny w natarciu, w trójnasób droższy! Mam takie wrażenie, że przeciwnik właśnie na to czeka, na nasze straty materialne...

— A mnie — zapytał Tierieszczenko — myślisz, że tak się chce za mizerny Sibirz tylu tracić? A trzeba.

Żuków przerwał mu.

— Miejcież, dowódcy, szacunek dla sąsiada. On nie zawsze głupstwa mówi. No, cóż, dowódco, waszej racji trzeba się przysłuchać. Wszelako w głosie czuło się: nie przysłuchał się wcale. Każdy inny argument rozpatrzyłby uważnie i we wszystkich szczegółach, tego — jakby nie słyszał. Tym właśnie był wielki, on, dowódca, który nie utrzymałby się w żadnej innej armii, i tylko dla tej jednej się był urodził. Miał w sobie wszystko — i kanciasty podbródek z dołeczkiem, i wzrost dość niewysoki, co go nieustannie wprawiało w kompleksy i pierwszą sylabę nazwiska z literą „U”, żeby mogli dowcipnisie przyrównywać go do dobrze urodzonych jak Suworow, Kutuzow, Rumiancew, Kuropatkin, Brusilow, dwaj Bliicherowie, Murat, Frunze, Tuchaczewski, Ludendorff, von Kluck, Kluge i Guderian, a choćby i liudionny, i nawet Fabiusz zwany za powolność Kunktatorem — ale

252

najważniejsze dla dowódcy ze szkoły proletariackiej było to, że dla sło-

wa „szkoda” nie miał on odpowiedniego organu percepcji. Nie wiedział, co to takiego. A gdyby wiedział, nie odnosiłby swoich zwycięstw. Gdyby studiował w akademii, gdzie bądź co bądź, przyuczano do oszczędnego planowania strat, także by ich nie odnosił. Nazwą go największym z marszałków — i słusznie nazwą, inni w jego sytuacji, mając sześćo- siedmiokrotną przewagę, przegrywali z krete- sem. On — wygrywał. I dlatego wygrywał, że nie pozwalał sobie na słowo „szkoda”. Nie tyle sobie nie pozwalał — co go nie słyszał.

— Warto przysłuchać się — powtórzył. — Ale mojego argumentu nie obaliliście. Oto co robi wasz przeciwnik. Uderza we front. W osła- biony przyczółek. Z wyjściem ku Dnieprowi.

— To byłby akt rozpaczny — powiedział Kobrisow. — Po cóż by mu było leżać między kliny?

— Zgoda. Ale akt możliwy. Rozkaz to rozkaz i żołnierz go wyko- na. I byłoby to dla nas bardzo bolesne. Przeprawy teraz — to dla nas najcenniejsze. Tak więc pomyślcie. Pomyślcie o Myriatinie.

Kobrisow zaciął się na sekundę, miał czym odeprzeć ten argu- ment, ale natychmiast wtrącił się do rozmowy Chruszczow:

— Ot, ja, Giorg Konstantinowiczu, no, jedni o czymś tam, a za- wszony o łaźni. To znaczy mnie, to znaczy, jako pracownikowi polity- cznemu, to nieobojętne. Względem, to znaczy, wzmocnienia ducha moralno-politycznego w wojsku. Tym bardziej „perła Ukrainy” i te- muż podobnie. Toż to wam nie żuk na patyku! Iluż to przodków na- szych z tego brzegu susiało do wody!

Generałów rozbawiło to naprawdę. I mówcę tym samym podnie-

ciło do natchnionej, wyczerpującej i bezdennej gadki:

— Byliśmy otóż z Mikołajem Fiodorowiczem w 18. Armii, a tam taki był naczelnik wydziału politycznego, troskliwy taki pułkownik. Jak mu tam było, Mikołaju Fiodorowiczu? Taki parobek, sekretarz garnizonowy, z Dniepropietrowska, brewki gęste takie. Kiedy chłop jest niczego sobie, to też ma znaczenie. Serdecznie tak, troskliwie z żołnierzami przed bojem pogada, oświecił im, jak bohaterskie czyny wyglądają, udało mu się, to znaczy, legitymacje partyjne wręczyć wprost na pierwszej linii frontu. „Bój, powiada, to najlepsza rekomendacja". To jego, nawiasem mówiąc, pomysł był, żeby — symboliczne podarunki dla dowódców ukraińskich przygotować. Dobrze by go tutaj ściągnąć dla wymiany doświadczeń. Jak mu tam? Oj, skleroza, wyleciało z głowy...

252

— Nikito Siergiejewiczu — marszcząc się powiedział Żuków — jak sobie przypomnisz, to wrócimy do sprawy.

Wstawał już, zmuszając pozostałych do poderwania się z miejsc. Nisko naciągając czapkę, podszedł do Kobrisowa. Wyprężając się i przewyszając o głowę marszałka, Kobrisow ujrzał w jego oczach gwałtowny błysk odwiecznego rozdrażnienia człowieka niskiego wzrostu wobec dryblasza. Marszałek zresztą stłumił je od razu i zapytał łaskawie:

— Dowódco, skąd ja was pamiętam, jeszcze sprzed wojny? Czy nie byliście nad Chałchin-Gołem*?

— Byłem, towarzyszu marszałku.

— A w jakich okolicznościach się spotkaliśmy?

Kobrisow odpowiedział z zakłopotaniem:

— A wyście mnie na rozstrzał skazali. Wśród siedemnastu dowódców.

— Aha... — marszałek uśmiechnął się tymże uśmiechem bezzębnego dziecka. — No, jasna rzecz, że na rozstrzał, ja na nic innego nie skazuję. Nie ja, oczywiście, a trybunał. A za co, przypomnijcie?..

— Za utratę łączności z armią.

— Jak to się stało, że jesteście żywi?

— Uratowała nas wtedy komisja moskiewska ze Sztabu Generalnego z pułkownikiem Grigorienką na czele. Oni wasz rozkaz zaskarżyli, i wprost przeciwnie — tego i owego nagrodzili „Czerwonym Sztandarem”. I mnie między innymi. A wyście potem podpisali.

Brwi marszałka ściągnęły się na mgnienie, i na powrót wygładziły.

— Przypominam sobie. No widzicie, jak wszystko dobrze wyszło.

I teraz na łączność zwracacie należyłą uwagę. — Wyciągnął rękę. — Popracujcie jeszcze, dowódco. Życzę powodzenia.

Generałowie, szeleszcząc celofanowymi torbami, podchodzili do Kobrisowa, by się z nim pożegnać.

— Mam nadzieję, że nie masz do mnie pretensji? — zapytał Tieszczenko. — Poskubali cię, ale ty nas też. I to pierwszy. Czy uwierzysz, że w bolące miejsce uderzyłeś?

— I co tu ujadać — pytam się? — powiedział ze smutkiem Omiełczenko. — Toż to nasza wspólna sprawa, trzeba by po pokojowemu.

— Kompromis? — powiedział Kobrisow.

- Rzeka w Mongolii, nad którą w maju-sierpniu 1939 miały miejsce walki z Japonki (przyp. tłumacza).

— Właśnie. Spotkalibyśmy się gdzieś po cichu, buteleczkę skombinowali. Czemu nie?

— Ty ich słuchaj, Fotiju Iwanyczu — powiedział Gałagan — a rób wszystko na odwrót. Nos ucieraj, a ogon do góry.

Podszedł też Czarnowski. Postać chwilę. Pokołysał się z pięt na obcasy, uniósł zasępioną twarz z nieomal zrośniętymi brwiami.

— Wybacz, że cię nie poparłem. Ale i ty z ludźmi nie tak postąpiłeś, jak należy. Nie tak się umawialiśmy.

— Żadnych pretensji, Wasiliju Daniłowiczu, nie zgłaszam. Postąpię zgodnie z sumieniem, taktownie.

Czarnowski poczerwieniał, chciał coś powiedzieć, ale nagle odwrócił się i wyszedł.

Został Watutin. Długo stał koło otworu w ścianie, patrzył, jak wsiadają do samochodów, do kogoś krzyknął, że pojedzie ostatni, wreszcie odwrócił się do Kobrisowa.

— Jak samopoczucie?

— Dusznawo. — powiedział Kobrisow. — Nie ma czym oddychać. Rozpiąłbym ze dwa guziczki. Za waszym pozwoleniem.

— Nie ma sprawy.

Obaj rozpięli dwa górne guziki na kołnierzyku i zaczęli rozmawiać językiem niedopuszczalnym pomiędzy zwierzchnikiem i podwładnym.

— Kosztowna to jednak operacja — powiedział Kobrisow. Pomyślałem: a iluż w Myriatinie mieszkało przed wojną? Kobiet, starców,

dzieci — nie licz, samych poborowych ilu było? Chyba z dziesięć tysięcy w sumie. Których muszę spisać na straty. Cóż to, za Rosję Rosją będziemy płacić?

— Nic innego nie robimy, Fotia, tylko płacimy. A czy kiedy było inaczej? I będziemy płacić, jeszcze jak dotąd jej nie wykupiliśmy...

— Starszy od ciebie jestem o dziewięć lat, Mikołaju. Posłuchaj mądrego. Nie zawsze to bohaterstwo — narzucać bój przeciwnikowi, czasem rozumniej jest zrobić unik, więcej się potem weźmie. Ty o „kottach” myślisz, o okrążeniach, a kto o nich nie marzy? A czy wiesz, z czego już zasłynąłeś, za co może wejdiesz do historii? Za te dwa odwroty. Pod Charkowem i na łuku Kurskim. Studiować będą, jak potrafiłeś ludzi ocalić, technikę całą wyciągnąć, przeciwnika wycieńczyć, i natychmiast, bez żadnej przerwy, zdołałeś przystąpić do kontruderzenia.

— Miło cię słuchać, Fotia — powiedział Watutin uśmiechając się.

— Pochlebiasz mi.

254

— Wiesz, że nie tylko pochlebiać mogę.

— Wiem. Nie wiem tylko, czy uznać za komplement, że samymi odwrotami... Dobra, nie o to chodzi. Odpowiem ci komplementem — wszystkich nas zadziwiłeś. Przesadziłeś. Od dawna już uważam, że z uwagi na wiek, wiedzę, powinieneś już frontem dowodzić. To ty masz rację, nie my. No tak, nie wszystkośmy przemyśleli do końca z tym Sibiżem. Są na pasku u Tierieszczenki...

— Czemu go jednak Konstantynicz popiera?

— A kto raport składał Naczelnemu o Sibiżskim wariacie? Kon-

stantynycz składał, nie kto inny. Jego też można zrozumieć... Teraz pomysłmy razem — co powie żołnierz? Że dowództwo frontu, przedstawiciel Kwatery Głównej — to tępaki. Jeden tylko Kobrisow mąszerował w nogę? Żołnierzowi potrzebna jest wiara w dowództwo, inaczej — jak ma dalej walczyć?

— A tak, jak walczył dotąd. Myślisz, że wiara w dowództwo tak bardzo go zagrzewa?

— Nie spieraj się ze mną, Fotia. Nikt tak otwarcie, jak ja, kart ci nie wyłoży.

— Wiem — powiedział Kobrisow. — Dobra, pomilczę.

Watutin przechadzał się po sali między ławkami — ciężkim krokiem, z krótkimi rękoma założonymi do tyłu, pochyliwszy okrągłą głowę o szerokim czole rzymskiego centuriona; z powodu obwisłych policzków i ostrych zmarszczek koło ust wydawał się znacznie starszy, ponad swoje czterdzieści trzy lata.

— Tierieszczenki też nie ma po co topić. No, pomylił się. Poniósł go. Wszystkich wtedy poniósł.

— Akurat go utopisz! — zawołał Kobrisow. — „Dowódca natarcia” pewno teraz uważa, że ja zaraz zajmę jego miejsce!..

Po tym, jak szybko, ze zdziwieniem spojrzął Watutin, widać było, że to dla niego nienowość.

— Powiem ci jeszcze raz, Fotia: armią dowodziłeś nienagannie. I jestem za tym, żebyś nadal 38. dowodził. Choć dodam — Tierieszczenki nie trzeba by było namawiać do zagarnięcia tego miasteczka.

— Jakbyście nie rozumieli: po stracie Predsławla von Steiner nie

hedzie się trzymać tego miasteczka, sam stamtąd odejdzie. Jeśli go przedtem Hitler nie usunie.

— I znowu — masz rację. I jednocześnie — nie masz racji. Jest tu taka delikatna sprawa, z którą trzeba się liczyć. Sibiński wariant został uzgodniony z Naczelnym. I tak mu leży na sercu, jakby go sam wymy-

255

ślił. Więc jak — mamy teraz zrezygnować z Sibieża? „Dlaczego? — zapyta. — Zęby macie za słabe, jak się okazuje?”

— I o wszystkie straty zapyta...

— No tak, niezawodnie. Przede wszystkim — o straty. I w przyszłości sto razy nam ten Sibież wypomni. Czyli, że trzeba jakoś Naczelnego przygotować. I nie tak, że wariant północny jest lepszy, a południowy gorszy, ale podać to jako jednolity plan. I trzeba całą sprawę tak przedstawić, żeby on sam do tej idei doszedł. Oto dlaczego potrzebny jest twój Myriatin. Usłyszysz — fajeczką popyka, na mapę spojrzysz i sam do siebie powiesz: „Te durnie tam nie widzą, co się u nich pod nosem dzieje, a ja, nie wyjeżdżając z Moskwy, widzę wszystko jak na dłoni!” Wtedy z Naczelnym wszystko idzie jak po maśle, o co zechcesz możesz go prosić. Zrozumiałeś wreszcie?

— To wszystko wykręty — powiedział Kobrisow ze smutkiem. —

I ty przede mną kręcisz: już omawiano, jak mnie z armii usunąć. Jakże mi już te wykręty obrzydły. Że też ty nie masz ich dosyć? Niby to nie te lata, nie ta ranga...

Watutin, pociemniały na twarzy, sięgnął do kołnierzyka i zapiął guziki. To samo zrobił Kobrisow.

— Oczekuję meldunku o wzięciu Myriatina — powiedział Watutin. — Plan proszę mi przedstawić najpóźniej za czterdzieści osiem godzin.

— A jeśli nie przedstawię, to...

— Generale Kobrisow, ja tego nie słyszałem!

A jednak Watutin zdawał się być przygnębiony. W milczeniu podszedł do samochodu, w milczeniu kiwnął głową kierowcy, że może jechać, jego zgarbione plecy i kark pod czapką miały jakiś przybity wyraz, przytłoczony. „Lepszy jesteś od innych, Mikołaju Fiodorowiczu — myślał Kobrisow wodząc za nim wzrokiem — czyli że też nie jesteś swój. Wcześniej czy później i tobie pokażą, gdzie raki zimują...”

Pierwszym impulsem było plan ten jednakże przygotować, to znaczy, raz jeszcze przemyśleć ten poprzedni, który sporządził od razu po przeprawie. Kilka godzin przesiedział w swojej ciasnej klitce, rozkładając „pasjansę” — jakie jednostki wyprowadzić bezboleśnie z rejonu Gorlicy, z odcinków robiących wrażenie biernych, jakie przetrzucić do Myriatina z tej rezerwy, która przeznaczona była do walk ulicznych w Predsławlu. Nie wychodziło to bezboleśnie, wychodziło boleśnie, wymuszenie i wszędzie niebezpiecznie. Jedyłą nadzieją było

256

to — że kiedy plan zostanie przedstawiony, wówczas coś mu tam podrzucą, choćby z pół setki maszyn od „pancernego ojczulka”.

Wieczorem zaś, podając mu kolację, ordynans Szestierikow powiedział raptem, ciężko wzdychając:

— Nie wiem, mówić wam czy nie, sam nie wiem...

— O co chodzi?

— Niedobrze. Niedobrze dla nas. Sirotin nasz coś tam usłyszał, kiedy pod samochodem leżał. Może lepiej będzie, jak go tu sprowadzę.

I oto co opowiedział przygnębiony, a także bardzo zmieszany Sirotin:

— Znaczy się, kiedy dowódca armii Czarnowski do dowódcy frontu podeszli się przywitać, to ci im mówią: „No, jak tam, lejtnancie-generale, samopoczucie?” — „Co tu dużo mówić — dowódca armii powiedzieli — zazdroścę Kobrisowowi”. — „Całkiem niepotrzebnie, nie ma czego zazdrościć Kobrisowowi, bo sprawa dowódcy, który wkroczy do Predsławla, nie jest jeszcze postanowiona. Jest, by tak rzec, taka idea, że powinien to być Ukraińiec. U nas przecież w jednostkach frontu siedemdziesiąt procent to Ukraińcy, i wielkie miasto — ukraińskie, więc logiczniej, żeby i dowódca był Ukraińcem”. — „Toż ja przecież — dowódca armii powiedzieli — właśnie jestem chochoł, tu się urodziłem, tutaj ożeniłem, do komsomołu, do partii wstępowałem, dlaczegoż by nie ja?” — „A kto mówi, że nie ty? Może i ty. Sprawa nie jost jeszcze postanowiona...”

— Wszystko? — zapytał Kobrisow nie podnosząc głowy, wyglądając mapę dłonią.

Paliła go twarz z upokorzenia, że on, generał, wysłuchuje, co mówi kierowca, który podsłuchał rozmowę dowódców.

— Dalej nie było słyhać, właśnie nadjechali pierwszy członek Rady Wojennej, generał Chruszczow, i rozmowa się urwała...

— Dobra, możesz odejść.

Strasznie zachciało mu się wypić i po raz pierwszy było mu nie-
zręcznie wezwać Szestierikowa, żeby przyniósł butelkę. Ten oczekiwał-
by, że wypiją jak zawsze razem, mówiłby coś pocieszającego, i nieładnie
byłoby go odprawić, zresztą picie w samotności Kobrisow zaczytywał
/a samobójcze. Najbardziej uwłaczające, ale po części słuszne było w
opowieści Sirotina słowo „logiczniej”. Tak, logiczniej powinna była
/rodzić się ta „idea”, komukolwiek przyszłaby do głowy, jakkolwiek
obmierzała by była, nikczemna. W żaden inny sposób, widać, nie moż-
na jego, Kobrisowa, obalić, by wzmocnić zmniejszającą się szansę Tie-
257

rieszczenki. Logiczniej było i dla Czarnowskiego przemilczeć, nie wy-
stąpić, jak się umówili. „Aczkolwiek na próżno ty, Wasiliju Daniłyczu,
na próżno się starałeś. — myślał Kobrisow. — Nie ciebie dotyczy ta
idea”. Oto nad czym powinien był zastanowić się Czarnowski, nad tą
logiką: dlaczego to jednych tylko dowódców idea ta dotyczyła?

Doprowadźcie ją do końca — usuńcie rosyjskich desantowców, a wraz z
nimi Kazachów, Gruzinów — z broni pancерnej. Zawróćcie z lotniska
estońskiego lotnika. I niechaj białoruski czołgista wygramoli się z duszne-
go swego pudła, niechaj porzuci swoją „czterdziestkępiątkę” celowniczy
Tatarzyn. I jeszcze tych Żydów usuńcie, którzy mieli całe rodziny w
Predstawlu, a teraz wszyscy we Wdowim Jarze leżą rozstrzelani. Tych,
którzy nie mają nic wspólnego z tą ziemią, przenieście na tyły, niech
odpoczną sobie, popiją, pobaraszkują z babami, dzisiaj sami tylko
Ukraińcy będą umierać za swoją „perłę”.

I apatia, ciężka, nieprzewyciężona, ogarnęła generała Kobriso-

wa. Jakby opustoszyli serce, wyjęli to, co stało się podczas ostatnich miesięcy najważniejsze w życiu, co doń przywiązywało, dokądś odpływało i sam wizerunek nigdy przezeń nie widzianego, oglądanego tylko przez lornetę, wielkiego Predstawla, przestaniając mętną mgłą czarnego anioła z krzyżem i oślepiającą kopułą cerkwi; jemu, „skromnemu dowódcy” przeznaczone było jego zwykłe miejsce — „być podwachtowym” i zadowalać się celami „skromnej wagi”, takimi jak Fatież czy Sumy, albo stacja Lichaja. Przejrzał zamiary swoich kolegów i pojął, że z tym Myriatinem zmuszą go do straty czasu, nacisku i wreszcie już sił jego na nic więcej nie starczy: póki on będzie się tu krzątał, oni wykonają jakąś rozsadę, przerzucą wojska z Sibirskiego przyczółka tutaj, ku niemu, i główną rolę odegra, rzecz jasna, Tierieszczenko — nie można go topić, jest dla nich swój...

A co obiecywał Myriatin? Wysuniętych klinów już nie uda się wciągnąć z powrotem — tego wobec dowództwa nie usprawiedliwisz, ani wobec żołnierzy, którzy stracili w bojach swoich towarzyszy. A więc okrążenie? Jak to sam planował? A jeśli nie wypełzną z „kotła” obrońcy Myriatina, jeśli skazani są, albo sami siebie skazali na zgubę, na podobieństwo fińskich snajperów — „kukułek”, przywiązujących się do szczytów sosen?

I stąd pobiegły jego wspomnienia ku wczesnej wiośnie, kiedy wchodziło w zwyczaj dokonywanie „w rewanżu” egzekucji na placach, a zwłaszcza ta pierwsza, jaką zobaczył, którą nie mogli się nic zapaprać wczorajsi wyzwolicieli. Pojechali po naradzie całą gromadą,

nie można się było wykręcić, powiedziano im, że to ważne dla ludności z politycznego punktu widzenia, żeby największe figury były przy tym obecne. Nie przychodziło już do głowy, że kiedykolwiek, na przełomie wojny, wprowadzona zostanie ta kaźń — ohydna, w której było coś idiotycznie pomysłowego: zamordować człowieka jego własnym ciężarem, przyciąganiem ziemskim! My tylko nakładamy nieskomplikowane urządzenie, a zaciąga je sam skazaniec... Było ich czterech — pochlipujący starosta wsi, podstarzały chłopina, dwóch młodych, dziesiętnastoletnich policjantów i Niemiec z komendantury. Prowadzono ich pod mżawką, bez czapek, ze związanymi z tyłu rękami, nie sposób było patrzeć, jak zbieleły ich zmartwiałe palce; staroście powiewały od wiatru rzadziutkie siwe kłaczki, był jakby w półśnie, lamentowała i rwała się ku niemu jego najwidoczniej żona, niebawem wdowa, przytrzymywało ją dwóch podrostków, również z jakiegoś powodu bez czapek, o białych twarzach; wiosna była zimna, i sęczki jeszcze nagie, choć nad nimi już krążyły i krakały gawrony. Ludność — politycznie niewyrobia — była tym wszystkim zdeorientowana, oszołomiona; być może, czuła się ponownie okupowana; i w rzeczy samej, co mieli myśleć i czuć oni, którzy pobylili już w innej jakby epoce, kiedy oto wróciła do nich poprzednia, i to z takimi nowinkami. Jeden z chłopców-policjantów wciąż odwracał się i pytał: A co ja takiego zrobił? Czo? — i nikt mu na to nie odpowiadał. Zresztą któż by z nich ośmielił się pisknąć słowo usprawiedliwienia czy potępienia — spośród tych drugorzędnych, zapapranych, którzy i siebie samych mogli uważać za winnych już przez sam fakt, że pozostali pod okupacją nie-

miecką? Niemiec, z lekka garbatonosy, niebieskooki i jasnowłosy, silny trzydziestolatek, siedł w rozpiętym mundurze, odsłaniając nagą, różową pierś, i uśmiechał się połyskując białymi zębami. Skazanych załadowano na ciężarówkę, ustawiono przy kabinie twarzami do tłumu, żółtowi konwojenci o szerokich gębach wprawnie narzucali pętle, półgłosem rozkazując: „Podbródek wyżej!”, następnie długi lejtnant w okularach, o wydatnej grdyce, z surowo zasznurowanymi ustami (i z guzowatym czyrakiem na szyi, zaklejonym brudnym plastrem) osobiście sprawdził pierwotne zaciągnięcie; on też odczytał wyciąg z wyroku, na jego skinienie ręką ciężarówka jęła z wolna odjeżdżać. I w tej samej chwili Niemiec, coś tam wykrzyknąwszy — ironicznego, ze złośliwym zadowoleniem — pobiegł, z całej siły tupiąc po dnie nadwozia, ilobiegł do jego skraju i rzucił się, runął sam, nie czekając na to, co i tak było nieuchronne. I póki ci trzej jeszcze stąpali, robiąc jeszcze krok, je-

259

szcze pół kroku, wlekli się na palcach do ostatniego tchnienia, on już wisiał, wyginając się, kręcąc, odwracając z jednej strony na drugą granatowo-czerwoną, nabrzmiąłą, zalaną łzami twarz. Wyglądało na to, że sam zadał sobie śmierć, unikając egzekucji; ktoś z konwoju nawet chrząknął z niezadowolenia.

Nie było uczucia odwetu, teraz zaś generał Kobrisow zrozumiał, że go być nie mogło. I nie dlatego, że właściwie pojęcia nie miał, co takiego strasznego popełnili ci czterej, iż zasłużyli, by przerwano im tę znikomą odrobinę wieczności, którą obdarzono nas w sposób tak nieubłaganie skąpy. Nie, gdyby nawet dostał cały zwój z wyliczeniem ich

przestępstw i nie znalazł żadnego usprawiedliwienia, również wtedy doznałby innego uczucia, natarczywego i upokarzającego, jakby to wszystko odnosiło się do jego osoby, do jego rąk, tak samo z tyłu sple-
tanych i zgrabiących, do jego szyi, na którą sprawnie zakładaliby roz-
mokłą, pomazaną towotem pętlę, sprawdzaliby, czy dobrze się
zaciągnie — i przy tym nie okazaliby nie tylko współczucia, ale po pro-
stu ciekawości, co czuje, o czym myśli człowiek, patrząc w twarze swo-
ich pobratymców, pozostających na tym świecie i zebranych po to, by
popatrzeć, jak on będzie ten świat opuszczał. Widocznie, jakiś sędzia
najwyższy zsyła na nas to doznanie, karząc za współwinę, bo widz jest
przecież także współuczestnikiem. I zapewne nie tylko jeden Kobri-
sow to odczuwał: jechali z powrotem, w autobusie sztabowym, jakoś
każdy z osobna, wstydząc się siebie wzajemnie, i radzi byli, kiedy moż-
na już było się rozjechać, każdy w swoim „willisie”, nikogo nie zapra-
szając do siebie w gości, jak to zazwyczaj bywało — ludzie wojny,
nauczeni sztuki zabijania, mający swój udział w śmierci dziesiątków
tysięcy istnień ludzkich. Bądź co bądź to różne rzeczy: nie wiedzieć z
jakichś tam powodów na wojnie przydatny jest niemal każdy zdrowy
mężczyzna, ale do tego rzemiosła wybiera się ludzi szczególnych, cze-
goś pozbawionych albo, przeciwnie, obdarzonych czymś, czego wszy-
scy inni są pozbawieni. Generał, ze swoimi gwiazdami i orderami czuł
nawet pewną wyższość nad nimi tymi obrotnymi sierżantami, którym,
najwidoczniej, podobała się ta robota — i nie tylko przez to, że ratowa-
ła ich przed wysłaniem na pierwszą linię — a także nad tym surowym,
tyczkowanym lejtnantem w okularach, który sprawdzając pętlę wsu-

wał zgięty goły palec między sznur a ciepłą szyję skazańca. Co więcej, czuł przed nimi niewytłumaczalny strach, czuł wówczas, na placu przed wiejskim sklepikiem, i nawet teraz, leżąc w ciemnościach na wąskim łóżku, w samym środku przyczółka, gdzie już nie mogli się w żaden sposób pojawić.

Nie wiedział, czy mógłby raczej oddać swoje życie, niż odbierać je innemu, bezbronnemu, los ani razu nie postawił go wobec takiego wyboru, lecz i terazniejszy jego wybór był w czymś podobny i po swojemu niełatwy. I na jego ciężar skarżył się samemu sobie, a raczej — temu sędziemu, który powinien był go usłyszeć, wybawić od strachów i rozproszyć wątpliwości.

— Nie jestem katem! Taki to mój zawód, że muszą u mnie umierać ludzie, ale — nie jestem katem!

Powtórzył to kilkakrotnie, o czymś przekonując samego siebie.

Wyrzucał sobie, że był nieuczciwy, kiedy usiłował w tajemnicy narzucić innemu to, czego sam się bał. I poczuł nawet ulgę, kiedy podjął nieodwracalne postanowienie — nie przykładając ręki do czegoś, czemu sprzeciwiałoby się jego serce.

Dowódca, który nie przedstawia żądanego planu, podpisuje tym samym swoją dymisję. Ale w ciągu całego następnego dnia nie przyjęto w sprawie Myriatina żadnego postanowienia; wszystkie rozporządzenia wydawano, jakby nie było narady, ani ultimatum Watutina, a w tych odstępach czasu, kiedy generała nie niepokojono — czytał Woltera. Miał powody, by czytać tego autora, i na jego prośbę żona przysłała mu pierwsze, co wpadło jej w rękę — Kandyda. Z okularami

zsuniętymi na nos czytał niespiesznie, wnikliwie, a jednak nie mógł pojąć, dlaczego z niezliczonych przygód bohatera wynika konkluzja, że „wszystko jest najlepsze na tym najlepszym ze światów”. Ale wieńczące /danie — „Trzeba pielęgnować swój ogród” — spodobało mu się, pomyślał, że nieźle byłoby je wtrącić na jakiejś naradzie, kiedy będzie mowa o odbudowie gospodarki narodowej: „Jak mówił Franois-Marie Arou-rt, alias Wolter, trzeba pielęgnować swój ogród”. I zamknąwszy książkę, westchnął — jakie tam narady, nękał go ciągle dzień wczorajszy. Późnym wieczorem, już w ciemnościach, podjechał do stacyjki „willis”. Adiutant Donskoj z Szezierikowem powitali gościa, ale ten nie spieszył z pójściem na górę. Kobrisow, narzuciwszy na plecy skórzaną kurtkę, zszedł do sali. Nie wiedzieć czemu nie przez drzwi, lecz przez wyłom w ścianie wszedł ktoś niewysoki i tęgi, z teczką. Był to dowódca sztabu armii, generał-major Purtow, który ulokował się w pobliżu, we wsi Spaso-Pieskowcy, gdzie mieścił się cały sztab. Tutaj prawie się nie pojawiał, Kobrisow sam tam jeździł, by z nim popracować, i ta wizyta była jak przebłysk nadziei.

261

Stali naprzeciwko siebie w ciemnej sali, gdzie ledwie migotało rozproszone, widmowe światło księżyca, obaj po swojemu majestatyczni, nie lubiący zbędnych ruchów, a wszystko dokoła przypominało nieuprzątniętą po spektaklu scenę po spuszczeniu kurtyny.

— Ułożyło się jakoś? — zapytał Kobrisow.

— Fotiju Iwanyczu, zostało dwanaście godzin. Zamierzasz coś

przedsięwziąć?

— A co byś ty mi radził?

— Zastanówmy się. Przeciwnik nie podjął prób wydostania się z okrążenia...

— Słusznie. Dlatego, że rozumie: nie mamy na to sił.

— Niezupełnie. Dlatego, że uważa, iż — zgodnie z nauką — winniśmy okrążać. Że stworzymy wewnętrzny i zewnętrzny pierścień. Na to rzeczywiście sił nie starczy. A jeżeli ograniczymy się tylko do wewnętrznego? Kto jemu przyjdzie na pomoc w Myriatinie? Powiedz tylko „hop”, a ja do rana zdążę rozpracować.

— Już rozpracowałeś — powiedział Kobrisow. Widzę przecież, żeś w teczce przyniósł. Ale ja „hop” ci nie powiem. Ja, Wasiliju Wasiliczu, półtora roku z tobą pracuję i co mi się w tobie podobało — nigdyś się do awantur nie przykładał. To ja, dowódca, mogę mieć swoje fanaberie, to rzecz dopuszczalna przy mojej randze, ty zaś winieneś moje fanaberie korygować, w odpowiednie ramki wtłoczyć. Rozumiem, troszczysz się o mnie, chcesz mnie wyręczyć, ale z tego powodu ludzi na zgubę oddawać...

Nie dopowiedział, bowiem obaj wiedzieli doskonale, tylko nie mogli sobie powiedzieć tego, jaką nowinkę krył Myriatin, komu przyjdą albo nie przyjdą na pomoc Niemcy. Ałe, zdaje się, jeden z nich nie rozumiał jednak w pełni tego, jaki opór stawiać będą okrążeni.

— Drugi wariant. — powiedział Purtow. — Nazwiemy go: „Imienia Tierieszczenki”. W zasadzie — atak czołowy. Od południa. Odrzucimy go przynajmniej na trzy kilometry od przeprawy.

Kobrisow zapytał, nie kryjąc uśmiechu:

— A długoś go... przygotowywał?

— Widzisz, wariant Tierieszczenki jest znakomity dlatego, że nie wymaga szczególnego przygotowywania. Każdy naciera stąd, gdzie stoi. Jednym słowem — „Naprzód!” Wystarczy tylko, żebyśmy zaczęli, a wtedy już poprosimy o uzupełnienia.

— I dadzą?

— Nie mogą nie dać — powiedział Purtow niezbyt pewnie.

262

— Przywykłem, Wasiliju Wasiliczu, pieniądze liczyć wtedy, kiedy je mam w kieszeni. Jakoś bezpieczniej. I smutnych niespodzianek się unika, a tylko miłe sercu mogą się zdarzyć. W każdym z tych wariantów musimy coś od Predsławla oderwać. Niech mnie rozstrzelają, a tego nie zrobię.

Purtow zdjął czapkę i przycisnął do piersi.

— Fotiju Iwanyczu, dobrze się nam razem pracowało, nieprawdaż?

— Jak najlepiej, Wasiliju Wasiliczu.

— To najlepsze, co mnie spotkało podczas całej wojny. Mówię ci o tym tak, na wszelki wypadek. A za te... warianty — wybacz. Ja też mam prawo do fanaberii...

— Nerwy coś nas poniosły. Chodźmy do mnie, na herbatkę, co? Z butelki, którą nam Szestierikow postawi.

— Wiesz przecież — wrzód. Nie chciałbym przeszkadzać przy stole. I nastawiłem się na robotę. Może coś wymyślę. Wtedy zadzwo-

nię. A najlepiej — zajadę.

Kobrisow, odprowadzając go, wiedział, że nie zadzwoni i nie zajadzie. Bo nie można tu było niczego wymyśleć. Ale wdzięczny był Purtowowi za wizytę, za ciepłe słowa, choć nikt postronny ich nie słyszał...

...Watutin dał mu jeszcze dodatkowe dwie godziny. Zadzwonił z

Olchowatki, o nic nie zapytał, powiedział:

— Rozmawiałem tutaj z Kwaterą Główną. Zgodzili się z moją oceną, żeś dobrze się napracował i wiele zrobił, ale — przemęczyłeś się, potrzebujesz odpoczynku w sanatorium, z rodziną pobyc. No, jakieś trzy tygodnie. W ogólności nie będą ciebie specjalnie męczyć, tylko musisz się zameldować po przyjeździe.

„Czyli, że o nic nie będą wypytywać” — pomyślał Kobrisow.

— Dzięki ci za troskę, Mikołaju Fiodorowiczu.

— Co tam...

— A nie może się tak zdarzyć, że mnie Naczelnny nagle zechce wezwać?

Watutin zastanowił się przez chwilę.

— Niewykluczone.

— Skoro tak, to na wszelki wypadek. Żebym wiedział, co mówić.

— Powiesz, jak jest.

— „Przewentylowali oni swoją < logiczną ideę >” — pomyślał Kobrisow. I zapytał o to, o co mu pozostawało zapytać:

— Komu przekazać armię?

Trudno było opanować drżenie ręki trzymającej słuchawkę, i wydawało się, że Watutin to słyszy.

— Twój dowódca sztabu zostaje tymczasem przy tobie. Sprawa dowódcy nie została jeszcze oficjalnie rozpatrzona.

— No, cóż... Najważniejsze zrobiłem. Na dwunastym kilometrze się znajduję...

— Trzeba jeszcze je przejść, Fotiju Iwanyczu.

— No, trzeba by już być zupełnym kretynem — żeby nie przejść.

Najważniejsze bądź co bądź zostało zrobione. A dalej — kto będzie to będzie. Choćby i Tierieszczenko. Dla dobrego człowieka — niczego nie żal. Watutin przemilczał.

— A wiecie, Mikołaju Fiodorowiczu — powiedział Kobrisow — tak czy inaczej będę uważał — że to ja zdobyłem Predstaw!

— Ja też tak będę uważał — powiedział Watutin. — Gdyby to ode mnie zależało... Ale to chyba nie męska rozmowa.

— Chyba.

— Kiedy zamierzacie wyjechać?

Dla generała nie istnieje pojęcie „za tydzień”, nie istnieje też „jutro”.

— Dzisiaj — odpowiedział Kobrisow.

— Mogę zaproponować swego „Dougłasa”. Gałagan cię zawiezie.

— Jeszcze raz dzięki, ale się boję.

— Czego się boisz?

— Wysokości się boję. A jeszcze bardziej — Gałagana. Po przyjacielsku wziął mnie raz na przejażdżkę bombowcem, ręce mi się trzęsły przez cały tydzień. Już się jakoś dobiorę na swoim Szarym.

— Uparty jesteś we wszystkim, nic cię nie przerobi. Zajedziesz się pożegnać?

— No, jeśli rozkażecie...

— Jaki tu może być rozkaz?

— No to nie zajadę. Zbyt dużo trzeba by nadrobić drogi...

— Jak uważasz. No cóż, do widzenia...

— Życzę wszystkiego najlepszego.

O godzinie czwartej po południu obładowany „willis” dotarł do Dniepru i zaczął zjeżdżać ku przeprawie. Tak jakoś wyszło, że generał Kobrisow dopiero teraz po raz pierwszy ją zobaczył — wygięty w kształcie łuku, grzmiący na falach łańcuch zardzewiałych pontonów z pokładami z desek i cienkimi linami na stojakach. Z obu stron ustawiono po dwa działa przeciwlotnicze z przesuwanymi się parkami artyleryjskimi; wzdłuż i w poprzek powoli pruły rzekę opancerzone kutry

264

I

z zadartymi ku niebu armatami i czterolufowymi karabinami maszynowymi; w poszarpanych, ciemnych strzępach obłoków patrolowały myśliwce Gałagana. Przeprawa wyglądała solidnie, jemu zaś, Kobrisowowi, każdy, kto przybywał do niego na przyczółek, wydawał się bohaterem! Z mocno bijącym sercem patrzył, chciał rozpoznać to miejsce — czy to nie tutaj on sam przepływał półtora miesiąca temu na pokładzie pancernego promu — tak szumnie nazywano dziurawą samobieżną barkę z powyginanymi burtami i drewnianą, z odkruszonymi szczapami nadbudową, wśród plusku kul, wycia nadciągających „Jun-

kersów", rżenia koni, jęków rannych. Nie taki był teraz Dniepr, inaczej ożywiony, w inny sposób gwarny. Zaiste, nie wejdzie się dwa razy do tej samej rzeki.

Regulujący ruchem — z pasiastą pałką, białym rzemieniem i bandoletem — zaszalutował przepisowo na widok generała, następnie podszedł do budki z dykty, bez drzwi, gdzie na półeczce stał telefon z brzęczykiem.

— Szura! — krzychał do słuchawki. — Zatrzymaj tam, aż generał przejedzie!

— Wszystko gra, zgodnie z rangą— powiedział zachwycony Sirotin i łagodnie wprowadził samochód na podatną, chybotliwą pochylnię.

Byli już na środku rzeki, kiedy do lewego brzegu zbliżyła się kolumna czołgów, cystern samochodowych i podwód. Tamtejszy regulujący ruchem zatrzymał je skinieniem pałki — na wąskim pontonie „willis” nie mógłby się wyminąć z czołgiem. Ile było czołgów, generał stąd nie mógł się zorientować, końca kolumny nie było widać. Być może, było to te sto maszyn z zapasów „pancernego ojczulka”, których zabrakło dla generała Kobrisowa, żeby mógł teraz jechać jako triumfator główną aleją Predstawla. Nazwa ta — „Predstawl” — znowu zadźwięczała mu w uszach, ale jak pęknięta rura, w dźwięku tym słychać było przecucie, zapowiedź sławy, lecz i przedśmiertny krzyk wojownika, padającego z murów miasta wraz z drabinką szturmową. Kobrisow nie wiedział, że był to początek kolosalnej operacji pod zaszyfrowaną nazwą „Mgła” — po części przewidzianej przez niego rozszady wojsk z południowego przyczółka na północny. Mieli za

zadanie potajemnie opuścić pas pograniczny na Prawobrzeżu i przeprawić się z powrotem na brzeg lewy, następnie posunąć się o sto sześćdziesiąt kilometrów na północ, omijając trawers Predstawla, i raz jeszcze przeprowić się, i wtedy dopiero ruszyć na południe — tym korytarzem, który przebiła armia Kobrisowa.

265

I

Mnóstwo forteli zawierał ten zamysł, nie bez kozery nazwany „Mgłą”. Nie mówiąc już o tym, że samo przemieszczenie powinno było nastąpić nocą lub we mgle, rozmaitymi rokadowymi drogami, zagłuszane patrolującymi samolotami, zaś dla zachowania tajemnicy pozostawiono na Sibijskim przyczółku lipne baterie, to jest nie nadające się do użytku lub też sklecone z drzewa, a także podobne makiety samobieżnych dział pancernych i czołgów, skrzynki po amunicji, pozostawiono też lipne radiostacje, które — kierowane automatycznie — kontynuowały rozmowy i coś tam bajdurzyły używając skomplikowanych szyfrów. Historycy wojskowi będą nas zapewniać, że ludzi przy tym nie pozostawiano, że wszystkich rannych wywieziono, zabitych zaś pogrzebano. Zapewniać będą także, iż przebiegły Erich von Steiner tym razem niczego się nie domyślił, a niemieccy obserwatorzy nie zauważyli, że makiety stoją bądź co bądź nieruchomo, a radiostacje mówią ciągle jedno i to samo, kukły zaś w hełmach kołyszają się tylko przy podmuchach wiatru. I oto tą potężną, morderczą i bynajmniej nie taką już bezkrwawą, wymuszoną operacją będziemy się chełpić, nazywać

genialnym wynalazkiem, podkreślając przede wszystkim jej zwycięski finał, a pomijając haniebny początek, podczas gdy można było w pełni obejść się bez tego...

— Co ja widzę! — powiedział raptem adiutant Donskiej, spoglądając na tamten brzeg przez lornetę. — Reguluje ruchem—rzeczywiście Szura. To znaczy Szuroczka. W każdym razie — w spódnicy. I, zdaje się, w pantofelkach na obcasach. A sama — niczego sobie, niczego...

Podał lornetę generałowi. Korzystając z wolnej chwili regulująca ruchem, zezwalając, by pałka zawisała na nadgarstku, wyjęła z bufiastej kieszeni lustreczko, popatrzyła krytycznie na spękane wargi, łuszczący się nosek, wsunęła pod furażerkę jasnowłosa loczek.

— Towarzyszu dowódco — zapytał Sirotin — jeśli taką dziewczuchę, przy kości, na obcasikach, postawiono, żeby regulowała ruchem, to znaczy, że sprawa jest nieodwracalna?

— Dla kogo nieodwracalna, a dla kogo nie. A dokąd miałyby się odwrócić? — powiedział generał. — Teraz już tylko do Berlina.

Sirotin, pełen zapału, dodał gazu, ale generał poskromił go spojrzeniem. Kolumna czołgów mogła poczekać na generała, należał mu się taki honor.

I podczas gdy dowódca 38. Armii, generał-lejtnant Kobrisow, Fotij Iwanycz, jedzie na przeprawie, możemy choćby pokrótce opowiedzieć, jak ułożą się losy wojenne uczestników narady w Spaso-Pieskowcach.

266

Trzem z nich nie sądzone było przeżyć wojny. Tak oto troskliwy i poczytujący za „logiczne”, by „perła Ukrainy” zdobyta została przez

Ukraińca, generała armii Watutina w pół roku później na polnej drodze dostanie kulę w biodro od Ukraińca-samostijnika — być może zatrutą — wda się w to gangrena i mimo wysiłków najlepszych lekarzy nie uda się uratować ani nóg, ani życia. Zgodnie z przewidywaniami Kobrisowa, dwa słynne odwroty Watutina będą przedmiotem studiów w akademiach i sztabach wielu armii świata; co się zaś tyczy jego ostatniej operacji — Korsuń-Szewczenkowskiego „kotła” — to przeprowadzona została siłami nie jednego, lecz dwóch frontów, toteż połową sławy musiał się Watutin podzielić z nachalnym Koniewem, który na granicy spotkania postawił swój czołg i polecił wyrzeźbić napis przez niego samego wymyślony. Nie będąc filologiem — i nie grzesząc przeciwko prawdzie — przejawia jednakowoż sporo subtelności w pojmowaniu frazeologii rosyjskiej, gdzie podmiot i orzeczenie mają zdecydowaną przewagę nad apatycznym dopełnieniem: „Tutaj czołgisci 2. Frontu Ukraińskiego pod dowództwem generała armii I. S. Koniewa uścisnęli ręce czołgistom 1. Frontu Ukraińskiego pod dowództwem generała armii N. F. Watutina, doprowadzając tym samym do końca okrążenie wrogiego ugrupowania wojsk niemiecko-jaszystowskich...”

Nieco później, w Prusach Wschodnich, jako generał armii i najmłodszy z dowódców frontów, zginie Czarnowski — od odłamku, który trafi go w plecy, pod lewą łopatkę. Ani chybi drugie swoje życie oddałby Czarnowski, aby ranę otrzymać w pierś... Zawadiaka Gałagan, wzniosłszy się w swój 251 lot bojowy nad niebem Balatonu, zetknął się z przeciwnikiem, który wyda mu się godnym, by nie dopuszczając do trywialnej strzelaniny, wszcząć z nim grę „kto kogo

przechytrzy?" Uważa się, że żaden niemiecki as nie przyjął rosyjskiego czołowego taranu, ale, być może, tamten po prostu stracił głowę, nie poradził sobie z układem sterowniczym, a tylko nie zmienił kierunku — i długo nie rozstawali się spadając jak jedna migocząca pochodnia, aż do chwili, kiedy pochłonęła ich obu zimna toń jeziora...

Generałowie Omielczenko i Żmaczenko dowojują nobliwie, nie nazbyt się wyróżniając, ale też nie będąc gorszymi od pozostałych, za co otrzymają po generale-pułkowniku i Kutuzowa 1. stopnia — bodajże obaj tego samego dnia. „Pancerny ojczulek” Rybko, który nosił w swojej opastej teczce niekończące się rozpracowania i obliczenia, pomysły i uzupełnienia, zrobi karierę nie tylko wojskową, lecz i naukową, w sam raz przed końcem wojny rozbijając w puch i pierze „sławetną do-

267

ktrynę osławionego Guderiana”, po czym będzie w akademii wykładać własną. Szczególnie powiedzie się Tierieszczence: po objęciu dowództwa nad 38. Armią/ rzecz jasna, pokona owe dwanaście kilometrów i zdobędzie Predsławl dokładnie na święto 7 listopada.

Przemierzając Karpaty tak przerzedzi stan armii, że na palcach jednej ręki będzie mógł wyliczyć żołnierzy-weteranów, którzy drogę swą rozpoczęli w Woroneżu, by w końcu, jakby na ironię losu, wyzwalać Pragę — niemalże już wyzwoloną przez pierwszą dywizję ROA. Zwycięstw marszałka Zukowa, które pokryły mu pierś i brzuch pancernem orderów, nie podoła opisać nasze skromne pióro, powiedzmy zatem tylko, że nie sprzeniewierzając się do ostatka „rosyjskiej czterowarstwowej taktyce”, w swej popisowej operacji berlińskiej kładąc trupem

trzysta tysięcy na wzgórzach Seelowskich w samym tylko Berlinie, po to jedynie, by je zdobyć na pierwszomajowe święto (spóźnił się zaledwie o jeden dzień!) i żeby nie zdążył mu pomóc przyjaciel frontowy Dwight Eisenhower. Trzysta tysięcy zawiadomień o śmierci otrzyma Rosja w pierwszym powojennym tygodniu — i za to na zawsze zachowa w swym kochającym sercu Żelaznego Marszałka!

Droga bojowa generała-lejtnanta Chruszczowa nie będzie aż tak ustatna gwiazdami, i dźwięk „U” w pierwszej sylabie nic tu nie pomoże, jednakowoż wojna uchowa go dla nie mniej sławnej sprawy — obalenia Naczelnego z piedestału. Doceńmy jego humor i talent artystyczny, z jakim utrwali on Naczelnego w naszej pamięci, wkładając mu do ręki, niczym zwierciadło Afrodycie, globus, na którym ów rzekomo przewojował całą wojnę. Doceńmy wściekłą energię, z jaką podepcze raz po razie swoje niedawne bożyszcze i gospodarza, z jaką zużyje płyty jego piedestałów na tarcze dla elektrowni, brąz pomników przetopi na łożyska, zaś prochy wyrzuci z Mauzoleum, by dogniły w zwyczajnej mogile, jednakże stamtąd, z nowego miejsca pochówku, dosięgnie go jego Naczelnny, nie swoją zabalsamowaną ręką, lecz rękoma owego troskliwego pułkownika, nikomu nie znanego w czasie wojny, za to przystojniaczka, wielbiącego kobiety i przez nie uwielbianego, miłośnika sutych biesiad i sentymentalnych pieśni, rękami tego „garnizonowego sekretarza, parobka”, którego imienia nie mógł sobie przypomnieć Chruszczow podczas pamiętnej narady. Wśród takich biografii jakże miał się nie zagubić „skromny dowódca” Kobrisow? Kto będzie pamiętał, jak stał na promie, na środku

Dniepru, umierając ze strachu przed „Junkersem” pikującym wprost na niego, plując ogniem z obu skrzydłowych karabinów maszynowych? A tymczasem, w owe minuty w dziejach Predstawskiej operacji, w dziejach całej wojny, wpisywała się stronica zdumiewająca swą zachwałością i pięknem wykonania, której sądzono będzie wejść do podręczników sztuki operacyjnej i obalić wiele utrzymujących się wyobrażeń, stronica zarazem zagadkowa, jakby niedopowiedziana, z nie zachowanym imieniem autora.

Stronicę tę nazwą — Przyczótek Myriatyński. Dostosują ją do wymagań historii, jak to u nas bywa, w kraju, gdzie tak lubią przegrywać przeszłość i dlatego tak mało mają nadziei na przyszłość, dostosują, by wyglądała ona nie tak jak w rzeczywistości; i zasuszeni weterani-wykładowcy, kuśtykając ze wskazówką przy mapie, dowodzić będą przekonująco, że Myriatin od samego początku poczytywany był za główny przyczótek, a nie odciągający siły przeciwnika — tę rolę przypiszą Sibirzowi — i że było to, oczywiście, zawczasu zaplanowanym manewrem, a nie ot tak — wynikiem przypadkowego wetknięcia ramienia cyrkla. Chyba że znajdzie się jakiś wścibski historyk, któremu nie żal będzie czasu, by wysiedzieć prawdę? Albo też pojawi się lekko-

duch, pismak, o duszy Triapiczkina*, rozkopie, powyciąga, wstawi do swojej literatury — i tym sposobem ocali generalski honor?

Zresztą, niepotrzebne to wszystko. Przeciwnik, osądzając nas niekiedy sprawiedliwiej niż my samych siebie, właśnie generał-feldmarszałek Erich von Steiner, w swych powojennych wspomnieniach Do

zwycięstwa —jeden krok, tak powie o tej zagadkowej stronicy: „Tutaj, na Prawobrzeżu, dwukrotnie obserwowaliśmy eksplozję rosyjskiego geniuszu operacyjnego. Po raz pierwszy, kiedy atakujący moje lewe skrzydło generał Kobrisow odważył się zająć pustynny, na wskroś poprzestrzelany płaskowyż przed Myriatinem. Drugi jego krok, nie mniej wytworny — to pojawienie się osobiście na przyczółku w pierwszych godzinach desantu. Rozumiałem jego uczucia: niczym jeździec, który zmusza konia do pokonywania przeszkody, musi przede wszystkim przenieść przez nią swoje serce!.. Ale na trzeci ruch — już się Rosjanie nie zdobyli. Tak też to przewidziałem, że zamiast natych- Triapiczkin - postać pozasceniczna z Rewizora Mikołaja Gogola, petersburski felietonista-amator plotek, do którego Chlestakow napisał list „perlustrowany” przez naczelnika poczty, odczytany głośno w domu horodniczego w obecności notabli miasta, a zawierający wielce niepochlebne ich charakterystyki. Postać tę wykorzystał Michał Sałtykow-Szczedrin w satyrycznej powieści Pompadurzy i pompadurzycc.

269

miast, wszystkie, jakie mieli, siły, rzucić na Predstawl, będą woleli szturmować to miasteczko Myriatin, któregośmy wcale nie uważali za tak ważny punkt oporu. Kosztowało to ich trzy tygodnie zwłoki i kilka tysięcy zabitych, zupełnie niepotrzebnie. Rosjanie zachowali się jak żebracy: mieli przed sobą diament, ale woleli targować się o grosik...”

Jednakże — przeprawa dobiega końca. Blondynka regulująca ruch wysoko podniosła pałeczkę, wyciągnęła się jak struna, i kolumna czołgów zaryczała dieslami, owionęła czarnym dymem, gotowa wstą-

pić na poszczerbiony pomost.

Przed samym wjazdem uwijało się dwóch saperów: przywiązali do stojaka nadburcia linowego żerdź z tabliczką z dykty. Na białym tle widniał zamaszty, czarny napis: „Na Predstaw!*

— Na Predstaw! — powiedział generał. — Na srebrnej tacy daję.

Na wyciągnięcie dłoni.

Tak też przeciął Dniepr w odwrotnym kierunku, rozstając się z umiłowanym, nigdy nie widzianym Predstawem, pozostawiając swoją armię — on, który sobie przyrzekł, że żadna siła nie zrzuci go żywego z przyczółka.

Nieprzetłumaczalna gra słów: „Dajosz Predstaw!” — „Dawaj [na] Predstaw!”.

Rozdział V

Któż jest bez grzechu?

rzywdy, krzywdy... Ranią serce! Ściskają za gardło i każą przewracać się z boku na bok i zgrzytać zębami w bezsilnej złości. I picie nie pomaga na dłuższą metę, obudzisz się, człowieku, w nocy, i nie masz siły wstać, czymś się zająć — wgryzają się w ciebie niczym nocne stwory, które w dzień chowają się w głębokich norach, a z nastaniem ciemności wypęłzają i rzucają się na ciebie gromadą. Jedyne ratunek — nie stawiać oporu, któremuś z nich dać się ukąsić; wtedy inne wpęłzną z powrotem, czekając na swoją kolej do następnej nocy.

Wśród wszystkich krzywd, jakich doznał generał od życia i ludzi, szczególnie dręczyły go te, którym sam sprzyjał przez swą głupotę.

Nie było na kogo ich zwalić, nie było komu rzucić w twarz złego wyrzutu. I do nich doszła jeszcze ta ostatnia, którą sam sobie wyrządził

przy odjeździe. Zrobił jednak to głupstwo, pojechał przez Olchowatkę, obok sztabu frontu w nadziei, że Watutin, kiedy zobaczy na własne oczy jego odjazd, nie wytrzyma, każe zatrzymać, poprosi, by się wspólnie zastanowili. Nie mógł przecież Watutin tak obojętnie się z nim rozstać — przecież, jak się zdaje, cenił go, ileż to razem wojowali! Prosił przecież, by zajechać...

Koło Domu Kultury z antycznymi kolumnami i portykiem stłoczyły się sztabowe „willisy”, „dodge”, wierzchowce, biegali różnych rang oficerowie. I czuło się w tej ich krzątaninie, że dowódca frontu jest u siebie, nie pojechał na obiad ani na przyczółek. Któryś z nich powinien był Watutina powiadomić, a i ochrona mająca swe stanowisko przy wjeździe do wsi chyba przekazała, on sam wreszcie mógł prze-

271

I

cięż zobaczyć z okna, że były dowódca 38. Armii jedzie obok, nie spiesząc się, w samochodzie z odrzuconą plandeką. Kobrisowa rozpoznała — ktoś tam się wyprężył, zasalutował, inni tylko się odwrócili w jego stronę, żaden jednak nie poruszył się, by zameldować. I teraz wydało mu się — co go szczególnie ubodło — że Watutin wszystko to widział przez okno, że mu szepnęli, zwrócili uwagę, a on nie rozkazał zatrzymać, nie zapragnął posiedzieć razem choćby dziesięć minut na pożegnanie — bez adiutantów, bez szpiclów. I z pewnością oficerowie ci zorientowali się, że Watutin nie ma ochoty spotykać swego dawnego dowódcy. Ta drobne płotki sztabowe jakimś psim swędem wywają krwawiącą ranę, a podszwami wyczuwają drżenie, jakim agonia

przenika ziemię. A przecież początkowo przyjął właściwe postanowienie — nie jechać przez Olchowatkę! Co za idiota! W żaden sposób nie może się nauczyć, by zawierzać pierwszemu odruchowi serca — podobnie zresztą jak i pierwszemu wrażeniu, jakie robił na nim obcy człowiek — one zaś, te zwierzęce instynkty, nie okłamują!

Po tej krzywdzie doczekała się swej kolejności największa z krzywd — wiosenna roku czterdziestego pierwszego, która całe jego życie wywróciła, sprawiła, że stał się kimś innym. Nie można nawet powiedzieć, żeby była aż tak całkiem nieoczekiwana. Przeniesienie do stolicy, choć w tej samej szarzy oraz na to samo stanowisko, odczuł jako awans i raczej schlebiało mu to i uskrzydlało, choć zarazem żałował — oznaczało rozstanie z ludźmi, z ustalonym trybem życia, wspianymi polowaniami w tajdze. Pojawiły się też i obawy — nieokreślone, ale poddawanie się nim uznawał za tchórzostwo. Kobrisowa odwołano do Moskiewskiego Okręgu Wojennego, aby sformował dywizję, czyniono aluzję, że przeciwdesantową, dla obrony stolicy; nie podejrzewał żadnego podstępu, a jednak żona powiedziała:

— Uważaj, Fotia... Tak samo Wasilija Konstantinowicza zwabili.

Jakby w Moskwie nie znaleźli już swojego, żeby sformował, muszą cię zapraszać.

To prawda, nim wzięli Bliichera, podstępnie wywabili go z Dalekowschodniej Armii, gdzie żadni czekał z samym Jeżowem na czele, nic by nie działali. Z nim, Kobrisowem, nie trzeba byłoby pewno tak się certolić. A to, że do formowania moskiewskiej dywizji wzywali dowódcę z Dalekiego Wschodu, toż to była norma państwowa — rozbi-

janie solidarności, czy to narodowej czy też jakiegokolwiek wspólnoty, zasada jeszcze od carów przejęta: żeby w ochronie służyli różnoplemieńcy. Dla Moskwy — Kobrisow był kimś takim, obcym.

272

Jednak dywizja nie okazała się wymysłem czekistów, istniał już prawie cały jej sztab w Filach z zapleczem gospodarczym, z fabryki przybyły pierwsze czołgi, osiem sztuk, i nawet wyznaczono je do udziału w defiladzie pierwszomajowej. Napisał więc do żony, żeby zwinęła manatki i przyjechała rozejrzeć się za mieszkaniem, on nie ma kiedy tymi sprawami się zajmować, wybierać z czterech przydziałów. Sam tymczasem mieszka w hotelu „Moskwa”.

Wiosna tego 1941 roku była długa i zimna, do połowy czerwca trwały nieustające, mordercze deszcze, sama zaś Moskwa zadziwiała powietrzem przesiąkniętym oczekiwaniem na inną burzę, wojenną, i żarliwym dążeniem, by nie widzieć, skąd nadciągają chmury, nacieszyć się spokojem. W kinie wyświetlano film Jeśli jutro będzie wojna, widowisko w zupełności kojące; tam nasze walczone samoloty wyfruwały wprost z podziemnych hangarów, a czołgi z pochyłości zjeżdżały na stalowych linach i tak samo forsowały rzekę, nie dotykając wody — o amfibiach filmowcy chyba nie słyszeli; umowny wróg w umownym mundurze ginął całymi chmurami, z własnej przede wszystkim głupoty. Zamykano ambasady w okupowanych przez wojska niemieckie Iielgii i Grecji, ale dla spikerów „głównymi naszymi wrogami” pozostawały „Anglia — na zachodzie, Japonia — na wschodzie”. Rudolf I less, druga persona w Niemczech, partyjny zastępca Hitlera, polecił

samolotem do Anglii — zapewne nie po to, by jej wypowiedzieć wojnę, lecz całkiem na odwrót, i gazety zająknęły się nawet o „angielsko-niemieckiej zмовie”, zamilkły jednak natychmiast, kiedy Anglicy misję Hessa odrzucili, a jego samego wsadzili do więzienia. Do mglistego Albionu sympatii to nie wzbudziło, tak czy inaczej pozostawał uosobieniem zła. W ogródku „Ermitaż” konferansjerzy opowiadali anegdoty „o posmaku międzynarodowym”: Hitler skarży się towarzysowi Mołotowowi: „Już od półtora roku bombardujemy Londyn, a wciąż nie możemy go rozwalić”. — „A my — powiada Wiaczesław Michajłowicz — przyślemy wam dziesięciu administratorów moskiewskich domów, oni każde miasto rozwalą w trzy miesiące”. Śmiali się i klaskali, jednakże wojskowemu, który wiedział, co to bombardowanie, wstyd było tego słuchać, a jeszcze bardziej potem, kiedy bomby spadły na Kijów i Mińsk, a ta bombardowana, nie poddająca się Anglia, pierwsza okazała się sojuszniczką Rosji.

I był zimny, i pochmurny, choć nie deszczowy dzień Pierwszego Maja, kiedy po raz pierwszy Kobrisow, stojąc na trybunie dla gości, zobaczył Wodza. Zobaczył z daleka, z dołu, co i raz przesłaniał mu go

273

barczysty Timoszenko. A zresztą czasu do przypatrywania się miał Kobrisow niewiele, jako że we wspólnym szyku zbiorczego pułku Moskiewskiego Garnizonu miały przedefilować jego czołgi. Swoje BT-7 rozpoznawał pośród wszystkich innych, nawet nie po numerach, a niczym pogromca w cyrku, który nie pomyli swych tak samo pasiastych tygrysów z żadnymi innymi, lecz odróżni każdego po imieniu. Poznał

je od razu — i patrzył w napięciu, jak przejadą. Sam trenował kierowców, jak równać rząd, żeby ani na centymetr żaden się nie wysunął naprzód i nie pozostał w tyle, mógł już być ich pewien, a jednak denerwował się potężnie. I oto za kilka sekund miały minąć trawers jego trybuny i ujrzałby wyrównany szyk ich armat i korpusów. Ale przedtem winny były przedefilować przed Mauzoleum.

Pośród gości tej ostatniej przedwojennej defilady mało kto usłyszał w huku marszów i triumfalnych okrzyków z głośników radiowych zmianę dźwięku motorów, mało kto zwrócił uwagę na to, że dwa czołgi w szeregu nagle spowolniły ruch i sterzące we włazach wież głowy i ramiona dowódców jednocześnie zniknęły, a wieka się zatrzasnęły. W rzeczywistości czołgi nie stanęły zupełnie, ale ponieważ wszystko dokoła poruszało się i przeganiało je, wydawało się, że znieruchomiały. Nie trwało to więcej niż ćwierć minuty; czołgi jadące z tyłu płynnie je ominęły, a następnie i te dwa również ruszyły, i jeszcze przed cerkwią Świętego Wasyla wyrównały szyk. I, być może, u kogoś z widzów to chwilowe zatrzymanie pozostawiło wrażenie pięknego, przemyślanego zawczasu manewru — ale z pewnością nie u wojskowych. Serce Kobrisowa zaś podskoczyło do gardła...

Po defiladzie wezwał do siebie dowódców, wystuchał ich wyjaśnień, że nagle silniki zaczęły się zacinać, wobec czego zesłali nieco na dół, by dowiedzieć się o co chodzi i — być może — pomóc kierowcom ruszyć z miejsca. Wszystko było proste, jasne, zrozumiałe, a jednak pozostawiło u Kobrisowa niemiły osad, który nie rozpraszał się pod wpływem kolejnych trosk, lecz pozostawał gdzieś głęboko, to kłując,

to przeszywając nieznośnym bólem. Szczególnie nieprzyjemne było to, że od tego rozpocznie się jego służba w Moskwie.

Po dwunastu dniach przyszli po niego do pokoju w hotelu. Zapukali od razu o ósmej z rana, kiedy ogolony i odświeżony wodą kolońską wkładał czapkę, by pojechać do swego sztabu, i kiedy otworzył drzwi — stali w korytarzu, uprzejmie zasalutowali i powiedzieli, że samochód czeka, ale kierowca zachorował, zawiezie go więc jeden z nich. Dlaczego jest ich dwóch? — nowy kierowca wyjaśnił: prosił o wybaczenie, że podrzuci kolegę niedaleko stąd, do pewnego miejsca. Długo potem męczyło to generała, że przecież powinien się być domyśleć, zresztą w istocie domyślał się, odczuł przecież pierwotnym, zwierzęcym instynktem, że toczy się jakaś gra, a zarazem poczuł dziwne odrętwienie — od nazbyt gorzkiej myśli, że mogą się z nim obejść w sposób tak prymitywny, tak upokarzająco prosty. Zresztą już w samochodzie zrezygnowali z gry i powiedzieli, że przed miejscem, gdzie podrzucą generała, drży cała Moskwa, a każdy stara się ominąć je jak najszybciej, nawet nie spoglądając na te wrota, do których właśnie podjechali. I jakby słowa te były hasłem, głucho, bezokie wrota otworzyły się, przepuściły samochód i z miejsca zamknęły. Dla generała okazali się jeszcze łaskawi — „kolega” wyskoczył pierwszy i otworzył przed nim drzwiczki.

Nie minęło pół godziny, a już został zrewidowany, pozbawiony pasa i kabury, portfela z dokumentami i fotografiami żony i córek, zegarka, a nawet aluminiowego grzebyka, i umaczane w czarnej farbie palce przykładano mu do papieru. Następnie poddano go „rewizji fizjologicznej”, stanął wnet nagi przed olbrzymim babskiem w białym

fartuchu, o białej, pustej twarzy, na której oczy umiejscowione były wyżej niż powinny, a usta — ciut niżej. Posturą przywodziła na myśl pomnik Katarzyny w Pitrze, figurę wraz z piedestałem.

— Plecami do mnie — rozkazała głosem ordynarnym, ale jednak babskim. — Pochylcie się. Rozsuńcie pośladki.

— A cóż mógłbym tam schować? — zawołał generał.

— Twarzą do mnie — rozkazała kobieta-pomnik. — Unieście organy płciowe.

— Ludzie kochani, czyżby i tu coś można było schować?

Usiłował jeszcze niewyszukanymi żartami przezwyciężyć wstyd, dość nieoczekiwany u wojskowego, co roku badanego przez komisję lekarską, w skład której wchodziły także kobiety, niekiedy wcale ładne. Choć to może dziwne, ale stać przed nimi jak Pan Bóg stworzył wstydził się znacznie mniej. Tam łagodziła wszystko lekka ironia, z nimi i pożartować było miło, nawet na dwuznaczne tematy, żarcikami tymi porozumiewało się Boże bractwo płci, tak zachwycająco sobie wraże. Oto, czego tam nie było — odrażającej obojętności dla twego skrępowania. I ciała twego nie oglądano z tego punktu widzenia: co i gdzie można w nim schować. Ciekawe, kiedy by zdążył, raptem areztowany i cały czas pozostający pod nadzorem?

— Ubierajcie się — powiedziała pustolica.

275

W pokoju przestuchań cisnęli mu bluzę z odciętymi naramiennikami i guzikami, a także pozbawione guzików spodnie, które musiał podtrzymywać rękoma. Zresztą nadzorca dał mu z pół metra szpaga-

ciku i pokazał, jak jednym końcem obwiązać górny róg rozporka, a drugi koniec wetknąć w pętlę od guzika. On też, dusza litościwa, wyjaśnił, dlaczego nie wolno mieć guzików — żeby nie naostrzył ich o kamienną posadzkę i nie przeciął sobie żył. Butów również mu nie zwrócono, a dano klapki bez pięt, które wciąż spadały z nóg, toteż chodzić w nich trzeba było nie odrywając stóp od podłogi, szurając jak staruch. I tak jego, który wraz z mundurem traci coś niezmiernie ważnego dla wojskowego, a w odzieniu cywilnym czuje się niezręcznie, wepchnięto do pojedynczej celi i z hukiem zamknięto.

W przeciwieństwie do wielu, wielu innych generał Kobrisow nie uważał, że jego aresztowano przez pomyłkę, wszystkich innych zaś — słusznie; zbyt wielu ich było, tych słusznie aresztowanych, aby nie zrozumieć, że cała różnica polegała na tym, czym różni się twój ból od cudzego — twój jest bardziej dojmujący. Jednak w godzinach aresztowania ogarnęło go poczucie istnienia jakiegoś ogromnego, rozgałęzionego spisku, który ogarnął cały kraj; jakieś siły, dotąd ukrywające się, wyszły ze swych schowków, wzięły górę i oto wnet powalą na ziemię i zادةpczą buciorem całą potężną strukturę państwa, wszystkie jego służby i resorty, z Biurem Politycznym i Wodzem włącznie. I nie znalazło się w całym narodzie siły, która potrafiłaby się przeciwstawić powszechnemu unicestwieniu, bo też spiskowcy działali rozumnie: zaczęli od głównego ogniwa, opanowali służbę bezpieczeństwa i zrobili z niej swój wytrych do wielu drzwi, do serc i mózgów, a następnie obezwładnili i wykrwawili armię. A tylko ona jedna mogła uratować kraj od tego wewnętrznego — a kto wie, może i zewnętrznego? — na-

jazdu. Czy wiedział o tym wszystkim Wódz? Całkiem możliwe, że nie wiedział, nadto byli już sprytni. A mogło być i tak, że wiedział, ale okazał się ich bezsilną ofiarą, igraszką, którą kręcili tak, jak im było dogodnie.

I pierwszego wieczoru zaczęła się rzecz straszna. Zza ściany usłyszał byczy ryk męczzonego człowieka, nie wiadomo było, co z nim robią, równocześnie cierpliwie, niemal tkliwie do czegoś namawiając. Nie od razu, z wielu bezładnych krzyków, generał zorientował się, że jego sąsiadowi już piątą dobę nie dawano spać. Po nocnych przesłuchaniach walił się na podłogę, ale natychmiast zgrzytała kłapa judasza i wpadali nadzorcy, by go podnieść. Czuło się w nim człowieka o dużej sile fizycznej, która skazywała go na bezsilność, nie pozwalając zapaść

276

się w zbawienną nieprzytomność, żeby nie czuć kopniaków i uderzeń po twarzy; i to samo potężne ciało potrzebowało choćby pół godziny, choćby pięciu minut snu. „To samo zrobią z tobą” — powiedział do siebie Kobrisow. A z tamtym już to zrobili. Nie na skutek pomyłki umieścili go w takim sąsiedztwie, i nie po to tylko, by tymi krzykami i czułymi szeptami zakłócić mu sen. Nie tknęli go tymczasem fizycznie, nawet palcem, ale wewnątrz zachodziła w nim jakby reakcja chemiczna, w której jedne składniki łączyły się, a inne rozkładały na czynniki pierwsze, a wszystko to prowadziło ku temu, by substancje końcowe znalazły się już w związku z innymi, niż pierwotne, właściwościami. Na czwarty dzień uznali, że dojrzał już całkowicie do spotkania ze śledczym. I rzeczywiście dojrzał — przybyłego na spotkanie starszego lejtnanta, o podłużnej twarzy, z równiutkim przedziałkiem w

jasnych włosach, który z godnością powitał go głębokim skinieniem i wyraźnie przedstawił się: „Opriadkin Lew Fiedosiejewicz”, przyjął nieomal jak wybawiciela i poskarżył mu się, że nie może normalnie spać. Był to poważny błąd — zdradził się ze swej słabości i poskarżył niewłaściwej osobie: należało zwrócić się do naczelnika więzienia i obowiązkowo na piśmie. Nie ze śledczym należy się dogadywać, lecz winna to być skarga na naruszanie więziennego reżymu.

Śledczy przyjął oczywiście skargę ze zrozumieniem.

— Zasmuca mnie to — powiedział Opriadkin, wskazując aresztantowi miejsce za stołem naprzeciwko siebie. — I w ogóle nie należy was trzymać w izolatce. Zaraz dzisiaj przeniosą was do wspólnej celi. Tam dość spokojnie i nie jest ciasno: jakieś pięć-sześć osób. Jeśli, oczywiście, życzyście sobie tego.

Generał kiwnął głową na znak zgody.

— No i rozwiązaliśmy problem. Myślę, że świetnie się porozumiemy. Ja wam pomogę, a wy mnie. Muszę was poinformować, Fotiju Iwanowiczu, że wasza sprawa wydaje mi się nadzwyczaj prosta.

Szczególnych wysiłków od nas nie wymaga. Obserwowaliśmy was od bardzo dawna i tylko czekaliśmy — na czym się potkniecie.

— Ja się potknę? — zapytał generał. — Jak to rozumieć?

— Przecież cały czas spotykają was niepowodzenia. Najpierw — nie udało się wam z Japończykami. Teraz zachciało się wam wyładować złość na tym, co jest nam najdroższe.

— Co wy pleciecie? I na czym ja się „potknąłem”?

— Myślałem, żeście już wszystko zrozumieli — powiedział uśmiechając się Opriadkin. — Jak wy sobie tłumaczycie, za co was aresztowano?

— To wy powinniście mi wytłumaczyć. Nie będę się bawić w zgadzywanę.

— Nie będziecie? — powiedział Opriadkin i spojrzał na niego uważnie i z łagodnym uśmiechem. — Ano, pokażcie mi wasze ręce. Połóżcie na stół. Ja wam sam powrózę.

Niczego nie podejrzewając generał położył ręce. Opriadkin chwycił ze stołu linijkę i błyskawicznie uderzył go w jedną, następnie w drugą rękę. Uderzył nieboleśnie, jednakowoż to właśnie wydało mu się najbardziej uwłaczające i wywołało niepohamowany gniew.

— Co ty robisz, gadzino? — zawołał generał. — Z kim ty to tak?

Opriadkin, kołysząc się na krześle, westchnął niemal boleśnie.

— I nie chce się, ale trzeba będzie was ukarać. — Wskazał linijką kąt pokoju. — O tu, aresztancie. Na kolana, do kąta. I żebym nie słyszał więcej w moim gabinecie tego „tykania” i ordynarnych słów. No, czekam...

Kobrisow siedział nieruchomo, jakby w odrętwieniu. Gniew mącił mu jeszcze w głowie, i — zdając sobie sprawę, że mówi rzeczy niepotrzebne — mimo to powiedział:

— A może się okazać, że w niczym nie zawiniłem. Dojdziecie do tego. A zrobicie rzecz nieodwracalną. Nie zapomnę wam tego przecież.

— Ciekawe, do kogo będziecie mieli pretensje? — zapytał Opriadkin. — Do władzy naszej rodzimej? — A ponieważ generał milczał, przypomniał: — Wydaje mi się, że coś wam rozkazałem? Fotiju

Iwanowiczu, ja dla ojczyzny gotów jestem przeciw przestępstwo po-
pełnić. Na swoje sumienie to wezmę, wezwę trzech nadzorców, no,
czterech, rozbiorą was do rosółu i tak czy owak postawią tak, jak po-
wiedziałem. Tylko że na początek dadzą wam trochę w kość. Rękami i
nogami. Krwawy kłębek z was zrobią, krzyżące mięso. No, Fotiju mój
Iwanowiczu, po co to wszystko? Lepiej się chyba obejść bez tego. Prze-
cież to już nie wy będziecie, a że tak powiem, przepraszam za wyraże-
nie, zarżnięty knur. A mnie potrzeba, żebyście pozostali sobą samym
— i żeby cała prawda sama z was wypłynęła, i ukazała się jak na dłoni.
Dlatego — lepiej będzie, jak sami to zrobicie, no nie?

Jak się teraz przypomiñało generałowi, kiedy to był uczynił, gdy po-
szedł tam i uklęknął, przede wszystkim zdziwił się, że to takie proste. 1
doznał tylko uspokajającego uczucia, jak gdyby ani na piędź się nie cof-
nął, lecz ustępstwo poczynił maszynie.

278

r

Opriadkin, stojąc nad nim, powiedział współczująco:

—Ja to rozumiem, jeszcze się z wami w ten sposób nikt nie obcho-
dził. Nie chciałem używać przemocy, to nie w moim zwyczaju. Wyście
mnie do tego zmusili. A teraz opowiedzcie, i to ze szczegółami, jake-
ście przygotowywali ten swój zamach.

— Jaki zamach? O czym wy mówicie?

— Nie odwracać się. Twarzą do kąta, bardzo proszę. Jak to się
stało, że wasze czołgi nagle zahamowały na wprost Mauzoleum? I co
dalej przeszkodziło waszym czołgistom? Odwagi zabrakło? W ostat-

niej chwili wycofali się jednak ze swego zamierzenia? To bardzo ważne, to zmienia kwalifikację czynu.

— Co wy za bzdury pleciecie?

— Znowu mi ubliżacie — powiedział z westchnieniem Opriadkin i sięgnął po swoją linijkę. — Ręce do tyłu, dłonie w dół. Następnym razem, jak zaczniecie ubliżać, nasypię grochu. Jeszcze na grochu nie klęczeliście? Cóż, na pierwszy raz wystarczy. Zaraz odprowadzą was do celi, a tam dobrze sobie wszystko przemyślcie. Ja wam podpowiedziałem, rzuciłem, by tak rzec, niteczkę przewodnią, a wy już tam sobie rozpląćcie cały kłębek.

— Ale co ja mam rozplątywać? Nic nie rozumiem!..

— Kłamczuszek z Fotija Iwanowicza, kłamczuszek. Toż nie dzieciak z was, wszystko dobrze rozumiecie. Jeśli wasze czołgi podczas defilady nagle przyhamowują naprzeciwko Mauzoleum — naprzeciwko Mau-zo-leum! — to jak to nazwać? Za-mach, Fotiju Iwanowiczu, zamach. Na czyje życie? Nie odważcie się wymówić, a tylko wyobraźcie I o sobie w myślach.

— Ale przecież motory przestały u nich pracować, jaki tam zamach!

— Od razu w dwóch maszynach? No, przypuśćmy. Ale dlaczego w.isi dowódcy opuścili wieże?

— Trzeba przecież było dowiedzieć się, co się stało. Kierowcy — ludzie młodzi, mogli stracić głowę, nie poradzili sobie z układem sterowniczym.

— Przypuśćmy. Wszystko jakby gra. Jest tylko jeden ma-leń-ki

nzczegółik — dlaczegoż włazy za sobą zamknęli? Zamknięty właz oznacza — co? Położenie bojowe czołgu! Bo-jo-we!

Generał milczał, nie odważając się powtórzyć: „Bzdury!” i nie chcąc zwać wszystkiego na swoich lejtnantów.

279

— Widzę, że zmęczyliście się — powiedział Opriadkin. — Lepiej będzie, jak pomyślicie sam na sam ze sobą. Możecie wstać. — I nacisnął guzik dzwonka wzywającego konwojenta. Odprowadźcie go do ogólnej.

Tego wieczoru generała przeniesiono do drugiej celi, nie nazbyt zatłoczonej, gdzie stało osiem łóżek, i jedno z nich było dla niego przeznaczone — nie przy drzwiach i nie przy kiblu, jak przysługiwało nowemu, a niemal przy oknie, gdzie powietrze było świeższe. Jego sąsiad z prawej strony był tęgi, siwy, o wielkopańskim wyglądzie, różowej, nabrzmiałej twarzy, z lewej — ascetyczny brunet, chudzielec z zapadłymi policzkami, którego cała twarz wydawała się składać z wielgachnych okularów w dużej, masywnej oprawie. Obaj leżeli na kocach i wpatrywali się w niego — jak zresztą i cała cela.

— Niczego sobie tu u was — powiedział generał, żeby cokolwiek powiedzieć przyszłym sąsiadom.

— Grzech byłoby się skarżyć — odpowiedziało panisko różowe na gębie. — W innych celach, o ile wiadomo, jest znacznie gorzej.

— A to dlatego — powiedział ponuro okularnik — że u nas do niebios bliżej.

Różowy na gębie od razu poszarzał, i, zamknąwszy się w sobie, odwrócił.

Przez kilka dni generała nie wzywano na przesłuchania, i stopniowo, kiedy minął pierwszy wstrząs, mógł rozejrzeć się i przysłuchać tym, którzy zrzędzeniem losu znaleźli się obok niego, przede wszystkim dwóm najbliższym sąsiadom. Chciało mu się porównać, na ile gorsza była ich sytuacja od jego własnej i przynajmniej w tym znaleźć mizerną pociechę. Obaj nie spodziewali się dla siebie niczego dobrego. Okularnik, jak wynikało z jego replik, wykładał w szkole logikę, a przedtem, jako student wydziału zaocznego zdobywał staż proletariacki na wydziale odlewniczym, a jeszcze przedtem był białym oficerem, walczył pod sztandarami Korniłowa i uczestniczył w jego słynnym Lodowym Pochodzie.* W wyprawie tej przeziębził się, nabawił krupowego zapalenia płuc i cudem uratowany został przez zakochaną w nim pielęgniarkę, która wywiozła go z armii i ukryła w chutorze u swych rodziców. Przeżyli razem przeszło dwadzieścia lat, nie pozwalając sobie na potomstwo, by nieopatrznie się przed nimi nie wygadać, i żeby oni również nie

* Mowa o udanej ewakuacji „białej” Armii Ochotniczej gen. Ławra Korniłowa z Rostowa na Kubań (II-III 1918).

280

wygadali się lub nie donieśli na rodziców-białogwardzistów. Ale wszystko, co tajne, wychodzi w jakimś momencie na jaw. Miał w swej korniłowowskiej przeszłości drobny epizod, kiedy to wręczał samemu Ławrowi Gieorgijewiczowi jakąś przesyłkę i traf chciał, że w tej samej chwili sfilmował go przejezdny operator kinowy. Młody porucznik zawiadziacko pędził na koniu do stojącego na pagórku generała, zawiadziacko osadzał, zeskakiwał, wyprętał się jak struna. I generał, wyciągając rękę

zza pleców, przyjmował przesyłkę, a następnie, łaskawie uśmiechając się, ścisnął rękę kurierowi. W tym pięciosekundowym kadrze, włączonym do jakiegoś filmu dokumentalnego o Wojnie Domowej, dawnego porucznika, teraz wąsatego okularnika, rozpoznali współpracownicy i sąsiad ze wspólnego mieszkania komunalnego. W dodatku byłemu korniółcowi nie przyszło jakoś do głowy, by zmienić nazwisko, a ono było wydrapane gwoździem na pudle z taśmą filmową. I oto teraz miłująca ludzi władza robotniczo-chłopska nękała go pytaniem, na które przy najlepszych chęciach nie mógł odpowiedzieć: dlaczego spośród tysięcy przesyłek właśnie tę musiano koniecznie utrwalić dla historii? A może zawierała coś takiego, co przypłacił śmiercią i krwią niejeden żołnierz Armii Czerwonej?

Przypadek różowego na gębie paniska — czy też, jak mówił, „casus” — był całkiem szczególny. Panisko o tytule profesora wykładało na uniwersytecie prawo karne i jakoś nie zwróciło należytej uwagi, kiedy jeden z jego studentów obrał sobie za temat pracy magisterskiej działalność legislacyjną Rządu Tymczasowego w okresie między dwiema rewolucjami. Profesor apatycznie oponował, że temat jest nieciekawym, na rozprawę dyplomową nie bardzo się nadaje, że to „ciemny las” i „sam diabeł nogi sobie połamię”, ale tym samym, jak się zdaje, jeszcze bardziej rozpałił ciekawość natarczywego studenta; zasiadł do pracy w archiwach i wyłowił coś, co przewyższało wszelkie walory rozprawy magisterskiej. Był to nakaz aresztowania obywatela W. I. Ułjanowa (alias W. Lenina) jako podejrzanego o szpiegostwo na rzecz Niemiec, podpisany pod nieobecność prokuratora Rządu Tymczaso-

wego, przez jednego z jego zastępców, jak się podówczas mówiło, vice-prokuratora. Nazwisko tego „zastępcy” i jego podpis były zdumiewająco zbieżne z nazwiskiem i podpisem promotora pracy magisterskiej... I co najbardziej obciążało różowego na gębie sąsiada, to właśnie jego dawne stanowisko. Prokurator wydałby ten nakaz z urzędu, vice — nie inaczej jak z nakazu serca.

281

A

Z początku „casusy” jego sąsiadów wydawały się generałowi takim samym bredzeniem, jak i jego własna sprawa, jednakowoż żaden z nich nie wypierał się swojej winy, nawet chętnie je analizowali we dwójkę. — Ależ nie za to przecież tutaj trafiliście — z irytacją opędział się korniłowicz — a z lenistwa. Za zbrodniczą, powiedziałbym beczynność. Nakaz wydali, z wykonaniem zaś zwlekali. No i wyszedł postrzałek. A to, każdy myśliwy wam powie, najbardziej niebezpieczne zwierzę. — A po co żeście leżli pod kamerę? — odcinał się zastępca prokuratora, i sklerotyczne żyłki na jego skroniach stawały się jeszcze czerwieniejsze. — Wszystko przez próżność, łaskawy panie! Zachciało się w historii ślad pozostawić, no i dał pan ślad. — Ale to już nie ode mnie zależało. To już, jeśli chce pan wiedzieć, łaskawco, sprawa Losowego Przypadku. A wyście mieli wszystkie atuty w ręku. I pomyśleć tylko — ilu ludzi mogliście uszczęśliwić! Od tych ich rozmów generał początkowo stronił. Mogło przecież być i tak, że Opriadkin rozmyślnie go tu umieścił z jawnymi wrogami, żeby on, w którego sprawie toczyło się śledztwo, przeraził się, do jakie-

go stopnia upadł, w jakim to się znalazł towarzystwie. A może to były „wtyczki”, posadzone w celu sprowokowania go, by można mu było potem dodać za „niedoniesienie”. Niejedno tu budziło podejrzenie: do celi przyprowadzano z przesłuchań — a najczęściej przywlekano — pobitych, pokrwawionych, nie mogących językiem ruszyć ze śmiertelnego zmęczenia, a ci dwaj przychodzili cali i zdrowi, nikt ich jakby nawet palcem nie tknął. Stopniowo jednak, ku jego zdziwieniu mijała pierwotna niechęć do jawnych wrogów, a wraz z nią rozpraszaly się i podejrzenia. Miał sposobność zauważyć, że swoje dyskusje prowadzili także i bez niego. A nie czepiano się ich dlatego, że swych win się nie wypierali, były korniłowiec zaś jakby się tym nawet chełpił. A czyż jego, Kobrisowa, jeśli pominąć linijkę, Opriadkin tknął czymś boleśniej? Najwyższy już czas, by wyznać im wszystko, nie ma na to rady. Jakoś tak go usposobili do szczerości, że sam opowiedział im o czołgach i Mauzoleum — z uprzedzającym uśmieszkiem, jako o kosmicznej bzdurze.

— A czy było wyposażenie bojowe? — pierwszy zapytał korniłowiec.

— Wyposażenie bojowe? — generałowi jakoś nie przyszło to do głowy.

— No tak, pociski, taśmy z amunicją do karabinów maszynowych. Nie zamierzaliście przypadkiem, czerwony generale, rozjechać drogocennego grobowca gąsienicami?

282

w

— To przecież najważniejsze — powiedział zastępca prokuratora.

— To zmienia całą postać rzeczy.

— Czy ja wiem — odpowiedział generał. — Do jednostki przysła-
no z pełnym wyposażeniem. A w defiladach z czołgami nigdy dotąd
nie brałem udziału.

— Mówcie, że nie było — powiedział korniłowiec. — Kto to bę-
dzie sprawdzał? Lenistwo też nie jest im obce, jak i nam wszystkim.

— Myli się pan, mój drogi — zaproponował zastępca prokuratora.

— Oni się nigdy nie lenią! Mogą nawet podłożyć później, jeśli zechcą.

— Tak też i mówcie, jeśli ta sprawa wypłynie — powiedział korniło-
wicz: „Samiśde podłożyli”. Najważniejsze, żebyście pierwsi oświadczyli, że
czołg nie był uzbrojony. I domagajcie się, by to zostało zaprotokołowane.

Stało się jednak nie tak, jak radzili generałowi sąsiedzi. Opriadkin
wysłuchał jego argumentów z nabrzmiewającą twarzą, i zarazem po-
woli, jedną po drugiej, wysuwał szuflady biurka, a następnie zatrzas-
nął wszystkie jednocześnie — z hukiem, od którego nawet generał się
wzdrygnął.

— Fotiju Iwanowiczu — odezwał się Opriadkin przemierzając ga-
binet z wysuniętym do przodu brzuchem, wyrzucając nogi na boki i sie-
kąc powietrze dłońmi — przecież gdyby były uzbrojone, gdyby były
pociski, w ogóle nie rozmawiałbym z wami. Rozszarpałbym was na ka-
wałki tymi oto rękoma, udusiłbym. Właśnie dlatego, że nie było, powia-
dam: „zamach”. Ale diabeł z wami tańczył, podciągnę to pod artykuł
dziewiętnasty — jako „zamiar”. Od którego z jakichś tam względów od-
Htąpiliście. Ale nie dlatego bynajmniej, że nagle okazało się, iż nie ma wy-
posażenia bojowego. Wymyślcie coś bardziej przekonującego.

Chciałbym uchronić was przed najwyższym wymiarem kary, a wy nie chcecie mi pomóc. Chciałbym was tylko pod dziesiątkę podciągnąć, no to dawajcie razem, we dwójkę, walczyć o tę dziesiątkę!

Generał nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć.

— Ale pocisków przecież nie było! — twierdził z uporem. —

Amunicji do karabinów maszynowych — też nie było!

Opriadkin znowu wzdychał i sięgał po linijkę.

Ku niemałemu zdziwieniu generała w celi propozycję Opriadkina przyjęto i przeanalizowano całkiem poważnie.

— To nie tak krwiożercze, jak się na pierwszy rzut oka wydaje — powiedział zastępca prokuratora. — Proponuje kompromis — i to wygodny dla obu stron. Przecież on też musi się wykazać przed zwierzchnikami, a pan bez dziesiątki tak czy owak stąd nie wyjdzie. Można nawet

283

skombinować wrzuszającą wersję o tym, jak odstąpił pan od zamachu. Zobaczył pan urzekające twarze wodzów, poraziło pana oblicze towarzysza Stalina... coś w tym guście. I zawstydził się pan. A raczej — przeraził. Tak jest o wiele prawdopodobniej. Najgorzej — wypierać się wszystkiego. Śledczy też musi dostać kawałek chleba z masłem.

Posępny korniłowiec wariant ten odrzucił stanowczo.

— Nie są warci pańskiego „prawdopodobieństwa"! Znaleźli

„kompromisy" — między kotem i myszą. Kompletna nieświadomość

— oto najlepsza obrona. A może powinien przyznać się, że zabrano na defiladę wyposażenie bojowe? Przecież za to grozi tylko jedno — pod ścianę. Nawet jeśli można powiedzieć prawdę — wszystko jedno, wy-

kręcacie się łgarstwem. Zapytaj, kto napisał Marł we dusze — mówcie:

„Nie wiem”. Gogola nie wkopujcie. Po coś jest im to potrzebne, skoro pytają. A zresztą — dodał, obrzucając generała wzrokiem wyobcowanym, niemal wzdurliwym — ja biorę pod uwagę własne doświadczenie. Wy macie inne. Całe wasze życie, towarzyszu czerwony generale, było dotąd w istocie kompromisem. Tak więc może i tak się zdarzyć, że ze swoim śledczym się dogadacie.

Mur wyobcowania cały czas wznosił się pomiędzy Kobrisowem i jego oboma sąsiadami, i za miarodajnych doradców ich nie uznawał. W głębi duszy — w takiej głębi, że sam uznałby za ujmę przyznać się do tego — nie miał ochoty burzyć tego muru, starał się nawet umacniać go, wmawiając sobie, że sąsiedzi, nie tak jak on, mieli wszelako podstawy, by się tu znaleźć i czekać na rozstrzelanie. Oni, jak to już zapewne sformułowano w aktach oskarżenia, aktywnie zwalczali władzę radziecką, on zaś — aktywnie jej bronił. I to, co stanie się ich udziałem, nie mogło dotyczyć jego. Nie całkiem wykluczone, że ze swoim śledczym dogada się.

Odosobnieniu sprzyjało jeszcze i to, że oni, moskwianie, dostawali regularnie paczki, a on, prowincjusz, musiał się zadowalać kaszą okraszoną olejem z wytlóków bawełnianych lub z konopi, którą przynoszono w wiadrze i wrzucano mu chochlą do podstawionej miski, oraz funtem gliniastego chleba, dwoma kawałeczkami cukru i herbatą z suszonej marchwi i obierzyn z jabłek; było tego dlań za mało i doprowadzało go to niemal do łez; zjadał swój obiad usadawiając się tak, by nie widziano jego twarzy. Wstyd mu było przed samym sobą, wstydził

się poniżej, jakim go poddawano, nie rozumiejąc, że tym samym poniża się jeszcze bardziej. Ale jakoś zobaczył, że jego sąsiadom paczki od żon czy też dzieci, które się ich nie wyparły, dostarczają nie tyle

284

fe> %«u /-•)

radości, ile można by się spodziewać; korniłowiec, zjadając domowe pierożki z mięsem, połamane paluchami nadzorców, posepniał jeszcze bardziej, a różowe na gębie panisko rozłożywszy jadło na łóżku, długo się weń wpatrywał i taka litość do samego siebie go ogarniała, że w oczach miał łzy. Pewnego razu generał zagapił się i zbyt długo natarczywie mu się przyglądał, zastępca prokuratora zaś spostrzegłszy to spojrzenie, ocenił je po swojemu. Grubo nasmarował duży kawał chleba, a z wierzchu położył solidny plaster kiełbasy.

— Proszę się ugościć, proszę uprzejmie.

Generał, spostrzegłszy się, odskoczył, i pokręcił głową.

— Oni od was nie wezmą — powiedział korniłowiec patrząc na niego niemal z odrazą. — Komuniści są przeciwnikami wszelkiej dobroczynności.

— Generale, to przede wszystkim nieładnie — powiedział zastępca prokuratora trzymając cierpliwie kanapkę w wyciągniętej dłoni. —

Dzielić się jedzeniem — to święta tradycja więzienna.

— Tak cóż... Tylko czym się mogę wam odplacić? Nie ma kto nosić mi paczek.

— Ależ gdyby każdemu przynosili paczki, nie byłoby wtedy i tradycji. Proszę przyjąć, bardzo proszę.

I generał przyjął więzienny podarunek i skosztował go. Kornilowicz podał mu pierożek, generał i to przyjął. Mimo że się od nich nadal jakby odgradzał, zaczął pojmować, czym jest więzienie. Nie trzeba mu było już wyjaśniać, czemu dostał łyżkę drewnianą, a miskę — żelazną, z grubymi, zaokrąglonymi brzegami. I dlaczego zupa z dorsza cuchnie sodą, to akurat mógł objaśnić sąsiadom po żołniersku: „Żeby jak najmniej o babach myśleli. A z czosnkiem — byłoby na odwrót”. Z zainteresowaniem, a niekiedy z zachwytem obserwował zarówno zapobiegliwość wartowników, jak i spryt więzionych. W przedśionku łaźni strzygł włosy i wyrównywał wąsy fryzjer z wolnych — wszystko maszynką, żadnych brzytw, i... zupełnie na golasa! To dlatego, żeby nie mógł służyć w charakterze skrzynki pocztowej pomiędzy więźniami i tymi, co pozostali na wolności, a także między klientami z różnych cel. Nocami odbywały się „pobojowiska Mamajewa” — kipisz wszere i wzdłuż, z wypędzaniem z celi na rozkaz: „Wszyscy z rzeczami!”, z przebijaniem wyciorami poduszek i materaców, rozrywaniem szwów na ubraniach — i nigdy niczego nie znajdowano, a poczta wciąż mimo to działała: ukrytym grafitem, który — zdarzało się — chowano w nozdrzu, na skrawku papieru do podcierania pisano grypsy zawierające dwa-trzy słowa: „Takiego to — na szubienicę”, „Taki to —

285

m

wtyczka” albo po prostu rozpaczliwe zawołanie: „Wału — odezwij się!”; grypsy włożone do miękiszu chleba przylepiano od spodu do ław w łaźni. Była to poczta numer dwa; numerem pierwszym była ubikacja. Rzecz nie do uwierzenia, pomiędzy odgrodzonymi od siebie,

odosobnionymi ludźmi rozchodziły się wiadomości z wolnego świata, przynieszone przez nowych aresztantów — i wbrew zasadom ludzkiej solidarności cieszą się z każdego nowicjusza, jakby był zwiastunem wolności. Nazywano go „świeżą gazetą” i główną wieścią, jaką przynosił, były zataczające wciąż nowe kręgi aresztowania. Ale, co najdziwniejsze, nie tylko to nie przygnębiało i nie zasmucało, ale w jakiś sposób dodawało nadziei: proces ten lada chwila przekroczy linię krytyczną, kiedy nie będzie już można opanować go. I wówczas wahałoby się, osiągnąwszy najwyższy swój punkt, rozpoczął swój ruch wsteczny.

Nowa fala aresztowań przyniosła — o czym w niepojęty sposób dowiadywano się w celi — znanego moskiewskiego historyka literatury W. Ucieszono się z tego — jako potwierdzenia, że zgarniają wszystkich, jak leci, już nie tylko „polityków”, a więc tym lepiej: im więcej będzie aresztowanych, tym szybciej wyczerpana zostanie możliwość trzymania takiej masy ludzi w zamknięciu. Co prawda sam nowicjusz był odmiennego zdania: twierdził, że możliwości Rosji, jak zresztą wiele innych, są pod tym względem — niewyczerpalne.

Przez pewien czas stał się ośrodkiem uwagi i dni mu upływały na niekończących się rozmowach — w grupach lub w pojedynkę. Ani z racji swego zawodu, ani zasobu wiedzy generał nie mógł być partnerem dla nowego sąsiada, nic nie sprzyjało ich zbliżeniu, a jednak nastąpiło nieoczekiwanie szybko.

Jakoś tak podczas wspólnego wymarszu do ubikacji wypadło im we dwójkę wynosić kibel. Starosta celi uznał, że pod względem wzrostu odpowiadają sobie, a zatem niczego nie przechylą i zawartości nie

wyleją po drodze. Historyk literatury W. był co prawda wysoki, tyle że chuderlawy i z zadyszką, a co gorsza — nadto nerwowy. Co chwila potrzasał swoją słabą ręką — i to nie po to, by zmienić uchwyt, a z powodu nawiedzających go z nagłą myśli.

— Mój generale — zapytał — czy nie wydaje się panu, że skoro kielich ten nas nie ominął, moglibyśmy wydobyć zeń..., to znaczy, oczywiście, nie z niego samego, lecz z samego procesu niesienia go, wartości natury intelektualnej?

— A to jakiej, na przykład? — zapytał generał.

286

— No, powiedzmy, dać definicję najnowszej formacji historycznej: „komunizm to władza radziecka minus kanalizacja”. I co najprzemniej, formację tę już stworzono!

Generał obejrzał się tylko, czy aby ktoś nie słyszy tego gadania.

Chwała Bogu, jego towarzysz mówił tak, jakby miał w ustach pestkę wiśni, o dwa kroki dalej nic nie docierało.

— Niepokoi pana paradoksalność definicji? — ciągnął dalej zerkając wypukłym okiem gdzieś tam w sufit, wolną zaś ręką gładził łysinę z resztkami rzadziutkich czarnych włosów. — A mnie się wydaje, że ani trochę nie przeczy tezie teoretyka: „plus elektryfikacja”. Wszystko to nader symetryczne. Dodając „plus” nie wykluczył tym samym istnienia „minusa”.

— Ni cholery nie wykluczył — powiedział generał przechodząc na półszep. — Wszystko miał ułożone symetrycznie. Chcesz — ruszaj w ten step, chcesz — w tamten...

— Brawo, mój generale. Nikt lepiej od pana nie określił tego człowie-

ka. Nie próbował pan kiedykolwiek przelać swych myśli na papier?

— To znaczy — dla wydziału specjalnego? Nie próbowałem. To już wasza sprawa — literatura.

— Co do mnie, to mam tylko pośredni kontakt z literaturą. To znaczy, za pozwoleniem, zajmuję się literaturą o literaturze.

— No, ale tak czy inaczej, jest pan człowiekiem piszącym.

— Jak pan powiedział?

— No, z pana to takie wieczne pióro, czy jak?

— Podejrzewam — powiedział historyk literatury W. — że w my-

ślach tak też mnie pan nazywa: „wieczne pióro”. Mam rację?

Generał tak go nie nazywał, ale przyznał, że to nieźle. Od tego

dnia zaczęły się ich długie rozmowy, które nazwali: „Rozmyślaniami przy kiblu”. Sens nazwy był nie tyle topograficzny, co historyczny — po prostu od kibla wszystko się zaczęło.

Ich stosunki wkrótce tak się ułożyły, że generał mógł mu zadać pytanie drażliwe, którego zazwyczaj unikano w więzieniu: „Za co pan tu trafił?”

— Za przewinienie — odpowiedziało „wieczne pióro”. — To jest posadzili mnie, jak zwykle, bliźni, moi koledzy, ale nie bez powodu, co to — to nie.

— Cóż to za przewinienie?

— W tym, co pisałem, było wiele rzeczy nieprzemyślanych. No, choćby to, że Wolter wywarł swymi ideami wpływ na rosyjskich rewolucyjnych demokratów.

— A wywarł?

— O to właśnie chodzi, że ni cholery. A raczej było tak, że gardzili nim i słowo „wolterianizm” poczytywali niemal za obelgę. Po cóż więc to pisałem?! Ot i siedzę.

— Ależ to przecież bzdura nad bzdury!

— Też tak sędzę. Rozstrzelać — nie rozstrzelają, to już za następnym razem. Ale wycieczkę na Sołowki, na jakieś osiem latek, mam zapewnioną.

Z kolei generał, już niczego nie przemilczając, opowiedział o sobie. „Wieczne pióro”, po wysłuchaniu, sposepniał.

— Pan, panie generale, powinien się bać.

— Czego?

— A no tego właśnie. Tego, co mi tymczasem nie grozi. Pan ma powód do obaw i nie powinien pan wierzyć ani jednemu słowu swego śledczego. Pan powinien wyjść na wolność za wszelką cenę. Musi pan zachowywać się tak, jakby pan przeświadczony był o tym, że się im jeszcze przyda. O tym ich trzeba przekonać. Właśnie o tym, a nie o swojej niewinności. Pan nie jest jednym z nich, tylko sam pan tego nie podejrzewa. Są chrześcijanie, którzy nie podejrzewają tego, że są chrześcijanami. I to są ci najlepsi. Podobnie jak pan. Nie jest pan jednym z nich — na tym polega pańskie przewinienie. Jednakowoż jeszcze nie wszystko stracone. Wszak zanosi się na wojnę, tylko o tym się nie mówi. I nasi hannibalowie, co tu gadać, nie poradzą sobie z tym, zesrają się i tyle. A ponieważ wielu pomordowanych nie uda się już

wskrzesić, to cała nadzieja — w panu, mój generale.

— Kłopot w tym, że nie wierzą oni w tę całą wojnę.

— Wierzą, może pan nie wątpić. I boją się śmiertelnie.

— Dlaczego więc armię do tego stopnia rozbroili, najlepszych ludzi — starli w proszek? No, skoro w czymś tam, powiedzmy, zawinili, można przecież było trzymać ich jako rezerwę po więzieniach...

Zadając owo pytanie, kierował je do samego siebie, i „wieczne pióro” to zrozumiał, toteż odpowiedział i ze smutkiem, i wyraźnie z pragnieniem podniesienia go na duchu:

— Zostanie pan marszałkiem. Jeśli tylko pan wytrzyma. Mój Boże, jak trudne ma pan zadanie! Nie dość, że trzeba zwyciężać dla sławy cesarza, trzeba jeszcze wszystkie zwycięstwa kłaść mu do stóp i przekonywać go, udając idiotę, że bez niego nic by nie wyszło! Pańscy nie-szczęśni koledzy tego nie zrozumieli, oto na czym polega ich wina. Ale pan pyta, dlaczego nie można było, doceniając ich zasługi, wymyśleć dla nich coś innego, dlaczego koniecznie — śmierć? Czyż nie tak, mój generale?

— Tak.

— Myślę, że mają rację ci mędrkowie, którzy stosują w tym wypadku model złodziejskiej bandy, prawa społeczności, która uważa się za wyjętą spod prawa. Złodzieje i bandyci nie znają innej kary oprócz Śmierci. To nawet nie kara, to po prostu środek prewencyjny. W więzieniach siedzieć będą ci, którzy nie budzą ich niepokoju. Ale w razie najmniejszego niebezpieczeństwa... Rozumie mnie pan?...

— Coś jednak za bardzo wychodzą ze skóry — powiedział gene-

rał. — Po co aż tylu, sam się dziwię. Wystarczy porządnie nastraszyć jednego — toż to dla trzech tysięcy nauczka.

— O, przecenia pan, zespołowy intelekt ludzkości. Źle przyswaja ona lekcje historii, a raczej w ogóle nie przyswaja, i trzeba lekcje te powtarzać i utrwalać, najważniejsza rzecz — utrwalać. Tak że nasi badacze działają w sposób mądry. Instynktownie — i słusznie. Dokonują największego eksperymentu historycznego. Żeby wykorzenić to, czego wykorzenić się nie da — własność, indywidualność, twórczość — gotowi są unicestwić choćby i pięćdziesiąt milionów, a zastraszyć pół świata. Eksperyment ten nie ma końca i skazany jest z góry na niepowodzenie, po trzydziestu-czterdziestu latach stanie się to oczywiste dla wszystkich. Ale na ich stulecie — roboty starczy.

— Coś pan czarno to widzi — zaproponował generał. — Cóż to oni, o wnukach swoich nie myślą?

— Na odwrót. Wszystko się robi dla wnuków. W każdym razie tak często o tym trąbią, że sami w to uwierzyli. Tylko nie wiedzą, że wnukowie odwrócą się od nich w przerażeniu.

— No, to zależy. Niektórzy będą nawet dumni. Powstanie jakby roś w rodzaju nowej szlachty.

— Tak pan myśli? A może ma pan rację... Nawiasem mówiąc, jakbyśmy ich nazwali? Po prostu — „oni”? Nie mają przecież analogii w historii świata.

— Rozbójnicy — powiedział generał. — Złoczyńcy.

— Wybacz pan, generale, ale się z tym nie zgodzę. I najgłówniejszy z nich — to nie złoczyńca. To — sługa ludu. Nie sądzę, by sprawia-

to mu przyjemność unicestwienie talentów, stara się nawet tego i owego obronić. Ale nie zawsze mu się to udaje. Lud wielbi kaźnie, on zaś jest człowiekiem Wschodu — zna się na takich rzeczach. I głupio nazywać go złoczyńcą. On po prostu wymyślił nowe zasady gry. Pro-

289

szę sobie wyobrazić — gra pan w szachy i pański pionek wchodzi na ostatnie pole. Przeciwnik winien panu oddać hetmana. On zaś wali pana po głowie tym właśnie hetmanem. Okazuje się, że wprowadził nową regułę gry, tylko pana o tym nie uprzedził.

— I jaka tu może być obrona?

— Żadna. Nie zasiadać do takiej gry, w której reguły zmieniają się z dnia na dzień. Skoro zaś pan do niej zasiadł — Bóg już nie jest po pańskiej stronie, wszystkim teraz dyryguje szatan. Pan, panie generale, ze względu na swój zawód nie może w tych grach nie uczestniczyć, a zatem musi pan być na wszystko przygotowany. Niechaj pana pocieszy to, że nasze najgorsze przewidywania jednakowoż nie sprawdzają się. A raczej nie zawsze się sprawdzają.

— Ale może szatan ma też swoje reguły? — zapytał generał z uśmiechem. — Może nie tylko o zbrodni myśli?

— Mój generale, jest pan na dobrej drodze. Musi pan sobie przyswoić raz na zawsze: u nas nic nigdy nie robi się z dobroci serca, to znaczy, robi się także rzeczy dobre, ale tak czy owak — zawsze z nikczemnych pobudek. Ja, na przykład, wierzę, że wszystko się dobrze dla pana skończy — ale bynajmniej nie dlatego, że w kimś tam zwycięży pragnienie sprawiedliwości, że ktoś się złapie za głowę: co my robimy?!

Wtrąci się znowu — siła diabelska. Tylko na nią może pan liczyć. Ona okaże się silniejsza. Bóg porzucił ten kraj, cała nadzieja — w Szatanie. Tymczasem wszystko, co wydawało się takie jasne i oczywiste w celi, w ich „rozmyślaniach przy kiblu”, okazywało się czymś zupełnie innym w gabinecie śledczego. Grze, przed którą przestrzegał generała „wieczne pióro”, trudno było zapobiec: nie mógł zamknąć ust i w ogóle nie odpowiadać na żadne zadane mu pytanie. Tak zapewne należało postąpić na początku śledztwa, ale nie wtedy, gdy zgodził się już choćby podać swoje nazwisko i stopień wojskowy — czyli to, co śledczy mógł wyczytać z dokumentów zabranych przy aresztowaniu. I trzeba było posiadać czarodziejską umiejętność puszczenia mimo uszu pytań i najpotworniejszych oskarżeń, niekiedy tak idiotycznych, że krew uderzała do głowy i mąciła świadomość.

— Jesteście lokajem Bliichera! — krzyczał Opriadkin. — I będziecie zaprzeczać, że byliście z nim powiązani?

Kobrisow był „lokajem Bliichera” w takim samym stopniu jak i lokajem Woroszyłowa, powiązania zaś polegały na tym, że Bliicher dowodził, a Kobrisow był jego podkomendnym. Teraz jednak okazało się, że był zbyt dobrym podkomendnym: Bliicher na przeglądach

290

i na szkoleniu stawiał jego dywizji najwyższe oceny, a jego samego wysunął do orderu Czerwonego Sztandaru. I nieraz mówił, że może w pełni liczyć na dywizję Kobrisowa.

— A to w jakim sensie? — pytał Opriadkin. — Niby kiedy nadejdzie czas na otwarcie granicy Japończykom?

Pytanie swoje powtarzał często, i za każdym razem generał tak też siebie widział: jak podnosi pasiasty szlaban przed kolumną oczekujących ciężarówek wypełnionych żółtolicymi i skośnookimi piechurami.

0 pewnym szczególnie Opriadkin mówił z wyraźną przyjemnością, jako o czymś nader cennym w jego „skarbonce śledczego”. Oto na normalnych tarczach strzeleckich przedstawiających biegnącego piechura nosił on płytki hełm — nieokreślonego pochodzenia, raczej angielskiego (aluzja do Ententy). Tak oto generał często na strzelnicy wyrażał z tego powodu niezadowolenie z tych tarcz, mówił, że hełmy na tych tarczach, zatwierdzonych przecież przez Ludowy Komisariat Obrony, należy namalować głębokie, jak u Niemców, takie, z jakimi strzelcom wypadnie się zetknąć.

— A to co takiego? — pokrzykiwał Opriadkin. — Uważaliście Niemcy za ewentualnego przeciwnika? I przekonywaliście o tym żołnierzy? W obliczu zbrojącej się Japonii?

1 co najbardziej zawstydzało, generał, nie wiedzieć czemu, bał się powiedzieć po prostu: „Tak, uważam, że Niemcy!” Przewidział, jakie będzie następne pytanie: a w jaki sposób doszedł do określenia ewentualnego przeciwnika? Odpowiedzieć, że przez analogię? Wychodząc z założenia, że dwa niedźwiedzie nie mogą żyć w zgodzie na jednej polanie, w jaką przekształciła się obecnie Europa?

— Co za bzdury? — unosił się gniewem Opriadkin, jakby czytając w jego myślach. — Nie śmiejcie się nad tym nawet zastanawiać. Czyż towarzysz Mołotow, Wiaczesław Michajłowicz, wyraźnie nie powie-

dział: „Jesteśmy z Niemcami jak rodzeni bracia”. Nie czytaliście? To niemożliwe! Świadome osłabienie czujności w armii — oto jak się to nazywa. Rozbrajanie się przed realnym wrogiem.

Najbardziej zdumiewało i wprawiało generała we wściekłość, kiedy wszystko to, co wydawało się, należało mu poczytywać za zasługę, odwracano do góry nogami i uznawano za winę. Otrzymał dyplom uznania za wysoką dyscyplinę w jednostkach — ale Armia Czerwona słynie nie z tępego posłuszeństwa, lecz z wysokiego uświadomienia; po to musztrował dywizję, że rozklekotana w ten sposób nie zdoła wziąć się

291

w garść i pójdzie tam, gdzie się jej rozkaże — choćby wprost do niewoli japońskiej. Wiele uwagi udzielał obronie przeciwpancernej, sposobom obrony pojedynczych żołnierzy — to bardzo piękne, ale jakież ci Japończycy mają czołgi? Należy przeciwko nim stosować naszą ulubioną walkę wręcz, której oni unikają, w dywizji Kobrisowa zaś nie cieszyła się ona względami, i czy to nie dziwne dla kawalerzysty, który znał wartość ostrej szabli? Uczył manewrów odwrotu — a to po co? To nie nasza doktryna, my będziemy nacierać, walczyć na obcym terytorium z minimalnymi stratami. A przed kim mamy się cofać?! Stąd wprowadzany był następny dowód winy: swoich dowódców, przierzucanych na Wschód z zachodniej granicy zachęcał do wywożenia stamtąd także swoich rodzin, chętnie dawał im na ten cel urlopy oraz konwojentów do pakowania rzeczy i pomocy w przejeździe — wydebiał u miejscowej władzy mieszkania dla kadry dowódczej — ani chybi chciał całą republikę utworzyć na Dalekim Wschodzie, aby się

następnie oderwać pod egidą Japonii?

Tak twardy grunt usuwał się spod nóg, tak każdy jego postępek okazywał się krokiem, który przybliżał go ku ścianie straceń. Czasami, czując się cały spowity tymi przemyślnymi pętami, zrywał się i szedł na przebój:

— Ależ wy żadnych zasług nie cenicie! Czyżby nie miał ich tenże Blucher? Albo Tuchaczewski?

— A to ciekawe! — rzucał się Opriadkin. — Co uważacie za ich zasługi?

! — Odsuwamy na bok protokół?

— Odsuwamy, mnie samego to ciekawi. — I Opriadkin zatrzaskał tekę.

— Jeśli wybuchnie wojna, to dziękować będziecie Bliicherowi za to, że mamy czołgi. I to niezłe czołgi. A za to, że mamy samoloty, podziękujecie Tuchaczewskiemu.

I natychmiast spostrzegł się, przypomniawszy sobie, że nazywał aresztowanie i Tuchaczewskiego, i Bluchera przejawem niedołęstwa, zbrodnią. Widocznie jednak ci, co słyszeli to, nie donieśli.

— Podziękujemy — odparł Opriadkin z pewnym zdziwieniem w głosie, jakby spodziewał się szczeroci znacznie większej. — Za czołgi i samoloty i teraz dziękujemy. Myślicie, że towarzysz Stalin ich nie cenił? Nie cenił Uborewicza, Jakira? Bardzo nawet cenił i ceni. Ale rozstrzelać trzeba ich było.

— Dlaczego „trzeba”?

— Brali udział w spisku czy nie?

— I to udowodniono?

— Własnoręcznymi zeznaniami! Przyznali się, jak u popa na spowiedzi.

Generał w tym momencie nabierał wody w usta. Opriadkin podejrzliwie rozglądał się dokoła i ściszał głos:

— A wy sami nie rozumiecie, dlaczego trzeba było ich zlikwidować? Stali się hamulcem. Armię należy odświeżać, a oni młodych by nie dopuścili. Gdyby ich teraz nie usunięto, potem byłoby za późno. To jest, jeśli chcecie wiedzieć, superprzewidywanie.

— Więc z ludzi najwierniejszych z góry wrogów robicie? Po co?

— Fotiju Iwanowiczu, a z kogóż ich robić? Bywa tak, że najlepszy wróg — gnieździ się wśród swoich, to ten, który jeszcze wczoraj uchodził za przyjaciela. To on najwięcej złości budzi. Ale to tak, dla śmiechu, nie do protokołu. A jeśli już mówić poważnie, to władza radziecka żadnych wrogów się nie boi. Ma tylu zwolenników — na całym świecie, nie tylko w kraju — że ich wszystkich nakarmić nie sposób. Tak więc może sobie pozwolić na taki luksus — sprawdzić wytrzymałość przyjaciół, a co poniekórych zlikwidować, nawet spośród najwierniejszych. Jeśli tylko trzeba.

— Znowu „trzeba“!

— Tak, tak! To znaczy, były po temu swoje racje. Zrozumcież — władza radziecka to wariant nie z tej ziemi! To takie wydarzenie w historii świata, że wszystkie nasze błędy nie mogą mu zaszkodzić! Gdybyście nagle wygrali milion, czy byłoby wam szkoda stu rubli na

szampana? Władza radziecka może sobie pozwolić na wszystko. Uni-
ceścić setki tysięcy, miliony. I setki tysięcy, miliony powstaną w jej
obronie. Takie wartości wypisane są na jej sztandarach. Na ten przy-
kład — ja. Kim byłem? Podrzutek, bezdomny. Od czego się zaczęła
moja kariera? Od tego, że ukradłem koc. Chciałem się okryć, żeby mi
ciepło było, Fotiju Iwanowiczu, nie przepić, nie. Mieszkałem w piwni-
cy, w składzie drewna, tam zimno. Ale mnie złapali, kopali buciorami
w brzuch, leżącego... Was, nawiasem mówiąc, jeszcze nie kopali bucio-
rami?.. I kto mi przyszedł z pomocą? Współpracownik GPU, Udalcow
Fiodor Pałycz. Powiedział mi: „Lowa, wiem, że ode mnie uciekniesz,
ale ty jesteś nasz człowiek. Lowa, zapamiętaj moje słowa, przyjdiesz
do nas". Uciekłem wtedy, dwa lata się wałęsałem, kradłem w pociąg-
ach — i wróciłem. Zdałem sobie sprawę, że wszystko, co pragnę po-
siadać, może mi dać tylko władza radziecka. Wykształcenie, poważanie,

293

szacunek dla siebie. I tak zacząłem od koca, a teraz — jestem starszym
lejtnantem Urzędu Bezpieczeństwa. A jutro — kapitanem...

— A pojutrze — majorem.

— Tak! — wykrzyknął Opriadkin. — Tak! A potem starszym ma-
jorem. A to już na równi z generałem. A ty sssuko, skąd przyszedłeś —
wskazał ręką pod stół — tam też pójdiesz! Ciebie rewolucja, władza
radziecka — generałem zrobiła, a tyś to docenił? No i naszywki z ciebie
zerwali...

— Nie jestem złajdaczonym złodziejem, po waszemu suką — po-
wiedział Kobrisow. — A generałem mogłem zostać i za cara. Kto wie,

czy nawet nie szybciej.

— No, wiesz!

— Wiem.

Opriadkin nie znajdując odpowiedzi na tę zuchwałość, wyskakiwał, przez pewien czas przemierzał gabinet z kąta w kąt, brzuchem do przodu, rozrzucając nogi na boki. Następnie, uspokoiwszy się, sięgnął po swoją tekę.

— No, tak — mówił wzdychając. — Nagadaliśmy tu, napozwalaliśmy sobie!..

— Niczego wam nie mówiłem — zastrzegł się generał.

— A gdybyście nawet powiedzieli? Nie do protokołu przecież.

Czemuż bym miał być takim świntuchem — naruszać umowę dżentelmeńską? Cenię sobie wasze zaufanie, oto czego pojąć nie możecie. Pomoglibyście mi zmontować tę sprawę, i ja bym wam pomógł — jak tu uniknąć najwyższego wymiaru kary. Można przecież na nieboszczyka zwalić — to on, Blucher, chciał granicę otworzyć, a wyście byli ślepym wykonawcą. Otóż i macie okoliczność łagodzącą. Bo inaczej powstaje pytanie: myśmy wszyscy go za wroga nie uważali, ale dlaczegoż to on nas oszukał, a was — nie? Wy mu przecież do chwili obecnej wierzyście!..

Generał milczał posępnie, Opriadkin zaś z westchnieniem nacisnął guzik, żeby wezwać konwojenta.

— Odprowadzić.

W celi propozycja Opriadkina — wszystko zwalić na nieżyjącego marszałka — spotkała się z różnym przyjęciem. Kornitowiec wstrzymał się od dyskusji:

— Nasz butny honor oficerski nawet myśleć o czymś takim nie pozwalał. Ale u was, na czerwonych sztandarach, inne widnieją hasła: „Wszystko jest moralne, co służy proletariatowi”. Z pana teraz proletariusz pełną gębą, a więc proszę się zastanawiać.

294

Zastępca prokuratora ostrożnie zauważył, że mowa bądź co bądź o zmarłym, któremu przecież nic już nie zagraża. Kornilowiec nie raczył mu odpowiedzieć. Zupełnie innego zdania był „wieczne pióro”. Podczas kolejnej rozmowy „przy kiblu” powiedział:

— To nie jest nawet sprawa honoru, a trywialnej pragmatyki. Ten pański Blucher, jeśli dobrze pamiętam, sypał Tuchaczewskiego — za jego życia. Był w składzie sądu, i wiedząc, że jest niewinny, że to wszystko brednie, skazał go na śmierć. I co mu z tego przyszło? Sam w rok później trafił pod ten sam topór... Tak więc, niech się pan nie zadrecza, ja na pańskim miejscu pomyślałbym o czymś innym: czy ten pański Opriadkin dotrzyma słowa?

— Też się nad tym zastanawiałem — przyznał generał.

— Nie, mój generale, dotrzyma. Rozstrzeliwać będą pana inni. A on weźmie urlop. Widzę, że wciąga pana ta gra, zaczyna pana pasjonować. Chiałby pan już wiedzieć, czy kryminaliści, bandyci dotrzymują słowa. Dotrzymują, mają swój kodeks honorowy, ale tylko w swoim kręgu. Jeżeli już o tym mowa, niech pan zostanie jednym z nich. No cóż, skoro nie może pan zupełnie wyrzec się udziału w grze, niech pan udaje. Wszak wszędzie dokoła — zмова, dlaczegóż nie miałby i pan w zmovie tej uczestniczyć? Nie żądają od pana wiary, lecz jedynie

okazania pozorów wiary — niech pan okazuje. Niech ich pan przekona, że im wierzy, że pan nie wątpi, iż ma do czynienia z rycerzami idei. Spodoba im się to, i nie będą panu robić krzywdy. A zresztą... Nie, nie radzę. Panu się to nie uda. Całe nieszczęście polega na tym, że my obaj myślimy mózgiem, a oni — mózdzkiem, hipotalamusem. Tak jest lepiej.

— Nie upraszcza pan? — zaproponował generał. — Coś tam w rzeczy samej wypisano na sztandarach, w imię czego ludzie gotowi są iść na śmierć.

— On pana nie oszukał — powiedziała „wieczne pióro”. — Pański Opiadkin nie kłamie. Rewolucja francuska napisała: „wolność”, „równość”, „braterstwo” i ścinała głowy bynajmniej nie obawiając się powszechnego rozczarowania. A u nich — jeszcze prościej. Oni swoje hasło skrócili do jednego słowa, ale zato mogą je wypisywać ogromnymi literami. Tylko jedno: „równość”. Wszystko inne to bzdura. „Wolność” tak naprawdę nikomu nie jest potrzebna, ludzie nie wiedzą po prostu, co z nią robić. „Braterstwo”? Nie ma go w przyrodzie, nie ma w świecie zwierząt, dlaczegóż miałyby być u ludzi? Ale równość — to jest dopiero coś. Mnie jest źle, ale i tobie jest źle — czyli obojgu nam jest dobrze. Ja mam mało, ale i ty masz nie więcej — a zatem obaj mamy

295

dużo! Za to można umierać! I niczyjego życia nie szkoda. Ani swojego, ani tym bardziej cudzego.

— W jakiej to epoce wypadło nam żyć! — powiedział generał niemal z zachwytem.

— Epoka rozczarowań — „wieczne pióro” rozkładał ręce i uśmie-

chał się drgając nieogolonym policzkiem. — Rozszalałe marzenia wszystkich oświeconych miłośników ludu — motłoch nareszcie zdobył prawo decydowania o sobie. Siedzieliby spokojnie pod bokiem swych dynastycznych monarchów, którzy pospołu wymordowali bodajże nie więcej niż pańska sławna armia w osiemnastym roku. Widzi pan, jak wszystko się przeobraża, kiedy obalony zostaje umiarkowany despota, a takimi byli nasi carowie. Kiedy w tajdze zabijają tygrysa, to rozmnażają się wilki, i szkód jest od nich znacznie więcej. Zwiększa się spożycie i każdy chce skorzystać ze swego prawa. Ileż praw miał przed sobą „maleńki człowiek” — on zaś najchętniej skorzystał z najprymitywniejszego: również być tyranem. Mówiliśmy o nim z panem — w tym momencie „wieczne pióro” przez mgnienie wbił zezowate spojrzenie w sufit — a czy dużo jemu samemu potrzeba? No, zamęczyć jednego czy dwóch, żeby dnia nie przeżyć nadaremnie. W skali całego kraju — to pyłek, mikrobek. Ale trzeba za to płacić — na to samo pozwolić i innemu, temu kto cię wspiera, on też ma ochotę kogoś podręczyć...

Generał nie opowiadał nikomu o metodach Opriadkina, wstydził się o tym mówić, podczas gdy „wieczne pióro” chętnie dzielił się wszystkim i ze wszystkimi. Na czym polegało jego przewinienie, generał nie mógł zrozumieć, podobnie jak tego, iż warto było upierać się, że grecko-mykeńska kultura wcale nie stała niżej od tej, którą przyniosła ze sobą rewolucja francuska, albo że Meyerhold o dziesięć głów przewyższa Zawadskiego czy Ochłopkova* (wedle generała szlag by ich wszystkich trafił, nie warci są tego, żeby z ich powodu ciągnięto jesz-

cze po nocach na przesłuchania!), jednakże metody śledczego Gałuszki zrobiły na nim wrażenie. Gałuszko ów również uważał się za inteligenta i metody złamania podsądnego wybrał inteligentne. Podczas aresztu i rewizji u „wiecznego pióra” znaleziono w archiwum osiemnaście listów Woltera, oryginałów, jak utrzymywał ich posiadacz, i

1

Meyerhold Wsiewołod, Zawadski Jurij, Ochlopkow Mikołaj — aktorzy i reżyserzy teatralni, w latach 20. i 30. słynni m.in. z eksperymentów inscenizacyjnych.

296

czego Gałuszko nie kwestionował — inaczej jego metoda nie warta byłaby złamanego grosza. Oto, co wymyślił — palił po jednym liście nad świeczką, kiedy podsądny wypierał się, albo gdy Gałuszce wydawało się, że nie jest szczery. List palono w końcu przesłuchania, przy podsumowaniu, tak że ów trwający chwilę akt spalania podsądny przeżywał zawczasu przez długie godziny. Oczywiście, uprzednio pokazywano mu ten list, a nawet dawano do rąk, by raz jeszcze uświadomił sobie jego wartość.

Już trzy listy zostały w ten sposób spalone, i Gałuszko obiecał, że kiedy dobierze się do osiemnastego, to sam ich posiadacz skazany zostanie zgodnie z przepisami na rozstrzelanie — za zniszczenie największych skarbów kultury.

— A jak to udowodni — zainteresował się nauczyciel logiki, były oficer korniłowski — skoro spali dowody rzeczowe?

— W bardzo prosty sposób — odezwał się zastępca prokuratora Rządu Tymczasowego — wsypie cały popiół do archiwalnej koperty i

przekáže ekspertowi, ten zaś powącha i napisze orzeczenie, że to właśnie tenże popiół. A gdzie spalił? No, u siebie w domu nad świeczką, żeby listy nie trafiły do rąk ludu.

Ale „wieczne pióro” poraziła nie tyle perspektywa rozstrzelania z powodu Woltera, jak to, że Gałuszko nazwał te listy „największym skarbem kultury”.

— A zatem rozumie, że to skarb kultury? — wręcz się wściekał. —
Wie, co robi.

— A oni zawsze wiedzieli — powiedział korniłowiec. — Gdyby nie wiedział, to by nie palił.

Generałowi przykro było patrzeć na to, jak się zamartwia „wieczne pióro” z powodu jakichś tam papierków i zawezwawszy go do kątka, zapytał półszepem:

— Za pozwoleniem, chciałbym wiedzieć... Czy zrobiono kopie z tych listów? Czy znajdują się w pewnym miejscu? — I odkaszlnąwszy w dłoń, dodał zmieszany: — Jeśli nie ma pan do mnie zaufania, proszę nie odpowiadać...

„Wieczne pióro” spojrział na niego ze zdumieniem.

— Mój Boże, o czym pan mówi? Może pan rozpowiadać, komu pan zechce. Kopie ma wielu. Przytaczane są w książkach. Ale, mój generale, on pali nie kopie, on pali oryginały!

— Ach, tak... — powiedział generał. — Tak, rozumiem.

I jemu samemu wydało się, że zrozumiał.

Przy czwartym liście wielkiego epikurejczyka, nadpalonym jedynie w rogu — Gałuszko natychmiast zgasił go — przy tym liście „wieczne pióro”, którego nie bito, nie tknięto palcem, załamał się. Zgodził się podpisać wszystko, co tylko wetknął do protokołu pomysłowy Gałuszko, i wrócił do celi rozpromieniony, mając w perspektywie osiem lat na Sołowkach, co przy jego nadwerżonym sercu oznaczało nieuchronnie szybką śmierć.

— Koniec! — powiedział do generała. — Teraz jestem człowiekiem.

I co najdziwniejsze, od tego dnia również generał wewnętrznie zdołał odgradzić się od swego Opriadkina, zrozumiał, że nie wszystko zostało oddane i podeptane, że nawet załamanie nie oznacza jeszcze upadku człowieka, że można nawet poddając się zwyciężyć, jeśli jako swoją broń obrać — uległość, uległość rozumu wobec tępej i głupiej siły, która nie jest człowiekiem, w żaden sposób, nigdy nie może być uznana za człowieka, dlatego też nie jest w stanie ani obrazić, ani poniżyć. I Lew Fiedosiejewicz Opriadkin błyskawicznie to zrozumiał, poczuł swoją diabelską intuicją złodzieja, że załamał się on, a nie Kobrisow, kiedy ów pojawił się na przesłuchanie jako zupełnie inny człowiek. Człowiek ten wyciągnął rękę pod jego linijkę nie z pokorą, lecz swobodnie, i uklęknął w kącie rozmyślając o czymś jemu tylko wiadomym. Na żadne pytania nie odpowiadał, nie słyszał ich.

— Z wami nie sposób dojść do ładu — powiedział Opriadkin. — Będę musiał przekazać was innemu śledczemu.

Czoło mu zabłyśło i oczy zaiskrzyły się ze złości, ale kodeks kry-

minalisty nie pozwalał na rozwścieczenie. Obiecał jedynie zimno:

— Jutro on się wami zajmie inaczej. Powstrzymałem się, nie chciałem, żebyście stali się skończonym wrogiem. Traktowałem was jako przeniwiercę, ale mimo to naszego człowieka. Mój kolega zdecyduje inaczej — że nigdy stąd nie wyjdziecie. Jaka by nie była pogoda. Nawet jeśli wobec was popełniono jakiś błąd, jakże po tym wszystkim zdołacie pokochać władzę radziecką? Któż w to uwierzy?

Ani nazajutrz, ani pojutrze wezwanie nie nastąpiło, i generał mógł swobodnie oddać się rozmyślaniom, co też oznaczała taka obietnica. Tymczasem zmiany dotknęły jego towarzyszy. Wezwano z rzeciami zastępcę prokuratora, który na tę wiadomość zemdłał. Nastąpiła dlań ta godzina, o której nieco błazeńsko zwykł mówić: „Sąd krótki, jak spotkanie z ukochaną, głośne odczytanie najbardziej porywającego tekstu — wyroku. I tego samego dnia — spełnienie wszystkich pragnień.

298

Zdaje się, że dają papierosa, ale ja, niestety, nie palę. Poproszę, żeby kajdanki zatrzasnęli mi z przodu, a nie za plecami. Przy moim brzuszku, to, sami wiecie, niewygodne..." Zbierać jego rzeczy i wyprowadzać z celi musiało dwóch strażników oraz korniłowiec, który uznał to za „oddanie ostatniej posługi towarzyszowi". Prosił nawet, żeby mu pozwolili odprowadzić towarzysza przynajmniej do końca korytarza, ale oczywiście na to zgody nie otrzymał.

— A szkoda — powiedział korniłowiec — namęczą się z nim, a ja potrafiłbym go podtrzymać na duchu. Przekonałbym go, że w Lefortowie robią to szybko i elegancko, bez zbędnego naigrywania się.

Po godzinie wyrzucono i samego korniłowca.

— Gotów jestem wykonać rozkaz — powiedział stuknąwszy obcasami.

Miał wszystko poukładane, zapakowane w żołnierskim worku.

Czas przeznaczony na spakowanie się poświęcił pożegnaniom z całą, każdemu powiedział kilka słów, widać, wcześniej obmyślonych.

Przed generałem skłonił się głęboko, ten odpowiedział mu tym samym.

— Wie pan — powiedział były korniowiec — a jednak to dobrze, że nie spotkaliśmy się w boju, prawda?

— Prawda — odpowiedział generał. — Teraz to ze mnie worek z głównem, a wtedy ramionko miałem, że ho-ho! Mogłem aż do siodła rozrąbać.

— Ale nie wie pan, jakbym wtedy zareagował. Może zdążyłbym wyprzedzić pański cios? Jednakowoż po cóż to wymachujemy szablami po bijatyce? — pomilczał i dodał. — Jeżeli pan, czerwony generale, wyciągnie do mnie rękę, nie zdziwię się. Jeśli nie — nie obrażę się. Generał wyciągnął do niego rękę, życząc hartu ducha przed tym, co go czeka.

— Co do tego, generale, może być pan pewien — powiedział korniowiec i znowu stuknął obcasami.

Nazajutrz „wieczne pióro” odjechał na swe Sołowki, beztroski i nieulekły, jakby spadł mu kamień z serca. Przed odejściem wygłosił mowę:

— Towarzyszu celi mojej, ktokolwiek z nas zostanie przy życiu i

wyjdzie stąd na wolność, czego gorąco życzę, niechaj nie zapomni i opowie, że w moich aktach, w archiwum NKWD, ostało się piętnaście autentycznych listów Woltera. Śledczy obiecał, że akta będą przechowywane wiecznie. Mam przeto nadzieję, że nigdzie lepiej niż u nich

299

listy te nie zachowają się. Osobiście odpowiada za nie śledczy Gałuszko. A zresztą nazwiska tego można nie zapamiętywać. Zapamiętajcie — Woltera.

Kobrisow obiecał zapamiętać i życzył zwolnienia po upływie półroczny terminu.

— Mój generale — powiedział „wieczne pióro” — nigdy nie zapomnę naszych rozmów przy kiblu. Były bardzo ciekawe, pożyteczne i owocne. Zgadza się pan?

— Ja też będę pamiętał — powiedział generał.

— Nie może być inaczej. Ach, mój generale, czyżby mógł pan to wszystko kiedykolwiek zapomnieć? Nie, jest pan teraz innym człowiekiem. Chcę jednak żywić nadzieję, że stał się pan chrześcijaninem, który wie, że jest chrześcijaninem, i tak samo darzy miłością zarówno swych przyjaciół, jak i wrogów. I kiedy nastaną ciężkie czasy dla naszej niešťczęsnej ojczyzny, pan, mój generale, okaże się rycerzem i obroni ją — wraz ze wszystkimi ludzkimi bebechami, jakie się w niej nagromadziły.

— Nie wiem — powiedział generał. — Ale któż będzie ich bronił, sukinsynów podłych, kiedy takie rzeczy wyczyniają?

— Pan, mój generale. I to — ze wszystkich sił.

Objęli się i pokleпали po plecach, wzruszeni do łez.

Po odejściu tych trojga poczuł się zupełnie samotny; tęsknota wzmogła się, ale z tymi, którzy przyszli na ich miejsce, nie miał już ochoty na rozmowy. Rozmyślał.

Myślał o tym, że człowiek ma obowiązek wyjść z bronią w rękę na próg swego domu i bronić go, i swej rodziny, nie szczędząc życia. Bez broni — ma obowiązek umrzeć z godnością, nie całując stóp swych oprawców. Lecz kto potępi tego, kto nie wytrzymał tortur, nie chciał cierpieć, po prostu nie stać go było na to — podobnie jak czołg nie jest stworzony do tego, by go krojono palnikiem gazowym! I z całą stanowczością podjął decyzję: kiedy wezwą go do tamtego pokoju — nie wie- dzieć czemu wydawało mu się, że to się odbywa w specjalnym pokoju — kiedy tylko wyjmą swoje odrażające narzędzia, on powie: „Nie trzeba. Piszcie, co chcecie. Machnę swój podpis”. Ale tylko wtedy — postanowił — jeśli swymi zeznaniami nikogo za sobą nie pociągnie do śmiertel- nego dołu. Na sobie samym postawił krzyżyk. „Wieczne pióro” pomylił się. Żadna siła diabelska jemu, Kobrisowowi, nie przyszła na ratunek.

I jakby na potwierdzenie tego pewnego poranka nadzorca zabrał mu bluzę wojskową, w zamian za to dał mu szarą pizamę wyglądającą na szpitalną — też bez guzików, tak spraną, że aż rozpadającą się, choć

300

nie cuchnącą potem. A przesiąknięta musiała być porządnie, pomyślał sobie, dlatego że w takim czymś ani chybi dokonują egzekucji, nie wy- pada przecież, żeby dowódca Armii Czerwonej był w mundurze, na- wet z odciętymi guzikami... Sąsiedzi z celi przyglądali mu się ze współczuciem. On zaś, czując się już zupełnie wyobcowany, i od nich,

i od wszystkiego co ludzkie, nie wstydził się żalosnych swych łachów, lecz tak to sformułował w zadumie: „Tutaj każdy szczegółik ma na celu upokorzenie człowieka. I tak — do ostatniego jego kroku.”

Nazajutrz, kiedy go wywołali, w celi panowała niezwykła cisza.

O całą godzinę spóźnili się z poranną kaszą i herbatą. I wezwano go o niezwykłej porze — w południe, i po drodze nikogo nie spotkał, nie musiał odwracać się do ściany. W grobowej ciszy rozlegały się donośne kroki jego i nadzorczy. W owych zmianach czuło się jakieś złowieszcze napięcie.

Tymczasem w gabinecie powitał go tenże Lew Fiedosiejewicz

Opriadkin. Powitał w półmroku, przy szczelnie zasuniętych kotarach, w łagodnym świetle lampy, odwróconej, żeby nie tworzyć nastroju niepokoju, a na stole znajdowały się, miast grubej teki, dziwne przedmioty — butelka koniaku, dwie butelki wody mineralnej i pokrojony w trójkąty tort.

— Jak mam to rozumieć, obywatelu śledczy? Nowe metody wywierania presji?

— Żadne metody — powiedział Opriadkin. — Ponieważ zabierają was ode mnie, chciałbym się pożegnać po dobremu. Żebyście mnie źle nie wspominali.

Rozlał koniak do pękatych kieliszków i przysunął na srebrnej łożypce spory kawałek tortu z jaskrawo zielonym i różowym kremem.

Generał pokręcił głową.

— Niepotrzebnie się wymawiacie, Fotiju Iwanowiczu. Ostatni przedwojenny tort. Dzisiaj jeszcze można kupić bez kolejki.

Generał przypomniał sobie raptem niezwykłą ciszę i to, że nikogo poza nim nie wzywano dziś na przesłuchania.

— Z kim więc wojna, obywatelu śledczy?

— Wy o to pytacie, Fotiju Iwanowiczu? Z przeciwnikiem, którego przewidywaliście, z kimże by jeszcze?

Ani głos, ani twarz Opriadkina nie wyrażały zakłopotania. Nie po raz pierwszy i nie ostatni generał dostrzegał u swych rodaków owo szczere przekonanie o niezmiennej słuszności ich postawy: „Wtedy były takie czasy i taki kierunek, i ja wtedy mówiłem tak, a teraz mamy

I

301

inne czasy i inny kierunek, i mówię całkiem inaczej. Po prostu byłoby śmieszne czynić mi z tego powodu wyrzuty". Niektórzy dodawali jeszcze, że trzeba znać dialektykę.

Generał nie robił wyrzutów, tylko zapytał:

— I kiedyż to on napadł, ten mój przeciwnik?

— A dlaczego sądzicie, że napadł? A może uprzedziliśmy go?

Generał wzruszył jedynie ramionami. „Gdybyście uprzedzili — pomyślał — nie częstowałbyś mnie koniakiem i torcikiem".

— Wczoraj o czwartej godzinie nad ranem — powiedział Opriadkin. — Wiarotomnie, bez wypowiedzenia wojny.

Wciąż stał z kawałkiem tortu na łopatce, w jego oczach narastał błysk złości, i wydawało się, że zaraz ciśnie ten kawałek aresztantowi w jego niepokorną gębę. Ogarnęło go obrzydliwe przecucie, że za chwilę po twarzy popętnie słodki śliski krem, spadając z nosa i ust. I

wtedy aresztant nie wytrzyma, rozplacze się z upokorzenia i bezsilności.

Lew Fiedosiejewicz nagle uśmiechnął się. Zrozumiał generała po swojemu:

— Boicie się, że zatruty? To nie ten wariant, Fotiju Iwanowiczu...

Po co? Jeżeli chcecie, skosztuję sam z dowolnej strony. Choćby z waszego kawałka.

I w istocie, sam pierwszy skosztował. Generał, któremu taka myśl do głowy nie przychodziła, zdziwił się tylko: był, znaczy się, i taki wariant, czemu więc go nie zastosowali? Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć w to, że był potrzebny. I nagle spostrzegł na tapczanie swoją odprasowaną bluzę z przyszytymi naszywkami, przyciśniętą ciężką kaburą.

— Cóż, obywatelu śledczy — powiedział podciągając opadające spodnie, ale już głosem nieco surowszym, już jako ten, który ma władzę — razem będziemy teraz ojczyznę ratować?

— Każdy na swoim miejscu — odparł skromnie Opriadkin. — I nie jestem dla was „obywatelem śledczym”, lecz towarzyszem starszym lejtnantem. A wy... towarzyszu generale... wam zaraz przyszyją guziki, a to tak nie wypada... pojedziecie do swego narkomatu, to jest Komisariatu Ludowego Obrony. Powierzają wam dywizję.

— Cóż to, już drugą mam formować?

— Dywizję wam dają na zachodzie. Jest sformowana, ale, o ile wiem, wycofuje się bezładnie. Panuje przekonanie, że pod waszym dowództwem wycofywać się nie będzie. W przeciwnym wypadku mogą was też rozstrzelać. Szkoda byłoby, wszystkie moje wysiłki poszłyby

na marne. — Pod ciężkim spojrzeniem generała przestał się uśmiechać i dodał: — Polecicie dzisiaj w nocy.

— A rodzinę moją powiadomiono, że jestem wolny?

— Waszej rodziny nie informowano, że jesteście w areszcie śledczym. A dzisiaj po waszą rodzinę posłano ludzi, dwóch obrotnych „tyłowców”, żeby pomogli spakować się i przeprowadzić. Wasze mieszkanie w Moskwie jest przygotowane. W samym centrum, na ulicy Gorkiego.

Generał z wolna odwrócił się w kierunku wyjścia, jeszcze do końca nie dowierzając, czy zaraz go nie zatrzymają:

— Pójdę się spakować.

— A jednak szkoda, żeście wzgardzili moim poczęstunkiem — powiedział Opriadkin nawet z nutą smutku w głosie. — Ach, Fotiju Iwanowiczu, złota ty moja pomyłko! Gdybyście wiedzieli, jakie gwiazdy decydowały o waszym losie! A bez małego pionka, bez Opriadkina Lwa Fiedosiewicza, też się nie obeszło. To jego udział was uratował. No i oczywiście to, że towarzysz Stalin darzy szczególnym zaufaniem kawalerzystów.

— Od dawna już nie jestem kawalerzystą.

— A to nieważne. Jesteście kawalerzystą z czasów Wojny Domowej. I nie jesteście zarozumiali. Towarzysz Stalin nie lubi zarozumiałców. Być może to wasze szczęście, żeście się wtedy nie stali zbyt sławni. Tak też napisałem w charakterystyce: „Skromny. Wielbi towarzysza Stalina jako wybawcę socjalistycznej ojczyzny”. I, jak widzicie, pomogło!

Generał przyjął tę wiadomość w milczeniu.

— Macie jakieś pytania? — zapytał Opriadkin.

— Mam — powiedział generał. — Czy można uważać naszą rozmowę za zakończoną?

— Ciągnie was po prostu do celu — powiedział Opriadkin z irytacją. — Co tam macie do pakowania? Wszystko, co wasze, jest tutaj, pojedziecie prosto ode mnie.

— Muszę się z sąsiadami pożegnać.

— O! — zawołał Opriadkin z błyskiem w oczach. — Przyzwyczajliście się już, przyswoiliście sobie etykę więzienną. I tak pójdziecie — w tych łachmanach?

— Tak pójdę. Miałbym może w generalskim mundurze się żegnać?...

i

303

— No, no — Opriadkin pokiwał głową ze zdumieniem. — Kiedy się już pożegnacie, nie oglądajcie się na drzwi. Inaczej wróćcie do nas.

— Wiem — powiedział generał.

— Wie — potwierdził nadzorca. — Uczony...

Opriadkin przerwał mu ostrym spojrzeniem. I rozkazał odprowadzić aresztowanego już jako człowieka wolnego.

Wszystkich dni generała Kobrisowa nie starczyło, by się dowiedzieć, co oznaczały zagadkowe słowa Opriadkina: „Jakież gwiazdy decydowały o waszym losie!” Zrozumiał to tak, że na jakimś biurku jego los przypadkowo przełożony został z jednej teki do drugiej i ta-

kim sposobem o wszystkim zadecywowano. Ale nic nie dzieje się przypadkowo w świętej dziedzinie papierków decydujących o losie. Dwie gwiazdy w rzeczy samej rozbłyły nad jego losem. W pierwszych godzinach wojny na biurku przyszłego Naczelnego znalazły się dwie listy do podpisu. Nazwisko Kobrisowa widniało w obu. Jedna została przedłożona przez szefa Sztabu Generalnego Żukowa i zawierała trzysta nazwisk dowódców oczekujących na swój los w celach moskiewskich więzień. Żuków nie prosił ani o ich uniewinnienie, ani o ułaskawienie, a jedynie o odsunięcie śledztwa lub wykonania wyroku do chwili zakończenia działań wojennych. Zakładano, że działania te nie będą zbyt długie i przyniosą zwycięstwo, tymczasem zaś wymagały powrotu tych ludzi do szeregów armii. Druga lista, przedłożona przez Generalnego Komisarza Urzędu Bezpieczeństwa Berię, stanowiła wyciąg z pierwszej; zawierała ponad czterdzieści nazwisk różnych rang — od majora do generała armii — tych, których nie rozstrzelanie przyniosłoby szkodę dla tajnych służb i dotknęłoby osobiście ich szefa. Naczelnym przejrzał obie listy i pierwszą pozostawił bez śladów swego pióra lub paznokcia, a w drugiej obok niektórych nazwisk postawił znak zapytania. Można to było odczytać i jako wątpliwość co do celowości ich zlikwidowania, i jako żądanie przeprowadzenia dodatkowego śledztwa, aby rozwiązać wszelkie wątpliwości. Znak zapytania postawiony obok nazwiska Kobrisowa oznaczał raczej: „Nie znam takiego. Co to za ptaszek?” Poza intendentami, którzy nie zapewnili Armii Czerwonej należytej zdolności bojowej, na liście przeważali lotnicy, niedobitki „tuchaczewszczyzny”; jakim sposobem zaplątał się

tutaj kawalerzysta?

Ani pierwszej, ani drugiej listy Naczelnego nie podpisał. Skoro jednak z drugiej wyłowił niektóre nazwiska, oznaczało to, że na inne pośrednio dawał swoją sankcję, całą zaś pozostałą listę można było poczytywać

304

i

i

za mechanicznie zatwierdzoną. A ponieważ stanowiła wyciąg z listy Żukowa, zatem tę ostatnią także mechanicznie zatwierdzono, i wszystkim, którzy się na niej znaleźli, darowano życie i wolność aż do końca wojny, a zatem także możliwość zasłużenia na wybaczenie.

Los Kobrisowa mógł się i tak potoczyć, jak tych dwudziestu pięciu, których w październiku, w dniach panicznej ucieczki z Moskwy, wywieziono do Kujbyszewa i po części do Saratowa, tam zaś okazało się daremne ich wypieranie się wszystkiego na przesłuchaniach, męstwo podczas tortur, nadzieje na usprawiedliwienie się przed sądem — rozstrzelano ich bez sądu z rozkazu Berii. Los zaś Kobrisowa ważył się gdyż Beria go nie znał — i nie pałał specjalnym pragnieniem jego likwidacji. Nie znał go też i Naczelnego — toteż nie przypomniał sobie o nim, by zapytać: „Jak tam z tym kawalerzystą, nie rozstrzelano go przy okazji?” I tutaj do dwóch oślepiających gwiazd generalskich, Żukowa i Berii, dołączyły się, żeby jedną z nich przyćmić przy pomocy drugiej, rombiki lejtnanta Opriadkina.

W tych pierwszych dniach wojny przez mury Łubianki przenikały dwie pogłoski, nader niejasne i sprzeczne; właściwie jeszcze nie po-

głoski, lecz nieśmiało ich tchnienia. Jedna z nich głosiła, że polityka się zmienia, i niektórzy z podsądnych wrócą, być może, do szeregów armii. Tchnienie to odbiło się w postaci zmarszczki na czole kolegi Opriadkina, a stąd przeniosło się także na czoło jego samego. A zatem przysłany zostanie plan powrotów, a tam, gdzie jest plan, tam i jego przekroczenie, jego przodownicy i pozostający w tyle, nieudacznicy. Wyobraził sobie nawet plakat, na którym czekista w podeszłym wieku, ze szpakowatymi skroniami, z szewronami i skrzyżowanymi mieczami na rękawie, obejmując wpół młodego czekistę szczerzącego białe zęby, zapytuje: „A ty, synku, ilu niewinnych przywrócisz do szeregów?” Opriadkin opędał się przed tym obrazkiem, jak od bujdy na resorach — jacyż tu mogą być „niewinni”, skoro aresztowani zostali przez Urząd Bezpieczeństwa? — a jednak niepokoiło go to, że mógłby znaleźć się w tyle, wśród tych nieudaczników, którzy nie zdali sobie sprawy z powagi chwili, nie przejawili giętkości, jakiej domagał się od nich, czekistów, los kraju i wola Wodza.

I sama sprawa Kobrisowa już rozsypała się — w tej części, która dotyczyła jego zamiarów oddania Dalekiego Wschodu Japończykom pod pozorem fałszywych ostrzeżeń przed drugim przeciwnikiem.

Cóż, powie Kolegium Wojenne, ostrzegał przed Niemcami, no i Niemcy napadli, co to za „osłabienie czujności”, trzeba poszukać czegoś

305

innego. Można by stracić łajdaka nawet za noszenie się z zamiarem dokonania zamachu na ukochanych wodzów, stracić niechybnie i bezlitośnie, ale... byłoby to już przestępstwo grupowe. A gdzież obecnie są

owi lejtnanci, bezpośredni wykonawcy? Zapewne lejtnanci ci trzęsą się teraz razem ze swymi czołgami na platformach eszelonu albo już toczyli w nich bój. Wysokie Kolegium mogło zapytać: „Cóż to, wypuściliście ich, żeby walczyli? Powierziliście im los Ojczyzny?” I wówczas należałoby ich zawrócić ze wszystkich kontrataków, w których schronili się przed wymiarem sprawiedliwości, lub też, jeśli zdążyli zginąć, wykopać ze wspólnych mogił, odrąbać dłonie w celu zidentyfikowania i zamknąć sprawę z powodu zgonu obwinionych. Nie zwalniało to wprawdzie śledczego od obowiązku wymierzenia kary, jednakowoż łagodziło ją. Wszelako Opriadkin nie znał miejsca ich pobytu — i nie mógł się tego tak szybko dowiedzieć.

A pogłoska druga, przeciwstawna, dotyczyła tego, że niektóre sprawy będą rozwiązywane w trybie przyśpieszonym, to znaczy o losie tych, których śledztwo nie zostało zakończone, decydować będzie nie sąd, i nie indywidualnie, lecz hurtem, nawet nie w ich obecności, bowiem po co mieliby być obecni i swoimi wyjaśnieniami zabierać czas, kiedy już sam fakt aresztowania stanowił wystarczający dowód winy? Taką oto uproszczoną procedurą sądową miał się zająć sam Urząd Bezpieczeństwa wraz z początkiem działań wojennych. Prawdę mówiąc, nie podobało się to Opriadkinowi, wszak wtedy szły na marne wszystkie wysiłki śledczego, jego przemyślna gra, subtelne metody. Po prostu tracił całe zainteresowanie grą, a gdy ono przepadało, to okazywało się, że starszy lejtnant Urzędu Bezpieczeństwa Opriadkin był człowiekiem niezłym, a nawet z gruntu dobrym. I nie miał żadnych powodów, by za jego sprawą skazano Kobrisowa na najwyższy wy-

miar kary, skoro nie rokowało mu to ani kapitańskich gwiazdek, ani najskromniejszego orderu. W dodatku, skoro wersja z Japończykami odpadła, stosunek Opriadkina do swego „chrześniaka” zmienił się; zaczął go nawet darzyć sympatią, a siebie — poczuciem dumy, że swego podsądnego mimo wszystko szanował i cenił, zachowywał się wobec niego subtelnie, delikatnie, niczego mu nie uszkodził, nie pokaleczył, nawet go nie złamał tak naprawdę, to znaczy nie zastosował zgubnego poniżenia, lecz uchował dla ojczyzny jako ważną jednostkę bojową. Z czystym sumieniem wyjął z teczki Kobrisowa już sporządzony akt oskarżenia i włożył inny, raptem pół stroniczki, że choć istnieją podstawy dla dochodzenia karnego, jednakże w tej chwili grozy ważniejszym

306

T

jest wykorzystanie generała Kobrisowa zgodnie z jego zawodem. Całkiem bez winy on i jego lejtnanci być nie mogli, bowiem Urząd Bezpieczeństwa się nie myli, ale w drodze wyjątku można było im pozwolić zasłużyć na wybaczenie bohaterstwem lub przelaną krwią.

Co się tyczy czołgów, które przyhamowały przed Mauzoleum i trybuną rządową, wymagało to ekspertyzy w sprawie silników wewnętrznego spalania i ekspertowi temu Opriadkin postawił pytanie, po części zawierające w sobie odpowiedź: „Czy możliwe jest, aby silnik czołgu zatrzymał się nawet po skrupulatnym przeglądzie? Jeżeli tak, to czy może to mieć miejsce w dwóch maszynach jednocześnie?” Ekspert, nawykły do innych konkluzji, spojrzął na Opriadkina ze zdziwieniem, a zmiarkowawszy, że tym razem oczekują od niego obiektywności, napisał, że silnik może

stanąć, szczególnie przy niezręcznych ruchach prowadzącego czołg, zwłaszcza uczestniczącego w tak odpowiedzialnym i pełnym napięcia przedsięwzięciu, jak defilada na Placu Czerwonym. Mogą też stanąć dwie maszyny, ponieważ obie załogi znajdują się w jednakowym stanie psychicznym. Na tym sprawa Kobrisowa została czasowo zamknięta, i wszystkie pozostałe działania Opriadkina były już przejawem czystej radości wybawienia, nie wyłączając koniaku i tortu, kupionego nie za państwowe, ale za własne pieniądze.

A zatem los generała Kobrisowa potoczył się tak, iż nie stał się on dwudziestym szóstym rozstrzelanym w październiku w Kujbyszewie lub Saratowie, lecz znalazł się w ogromnym korytarzu Ludowego Komisarjatu Obrony, w tłumie co najmniej stu dowódców zwolnionych tego dnia z moskiewskich więzień. Byli tu ludzie z połamanymi żebrami, ściśnięci pod bluzami gorsetami z bandaży, unikający objęć; byli z powyrywanych paznokciami, ukrywający swoje dłonie w rękawiczkach i unikający podawania rąk i uścisków; byli z przypudrowanymi siniakami i powybijanymi zębami, ci z kolei woleli się nie uśmiechać. Byli też i ci, których, jak Rokossowskiego*, dwukrotnie, i trzykrotnie wyprowadzano na rozstrzelanie, odczytywano wyrok, i strzelano ponad głowami, co sprawiało, że nieprzebite głowy pokrywały się w jednej chwili siwizną. Był też ktoś, opuchnięty od bicia i bezsenności, który ryczał jak byk w zagrodzie, doprowadzając do obłędu sąsiadów — okazało się, że to jeden z „Hiszpa-

* Rokossowski Konstantin K. (1896-1968) — dowódca sowiecki; w 1937 aresztowany, jako „szpieg polski", w 1940 przywrócony do służby brał udział w bitwie stalingradzkiej, kurskiej i operacji berlińskiej. W I. 1946-56 min. obrony narodowej i wicepremier PRL.

nów", to znaczy walczył w Hiszpanii pod nazwiskiem „camarada Juana Petrova" i omal życiem nie przyplącił „zmowy z Franco". W ogólnym harmiderze szczególnie wyodrębnił się zdumiony głos jednego, którego poddano co najmniej dziwnej procedurze: tego ranka stawiono się u niego, przywieziono do prokuratury wojskowej i tam kazano podpisać się, że został powiadomiony, iż zwolniono go z aresztu i sprawę jego umorzono z powodu braku dowodów. Tymczasem nie był on wcale aresztowany i nie miał pojęcia o żadnej sprawie. I oto teraz, przerażony po czasie, nie mógł się w żaden sposób uspokoić, wibrującym głosem i z błędzącym uśmiechem pytał, czy oni tam nie mogą się opamiętać i czy wezwanie to nie oznacza, że gdzieś tam, na górze, spostrzegli się, a gdzieś na dole pojęli nie tak jak trzeba, i tak hałasował, niemal wpadając już w histerię, dopóki nie przerwano mu okrzykiem: „Przestań trzepać językiem — bo wykraczesz. Spluń i zapomnij!" Jeśli nie liczyć tego dziwaka, wszyscy znajdowali się w podniosłym nastroju, mówiły o tym ich twarze, promieniejące natchnieniem i gotowością. Wojna się rozpoczęła, mówiły ich oczy, mówiły ich surowe, zaostrzone kości policzkowe, mówiły usta, które zachowały lub nie swoje zęby: oto teraz udowodnimy im, udowodnimy drogiemu Stalinowi, że żadni z nas wrogowie ludu, że kochamy swój lud i wszystkim nam drogą władzę radziecką, i naszego Wodza; dotychczas nie mieliśmy takiej możliwości: okazania swojego oddania i miłości, chyba że przysięgami i łzami, ale przecież Moskwa łzom nie wierzy, a oto teraz mamy taką możliwość, i czyż to nasza wina, że podarowali nam ją Niemcy? Wkrótce zaś dotarł jakiś sygnał czy też czyjeś rozporządzenie, żeby wszyscy obecni dowódcy

zgrupowali się po jednej stronie korytarza, gdyż po jego drugiej stronie zaraz powinni się pojawić...

I oto ustawili się w całej rozciągłości i równo — jak na defiladzie — zgodnie z regulaminem — każdy widział pierś czwartego w szeregu, siebie uważając za pierwszego, a korytarzem, pod jego wysokimi sklepieniami, szło dwóch. Wyłonili się z wysokich drzwi i kroczyli nieśpiesznie po chodniku, jeden za drugim: przodem — w napoty wojskowym trenczu i w bryczesach wpuszczonych w miękkie buty, a za nim — w dwurzędowym uniformie i szerokich spodniach z lampasami. Było coś dziwnego w tym, jakby szli i rozmawiali ze sobą. Szeregi dowódców wyprężonych przed nimi na baczność, jakby dla nich nie istniały, szli niczym przez pustą salę, i tam z przodu mówił coś złego do swego towarzysza, nie odwracając się, a ten odpowiadał zachodząc to z prawej, to z lewej strony, błyskając szklami binokli. Mówili głośno, czasami nawet krzyczeli, ale tak niewyraźnie, że ich mowa wydawała

308

się jakimś bełkotem. Jednocześnie jakoś nie było wątpliwości, że mówią właśnie o tych, obok których przechodzili, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi — jak to znakomicie potrafią robić kaukazczycy, oddzielając się od wszystkiego, co ich otacza, zamykając się we własnym języku, w swoim plemieniu, w swojej historii.

Przystanąwszy naprzeciwko Kobrisowa, pierwszy jął coś mówić zwracając się ni to do niego, ni to do idącego z tyłu. Ow, w każdym razie, odpowiadał dalej, usiłując, jak się wydawało, uspokoić go, poprawiając swoje binokle i krzywo się uśmiechając.

Naprzeciwko Kobrisowa stał ktoś żałośnie mały, rudawy, o twarzy pospolitej, ospowatej; patrzył na twarz Kobrisowa z nienawiścią; obwisłe wąsy nastroszyły się jak u rozzłoszczonego syczącego kota, drgały nozdrza mięsistego grubego nosa — i coś bełkotał złego i pełnego pogroźek. W ciężkim spojrzeniu żółto-tytoniowych oczu płonęły złość, i strach, i rozpacz, niczym u zranionego i prześladowanego zwierzęcia. W ciągu tych sekund, kiedy patrzył na Kobrisowa, ten poczuł zawrót głowy, ciało niczym z waty gdzieś się zapadało, nogi go nie utrzymywały. Miał wrażenie, że ten, co stał przed nim, o coś go zapytał, powtórzył pytanie, ale odezwał się ten drugi, i natychmiast przez żółte od palenia zęby posypał się charkot wyzwisk. Nie rozumiejąc ani słowa, Kobrisow rozróżniał w niewyraźnym bełkocie gardłowe urywki zdań: „Tchórze, zdrajcy, po coście wypuścili, nikomu nie można ufać...” Tak dosłyszec można złe przekleństwa w psim ujadaniu, w krakaniu wron. Widzieć to i słyszeć było straszno i obrzydliwie — czyż takie zachowanie przystoi wojskowemu, a nawet po prostu mężczyźnie, a co dopiero — Wodzowi! Bowiem stojące przed nim owo dziobate, zaszczute, bełkoczące — to był Stalin!

I żadnego spisku przeciwko Stalinowi nie było — przemknęło gdzieś na obrzeżach świadomości Kobrisowa. Wódz był teraz ze swoją armią, gotową umrzeć za niego, i nienawidził jej, o coś tam podejrzewał i nie chciał rozmawiać z nią językiem, który rozumiała. Jak istota śmiertelnie przerażona przywołuje w pamięci oblicze matki, przywiera do jej twarzy, rąk, tak samo on przywierał do ojczystej mowy gruzińskiej. On, który poniżył, zgwałcił obcy mu kraj, uciekał teraz tam,

do swego dzieciństwa w Gori, do gier chłopięcych, do seminarium, gdzie sposobił się, by zostać duchownym pasterzem. I wyglądało to tak, jak obfita wielbłądzia plwocina wyrzucona prosto we wszystkie twarze zwrócone ku niemu w trwożnym oczekiwaniu.

309

Kobrisow musiał poczynić wysiłek, żeby się nie odwrócić, a jeszcze większy, by na twarzy jego nie pojawił się grymas złości i pogardy. Wódz postać chwilę i ruszył dalej. W pełnym napięciu milczeniu całego przepełnionego ludźmi korytarza słychać było kroki w miękkich butach, kroki tancerza na weselach, tyfliskiego kinto, ale nie były to bynajmniej twarde kroki dowódcy. Kroki Berii rozbrzmiewały donośnie. I nawet kiedy obaj zniknęli już w amfiladzie, dowódcy stali nadal w milczeniu, wstrząśnięci, dopiero teraz jakby uświadamiając sobie, co się stało z ich nieszczęsną ojczyzną i jaki ją czeka los.

Tej nocy, lecąc na front w pustym, zimnym brzuchu bombowca, generał Kobrisow znajdował się ciągle pod tym przygniatającym wrażeniem. Rozproszyło się ono bynajmniej nie od razu — dopiero kiedy pochłonęły go bez reszty sprawy wojskowe i coraz bardziej jął odczuwać, że losy ojczyzny najmniej zależały od miękkiego czy twardego chód u wodza, a znacznie bardziej od tego, w jakim nastroju ducha znajdują się świadkowie. Nastrój ten każe niekiedy ujrzeć i usłyszeć to, czego w rzeczywistości nie było. Słuchając 3 lipca w wojskowym radiu przemówienia wodza, przerywanego bulgotaniem wody w szklance, Kobrisow niepojętym sposobem odróżniał i drżenie głosu, i powstrzymywane tży, i dążenie, by dotrzeć do każdego odwzajemniającego to dążenie serca—wszystko to,

czego znacznie później, oglądając i słuchając tego przemówienia w kronice filmowej, bynajmniej nie dostrzegł; jedynie nieoczekiwany zwrot „Bracia i siostry!” odróżniał to kolejne, być może jedynie bardziej pospieszne, wystąpienie. Nie było żadnej obietnicy, ani powstrzymywanych łez, ani zdławionego oddechu, tylko suche bębnienie z gruzińskim akcentem. To jemu, Kobrisowowi drżało wówczas w uszach, on z trudem powstrzymywał łzy, on pragnął zwilżyć wyschnięte wargi. Idol niczego takiego nie przeżywał — nic w nim nie drgnęło. Nie zadał sobie nawet trudu, by w jego przemówieniu zabrzmiała odrobina wzruszenia, włożyć w nie choćby trochę aktorstwa, nie spróbował zagrać innej roli, niż ta, którą raz na zawsze sobie przyswoił. Wiedział z góry, że pojmą go tak, jak sam zechce, i niezależnie od tego, czy mu się uda, czy też nie porwać za sobą posłuszne audytorium.

=

Generałowi wydawało się, że nie zapomni ani jednego dnia wojny, przesiąknęły nimi wszystkie zakamarki jego duszy i ciała. Lecz oto minęło półtora roku i wiele, wiele utonęło w morzu niepamięci, na którym wznosiły się porzrucane wysepki, a między nimi kołyszące się

320

wśród drobnych fal odpryski, które wypłynęły i nie wiadomo było, gdzie powinny przycumować. Tak właśnie pamiętał teraz o czymś dziwnym, smutnym, a częstokroć okropnym, co sam w myślach nazywał — „wyprawą na Moskwę”.

Trzeci poranek wojny zastał go w obszernej izbie w solidnym muryrowanym domu litewskim, na skraju dużej wsi w pobliżu Iółgawy, gdzie wręczył dowódcy armii swą nominację na stanowisko dowódcy

dywizji. Okna izby były przezornie otwarte na oścież, doniczki z kwiatami zdjęte z parapetów na podłogę. W uszach dźwięczały tępe odgłosy, jakby od uderzenia gumą, które odczuwało się całą skórą twarzy, zaś w dużym rzeźbionym kredensie drgały naczynia. O ponad dwa kilometry stąd prowadziła bój jego dywizja, której jeszcze nie widział. Prowadziła bój ofensywny — o łołgawę, którą początkowo przemierzali od krańca do krańca, a następnie zostawili Niemcom nieomal bez wystrzału, a teraz usiłowali odbić.

Generał Kobrisow wiedział już, że dowódca dywizji zastrzelił się rankiem 22-go, nie będąc w stanie pojąć, dlaczego winien „wszelkimi sposobami unikać prowokacji”, kiedy zabijają jego ludzi. Ster przejął po nim szef sztabu, który postanowił „działać zgodnie z okolicznościami”, ale wkrótce poległ. Dowodził teraz komisarz, który żadnej innej walki oprócz ofensywnej nie znał i znać nie chciał. Wszystkim trzem, widać, obca była wszelka wiedza — na temat odwrotu. Inaczej, postaraliby się oderwać o jakieś czterdzieści kilometrów, umocnić na rubieży obrony i spotkać się z zaskoczonym zupełnie przeciwnikiem.

Dowódca armii, w nader podeszłym wieku, z wyglądu schorowany, z zapadniętą piersią, siedział głęboko wtopiony w kanapę z rękoma przyciśniętymi do brzucha. Nie był ranny, dokuczał mu wrzód żołądka i nasilający się ból. Obok znajdowała się pielęgniarzka — duża, korpulentna niewiasta, jej obfite kształty wylewały się z ciasnej, szewiotowej bluzy z trzema rombikami lejtnanta; tłuste, okrągłe kolana w nicianych pończochach cielistego koloru nie chciały z zasady podprządkować się spódnicy. Siedziała z rozpiętym kołnierzem i wcale nie

kryjąc tego pięściła dowódcę armii, głaszcząc go po tysej głowie. Ona również, razem z naczyniami na kredensie, drgała na całym ciele od pobliskich wybuchów i była bez reszty ogarnięta strachem, nie tylko o siebie, lecz przede wszystkim — o dowódcę armii. Ten od czasu do czasu odsuwał jej rękę, ale było widać, że nie jest mu przykry ten strach kobiety o niego; nawet, jak się zdawało, pomaga mu podjąć najważniejsze dlań decyzje.

311

— Tak się o niego boję! — wyznała kobieta Kobrisowowi, choć było to całkiem zbyteczne. — Nie daj Boże, perforacja...

Kobrisow pomyślał, że należało się obawiać innej „perforacji” — kulki z wyroku trybunału za opuszczenie łoŕgawy, ale nic nie powiedział, widząc jego zapadłe skronie z rzadziutkimi włosami, nie tyle przylizanymi, co mokrymi od potu: ból był, widać, niebagatelny.

— No, no, ty mi naprawdę jeszcze wykraczesz — powiedział dowódca armii gderliwie, jakby czując się niezręcznie w obecności obcego człowieka.

Raz jeszcze wziął do rąk nominację, przebiegł oczami i odłożył papier na kanapę. W ślad za nim wzięła i przejrzała papier kobieta, on zaś nie zabronił jej. Kobrisowa nieprzyjemnie to ukłuło.

— Za pozwoleniem, jedno pytanie — powiedział. — A po co brać tę łoŕgawę?

— Jak to „po co”? Jest dyrektywa Sztabu Generalnego, by odrzucić przeciwnika poza linię granicy, takie jest życzenie Stalina.

— To on wydał taki niewykonalny rozkaz — wziąć łoŕgawę?

— Tu nawet nie potrzeba rozkazu, taka jest ogólna dyrektywa.

Ani piędzi ziemi wrogowi.

—No to, za pozwoleniem, drugie pytanie. Po coście zostawili łoŕgawę?

Kobieta patrzyła na Kobrisowa wzrokiem pełnym wyrzutu, z którego wyraźnie można było wyczytać: „Po co, po co go męczycie? Przecież widzicie, że jest chory i tak cierpi!.. A wy sami — czyż nie popełniacie błędów?”

— Pozwólcie uważać, że przejąłem dywizję—powiedział Kobrisow.

— Znakomicie! Mam nadzieje, że pod waszym dowództwem...

— Istnieje opinia — nie tyle przerwał mu Kobrisow, co wykorzystał nieznaczne spowolnienie mowy zwierzchnika — że pod moim dowództwem wycofa się w pełnym porządku.

— Takiego rozkazu nie wydaję.

— Ja wydaję. A ponieważ niczym rozporządzać nie możecie i znajdujecie się w moim rozporządzeniu, skieruję was do szpitala. Do swojego, dywizyjnego. A szpital ewakuuję w pierwszej kolejnos'ci.

— A nie mógłbym zostać tutaj, w miedsanbacie*... Bądź co bądź przy wojsku..

Batalion medyczno-sanitarny.

312

— Nie przystoi dowódcy armii. Ranni będą się was krępować. I wam będzie niezręcznie, za dużo harmideru.

Dowódca armii spojrział żałośnie na pielęgniarkę — dlaczego mnie się czepia. Ona także obrzuciła Kobrisowa takim samym spojrzeniem.

Ale w ślad za tym spojrzęła na swego garnizonowego męża przecięgle

i wymownie: głuptasie ty mój, nic nie rozumiesz, przecież to nasze zbawienie. Szybciej niż on zrozumiała, że to najlepsze wyjście. Ktoś brał na siebie jego ciężkie brzemie.

— Słowo daję, czuję się jak zdrajca — powiedział dowódca armii z taką intonacją, z jaką zazwyczaj ludzie zaczynają zdanie, kiedy nie wiedzą, czym je skończyć. — Zwalam na was całą odpowiedzialność...

— Ależ przecież to ja was, można rzec, siłą wysyłam, gdzież tu zdrada? Mogę i eskortę wyznaczyć, jeśli będziecie się wzbraniać przed leczeniem.

Po dziesięciu minutach, które upłynęły przeważnie w niezręcznym milczeniu, pod ganek podjechała „emka” sztabowa, dowódca wsiadł do niej — nie bez pomocy pielęgniarki — i na zawsze zniknął z życia Kobrisowa.

Nie, to jeszcze nie było całe brzemie. Po odwróceniu się pod łęgawą stało się jasne — jeśli w ogóle coś mogło być jasnego — że wyraźnego zadania bojowego nie ma cała armia, i że Kobrisow podjął decyzję nie tylko za swoją dywizję, lecz i za cztery pozostałe. W ten sposób zawisło w powietrzu przesiąkniętym znojem, zadymionym od niekończących się pożarów lasów, pytanie — komu przypadnie armia?

Pięciu dowódców dywizji zebrało się na leśnej polanie, usłanej piaskiem na przemian z igliwem, rozsiadając się wokół ogniska, w którym piekły się kartofle; adiutantom polecono rozejść się po krzakach. Słowa, wedle zwyczaju, udzielono najmłodszemu stopniem pułkownikowi Swiridowowi, który rzeczywiście wyglądał na młodzieniaszka, nawet miał w sobie coś z huzara; bez większych ceremonii oświadczył, iż będzie prze-

wodniczył zebraniu i sekretarzował, i jako jedyny punkt porządku dziennego ogłosił wybory na dowódcę armii. Sam zaś zaproponował z miejsca kandydaturę Goriaczewa, najstarszego wiekiem.

Generał-major Goriaczew, w podeszłym wieku, cały w zmarszczkach, o ustach pełnych stalowych zębów, lecz silny i pełen krzepy, był kawalerzysta, zdjął czapkę, obnażając ogoloną na zero głowę, otarł ją chustką, która od razu pociemniała od kurzu.

— Rezygnuję z kandydowania — powiedział patrząc posepnie na swoją chustkę. — Zaistniałej sytuacji nie rozumiem. Nie potrafię wy-

323

jaśnić ludziom, dlaczego mają działać tak, a nie inaczej. Nie wiem, dokąd prowadzić ludzi, czego od nich żądać. Kobrisow — wie. Być może zresztą też nie wie, a tylko udaje. Ale i do tego potrzebne jest męstwo, a tego, wybaczenie, mi brak.

Chustkę ujął dwoma palcami i wrzucił do ogniska, a wszyscy patrzyli jak zaczarowani, gdy biała tkanina wiła się niczym żywa istota, której śmierć w płomieniach sprawia ból. Następnie spojrzeli w milczeniu na Kobrisowa.

— Ja też nie wiem, koledzy — powiedział Kobrisow. — Robię dobrą minę do złej gry, bowiem ludzie winni czuć, że ich nie porzucono, jak padlinę po drodze, że ktoś o nich myśli. Z tych to względów zgadzam się objąć dowództwo nad armią.

— Kto się chce jeszcze wypowiedzieć? — zapytał Swiridow.

Generał Czernomyz, niemiłosiernie zakopcony i zakurzony, którego bluza i spodnie świadczyły o tym, że nie stroni od ognia, powiedział:

— Ja bym jednak chciał wysłuchać Kobrisowa, jaki on ma plan.

I wtedy zdecyduję, czy przyjąć go z tym planem, czy nie. A nie tak, żeby on wszystko brał na siebie, a nas już o nic głowa nie bolała.

Ojczyznę wszyscy kochają żarliwie, a odpowiedzialność — nie tak już żarliwie.

Ostatni z zapytanych, generał Nowicki, człowiek o usposobieniu nerwowym, o wycieńczonym obliczu, znajdujący się, widać, w stanie kompletnego oszołomienia, powiedział z irytacją, niemal histerycznie, że wykona każdy rozkaz, byle byłby to nareszcie rozkaz zrozumiały, wyraźnie sformułowany, bowiem obrzydły mu frazesy i ogólny burdel.

— A więc tak, koledzy — powiedział Kobrisow. — Kontraktaku nie obiecuję, jeszcze nie skretyniałem i nie zidiociałem do reszty. Obiecuję — drapaką. Nie zwykłego, lecz zaplanowanego. Tymczasem w górnych sferach nie dostrzegam jasności, a zatem za główny obowiązek poczytuję — zachowanie armii.

Swiridow zaproponował, by się wszyscy nad tym przez trzy minuty zastanowili.

— Ręk podnosić nie będziemy. Po prostu, kto się zgadza, niech wstanie i powita nowego dowódcę zgodnie z regulaminem.

Sam w dalszym ciągu stał. Po chwili wszyscy wstali w milczeniu.

Kobrisow, również wstając i salutując wszystkim, powiedział:

— Dziękuję za zaufanie. Jutro, przed świtem, z Bożą pomocą ruszymy po cichutku. A teraz proszę siadać: kartofelki może się już upie-

kły. Widzę też, że maniereczka ciąży na pasku u Swiridowa. Pozwa-

lam na poczęstunek.

Opowiadano potem Kobrisowowi i odnotowano to w jego stanie służby, co także weszło do annałów Sztabu Generalnego, iż powierzona mu armia siedmiokroć na swej drodze znalazła się w okrążeniu i tyleż razy wychodziła zeń obronną ręką, on sam jednak temu się dziwił. Można było tego dokonać zakładając, że Niemcy nacierali nieprzerwanym frontem i w każdej miejscowości zostawiali po jednym garnizonie, a zatem mieli do dyspozycji zawsze swobodne rezerwy, by z miejsca zablokować każde obce ciało, jakie pojawiło się u nich na tyłach — czego w rzeczy samej nie było i być nie mogło. Jakże by inaczej mogły pojawić się owe puste przestrzenie, w których tak łatwo rozmieszczały się partyzanckie włości, całymi miesiącami przez nikogo szczególnie nie niepokojone, nieustannie trzymające okupantów w napięciu i strachu? W stosunku do swojej armii generał unikał określenia pierścień okrążenia — w dodatku, jak się utarło, podwójny czy siedmiokrotny — raczej skłonny byłby mówić o podkowie, zwróconej stroną rozwartą to w jednym, to w drugim kierunku, tak że zawsze pozostawało jakieś wyjście. Widocznie dlatego uważa się, iż znalezienie podkowy przynosi szczęście — to obietnica, że nie ma i nie będzie sytuacji bez wyjścia.

Sztab Generalny wyrażał zdziwienie, jak to się stało, iż armia, pozbawiona koordynacyjnych rozkazów z góry, mogła ocaleć i odnaleźć swoich, Kobrisow zaś skromnie milczał, że dlatego właśnie ocalała, iż na szczęście pozbawiona została odgórnych poleceń, a jej dowódca kierował się jedynie rozeznaniami w zaistniałej sytuacji i instynktem

szczutego zwierzęcia. Kiedy zaś wypytywano go, jak zdobywał informacje o zaistniałej sytuacji, o tym, co się dzieje w kraju, odpowiadał wykrętnie, niczym generalski przygłupek: „Zwiadowców trzeba dobrze karmić. Lepiej niż pozostałych. Wtedy cenią swoją robotę i zapominają o swoich trzech <O>”. To nimi właśnie zawsze zwiadowcy usprawiedliwiają niewykonane zadania: „Odkryto ich”, „Ostrzelano”, „Odeszli”.

Dni były szklisto-jasne, przezroczyście, bezwietrzne i zapach spaliny roznosił się daleko; wydawało się, że armia posuwa się przez nieustanny, ze wszystkich stron otaczający ją pożar. Paliła się trawa i gałęzie drzew, paliły się chałupy, płonęła nafta i stal, izolacja elektryczna i guma. Paliło się mięso.

315

Cała masa wojska sunęła trzema kolumnami, w odległości dwóch, trzech kilometrów od siebie. Domagał się, by nie szli w rozsypanie, lecz przynajmniej na podobieństwo szyku bojowego, żeby nie było „partyzantki”. W ten sposób idącemu łatwiej przewyciężyć wstrząs wywołany wrażeniem, iż został porzucony na pastwę losu, pozostawiony bez wieści. Tabory i całe gospodarstwo szpitalne przemieszczono do środka, tak jak na Siczy Zaporoskiej. Była przednia czata, czaty boczne i tylne, i utrzymywana pomiędzy nimi stała łączność przez posłańców. W nocy przednie czaty przeistaczały się w ubezpieczenie marszowe. Co prawda, kiedy pewnego razu postanowił sprawdzić, jak też czuwa to ubezpieczenie, zastał wielu śpiących, których zmogło niepomierne zmęczenie. Na szczęście w tym czasie Niemcy je-

szcze nocami nie atakowali. Wszystkich winnych polecił zgromadzić i powiedział im, że tej nocy dopuścili się zdrady swych towarzyszy, co zostanie im wybaczone, jako że przydarzyło się po raz pierwszy, ale w przyszłości kontrolujący zastrzeli śpiących nie zadając sobie trudu budzenia ich. Jednakże sam więcej nie kontrolował i nie żądał, by mu o tym meldowano, wiedząc, że nic innego mu nie pozostaje, jak się z tym stanem rzeczy pogodzić.

Niemcy, którzy początkowo deptali im po piętach, wkrótce pojawili się i z prawa, i z lewa, niekiedy wybiegali naprzód. Całymi dniami słyhać było z oddali ryk motorów, zgrzyt setek gąsienic. Nieco później objaśnił generałowi Kobrisowowi i pokażą na mapie, że jego maleńka armia znalazła się pomiędzy dwoma kamieniami młyńskimi: armadą czołgów Hotha i Guderiana. Nasza zaś agentura wywiedziała się, że dwaj koryfeusze BHłzkriegii byli poróżnieni, wspólnych operacji unikali i starali się nie stykać swoimi skrzydłami. Ale, gdyby się zetknęli!... Później rozeszli się całkiem każdy w inną stronę: Hoth na Leningrad, na spotkanie z Hóppnerem, Guderian zaś do von Kleista, na Kijów. Ściągały Kobrisowa jednostki piechoty, wojska motocyklowe, kawaleria, bez końca dokuczały samoloty. Z początku Niemcy zawzięcie usiłowali coś tam odciąć, okrążyć, ale stopniowo próby te osłabły.

Niewykluczone, że jakiś niższy rangą generał nie miał odwagi zameldować generałowi wyższemu rangą, że z nim po sąsiedzku maszeruje w tym samym kierunku jakaś rosyjska jednostka, bowiem nieuchronnie pojawiłoby się pytanie, jak długo sąsiadują z nim ci Rosjanie i dlaczego dotąd ich jednostka nie została rozbita. Chciało się jednak, by

wyjaśnienie miało inny charakter: mianowicie, że armia coraz bardziej rozrastając się i przybierając na sile budzi coraz większy szacunek przeciwnika, zmuszając go, by miał się przed nią na baczności, niezbyt go nękając, bojów nie narzucając, a tylko je przyjmując i przy pierwszej okazji rezygnując z nich. Wyglądało na to, że ma swoje bojowe zadanie, bardzo odległe, którego Niemcom nie udało się jeszcze rozszyfrować.

316
ciwnika, zmuszając go, by miał się przed nią na baczności, niezbyt go nękając, bojów nie narzucając, a tylko je przyjmując i przy pierwszej okazji rezygnując z nich. Wyglądało na to, że ma swoje bojowe zadanie, bardzo odległe, którego Niemcom nie udało się jeszcze rozszyfrować.

A zadaniem było, jak to obiecał generał Kobrisow przy ognisku, uchronić jak najwięcej ludzi aż do chwili, kiedy można będzie wydać bój decydujący i przełomowy na dogodnych pozycjach. To jedno zadanie wystarczająco pochłaniało bez reszty wszystkie jego myśli i siły. Tam, gdzie wycofujący się nie wyprzedzili w ucieczce swych tyłów, tam mieli tabory z zaopatrzeniem, były więc i suchary, mąka i kasza, konserwy mięsne i rybne, suszone owoce, koncentraty w puszkach, były kuchnie polowe i własne piekarnie. Nadto niecierpliwi zadowalali się teraz tym, co wpadło w ręce i pod nogi, plądrowali pola kołchozowe i ogrody, we wsi brali wszystko, co się dało. Niestety, wkrótce skończyły się błogosławione ziemie niemal wyłącznie uzdrowiskowej krainy nadbałtyckiej i z miejsca dał się odczuć ów ostry przełom, który zdumiewa wędrowca, kiedy wstępuje na Białoruś: widzi niskie, ciemne chatupy, budzące politowanie, skrofuliczne dzieci i pozbawionych uśmiechu dorosłych, bagienne, skąpo rodzące niziny; w tych okolicach najczęściej znano tylko kartofle i mleko. Było jeszcze przybłąkane bydło, pozostałości stada pędzonego na wschód, żeby nie dostało się ani okupantom, ani — tak już wyszło — okupowanym. To ogromne, ryczące i

beczące, wygłodniałe stado, po drodze rodzące i zdychające, a także pastuchów, którzy mieli je przegnać, oraz uciekinierów obrały sobie za cel samoloty, najczęściej szturmowce „Ju-87”, strzelające w kogo popadło; jednakże tylko bydłatom nie należało się ani leczenie, ani pochówek, rozkładały się na poboczach dróg wydzielając w lipcowym skwarze nieznośny smród, a te, które ocalały, rozpierzchły się po lasach, najczęściej zaś wracały do swoich zagród — by tam stać się zdobyczą armii.

Wojskowi intendenci i łowcy działający na własną rękę nie czynili różnicy pomiędzy bydłatami z zasobów państwowych i prywatnych, co też do niczego dobrego nie mogło doprowadzić. W pobliżu Mołodeczna Niemcy precyzyjnie wbitym klinem flankowym odcięli straż przednią, z tyłu zaś zrzucili desant. W okrążeniu znalazła się cała grupa sztabowa, z którą posuwał się Kobrisow — i to w okrążeniu ogniowym: las, w którym przy całej wilgotności sporo było uschłych drzew, gnijących od korzeni, podpalono z różnych stron miotaczami ognia i bombami zapalającymi. Ściany żaru zbliżały się nieubłaganie, trzeszcząc i strzelając płonącymi głowniami, ludzie w panice przywierali do

327

ziemi, jej wilgotny zapach wydawał się zastępować powietrze, którego zupełnie brakowało. Zdawało się, że osmalony kark i uszy dymią. Ale przemogło to strach przed kulami. I, już nie myśląc o innym niebezpieczeństwie, a tylko o tyku powietrza, generał z półsetką ludzi przedsięwziął skok przez płomienie. Trzeba było jeszcze przebiec przez szeroką przesiekę, którą Niemcy ostrzeliwali wszerg i wzdłuż z karabinów maszynowych umieszczonych na motocyklach. Dokonać tak

dokładnego okrążenia zwiad powietrzny nie mógł, z pomocą pospieszyli bez wątpienia miejscowi mieszkańcy. Nikt o tym zresztą nie myślał, kiedy przebiegali pod ostrzałem z karabinów maszynowych, przeskakując przez zabitych, którym się nie powiodło, i którzy, być może, swymi ciałami osłonili tych szczęśliwszych. Powietrze wdarło się do płuc upajająco, powinny były pęknąć pod jego naporem, ból rozsadał wyschniętą krtań. W chłodnym lesie, gdzie odpoczywali po biegu, trafiały się zapadliny, w których zachowała się jeszcze woda po niedawnej — być może jeszcze majowej — ulewie. Była stęchła i cuchnąca, pokryta pianą żabiej ikry, posiekana zygzakami wodnych owadów. Uratowani klęcząc rozgarniali hełmami mniej lub bardziej czysty lej, czerpali i pili — i nie mogli się nasycić. Wypił wtedy jeden po drugim cztery pełne hełmy. I dopiero potem poczuł ból i to, że but ma pełen krwi.

Dwie kule zrobiły, rzecz jasna, swoje. Jedna powyżej drugiej przeszły na wylot, nie drasnąwszy kości, iść jednak nie mógł i początkowo niesiono go na noszach zrobionych z gałęzi i płaszcza, potem zaś zdobyli dla niego osiodłanego konia.

Jechał, wyciągnąwszy obandażowaną nogę ponad strzemię — słaby i bezradny, nie mogąc bez pomocy zejść za potrzebą. Ale kiedy się patrzyło na niego z boku — był to kawalerzysta, z wyglądu bańniowy wojownik i wódz, który, sam o tym nie wiedząc, promieniował siłą przyciągania, jaką posiada człowiek, który wie, dokąd prowadzić.

Gdyby jechał samochodem, gdyby zaferowany wydawał stanowcze rozporządzenia, uniknąłby wielu niepotrzebnych spojrzeń, ale czło-

wiek na koniu, pozostający w spokoju i zamyśleniu, staje się sam w sobie centrum uwagi, wyniesiony ponad głowami tłumu włada jego trwogami i nadziejami. Jechał, rozluźniwszy cugle, z rękoma zarzuconymi na łęku siodła, marszcząc się z bólu, ale czując nieustannie zwrócone ku sobie spojrzenia. I daleko wokoło niosła się wieść o generale, który gromadzi nieprzebrane siły dla odporu.

318

Noga spuchła i opuchlizna podpełzała ku kolanu; wyglądało to na gangrenę, i nie pozostawało nic innego, jak tylko ścisnąć nogę porósełkiem i ciachnąć. We wsi koło Orszy gospodyni posadziła go w izbie, podwinęła nogawicę, przyłożyła do opuchlizny szmatkę nasączoną pachnącym wywarem z ziół i korzeni, coś tam nad nią poszeptowała, następnie pomazała opuchliznę śliną krowy liżącej swego rannego cielaczka. Nie wiadomo, co tu było główną ingrediencją, ale na trzeci czy czwarty dzień opuchlizna zaczęła się zmniejszać.

...Teraz już nie pamiętał, od którego dnia pojawił się przy jego strzemieniu nowy dla generała i co najmniej dziwny człowiek, komisarz brygady Kirnos. Jakoś nagle, z wysokości swego siodła generał zauważył go przy sobie, kroczącego w ponurej zadumie. Gdziekolwiek by się pojawił, w każdym gronie wojskowych zwróciłaby uwagę jego postać cywila w każdym calu: z ciężkimi butami z kirzy o prostych cholewach, nadto szerokich dla jego cienkich długich nóg, ze zbyt długą bluzą, zsuniętym na bok pasem, zapadłą piersią i wystającym, zaokrąglonym brzuszkiem. W czymś przypominał chorego nastroszonego ptaka z rodziny żurawi, najpewniej niespokojnym, gorączko-

wym wyglądem, spiczastym nosem, nieprzytomnie płonącymi, okrągłymi, czarnymi oczyma. Kobrisow przypomniał sobie — to on komisarzował w tej dywizji, którą mu wyznaczono i on to właśnie przedsięwziął kontratak na Iółgawę. I w ogóle nie nazbyt dobrze usposobiony — jak wielu dowódców frontowych — do politruków, generał z miejsca odsunął go od dowodzenia, prosząc by na przyszłość nie zaprzątał sobie głowy sprawami wojskowymi. Można się było spodziewać oburzenia, obrazy, tymczasem wręcz przeciwnie, Kirnos z wyraźną ulgą przekazał swoje stanowisko jednemu z dowódców pułku, którego sam nawet polecił generałowi, i oto teraz pojawił się obok niego i kroczył nieodstępnie całymi godzinami.

— Czym mogę służyć, komisarzu? — zapytał generał z lekką ironią.

— Wy macie romb na naramienniku i ja mam romb — ponuro odpowiedział Kirnos. — Możemy przejść na ty.

Nie pytał, lecz stwierdzał bezapelacyjnie, i generał, zaskoczony, nie zaproponował. Torba polowa Kirnosa, ciężąca mu na ramieniu, pod naporem zawartości rozprostowała wszystkie swoje karby i już się nie zapinała; generał przypuszczał, że znajdowała się w niej zmiana bielizny, ręcznik, mydło, przybory do golenia, ale okazało się, że zawierała coś zupełnie innego. Na pytanie, czym torba jest tak wypchana, Kirnos

319

niemal z dumą pokazał paczkę cienkich książeczek, po części w coś zawiniętych, po części własnego czerwono-malinowego koloru.

— Legitymacje partyjne — wyjaśnił. — Po komuniiście winna po-

zostać legitymacja partyjna. To dowód, że żył nienadaremnie i nienadaremnie zginął.

Oświadczył, że zaczął zbierać swoją paczkę już w pierwszych godzinach wojny i teraz uzupełnia ją po bitwach, po ostrzałach i bombardowaniach. Generałowi opowiadano, jak włóczy się wśród zabitych i przeszukuje ich kieszenie, które u szeregowców znajdowały się we wnętrzu spodni; żeby do nich dotrzeć, trzeba było rozpiąć pas i guziki na rozporku. Z niemą irytacją skarżył się generałowi, że bynajmniej nie wszystkie legitymacje partyjne udało mu się zebrać. W przededniu, na przykład, siedział na brzegu rzeczułki z dowódcą batalionu, rozmawiali, palili — i rozrzucił ich pobliski wybuch zabłąkanego pocisku. Kirnosowi nic się nie stało, tyle że w głowie dotąd mu dzwoni i słuch mu się przytępił — ale to zresztą już mija — natomiast górną część tułowia dowódcy batalionu wyrzuciło na drugą stronę rzeczki. Okrutnie szkoda prawdziwego, płomiennego komunisty, ale najbardziej przykre jest to, że w kieszeni jego bluzy została legitymacja partyjna. Czy nie można by, zapytał Kirnos, posłać po niego ludzi, bądź co bądź to pamiątka po dowódcy Armii Czerwonej, nie mówiąc już o tym, że legitymacją partyjną posłużył się wróg.

Generał poczuł lekki zawrót głowy od poczucia nierealności tego, czego wypadło mu wysłuchać, a zarazem zdumiało go, że te cienkie książeczki są bodajże bardziej długowieczne od dykty na kółeczku z napisem ołówkiem chemicznym. A poza tym Kirnos miał bardziej szczegółowe informacje, w rubryce „Opłata składek partyjnych” zapisywał, na przykład: „Zginął 16 lipca w boju koło wsi Barybino” i nastę-

pnie notował współrzędne tego boju wedle mapy-dwówiorstówki.

„A cóż to, bezpartyjni na ewidencję nie zasługują? — miał ochotę zapytać generał, ale dał temu pokój.

— Rzeczutka jest wążutka, Jewgieniju Iwanowiczu — powiedział najpoważniej, jak tylko potrafił. — Czyż sam nie przepłynąłbyś jej wpływ?

Kirnos wzniósł ku niemu cierpiętniczą, zniekształconą grymasem wstydu twarz.

— Nie potrafię, Fotiju Iwanowiczu. Od dzieciństwa nie mogłem się w żaden sposób nauczyć.

320

Powiedział, że nie boi się niczego, najstraszniejsze dla niego na wojnie — to forsowanie przeszkód wodnych.

W płonącym lesie towarzyszył generałowi i przez ostrzeliwaną przesiekę biegł bez pośpiechu, a raczej przemierzał ją krokiem żurawia, trwając się przede wszystkim o drogocenną torbę. On to wyraził przypuszczenie, że Niemców naprowadzili na ich ślad miejscowi. I ze zdumieniem, z którym ciągle jeszcze nie mógł się pogodzić, jął opowiadać, jak przechodzili przez Kowno i jak mieszkańcy żegnali wycofujących się:

— Ktoś rozpuścił pogłoskę, że w mieście wylądowali spadochroniarze, niemiecki desant, tak też wyjaśnialiśmy to żołnierzom. W rzeczy samej nie byli to spadochroniarze. Oni by strzelali, miotali granatami, tymczasem w nas rzucano z okien doniczkami z kwiatami, kawałkami tynku, żużlem ze strychów, cegłami, a nawet spadała na

nasze głowy zawartość dziecinnych nocników. Winienem sporządzić raport polityczny, ale jak to sformułować? Jako oddziaływanie wrogiej propagandy? A może wyszły na jaw prawdziwe nastroje narodu, który nie stał się pełnoprawnym członkiem naszej rodziny, nie zdążył przywyknąć do nowego życia? Nie mogę napisać, że byli to poszczególni mieszkańcy, było to bez mała całe miasto. A jeśli tak zachował się naród, to przeciwko czemu występował? Przeciwno odwrotowi?

— Jest ci to potrzebne dla siebie? — zapytał generał. — Czy dla politycznego raportu?

— Ja nie oddzielam siebie od partii.

— To, że nie oddzielasz, już do mnie dotarło. Ale do kogo konkretnie piszesz?

— Do partii. Ale nie do tej, obecnej, którą zbeszczęścili i rozłożyli, która straciła wszystko, co w niej było najlepszego, lecz do tej, która być powinna — i będzie.

— No, to dłuższa sprawa... A więc, tymczasem chyba — dla siebie... Przeciwno niczemu nie występowali. Po prostu wyładowywali złość.

— Ale cośmy im zrobili? Czym tak dosoliliśmy?

— A co, niczym? W gości przyszliśmy nie zapraszani. Rozsiedliśmy się jak gospodarze.

— Przecież sami nas wezwali! Zapragnęli się przyłączyć! Większością głosów!..

— Jewgieniju Natanowiczu, któż to i kiedy armię na swoją ziemię wzywał?

— Jak to?! Trzeba znać historię. Na początku wieku Ormianie wzywali armię rosyjską przeciwko Turkom.

Generał usłyszał o tym po raz pierwszy i powiedział krótko:

— No tak, to byli Ormianie.

Po godzinie, która upłynęła w zupełnym posępnym milczeniu,

Kirnos powiedział mu:

— Wybrałeś mądrą taktykę — wszystkim wybaczać.

Ale generał żadnej taktyki nie obierał, po prostu był głęboko przekonany, że wszyscy otaczający go ludzie są niewinni. Nie z własnej winy przegrali pierwsze pograniczne boje — tylko idiota mógł im rozkazać, by tam walczyli, traktując umowną i przypadkowo wyznaczoną linię graniczną jako linię obrony. Toczyć bój trzeba i tam, gdzie granica szemrze w potoku, i tam, gdzie przebiega środkiem rzeki, a nawet u podnóża pagórka. W ten zaś sposób ułatwili tylko Niemcom zadanie — wtargnąć na swoich barkach na umocnione pozycje, z wczasu przewidziane dla obrony, a teraz zbyt liczne. Oto usłyszał o czynniku zaskoczenia, który zapewnił Niemcom chwilową przewagę, gdy tymczasem jedyne zaskoczenie polegało na tym, że największy wódz wszech czasów i narodów okazał się niedouczonego głupcem i dezertorem, który przez jedenaście dni uchylał się od dowodzenia. Czyż można po tym wszystkim obwiniać tych, którzy zrywali naramienniki lub zakopywali dokumenty? Albo tych, którzy podnosili ręce, a potem uciekali z niewoli, by się przedrzeć do swoich? Generał rozkazał przyjmować wszystkich, co do jednego, nie czyniąc nikomu żadnych wyrzutów. Rzucicieś

swój karabin—weź u zabitego w boju, zdobądź u wroga. Skoro sztandar zgubiono w panice — wstąp do jednostki, która go uchwala. Jeżeli w ogóle potrzebne są te wszystkie sztandary...

Niekiedy Kirnos szedł obok niego całymi godzinami, jakby nie czując jadącego stępa generała, pogrążony w swych ponurych, ociążających myślach. I pewnego razu, rozemknąwszy blado-liliowe wargi, zapytał raptem:

— Fotiju Iwanowiczu, powiedz mi, czy ty wycofujesz się, czy nacierasz?

— Jak to? — generał szczerze się zdziwił.

— Ano przecież mówiłeś, że najważniejsze — to oderwać się od przeciwnika, że w tym celu można ponieść wiele ofiar. Ale przecież my się od niego nie odrywamy. My z nim, nie wiedzieć jak, współistniejemy.

322

— Ano nie trzeba mu przeszkadzać, wówczas i on nam przeszkadzać nie będzie. Po co mu ułatwiać zwiad przy pomocy walki? Im bardziej się będziesz odgryzać, tym więcej się o tobie dowie.

— No, a ja widzę, że niektóre jednostki taszcą armaty — bez pocisków! Na cóż taka bezsensowna strata energii? I tak przecież brak koni. Myśmy swoją artylerię, kiedy się pociski skończyły, całą wrzucili do Niemna. Uruchamiali silniki ciągników i kierowali do wody.

— Ach, co za marnotrawstwo!

— Żeby nie trafiły do rąk wroga.

— Ale też i do nas nie trafiły! Po to je taszcą, Jewgieniju Natano-

wiczu, że pociski łatwiej znaleźć niżli lufy. Tych armatek pułkowych, siedemdziesięciosześcio milimetrowych wyprodukowano dużo, znajdziemy do nich pociski. No i porzucać szkoda. Same celowniki ile pieniędzy kosztują!

Kirnos chyba z godzinę kroczył milcząc, potem zapytał:

— A jednak nie odpowiedziałeś mi: wycofujesz się, czy nacierasz?

— Sam nie wiem — odparł generał — Idę na wschód, do Rosji.

Pragnę, pojmujesz, końcem włóczni Wołgi dotknąć. Powiadają, że tam, u źródeł, skąd wypływa, postawiono kapliczkę. Posiedzę tam, porozmyślę — i powiem ci, czy żyje jeszcze Rosja, czy jej już nie ma.

— A złości nie czujesz?

— Czuję, Jewgieniju Natanowiczu. Ogromną siłę złości.

— Do Niemców?

— Nie tylko do Niemców. Nawet bardziej — do swoich.

— A chęć zemsty — płonie w tobie?

— Tak, z tym i owym chciałbym się policzyć...

— No to ci powiem — rzekł Kirnos nieomal uroczyście, z rozjaśnioną twarzą, z płonącymi oczami. — A więc jednak nacierasz!

Generał odpowiedział wzruszając ramionami:

— Nie widzę różnicy. Kroczę jako człowiek wolny po swojej ziemi. Nikt mnie nie popędza, i nikt, zda się, nie staje na drodze. A w duszy — rozpaczliwy smutek.

Kirnos rozglądając się dokoła, czy ktoś aby nie podsłuchuje, powiedział, niżając głos do ochryplego świstu:

— To niemożliwe, żebyśmy tylko my tacy byli, sami jedni. Powiada-

ją przecież, że my, Ziemianie, jesteśmy bodajże jedynymi myślącymi istotami we Wszechświecie. Czemuz to w Rosji takich jak ja i ty, i wszyscy nasi ludzie, więcej nie ma? Wyobraź sobie, jakie chmary ruszają teraz na Moskwę! Ileż nienawiści się w nich nagromadziło, ileż urazów! To przecież

nie armia, to hordy, niezorganizowana hołota. Ty, Fotiju Iwanowiczu, jesteś, być może, jedynym dowódcą, który ma pod sobą armię! Wciąż myślę o tych armatach i dochodzę do wniosku, że masz rację. Trzeba się domagać pełnego wyposażenia. Żebyśmy mieli wszystko własne!

Generał, którego porządnie już nastraszone podczas czterdziestu dni spędzonych na Łubiance, podejrzewałby nawet prowokację, gdyby nie całkowita, bezgraniczna wręcz prostoduszność jego rozmówcy. Nie mogła to być gra, w takim wypadku należałoby uznać Kirnosa za genialnego aktora, jakim — w żadnym wypadku, co najśmieszniejsze — nie był.

— Oto, jak się okazuje, co z ciebie za rozmówca — powiedział generał z uśmiechem. — A może własny trybunał ustanowimy? Własny odwach?

— Mówię poważnie.

— Jeśli poważnie, to mamy jak dotąd tylko własnych jeńców. I nie wiemy, co z nimi robić.

Było ich z dziesięciu — schwytanych w różnym czasie „języków”, których wypuścić ze względu na nieprzydatność nie można by było, staliby się „językami” dla swoich, rozstrzelać zaś — szkoda, i nie było

za co. Niemcy byli posłuszni, znosili cierpliwie wszystkie trudności drogi, forsowali rzeki tuż obok swego jedyne go konwojenta, którego ubóstwiali, przynosili mu obiad z kuchni, a kiedy kładł się na drzemkę, czuwali nad jego snem i jego bronią. Można było odnieść wrażenie, iż byli radzi, że wojna się dla nich skończyła, do pełnego szczęścia brak im było pewności, że ich jednak nie rozstrzelają.

— Własna artyleria, własny szpital — wyliczał rozmarzony Kirnos. — Będą też własne czołgi i samoloty...

— Bujasz w obłokach, Jewgieniju Natanowiczu — przerwał generał. — Powinniśmy o nabojach myśleć, skąd je wziąć, a ty — o czołgach... Szpital — u mnie! Wsunąłbyś nos do tego szpitala. Co najlepiej charakteryzuje armię? Stosunek do rannych. Chwała Bogu, że ich nie porzucamy, do tego nie doszliśmy, ale leczyć ich, jak należy, nie potrafimy. Dla mojej nogi bandaży starczyło, a żołnierzom siostrzyczki w podarunku swoją bieliznę na kawałki pokrojoną wręczają i tym ich opatrują. A do ran babki przydrożne przykładają. Pozują i przyłożą...

— Ale rany goją się przecież, Fotiju Iwanowiczu?

— Jakoś tam... Goją się.

324

— Wszystko to weźmiemy po drodze. Postaram się ze wszystkich sił. Trzeba szybciej, jak najszybciej iść na Moskwę. Trzeba wyprzedzić przeciwnika, żeby nie wtargnął po naszych plecach!..

— No, do tego, powiedzmy, dobry generał nie dopuści. Ale po co wyprzedzać? Czy wiesz, gdzie wierny pies kąsa niedźwiedzia, gdy ten na myśliwego naciera, chce go rozszarpać? Nie w pysk, nie, capnie go

w obwisły tyłek. Ot, i ja jego niczym ten pies, capnę z tyłu. I dopóki fryc nie wyjaśni swych stosunków ze mną, dopóty do Moskwy nie wejdzie.

— Do Moskwy my wejdziemy, Fotiju Iwanowiczu — zawołał Kirnos, nie ścisząc już głosu, a po jego chudych policzkach, porośniętych szpakowatą szczecinią hulały w te i we w te naroślą. — Obronę tam łatwo przełamać, zresztą wcale jej nie ma, cała zginęła na granicy, gadanie o rezerwach — to propaganda, wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Mają tam najwyżej trzy pułki NKWD. Kremłowskiej dywizji można nie liczyć, to dobre dla warty honorowej, operetkowe wojsko. I też się chyba już rozpierzchnęło...

— Ale my, bądź co bądź, radia słuchamy. Ukochany wódz z Kremla przemawiał.

— Jaką masz pewność, że z Kremla? Jeśli ci mówią, że nadaje radio „Komintern”, to myślisz, że z Moskwy? A może już zza Uralu gadają? Albo z Syberii? Zza kręgu polarnego?.. No nie, co za naiwność!

— Może i tak. Ale coś mi się tak wydaje, że Moskwa nie zginęła!

— Sam siebie usiłujesz przekonać. To polityka strusia. Widać, żeś jeszcze nie zrozumiał, że wszystko diabli wzięli. I tobie nie tylko armię wypadnie wziąć na swoje barki.

— A co jeszcze? — zapytał generał niemal z przerażeniem.

Kirnos, unosząc ku niemu zniekształconą męką twarz, wykrzyknął:

— Wszystko, dosłownie wszystko!

— No, no — powiedział pojednawczo generał. — Przeholowałeś nieco, weź butelkę z mojej ładownicy, tyknij sobie...

Kirnos ciągnął dalej, jakby go nie słysząc, a może rzeczywiście nie słyszał:

— Przypadła ci zaiste rola historyczna: wziąć na siebie dowództwo nad krajem, ogłosić się samowładcą i dyktatorem z nieograniczonymi pełnomocnictwami. Tak, dyktatorem. A temu, kto się sprzeciwi — ultimatum. Jeśli go nie przyjmą, wytrzebić z całą bezwzględnością. Tak. „Jeśli wróg się nie poddaje — to się go unicestwia”.

325

— Twoja wola, Boże — generał cierpliwie oponował, jakby przekonywał chorego. — Dobrą robotę mi wymyśliłeś.

— Ja nie wymyśliłem. Tak się złożyły okoliczności.

— Ale czemuż to mnie? Dlaczego mnie?

— Bo nikogo innego nie ma.

Przypomniawszy sobie własne słowa: „To niemożliwe, żebyśmy tylko my tacy byli, sami jedni”, dodał:

— No, być może, znajdzie się jeszcze z dziesięciu, albo i więcej generałów, którym ten burdel obrzydł z kretesem. Niech to będzie — rada. Albo junta wojskowa. Albo diabli wiedzą, jak to nazwać, byle kraj uratować, zdobycze rewolucji!.. Jakoś mi się wydaje, że ty będziesz tym najstarszym. A ja przy tobie komisarzem. Pomogę ci uniknąć wielu pomyłek...

„A swoich nie popełnisz?” — pomyślał generał.

Przez resztę drogi aż do wieczora Kirnos milczał pogrążony w swych zagadkowych rozmyślaniach. Rozgadał się przy kolacji, w chałupie, jakby nie zauważając gospodyni-staruszki, która podała im na

stół tuzin kartofli w mundurkach, dwie duże cebule i butelkę mętnego bimbrowu.

— Można się ogłosić dyktatorem — powiedział wtykając kartofle z resztkami łupin do szmaty z solą. Ale lepiej zostać ludowym prezydentem. Nie przeczy to duchowi marksizmu-leninizmu, a, za pozwoleniem, i jego literze — nauce o powstaniu zbrojnym. Każdy środek jest dobry dla ratowania rewolucji.

Gospodyni, którą zaproszono do stołu na kieliszek, spoglądała na Kirnosa z szacunkiem zmieszonym ze strachem. Niewiele chyba zrozumiała z gadaniny dwóch frontowców zjadających jej kartofle, i zapewne nie pałała chęcią usłyszenia tej muzyki w ubogiej swej chałupie, w której wczoraj byli Niemcy — i wzgardziwszy, poszli dalej. I było niepojęte, jak ta muzyka, powracająca z niezbyt odległych czasów, dźwięczała w jej uszach, słodko czy złowrogo? Generał sam siebie zapytywał, co nieco tyknąwszy, gdy poczuł gorąco tak rozkosznie rozplywające się wewnątrz. I jeszcze o tym pomyślał, że chyba rację ma Naczelnym we wszystkich podejrzewając wrogów. W istocie każdy mógł się nim stać, ale przecież on sam tę wrogość zrodził.

Generał miał ochotę zapytać Kirnosa, co o tym myśli, ale takich pytań nie należało zadawać nawet na tyłach wroga. Zresztą, kiedy biesiada przyjęła pijacki charakter, Kirnos sam to poruszył, stuknąwszy

326

I ręką w stół, po czym pomachał przed obliczem generała długim, zagiętym 1 tym palcem:

— Jego... wiesz o kim mówię?... jego trzeba obalić. To pierwsze, co

I trzeba zrobić! I oddać go pod sąd ogólnarodowy. On powinien od-
I powiadać za wszystkie swoje zbrodnie.

Generałowi, choć myślał podobnie, zachciało się, nie wiedzieć

I czemu, sprzeciwić się:

— Co ty się go tak czepiasz? Krzywdę ci zrobił osobiście, czy co?

— Rozumiem twoje pytanie: „Kim byś był, szalony Żydzie, gdyby
| nie rewolucja, gdyby nie władza radziecka? Nosa byś nie wysunął ze
j swego sklepiku, gdzie w małym miasteczku handlowali wszyscy twoi
przodkowie od czwartego pokolenia.” Żartuję, Fotiju Iwanowiczu... To
- za sprawą libacji... Tak więc odpowiadam: mnie osobiście władza
j radziecka nie skrzywdziła. Przede mną, można rzec, otworzyła wszy-
stkie drogi. Mam wykształcenie polityczne, którego ty, jak widać, nie
masz, możność życia ideałami, życiem duchowym. No i co, mam za to
wybaczyć mu trzydziesty siódmy rok?

Generał zdziwił się, że takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał.

— Co to za ciekawy rok, na litość boską! Słyszałem... w jakimś

I urzędzie, gdzie wypadło mi przesiedzieć czterdzieści dni: „Co tam
dzisiaj, w trzydziestym siódmym!” No i cóż w tym trzydziestym siód-
mym takiego? A to, że sami zaczęli łapać „swoich”, którzy przedtem
innych łapali. Zapomniał Tuchaczewski, tych z Kronsztadu* na lodzie
rozstrzeliwał i do przerębli wrzucał? A przypomniało mu się bodaj,
] kiedy jego samego... Najważniejsze — jego samego. Ni-e-e, nie mam
mvi za złe trzydziestego siódmego. Za to tylko, że Belę Kuna** trze-
pnął, pomnik bym mu postawił. Ten Bela Kun trzydzieści tysięcy jeń-
ców-oficerów rozstrzelał na Krymie. Tych, co na jego wezwanie broń

mu do stóp przynieśli i złożyli. Mogli uciec — ale nie uciekli, zostali — nową Rosję budować, rewolucyjną! A on ich zebrał — co to znaczy ze-
Chodzi tu o powstanie marynarzy Floty Bałtyckiej (marzec 1921) w Kronsztadzie przeciwko dyktaturze bolszewików, krwawo stłumione na rozkaz Lenina przez Michaiła Tuchaczewskiego.

Bela Kun (1886-1939), komunista węgierski, w 1919 organizator przewrotu bolszewickiego na Węgrzech, w 1920 jako polityruk Frontu Południowego Armii Czerwonej odpowiedzialny za wymordowanie wziętych do niewoli na Krymie oficerów armii „białych” gen. P. Wrangla.

327

brał? — po prostu wezwał, by się zgromadzili, i wszystkich rozstrzelał w dolinie.

— Dostał za swoje — powiedział Kirnos. — Zgadzą się, wielu otrzymało za swoje sprawiedliwie — za prawdziwe, nie wymyślone przestępstwa. Za to, że zniszczyli wypróbowane kadry partyjne...
— Gdzież to wypróbowane? W rakami, proszę o wybaczenie, w pożeraniu innych. Mogę tak mówić, bo sam do tego haniebnego procederu rękę przyłożył. I nie znajduję dla siebie wybaczenia. Za młodu uganiałem się za basmaczami*. A kimże byli owi basmacze ze swoimi angielskimi mauzerami? Gdzież skakali na swoich arabskich wierzchowcach? Po moskiewskich ulicach? Nie, po swoich wydmach piaszczystych — barchanach. A ja pocóżem laź w ich barchany? Po jakiego licha pierś nastawiałem za ich biednych dasznaków**? Czy mnie o to prosili? Nastanie jeszcze czas, a wnukowie tych dasznaków pieśni będą układać o tych basmaczach—i bohaterami narodowymi ich nazwą.

OtoL

Gospodyni pościeliła im na podłodze, przykryła kwiecistą firanką dwa półkożuszki. Generała łoże to w pełni zadowoliło, dla Kirnosa było zbyt twarde, podłożył sobie jeszcze płaszcz.

Spali przykryci jednym płaszczem, wkrótce jednak generał poczuł, że leży sam. Kirnos siedział na ławce pod oknem, w które jaskrawo świecił księżyc w nowiu, palił i coś tam do siebie szeptał. W dźwięcznej ciszy nocnej, w przytulnym cykaniu świerszcza, przerażająco dziwny był ów szept, przypominający żarliwą modlitwę.

— A czy przyjmie ona, Rosja, wolność z naszych rąk? — zapytał generał.

Kirnos odpowiedział z ciężkim westchnieniem, że sam o tym myśli i prosi, by mu pozwolić jeszcze trochę pomyśleć. Rankiem, ledwie zdążyli ruszyć w drogę, ciągnął dalej rozmowę.

— Cóż to znaczy: „Czy przyjmie?” Istnieje konieczność historyczna. Naród musi to sobie uświadomić i zrozumieć. Zaprowadzimy prawdziwy rząd komunistyczny. W duchu najświętszych przykazań Lenina. Taki, o którym marzyły najtęższe mózgi ludzkości. Prawdziwą basmacze — ruch narodowy o charakterze muzułmańskim w Azji Środkowej (1919-1929) walczący z bolszewikami.

dasznacy — partia ormiańska od 1890 r. walcząca o autonomię Armenii; w 1918 r. zdobyła przejściowo władzę odebraną następnie przez bolszewików.

328

Ldyktaturę proletariatu", a nie tyrana, który uważał się za geniusza! Jeśli

Itylko to się nam uda, to błogostawiona niechaj będzie ta wojna!

1 Generałowi zrobiło się po tych słowach markotnie. Czyż nie w [takt tej samej muzyki: „dyktatura”, „najświętsze przykazania” — klę- lczął w kącie i wyciągał rękę pod linijkę? Umrzeć za Rosję, za władzę ttudu — owszem, to rozumiałe. Ale umierać za „dyktaturę proletaria- tu”? A to co takiego? Ci umorusani ślusarze i takielarze, owi dokerzy i "derowcy, którzy chleją piwo pod budkami i klną jak szewcy, mówiąc paskudnie o kobietach — to ich dyktatura? Cóż mogą o niej wiedzieć? Widocznie swoje myśli wypowiedział na głos, bo Kirnos odezwał się:

— Ale my wprowadzimy dyktaturę z ludzkim obliczem. Taką, którą każdy uzna za swoją.

— A czy takie bywają?

— My wprowadzimy. Za wszelką cenę!

— Słusznie. A kto się nie będzie zgadzać — tego pod mur.

— Cóż, rozstrzeliwanie w imię humanitaryzmu, nawet najbardziej masowe i okrutne — co do mnie, jestem za. Tylko żeby to był ostatni raz!

...Koł padł gdzieś między Orszą i Jarcewem. Nieoczekiwanie po- jawiły się nad lasem „Junkersy” i rzuciły cały swój zapas bomb na głowy ludzi, którzy nie zdążyli nie tylko się rozpierchnąć, ale nawet przypaść do ziemi. Generałowi nikt nie pomógł, pozostał w siodle i tylko czekał, zdziwiony, dlaczego tak długo nie wbijają się obfite od- łamki świszczące koło ucha, nie dziurawią jego i konia. W niego nie trafiło, trafiło w konia. Po raz pierwszy od chwili, gdy nauczył się jaz- dy konnej, utracił panowanie nad wierzchowcem; nie czując szarpnię- cia cugli rzucił się on cwałem przez krzaki i wpadł obiema nogami w jakąś bruzdę czy też borsuczą norę. Poprzez huk armat usłyszał trzask

złamanej kości, a następnie żaloszny, niemal człowieczy jęk. Padając koń przycisnął jego chorą nogę, pociemniało mu w oczach z bólu, a zwierzę dalej szamotało się, usiłując wstać...

Podbiegł Kirnos, ale nie wiedział, co robić, jak mu pomóc wydo-
stać nogę...

— On nie może wstać, Fotiju Iwanowiczu. Obie przednie nogi...

— Wiem, że przednie — zachrypiał generał. — Trzeba go zastrze-
lić. Szybko!

Kirnos wyjął pistolet, skierował do pyska konia i tak się zmarszczył,
zbladł na twarzy, jakby w niego samego skierowano oksydowaną lufę.

— W ucho! — krzyczał generał. Tak najpewniej!..

329

Kirnos przytknął pistolet do ucha konia, który od razu i dziwnie
przycichł, nieskończenie długo nie pociągał za cyngiel.

— Nie męcz go! — zaryczał generał, nieomal tracąc świadomość.

Kirnos odwrócił twarz i wystrzelił. Kilka sekund potem odważył
się spojrzeć na dzieło swych rąk — i przeraził go widok roztrzaskanej
czaszki z wypłyniętym okiem. Koń przestał się szamotać, ale wydo-
stać się spod niego generał nie mógł. Kirnos, wyprostowany i zupełnie
oślepiały, zamarł. Pomogli trzej żołnierze, którzy przyczołgawszy się
odsunęli zwierzę za ogon.

— Strzelałeś kiedyś w życiu? — zapytał generał.

— Nigdy. Po raz pierwszy.

Konia zdobyli innego, znacznie gorszego od zabitego. Trudno by-
ło porównać do tej silnej litewskiej kobyłki, która nagrody mogła zdo-

bywać, owego flegmatycznego wałacha-woziwodę, bułanka w niedorzeczne białe plamy, z obwisłym brzuchem.

Kirnosowi wałach nie spodobał się, budził w nim niemal obrzydzenie.

— Nie to co trzeba — powiedział Kirnos. — Przy najbliższej okazji zdobędziemy dla ciebie całkiem białego.

— Białych w kawalerii nie ma. Czasem zdarzają się — bułanej maści. To wtedy, kiedy będzie prawdziwy rząd komunistyczny?

Żart również nie spodobał się Kirnosowi. Przemilczał jednak.

Nazajutrz wyłożył swój plan — on sam nie jest w stanie urzeczywistnić obrony swych idei siłą, ku temu potrzebne są inne przymioty.

Skupi się zatem wyłącznie na pracy partyjnej.

— To moje powołanie. A ty odpowiadasz — za armię.

Generał z pokorą pogodził się ze swymi obowiązkami.

— Trzeba jeszcze dobrać zdolnych dowódców, żeby stanęli na czele przemysłu zbrojeniowego. Są tacy w naszych szeregach. Ale najważniejsza rzecz — spoczywa na tobie i na takich jak ty, walecznych generałach. Trzeba dokonać przełomu w przebiegu wojny. — Wygrać tę wojnę. Ty — potrafisz.

— Myślisz, że jestem aż taki mocny w strategii?

— A kimże byli Czapajew, Kotowski, Frunze* wreszcie? W sprawach wojskowych byli to nieucy, gdzie im do ciebie. Ale mieli w sobie

* Czapajew Wasilij I. (1887-1919) — syn chłopa, uczestnik I woj. św., podoficer; walczył z wojskami admirała Kołczaka; otoczony wraz ze sztabem przez Kozaków

I

rewolucyjny zapał, oto czego ci brak. Trzeba wreszcie na serio wgłębić się w to, co pisali Marks i Engels, co mówił Lenin. Poczytałbyś to i owo. Choćby Krytykę Programu Gotajskiego. Dopiero co zrobiłem szczegółowe notatki.

— Co do mnie, to samego Programu Gotajskiego też nie czytałem.

— Samego programu można i nie czytać. Wystarczy — krytykę.

Zrozumiesz, że żyłeś dotąd w mroku. No, powiedzmy, w półmroku. A tutaj odkrywasz zupełnie inny świat, gdzie wszystko jest proste, najzupełniej zrozumiałe, krystalicznie jasne.

W nocy generałowi przyśniła się Krytyka Programu Gotajskiego. Ujrzał ją wyraźnie w białym chałacie, z otworami wyciętymi dla oczu.

Zmierzała prosto ku niemu, podrygując jak na wiejskich potańcówkach, kiedy do chłopaków podchodzą dziewczęta zachęcając, by wykonali figurę taneczną. Nie wiedzieć czemu było oczywiste, że to kobieta i że jest martwa, i nie wiedzieć czemu, zwali ją Krytyka Programu Gotajskiego.

Zdaje się, że sama tak siebie nazywała. Obudził się zdziwiony i nieco rozstrojony. „Ach, nie darmo śnią się baby!”

...Pewnego razu — było to już pod Jarcewem — przebiła się, wydostając ze swego okrążenia, grupa licząca około siedemdziesięciu ludzi. Kirnos wyłowił komunistów, zarejestrował jako członków partii i przeprowadził z nimi rozmowę polityczną. Nawiasem mówiąc nie stosował owych powszechnie używanych skrótów partuczot, politbiesieda, które niezbędnego czasu bynajmniej nie oszczędzają, lecz zawsze wymawiał je w formie rozwiniętej: „rejestr członków partii”, „rozmowa

polityczna". Po powrocie opowiedział o „oburzającym wypadku” — jak ci ludzie wpadli w zasadzkę. Wpakowała ich w ręce Niemców ruchliwa staruszka, której skonfiskowali zaledwie wieprzka. Konfiskatę przyjęła spokojnie, może tylko usta zacisnęła, a następnie zaproponowała, że zaprowadzi gości do sąsiedniej wioski, gdzie rzekomo Niemców jeszcze nie było. A oni tam byli. I ona o tym wiedziała. I jeszcze krzychała: „Dobrze wam, zarazo, całe życie zmarnowaliście nam, zaginął w nurtach rzeki Ural; czczony z ZSRR jako bohater wojny domowej; Kotowski Gieorgij I. (1881-1925) — bohater wojny domowej; skrytobójczo zamordowany pod Odessą; Frunze Michaił W. (1885-1925) — uważany za najwybitniejszego dowódcę bolszewickiego podczas wojny domowej; autor prac z dziedziny wojskowości i doktryny wojennej; zmarł w wyniku operacji chirurgicznej, okoliczności śmierci są rozmaicie interpretowane.

332

fajdali, zasmrodzili, a teraz dajecie drapak? A bodaj was za to wszystko powystrzelali tutaj co do jednego!"

— A tej muzyki — powiedział generał — trzeba słuchać. I uszu nie zatykać. Zasłużona, co tu gadać...

— Jakiej „muzyki"! — oburzał się Kirnos. — „Powystrzelać co do jednego?"

— Cóż, nie zginęli jeszcze Susaninowie* na świętej Rusi — zdumiał się generał. — I popatrzcie tylko, nie złąkła się!

— Rzecz normalna. W takiej złości człowiek o sobie zapomina.

— Złość złością, ale i strach, jak widzę, w ludziach się kończy.

Wszystko, co najstraszniejsze, już im zrobiliśmy. Ziemię ludziom ode-

brali i — oddali ludowi... Co to za kategoria ten „lud”, myśl sobie, jak chcesz. Czego się jeszcze mają bać? Głodu? Był już taki, że własne dzieci jedli.

— Były błędy — powiedział Kirnos. — I potępiono je kategorycznie.

— Oczywiście, oczywiście — zgodził się generał. — Z wypaczeniami skończono... No i co, poskromili staruchę? I gadanie staruchy, i całe jej życie?

Tak, innego wyjścia nie było... Bez sądu. Rozumiem... Ale na wojnie jak na wojnie!

— A tej staruszce, bodajże ledwie pięćdziesiątka stuknęła...

— Nie wiem. Żal ci jej, czy co? Tej, która uznała, że za wieprzka można rozliczyć się życiem ludzi?

— Rozliczyła się, rzeczywiście — zauważył generał, czym wpędził rozmówcę w ponure rozmyślenia. — A wyobrażasz sobie, czym był dla niej ten wieprzek? Może nawet imię mu nadała? A jakże, dopóki rośnie — to członek rodziny. A zanim go zarzną, poproszą, zgodnie ze starym obyczajem, o przebaczenie. I po co go było konfiskować? Za co? Kirnos popatrzył z dołu do góry ze zdziwieniem i powiedział ni to poważnie, ni to żartując:

— Ot, nie wiedziałem, że generał Kobrisow ulega kułackim nastrojom.

— Nie ma żadnych kułackich nastrojów. Są — ludzkie. Powiedz ty mi, komisarzu, a tego, ot, konika, jakim prawem skonfiskowaliśmy?

* Iwan Susanin (? -1613) — rosyjski bohater narodowy, który wprowadził w czasie „wielkiej smuty” oddział Polaków w rosyjską zasadzkę, ocalając życie założyciela

dynastii Romanowów kosztem własnego.

332

— Prawem przysługującym armii. Ludność musi się liczyć z potrzebami armii.

— Mówisz od rzeczy, Jewgieniju Natanowiczu. Armii przysługują prawa wówczas, kiedy broni ludności, kiedy atakuje. A kiedy daje drapak — wówczas nie ma żadnych praw. Mleczka poprosić — nawet takiego prawa nie ma. Tylko o wodę ze studni.

— To sprawa sporna. Do czego zmierzasz?

— A do tego, że zawsze wszystko zgodnie z prawem bierzemy — i wszystko bez pokrycia, wszystko na kredyt. A kiedy oddawać będziemy? I z czego?

Kirnos, którego twarz skamieniała ze złości, powiedział z zawziętością:

— Są takie okoliczności, kiedy trzeba stłumić w sobie litość. Sentymentalizm — to tylko pozory humanitaryzmu. W istocie — surogat. Prawdziwy humanitaryzm bywa niekiedy z wyglądu straszny. Ale usprawiedliwiony.

W odpowiedzi fala złości zaćmiła umysł generała, huczało mu w skroniach. Jakkolwiek to dziwne, ale pierwszym, którego należało rozstrzelać, byłby Kirnos. Dyktator z niego byłby, że hej, daj mu tylko pole do popisu! Ale skoro coś takiego przyszło do głowy, że mianowicie dla powszechnego szczęścia trzeba kogoś spisać na straty, to czemuż nie zacząć od niego samego, od Kobrisowa?

Czas jakiś milczeli, po chwili generał zapytał:

— A ty, Jewgieniju Natanowiczu, chłopskie powstania tłumieś?

— Jakoś nie było okazji. Ale co to takiego walka klasowa na wsi, świetnie sobie wyobrażam.

— Tak? — zdziwił się generał. — A ja nie. Choć, można powiedzieć, brałem jakiś tam udział. Może to nie ja walczyłem za szczęśliwe życie ludu z bandami Antonowa i Kożewnikowa, co? Nie będziemy się jednak w tym grzebać, była to wojna chłopska, a wojna ma zawsze swoje dwie prawdy... Ale, za pozwoleniem, opowiem ci epizodzik z dziejów walki klasowej. W pewnej gminie pomagaliśmy przeprowadzić kolektywizację. Nie można powiedzieć, żeby ludzie tak już się wzbraniali, ale trzeba było rezerwy siewne zapewnić dla przyszłego kołchozu, a z tymi sprawami zawsze były komplikacje. Wypadło więc przyjść z pomocą... nie cofając się przed użyciem broni. I oto pewien solidny chłop, po naszymu — „kułak”, poprosił sąsiada-biedaka, Afonię... widzisz, nawet imię zapamiętałem..., żeby schował u siebie kilka worków zboża. Ten zgodził się, nie za pieniądze i nie za kromkę chleba,

333

a całkiem bezinteresownie — dlatego że nie lubił tych wy właszczycieli, to znaczy takich jak ja i ty nie lubił, solidnych zaś gospodarzy, na odwrót, szanował, uważał, że ten jest bogaty, kto potrafi swego pilnować i wykorzystać, jak należy, a nie ten, co się cudzego nachapał. Posadzili kułaka do zimnicy, o chlebie i wodzie, powiedzieli, że zgnoją, jeśli nie powie, gdzie schował zboże. Dziesiątego dnia przyznał się. I gdzie jest zboże, powiedział, i kto je chowa. I wzięli tego Afonię, zawieźli do miasta rejonowego na pokazowy sąd. Na jednej furmance z kułakiem je-

chali. I on sąsiadowi wybaczył po chrześcijańsku. Złego słowa nie powiedział temu, kto go wydał, całe życie mu zmarnował. A czekał ich obu los okrutny, jedyna pociecha — że krótki... A któż tu był wrogiem klasowym? To ja nim byłem, Fotij Kobrisow, dziś generał radziecki. I oto zrozumiałem: armia nie po to jest stworzona. Nie po to, żeby z babami i starcami walczyć i zwyciężać, i do czegokolwiek ich zmuszać. I cóż to za „przemiany”, że trzeba je pod lufami i bagnietami wprowadzać?

Kirnos nie odezwał się ani słowem. Być może wyczuł coś niedopowiedzianego i głęboko osobistego. I rzeczywiście, Kobrisow nie powiedział, zataił, że miało to miejsce w jego stancy Romanowskiej, a Afonia to jego starszy brat. Nie opowiedział, jak trudno było we wszystkich ankietach wymieniać represjonowanego brata, kułackiego poplecznika, i nie odżegnując się od niego, wypruć z siebie żyły, aby pomyślną karierą, nienaganną służbą zasłużyć na odpuszczenie grzechu. Zawsze miał się na bacności, zawsze jacyś bezczelni, bezwstydni osobnicy, wcielone przeciętności — najstraszniejsi ludzie na ziemi, ci, którzy niczego nie umieją — szukali okazji, by odebrać mu to, co zdobył, co mu się należało. I wszystko, co osiągał uporem, pracą, zainteresowaniami, musiał poczytywać za dobrodziejstwo ofiarowane mu z łaski w formie zaliczki, i im wyżej wspinał się po drabinie hierarchii służbowej, tym większy stawał się ów dług. Ot i Opriadkin, kameleon z Łubianki, usiłujący na jego kościach zrobić swoją karierę, przypominał mu: „Generałem cię zrobili, a czyś to docenił?” Jeszcze jak doceniał!.. Jeden tylko Naczelnny nikomu nic nie był dłużny, a cała Rosja,

nieogarniona i potężna, wszystko jemu zawdzięczała, z zachwytem dziękowała mu i modliła się, by żył jak najdłużej. A on wszędzie i wszystkich podejrzewał o kłamstwo i zdradę — i słusznie podejrzewał: oto bowiem wystarczyło, by we dwójkę z Kirnosem, człowiekiem, zda się, bez grzechu, znaleźli się w dali od wszechsłyszających uszu, by ujawniły się ich potajemne, lecz nie nazbyt głęboko ukryte myśli.

334

...W sierpniu zrobiło się całkiem paskudnie. Umęczone, osłabione wojsko ledwo wlokło się, w podartych mundurach, w obuwiu, które „pić prosi”, a dla dziesiątków tysięcy gąb nie starczało już jedzenia, wojskowe tabory świeciły pustką, a ziemia, po której kroczyli — rozgrabiona i wynędzniała. Z ogrodów wszystko już wykopano, na polach spalono, w lasach wyrwano i wybito cokolwiek nadawało się do zjedzenia. Nie trzeba już było nawoływać dowódców, by zrezygnowali ze swego dodatkowego przydziału na rzecz żołnierzy, wszyscy głodowali jednakowo, i generał głodował na równi z nimi. Nadchodziła bezdenna, beznadziejna rozpacz.

W takiej oto rozpacz, kiedy od rana w ustach nie mieli nawet ziarnka maku, i nic nie wskazywało, by coś się miało zmienić, siedzieli obaj z Kirnosem na ziemi, oparci plecami o drzewo, nie będąc w stanie ruszyć ani palcem, ani językiem. Kirnosa w dodatku męczył brak machorki.

I nagle pojawił się na polance żołnierz — w garbatym, postrzępionym szynelu, przyjrzał się im, przechylił na bok głowę w splotwiej do białości furazerce i wyrzekł z pełnym gorczy zdumieniem:

— Mój ty Boże, dowódca z komisarzem siedzą na głodniaka, biedaki. A myśmy przynajmniej suchary zafasowali. Trza się podzielić. Wsunąwszy ręce do kieszeni nieomal po sam łokieć, przeginając się z boku na bok, coś tam wymacał, wyciągnął kamienny, czarny suchar żołnierski i rozłamał na dwie części.

— Bierzta, zaostrzta sobie zęby.

Podejmując następnie także głębokie poszukiwania, wytaszczył i wysypał Kirnosowi na dłoń garstkę machorki zmieszaną z okruchami sucharów. Dwaj wysocy i stojący wyżej rangą mężczyźni patrzyli w osłupieniu na kłapouchego, z zadartym nosem żołnierzyka, który zaledwie sięgał im do ramienia. Nie przyszło im do głowy, by mu podziękować, on zaś wcale tego nie oczekiwał; odszedł zadowolony, że udało się komuś pomóc, sam sobie tłumacząc słuszność swej nieopłacalnej szczodrości:

— Nie można przecież, żeby tak ludzie — zupełnie bez niczego.

Generał Kobrisow, z sucharem w ręku, ze ściśniętym gardłem spojrzał z ukosa na swego współtowarzysza — Kirnos miał w oczach łzy. Wstydząc się ich i złoszcząc na siebie, wycierał je dłonią z zaciśniętą w niej machorką.

— Nigdy tego nie zapomnę... Nigdy! — wydusił z siebie. — Wydawałem sądy o życiu nic o nim nie wiedząc, teraz wiem już wszystko.

335

Błogosławiona niech będzie ta wojna — za to, że pozwoliła mi się o tym dowiedzieć.

Generał nie miał ochoty mówić. Wiedział, że głos mu się załamał.

— A myśmy nawet nie zapytali, jak się nazywa — powiedział Kir-

nos. — Chyba i sensu nie było pytać, taki to właśnie jest — lud... O którym obaj — ja i ty — niczego nie wiedzieliśmy.

„Tak od razu żeś się wszystkiego dowiedział—pomyślał generał.

— Pozazdrościć można. A ja i przedtem nie wiedziałem i teraz tym bardziej nie wiem.”

...Wedle rozeznania generała winien był wyprowadzić armię gdzieś nieco bardziej na północ od Moskwy, najprawdopodobniej w okolicy kanału Wołga-Moskwa, który mógłby się stać ostateczną rubieżą obrony. Taką się też stał, kiedy w listopadzie podpełzły ku niemu czołgi Reinhardta i Hóppnera. Wiadomo, że Niemcom udało się nawet przeprowadzić przez kanał, ale tylko na jedną dobę, i miejsce przeprowy okazało się dla nich, widać, najbliższym punktem wyjścia do ataku na Moskwę. Wedle jednych wyliczeń było to w odległości 17 kilometrów od stolicy, wedle innych — na 35 kilometrze. I jedno, i drugie jest słuszne, rzecz w tym, odkąd liczyć — od okrężnej linii kolejowej, stanowiącej podówczas granicę miasta, czy też od wieży Spasskiej Kremla, która z dawien dawna uważana była za punkt orientacyjny. Sądzone było też generałowi Kobrisowowi wziąć udział w tych walkach i odejść przez pomyłkę — być może wybaczalną — ażeby zostać cudownym sposobem uratowanym za sprawą Szestierikowa i natarcia Własowa. Ale stanie się to dopiero w grudniu, tymczasem, w sierpniu 1941 roku do Wołgi, którą marzył dotknąć końcem włóczni, było jeszcze nieskończenie daleko...

...W sierpniu dotarł do małej miejsciny o nazwie, która wydała mu się znamienna: „Włodzimierzowski Ślepy Zaufek”; trzydzieści kilome-

trów stąd brała swój początek inna wielka rzeka Rosji — Dniepr. Nawiasem mówiąc i o jej źródle nic nie wiedział, czy postawiono tam kapliczkę, czy nie. Prawdopodobnie wykazałby więcej dociekliwości i uporczywości, gdyby mógł przewidzieć, że kiedykolwiek jego życie splecie się z tymże właśnie Dnieprem, lecz nie u źródeł, a w środkowym jego nurcie, z przyczółkiem na Prawobrzeżu, z miasteczkiem Myriatin, z inną armią, nie tą, którą utracił, udając się na francuski koniak do miejscowości Wielkie Pieriemierki.

W tym Włodzimierzowskim Ślepym Zaułku po raz pierwszy w latach wojny zobaczyli tramwaj. Być może, była to jedyna w całym mie-

336

steczku linia, numer nosiła zresztą pierwszy. Wagony, jeden czerwony, drugi niebieski, miały pałąki odłączane, aby uniknąć nocą iskrzenia na trakcji elektrycznej. Przestrzegano zaciemnienia. Szyby wagonów szczelnie pozaklejano paseczkami gazety, a tramwaj wiozł na sobie plakat: „Tchórz i panikarz — to wspólny wróg!” Wszystko w tym zmobilizowanym, wojowniczym tramwaju wydało się generałowi wzruszające i bezsilne. Niejasnym sposobem poczuł, że ma przed sobą do samej Moskwy niemal pustą przestrzeń. I wyobraził sobie, jak przecina ją horda wojsk, wdziera się do stolicy, rozpełza po jej ulicach i placach, jak jego czołgi, nie wiedzieć skąd przybyte, szczękają po bruku i wypełniają miejski pejzaż czarnym dymem. W pierwszym rzędzie otwiera wszystkie więzienia, a następnie, już w ostrogach, w asyście swych dowódców i tłumu niedawnych aresztantów, wkracza we wrota Kremla, wspina się po szerokich schodach, krocąc po dywanach

najwyższego urzędu. W tym miejscu zawodziła go fantazja. Dalej już nie widział — jak to wojskowy, który nie nawykł do kreślenia daleko wybiegających planów. Nigdy żadnej bitwy według takiego planu nie wygrano. Wojna sama podpowie, co robić.

Raptem dało się odczuć, że z przodu nie ma już żadnych Niemców.

Widocznie na coś się natknęli i rozpetzli w różne strony, bojąc się okrążenia. Wydawało się, że nic nie stoi już na przeszkodzie, by dotrzeć do tego źródelka, ale nagle przednia czata natknęła się na czyjąś obronę i została ostrzelana. Zwiad przyniósł nowinę: tam, w okopach, słychać wyraźnie mowę rosyjską. A następnie powoli, stopniowo, zaczęło dziać się to, co zawsze bywa, kiedy nacierający i broniący się mówią tym samym językiem. Szczelna obrona okazała się najzupełniej przepuszczalną, znaleźli się śmiałkowie, których nazywano „wysłańcami” albo „odkrywcami nowych ziem”, którzy przez jakiś czas tam gościli i powracali. Z tamtej strony też pojawiali się „wysłańcy” i „odkrywczy nowych ziem”, którzy z zakłopotaniem wypytywali: „Toż nie jesteście przeciwko nam, co?” Tak, dniami i nocami stały naprzeciwko siebie dwie siły, nie wiedzieć czemu rozłączone i udręczone wzajemnym przyciąganiem.

I nagle wszystko się urwało. Od ostatnich gości dowiedziano się, że cały przedni skraj w ciągu jednej nocy zajęły jednostki NKWD. I ów przedni skraj, jak nożem uciął, cały najeżył się karabinami maszynowymi, zasadzkami snajperów; tam, gdzie wydeptano ścieżki pokoju, wzniesiono teraz zasieki z drutu kolczastego, zmijowato popelżyły w trawie i łopianach walce kolczaste Bruna. A tam, gdzie i tak nie można było przejść, wyrosły tabliczki ostrzegające wędrowców o polach mi-

nowych. Następnie pojawił się głośnik, wzywający do przechodzenia na stronę swoich, nie słuchania prowokacyjnych rozkazów dowódców. Gwarantowano możliwość darowania kary — po przejściu odpowiedzialnej kontroli — by móc stanąć w obronie ukochanej ojczyzny.

Generał i Kirnos słuchali tego przez otwarte okna chałupy na skraju wsi i obaj milczeli. Kirnos był posępny i nastroszony, czoło brzdążyło mu zmarszczki udręki. Kurzył i marszczył się nie podnosząc wzroku. I nie wiedzieć czemu obaj czuli się niezręcznie.

Następnie pojawił się na niebie dwusilnikowy desantowy LI-2 z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach i na kadłubie. Był to pierwszy samolot, przed którym nie trzeba było się ukrywać. I ludzie, którzy wylegli na ulice, patrzyli na niego jak zaczarowani. Zrobił kilka okrążeń, widać, coś tam wypatrywał, po czym oddzieliły się od niego i zawisły nad lasem trzy spadochrony.

Wszyscy trzej wysłannicy mieli jednakowo surowe twarze o jastrzębich oczach, które świdrowały i rozkazywały, wymuszając z góry pokorę. Wydawało się, że byli przygotowani na ewentualną śmierć i przekroczyli tę granicę, poza którą nie ma już nic straszniejszego. Stąd w duszy rozmówcy rodził się ów strach nie do opanowania. Takie twarze, pomyślał generał, mają ci, którzy są w plutonach egzekucyjnych. Później, zetknąwszy się z tą kategorią ludzi, przekonał się, że dobry strzelec z plutonu egzekucyjnego, ten, który lubi swój zawód, ma najczęściej twarz opuchłą i zamyśloną, usta nieduże, zmysłowe i kobiece, a spojrzenie marzycielskie, powłóczyście. Nie, przed sobą miał teraz de-

speratów, bojowców, zawodowych nożowników, strzelców wyborowych, potrafiących łamać kości i zadawać śmiertelny cios rękami i nogami. Tacy często rekrutują się spośród zawodowych bandytów. Jeden z nich, z przetrąconym nosem, przedstawił się jako starszy, drugiego również przedstawił po imieniu i wymienił stopień. Trzeciego dla jakiegoś powodu nie przedstawił, ani on sam nie wymienił swego nazwiska. Można było tego i nie zauważyć, ale generał miał już za sobą więzienne doświadczenie, nasłuchał się w celach opowieści o tym, że w każdej grupie słynnych czekistów jest niechybnie jeden, który nazwiska swego nie wymienia; on to właśnie jest główny. Ten nie nazwany do rozmowy się nie wtrącał, a tylko patrzył prosto w oczy z nieskrywaną wrogością.

Zażądali, by ich pozostawiono sam na sam z dowódcą. Kirnos spojrzął pytająco na generała i od razu opuścił głowę i zastygł, jakby oczekując wyroku. Minęło kilka sekund, podczas których generał zastanawiał

338

się, a ci trzej nie spuszczały z niego wzroku. Myślał o tym, że wszystko to jest ich ulubioną zagrywką, typową „kontrolą zawsznienia”, i że podporządkowanie się temu jest upokarzające, ale nie mniej upokarzające jest sprzeciwianie się, ujawniające tym samym własny strach. Nie myślał o tym, że w tych sekundach decyduje o losie innego człowieka.

— Poczekaj chwileczkę u siebie, Jewgieniju Natanowiczu — powiedział możliwie najspokojniej, beztrąsco, całym swoim wyglądem dając do zrozumienia, że nie traktuje poważnie żądania spadochroniarzy. — My tu z towarzyszami na krótko...

Kirnos wstał powoli, jakby odklejając się od ławki, z bladą, od razu wyostrzoną twarzą, nie wiedzieć po co otworzył i zamknął swoją drogocenną teczkę, raz jeszcze spojrzął na generała — jakby z wyrzutem i żalem. Nikt z tej trójki nie spojrzął na niego, dopóki nie wyszedł.

— Warto było aż z nieba skakać? — powiedział generał. — Do brze, żeście sobie nóg nie połamali o drzewa. A co by wam szkodziło przyjść ot tak, po prostu, w charakterze parlamentarzysty?

— Jak to rozumieć? — zapytał starszy, obrzucając go lodowatym spojrzeniem. — Do was, z białą chorągiewką?

Ten, który nie podał swego nazwiska, spoglądał z pogardą.

— Nie wziąłem pod uwagę — powiedział generał — że tak dzisiaj należy witać tych, co się znaleźli w okrążeniu.

Ciążyła nad tym wszystkim posępna atmosfera rozczarowania: oto przyszedł do swoich, do współbraci, o spotkaniu z którymi nie przestawał marzyć, a okazało się, że przede wszystkim utracił wolność, jaką miał w najcięższych chwilach, w zadymionych lasach oraz cuchnących bagnach, i oto teraz nie pozostaje nic innego jak opuścić głowę, pokornie stanąć w wyznaczonym miejscu. Któż jeszcze mógłby tak mu wyjść na spotkanie, któż jeszcze tak wielbi swoich rodaków, jak Rosjanie?

— Jakie plany, generale? — zapytał starszy z przetrąconym nosem.

Drugi patrzył tak, jakby miał zamiar natychmiast wystrzelić. Trzeci, który nazwiska nie podał, uśmierzył go spojrzeniem, w którym wyraźnie można było wyczytać: „Chwileczkę, nigdzie od nas nie ucieknie”.

— A gdzież bym miał od was uciekać? — powiedział generał. —

O moich planach wiecie już przecież.

— Po części wiemy — powiedział przetrącony nos z nieokreśloną pogrózką w głosie, napierając łokciami i pierśią na stół, przy którym siedział generał. — I o pewnych nastrojach, dających o sobie znać w waszej, za pozwoleniem, grupie wojsk, też możemy mieć wyobrażenie.

339

— Za pozwoleniem, mam armię — powiedział generał.

Nikt z trójki nie zaproponował, ale tak, jak nie oponuje się komuś, kto najwyraźniej plecie głupstwa. A przez głowę przemknęła lękliwie myśl, że chyba ktoś usłyszał jednak jego rozmowy z Kirnosem i w jakiś sposób zdołał je przekazać — być może przez owych „wysłańców” i „odkrywców nowych ziem”...

— Wasze zgrupowanie — powiedział starszy — trzeba będzie rozformować i przenieść do poszczególnych jednostek. Takie są dyrektywy odnośnie wychodzących z okrążenia. W takiej postaci wasza armia istnieć nie może. Jeśli będziecie się sprzeciwiać, przedłożę wam nakaz aresztowania. Na wasze nazwisko, podpisany.

— Wasze ryzyko. Radzę nie zapominać, że znajdujecie się w miejscu rozlokowania moich wojsk.

— Wyprowadzimy was stąd i poprzez całe wasze rozlokowanie doprowadzimy pod konwojem, bez pasa. Zapewniam was, generale, że w całym waszym wojsku nie znajdzie się ani jeden człowiek, który by wystąpił w waszej obronie.

Ten, który nie podał nazwiska, zastygł, i wydawało się, że świdrującym spojrzeniem patrzył prosto w oczy nie mrugnawszy nawet.

Ten drugi patrzył pytająco: a może się nie ceregielić, po prostu wziąć i skrępować? I jedno, i drugie wydawało się generałowi starym, zgrany chwytem. Nie mogą go wyprowadzić pod eskortą, zanim nie wyda rozkazu o rozbrojeniu. W przeciwnym wypadku po cóż mieliby tracić czas na rozmowy? Z chwilą, gdy taki rozkaz wyda, z miejsca go już z całą pewnością skrępują.

— Jako wojskowi — powiedział cierpliwie generał — powinniście zrozumieć, że wyjście z okrążenia takiej masy wojska to sprawa skomplikowana i niebezpieczna.

— Jako wojskowy — powiedział starszy — powinniście także zrozumieć: nasi ludzie ryzykują, kiedy idą, by połączyć się z nieznanymi jednostkami. Nie wiadomo, kim w danym momencie jesteście. A może już dawno zapredaliście się Niemcom? Może napadniecie i nas wszystkich powystrzelacie jak kuropatwy?

Wesoła myśl przyszła generałowi do głowy i wypowiedział ją na głos:

— Czemu tak niepewnie: „Być może, zapredali się”, „Być może, napadniecie”? Czyżby waszych ludzi, informatorów nie było w mojej armii?

340

— Ja tylko wskazuję na podstawy do uzasadnionej nieufności — powiedział starszy. — A bez naszych ludzi nigdzie nie można się obejść. Oni to właśnie podali swoje rekomendacje. Dlatego też nalegamy na rozbrojenie.

Generał zamknął na chwilę oczy, poczuł się przez chwilę jakby

sam na sam ze sobą, kiedy to podjąć można słuszną decyzję, i powie-
dział:

— Odmawiam oddania broni. Przeciwnik znajduje się w niebez-
piecznej odległości ode mnie. Pozostawić ludzi na froncie bez broni
choćby na godzinę — to pewna śmierć. Takiego rozkazu nie wydam.
Możecie mnie rozstrzelać. Możecie zabić, ale wtedy będziecie musieli
i sami oświadczyć moim ludziom, żeby złożyli broń. Szkoda, że nie zo-
j baczę, co oni z wami zrobią.

Cała trójka wymieniła spojrzenia. Taki zwrot w rozmowie najwi-
I doczniej przewidzieli. Ten, który nie podał nazwiska, ledwie zauwa-
żalnie kiwnął głową.

— No więc tak — powiedział starszy — po jednym pułku w szy-
I ku marszowym, broń także jak w marszu, na rzemieniu za plecami.
Armaty, moździerze pod pokrowcami, pociski i miny, jeśli takowe są,
| oddzielnie, także jak w marszu.

— Czyli że krok w lewo, krok w prawo — będzie potraktowany
I jako ucieczka?

— Będzie potraktowany — jako opór. Wymaszerować w ściśle
określonym czasie i miejscu. W innych miejscach, przy próbie przedo-
stawania się, będziecie rozstrzelani przez artylerię i czołgi.

— A wy je macie?

— Zostaniecie rozstrzelani przy pomocy wszelkich środków ob-
rony, jakimi rozporządzamy.

— Blefujecie, żadnych sił ani środków nie macie. Chyba że pospo-
lite ruszenie. A ja dobrze wiem, co to takiego. Z takim pospolitym ru-

szeniem nawojowałem się w latach Wojny Domowej.

Ich milczenie potwierdziło, że trafił w sedno. Prawdę mówiąc, chodziło mu tylko o to, by zyskać na czasie i wszystko należycie obmyśleć. Wiedział, że nie ma nawet pół godziny na zastanawianie się. Te pół godziny potem mu zaliczą w trybunale. Ale jemu, nawet ku własnemu zdziwieniu, wystarczyła minuta. Okazało się, że dawno temu wszystko to obmyślił. Nie było żadnej ucieczki — ani przed perspektywami, jakie roztaczał przed nim Kirnos, ani od tych żądań, jakie teraz mu postawiono. Wszędzie — nieuchronność.

342

Zyskał jeszcze jedno mgnienie pytając:

— A kto te pułki poprowadzi? Moi dowódcy, czy też swoich mianujecie?

— To drugie — odpowiedział starszy. — Musicie mieć przewodników. Kto waszym ludziom wskaże przejścia przez pola minowe?

— Jakoś znajdowali moi ludzie owe przejścia, psim węchem omijały zasadzki... A ja i komisarz — w jakiej roli wystąpimy?

— Przyjedzie po was samochód.

— Kryty? Z przewodnikami?

Starszy spojrzał na tego, który nie podał nazwiska, i odpowiedział zimno:

— Można i w odsłoniętym.

— Tak — powiedział generał. — I znajdą się tacy, którzy staną na czele mojej armii?

— Ile dusza zapagnie — powiedział starszy uśmiechając się cią-

gle jeszcze z wyraźnym napięciem.

Generał również uśmiechnął się i założywszy ręce do tyłu przeszedł po pokoju.

— W czerwcu jakoś zbyt wielu chętnych nie było...

— Minęły już dwa miesiące, czas najwyższy opamiętać się.

Ordynans, który wpadł z hukiem, zmusił wszystkich do wzdrgnięcia. Spadochroniarze, odwróciwszy głowy ku drzwiom, nie pode-
rwali się, ale w rękach wszyscy trzej mieli pistolety.

— Towarzyszu generale! — krzyczał od progu, nie zauważając
wymierzonych w niego luf. Ten poprzednik Szestierikowa postępował
i wyrażał się dość osobliwie, i mówił często ni w pięć, ni w dziewięć. —

Z Jewgienijem Natanowiczem — nieszczęście!

— Jakie znowu nieszczęście? Atak serca?

— Gorzej.

— Aresztowali, trzeba mu pomóc?

— Gorzej. Nie śmiem nawet powiedzieć wam. Nieszczęście, i tyle.

Generał, który zrozumiał, że ordynans nie kłamie, popędził co sił
w nogach, nie zdążywszy nawet pomyśleć, że nieproszeni goście zaraz
go dopędzą i skrępują.

W przydzielonej Kirnosowi chałupie generałowi rzucił się w noz-
drza zapach palonego papieru i dymu z prochu. Kirnos, w dziwnym
białym turbanie, siedział podkurczony w kącie, do którego zwałił się
po wystrzale. Pistolet leżał obok na podłodze.

342

Przed wystrzałem obwiązał głowę ręcznikiem, żeby nie rozwaliała

j się czaszka. I mimo wszystko widać było, jak pod tym turbanem tkwiły poszczególne jej części. Żadnej notatki nie pozostawił, jedynie skrupulatnie ustawiony na stole plik legitymacji partyjnych i kilka stroniczek wyrwanych ze szkolnego zeszytu w ukośne linijki, zapisanych ołówkiem — raport polityczny rozpoczynający się od sprawozdania o Kownie. Jego torba dowódcy była pusta, w odwróconym hełmie — popiół i strzępy porwanych i na wpół spalonych papierów. Były to jego listy, fotografie, stare notatki, popstrzone późniejszymi ołówkowymi uwagami.

„Cóżes ty narobił, Jewgieniju Natanowiczu — zapytał generał. — Złakłeś się, że twoje nieodpowiednie myśli przekażę komu trzeba? Za kogo mnie miałeś?”

Ale tu chodziło o coś zupełnie innego.

Jak u wielu samobójców twarz jego zachowała wyraz, z jakim się zabijał, i był to wyraz męki, duchowej udręki nie do zniesienia i morderczego poczucia winy. Nie wobec kogokolwiek, lecz wobec siebie samego. Jakby się ukarał za swoje świętokradztwo. Chyba tak rzeczywiście było.

Spadochroniarze stali za plecami generała, czuł na karku ich oddechy. I ten, który nie podał nazwiska, otworzył w końcu usta:

— Ciekawe, czego on tak się bał?

Generał, przypomniawszy sobie, co Kirnos mówił mu o żonie i synu, powiedział:

— Niczego się nie bał. Był kontuzjowany.

... Gdzie zniknęli potem ci spadochroniarze, generał nie mógł so-

bie przypomnieć. Jakby wyparowali — natychmiast i bez śladu, podobnie jak te jednostki NKWD, które zaludniły przedni skraj. Wyglądało na to, że nastąpiło to po pierwszych salwach niemieckiego przygotowawczego ostrzału artyleryjskiego, tak zmasowanego, iż nie było wątpliwości, że nastąpi w ślad za tym nieuchronny atak. I już o jakiegokolwiek kontroli pozostałych w okrążeniu nie mogło być mowy, wszystkie wysiłki należało skupić na tym, jak w najkrótszym czasie rozwinąć masywne cielsko armii, by przygotować ją do wyprzedzającego ataku. W pośpiechu sformowano kilka batalionów, do których weszli na równych prawach ci, co wczoraj byli w okrążeniu, i ci, których spotkali w pobliżu Włodzimierzowskiego Ślepego Zaułka, nieopodal ujścia Dniepru.

343

O zmierzchu generał wyszedł na ganek, by ich pożegnać. Odprowadzał ich na zachód i sam patrzył tam, gdzie niebo spowiło się trwożnym pomarańczowym kolorem, coraz bardziej gęstniejącym, przechodzącym w ciemno-olowiany. Bataliony wyruszały nocą, żeby przez kilka godzin, nim armia nie ustawi się w szyku bojowym, zastąpić ją własnymi ciałami. Artylerzyści toczyli armaty na furgonach konnych, piechota — z ciężkimi zrolowanymi płaszczami przez ramię, w owiniętych szmatami buciorach — w ślad za nią wiał po wiejskiej ulicy kurz, i śpiewała o nich — zgodnie z regulaminem — głosami dziarskimi i młodzieńczymi:

Godzina wybiła,

Trąbka wzywa.

Baterio, szykuj się!

Grom grzmi.

Wojna za pasem.

-.

Pociski ładuj,

Niczego nie bój się!

Za plecami tych żołnierzy — za kilometrami, okopami, bateriami, betonowymi słupami i zaporami z szyn zwanymi „jeżami” — rozciągała się wielka stolica, pogrążona w ciemnościach i trwożliwym oczekiwaniu. Wojska sposobiły się do legendarnej obrony.

1 niesamowicie czuł się generał Kobrisow wyobrażając sobie, jakby on przełamywał tę obronę, dotąd ciągle jeszcze taką mizerną, jakby odpierał sprzeciw tych ludzi, niczego nie podejrzewających, którzy tak ciepło, z otwartym sercem przyjęli go, nakarmili, podzielili się swoją porcją z „narkomowskiego przydziału” i machorką.

Ale czy nie było równie niesamowitym — ramię w ramię z nimi, ręka w rękę, krwią i ciałem swym bronić oprawców i katów, którzy nie mieli w zwyczaju iść do boju na bagnety i kryli się za plecami swoich wczorajszych ofiar?

A kto wie, może — i jutrzejszych?

Rozdział VI

Góra Pokłonna

Czy pogodniejszy widok

Znalazłby pan, generale?*

Mikołaj Niekrasow, Kolej żelazna

L

_m bliżej Moskwy tym częściej pojawiały się kontrolne „rogatki”, gdzie sprawdzano przepustki: zamiast szlabanów drogę przegradzały stojące chłodnicami do siebie ciężarówki załadowane workami z piaskiem i dopiero po okazaniu dokumentów dyżurnemu, na jego rozkaz, rozsuwały się, dając przejście „willisowi”. Dokumenty okazywał adiutant, za każdym razem wyciągając je z celuloidowego opakowania — jak z chusteczki lub onucy. Generał milczał, starając się patrzeć w bok, z miną pełną wzgardy i napięcia, oczekując w udręce jakichś wypytywań. Ale dyżurni o nic nie pytali, tylko szybko oglądali z ukosa samochód i nie wiedząc czemu z westchnieniem salutowali na pożegnanie. Adiutant znowu zawijał bez pośpiechu dokumenty w celofan. Jednakże mimo wszystko zdążyły chyba zwilgotnieć.

Zresztą generała Kobrisowa coraz mniej irytowały te drobiazgi, coraz rzadziej wspominał o swych sporach z Watutinem, z Żukowem. W przekładzie Leopolda Lewina tekst ten brzmi: „Czy pogodniejszy widok dla chłopczyka // Znalazłby pan, generale?”

345

i już przestał przeżywać tę naradę w Spaso-Pieskowcach, która ostatecznie sprowadziła się do jednego wariantu — do tego, jaki był w rzeczywistości — a coraz częściej zastanawiał się, co go czeka w Moskwie. Wyobrażał sobie w ogólnych zarysach rozmowę w Kwaterze Głównej, po której w rzeczy samej dadzą z półtora-dwa miesiąca na odpoczynek — najprawdopodobniej w Archangielsku, na szczęście zima za pasem, pochodzi sobie na nartach, wykona wszystkie te idiotyczne „procedury”. Po czym chyba zostanie wezwany, aby formować nową armię

— nie dla siebie już, oczywista, lecz dla jakiegoś obcego typu. Albo dadzą szkołę wojskową — żeby wypiekać sześciomiesięcznych lejtnantów. A niewykluczone, że wsadzą do jakiegoś zarządu w Sztabie Generalnym, gdzie będzie przekładać papierki do końca wojny. Dalej — za tę barierę, która nazywała się „końcem wojny” — nie zaglądał, tam dla niego jakby miejsca już nie było. I coraz częściej pobrzmiwały w nim czyjeś, nie wiedzieć gdzie zasłyszane, słowa: „Życie mam z głowy”. Okazało się takie krótkie i oto dobiegło swego kresu.

No bo w samej rzeczy, jak ma teraz spożytkować swe siły, czym się zająć? Daczą w Aprielowce? Czyżby miało dojść do tego, że życie wypełni radosna kontemplacja nad mrówką pełznącą przez ścieżkę w ogrodzie, czy też drzeniem skrzydełek ważki nad stawem — po tym, jak wypełniały je mapy i plany bitew, tupot końskich kopyt i szczęk gąsienic, słodki zapach powietrza wokół grzmiących armat? Wszelka kontemplacja przerażała go, była dlań początkiem wygasania wszelkich pragnień poza pragnieniem spokoju. Dzień za dniem będzie coraz bardziej odstręczający — najpierw nieodzowny sen po obiedzie, potem — sen przy gościach, aż do chwili, gdy ostatnia drzemka zamknie powieki na zawsze. Czymże przywiązać się do życia, by jak najdłużej wytrzymać, oprzeć się dręczącemu przyciąganiu niebytu?

Co powie żona, to sobie wyobrażał — zmartwi się, oczywiście, a w głębi duszy ucieszy jednak, że chwała Bogu skończył z wojaczką, żywy jest i przy niej. Ale z córkami nie będzie tak łatwo: nie jest wszak ani ranny, ani kontuzjowany, jak im to wszystko wytłumaczyć? Czyż wbijesz im do głów, w których mają teraz kisiel zamiast mózgu, że

bywają, choć rzadko, i takie przypadki, kiedy usuwają ze stanowiska właśnie za to, że się powiodło? Ależ skąd, na zawsze pozostanie dla nich pechowym dowódcą pułku, nieudolnym dowódcą armii.

Gdzie był „nieudolny”? Ależ pod tym nieszczęsnym Myriatinem! A cóż jest wart ten cały Myriatin? Dziesięć tysięcy? Piętnaście? Łatwo liczyć temu, kto przyszedł na gotowe, do armii nie przez siebie sformo-

346

wanej. A jeśliś sam ją zbierał — z lasu po sosence, z marszowych, nieostrzelanych kompanii, z jednostek rozproszonych w okrążeniu, z tych, które zachowały i z tych, które pogubiły swoje sztandary?

Nie wiedzieć czemu wiódł spór z córkami, jakby rzeczywiście czyniły mu wyrzuty, i czuł do nich niechęć, i do żony ją czuł — za to, że nie urodziła syna. Drugą w istocie splotzili dlatego, że chcieli chłopca. Gdybyż to jeszcze wdały się w nią, w młodości była całkiem ładna, ale co to za przyjemność rozpoznawać w nich swoją „korpulentność”, mięsistość twarzy, a co będzie później, gdy nastanie pora zamążpójścia?

Kobyły, myślał o nich, o to by się lepiej zatroszczyły, a te nic, tylko pytania, wyrzuty!.. Ach, jak brakowało teraz syna, który by wszystko wziął do serca, jak gdyby sam przemierzył z ojcem kraj od krańca do krańca i zrozumiałby bez zbędnych słów i nie osądził. Synowi można byłoby wytłumaczyć, że wypadło im żyć w kraju, gdzie orderów i wszelkich nagród rozdaje się więcej, niż w jakimkolwiek innym, i gdzie żadne zasługi się nie liczą, wystarczy, byś się tylko zachwiał, a tracą wszelką wartość.

Już zaczęły migać podmoskiewskie nazwy, poznawał znajome miejsca, albo wydawało mu się, że poznaje, i serce ścisnęła bojaźliwość

i tęsknota. Rad był już temu, że dzień się kończy i do swego domu przy ulicy Gorkiego przyjedzie tuż przed nocą. Córki będą już spały, a żona wyjdzie mu na spotkanie w szlafroku i w chustce nisko nasuniętej na czoło, z rozpuszczonymi włosami dawno już nie chodziła, a cały czas w chustach ściągniętych z przodu w węzeł — uwiesi mu się na szyi, zapłacze z radości, a on powie jej tylko: „Nakarm nas, mateczko, połów spać, jutro się nagadamy”. W swym zaaferowaniu nie będzie miała kiedy zastanawiać się, dlaczego ni stąd, ni zowąd przyjechał, a rano już stawi się w Kwaterze Głównej, a potem nie będzie czasu na zastanawianie.

Nim się jednak skończył dzień, skończyła się benzyna w baku, i póki szukali, gdzie by zatankować, chodzili tu i tam z kanistrem, szybko, nieubłaganie ściemniało. A jechać bez świateł, z samymi tylko niebieskimi światłami postojowymi, nie bardzo mieli ochotę, bądź co bądź to nie front, po co się niepotrzebnie męczyć. Zanocowali w dyżurce, obok „rogatki”, i była smutna i bezsenna ta ostatnia noc generała przed Moskwą, cały czas pochrząkiwał i wiercił się na skrzypiącym łóżku w gorąco napalonym pokoiku. Nie bez złości zazdrościł swoim towarzyszom drogi, którzy błyskawicznie zapadli w sen, i czuł się już beznadziejnie postarzały, zniszczony, niemal chory.

I coś go trwożyło, szarpało, wyrывało ze snu — nieustający niepokój, że czegoś nie zrobił, nie zdążył. Do dziewczyny Niefiodowa w

347

końcu nie napisał, jak obiecał. Czytając Woltera odrywał się od wszystkich swoich trosk, a o tej, nie widzianej, mimo wszystko pamiętał.

Ale tak szybko wszystko odeszło od niego wraz z armią, że od razu

znalazł się na marginesie. I napisać do niej — też nie było już jego sprawą. I dokądś koniecznie powinien wrócić, tam, gdzie dawno na niego czekali — było to, wiedział dobrze, zasypianie, nawiedził go sen, który śnił mu się już niejednokrotnie, toteż nie pamiętał nawet, czy to był sen, czy wspomnienie o czymś na jawie. Był mglisty poranek późnej jesieni, wokół byli jego towarzysze, junkrzy ze szkoły chorążych w Peterhofie; razem z nimi szedł na stację, gdzie mieli się rozstać: jedni jechali do Piotrogradu, inni ich odprowadzali. Jeszcze zatem nie rozpadła się ich męska solidarność, a wypili przedtem nie na pożegnanie, lecz dlatego, że nastrój był młodzieńczy i uroczysty. Ale dziwna rzecz, tych swoich kolegów widział jako młodych, tamtejszych, a siebie — jako dzisiejszego, postarzałego, z doskwierającym bólem stawów, i dlatego też bolało serce: a może znajduje się wśród martwych? A zatem i wśród przez siebie zabitych?

W tamtych dniach na ulicach Peterhofu pojawiła się zrewolucjonizowana marynarska wiara z Kronsztadu i Oranienbaumu z taśmami amunicji na krzyż i mauzerami, zwisającymi niemal do ziemi; zaczepiali oficerów i junkrów, zadawali pytania: z kim jesteś i przeciwko komu — a jeśli odpowiadałeś, że ani za, ani przeciw, to uznawali, że z tym, przeciwko komu są oni, i wszczynali bójkę. Chodzić po Peterhofie trzeba było trójkami, czwórkami. Kobrisowa, postawnego, z wyglądu groźnego, i to z żołnierskim krzyżem świętego Jerzego na piersi, nie zaczepiano nawet, kiedy był sam, ale w ślad za nim wykrzykiwano obelgi i pogrożki pod adresem „przyszłego nosiciela złotych naramienników”. A w przeddzień urządzili wiec na placu przed dworcem

kolejowym i nawoływali, by nie sprzyjać zgniłemu, sprzedajnemu, kontrrewolucyjnemu rządowi, który się rozsiadł w Pałacu Zimowym. Tymczasem niemalże połowa junkrów ze szkoty po to właśnie spieszyła do Pitra, żeby wziąć w obronę ten rząd, druga połowa zaś nie widziała takiej potrzeby, albo całkiem była temu przeciwna, ale nie po to, by się kumać z marynarską bracią. I tu się sprawa komplikowała: i ci, którzy wyjeżdżali, i ci, którzy zostawali, i cała owa pasiasta marynarska brać — wszyscy byli jak jeden mąż rewolucjonistami. I wszyscy nienawidzili zaciekle rewolucjonistów, którzy byli zarazem kontrrewolucjonistami. Do rewolucji nawoływał wódz bolszewików Lenin, ale także generał kawalerii Kornilow, „człowiek szabli”, był zbawcą rewolucji, wybawiał ją od rewolucji Lenina, a prezes ministrów Kiereński ratował rewolucję od rewolucji tych obu. Wyglądało na to, że każdy ma swoją rewolucję, a u przeciwnika — staje się ona kontrrewolucją, i bodajże tylko jeden Kobrisow swojej rewolucji nie miał, dlatego też nie wiedział, czy ma jechać do Pitra czy zostać, i podczas krótkiej drogi do dworca kolejowego trudno było powziąć postanowienie. Stacja w Peterhofie miała dwa tory, które wyłaniały się spod wysokiego oszklonego łuku i następnie osłonięte były lekkim dachem spoczywającym na podpórkach z żelaza fasonowego; najbliższy tor był teraz pusty i junkrzy zeskakiwali z niego na szyny i przechodzili na drugi tor, gdzie stał pociąg, wdrapywali się na wysokie trzystopniowe schodki, tłoczyli w zamkniętych z tej strony przedsionkach. Za zakurzonymi szybami wagonów migały czapki i twarze odjeżdżających. Należało się migiem zdecydować, bo rozległ się już drugi dzwonek i

niebawem można by już było nie zdążyć przeskoczyć przez szyny: zbliżał się z naprzeciwka pociąg z Pitra. W tym momencie swego snu Kobrisow odczuwał nieprzezwyciężone odrętwienie, obezwładniające mu nogi i całe jego ogromne ciało, czuł straszne, wyczerpujące rozdwojenie — pragnął zarazem i wyprzedzić pociąg z naprzeciwka, i żeby jak najszybciej nadleciał, by nie musiał już przebiegać. Oto już ostatni, którzy tego chcieli, przebiegli, uchwycili się poręczy, zawisając całymi rękami, i w tejże chwili pociąg ruszył powoli, jakby w zadumie, oni zaś rozglądali się za tymi, co zostali, i tak do ostatniej sekundy, kiedy pociąg z naprzeciwka wpadł z hukiem i przesłonił ich. Kobrisow wspominał o tym ze smutkiem i ściśniętym sercem, okazało się, że nie było to zwyczajne rozstanie, lecz wielki rosyjski przełom. Czuł to niewyraźnie i wtedy, chociaż odjeżdżający mieli tylko kilka dni pełnić straż przed Pałacem Zimowym i wrócić. Nie wrócił nikt.

A już w rok później tak się złożyło, ku czemu doprowadziło Kobrisowa jego odrętwienie, że gdzieś po Salskim stepie pędził na swoim dereszowatym Bujanie, z szablą do tyłu, z wykrzywionymi krzykiem ustami: „Hajda na Kottubań!” — a naprzeciw pędzili z wyciągniętymi szablami i krzykiem niedawni koleżkowie, Miszka i Kolka, teraz śmiertelni wrogowie, dlatego tylko, że przebiegli przez tory, a on nie... Nie wiedział, jak to wszystko wytłumaczyć swoim córkom i czy trzeba w ogóle tłumaczyć, kiedy się ma dwie generalskie gwiazdy na naramiennikach. Ale czemuś złościł się i dowodził im, że wybór tych, co odjechali, okazał się nie najlepszy — była masowa ucieczka z Krymu, obczyzna, głód, upokarzająca nędza wśród obcego bogactwa i luksu-

su. Czyżby chcieli, żeby ich papcio zarabiał na życie grając na harmonii po restauracjach? Albo w cyrku demonstrował wołyżerkę? A idźcie do licha, nie ma co z wami rozmawiać.

Ale stopniowo pokorniał, i przede wszystkim pojednał się z żoną, wiedząc, że w jego sporach z córkami stanie, oczywiście, po jego stronie i ukróci niestosowne rozmowy. Będzie po jego stronie w sporze z całym światem i znajdzie najbardziej przekonujące słowa i wypowie je nie od razu i nie wprost, lecz z wolna, po łyżeczce na godzinę i okaże się jakoś tak, że wszyscy dokoła to karierowicze i egoiści, a tylko jeden jej Fotia jest utalentowany i odważny, tylko nie potrafią tego ocenić. Jak to świetnie jej wychodziło!

Wiele rzeczy dobrze jej wychodziło, a przecież, jak się zdaje, taka mądra znowu nie była. Jednakże starczyło jej mądrości, żeby zmusić go ongiś by natknął się i to z daleka, na jej wzrok. Chyba po raz pierwszy zastanowił się poważnie, co to za tajemnicza istota połączyła z jego życiem swój maleńki żywot. Zagadkowa ta istota, Masza Nalicznikowa, wyrosła na wsi w pobliżu miejscowości Wyszniej Wołoczok, o jakieś trzydzieści wiorst od niej, po drugiej zaś stronie tegoż Wołoczka, w takiejż mniej więcej odległości, rozlokował się jego pułk. Jakimże cudem mogli się spotkać? Ale cała rzecz polegała na tym, że jej wioska nie była po prostu zapadłą dziurą pokrzywdzoną przez kolej żelazną: nieopodal biegła główna linia Moskwa-Leningrad, nie była więc tylko zapadłym kątem zazdroszczącym pociągom mknącym obok ich stacyjki, na której nie każdy miejscowy pociąg zatrzymywał się, wago-

nom sypialnym oświetlonym to wieczorowym pomarańczowym, to nocnym niebieskim światłem, z których wylatywały wonne niedopałki i gówno z toalet. Jedną z rozrywek był spacer do stacyjki, żeby posiedzieć tam w bufecie przy piwie, zakąsić kanapkami ze zwietrzałym czarnym kawiozem, a wypad do miejscowości Wyszni Wołoczok był już po prostu świętem, o którym wspominało się przez całe tygodnie. I tajemnicza istota pomyślała, jak z tych świąt przenieść się do innego życia, które rok po roku przemijało z wiatrem. Usłyszane w szkole słowa jednego z „twórców socjalizmu naukowego” o „idiotyzmie wiejskiego życia” zapadły jej w serce i już nic ich nie mogło stamtąd wywabić, żadne późniejsze zapewnienia o bogactwie duchowym „uwolnionego z poddańczych pęt radzieckiego chłopstwa” — w nich przewrotnie po-brzmiewało właśnie „poddańcze spętanie”, a w samym powietrzu unosiła się zapowiedź czegoś nieodwracalnego, co sprawi, że tego idiotyzmu nagromadzi się jeszcze więcej, i już się człowiek z tego nie otrząśnie.

350

Tymczasem jeszcze mogła, mimo iż pozbawiona dowodu osobistego, zdobyć się na maksimum uporu i wyprosić sobie zgodę na wyjazd, by znaleźć się na jakiejś „przodującej” budowie, jednakże przerażały ją opowiadania tych, co stamtąd wrócili; w jej świadomości budowy te nierozłącznie kojarzyły się z życiem opartym na samym entuzjazmie, życiem w brudnym i ciasnym hotelu robotniczym, zapluskwionym i zawszonym, z pijackim brzdąkaniem na gitarze o każdej porze dnia i nocy, ordynarną, szpecącą dziewczynę odzieżą i niekobiecą, ciężką pracą, pociągającą za sobą nieuleczalne babskie choroby, awanturami i

bijatykami na noże, zalecankami, gwałtami i skrobankami, które w dziewięciu przypadkach na dziesięć kończyły się zgonem. A jeszcze, opowiadano, mogło i tak się zdarzyć, że baraki budowniczych raptem otaczano drutem kolczastym i na wieżach pojawiali się strażnicy z karabinami, mający za zadanie strzec tego obozu przed owymi romantykami, którym przyszedłby do głowy pomysł ucieczki... Ile było w tym prawdy, nie wiedziała. Ale wiedziała, że żyje w kraju największych możliwości, gdzie możliwe jest wszystko.

Była też inna droga — i coraz częściej ona, dziesiętnastolatka, myślała o niej, zdając sobie sprawę ze swej wartości i wiedząc, że wartość ta z każdym rokiem wzrasta, jednakże do pewnych granic: w jakimś momencie winna osiągnąć swój szczyt, i dalej już potoczy się z górki. Moment ten należało dobrze obliczyć, żeby w sam raz spotkać tego, kto władczą ręką swą wyprowadzi ją stąd — ku swemu nieznanemu życiu. I jąta szkicować w swej wyobraźni obraz wybrańca, a ściślej tego, kto ją uczyni swoją wybranką. Nie pożałowała mu ani wzrostu, ani szerokich barów, uznała, że winien być starszy od niej przynajmniej o sześć lat — bowiem siedem byłoby to za dużo, a młodszy byłby niemal jej rówieśnikiem, rówieśnikami zaś, jak wiele dziewczyn, pogardzała; ubrała go w dowódczą bluzę z szewiotu i bufiaste spodnie, przepasała skrzyżniętymi rzemieniami, obuła w chromowe buty z ostrogami i obdarzyła dowództwem szwadronu, twarz mu przydzieliła krągłą i pełną znaczenia, głowę ogoliła „pod Kotowskiego”, a gwoli fantazji huzarskiej, po namyśle, poprowadziła nad górną wargą niteczkę wąsów. Wyszedł jej z tego wykapany Fotij Kobrisow. Zresztą, jak się potem okazało, nie

całkiem go wymyśliła, lecz pewnego razu zobaczyła w Wysznim Wołoczku na bulwarze i z miejsca jej się spodobał, toteż myśl jej pobiegła w tym kierunku, jak by tu do niego dotrzeć i sprawić, żeby nie mógł się wymknąć przeznaczonemu im obojgu losowi. I jako oręż w niełatwym tym przedsięwzięciu wybrała — pesteczki.

351

Ziemie wokół miejscowości Wyszni Wołoczok nie są tak obficie oblane słońcem, jak Ukraina, gdzie falują żółte morza słoneczników, ale jeśli tutaj ktoś już je wyhodował, to może je upłynnić szybciej i drożej niż Ukraińcy. Masza Nalicznikowa z przyjaciółkami postawiły swoje worki na wydeptanej ziemi w pobliżu stacji i nieźle im się handlowało. Nieprzerwanie, tak samo jak się łuska pestki, odmierzały szklanką i sypały: jednemu do torebki zręcznie zrobionej z gazety, a drugiemu do podstawionej kieszeni. Nie minęło półtorej godziny, a wszystko zostało sprzedane, utarg zaś umieszczony we wdzięcznych sejfach — u tej za pończochą, u tamtej za biustonoszem — udały się więc w poszukiwaniu godnego ich spożytkowania. Nie tak wiele było w tym mieście pokus — pójść do kina na film „Kafka Papierówka”, obejść się, ile dusza zapagnie, lodami, wypić aż do czkawki lemoniady, albo zakosztować jabłecznego sufletu, przejechać się na karuzeli w parku, postrzelać w strzelnicy — żeby poczuć pełnię szczęścia. Masza Nalicznikowa tymi pokusami wzgardziła. Masza Nalicznikowa pojawiła się w zakładzie fotograficznym z obrazkiem z czasopisma przedstawiającym Julię Sołncewą w filmie Aelita. Cudowna, ubrana w błyszczący hełm, marsjanka Aelita, pokochała ziemianina-bolszewika;

tęskniąca w międzyplanetarnej pustyni do swej niespełnionej i nie mogącej się spełnić miłości, spoglądała — w ujęciu trzy czwarte — z lekka w górę, a wyraz twarzy miała niezmiernie podobny do Maszy, zwłaszcza że znajdowała w nim nader pochlebne podobieństwo do siebie.

— Chciałabym tak jak tutaj — powiedziała Masza.

Odpowiedzieli jej, że bez hełmu nie będzie „tak jak tutaj”, ale Masza twierdziła z uporem, że hełm to rzecz nie najważniejsza, najważniejsze to wyraz twarzy, który ona zaraz zademonstruje.

Mistrz, podobny do starego kompozytora z rozwichrzoną, przeredzoną czupryną, zrozumiał ją i usadowił tak, by widziała się w zwierciadle. Przykrywszy się czarną narzutą podjechał do Maszy ciężką, drewnianą skrzynią, przymierzył się, eleganckim, okrągłym ruchem zdjął pokrywkę z obiektywu i odczekawszy sobie tylko wiadomą pauzę, nałożył ją z powrotem. Powiedział, że u niego wyjdzie „nawet lepiej niż tutaj”, co Masza przyjęła z drżeniem serca. Był oczarowany modelem i zawczasu poprosił o zgodę na wystawienie portretu Maszy na witrynie. Masza zgodziła się niechętnie, ale kiedy ją wypisywać rachunek, zasmuciła go, gdyż nie zechciała wstąpić za tydzień, żeby obejrzyć próbne odbitki.

352

— A co tam patrzeć? — powiedziała. — Przecież widzę — mistrza. Przyjechać nie będę mogła, wzywają mnie do Moskwy na całe dwa miesiące. Proszę lepiej przysłać przez pocztę, a mnie już wysłać, gdzie trzeba.

— Małoż to rzeczy może się wydarzyć — powiedział mistrz. —

Można na przykład mrugnąć okiem.

— Ja, kiedy trzeba, nie mrugam — odpowiedziała Masza.

Zanotował jej adres, na czym Maszy właśnie zależało: w tym krył się cały jej spryt. Tego dnia odwiedziła jeszcze trzy zakłady fotograficzne mieszczące się na tym samym bulwarze, i tam również rozstawiła potrzaski. Przynajmniej na jeden z nich dowódca szwadronu winien był się złapać. Masza nie doceniła siebie, wpadł we wszystkie cztery. Wystarczyło, że spojrzął na witrynę, a już pomylił niedbały krok, jakim spacerował po bulwarze. Sfotografowana w trzy czwarte z prawej strony, patrzyła na niego cudowna Aelita. Jej nadziemskie spojrzenie przepętnione było miłością, miłością zwróconą ku komuś innemu, kto znajdował się poza kadrem — było to i przykre, i zarazem pobudzało wyobraźnię. Z największą niechęcią odrywając się od przyciągającej jak magnes twarzy, pobrnął dalej — i niebawem natknął się znowu na twarz niezwykle podobną, tyle że jeszcze bardziej od niego odwróconą. Teraz Aelita pokazała mu swój lewy profil, który miał wyraz jeszcze bardziej wzdorczy i jakoś jeszcze bardziej z innej planety. Zresztą, po wykorzystaniu do końca tego oblicza, rozstała się z nim, by dać wyraz uczuciom ziemskim. W trzeciej witrynie ujrzał ją z odrzuconą do tyłu głową, z zamglonymi oczami; brakowało tylko odrobiny, jakiegoś pół stopnia, by powstał portret kobiety ustępującej wbrew sobie żądaniom ukochanego. Nie mógł na to patrzeć spokojnie mężczyzna, którego cała wina polegała na tym, że spóźnił się na spotkanie. Dowódca szwadronu był rozstrojony i ogarnięty przygnębiającym uczu-

ciem. Ale w czwartej witrynie pojawiła się jakaś nadzieja: ujrzał ten sam profil nachylony, z oczami wstydliwie spuszczoneymi, ze skromnym przedziałkiem w starannie rozczesanych włosach; tutaj na plan pierwszy wysuwała się cnota dziewicza, niewinność i skromność, wyraźnie dające do zrozumienia, że nie wszystko jeszcze dlań stracone...

Jął się rozpytywać, kim jest ta dziewczyna, błagał i napastował fotografów; odpowiadano mu, że oni zajmują się sztuką, a nie stręczycielstwem; nalegał, utrzymując, że jego jednostka wojskowa od dawna już poluje na tę wybitną przodownicę, której fotografię zobaczyli w miejscowej gazecie i zapłonęli pragnieniem korespondowania z nią

353

nie wytknięto mu niedorzeczności i nie polecono, by zwrócił się do tejże gazety; czerwony dowódca został właściwie zrozumiany i ci, do których się zwrócił, poszli mu na rękę — powiedzieli, że wybitna przodownica na roli i w hodowli mieszka tu i tu, a nazywa się Maria Afanasijewna Nalicznikowa.

W najbliższy wolny dzień we wsi ukazało się dwóch jeźdźców.

Pędzili pełnym kłusem, rozbryzgując tłuste, wiosenne błoto i zsiadli z koni przed chatą Nalicznikowów. Ten, który wszedł pierwszy, z czerwoną kokardą na szerokiej piersi i niteczką wąsów, zażenowany, przypomniał Maszy, przypadkowo ubranej w najbardziej odświętny strój, że Komsomoł jest patronem Armii Czerwonej, i oto oni z towarzyszem mają nawiązać kontakt z młodzieżą okolicznych wsi, i poradzono im, by w pierwszym rzędzie poznali aktywistkę Nalicznikowa. „Kłam dalej — pomyślała Masza — tak słodko kłamiesz!” Z kolei odparła obu

towarzyszom, że Komsomoł sprawuje patronat nie nad Armią Czerwoną, lecz nad odznaczoną Czerwonym Sztandarem Marynarką Wojorskową i od marynarzy, którzy, nawiasem mówiąc, znaleźli się w pobliżu na urlopie, otrzymała cały plik listów z niepoważnymi propozycjami — oddania ręki i serca, a jeśli już mówić o poważnych kontaktach, to ona wprost nie wie, kiedy znaleźć chwilę czasu na takie spotkania, nic tylko obowiązki, obowiązki... Wąsaty był wyraźnie tym wszystkim zakłopotany i zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, ale przyszedł mu w sukurs towarzysz, który zaprosił Maszę w odwiedziny do ich jednostki, ze swoją najlepszą przyjaciółką, na konną przejażdżkę, jako że te marynarki z pewnością koni nie mają. Była to chwila dla Kobrisowa niebezpieczna: Masza mogła zwrócić uwagę nie na niego, lecz na towarzysza, i byłoby to dotkliwą, a może wręcz niepowetowaną dlań stratą. Ale Masza odpowiadając twierdząco na zaproszenie, zwróciła się właśnie do niego, i uczyniła to z niejaką ostentacyjnością. Nieco później wyznała Kobrisowowi, że cała jego postawa nie mogłaby zwieść żadnej dziewczyny: miał na czole napisane, że nie przyjechał tak po prostu spotkać się, lecz przyjechał po to, by poznać swoją przyszłą żonę.

— No, rzecz jasna — powiedział Kobrisow — już cię sobie wybrałem.

— Nie — powiedziała Masza — to ja ciebie wybrałam. I wcześniej od ciebie.

Wyczyn Maszy Nalicznikowej okazał się zaraźliwy i został podchwycony. Tę samą drogę, poprzez te same zakłady fotograficzne, ale już pod przewodem Maszy, przeszła nie najlepsza jej koleżanka, lecz młodsza siostra, która została żoną owego towarzysza, również do-

wódcy szwadronu. Następnie, choć z pewnymi trudnościami, wydano jednak za mąż starszą siostrę, dwudziestoczteroletnią kandydatkę na starą pannę, której dostał się młodziutki zastępca Kobrisowa. Siostra cioteczna również pomyślnie wyszła za pułkowego naczelnika finansów, a jeszcze dalszej kuzynce w ogóle udało się niesamowicie — wydano ją za dowódcę pułkowej rezerwy konnej. Później, kiedy nastął czas niańczenia dzieci u Kobrisowów, uzyskano zgodę na to, by zamieszkały w garnizonie dwie kuzynki Maszy, najpierw jedna, a potem druga, i również nieźle je wydano za mąż — za naczelnika zaopatrzenia w paszę dla koni i za felczera-weterynarza. Z nieuporządkowanym życiem nikt stąd nie wyjeżdżał i ród Nalicznikowów coraz to mocniej usadawiał się w życiu garnizonu, a zarazem wysznie-wołodzkie zasiewy roślin oleistych miały szansę osiągnięcia rozmiarów żółtych mórz Ukrainy. Sytuacja Kobrisowa wciąż się umacniała i umacniała, więzy służbowe i rodzinne przeplatały się, i wszystkim żeniącym się Nalicznikom wydawało się, że staną się teraz jedną, wielką, nierozzerwalną rodziną. Ale nikt by nie zgotował im rozstawania bardziej nieuchronnego, niż zamążpójście za wojskowych, którzy, każdy w swoim czasie, rozjeżdżają się po różnych garnizonach i nigdy nie stazują się tam, gdzie upłynęła ich młodość.

Pamięć chciała jeszcze zatrzymać się trochę na tym okresie, kiedy była jeszcze miłość we dwoje, bez trzeciego. W swojej towarzyszce życia szczególnie cenił to, że swych zdobyczy nigdy nie uważała za ostateczne. Nie to, co inne żony, które, skoro tylko osiągały swoje, czuły się jakby wsiadły do pociągu i całe swe dalsze życie uważały za ostatecz-

nie uzależnione od rozkładu jazdy; ona zdobywała go wciąż i wciąż, nieustannie i nieprzerwanie. O ofiarowaną mu młodość walczyła od młodych lat, a nie jak wszystkie inne, dopiero wtedy, gdy spostrzegły, że coś szwankuje. Kiedy stuknęła jej tylko trzydziestka, już ogarnął ją niepokój — odmłodziła w niepojęty sposób: ostrzygła krócej włosy, przybrała nowe imię — Maja. Rzeczywiście powiało czymś majowym, wiosennym, i dała odczuć, że może być inną. Czym by go jeszcze zwa- bić? Dorównać mu — stać się silną i sprawną amazonką. I tak pojawiła się w ich życiu, zamiast trzeciego, rozkoszna cisawa trzylatka Intryga, niesforna córka Internacjonała i Rigoletty, która odziedziczyła, jak przystoi koniowi kawaleryjskiemu, pierwsze sylaby ich imion.

Uzbroiwszy się w bat do lonżowania ganiał je obie na lonży — ślicz- ną kobyłkę i piękną żonę, sam będąc w stanie źrebaczej euforii, w pełni szczęścia. Wymagał prawidłowej postawy jeździeckiej i prawidłowego

355

klusa, żeby amazonka i koń zespały się — nie w jeden mechanizm, lecz w jedno wspaniałe zwierzę, błyskawicznie na komendę zmieniają- ce szybkość i rytm. Ćwiczyli „jздę maneżową”, „jздę polową” i ten sprężysty, pełen napięcia, rączy bieg, któremu nadano długą i uroczy- stą nazwę: „marsz kawaleryjskiej dywizji w przewidywaniu kontrataku”, a na dodatek, na zakąskę, atak z obnażoną szablą „allure trzy krzyże”. Po- tem zaczęło się ścinanie witki, trenowanie ręki, z której początkowo w sposób tak bezsilny wypadała szabla, aż do chwili kiedy przestała wy- padać i wtedy wreszcie nastąpiło najtrudniejsze i niebezpieczne:

— Rzucić strzemień, ręce na bok, galopem na przeszkodę!

Z nadmiaru uczuć i żeby pomóc jej przewartościować strach, a koniowi uniemożliwić zatrzymywanie się, by zmienić nogę, smagał je długim pastuszym batem, z pistoletowym trzaskiem, starając się popaść koniowi pod brzuch, a żonę ukochaną nie po bucie, lecz po biodrze, tak pięknie, tak urzekająco unoszonym strzemieniem. Spodnie uszyła sobie sama i tak do niej ciasno przylegały, że mąciło mu się w głowie i chciało się je rozerwać. Kawalerzyści z jego szwadronu zbiegali się, by popatrzeć na takie dziwowisko, i tylko głowami kiwali, jakże to wódca swoją babę zamęcza. Ona zaś — wytrzymywała. Ale wytrzymywała z uwagą. Skoro tylko spostrzegła, że nie zawsze słusznie jej się dostaje od niego, lecz z zupełnie innych, jemu tylko wiadomych powodów, obruszyła się:

— Co ty mnie tak bez powodu smagasz? Całą już wysmagałeś!

— Cierp, skoroś tego sama chciała — odpowiedział. W dawnych czasach berajterzy wielkich książąt bili po nogach, a oni nic, cierpieli.

Zamyśliła się, zrobiła krąg i podjechała z powrotem.

— A księżne?

— Co „księżne”?

— Wielkie księżne też po nogach smagali?

— Tego to już nie wiem... Chyba tak.

— No to się najpierw dowiedz dokładnie, a potem smagaj.

Wszelako pewnego razu umęczona, wykończona z kretesem i nawet wyraźnie brzydsza, podjechała i oświadczyła mu z wysokości siodła z uśmiechem nieco smutnym i nieco zagadkowym:

— Trzeba będzie zrobić przerwę. Niedługo ojcem zostaniesz.

Tak skończyła się miłość we dwoje, bez trzeciego, który (bądź która) przerywa je na zawsze i przekształca w coś zupełnie innego. Po upływie dwóch lat tymi samymi słowy oznajmiła o drugiej córce. A kiedy przynieśli ją do domu, powiedziała ledwie próg przekroczywszy:

— Więcej nie będę rodzić. Syna, jak z tego widać, nie będzie.

Lecz również potem, i długo jeszcze, była Intryga — nie do samej starości, ale „do moralnego zużycia”, kiedy to gospodarz musiał się przesiąść na tankietkę z dwoma podobnymi do trumien pokrywami pancernymi. Doszli do wniosku, że minęły czasy rącznych koni i legendarnych taczanek strzelających do tyłu, w przyszłej wojnie potrzebna będzie tankietka strzelająca do przodu, a wkrótce — czołg z wieżą obrotową; i trzeba było się szkolić od nowa, żona zaś podzieliła jego nową pasję, nauczyła się prowadzić potwory na gąsienicach. Zmusiła się do polubienia polowań, byle tylko być przy mężu, byle tylko się nią zachwycał, jaką to ma waleczną towarzyszkę życia. W rzeczywistości zabijanie mierziło ją i do zwierzyny stale chybiała, podczas gdy do tarcz strzelniczych trafiała zawsze w czarne pola, nie niżej ósemki. Jak by to było wspaniale znaleźć się z nią w środku zimy w myśliwskim domku w lesie, sam na sam, postrzelać, powalęsać się na nartach albo po prostu tak, pobyć razem, toż to nie starość jeszcze! Sanatorium, dokąd go z pewnością wyślą, żeby był pod obserwacją, budziło odrazę i strach — już przez sam fakt, że będzie musiał obcować z ludźmi, i że każde słowo, wypowiedane nawet nocą, zostanie zanotowane. Wspominał lato 1940 roku, sanatorium dla dygnitarzy na Krymie, w pobliżu Jałty, skąd wyskrobywali ostatnich, których nie zdążyła

wciągnąć wielką maszynę do mielenia mięsa. Tam starano się wypać do dziesiątej wieczór, potem już nikt nie mógł zasnąć, podjeżdżał samochód, rozlegały się kroki po schodach, kroki po korytarzu, zbliżanie się i pukanie do czyichś drzwi, jeszcze nie do twoich, łamiący się, drżący głos tego, po którego przyszli. W takich chwilach zalegała wielka cisza, tak, że słyhać było nie tylko na piętrze, ale, zdawało się, w całym bloku sanatoryjnym. Zdarzały się pomyłki — być może nawet bez rozmysłu — zmuszano ludzi do przeżycia całej procedury rozpoznania, ustalenia tożsamości, potem coś się nie zgadzało z nakazem, imię ojca lub data urodzenia, ale obowiązkowo dopiero wraz z ostatnim pytaniem, i człowieka, który pożegnał się już ze wszystkim, co ziemskie, przepraszali za naruszenie jego spokoju i życzyli przyjemnych snów. I dla wszystkich innych, którzy już odetchnęli z ulgą, męka zaczynała się od nowa. Szli dalej korytarzem, po schodach, schodzili, szukali. Nikogo nie pytali o drogę. Nigdy się nie spieszyli. I nigdy nie odjeżdżali sami. W ciągu tego miesiąca, który Kobrisowowie tam spędzili, zwolniła się bodaj jedna czwarta wszystkich pokoi. Stały puste, nikogo

357

tam nie lokowano, ponieważ termin skierowań aresztowanych jeszcze nie upłynął.

Starał się żyć nie umierając przedwcześnie, jakby wokół nic się nie działo. Wstawał o szóstej rano, udawał się do parku, tam się gimnastykował i biegał wśród cyprysów i palm, następnie schodził ku morzu. Do morza prowadziła w dół szeroka aleja wysadzana krzakami bukszpanu, rododendronami, czerwonymi i białymi różami, i nie można było nie

okrążyć centralnego klombu, istnego kurhanu scytyjskiego, gęsto porośniętego kwiatami, na którym wznosiła się biała gipsowa postać. Za każdym razem, kiedy się do niej przybliżał, ze wzrokiem utkwionym w białe bryczesy wpuszczone w wysokie, głębokie buty, rozmyślał nad swoimi niewyjaśnionymi stosunkami z pierwowzorem. Postać zwrócona była ku budynkowi i widoczna ze wszystkich okien z widokiem na morze. Jedna ręka postaci spoczywała za brzegiem na wpół wojskowego trencza, druga była wyciągnięta ku budynkowi — w takiej pozycji Wódz nie mógł nikogo i donikąd poprowadzić, i raczej tak to odczytywano: że wzywa, by mu wyłożono na dłoń oznaki miłości i oddania.

Owego poranka, kiedy schodził do parku po szerokich schodach z kolumnadą, generał poczuł niewytłumaczalny niepokój. Aleje, po których zazwyczaj o tej porze już rozchodzili się i rozbiegali miłośnicy gimnastyki i biegów, opustoszały, cały park jakby wymarł. Potem okazało się, że kilku pensjonariuszy przerwało odpoczynek i wyjechało taksówkami do Symferopola w nadziei, że zdążą na poranny pociąg; inni pakowali walizy, pozostali nie wiedzieli, jakie wyjście jest lepsze, woleli więc poddać się losowi. Jednakże po drodze generał natknął się na jednego znajomego, również generała i również entuzjastę przedłużania pełnowartościowego życia, w piżamie i z ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Wyglądało jednak na to, że się nie kąpał, a zawrócił w pół drogi. I nie wiedzieć czemu nie przywitał się, lecz kroczył dalej nie podnosząc oczu, a zrównawszy się, powiedział cicho, nie otwierając ust niczym brzuchomówca:

— Nie idź dalej, Kobrisow.

Całe męstwo tego człowieka Kobrisow mógł ocenić, kiedy, nie rozumiejąc o co chodzi, mimo wszystko poszedł dalej i — zobaczył to, do czego się zbliżyć nie powinien, i czego w żadnym wypadku widzieć nie należało. Nieznany złoczyńca posłużył się schodami, albo też był nie lada miotaczem; w każdym razie ślady jego przestępstwa nie tak łatwo było usunąć. Każdego zaś, kogo by tutaj zastano, uznano by niechybnie za winowajcę lub współwinnego, lub — co też było naganne

358

— za biernego widza, który pochwała uczynek, a może nawet rozkoszuje się nim. Nie odwracając głowy, poczuł całą skórą policzka i szyi, że patrzą na niego dziesiątki oczu. Cały blok zamarł i wszystkie okna były zasłonięte, a za kotarami stali z głośnym biciem serca bohaterowie Perekopu i Chałchyn-Goł, zwycięzcy Kołczaka, uczestnicy przerwania linii Mannerheima.* Odwracając się powoli, jakby od niechcienia, jakby niczego takiego był nie ujrzał, pobrnął z powrotem, starając się, by krok jego nie robił wrażenia pospiesznego. Raptem uświadomił sobie, że popełnia błąd, dla upozorowania swego nieuczestnictwa należało właśnie pójść ku morzu i wykąpać się, teraz było już za późno zawracać, wyglądałoby to na podejrzaną krzątaninę. Kiedy znalazł się wreszcie w swoich apartamentach, obok śpiącej żony, jął się zastanawiać, czy się nie rozebrać i nie udawać śpiącego, gdyby zapukano, ale niczego w końcu nie postanowił, i również stał za kotarą, czując z jakiej strony ma serce, namiętnie pragnąc, żeby się to wszystko jakoś rozeszło samo przez się, zniknęło, wyparowało.

Madame generałowa obudziła się koło ósmej, kiedy należało iść na

śniadanie, i od razu poczuła coś niedobrego. Zapytała, dlaczego okna są zasłonięte od słońca, i kogo jej luby tam wypatruje. Powiedział jej, kogo i co. Więcej pytań nie zadawała, natychmiast wstała, narzuciła swój wspaniały szlafrok z oczami na pawich piórach, ściągnęła się paskiem z frędzlami i wyszła.

Wkrótce wypłynęła na dole, trzymając drabinę ogrodową, za nią dreptała babuleńka-sprzątaczką z wiaderkiem i długą szczotką z tyka.

Drabinę oparły na białym brzuchu, sprzątaczką włożyła na cokół, wspięła się po stopniach aż do białej piersi. Madame generałowa podała jej wiaderko i szczotkę, sama zaś została na dole i udzielała odpowiedzi. Miejsca bitew i zwycięstw Armii Czerwonej: linia Mannerheima — fortyfikacje na granicy Finlandii i ZSRR, miejsce krwawych walk w wojnie zimowej 1939-40; Chałchyn Gol — rzeka we wschodniej Mongolii, w 1939 wojska sowieckie powstrzymały tam ofensywę Japończyków; Perekop — właśc. Przesmyk Perekopski, łączy Półwysep Krymski z lądem. Jego zdobycie w listopadzie 1920 r. pozwoliło bolszewikom zlikwidować „białe” wojska gen. P. Wrangla i zakończyło wojnę domową w Rosji; Kołczak Aleksander W. (1873-1920) — ros. polityk i wojskowy, jeden z przywódców walczących z bolszewikami wojsk „białych”, w 1. 1918-19 „wielkorządca” Rosji, udało mu się przejąć kontrolę nad Syberią, pokonany przez Armię Czerwoną został rozstrzelany.

359

nich instrukcji. Bohaterom i zwycięzcom nie pozostało nic innego, jak przyglądać się świętokradczemu pętaniu mokrej szczotki po czole i nosie, szczególnie starannie po wąsach i pod wąsami. Następnie babuleńka wspięła się o stopień wyżej i uczyniła coś już całkiem gorszące-

go: zadarła wyżej poły swego szlafroka, i to tak niezręcznie, że ukazały się flanelowe, jasnoliliowe majtki do kolan, podtrzymywane gumkami; tymi to połamami szlafroka wytarła do sucha wszystkie skalane szczotką miejsca. Madame generałowa kiwnięciem głowy zaaprobowwała jej robotę i pomogła zejść.

Wróciła niezadowolona, zachmurzona i powiedziała, wachając czemuś ręce:

— Pasta bakłażanowa. Ot i cała historia.

I natychmiast położyła się, by dospać. Obudziła się po jakichś dwudziestu minutach i nic już z tego wszystkiego nie pamiętała. Nigdy o tym nie wspominała. Nieco później zaczął podejrzewać, że wcale nie dosypiała, lecz rozmyślała. Zastanawiała się, co o tym mówić dalej.

I postanowiła — nic nie mówić.

Ona, która ścinała końce witek nie gorzej od niejednego chłopca, wiedziała — temu nieprzewycięzonemu strachowi ulega każdy, jest on wszędzie, z dołu do góry, wisi w powietrzu, którym się oddycha, i rozpuszczony jest w wodzie, którą się pije. I z najbardziej desperackich śmiazków czyni tchórzy, co bynajmniej nie przeszkadza im pomimo tego pozostawać śmiałkami. Dla niej mąż pozostawał tym, kim był, i ona, jak przedtem, nie poddawała pod wątpliwość żadnego jego postępu, żadnego słowa. Nawet szczególnie to podkreślała — gestem, uśmiechem, mówiącym tak wymownie: „Nic z tego nie rozumiem, wiem tylko, że Fotia ma zawsze rację. Możecie mnie zabić, a ja wiem swoje: on ma rację”. Rozczułało go to, choć niekiedy też irytowało, a oto teraz wydawało się takie niezbędne. I tak wzruszał go obecnie ten

jej święty brak racji, że przepętniał do niej taką czułością, jakiej dawno się po sobie nie spodziewał, nawet pogodził się na zawsze z tym, że nie urodziła syna. I serce mu się ścisnęło na myśl, że to ona jest jedynym jego człowiekiem, który przy każdym zakręcie losu pozostanie z nim, gdzieś tam całkiem blisko, w odległości czterdziestu pięciu kilometrów, on zaś nie wie, czemu zwleka, nie spieszy do niej. W oknach jeszcze nie dniało, ale on nie wytrzymał, obudził szturchańcem swoich towarzyszy, kazał się szykować i wyruszać.

Ponurzy z niewyspania, zapewne przeklinali go w duchu i zapewne myśleli, że oto już niebawem pozbędą się go, on zaś złościł się

360

na nich, złościł się, że samochód jedzie zbyt wolno. A tymczasem wąska szosa poszerzyła się, migały młodziutki, dopiero co posadzone sosenki, jeszcze szare przed świtem, zamajaczyły wśród nich pozycje przeciwlotnicze, przeciwpancerne, ściągnięte za pobocza „jeże” z szyn, betonowe zapory przeciwczołgowe — i wszyscy czterej ożywili się, zaczęli się kręcić na siedzeniach, przeczuwając koniec drogi. I oto ujrzeli Moskwę — z góry, zza wzgórze.

— Oto i Pokłonna, bracia króliczki — powiedział generał. I dotknął łokciem kręcącego głową kierowcy. — Przyhamuj no, Sirotin.

Wygramoliwszy się z samochodu, powoli, z rękoma założonymi do tyłu, przeszedł kilka metrów ku zboczu.

To, co generał wziął za Górę Pokłonna, w rzeczywistości wcale nią nie było. Jedyny wśród nich moskwianin, ale moskwianin świeżej daty, nie wiedział, i nikt nie mógł mu podpowiedzieć, że jeszcze z pięć

czy sześć kilometrów dzieli go od tego niewysokiego i nie nazbyt widocznego wzgórza, dwieście kroków od chaty Kutuzowa w Filach, gdzie też stał Napoleon oczekując nadaremnie na klucze od Kremla. Generał zaś Kobrisow znajdował się na samym początku tego długiego i stromego zbocza wiodącego ku ubogim domkom i sadom Kuncewa, gdzie jednak po raz pierwszy czuje się niewątpliwą bliskość Moskwy. Dziś wiele się tu zmieniło, sady wyrąbano, pobiegła w bok i sama szosa, a całe zbocze i nizinę zabudowano czternastopiętrowymi domami z „wielkiej płyty”, rozmieszczonymi ukośnie względem ulicy, wyliniało-beżowymi, całymi obtupianymi po odpadniętym oblicowaniu z kafli; na każdym zaś bloku widnieje jakiś transparent z czerwonym napisem: „Wolność”, „Równość”, „Braterstwo”, „Pokój”, „Praca”, „Maj”. I nie znajdzie się już tego miejsca, gdzie jednego z ostatnich dni października 1943 roku zatrzymał się pochlapany błotem „willis”, nie uda się określić dokładnie, gdzież ona była, owa Góra Pokłonna dowódcy Kobrisowa.

A jednak była, i Moskwa dla niego zaczynała się w dole, pod krańcem ogromnej, czarno-granatowej chmury, zawisłej nad całym Kuncewem i dalszym, ledwie dającym się rozróżnić skupiskiem domów i kominów. Zapory balonowe — srebrzyste na tle chmur i ciemne, zohydżające niebo, na wąskim pasemku zorzy — z wolna wpływały w szaro-mglisty świt. Zwiastował on anemiczne słońce o poranku i smętne południe, z wiatrem i mżawką.

362

Niczego dobrego nie obiecywała generałowi stolica, gdzie doznał upokorzenia, które nie zatrze się w nieubłaganej pamięci do końca jego

dni, gdzie w ciągu jednej godziny strącono go z konia i rozdeptano w proch, gdzie śledczy z Łubianki, Opriadkin, kazał mu klęczeć w kącie i walił po rękach linijką — ot i całe tortury, ale, być może, w sposób nie tak dojmujący, nie tak rozdzierający wspominałby to, gdyby krzepcy nadzorcy we trzech stłukli go na krwawe mięso i przytrzaskiwali pałce drzwiami? Jak wypłenić z pamięci, czym wypalić pochyloną ku tobie twarz, ten cofnięty podbródek, cienkie, blade wargi, przejrzyste-lodowate spojrzenie, równy przedziałek na przylizanych żółtych włosach, głos drwiąco-przymilny i pouczający: „Fotiju Iwanowiczu, toż nie dzieciak z was, jeśli wasze czołgi podczas defilady nagle przyhamują naprzeciwko Mauzoleum — naprzeciwko Mau-zo-le-um! — to jak to nazwać w języku prawniczym? — jak? Za-mach. Na czyje życie? Nie odważcie się wymówić, a tylko wyobraźcie to sobie w myślach... Zamknięty właz oznacza co? Położenie bojowe czołgu. Bo-jo-we!" Nie łatwiej było i teraz przypominać sobie, jak, odwracając się ze swego kąta, krzychał piskliwie, jakby histerycznie: „Ale pocisków przecież nie było! Amunicji do karabinów też nie było!" I zasmucony Opriadkin, wzdychając sięgał znowu po swoją linijkę: „Słowo daję, jesteście zupełnie jak dzieciak. Przecież gdyby były uzbrojone, gdyby były pociski i naboje, w ogóle nie rozmawiałbym z wami, rozszarpałbym was na kawałki tymi oto rękoma!.. Ale diabeł z wami tańcował, podciągnę to pod artykuł dziesiąty, jako <zamiar>... No to dawajcie razem we dwójkę walczyć o tę dziesiątkę!" I przecież była odległa myśl — czy się z tym nie zgodzić, chociaż lepiej niżli ktokolwiek inny mógłby przewidzieć, jak się to odbędzie: szaro-zielone mundury nagle wysypią się

przez Niemen i Prut, a dwuogoniaste bombowce z krzyżami na skrzydłach popęzną z przerywanym wyciem nad Kijowem, Leningradem i Mińskiem, i tenże Opriadkin w swoim gabinecie „tymi oto rękoma” poda mu wyprasowaną bluzę z przyszytymi już naramiennikami, zwróci pas z ciężką kaburą, szerokim gestem wskaże na swoje biurko, gdzie opasłą tekę zastąpił koniak i okrągły, pokrojony na trójkątne kawałki tort. „Niepotrzebnie się wymawiacie, Fotiju Iwanowiczu. Ostatni przedwojenny tort”. I widać było po lodowatych oczach, z jaką przyjemnością cisnąłby ten tłusty, słodki kawałek tortu w niepokorną gębę aresztanta! Zresztą cała niepokorność aresztanta sprowadziła się do tego, że wymówił się od poczęstunku. Zamiast odszczeknąć się — wdał się w zjadliwe rozmowy. „Cóż, obywatelu śledczy, razem będzie-

362

my teraz ojczyznę ratować?” — pytał przytrzymując ręką opadające spodnie, na co Opriadkin odpowiadał spokojnie i z godnością: „Každy na swoim stanowisku. I nie jestem od tej chwili dla was obywatelem śledczym, lecz towarzyszem starszym lejtnantem. A wy, towarzyszu generale... zaraz wam przyszyją guziki, bo jeszcze opadną, nieładnie... pojedziecie do swego Komisariatu Ludowego, powierzają wam dywizję”. I nawiedziła go myśl, paląca, mściwa, bezsilna — gdyby tak spotkać się z tym Opriadkinem sam na sam na ulicy, zawlec do bramy... Ale tegoż wieczoru wypadło odlecieć — objąć swoją dywizję, która w panice oddała łołgawę i w nie mniejszej panice usiłowała ją odebrać... Teraz też nie wrócił na koniu. Znowu ogarnęły go lęk i niepokój. I irytacja — po co się tak spieszył, jakież to „święty brak racji” go pocie-

szał, czas najwyższy już patrzeć trzeźwo. Postął przy bezludnym zboczcu i wrócił do samochodu.

— Popas — oświadczył swym towarzyszom.

Wszyscy troje patrzyli na niego ze zdziwieniem. Wyjaśnił ponuro, marszcząc brwi:

— Jeszcze wcześniej, ósmej nie ma, gdzie się podziejemy? Trzeba by się doprowadzić do porządku, ogolić, do stolicy przybywamy.

— To ona? — zapytał kierowca, z uśmiechem kiwając głową w dal, w stronę Moskwy.

— We własnej osobie, Sirotin. Trudno uwierzyć?

— A do metra stąd blisko? Tak sobie marzę, żeby dwie rzeczy zobaczyć — Kreml i metro.

— Będziesz miał i Kreml, będziesz miał i metro.

Generał pierwszy zszedł z niewysokiego nasypu na polankę. Adiu-
tant Donskoj spoglądając z beznamiętną ironią na jego szerokie,
przygarbione plecy, pofałdowaną szyję, pomyślał w duchu, że ten ko-
lejny bzik ma swój sens. Pojawić się — szczególnie w danej sytuacji —
należało w całej gali i najlepiej z niewielkim opóźnieniem.

Sirotin przystanął na poboczu, wszyscy trzej wygramolili się, roz-
prostowując zdrętwiałe nogi, zapalili, i oczu nie mogli oderwać od wa-
biącej Moskwy.

Szestierikow przytaszczył z samochodu szczelnie nabite worek i
torbę przeciwgazową, wybrał miejsce jak najrówniejsze i rozścielił na
trawie pałatkę, a na niej położył stary, wysłużony płaszcz adiutanta,
który woził ze sobą zawsze na takie okoliczności. Trawa posiwiatała od

szronu i przygniatała się z dźwięcznym chrzęstem, od którego wiało chłodem. Wyjął z worka termos i wszystkie przybory do golenia, ubił

363

pędzelkiem pianę, usadowił generała na płaszczu i zawiązał mu na piersi serwetkę, następnie, sunąc dokoła na kolanach, szybko i zręcznie ogolił go do różowego połysku. Małymi nożyczkami z solingenowskiej stali wyrównał mu brwi i dał się przejrzeć w okrągłym zwierciadélku samochodowym.

Adiutant Donskoj ogolił się sam. Kierowca Sirotin pogładził się po policzkach i z golenia zrezygnował.

Słowo „popas” Szestierikow pojmował dosłownie, w sensie frontowym — rozścielił więc biały, wzorzysty obrus z chińskiego jedwabiu i położył na nim konserwy, bochenek chleba, cztery graniaste szklanceczki, manierkę z wódką i ledwie napoczętą butelkę koniaku — francuskiego, z prowincji Cognac. Butelkę odsunął zresztą jak najdalej, wydeptawszy uprzednio obcasem dołek w ziemi, żeby mocno stała i nie przewróciła się potem przy jakimś zamaszystym geście. Starannie, finką z ozdobną rękojeścią — z płytek kolorowego pleksiglasu i aluminium — rozciął dużą niemiecką puszkę marynowanych fioletowych buraczków; następnie kwadratową amerykańską puszkę, nadzwyczajnej piękności, z różowym mięsem mielonym w galarecie, otworzył specjalnym, przylutowanym do niej kluczykiem, nakręcając nań pasemko blachy, przez co po części naruszył jej piękno; na gładko wystruganej deseczce pokroił chleb i każdemu położył po niemieckim widelcu z fantastycznie lekkiego stopu aluminium, z odcisniętymi na

uchwytach orłem i swastyką. Czyżby o czymś jeszcze zapomniał?

Spostrzegłszy się, zamienił generałowi serwetkę. Po tym wszystkim, w błogim ukojeniu przysiadł, objął kolana wielkimi rękoma, żółtymi jak kartofle, z gruzełkami nabrzmiątych żył.

Generał przyglądał się jego robocie uważnie, przechylając głowę na bok, i czemuś się uśmiechając. Nagle zapytał:

— A co teraz, Szestierikow? Co zrobisz ze swoimi talentami?

Zadał to pytanie, którego Szestierikow dawno już oczekiwał, i na które miał swoją, przygotowaną, wielokrotnie powtarzaną odpowiedź, i serce Szestierikowa wyraźnie drgnęło. Wiedział, że dwa-kroć takich pytań się nie zadaje, że innej okazji już nie będzie, nie zdradził jednak swego wzruszenia, odpowiedział prosto, jakby nawet niefrasobliwie, ukazując w szerokim uśmiechu poślizgnięte od tytoniu zęby:

— Co się tyczy talentów, Fotiju Iwanyczu, to co tu już takiego szczególnego... Najważniejsze, żebyśmy żywi byli, ręce-nogi przy sobie, i żeby smutki nas omijały. — Potem dodał, westchnąwszy: — Wiele zmian bywa, i nie wszystkie na gorsze. Może jeszcze jakoś to będzie...

Donskoj spojrzał na niego przelotnie, powstrzymując uśmiešek, jak się powstrzymuje ziewanie.

— Jakie tam zmiany — powiedział generał. — No, proszę do stołu.

Wszyscy czterej przysunęli się, wyciągnąwszy nogi na trawę. Generał odkorkował koniak, nalał adiutantowi i sobie, postawił przed kierowcą i ordynansem, żeby i oni sobie nalali.

Szestierikow szybko powiedział do Sirotina:

— A my — wódeczki, co?

Sirotin wziął ostrożnie koniak, pomacał nieufnie kolorową nalepkę i wypukły deseń, spojrzął na świat przez ciemne, matowo-zielone szkło i odstawił do dołka.

— Tak, to nie dla nas picie. Szkoda trunku.

Pierwszego toastu, jak to było przyjęte w tym maleńkim kółku, nie wygłaszano głośno, lecz jedynie w myślach: był za wszystkich tych, których zabrakło, toteż pili w milczeniu i nie trącając się, następnie, przestrzegając kolejności, zaczęli wyjmować z puszek mięso i buraczki. Generał i adiutant trzymali pod widelcami serwetki, ordynas i kierowca — kawałki chleba.

Nieoczekiwanie maleńki piknik zakłóciły ciche głosy. Poboczem szosy szły kobiety — w waciakach, w chustkach, w gumowych butach, z łopatom na ramionach. Niewielka gromada kobiet rozciągnęła się na wzniesieniu, wspinając pod górę i szła na jej szczycie, omijając zapackanego „willisa” — widok czterech frontowców, którzy się rozłożyli na polance pod skłonem, a wśród nich — generała, był dla mieszkanki Kuncewa czymś zaiste osobliwym, zamilkły naraz i mijaly ich jakby nie patrząc, tylko te młodsze śmiały się i szeptały coś między sobą.

— Ach, kobietki, gwardia zaopatrzeniowa! — ulitował się nad nimi Sirotin, z lekka już zaróżowiony. — Kartofli ani chybi idą ukopać.

Ale jakie tam teraz kartofle!

— „Jakie!” — powiedział Szezierikow. — Najdroższe, ponadplanowe. Te, których we wrześniu nie wykopali. Pewnie teraz dla siebie nabiorą, a nie tylko dla państwa.

— Ten to wszystko wie! — zdumiał się Sirotin.

— Jak tu nie wiedzieć, jeśli każda niesie swoją łopatę. Sowchozowe — tam powrzucały, do budki. A swoją głębiej się ukopie.

— A nam, durniom — powiedział generał — nie wpadło do głowy, żeby do zagajnika wjechać, rozsiedliśmy się, żeby ucztować na oczach wszystkich. Ludzie przecież wygłodzeni...

365

Jedna z kobiet zatrzymała się tuż nad nimi i, zdjawszy łopatę z ramienia, jęła zawodzić zachrypniętym, przeziębionym czy też ochrypłym od palenia głosem:

— Oj, co też wy, mężczyźni, na mokrej ziemi rozłożyliście się. Toż jak nic reumatyzmu się nabawicie...

— Nie ma co się nad nami litować, matulu — Sirotin pokazał jej szklaneczkę, ponownie napełnioną — od wszystkich tych reumatyzmów to najlepsze nasze lekarstwo.

— Też mi coś, „matula”! — powiedziała kobieta. — A ja myślałam — starsza siostra. Wszystko to tylko oszustwo, to twoje lekarstwo. Tobie, młodemu, nic jeszcze nie zaszkodzi, ale wasz towarzysz generał — w podeszłym wieku, trzeba o niego dbać.

— Jaki tam znowu podeszły wiek — obraził się generał, z lekka figlarnie. — Jeszcze dwóch takich młodych mogę zastąpić.

W odpowiedzi z lekka uśmiechnęła się, dając do zrozumienia, że są rzeczy, o których jej za późno już myśleć, generał zaś powiedział do niej poważnie:

— Dzięki ci, córko. Za twoją troskę.

— Oj, i za co to dziękować! — Nagle ucieszyła się, że może czymś

pomóc tym czterem porządnie umęczonym mężczyznom. — Wiecie co, dojdźcie do budki, tam i ogrzać się można, jest stół, ławki. Z nas tam żadnej do obiadu nie będzie, możecie się czuć jak u siebie. Bo od samego patrzenia na was ciarki z zimna przechodzą.

— To nic, córko — powiedział generał. — Mamy zaprawę. Dzięki ci.

— Za to co za pejzaż! — powiedział Donskoj z lekka zaróżowiony od koniaku robiąc ruch ręką w kierunku Moskwy.

Kobieta nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Jej koleżanka — o takiej samej szarej, zapadniętej twarzy, pozostawszy w tyle, powiedziała do niej surowo:

— Coś ty się, Lubaszo, przyczepiła do ludzi, tylko ich peszysz

Ludzie dobre miejsce sobie wybrali, na Moskwę patrzą. I radia może chcą posłuchać.

— A gdzież to radio? — zapytał generał.

— A ot, tutaj! — kobieta, którą nazywano Lubaszą, znowu rozplynęła się w uśmiechu. — A ot gdzie, na słupie. Nie zauważyliście?

O jakieś piętnaście kroków od samochodu zwiisał ze słupa telegraficznego ogromny głośnik z czarną, kwadratową tubą gramofonową. 1 rzeczywiście, nie zauważyli, przegapili.

366

— Wrzasku narobi za trzy — poinformowała koleżanka Lubaszy.

— Przy kartoflach słyszymy, jak wiadomości podają. A wy sami — z frontu będziecie?

— A skąd by jeszcze! — obraził się Sirotin; dla niego wszyscy mężczyźni dzielili się na frontowców i dezertarów.

Przybrała tajemniczy | wyraz twarzy.

— A teraz odpoczywać przyjechaliście? Albo — na przeformowanie?

— Mamy swoje sprawy — odpowiedział sucho Donskoj.

— No dobra — powiedziała pospiesznie Lubasza. — Odpoczywajcie, wszystkiego dobrego.

Obie kobiety podążyły dalej zarzucając łopaty na ramię. Za nimi od Kuncewa jeszcze szły, grupkami i pojedynczo, i jedna — młodzianka, okrągłutka jak beczka w swoim waciaku przewiązanym w pasie końcami szarej chusty — krzyknęła głośno:

— Frontowcom, dziubeczkom, gorące pozdrowienie od pracujących tyłów! Jak tam, orzełki nasze, dobrze się biją?

— Ach, biją się biją, słodczy ty moja! — odpowiedział Sirotin. —

Tak się biją, że pióra lecą!

— Z naszych? Czy z fryców?

— Z naszych — ciut-ciut, a z fryców — całymi garściami!

— Wesoły z was chłop. A nie można by się tak do was przysiąc?

— O to zapytamy — Sirotin spojrzał pytająco na generała.

— Dlaczegoż by nie — powiedział generał. — A na kogóż tu czekaliśmy?

Parsknęła i spąsowiła, ale natychmiast zawstydzona, przysto- niła usta dłonią i wmieszała się w grupkę swoich.

Mężczyźni zaś, przeczekawszy, aż przejdą, wypili jeszcze za

Zwycięstwo, zakąsili i znowu wypili — za Naczelnego i poczuli jakies uniesienie od rozchodzącego się wewnątrz płynu, od zapachów roz-

grzewającej się ziemi i trawy, i od tego, że czeka na nich w dali Moskwa, stopniowo wyłaniając się spod szaroniebieskich strzępów chmur. Donskoj uniósł się na kolanach, wyjął swoją własnej roboty papierosińkę, na której szewskim szydłem wyskrobano skrzyżowane gwardyjskie bagnet i śmigło, a powyżej i poniżej rysunku — „Będziemy w Berlinie, Andriusza!” i „Zapalmy, towarzyszu, po jednym”. Wszyscy więc wzięli po jednym, oprócz generała, od którego dłońmi odganiał dym. Następowła nieuchronnie minuta milczenia, która winna była odgraniczyć pogaduszki od rozmowy najistotniejszej i poważnej, i

367

trwała ona, trwała, nikt nie ośmielał się jej przerwać, wszyscy czekali na słowa generała, i on to rozumiał, tylko nie mógł się skupić — co ma powiedzieć tym ludziom, z którymi przeżył, przewożował półtora roku, i którzy już jutro nie będą nim sobie głowy zawracać? Czy będą pamiętać tę chwilę? Czy rozumieją, czy zrozumieją kiedykolwiek, po co zrobił przerwę na ten popas, wszak inna sposobność, by pobyć razem, we czwórkę, być może, już się nie nadarzy? I jeszcze pytanie — czy aż tak bardzo pragnęli tego pożegnania? Oto siedzi jego kierowca Sirotin Wasia, mistrz nad mistrze w sztuce zdobywania i wymieniania, i równie wielki modniś: bluzę sobie skrócił tak, że ledwie ją widać spod pasa; pas ma, oczywiście, oficerski, z pięcioma czy sześcioma antabkami, na nich chybczą się: nożyk w futerałku, zapalniczka na łańcuszku, „parabellum” z długachnym, splecionym z czerwonej skóry temblakiem; naramienniki — żeby się nie marszczyły i nie wyginały — mają wstawione płytki z celuloиду; cholewy butów — także oficerskich —

wywrócone są żółtym kolorem na zewnątrz; nie dość tego, przyczepił sobie jeszcze ostrogi, trzeba było kazać mu je zdjąć, przeszkadzają wszak naciskać na pedał (zapewniał, że wcale nie). Kierowcą jest w miarę zawadiackim, w miarę ostrożnym, i samochód nigdy go nie zawiódł, ale ktoś mu nagadał, że z tym generałem do końca wojny nie dociągnie — wyczuwa się to choćby po tym, jak Sirotin spogląda na niego podczas ostrzału lub nalotu: jakby nie z nieba, nie z boku, a właśnie od niego, od generała, spodziewał się człek zguby... Oto siedzi jego adiutant, major Donskoj, w zasadzie oficer do szczególnych poruczeń niczego sobie, rozsądny i z dobrą pamięcią, tylko nadto już rozmyślający na temat: dlaczego by on sam nie miał czymś dowodzić, brygadą albo nawet dywizją, albo dochrapać się stopnia generała? Innym się przecież udało, w tę samą trzydziestkę z hakiem, dlaczego by nie jemu? A diabli wiedzą, dlaczego, nie jest przecież pozbawiony zdolności i jakiejś wiedzy, i ze zwierzchnikami ma dobre stosunki, i tak zwaną „odwagą osobistą” się odznacza, ale wciąż robi z siebie nie wiadomo co — kobiety bodajże trafniej wyczuwają, co chłop jest wart: z rudą Gałoczką z jednostki pomocniczej nawiązał elegancko platoniczny flirt, tymczasem ta właśnie Gałoczką przyprawia mu rozgałęzione rogi z dowódcą zwiadu artyleryjskiego, o czym trąbi cała armia... Oto siedzi jego ordynans Szestierikow, najbliższy mu na wojnie człowiek, wprost wściekle troskliwy, i bez którego rzeczywiście byłby jak bez ręki, ten, co zna wszystkie jego zachcianki, nauczył się stoły nakrywać i podawać wykrochmalone serwetki, zadręcza się tym, że nie naszyko-

wano białego wina do rybki lub czerwonego do mięsa. Jego marzeniem jest służyć u generała także po wojnie; trudno powiedzieć, że to całkiem nieziszczalne, nad tym i sam generał i madame generałowa zastanawiali się, ale tak jakoś wyszło, że albo wypadnie mu na pierwszą linię wracać, albo innemu tak samo wiernie służyć... Oto oni, jego bliźcy, wszystko, co jeszcze na kilka godzin zostało mu po armii, po jego pełnym zawirowań życiu, z którego wypadł, jak wypada się w biegu z pociągu. A pociąg pędzi sobie dalej, nie spostrzegłszy straty, i nie podobna jej spostrzec, nie sposób zatrzymać w biegu z powodu każdego, kto wypadł, żeby nie utracić ustalonego rytmu, żeby i bytu nie zachwiać, który tak ciężko się układał i nareszcie się ułożył. Tak, sama wojna stała się bytem — jak u tych kobiet z Kuncewa, które sadzą i wykopują kartofle wśród pozycji artyleryjskich i przeciwpancernych „jeży”, nie zauważając ich już wcale lub spokojnie wieszając na tych „jeżach” swoje waciaki i siatki. I armia wali na zachód taszcząc ze sobą swoje mody, swoje intrygi, swoje przesady, i swoją szczęśliwą, przynoszącą ocalenie umiejętność zapominania, i, niech to licha, w tym też jest swoja logika, również zawiera się w tym ta sama „niezwyciężoność”!

O tym bodaj powiedziałby, ale słowa jakoś nie napływały albo napływały puste, w rodzaju „bracia króliczki, nie wspominajcie źle” i nie przychodziło z pomocą alkoholowe natchnienie. Być może dlatego nie przychodziło, że wszystkich trzech braci króliczków wzywał do siebie na rozmowy major Swietłokow ze „Smierszu”, z pewnością wzywał, nie mógł nie wzywać, to się przecież czuje, ludzie potem jakoś inaczej patrzą, inaczej mówią — i żaden z tych trojga nie powiedział o tym

generałowi, i Szestierikow nie powiedział — oto co było najbardziej przykre, najbardziej bolesne! — on, który ongiś uratował mu życie, który tylekroć pił z nim sam na sam. Ileż wierności mu okazał, a tej próby nie wytrzymał! O, nie, nikogo z nich nie zamierzał obwiniać, i nawet do Szestierikowa szczególnej pretensji nie żywił: w czymś wi- dać sam zawiniłeś, skoro się ośmielili cię zdradzić, zacznij wobec tego > od siebie — czemu ich nie usunąłeś, czemuś przynajmniej nie oddalił, skoro to możliwe, swojej świty, czemuś udawał, że niby nic się takie- go nie stało? Toż cała historia Rosji innym torem by się potoczyła, gdybyśmy odmówili jedzenia i picia ze wszystkimi, których o to po- dejrzewamy. A może na tym by się historia ta skończyła, bo nie byłoby z kim jeść i pić. Oto, co z nami wszystkimi zrobiono. Wszakże nie o tym można by mówić przy biesiadzie, zwłaszcza — tej ostatniej. O czymże więc?

369

W wiszącym na słupie głośniku, o którym zdążyli zapomnieć, coś nagle zachrobotało — raz, drugi — dało się słyszeć skrzypienie i jakby zgrzyt piły, następnie z jego czarnego wnętrza wydobył się głos kobie- cy, podający godzinę i życzący drogim słuchaczom przyjemnego dnia oraz polecający im, by wysłuchali ostatnich wiadomości. Czarna tuba rzeczywiście była wrzaskliwa, obliczona na całą okolicę, żeby jej głos szeroko roznosił się nad zagajnikami, łąkami, wąwozami, nad sadami i pozycjami, obejmując bodajże połowę Kuncewa.

— Ja to bym chciał się o coś zapytać — ocknął się kierowca. —

Dlaczego one nazywają się „ostatnie”, te wiadomości? Słońce jeszcze nie wzeszło. Trzeba je „pierwszymi” nazywać. A ostatnie — to te wie-

czorem.

Generał zmarszczył brwi z rozdrażnieniem.

— Ty posłuchaj, Sirotin, posłuchaj. Może i nas dotyczy, rozkaz dla naszego frontu...

I ledwie to wypowiedział, zdał sobie sprawę z tego, czego tak wy-
czekiwał przez te dwie doby. Wyczekiwał, odpychając od świadomo-
ści, jak się czeka na wyrok. Pragnął usłyszeć i bał się usłyszeć — kto
teraz stanął na czele armii? Kto ją dalej poprowadzi, ku nowym zwy-
cięstwom i ofiarom?

Głos, który wychlusnął z czarnej tuby, był teraz męski, gardłowo-
aksamitny, pełen zatajonego do czasu triumfu:

— ROZKAZ WODZA NACZELNEGO...

Kobiety kopiące kartofle rozprostowały grzbiety i zamarły opie-
rając się o łopaty. W parku artyleryjskim, uniósłszy głowy w hełmach,
słuchali artylerzyści z obrony przeciwlotniczej.

DLA GENERAŁA ARMII WATUTINA...

Chuchając koniakiem przysunął się Donskoj, by szepnąć: „Zgadli-
ście!”, ze zdziwieniem popatrzyli Sirotin i Szestierikow. Generał wszy-
stkim odpowiedział kiwnięciem głowy i słuchał nie podnosząc już oczu.

— ARTYLERZYSTÓW GENERAŁA-PUŁKOWNIKA SIERAPIO-

NOWA... LOTNIKÓW-SZTURMOWCÓW GENERAŁA-LEJTNANTA

GAŁAGANA... STRZELCÓW i CZOŁGISTÓW GENERAŁA-LEJT-

NANTA KOBRIOWA...

Sam oszołomiony, nie widział, jak wybałuszyli na niego oczy or-
dynans i kierowca, jak uniósł się na kolanach adiutant poblady ze

wzruszenia. A głos zanikł na dłuższe mgnienie i powrócił z nową mocą, zagrział jak dźwięczna trąba, majestatycznie i radośnie w zimnym, żółtawo-niebieskim powietrzu:

370

...U SCHYŁKU DNIA NASZE WOJSKA PO DECYDUJĄCEJ BITWIE, PRZEZWYCIĘŻYWSZY ZACIĘTY OPÓR PRZECIWNIKA I DOKONUJĄC OKRĄŻENIA, ZDOBYŁY MIASTO I STACJĘ KOLEJOWĄ...

Jeszcze pauza, malutka i przeciągła, jak westchnienie przed biegiem, jak zamieranie przed skokiem z wysokości...

MY-RIA-TINL

Oto jak prosto — i zarazem uroczyście — wymówiono, rzucono w przestrzeń to najtrudniejsze w świecie słowo. I, jakby od razu wy-czerpał się zapas sił, uniesienia, głos osiadł na spokojnych nizinach, nawet odrobinę zmatowiał:

— PRZECIWNIK PONOSZĄC CIĘŻKIE STRATY, POZOSTAWIWSZY NA POLU BITWY TYSIĄCE ZABITYCH I RANNYCH, DZIESIĄTKI I SETKI CZOŁGÓW, ARMAT I INNEJ TECHNIKI BOJOWEJ...

— No, a juźci, setki! — powiedział Sirotin. — Pod względem techniki zawsze zalewają. Niechby dziesiąteczki — i to chwała Bogu...

Adiutant Donskiej syknął na niego.

...ODRZUCONY NA JEDENAŚCIE KILOMETRÓW I WYCOFUJE SIĘ W KIERUNKU...

— Po szturmie — zauważył adiutant, przysuwając się, boleściwie uniósłszy brwi. I znowu cały zamienił się w słuch.

Generał w milczeniu kiwnął głową: tak, słyszał. Tak, po szturmie.

I — „dokonując” okrążenia. Co miało znaczyć to „dokonując”, a nie „dokonawszy”? W głowie potężnie mu szumiało, i dalekie domy Moskwy, które widział stąd, zdawały się nie istnieć naprawdę, ale jakby namalowane na ogromnym chwiejącym się płótnie. Głos zaś, huczący w uszach, jakby dolatywał, nasilając się, z na wpół ciemnej chłodnej głębi marmurowej sali. I nie ulec jego entuzjazmowi było niepodobna, myśleć inaczej — dziko, bluźnierczo.

...NADAĆ NAZWĘ „MYRIATYŃSKICH” I NA PRZYSZŁOŚĆ

TAK JE NAZYWAĆ... — rozkazywano jesiennemu zachmurzonemu niebu i zziębniętej, usypanej żółtymi liśćmi ziemi. — NAGRODZONA ORDEREM KUTUZOWA DRUGIEGO STOPNIA SZÓSTA MYRIATYŃSKĄ GWARDYJSKA DYWIZJA STRZELECKA... NAGRODZONY ORDEREM CZERWONEGO SZTANDARU STO DZIESIĄTY SAMODZIELNY MYRIATYŃSKI PUŁK SAMOBIEŻNYCH DZIAŁ...

Wybrano i zastosowano ten właśnie wariant, który powstał od razu po przeprawie, a zamyślony został jeszcze wcześniej — być może na promie, który przecinał Dniepr, i który on sam przed sobą krył, kie-
372

dy wyjaśniło się, jaką groźną nowość kryje w sobie Myriatin. Jakże potem nie chciało się tego okrążenia! Jakże żałował wysuniętych nieopatrnie klinów, marząc o tym, by je po cichu wciągnąć z powrotem, niczym jakiś rak czy krab, który instynktownie wyciąga ściśnięte klebszcze, i suszył głowę sztabowcom, że przedwcześnie, że szkoda na to czasu, że jest cel ważniejszy, że trzeba jeszcze się zastanowić, to i owo

poprawić, nim się przedłoży „decyzję dowódcy” do szczegółowego rozpracowania. I w rezultacie nie poprawił, nie powrócił doń, przeciwko własnemu zamysłowi występował z oślim uporem na tej naradzie w Spaso-Pieskowcach. I oto zastosowano ów porzucony w pół drogi wariant, komuś tam w pośpiechu wpadł pod rękę, i już niczego nie można zmienić, żadnego życia utraconego zgodnie z tym planem się nie przywróci... Podczas paury słychać było, jak szeleści papier na biurku spikera, ale drugi szelest rozbrzmiewał w uszach generała, kłujący serce trwogą — szelest świerkowych maskujących szerokich gałęzi, jeszcze szarych we mgle przed brzaskiem, spadających z pancerzy czołgów, kiedy przed poderwaniem się jednym susem z ukrycia dowódcy poruszają wieżami w prawo i w lewo, sprawdzając zwrotność mechanizmów. Z rykiem i świstem przemknęły „garbate”* — nisko nad okopami, nie troszcząc się o uszy oniemiałej piechoty, chroniąc przed „messerami” słabe swe podbrzusza. Nadszedł ten moment bezsilności, kiedy wszystko, co powinno i mogło być zrobione, znalazło się już w innych rękach — i teraz w trzech czwartych czy w dziewięciu dziesiątych niczego nie jest w stanie zmienić. Pochyliła się ognista gardziel — i odlewacz cofnął od formy, do której polał się roztopiony metal. Teraz wszystko zależało od woli setek i tysięcy, od ich pragnień lub niechęci, od czyjejś śmiałej zuchwałości lub tchórzliwej ostrożności, od czyjejś roztropności lub fajłapowatości, ale najbardziej — od malutkich, szarych postaci rozsypanych na białym całunie śniegu. Była jeszcze późna jesień, i żadnego śniegu tam, pod Myriatinem, nie było, ale generał tak to widział, jak w pierwszych ofensywnych bojach pod Wo-

roneżem — maleńkie, szare postacie na białej z lekka pofałdowanej równinie. Biegną, biegną ogłuszając pole przeciągłym „A-a-a!” — i padają, i natychmiast odpełzają na bok, by w innym miejscu powstać po kilku sekundach. Ale odpełzają tylko żywi, martwi nie mogą sprostać Samoloty szturmowe „Ił-2”.

372

I

temu wymogowi regulaminu, po prostu padają i leżą... Co oni wiedzieli, co zdążyli usłyszeć o jego sporze z Watutinem, z samym Żukowem, o tym, dlaczego ich dowódca porzucił armię, i jaka operacja jest droższa, a jaka tańsza? Ale oto artyleria przeniosła ogień o dwieście kroków do przodu i rakietą wezwała ich na pozycję ataku — ach, jak ciągnie na powrót do okopów, do ich przytulnej głębi, jak trudno unieść się nad blindażem, jak z góry litują się nad tobą niewidzialne osy! — lecz na gwizdek plutonowego poderwali się i poszli, poszli, poszli po bagiennym, wyboistym polu, przeskakując przez leje po minach i przez zwoje drutów kolczastych, przecięte tej nocy rękami saperów, czując zimno w podbrzuszu, i rozgrzewając się krzykiem, wszystkimi siłami tłumiąc strach przed śmiercią, przed bólem, okaleczeniem... I uczynili go tym, kim był teraz — dowódcą armii odbierającym komunikat o zwycięstwie.

Nie widział ich twarzy, a jedynie karki pod hełmami i uszankami, jedynie plecy i ramiona pod szarym suknem, podskakujące w biegu. Żadnego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć, i nie stanowiło to żadnej pociechy, iż nie dane było to dowódcy armii, który nie może zoba-

czyć swojej armii porzucanej na wiele wiorst po chutorach, wsiach i nawet miastach, tak jak może dowódca batalionu ujrzeć od razu cały swój batalion; nawet dowódca pułku widzi swój pułk, choćby na paradzie. I jak w ogóle wyobrażał sobie tę czy inną jednostkę, to lub inne zgrupowanie? Przede wszystkim widział twarz dowódcy, słyszał jego głos, no, jeszcze dowódcy sztabu, kilku jeszcze oficerów — jak jadł u nich obiad, i czym go nakarmili, a potem już — milcząca piechota, zamaskowane działa, pokryte gałęziami czołgi...

...MOSKWA ODDAJE SALWĘ HONOROWA NA CZEŚĆ BOHATERSKICH WOJSK — rozległo się z tuby — DWANAŚCIE ARTYLERYJSKICH SALW ZE STU DWUDZIESTU CZTERECH...

— No, poskąpili — nie wytrzymał Sirotin.

Donskoj znowu na niego syknął.

„I NADAĆ IM NAZWĘ” — dźwięczało jeszcze w uszach generała. Siedział na płaszczu z pochyloną, ociążałą głową, a tymczasem szare postacie dotarły już do okopów pierwszej linii, skaczą z rozwalonych blindaży na tych, którzy zdążyli wrócić po ostrzale artyleryjskim, i z przekleństwami, chrzęstem i zgrzytem walczą tam, dokonując swych przeklętych męskich spraw. Nie słyszą siebie, jakże mają usłyszeć ten głos rzucający słowa tak dźwięcznie obwieszczające z triumfem o najwyższej nagrodzie:

373

— „I NADAĆ IM NAZWĘ”...

Padął z wysokości i uderzał o ziemię, jakby odkruszając złote bryłki — cenę ich zmęczenia, strachu, obłądnego pragnienia pozosta-

nia przy życiu, gorącej męki ran od kul, bagnetów, ran kłutych, ciętych... jakież jeszcze bywają rany? — cenę ich złowrogiej nienawiści do wroga, który potrafił się opamiętać i wrócić do okopów i przyjąć ich ogniem skoncentrowanym, skrzydłowym, skośnym..., i jakie tam jeszcze bywają ognie? Potem wszystko ucichło, nie słychać było nawet szelestu. Jednakowoż głos powrócił. Z nową rzeźkością spiker mówił o nagrodach i awansach, i generał—jakby przez watę — znowu usłyszał o sobie, a raczej poczuł na plecach jakiś dodatkowy ciężar, a na piersi — lekkie pieczenie od przypiętych do munduru odznaczeń. Wszystko to trzeba było jakoś przemyśleć i jakoś przymierzyć do siebie, jakby Bohaterem i generałem-pułkownikiem został nie on, Kobrisow, sie izący na rozpostartym płaszczu ze szklaneczką w ręku, a ktoś inny, stojący teraz na wzniesieniu, nad zadymionymi, zaczadzonymi polami bitwy, niczym nad upstrzoną strzałami mapą...

Nie od razu poczuł, jak Donskoj ujął jego dłoń ze szklaneczką i nalewa mu z butelki.

— Towarzyszu dowódcu, chcemy za was... Pozwolicie? — mówi! to bodajże już po raz trzeci, patrząc z zachwytem i oddaniem. — Ja bym dodał — za perspektywy. Za generała armii Kobrisowa. Za dowódcę frontu. Mówię to całkiem poważnie.

Sirotin i Szestierikow siedzieli z jednakowo otwartymi ustami, na ich twarzach błędziły jednakowe błogie uśmiechy.

— Trzeba by za orlęta — powiedział zasępiiony generał. — Za tych, co życie oddali, ale zapewnili zwycięstwo.

Sirotin i Szestierikow z lekka nasrożyli się i pospiesznie nalali so-

bie z manierki.

— Tym samym i za was — powiedział Donskoj z naciskiem.

— „Tym samym"!.. A co my mamy do tego?

Oczy adiutanta przybrały surowy wyraz, pojawił się w nich metaliczny odblask.

— Cudzego nie bierzemy, towarzyszu dowódco — powiedział stanowczym głosem, unosząc szklaneczkę. — Proszę wybaczyć, mam swoje zdanie.

W jego surowych, w jego pełnych oddania oczach generał mógł jednakowoż wyczytać dręczącą, gorączkową pracę myśli: „A rzeczywiście, co my mamy do tego? I któż to go do spisu włączył? Watutin —
374

ze względu na dawną przyjaźń, na pożegnanie? Albo — sam Żuków, jako odstępnę? A może? Nie, to niemożliwe. Niemożliwe, żeby Naczelnny wszystkich pamiętał! To raczej po prostu — mechanizm zadziałał. Pókiśmy tu dwie doby się wlekli... Ach, jak świetnie zadziałał! Zdjąć jeszcze nie zdążyli, nie uzgodnili, nowego jeszcze na czele armii nie postawili... A Moskwie — co tam? Moskwa tylko patrzy — czyją jest Armia? Kobrisowa? A więc gwiazdę mu na pierś, temu Kobrisowowi. I na naramienniki, za jednym zamachem. A co, może nie wiemy, jak się to robi? Zresztą, być może, nie o tym myślał adiutant Donskoj lub nie tylko o tym, a jeszcze i o tym, jak teraz przedefiluje po dywanach Sztabu Generalnego — nieco za generałem i nieco opodal, wszystko pozostaje tak jak przedtem, nic się nie zmienia, twarz i chód ten sam, ale sens — zupełnie inny!"

— Za orlęta — powtórzył generał tonem rozkazu.

Adiutant Donskoj pochylił głowę, podpoprzędkowując się z widoczną niechęcią. Wszyscy wypili i jęli gmerać widelcami w puszkach.

— Czyli powiadasz, że mechanizm dobrze zadziałał? — zapytał generał z uśmiechem. Oczka jego spod gęstych brwi błysnęły figlarnie i złośliwie.

Donskoj zamął z kęskiem w ustach, na policzkach wystąpiły jaskrawe plamy. I patrząc na jego zakłopotane oblicze, które utraciło swą rzeźbioną wyrazistość, generał poczuł, jak jego samego ogarnia fala groźnej wesołości, mściwej radości, piekającej aż do łez, ogarnia go i ponosi.

— Przestań się szamotać, Donskoj, przestań! — Poklepał adiutanta po ramieniu, aż temu omal nie trzasnęło w krzyżu. — Masz rację: bierzemy swoje! Należy się czy się nie należy, niech no ktokolwiek choć słówko powie! Kichamy na to z wysokiej góry! Za ten Myriatin jeszcze pójdziemy w tany, no nie?

Wyjął spod kołnierza serwetkę. Szestierikow z radosnym uśmiechem rzucił się ku niemu.

— Dajcie, Fotiju Iwanyczu, zamienię. Odrobinę zapaćkaliście galaretką.

— Daj mi spokój... z tą twoją galaretką!

Pochrzakując, czerwieniejąc na twarzy, generał wstał. Szestierikow i adiutant zerwali się również i podtrzymali go pod łokcie. Wyszarpnął się, i, zmiętosiwszy serwetkę w pięści, pogroził tą pięścią komuś tam w górze, w przestrzeni.

— Kichamy, powiadam! Ot, co najważniejsze... Z wysokiej góry!

„Ani chybi w samej rzeczy ma zamiar pójść w tany?" — pomyślał adiutant Donskoj niemal z przerażeniem. — „Jeszcze go, diabła wcielonego, szlag trafi."

Generał, przy tupnąwszy, machnął serwetką i zaśpiewał ochryplym, nieodkaszlniętym barytonem:

Ach, uciekliśmy przed przeklętą pogonią,

Więc przeeesłań, o radość ty moja, tak drrrzyć!

Nas nie zaaawioda wwwierne koniki,

Wrrronych koników — nie dogna i śmierci..

Jego trzech towarzysze stali na baczność, nie wiedząc, co z sobą robić; tymczasem zwrócono już na nich uwagę — podchodzili żołnierze, pozostawiając swoje działa przeciwlotnicze, podchodziły nieśmiało kobiety z ogrodów, wetknąwszy w ziemię swoje łopaty, przyhamowywali przejeżdżający kierowcy — i wszyscy patrzyli, jak masywny, słusznego wzrostu generał płąsa przy rozpostartym obrusie z napojami i zakąskami i wymachuje nad głową serwetką.

Wyścieleń moją bryczkę dywanami,

W grzywy końskie wstążki zaplotę,

Rrrruszę w cwał dzzzwonięć dzwoneczkami

Ciebie, miła, porywając w locie!..

Adiutant Donskoj patrzył na niego przygryzając wargi z irytacją, czując w duszy dziwne przygnębienie. Nie chodziło o to, że było mu nadto niezręcznie z powodu generała, to jeszcze pół biedy, ale nagle poczuł, że on sam by, płasający i przyspiewujący przy szosie, z całym

swym zapałem, wyrazistym rzeźbionym profilem, delikatnymi, „pełnymi woli” ustami i zimnym błyskiem oczu o „metalicznym odcieniu”, wyglądał całkiem nie do przyjęcia, wręcz niesamowicie, i nigdy by kobiety te, żołnierze, kierowcy nie patrzyli na niego z takim promiennym uśmiechem, jak patrzyli na te osiem pudów... czego? Nie mógł tego teraz sformułować, czego, ale, mój Boże, jakie to wszystko stało się raptem nieważne — i to, co im teraz zaśpiewają w Sztabie Generalnym, i jak będą wyglądać obaj przed tamtejszymi oficerami, kiedy przemaszerują razem po dywanach, a nawet, co powie, jak się o wszystkim dowie, ruda Gałoczek z jednostki pomocniczej...

376

Z wściekłą szybkością przygnał od strony Możajska „studebacker” z postawionymi na sztorc burtami, załadowany brukwią, i zatrzymał się jak wryty. Kierowca, żołnierz około czterdziestki, spuścił szybę, długo przyglądał się, co się tu dzieje, potem zawołał wesoło kiwając głową w górę, wskazując na czarną tubę, z której płynął teraz zwycięski marsz:

— Co bierzemy, kobitki? Czyżby Predsławi?

— Jakiś Myriatin — odpowiedziały kobiety.

— Że co? — przystawił do ucha zwiniętą w trąbkę dłoń. Może był głuchawy, a może przeszkadzał mu wyjący silnik.

— Myriatin! Wyczyść sobie uszy!..

— Siatin? — zapytał ponownie kierowca „studebackera”. — Ładne miasto Siatin. Wprawdzie nie byłem, ale słyszałem. Wystuchał marszu i znowu krzyknął: — Drobiazgi świętujemy! A jak Charków

oddawano — kto pamięta, kobitki? Jedna linijka była w gazecie!

Generał nagle zamarł z otwartymi ustami. Ciężko dyszał, twarz zalewał mu malinowy gniew.

— Ja ci zaraz dam „drobiazgi"! — Wdrapał się na górę, ku szosie.

— Ja ci zaraz pokażę „Siatin"! Strateg się znalazł, Rokossowski, Napoleon... Zastraniec! Przedstawił jemu dawaj. A na Berlin, szczurze tyłowy, chęćka cię nie bierze?

Kierowca na widok gramolącego się ku niemu z dołu generała, z serwetką w ciężkiej pięści, zamarł i robił się coraz bledszy. Jakby sama przez się, drżąc uniosła się ku skroni dłoń. Jakby sam z siebie „studebacker" łagodnie ruszył z miejsca i z wściekłym rykiem zjechał ze zbocza.

— A to ci łobuz! — krzyczały mu w ślad kobiety, ogarnięte nagłą złością na tego durnia, który zepsuł im święto.

— Dezerter!

— Żeby cię szlag trafił!

— Żebyś, cholero, całe życie tylko brukwią się żywił!

Generał, który wydostał się wreszcie na asfalt, splunął w ślad za „studebackerem", niewidocznym już za stromizną. I, jakby mu tylko na to sił starczyło, nagle oklapł, obwisł, głośno zasapał, zaryczał jakby z bólu.

— Orląta moje! — Wszystkie żale napłynęły na niego jednocześnie, od łez pociemniało mu w oczach, wytarł je serwetką. — Ach, wy moje orlątka...

Dlaczego taki smutek go ogarnął, tak nieznośnie ciężko na duszy?

Z powodu tego kretyna z tyłów? Czy może dlatego, że bity po rękach

nauczycielską linijką klęczał z nosem utkwionym w kącie, i tego się nigdy nie zapomni i niczym nie odkupi? Czyżby nigdy, niczym?... Stał samotnie po środku szosy, nikt nie ośmielił się do niego blisko podejść, on zaś patrzył ponad głowami na obłok, z wolna pełznący w stronc,¹ Moskwy, pobrużdżony szaro-liliowymi zawijasami, a u dołu pozłocoty skrajem wschodzącego słońca. Obłok zmieniał swoje kształty, to wyraźnie przypominał wyniosłą głowę wielbłąda z obwisłą wargą, to znowu żurawia z wyciągniętą szyją oraz rozpostartymi skrzydłami, i nagle obłok uśmiechnął się, najwyraźniej uśmiechnął złośliwym uśmiechem Opriadkina. Tym samym oślizgłym uśmiechem lodowatych oczu, z jakim wyciągał na talerzyku tłusty, słodki kawałek tortu. „A jednak cisnęli ci ten tort w gębę” — powiedział do siebie generał. I rzeczywiście, zupełnie jak wtedy, miał przedsmak obrzydliwej słodczy w ustach, spełzających z nosa i podbródka lepkich kawałków kremu. — „Smakuje? No to jedz sobie na zdrowie!”

Raptem przypomniały mu się jego przecucia, że z tym Myriatim nieuchronnie wiąże się coś dlań fatalnego — być może nawet śmierć, i będą jego kosteczki spoczywać gdzieś tam na jakimś skwerku miejskim, pod obeliskiem z dykty — zdaje się, że tak właśnie, po śmierci Opanasienki w Biełgorodzie, chowano generałów? Ale nic takiego fatalnego nie wydarzyło się, pogrzebowy karawan zboczył / ostatniego szlaku, strachy nie ziściły się — cóż one właściwie znac/.<i, wszystkie te nasze przecucia? — przeżył przecież. Nie pomyśleli < > tym ci, którzy go odsunęli od armii. Nie pomyśleli, w jaki sposób wy-

szedł cało z tej przeprawy, gdzie po stokroć mogli go ustrzelić niczym kaczora. Czemuż to wydawało mu się konieczne, żeby ci, którzy wry wają nam kęs z ust, zastanawiali się jeszcze przy tym, w jaki sposób on się tam dostał. Ale znalazł się jednak ktoś, nieznaną sędzią, kto dojrzał. i) cały łańcuch jego upokorzeń i rozerwał go swoją interwencją, postarała się naprawić to, co można było jeszcze naprawić. Mogła w rzeczy samej zadziałać „maszynka”, ale mógł też i sam Naczelny dojrzeć, docenić, że nie na Myriatinie, prowincjonalnym miasteczku polega istota, a na przyczółku Myriatińskim — owym kluczyku nie do jednego tylko. Przedstawia, ale, być może, do całej prawobrzeżnej Ukrainy, i podkreślił jego nazwisko — żółtym paznokciem czy też ustnikiem fajki: „Jest taka opinia, że w stosunku do towarzysza Kobrisowa popełniono coś w rodzaju niesprawiedliwości. Właściwie tę opinię podzielam. Nic można tak szastać ludźmi. Tym bardziej że jest, jeśli się nie mylę, generałem-pułkownikiem. Bohaterem Związku Radzieckiego. A może się

378

mylę?” Owszem, mogło być i tak. No i cóż z tego, jeśli to nawet on Sam? „A tylko to — powiedział do siebie generał — że zamiast jednego kąska, podrzucili dwa...” Czemuż to tak późno wszystko do nas przychodzi, tak beznadziejnie późno! Choćby nawet przywrócili mu armię — czyżby pozostał tym samym, kim był przedtem? Nie do naprawienia jest żadne zło — i nikogo nie pozostawia takim jak przedtem. Adjuvant Donskiej, który w ślad za generałem wdrapał się na pobocze szosy, obserwował go nieodstępnie, ze zjadliwym uśmiechem na cienkich wargach. W rzeczy samej warto było nadążyć za tymi dzi-

wacznymi przemianami: dopiero co generał płasał i śpiewał, a teraz oto podszedł do słupa, stał samotnie pod ryczącym głośnikiem, opierając się ręką o słup, z opuszczoną głową, bez czapki. Wiaterek wicherzył mu rzadkie włosy, wyglądał nieszczęśliwie. „Przeholował nieco” — określił to Donskoj. I sformułował zgodnie ze swym zwyczajem: „Osiem pudów niewytłumaczalnego smutku”. A najbardziej nurtowało majora Donskoja to, że generał dał powód kobietom i żołnierzom artylerii przeciwlotniczej, by zgromadziwszy się wokół samochodu, głośno wypowiadali się na jego temat.

Kobiety zrozumiały generała po swojemu. Niektóre zgodnie zapłakały i ocierały łzy końcami chustek, inne tak tłumaczyły sobie i pozostałym:

— Biedaczek, jak mu żal swoich synków!..

— Co za los — wszystkich od razu...

— Chyba w jednym czołgu spłonęli.

— To dlaczego tak płasał?

— Toż im wszystkim Bohatera dali. Potem dopiero pojął, że po miernie.

Dalej w oczach adiutanta nastąpiło coś doprawdy nie do pomyślenia: jedna z kobiet ośmieliła się jednak, podeszła do generała, i, ująwszy go za rękaw, jęła pocieszać, że nie jest wcale taki stary, żona mu urodzi jeszcze dwóch czy trzech, a on jej odpowiadał, że kicha na to wszystko z wysokiej góry, ale że ludzie to nie pociski, trzeba ich oszczędzać, każdego szkoda.

— Jeszcze jak szkoda! — odpowiadała kobieta ze łzami w głosie.

— Za to naród o nich nie zapomni, pomnik im wszystkim postawi...

Dłużej adiutant Donskoj nie mógł tego wszystkiego znieść.

— Szestierikow! — zawołał. — Idź do niego i przyprowadź.

— Dlaczego ja? — zapytał Szestierikow. — Wam przecież bliżej.

379

Donskoj zauważył, że to właśnie ordynans jest bliżej od generała,

ale powiedział coś innego:

— Ja jestem przy dowódcy do ważniejszych spraw. A ty odpowiadasz za jego stan, za stan fizyczny. I wiesz, jak się z nim obchodzić.

— Gdybym to wiedział! — warknął Szestierikow. — A cóż to, każdego dnia gwiazdy na niego spadają?

A jednak polazł na górę.

Kobieta nieśmiało cofnęła się i odeszła dalej. Generał poczuł, że ktoś wyciąga mu z ręki serwetkę, uniósł głowę, zobaczył Szestierikowa, patrzącego na niego ze smutkiem i wyrzutem.

— Fotiju Iwanyczu, chodźmy, niedobrze wam tutaj.

— Niedobrze? — Oczy generał miał mętne. — Chcesz powiedzieć, że niedobrze ze mną?

— No, toteż...

Rzekłszy to, Szestierikow poczuł, że władza jego, malutka, ale odczuwalna władza ordynansa nad swym zwierzchnikiem, bogiem, znalazła się na samej granicy, którą strach przestąpić. Generałowi zaś przypomniało się mimowolnie, jak tańcząc nagle natknął się na to smutne i pełne wyrzutu spojrzenie swego ordynansa:

— Co, na kościach tańczyłem?

Szestierikow poruszył, jakby z zimna, ramieniem i nie odpowiedział.

— A ty — zapytał generał — zawsześ ze mną taki... szczery?

Szestierikow natychmiast zrozumiał, o czym i o kim on mówi, i opuścił wzrok. I z tego generał pojął, że tak, było coś takiego, jakieś poufne rozmowy, które oddany mu człowiek przemilczał. Nie sposób zresztą było nadto się pomylić — u tegoż Opriadkina czytał zeznania swojego dawnego adiutanta, byłego kierowcy, byłego ordynansa składowane przed pracownikami wydziału specjalnego w jego dywizji, niedługo przedtem nim go aresztowano — po zdemaskowaniu Bliicher. Nikt nie odmówił składania zeznań o „ukochanym dowódcy”. Nikt, co prawda, szczególnie nie obciążał go, nawet starali się, każdy w swoim swego rozumienia, jakoś go osłonić, ale żaden z nich nie poinformował go też o tych rozmowach. Cóż to z nas za naród — myślał generał. I niedobre słowa cisnęły się na język: „Komuż teraz złożysz raport, jak się tutaj sprawowałem? Twój major Swietłokow—gdzież się on teraz, podziewa?” Ale Szestierikow miał wygląd tak przygnębiony, że z wypowiedzeniem tych słów — zaiste, nieodwołalnych — powstrzymał się. Czyż można było całkiem zapomnieć, jak ten sam człowiek, który

380

wpadł w sieci doświadczonego, zahartowanego „smierszowca”, zresztą nie wiadomo jeszcze, na ile się w nich zaplątał, i nie wiadomo, co i jak odpowiadał podczas tych rozmów, jak tenże człowiek w czterdziestym pierwszym, nie tak daleko stąd, w pobliżu wsi Pieriemierki, podówczas jeszcze nieznanemu, dopiero co napotkanemu, walnął się obok w

krwawy śnieg, sam jeden się ostrzeliwał, wytaszczył, od niechybnej śmierci uratował, a mogło być — i od niewoli, od losu tegoż Własowa?

— Wybacz, jeśli coś nie tak powiedziałem, Szestierikow. — Generał poczuł się tak, jakby te słowa wymówił. — Wybacz, bracie...

— Fotiju Iwanyczu! — Szestierikow z płonąca twarzą skłonił się ku niemu. — Ciągle się zbierałem i nijak... Opowiem wam, jak to wypadło...

Generał chciał go odsunąć ręką, ale zmarszczył się tylko.

— Nie trzeba — powiedział potrząsając głową. — Nawet słuchać nie będę. Na co mi to? — I powtórzył: — Wybacz, bracie.

Zamroczenie od alkoholu napływało i odpływało falami, i w głowie w żaden sposób się nie układało, co się wokół dzieje i dlaczego.

Kierowca Sirotin, który nie mógł usiedzieć sam w dole na pałatce, wspiął się z manierką w rękę do samochodu, wgramolił się na swoje siedzenie, wywaliwszy nogi na asfalt, i każdemu, kto tylko chciał, nalewał do zakrętki.

— Kobiety i dziewczyny! — wrzeszczał Sirotin zagłuszając radio.

— Piękności wy moje! Prawdę wam powiem: na wojnie — wszystko jest jak w życiu. Jednemu mogiła, drugiemu łzy, a trzeciemu oznaka honorowa na pierś. Toteż należy wypić za wszystkich!.. Wypijmy i wszystkie swe siły oddajmy dla frontu. Wszystkie siły!...

Adiutant Donskoj jak słup sterczał samotnie na poboczu, z ironiczną wzgardą wykrzywiając usta, ale nie spieszył z wtrącaniem się.

Jakaś babula, drobniutka i ciemnowłosa, w rozchełstany waciaku nie na jej miarę, błyskawicznie wstawiła się, tańcowała, przytupywała ogro-

mnym buciorem, głośno pokrzykiwała, raz wpadając w takt brawurowego marsza, to znowu celowo kręcąc się ni w pięć, ni w dziesięć. Babula /, całych swoich maleńkich sił starała się bardzo wszystkich rozweselić, rozśmieszyć — i najwyraźniej jej się to udawało: chłopcy z baterii przeciwlotniczych, spieszący się kierowcy, kobiety z ogrodów, przegradzając szosę, okrążyli ją, i jedni klaskali w dłonie, inni pokrzykiwali, jeszcze inni — przyglądali się z mimowolnym, zastygłym uśmiechem.

Spoglądali z uśmiechem i na generała — jakby z oddalonej perspektywy, poprzez soczewki odwróconej lornety; już się bodaj wyjaś-
381

niło, że z całą pewnością nie zginęli generalscy synowie, bzdura to, wszystko u niego gra, za niego również świętowano, za jego, jak gdyby z nieba spadłe, gwiazdy. Chude chłopaczki o cieniutkich szyjkach, karmieni zgodnie z normami obowiązującymi na tyłach, w znoszonych płaszczkach, z wystrzępionymi połami i rękawami, w buciorach owiniętych szmatami, kobiety z zapadniętymi lub nabrzmiałymi twarzami, odrobinę płonącymi, zaróżowionymi od gorzałki, śmiechu, w ciężkich, takich, jakie się trafiły, szpecących waciakach, w zapaćkach błotem, obwisłych spódnicach, w pudowych buciorach — tak wyglądał ten odwiecznie niepojęty naród. I generał wyobraził sobie, co by to było, gdyby obwieścił wszystkim tym ludziom, że tam, w Myriatinie, krew rosyjska lała się z obu stron, i jeszcze nie została przelana; teraz dopiero zacznie się bezlitosna rozprawa nad tymi, których wina polegała jedynie na tym, że im uczyniono zło nie do naprawienia — i jeszcze dodaj, dodaj — powiedział już sam do siebie, żeś i ty przyczyn i l

się do tego z nawiązką — a oni tego zła nie wytrzymali. Każdy miał swój powód, ale to wspólne, co ich zjednoczyło, kazało włożyć wrogi mundur i zwrócić broń przeciwko swoim — w dodatku także niewinnym, bowiem ich prawdziwi krzywdziciele nie mieli zwyczaju uczesniczenia w ataku na bagnety — to wspólne, z góry określone mianem „zdrady”, nikomu nie zostanie wybaczone, ani nawet wysłuchane. I tak samo, jak nie uważano ich za jeńców, kiedy podnosili ręce do góry przed wrogiem, tak samo nie będą poczytywani za jeńców i teraz. Cóż z tego wynikłoby — gdyby im to teraz powiedział? Czy przejmą się ci ludzie cudzymi, pokiereszowanymi losami? Czy choćby na chwilą przerwie to albo przyćmi ich święto? A może to ciężki grzech przerywać święto? Być może, wszystko to, co powiedziałby, nie ma znaczenia — w porównaniu z tą mizerną radością, jakiej dostarczył zdobyty wczoraj i nikomu z nich nie znany „Siatin”?

Zapewne jest, myślał generał, jakaś sprawiedliwość, inna, ta, której on nie pojął, a którą pojął — Naczelnny. On miał najlepsze rozeznanie, czego potrzebuje ten naród. Nie dla siebie przecież samego wymyślił te wszystkie salwy honorowe, nie dla siebie wymógł w listopadzie czterdziestego pierwszego decyzję: „Defilada na Placu Czerwonym odbędzie się jak zawsze.” Opowiadano, że był to pomysł Żukowa. Ale czy to ważne, czyj był pomysł, były przecież i inne, ważne jest to - który z nich przyjął, a przyjął — jako wódz naczelnny, zrozumiał, co to takiego wojna. Być może zresztą zrozumiał, zdołał zrozumieć więcej — /c •

ludzie, wobec których przejawiał tyle okrucieństwa, których męczył,

mordował, gnoił, są jego jedynymi, wiernymi wybawicielami — i coś ludzkiego w nim drgnęło? Nie mógł przecież rzucić, ot tak sobie, na wiatr: „Bracia i Siostry!” W ten sposób Bóg nie zwraca się do człowieka! Jeszcze nie dawno — był to „ojciec”, a tu raptem — „bracia” i „siostry”. Zszedł pokornie z wyżyn, poczuł się równym ze wszystkimi, jednym z nich wszystkich. I w najstraszniejsze dni, na granicy rozpaczy, w sposób bynajmniej nie uroczysty, tak, jak mógłby powiedzieć każdy, jak równy ze wszystkimi: „Będzie jeszcze i na naszej ulicy święto.” Jakież to słowa znalazł! Ileż w sobie kryły obietnic! Od dziś wszystko potoczy się inaczej — jeszcze nie teraz, nie od razu, a kiedy przepędzimy Niemca, ostatniego Niemca z ostatniej piędzi ziemi rosyjskiej, teraz tylko o tym należy myśleć! Oto i do niego, Kobrisowa, wyciągnął rękę — ponad wszystkimi głowami, ponad intrygami zawiśników — i rozciął węzeł, którego w żaden sposób nie można było rozsypać, za jednym zamachem zmniejszył brzemień udręki, jakie ciągle zaprzętało myśli, do których nie daj Boże komuś się przyznać, wygłosił — i odsunął na bok: „Błahostki, błahostki, to bez znaczenia.” I zatrzymał się u progu Moskwy, jakby przygwożdżony, wyprzedzającym samym wszystkie niełatwe rozmowy w Sztabie Generalnym. I jak go wyróżnił — wśród nielicznych, samemu Watutinowi nie dał Bohatera, a jemu, Kobrisowowi, nie poskąpił... I pozostało tylko to, czego nic nie mogło wynagrodzić: pamięć i pretensja do siebie, że plan dotyczący Myriatina został sporządzony w pośpiechu i porzucony w pół drogi, i wszystkie niepotrzebne straty ciążyły na nim...

Tymczasem zawartość manierki, wiadoma rzecz, wyczerpała się,

i na światło dzienne wyciągnięty został kanister od oleju silnikowego z ciut rozcieńczonym spirytusem — „surowcówką”. Adiutant Donskoj i tym razem nie wtrącił się. Szestierikow aż westchnął i rzucił się nawet, by ratować kanister, ale generał powstrzymał go za łokieć.

— Nie trzeba — powiedział, darząc miłością i litując się nad wszystkimi, których widział dokoła. — Daj spokój. Niech się ludzie zabawią!

...Cieszono się, zapewne, i tam, w Myriatinie. Jeszcze na zachodnim przedmieściu żołnierze uzbrojeni w karabiny maszynowe wypierałi i Niemców z górnych pięter i strychów, artyleria zaś na wszelki wypadek starannie ostrzeliwała dzwonnice na wzgórzu, pustą i jakby pozbawioną oczu; szukali wciąż „naftowców”, którzy podpalili fabrykę mebli, dopiero co zdobytą, i wniesioną do rejestru ocalonego majątku — dopóki nie wyjaśniono, że podpalili ją sami i to nie bez ko-

383

żery; trudno było się jeszcze połapać, gdzie trwała strzelanina, a gdzie tak po prostu puszczają salwy z nadmiaru uczuć; i już niektórzy spali pokotem pośrodku trawnika na skwerku; już w samym centrum telegrafistki i radiotelegrafistki zmieniły ciężkie buciory z kirzy na pantofelki z obcasami robione na obstalunek i szykowały się, żeby wyjść na spacer po głównej ulicy; już ktoś tam wywachał, gdzie można zdobyć dodatkową porcję wódki i taszczył do swej rodzimej kompanii, od razu w czterech hełmach, trzymając je za rzemyki; dymiły już na placu kuchnie polowe i ośmieleni mieszkańcy Myriatina ustawiali się w kolejce z garnkami i rondelkami — i raptem znowu zaczynała się dokoła

strzelanina: ostrzeliwano niemiecki oddział, który we wzorowym szyku wyszedł, by się poddać, ale z taką brudną szmatą w ręku, że trudno ją było wziąć za białą... I, kto wie, być może cały ten bałagan potrzebny był do tego, żeby ludzie doszli jakoś do siebie i zapomnieli po trochu jak o mglistym świecie stali w mokrych okopach, czując chłód w podbrzuszu, modląc się w duchu i wyczekując rakiety.

Potem dowiedzą się, potem im wytłumaczą, że było to wielkie natarcie.

Generał wytarł palcami pod oczami i zobaczył przed sobą adiutanta — wyprężonego, jakby kij połknął, z generalskim płaszczem na łokciu. — Towarzyszu dowódcu — powiedział Donskoj głosem nieco surowszym. I poprawił się, celowo zaznaczając nowy sposób zwracania się do rozmówcy. — Towarzyszu generale-pułkowniku... Proszę wybaczyć, ale jednakowoż czas już jechać. W tym wypadku, bądź co bądź, ja za to odpowiadam.

Generał kiwnął głową w milczeniu. Dał się też ubrać w płaszcz, nacisnął czapkę.

— Czekają dzisiaj na nasze przybycie — przypomniał Donskoj, zapinając mu guziki. — Dobrze by przed jedenastą. Mamy trochę czasu, ale trzeba się doprowadzić do porządku.

— Dobrze by — powiedział generał.

Szedł do samochodu z przyjemnością, nawet pokornie, z lekka podtrzymywany przez adiutanta za łokieć. Ludzie, których mętnie rozróżniał, od razu jakoś przycichli, rozstępowali się przed nim szerokim korytarzem. Na dole, pod nasypem, Szestierikow pospiesznie wkładał do

worka szklaneczki, widelce, noże, serwetki, zwijał obrus i pałatkę . Z dwoma ogromnymi tobołkami podszedł do samochodu i wsunął je za przednie siedzenia, pod nogi adiutantowi i sobie.

— Nie mógłbyś lepiej tego ułożyć? — zapytał generał.

384

— Fotiju Iwanyczu, ileż to drogi mamy przecie przed sobą...

— Nieważne ile, układać trzeba jak na froncie. Żeby nic nie ster-
czało, żeby nic nie przeszkadzało wyciągnięciu nóg.

— Dobra, wezmę na kolana.

— Na kolana nie trzeba.

Generał wypowiedział to ostro, z błyskiem w oczach pod zasępio-
nymi brwiami; narastało w nim jakieś mroczne postanowienie, i adiu-
tant Donskoj poczuł, jak mu zamiera niemal dech w piersi. „Ani chybi,
postanowił od razu tam pojechać”. Zachwyciło to nawet Donskoja —
pojawić się w najwyższym urzędzie ot w takim stanie jak teraz, w zafaj-
danym „willisie”, w tym wszystkim codziennym, polowym, przesyco-
nym kurzem dróg, potem, swędem benzyny, a co nieco także i koniaczku
— też nie zaszkodzi w takim dniu! — przesiąkniętym zapachem frontu. I
żeby jeszcze odegrać głupiego, że niby to nic nie słyszeli o Rozkazie, niech
ich z początku poinformują, pogratulują. Jeśli na tym polega generalski
wygłup, to — jest on wysokiej klasy. Ciekawe, pomyślał, spośród stu ge-
nerałów, ilu by tak postąpiło? A ilu — nie ośmieliłoby się?
Jednakowoż sto pierwszy generał, którego Donskoj poznał najle-
piej, postawił nogę w „willisie” i zapytał kierowcę:

— Jak tam u ciebie z benzyną, Sirotin?

— Chodzi o Moskwę, tak? — Mocno poróżowiały Sirotin, przekładając nie nazbyt posłuszne nogi z asfaltu ku pedałom, roześmiał się bez troski. — Jakoś tam sobie poradzimy na resztówce, a z górki pomkniemy nawet nie zapalając. Na samym, towarzyszu dowódco, en-tu-zja-zmie!

— A do Możajska? — zapytał generał. — Wystarczy paliwa?

W piersi adiutanta Donskoja coś wyraźnie jęło się zapadać.

— Towarzyszu dowódco... Najmocniej przepraszam, ale — Moskwa! Przecież czekają na nas w Kwaterze Głównej...

— Kto? — zapytał generał tymże mściwym głosem, jakim krzy-
« zał o kichaniu z wysokiej góry. — Kto tam bez nas nie przeżyje? Kwa-
(era Główna wszystko nam już powiedziała. Sam powiedział!..

— Jeszcze raz najmocniej przepraszam... Chociaż może przebra-
łem miarkę — ostatnie zdanie Donskoj wymówił z naciskiem — lecz
ośmielałem się nalegać. Jest to sprawa nadzwyczajnej wagi! Będziecie o
(o mieli do mnie potem pretensję...

Generał, szeroko machnąwszy ręką, wskazał na głośnik. Zwycię-
skie marsze umilkły, z czarnej tuby wylewała się przeciągła, smętna
melodia.

385

— Przyjęliśmy to wszystko? — zapytał, patrząc prosto w oczy ad-
iutantowi coraz bladszemu na twarzy. — Gwiazdy na pierś i na ramio-
na — przyjęliśmy, pytam się? To co ty powiadasz — „swoje”... A więc
i wszystko inne powinniśmy przyjąć? Krew przelana, ludzie, którzy
zginęli — nie wołają do ciebie, majorze Donskoj?

Szestierikow, który układał cały dobytek do bocznych skrzyń,

wyprostował się i spojrzął na generała ze zdziwieniem, zachwytem, ale też z błaganiem.

— Bóg z nią, z Kwaterą Główną, lepiej tam nosa nie pokazywać.

Ale czyżbyśmy, Fotiju Iwanyczu, do domu mieli nie zajechać, córeczek nie zobaczyć? Mai naszej, Afansjewnej — nie ucieszyć? Co do was, to nie wiem, ale ze mnie skórę zedrze!

— Ucieszą się i bez nas — burknął generał. — Rozkazu już pewno wysłuchały. Cóż im innego możemy powiedzieć?

Spojrzął na Moskwę spowitą promieniami zimnego, bladego słońca wydobywającego się spod wyrw wśród obłoków. Spojrzął na nią bez żadnego zaciekawienia, i to w sposób najwyrazistszy powiedziało Donskoj owi, że przekonywać go, nęcić czymkolwiek — nie ma żadnego sensu: ani tym, że tak czy owak winni się pokazać w Sztabie Generalnym, coś tam wyniuchać, ani tym, że mogliby w zupełności, bez szczególnych wyrzutów sumienia, spędzić dobę w Moskwie, łyknać moskiewskiego powietrza i wywieźć stąd jakieś wspomnienia, ani tym, że można by wstąpić na kilka godzin do domu, pobyc z rodziną, której generał może nawet do końca wojny już nie zobaczyć. A nawet w ogóle nie zobaczyć.

— No to jak, zapuszczać motor? — zapytał Sirotin. — Dokąd jedziemy?

— Marszrutę znasz — powiedział Donskoj zmarkotniałym głosem.

Do Sirotina jakoś to nie dotarło. Spojrzął na domki i ogrody Kuncewa i uśmiechał się.

— Ech, jakże tak nie pohulać, salutu nie zobaczyć w takich czasach? Metrem się nie przejechać? Byłem ja w białokamiennej czy nie

byłem?

Generał ciężko sadowiąc się odpowiedział mu powściągliwie:

— Jeszcze się nahulasz, Sirotin. Po wojnie. Dzieciak jesteś, czy co?

Nie widziałeś, jak z armat grzmocą? Zapuszczaj motor.

Lecz i zapuściwszy motor Sirotin jeszcze nie wszystko do końca zrozumiał.

— A może machniemy? No, choćby na godzinę... Sprawa przecież nie byle jaka!..

386

Generał czerwieniejąc, zatrzęsł się z gniewu.

— Czyś ty się całkiem zalał w peskę? Masz mi wytrzeźwieć, i to już, bierz no się w garść! Jakie tam masz sprawy? Wszystkie twoje sprawy są na froncie! W armii! Zrozumiano? I zawracaj! Zawracaj, mó-wię!

Sirotin pospiesznie schwycił za dźwignię, ze zgrzytem włączył przekładnię, wykręcając kierownicę do oporu, spoglądał na generała wystraszonymi oczami, jakby przeczuwając coś niedobrego; wyraz twarzy miał nieszczęśliwy, niemal jakby mu się na płacz zbierało. Ludzie, którzy wszystko to widzieli i słyszeli, z wolna rozstępowali się przed szeroką, tępą mordą „willisa”. Żołnierze z artylerii przeciwniczej unieśli dłonie do hełmów, kobiety robiły znak krzyża, śniada baba uniósłszy trzy palce i bijąc pokłony wykrzyknęła sepleniąc: „Niech Bóg ma was w swojej opiece, gołąbeczki!..” Wszyscy mieli twarze smutne, jakby w nich odbijała się płynąca z czarnej tuby delikatna, przytłaczająca, smętna nuta.

Generał, wbrew regulaminowi, wszystkim odsalutował na sie-

dząco.

Adiutant Donskoj, ściśnięty, skurczony na tylnym siedzeniu, czuł się w głębi urażony, że nie przewidział tego kolejnego generalskiego bzika. Wina była, oczywiście, po jego stronie, ale przypisywał tę swoją winę, nie wiedzieć czemu, generałowi, któremu nie omieszkał dociąć:

— Dobrze by było, towarzyszu dowódcu, żeby nas na pierwszym KPP* nie zawrócili — bez odpowiednich dokumentów.

— Nas? — Generał nie odwrócił się, tylko głowę odchylił do tyłu.

— Chciałbym popatrzeć w gębę temu, kto nas od wojska zawróci. Raczej piekło pochłonie takiego palanta — niech tylko spróbuje nas od armii usunąć! Byle tylko zdążyć, byle zdążyć... Wczoraj powinniśmy tam być. Dawaj, Sirotin, dodawaj gazu!

Ostro skręciwszy pozostawiając na szosie dwie sinusoidy błota z pobocza, „willis” zaryczał i pomknął, nabierając prędkości, w kierunku Możajska. Jeszcze raz, spod brezentu, z rozpaczą na twarzy, obejrzał się kierowca Sirotin. I więcej już cała czwórka na Moskwę się nie oglądała. Żałobny marsz oddalał się i cichł, coraz mocniej walił w szybę i łopotał brezentem wiatr. Rację miał generał Kobrisow, a nie adiutant Donskoj — na pierwszym KPP nie tylko ich nie zawrócili, lecz Kontrolno-propusknój punkt - roгатka kontrolna.

387

jeszcze w dodatku pogratulowali i przekazali przez telefon następnej „rogatce”, by ich niezwłocznie przepuszczono. Karmili ich i wódkę wydawali bez kartek przydziałowych i zaopatrywali w paliwo nie pytając o talony i listy przewozowe. Wśród samochodów spieszących na

zachód maleńki „willis” nie mógł się zgubić i utknąć, przekazywano go z jednych uprzedzająco grzecznych rąk do drugich.

Dzisiejszy dzień — calutki — należał do generała. Przez cały ten dzień jechał jako triumfator, bowiem słupy z czarnymi tubami trafiały się na całej jego drodze i co godzina grzmiało z nich jak z nieba:

STRZELCOM I CZOŁGISTOM GENERAŁA-LEJTNANTA KO

BRISOWA...

I władczo-triumfalny głos rozlegał się szeroko dokoła — nad wzgórzami i wyboistymi drogami, wybiegającymi ku szosie, nad mokrymi, ostrzelanymi zagajnikami, nad kominami pieców po wsiach i chutorach, które wyzionęły ducha przed dwoma laty:

I NA PRZYSZŁOŚĆ NAZYWAĆ...

Za każdym razem, podjeżdżając do takiego słupa, kierowca Siro-tin przyhamowywał, żeby samemu raz jeszcze posłuchać, i dać posłuchać generałowi, a potem pędził jak oparzony, męcząc motor, niszcząc opony. I drogę wiatr zarzucał, a w dal za burtą unosiły się słowa:

...WIECZNA... POLEGŁYM... NIEZAWISŁOŚĆ... OJCZYZNY...

Tego zresztą generał jakby nie słyszał. Siedział nieruchomo przywarty obiema rękoma do poręczy obok tablicy przyrządów wystawiając do wiatru grube kolano obciążone połą płaszcz, i patrzył ponuro i w skupieniu na pędzącą z naprzeciwka przestrzeń. Adiutant Donskoj, przechylając się z tylnego siedzenia, troskliwie okutywał jego gardło szarym, zrobionym w domu na drutach, puszystym szalikiem. Mógłby tego zresztą nie robić. Generałowie — kiedy jadą na front — nie przeziębają się.

Rozdział VII

Pocisk

M

I

Major Swietłookow siedział samotnie w izdebce wiejskiej chałupy na przyczółku Myriatinskim. Siedział przy stole, z twarzą zwróconą ku oknu, trzymając przy uchu słuchawkę telefonu, drugą ręką machinalnie rozkręcał sznur. Zmierzch zapadał szybko, ale światła nie zapalał, nie chciało mu się zasłaniać okien i siedzieć potem w ślepej i głuchej norze. Spaso-Pieskowcy pozostawały nadal bezpośrednim zapleczem, ale teraz, kiedy zaczęło się natarcie, znalazły się niespodziewanie w strefie działań bojowych. Rzecz oczywista, wieś' sztabowa znajdowała się pod specjalną ochroną, ale lepiej było wszystko widzieć i słyszeć, i mieć pod ręką pistolet wyjęty z kabury.

Na twarzy majora Swietłookowowa to, o czym mu donoszono, odbijało się grą brwi i warg — odbijałoby się wyraźniej, gdyby nie gęstniejący mrok.

— Zojeczko, przyjacielu mój, siedzisz tam w centrali, można rzec, przy głównym pulpicie sterowniczym, no to ukróć tę gadaninę telefoniczną. Miej słuchawkę odgałęźną przylepioną do ucha. Do rozmowy się nie wtrącaj, żadnych uwag nie rób, a od razu przerywaj.

— Ja tak przecież robię, majorze — odpowiadała słuchawka.

— Kto jeszcze wie, oprócz dowódcy sztabu? No, naczelnik oddziału wywiadowczego powinien wiedzieć, a kto jeszcze?

Słuchawka wyliczyła jeszcze trzech-czterech wtajemniczonych.

— Tak — powiedział major Swietłookow — to już żadna tajemnica. Głowę daję, że jak dwa razy dwa gdzieś miał miejsce przeciek, że jaśnie pan jedzie. No, niechby tam sobie głądzili, anegdoty opowiadali, o babach doświadczenia wymieniali, to rozumiem, ale takie rzeczy

389

przez telefon wygadywać! Przecież mają podsłuch, przechycą jaśnie pana w lesie, i do niewoli wezmą... Tylko o tym marzą, żeby nam ultimatum postawić.

Ludzie, których nazywano bandytami i zdrajcami, grasowali dokoła po małych siołach i chutorach i zachowywali się zuchwale. W obawie przed okrążeniem udali się nie na zachód, gdzie należało się przedostawać za wszelką cenę, a na wschód, ku brzegowi Dniepru — tego żadną logiką nie można było wytłumaczyć, lecz jedynie instynktem zaszczutego zwierzęcia, które biegnie tam, gdzie nie goreje ogień lub nie tak lodowaciej oddech śmierci — chociaż tam właśnie go ona oczekuje. Ratując się z nie zamkniętego okrążenia, z którego można było się jeszcze wyrwać, wpadali w takie, z którego wyjścia już w ogóle nie było.

— A Swietłookow ma mu zapewnić bezpieczeństwo! — powiedział major Swietłookow z irytacją. — Jesteśmy czarodziejami, czy co?

— Jesteście zbyt skromni, majorze — powiedziała Zojeczka i roześmiała się perlistym śmiechem. — Ja was miałam za czarodzieja.

— A teraz już nie?

— Ależ tak, tak. Kogóż bym mogła z wami jeszcze porównać!

— No, wypadnie nam tej nocy jeszcze się razem napocić...

— Faj — powiedziała Zojeczka — nie spodziewałam się, że wy

tak wulgarnie...

— No, chciałem powiedzieć, popracować.

— Też nie lepiej.

— Słuchaj, Zojeczko, jesteś dzisiaj jakaś swawolna. Jaka była umowa? Wszelkim żarcikom na śliskie tematy podczas pracy dajemy spokój. A ty w kółko do tego wracasz. Gdzież on teraz w przybliżeniu przebywa?

— Nie w przybliżeniu, a dokładnie — zbliża się do Toropiłowki.

— Tam nie zechce nocować. I w Spaso-Pieskowcach nie zechce.

Pojedzie na swoją stacyjkę. A tam teraz nie wiadomo kto i co. Dzwonię

— bez rezultatu. Linia jest tam przecięta?

— Nie.

— A to dlaczego? Było powiedziane: wszystkie linie, które mogą wpaść w niepowołane ręce, przeciąć.

— Możecie być spokojni, wszystkie końce trzymam w ręku.

— Ach, tak? — zapytał z obleśnym uśmiechem. — To dobrze, Zojeczko. Tak też cię widzę, jak końce nieobcięte w rączkach swoich delikatnych trzymasz. — Obrazek może zrobić wrażenie!

— A widzicie — obraziła się Zojeczka — sami na śliskie tematy...

390

1

— Przepraszam, najmocniej przepraszam. — A dowódcę mogłabyś teraz podsłuchać?

— Dowódcę — też coś! Was mogę.

— Oho! A ty wiesz, Zojeczko...

Chciał dodać: „Daleko zajedziesz!” Z pewnym nawet strachem, ale i zachwytem, spostrzegł, że wyzwoliła się spod jego pierwotnego przytłaczającego autorytetu i w sposób nieuchwytny bezczelnieje. Oto mówi już do niego nie per „towarzyszu majorze”, a po prostu „majorze”. I nie ma sensu zwracać jej uwagi, to przecież nie cecha szczególna Zojeczki, a tej służby, do której oboje należą i która z samej swej istoty rozrasta się i bezczelnieje, bezczelnieje i rozrasta się. Wiedzieć o ludziach więcej, niżby oni sami tego chcieli, i żeby się to nie odbijało na wtajemniczonym w cudze sekrety? To niemożliwe.

— Zuch z ciebie — przerwał przeciągającą się pauzę. — Dzięki w imieniu służby.

— Służę Związkowi Radzieckiemu.

— Niesłusznie mówisz. W imieniu naszej służby. Na to nasi ludzie odpowiadają głębokim, pełnym skupienia milczeniem. — Słuchawka zamilkła. — Ot, słusznie. Zaraz zobaczę na mapie, gdzie jest ta Toropiłowka. Cóż, moja droga...

— Przyjemnie usłyszeć.

— Nie w sensie droga niewiasto, lecz droga pomocnico.

— Też przyjemnie.

— Wypadnie nam dzisiaj, Zojeczko, wystąpić w charakterze czarodziei. Oto, co teraz najważniejsze... Skoro już miał miejsce przeciek i nie jest wykluczony podsłuch... Trzeba by urządzić... jak się tu wyrazić?., porządny bałagan.

— Zrozumiałam, majorze. Możesz na mnie liczyć.

— Sehr gut — powiedział wesoło. I pomyślał, że z tą Zojeczką le-

piej nie zadzierać, nazbyt już wniknęła we wszystkie sprawy... —

Skontaktujemy się. Wiesz, gdzie będę. Adieu!

Odłożył słuchawkę, dał sygnał zakończenia rozmowy i chwil kilka siedział bez ruchu i w roztargnieniu dalej rozplątywał sznur. W oknach coraz bardziej czerniało i ciemność zmusiła go, by przystąpił do dzieła.

„Ach, Fotiju Iwanowiczu, po co? — wyrzekł w myślach. — Cóż to, źle wam było w Moskwie siedzieć? Nie pobyliście w domu, z ukochaną żoną, z podrastającymi córkami, tylko wprost do nas. Przecież rozliczyli się z wami! Czyżby za mało? Gwiazdę na naramienniki, gwiazdę na pierś — faktycznie za jedną tylko przepawę... za jedno tylko

391

zamachnięcie! Inny byłby jeszcze jak zadowolony, a wam — dawaj Predstaw!.. Jeden Pan Bóg wie, jak was szanuję. A jednak prawdę mówią: chciwość gubi frajera.

— Ale co robić — wyrzekł głośno. — Sprowadzam ogień na siebie.

Lecz i po tych słowach siedział z goryczą wzdychając, i nie mógł się zmusić do wstania, przeniesienie całego ciężaru na nogi było ponad jego siły. Włożył czapkę, wziął ze stołu pistolet, zabezpieczył, wsunął do kabury. Wydawało mu się, że wszystkie siły go opuściły. Przy świetle widać było, że twarz ma ponurą i smutną.

Mniej więcej w tym samym czasie w malutkiej ziemiance na lewym brzegu Dniepru siedzieli przy stoliku, naprzeciwko siebie, dowódca baterii 122-milimetrowych haubic i celowniczy działa kierunkowego. Siedzało im się przyjemnie, mieli jeszcze przed sobą półtorej manierki wódki ze spirytusu— „surówcówki”, pół bochenka

chleba, paczkę kruchych ciasteczek z przydziału oficerskiego i dużą, kilogramową puszkę amerykańskiej konserwy mięsnej, z której nakładali sobie po trochu do misek, żeby puszka jak najdłużej upiększała stół. I mieli powód, żeby wypić — za zmianę pozycji. Ich bateria opuszczała swoje dotychczasowe miejsce postoju i przenosiła się na nowe — już na tamten brzeg, na przyczółek, który od ponad dwóch miesięcy wspomagali przy pomocy ognia. Dowódca batalionu było poniekąd żal opuszczać ziemiankę, w której się zadomowił, taką wprawdzie niską, że z trudem można było się w niej rozprostować, za to cudownie pachniało w niej od podłogi wyłożonej gałęziami świerku i wyschniętym piołunem. Początkowo ciągle mówili o tym, że następne swoje ziemianki wykopią głębsze, będzie w nich cieplej — i nie tak, dodawał celowniczy, żeby po dziesięciu siedziało sobie na głowie, lecz tylko po dwa ryje, no niech by nawet po pięć — ale potem przypominali sobie, że i poprzednimi razy tak samo sobie obiecywali, i doszli do wniosku, że chyba w ogóle nie będzie potrzeby wykopywania, gdyż nastąpiło natarcie i — kto wie — może mieszkać będą wreszcie w chałupach, a nie w ziemi.

Popijając i zakąszając spoglądali na siebie w świetle kaganka, zrobionego z gilzy pocisku od małego działka przeciwlotniczego, z serdeczną przyjaźnią — celowniczy, chłopina około trzydziestki, z belkami sierżanta, zwinny i obrotny, a kiedy trzeba było — stateczny i mało-mówny, i dowódca batalionu, młodszy od niego o jakieś osiem lat, usiłujący na wszelki sposób wyrównać przy pomocy wásów i sztucznego

392

basu tę swoją irytującą niedojrzałość. Od kopącego knota nozdrza

mieli czarne. Poza tym celowniczy miał siniaka wokół prawego oka i nieco spuchnięte brwi. Był to rezultat zgubnego przyzwyczajenia — uporawszy się z celowaniem, nie od razu odsuwał się od celownika, a jeszcze marzycielsko zastanawiał się nad torem pocisku opuszczającego lufę i w myślach towarzyszył mu w locie do samego celu, którego nigdy nie widział, ponieważ strzelał zawsze z zamaskowanego stanowiska ogniowego. Z powodu swego marzycielskiego usposobienia i nawyku zamyślenia się — często-gęsto obrywał od wstrząsu, który nie całkiem powstrzymywał hamulec w lufie. Gumowa kłapa okularu łagodziła, rzecz jasna, samo uderzenie, ale jednocześnie ocierała mu łuki brwiowe. Siedzieli wystarczająco długo, żeby odczuć zmiany, które w nich zaszły. Celowniczy działa kierunkowego ze zdumieniem uświadomił sobie, że w życiu stanowczo straciłby wiele, gdyby nie zetknął się z dowódcą baterii 122-milimetrowych haubic. Ze swej strony dowódca batalionu też musiał przyznać, że w życiu swoim nie spotkał lepszego człowieka od celowniczego działa kierunkowego. I z pewnym zdumieniem wspominał, jak dokonał tego odkrycia. Celowniczy przyszedł do niego zwolnić się na trzy-cztery godzinki, żeby udać się na wieś pod nazwą Swinyje Wysiętki — tam jako uzupełnienie miejscowego kontyngentu rozlokowano szpital wojskowy z różnorodnym kobiecym personelem, i — na szczęście — nieliczną strażą; dowódca batalionu z ciężkim sercem odmówił mu, powołując się na to, że wielu już ludzi odeszło, przy baterii mało kto został, jak tylko ktoś wróci przed czasem, wtedy, czemu nie... Nadziei na to nie było żadnej, ale rozgadali się, dowódca batalionu uznał za stosowne wypytać podwładnego, jak mu się układa życie na baterii, czym zapełnia wolny czas, i co

piszą z domu; słowo po słowie, pojawiła się na stoliku manierka, wydobyta z niszy w ścianie, gdzie spoczywała w chłodzie ziemianki, wypili po jednej czwartej kubka, bo przecież nie można się ot tak rozejść, potem jeszcze po ćwierci, bo „trzeba przecież powtórzyć”, a przy trzeciej kolejce pojawiła się „rewanżowa” manierka, która jakby wyskoczyła z rękawa płaszcza celowniczego; był to jego „wstępny wkład”, z którym w każdej kompanii przyjęto by go z otwartymi rękoma; tutaj, samo przez się, pociągnęli dalej, co podniosło ich na duchu, wkrótce zaś wzniosło na takie wyżyny, że celowniczy przestał już całkiem żałować, że nie podratował po jesiennym błocie i w chłodzie całe pięć wiorst do tych Świńskich Wysiołek.

— A dlaczego tak się dzieje? — pytał z uporem w głosie. — Dlaczego?

393

— Tak, dlaczego? — zapytał dowódca batalionu. I spostrzegł się.

— A co się dzieje?

— No, takie spotkania. Dlaczego, kapitanie, ja ciebie w cywilu nie spotkałem? Dlatego, że nie mogłem. Zobaczyć — mogłem, a połapać się nie mogłem, kto jest dobrym człowiekiem, a kto, kapujesz, łajdak. A tu łatwo się połapać. Osobiście uważam, że kto na froncie wojuje — to dobry człowiek. I im bliżej pierwszej linii — tym lepszy.

Dowódca batalionu zgadzał się z tym całkowicie, ale uważał, że jeżeli nie zaoponuje, to ich spór szybko wygaśnie, dlatego też powiedział:

— No, to niezupełnie tak...

— Właśnie tak! — powiedział celowniczy i wytrzeszczył oczy. — Stanowczo mniej. Stanowczo! To znaczy, kogo mniej? Łajdaków. Ich, ka-

pujesz, od pierwszej linii odrzuca. Całkowicie! Tak jakby ich ktoś odsunął na skraj ziemi. Nie ma ich! Nie czuje się ich! Ot, co wojna zrobiła.

Dowódca batalionu instynktownie rozumiał, że pijacka, serdeczna rozmowa winna jednakowoż natykać się na jakiś opór, przy tym, nie tak mały, by móc go przełamać nie zauważając tego, a zarazem w miarę łagodny, i kształtu jakby zaokrąglonego, żeby można było go obejść, nie dochodząc do zbyt znacznych skrajności i niepotrzebnych ruchów ciała. Toteż mówił tonem łagodnym, jedynie z lekka znaczącym:

— A my chcemy ją zakończyć jak najszybciej, tę wojnę.

— Słusznie.

— Ale wtedy oni znowu przyjdą, łajdaki.

— Przyjdą, gdzież by się mieli podziąć.

— A dokąd my się podziejemy?

— My — nie mamy dokąd. Trzeba dalej żyć. Z nimi. Ale za to pożyliśmy sobie. Zato ja ciebie spotkałem, a ty mnie.

Dowódca batalionu wciąż miał zamiar odpowiedzieć celowniczo, ale nie znajdował odpowiednich sformułowań, by wyrazić to, że w ich wspólnym życiu jest jakaś siła, wcale nie przypadkowa, nie ślepa, nie mechaniczna, lecz nawet nader określona siła łajdacka, która z rozmysłem czuwa nad tym, żeby ludziom było gorzej. Teraz ta zła siła odsunęła się od nich obu o trzydzieści-czterdzieści kilometrów, ale skoro tylko nastąpi ostateczny przełom, wówczas pojawi się znowu. Nigdzie się nie podziała, ta siła nieczysta, deptała im cały czas po piętach. Oto oni oczyścili ziemię do Dniepru, i wkrótce i ona przyjdzie na tę ziemię i wszystko zagarnie w swoje ręce.

— Nie zagarnie! — zawołał celowniczy, i oznaczało to, że jakieś słowa dowódca batalionu jednak sformułował i wypowiedział. — Wszy-
394

stkiego nie zagarnie! Nas obu, ciebie, kapitanie, i mnie, nie rozbije tak łatwo. Jak staliśmy się braćmi, tak samo braćmi pozostaniemy.

— To za co wypijemy? — | zapytał dowódca batalionu.

— A za to — odpowiedział celowniczy. — Żeśmy się z tobą spotkali.

— Czyli że za wojnę?

— Na to wygląda...

I celowniczy, który poczuł nagłą potrzebę zakurzenia, sięgnął po kapiuch. W tej samej chwili zaterkotał brzęczyk. Obaj popatrzyli na siebie pytająco. Dowódca batalionu sięgnął z niepokojem po słuchawkę.

Dzwonili z węzła łączności dywizji, powiedzieli, że będzie rozmowa z szóstką, czyli zgodnie z niewymyślną konspiracją — z dowódcą dywizji. Dowódca batalionu, szybko się mobilizując, jak to potrafią obarczeni odpowiedzialnością frontowcy, choćby byli zalani w sztok, zapiął kołnierzyk i usiadł wyprostowany z wyciągniętą szyją.

— Co porabiasz, kapitanie? — zapytała słuchawka.

— Tymczasem nic szczególnego — odpowiedział dowódca batalionu głosem trzeźwym, tyle że nadmiernie głośnym. — No, to znaczy teraz już nic, a przedtem robiłem.

— A co takiego robiłeś?

— Ano wszystko, co trzeba. Bateria przygotowana jest do wymarszu. Chodzi tylko o ciągniki. Jak tylko nadejdą — ruszymy niezwłocznie.

— Twoi ludzie — wszyscy są na miejscu?

— Dowódca batalionu westchnął głęboko i wypuścił powietrze powoli i bezgłośnie, gdzieś w bok od słuchawki.

— No-o, nie, nie wszyscy. Ten i ów się zwolnił.

— A dokąd to się zwolnili? I kto na to pozwolił? Święto sobie urządzili!..

Dowódca dywizji mówił tak, jak przywykł mówić przy łoskocie strzelaniny, w ciszy wychodziło to nazbyt krzykliwie, można było odnieść wrażenie, że jest rozsierdzony nie na żarty.

— Towarzyszu szósty, ciągniki obiecali nie wcześniej niż na piątą.

No to pozwoliłem ludziom przyjaciół odwiedzić — i swoich tutaj, na miejscu, i sąsiadów we wsi, kto tam kogo poznał. Tyle czasu tu przecież staliśmy, trzeba się pożegnać po ludzku. Ale punkt o piątej — będą na miejscu jak jeden mąż! Trzeba przecież odpocząć, rozumiecie?

Dowódca dywizji należał do tych, którzy rozumieli.

— Nie chciałem cię nękać, kapitanie, skoro opuszczasz pozycje, dzwoniłem do Szurupowa — ale temu język się płacze. Ty też jesteś

395

dobry ananas, ale przynajmniej trzymasz się na nogach, czuję, że się trzymasz.

Dowódca batalionu przy tych słowach zerwał się z taboretu. Celowniczy patrzył na niego bacznie i z żarliwą nadzieją, że nie trzeba będzie nigdzie iść.

— I oto myślę — ciągnął dalej dowódca dywizji — że zdarzają się cuda, a nuż zadanie bojowe potrafisz mi wykonać?

— A dlaczego miałbym nie potrafić? Minimum ludzi mam.

— No, skoro tak — ustaw baterię w szyku bojowym. Tutaj, kapujesz, donoszą o sporej grupie, której udało się wyrwać. Z okrążenia, kapujesz. Zdobyli samochody, kapujesz, grasują na naszych tyłach, atakują, strzelają. Trzeba z tym skończyć. Ty też będziesz musiał przypuścić atak. Ze wszystkich dział. Zrozumiałeś zadanie?

Z przygnębieniem, z największą irytacją dowódca batalionu wyobraził sobie, że jego ludziom, którzy już zarzucili pokrowce na swoje działa, zredukowali ogony łóz i przenieśli je na przodki, długo i mozolnie przemieszczali lufy do tyłu, w pozycję marszową, wszystko to pokryli sieciami maskującymi, pałatkami, gałęziami świerków, i teraz wypadnie całą tę robotę wykonać znowu, tyle że w odwrotnym porządku, a potem, po wykonaniu zadania bojowego, wszystko zaczynać raz jeszcze od nowa. Kiedyż zdążą pospać do piątej?

— Rozkaz, towarzyszu majorze — powiedział dowódca batalionu, wyprężając się i dotykając głową do belki sufitu. Wygładzając bluzę pod pasem przyciskał słuchawkę do ucha ramieniem. — A kto będzie moimi oczami?

Miał na myśli obserwatora artyleryjskiego, to jest korygującego.

— Będzie jeden oficer, nie znasz go. Zwróci się do ciebie tak jak poprzednio. Nie zapomniałeś, jak ostatnim razem cię nazywano?

— Zaraz... Jak to było? Rezeda?

— Dobrze pamiętasz. Korygujący ogniem będzie normalny, zna się na rzeczy. Już tam teraz pojechał, zadzwoni do ciebie na baterię, poda współrzędne celu.

— Wszystko jasne, idę na baterię — powiedział dowódca batalio-

nu i, odkładając słuchawkę, spojrzął z żalem na pozostawiany stolik.

— Ot, za wojnę nigdy pić się nie powinno. A to od razu się odezwie.

Kiedy celowniczy wkładał płaszcz — tak zamasyście, że zajmował tym wkładaniem trzy czwarte ziemianki — i kiedy wciskał uszankę dotykając łokciami sufitu, dowódca batalionu połączył się z baterią i ogłosił gotowość bojową. Potem dowódca batalionu wkładał płaszcz

396

i uszankę zajmując trzy czwarte przestrzeni, a celowniczy rozstawiając łokcie zahaczał o wódkę i zakąskę. Odczekawszy około pół minuty, dali sobie czas na pogodzenie się z nieuchronnością i wyszli do rowu łączącego. Rów był zrobiony solidnie, szeroko, dwie osoby mogły się minąć, ze spadzistymi, ubitymi ściankami, a dno wysypano miążkim piaskiem rzeczonym, poskrzypującym pod nogami jak krochmal. I celowniczy pomyślał, że dobrze by jeszcze ścianki te wyłożyć, jak u Niemców, starannie ociosanymi i związanymi drutem gałęziami. U nich i ścieżynki między ziemiankami i schronami wyłożone są taką plecionką, w największą niepogodę tam, gdzie się przebywa, błota się nie naniesie. Ale potem pomyślał, nie bez smutku, że Niemcy mają dużo czasu, więc się mogą tym wszystkim zajmować, a nam, Rosjanom, nigdy go nie starcza, często się trzeba głowić nad różnymi rzeczami, i czas mija jakoś między palcami. I na pocieszenie uznał, że gdyby rowy łączące były tak dobrze urządzone, to żal byłoby stąd odjeżdżać.

Stanowisko ogniowe baterii było rozlokowane w rzadziutkim lasku, parki artyleryjskie, choć rozmieszczone od siebie dość daleko, jednak były widoczne spomiędzy krzaków i drzew. W migającym

światle księżycyca niewidocznego zza obłoków, nawet przysadziste, szare cielsko ostatniego, czwartego działa widać było wyraźnie. A od Dniepru zasłaniała całą pozycję szczelna ściana świerków i brzoź. Czerniały teraz na ciemnognatowym tle, jak ostrza częstokołu. Artylerzystów, którzy wypełzali ze swych ziemianek, było niewielu i krzątali się przy swoich działach niespiesznie. Ogony łóz rozłączono, teraz tylko lemieszce wbijali w grunt i z nisz na amunicję taszczyli skrzynie z pociskami i amunicyjnymi łuskami.

Celowniczy pierwszego działa nie wtrącał się do tego wszystkiego. Pierwsze działa było też kierunkowym, to dla niego obliczano kierunek ognia, według osi jego lufy był — w razie potrzeby — konstruowany „wachlarz” bateryjny, do wyników wstrzelenia próbnego ognia dostrajali się celownicy innych dział. I celowniczy numer jeden od razu podszedł do swojego specjalnego, uprzywilejowanego miejsca — z lewej strony, przed samą tarczą — zdjął pokrowiec z celownika, zdjął skórzaną pokrywkę z okularu kątomierza działowego i włożył do kieszeni płaszcz, następnie kołem zamachowym mechanizmu podnośnikowego zaczął unosić już przeciągniętą w położenie bojowe lufę. Jakby na dany znak, grube lufy pozostałych trzech haubic również unosiły się ku nocnemu niebu, ku płynącym strzępom obłoków. Dowódca pierwszego działa nie było, poszedł na wieś, żeby po-
397

żegnać się ze swoją dwumiesięczną lubą, „sfinalizować romans”, jak oświadczył całemu plutonowi ogniowemu, ale i on nie był potrzebny celowniczemu, ponieważ sam dowódca baterii rozlokował się w pobl-

żu rowu łączącego przykrytego pałatką. Tam, w niszy, siedział łącznościowiec utrzymując kontakt z telefonami dalekosiężnej łączności oraz wewnętrznej, w samej baterii. Dowódca batalionu usiadł obok na ziemi, podłożywszy pod siebie poły płaszcza i zwiesiwszy nogi do okopu, a na kolanach rozłożył swój koordynacyjny mapnik.

Było zimno, wilgotno, i celowniczy, trzęsąc się pod swoim płaszczkiem, rozgrzewał się przedsmakiem tego, jak powrócą do ciepłej ziemi.

Zapewne i innym numerom przerzedzonych załóg chciało się jak najprędzej znaleźć w swych norach, jednakże stali w cierpliwym milczeniu.

— Do was, towarzyszu kapitanie — powiedział łącznościowiec i z dołu, spod pałatki, wyciągnął ku niemu słuchawkę.

Dowódca batalionu zachwiał się, pochylił i pochwycił ją.

— Popracujemy, Rezeda? — powiedziała słuchawka. Głos był nieznamy, w sposób nieuchwytny bezczelny i zawczasu drwiący, z miejsca budzący rozdrażnienie. Jak słyszysz?

— Słyszę — powiedział dowódca batalionu. — Ktoś ty taki?

— A czegoś taki ochrypły? — zamiast odpowiedzi zapytała słuchawka. — Przeziębilesz się? Czy też przeholowałeś?

— Słyszę — powtórzył dowódca batalionu, dając do zrozumienia, że w takie „rozmówki” się nie wdaje. — Pytam kogo ty?

— Ja? Też na „r”, ale nie Róża i nie Rumianek, a — Rabarbar.

— Toż to nie kwiatek — zdziwił się dowódca batalionu.

— Nie pachnie, to fakt, za to na zatwardzenie pomaga. Tak mówią staruszkowie. I na reumatyzm też dobrze robi. Dobra, co ci się tam wstrzeliło na rokadzie — między Ozierkami i Gołubkowem? No, koło

zagajnika... Jak ty go nazywasz, Kędzierzawy zagajnik?

— Małoż to mi się wstrzeliło — powiedział dowódca batalionu obrażonym tonem. — Kiedyż to było! Przeszło dwa miesiące temu...

— Aleś swoich tablic nie wykurzył, mam nadzieję? A możeś je w piecu spalił?

— A po co miałbym je palić? — obruszył się dowódca batalionu.

— No, pomyśl dobrze. Zrób wysiłek. Powinieneś znać to na pamięć.

— Proszę bardzo... Wyjazd z zagajnika Otdielnaja, gdzie rozwidlenie. Dalej na lewo — dąb samotny, od pobocza ze czterdzieści metrów, rozłożył taki... Nie wiem, czy stoi tam, czy go już nie ma...

398

— Nie taki rozłożył, ale stoi. Walisz w niego, i chciałbyś, żeby był rozłożył. Znaczący się, reper* numer jeden — rozwidlenie, reper numer dwa — dąb samotny, w przeszłości rozłożył. Dobrze cię rozumiałem?

W zamroczonej głowie dowódcy batalionu wszystko układało się tak, jak u wiejskiego operatora w pourywanym filmie. Jedne kadry zastygły na długo, bo taśma się urywała i zatrzymywała, inne szybko się przemykały, kiedy z miejsca puszczano je pędem. A jednak, mimo że był porządnie na bańce, dowódca batalionu jął podejrzewać, że ze współrzędnymi celu coś tam poplątano. Z jakiej niby to racji miałby ostrzeliwać małą rokadową szosę? Nazywano ją rokadową nie dlatego, że była równoległa do frontu, który daleko od niej się oddalił, lecz z racji tego, że biegła równoległe do Dniepru. I całkiem blisko od prze-

prawy. Można rzec — głęboki tył. Czyżby tak wielu przeniknęło tutaj z Myriatińskiego — „worka” czy też „kotła”? Wiedział, że i wdtuż brzegu Dniepru trwa polowanie na uciekinierów z okrążenia, ale wysyłano tam oddziały operacyjne, ciężkiej artylerii nie używano. I nawięziła go nawet myśl wręcz niesamowita: czy nie zakpił sobie z niego ten Rabarbar? Być może ni cholery tam nie koryguje, a siedzi sobie w ciepłym ukryciu, spogląda na mapę-dwuwiorstówkę i paluszkami tyka — tam, gdzie coś, jego zdaniem, być powinno. Chociaż, diabli wiedzą, dzwonił o nim przecieź szósty...

— Ej! — powiedział dowódca batalionu. — Nie pomyliłeś się aby, Rabarbar? Wygląda na to, że po swoich uderzę.

— Czyś ty całkiem zbaraniał od tego chlania? — wrzeszczał mu do ucha bezczelny głos. — Jacy oni tam swoi? Ciekawe, od kiedyż to? Szubienica do nich tęskni, a on powiada — swoi.

Dowódca batalionu rozwinąwszy mapnik poświecił sobie latarką.

Chociaż niewidoczny księżyc dawał wystarczająco dużo światła.

— A ty sam, gdzie się znajdujesz, Rabarbar? — zapytał dowódca batalionu.

— Gdzie? Powiem ci w tajemnicy: na końcu przewodu.

— Na jakim... końcu?

— Na tym. Na przeciwnym. Skup się lepiej. Pomacamy twoje wstrzeliwanie, cel numer jeden.

reper (fr.) — znak orientacyjny

— A nie mogę w ciebie trafić?

— Możesz, w zupełności. Cóż, taki gorzki nasz los, trzeba czasami i na siebie ogień sprowadzić.

Kiedy słowa te dotarły do świadomości dowódcy batalionu, wydały mu się najlepszym dowodem, że współrzędne podano właściwie. Każdą pomyłkę, swoją własną lub ogniowców korygujący przyplącał swoim życiem. I dowódca batalionu nabrał w końcu zaufania do Rabarbara, który początkowo wydał mu się antypatyczny. Miał nawet wyrzuty sumienia, że źle pomyślał o swoim towarzyszem bojowym.

— Cel numer jeden — powtórzył za Rabarbarem dowódca batalionu. — Celownik osiem, bardziej na lewo trzy. Pierwsze działo, jeden pocisk, ognia, pa!

Celowniczy przywarł do kątomierza działowego i obracając koła zamachowe odliczał podziałki tablic od poziomu działa i od punktu pomocniczego — wbitego w ziemię w pobliżu białej żerdzi. Za prawym jego ramieniem ciężki pocisk wpadał pyskiem do półokrągłego odbiorczego łoża nasady zamkowej, wsuwał się na swoim smarze w głąb aż do oporu obręczy i miękka miedź obręczy uderzeniem wbijała się w wylot gwintów. W ślad za nim wpełzała łuska amunicyjna.

Szczękniętą zamek. Pozostawało tylko wyciągnąć rękę i, nie patrząc, namacać spust.

Już nieodwracalnie przygłuchy, zwłaszcza — na prawe ucho, łatwiej niż przedtem znosił wściekły huk wystrzału, ale odczuwał całą swoją istotą ciężkie osiadanie i podskok haubicy, ostry odlot lufy i niespieszny

jej powrót, dźwięczne wyrzucenie gorącej, dymiącej łuski i z miejsca uderzający w nozdrza zapach dymu, zgorzeliny i spalonego oleju.

Wkrótce zatrzeszczała słuchawka dalekosiężnej łączności, i dowódcę batalionu jęli informować co do poprawek dotyczących przesunięcia ognia. Dowódca batalionu głośno pytał ponownie, całkiem już ogłuchły, drugie ucho przyciskając dłonią.

Tymczasem celowniczy rozmyślał o tym, jak słowa dowódcy batalionu, wlatujące do słuchawki, będą jedno po drugim po przeciągniętym pod Dnieprem przewodzie w osłonie, w zimnej głębinie, między kamieniami, odłamkami, wśród trupów, które nie wypłynęły, i daleko, na tamtym brzegu, wylatują ze słuchawki do ucha korygującego. A jego słowa tą samą drogą będą na spotkanie. Ciekawe, co będzie, jeśli obaj zaczną mówić jednocześnie? Zapewne słowa spotkają się gdzieś na dnie i żadne nie zechce ustąpić z drogi, tak że nikt niczego nie usłyszy. Chociaż, prawdę mówiąc, nie ma powodu, by się natykać na siebie, mogą więc też rozejść się w zgodzie. Chłopaki z grupy, która płynęła pierwszą łodzią, i którzy zginęli potem razem ze swoim lejtnantem Niefiodowem, mówili, że sam dowódca armii przydzielił artylerzystom niemiecki kabel z izolacją z gutaperki, o pojemności sześciu żył. Bardzo długo służył tenże kabel — tymże Niemcom, ale już na ich głowy.

Gdybyż tylko na niemieckie głowy! Z niespodziewaną ulgą celowniczy usłyszał, że nigdzie jeszcze nie trafił. Z drugim pociskiem stało się to samo, choć trafił już bliżej celu. I od tego wszystkiego celowniczy poczuł się nieswojo: było mu jakoś niezręcznie za to swoje

uczucie ulgi i zrobiło mu się, nie wiedzieć czemu, smutno, i ogarnął go dziwny, niepojęty niepokój, jakby go ktoś podglądał, podsłuchiwał jego niestosowne, niedopuszczalne nastroje. Czym mógłby się wobec tego tajnego szpicla usprawiedliwić? A wobec siebie? Bądź co bądź strzelał nie do fryców, którzy przyszli na cudzą ziemię, i Bóg wie co na niej narobili, lecz do ludzi, którzy na tej ziemi się urodzili. Mówiono o nich, co prawda, że są jeszcze gorsi od Niemców, i tłumaczono to tym, że podnieśli broń przeciwko swoim. Jednak przecież i on strzelał nie do obcych... Dziwne, nigdy w myślach nie stawiał siebie na miejscu Niemca, a na ich miejsce — próbował.

Rzecz niesamowita — ziemia przyczółka, już zdobyta, zagospodarowana, stała się takim niebezpiecznym obszarem, po którym nie było sprawą prostą poruszać się, czy to w pojedynkę czy to grupowo. Nieszczęśni uciekinierzy wałęsają się to tu, to tam — w niemieckim mundurze; poszukują radzieckiego, zdejmują z zabitego, kogo nie zdążyli pochować grabarze, napadają z zasadzki na przejeżdżających po drogach, zabijają bezlitośnie, byle tylko się przebrać i wtopić w masę ludzi powracających ze szpitali, poszukują swych jednostek. A główny ich cel — to przeprowić się przez Dniepr, mają bowiem nadzieję, że tam rozpułną się całkowicie. Wyłaniają się w pobliżu rzeki, by ją przepłynąć lub tylko napić się wody — i do nich strzelają z kulomiotów i opancerzonych łodzi lub z góry — z samolotów. Nikt się nie spodziewał, że dobrną do Dniepru, sądzono, że wobec groźby okrążenia — pójdą na zachód z Niemcami. Nie chcieli iść z Niemcami, chcieli podać się swoim, przychodzili pojedynczo i całymi oddziałami, ale wkrót-

ce dowiedzieli się, że ich droga do niewoli oznacza najbliższy mur i kulkę w łeb, i już się nie poddają. Teraz, podobno, robi się wszystko, żeby nie dać im chwili spokoju, żeby nie mogli nocą spać. A za dnia,
401

kiedy doskwiera głód i ogarniają ciężkie myśli, też nie mogą zasnąć. I chodzą po wsiach i chutorach — głodni, umęczeni, zaszczuci ludzie. Na drogach i leśnych przesiekach czekają na nich samochody z oddziałami operacyjnymi „SMIERSZ-u”, przeczesują zarośla, wąwozy i leje, przetykają bagnetami stogi siana. W przeddzień wrócił z tamtego brzegu pocztarz, zajechał, by wziąć listy z baterii i opowiedział, że akurat podjechał do przeprawy, kiedy przypędzili do brzegu z pół setki jeńców. Wszyscy zbiegli się, by na nich popatrzeć. Skazanym na śmierć kazano zejść ze stromizny w nurt rzeki. Oni, być może, sądzili, że ich będą przesłuchiwać, wypytywać, jak się zeszli z Niemcami i dlaczego, przygotowali odpowiedzi, chcieli opowiedzieć o swoich krzywdach. Usłyszeli z góry, z głośników: „Płynicie. Kto dopłynie, niechaj ucałuje ziemię, którą zaprzedał, prosi ziemię rodzoną o przebaczenie”. Zapytali: „Po co płynąć, zaraz przecież zaczniecie strzelać?” — „Strzelać nie będziemy.” — „Oszukacie. Jeszcze tak nie było, żebyście nie strzelali.” — „A teraz nie będziemy. Słowo czekisty.” I nie strzelali. Tylko posłali w ślad za nimi kuter, który płynął po nich zygzakiem i prasując i rżnąc gwintem. Podniosła się krwawa fala. Nikt nie wytrzymał.

— Bateria! — zawołał dowódca batalionu do słuchawki łączności wewnętrznej — Celownik osiem, na lewo sześć, dwa pociski odłamkowo-fugasowe, ognia, pa!

I celowniczy tak to odczuł, że wałą teraz nie po czołgach, nie po żadnych pancierzach, a po ludzkim ciele.

Chłopaki ze „SMIERSZ-u” powiadają, że radzi by ich brać do niewoli, ale nie są w stanie ich utrzymać pod kluczem. I nie chodzi o to, że zbiegną, temu można zaradzić, ale o to, że od chwili gdy zostaną złapani, myślą tylko o tym, jak się samemu targnąć na swoje życie. Pewnego razu, nim ich zamknięto w szopie, przeszukano ich tylko z grubsza — i na jednym jedynym kawałku przewodu telefonicznego wszyscy się powiesili. Kiedy kolejny przestał chrypieć i szamotać się, zdejmowali go z pętli i następnym już spieszył wsunąć swoją głowę. Można pomyśleć — oto zapłata, ludzie sami sobie wymierzają karę. Otóż nie — w ten sposób właśnie „unikają zapłaty”. Wszystko winno się odbyć zgodnie z wyrokiem, a nie tak, żeby każdy sam był sobie prokuratorem. I w ogóle egzekucja jest ważna nie tyle dla złodzieja, co dla widzów. Dlatego też w Myriatinie podobno ma się odbyć masowa i publiczna...

Chwilami celowniczy odczuwał przyprawiający o dreszcze strach — jakby sam był wśród nich, szukał i znajdował umundurowanie swego rozmiaru, ale mimo to demaskowano go i podchodził pod gardło

402

błyskawiczny strach zguby, a następnie rozkosznej ulgi, że nie jest, chwala Bogu, z nimi. Gdyby nie te drzewa, które przesłaniały baterię od strony Dniepru, widać by było teraz ciemny brzeg, po którym schodzą do wody, niczym dzikie zwierzęta do wodopoju, w każdym mgnieniu oczekując napaści, śmierci. Wstrząsał się od zimna zewnętrznego i od zimna w duszy i usiłował nie myśleć o tym, że on i dowód-

ca batalionu, z którym złączyła go niemal rodzinna więź, powrócą do ziemianki i pociągną dalej swą dysputę. Być może porozmawiają o tym, co się wydarzyło, jak ciemna woda popłynęła pomiędzy swymi? A może lepiej o czymś innym?...

— Dobrze grzmocisz, Rezeda! — wleciało do ucha dowódcy batalionu. — Pociski prawie trafiły w cel. Tylko rozrzut masz straszny, walisz po placu. Zrób porządek ze swoją elipsą, daj salwę wzdłuż rokady! Rozumiesz? Z przemieszczeniem w lewo o dwie podziałki.

Wzdłuż rokady!

Dowódca batalionu rozumiał. Żeby „zrobić porządek” z nie-szczęsną elipsą rozrzutu powinien był ze wszystkich czterech luf wy-stroić figurę, która u artylerzystów nosi nazwę „równoległy wachlarz”, a przedtem znaleźć punkt orientacyjny umieszczony w nie-skończoności, dopiero potem zaś zrobić poprawkę od niego. Szczyty świerków i brzoź, przesłaniające brzeg Dniepru, do tego się nie nada-wały. Nie nadawały się też do tego żerdzie powietrznego przewodu, który wiódł od baterii ku przeprawie. Dobrze by było zaczepić się, po-myślał, choćby o jakiś obłoczek, gdyby tylko stał w miejscu. Lecz oto wiatr popędził ciemne strzępy przesłaniające pół nieba i z miejsca zro-biło się jasno. Delikatny, perłowy blask przydał niebu piękna, jak wówczas, kiedy się zanosi na nów. Uniósł głowę i zobaczył cienki, dwojący się w jego oczach sierp, którego ostre różki odsunięte były w lewo. Taki ogromny, oślepiający, soczysty bywa tylko na niebie ukra-ińskim. I dowódcę batalionu uradował ten księżyc. Wysiłkiem oczu ze-spolił obie sylwetki w jedną i powiedział do siebie: Zgodnie z receptą

doktora! To był właśnie ten punkt orientacyjny, którego brakowało mu do „wachlarza”.

— Bateria! — krzyknął do słuchawki. — Punkt pomocniczy —

Księżyc! Celować w prawy rąbek Księżycy-yca!

Celowniczy znowu przywarł do celownika, dostosował swoje prawe oko do przeziernika kątomierza działowego, przycisnął swoją umęczoną brew do jej sprężystej, gumowej osłony. Ogromny księżyc pojawił się nad skrzyżowaniem, taki bliski, że można było na nim roz-

403

różnić kręte zaciemnienia — chyba księżycowe wąwozy. „Ot, gdzie by dobrze było prysnąć na dłużej, przechytryć los!” — pomyślał celowniczy i wyobraził sobie maleńki kwiatek eksplozji na srebrzysto-niebieskiej powierzchni naszego satelity. Obracając koło zamachowe mechanizmu podniesienia doprowadził krzyż celowniczy do wypukłej strony łuku, do jego środka, do samego koniuszka, i następnie uwzględniając odpowiednią poprawkę, przesunął nieco do góry w lewo. Księżyc przecinał górnym swoim rogiem gęsty granat nocy i wypełniał niemal całą dolną połowę kręgu.

— Cel numer dwa! — przeciągle, z zaśpiewem zawołał dowódca batalionu. — Bateria, trzy pociski ogień rozproszony!

Przynajmniej jeden z dwunastu powinien być trafić. „Dobrze by było — żeby nie mój” — pomyślał celowniczy. Nie uchylił się i poczuł bolesny ucisk na swoją nieszczęsną brew. Po raz tysięczny przegapił moment, kiedy i jak pocisk opuszcza lufę i dał sobie słowo, że nie będzie już myślał o takich głupstwach. Na szczęście była to ostatnia salwa.

— Dobra, starczy, Rezeda! — zakrzyrzała słuchawka. •— Wciąż walisz... Po co aż tyle? — Po chwili milczenia Rabarbar powiedział głuchym głosem i, jak się wydało dowódcy batalionu, nawet z pewną irytacją:

— Możesz uważać, że cel został zniszczony... Jesteś wolny, Rezeda.

— Wszystkiego dobrego, Rabarbar — powiedział dowódca batalionu.

— Bywaj zdrów, Rezeda. Możesz iść i popijać dalej.

Ale jeszcze dużo pozostawało do zrobienia przy tej baterii, gdzie dowódcy batalionu i celownicemu z braku ludzi wypadło pozostać do końca, i w tym czasie, kiedy wrócili do ziemianki, zdążyli już całkiem otrzeźwieć. W ten sposób słodki proces wniebowstąpienia rozpoczął się dla nich od nowa. Powrócili do przerwanej przez dzwonek szóstego sporu w tym samym punkcie, jednakowoż z pewnymi zmianami. Celowniczy był teraz pełen wątpliwości, czy ludzie na pierwszej linii są wszyscy co do jednego dobrzy. Natomiast dowódca batalionu obecnie nalegał właśnie na to — ale bodajże bardziej po to, by nie stracić rozkoszy, jaką dawała rozmowa.

O ciemnej wodzie, jaka popłynęła pomiędzy swoimi — nie mówili.

RAPORT

Do dowódcy wojsk Frontu generała armii WATUTINA

1. Dzisiaj, 2 listopada 1943 roku, zgodnie z Waszym rozkazem, objąłem dowództwo 38. Armii powierzonego Wam Frontu, o czym donoszę.
2. Skład osobowy jednostek i grupowań o mojej nominacji został powiadomiony.

3. Załączam do niniejszego Raport na piśmie członków Rady Wojennej Armii o mającym miejsce incydencie dotyczącym byłego dowódcy, Bohatera Związku Radzieckiego, F. I. Kobrisowa, a także okolicznościach śmierci oraz w sprawie organizacji pogrzebu towarzyszących mu ludzi.

/-/ Tierieszczeiiko

Do mianowanego dowódcą 38. Armii

generała-pułkownika TIERIESZCZENKI

członków Rady Wojennej Armii:

generała-majora PURTOWA

generała-majora FARTUSOWA

RAPORT

1 listopada bieżącego roku, o godzinie 20.45 samochód „willis” o numerze bocznym 090678 ze znajdującymi się w nim dowódcą 38. A., generałem-pułkownikiem, Bohaterem Związku Radzieckiego, Kobrisowem F. I. oraz towarzyszącymi mu osobami: oficerem do specjalnych poruczeń przy dowódcy, majorem Donskojem A. N., ordynansem, mł. sierżantem Szestierikowem S. T. i kierowcą, starszym szeregowcem Sirotinem W. P., poruszając się w obszarze dyslokacji 114. Zmotoryzownego Pułku Strzeleckiego 17. Myriatińskiej Dywizji Strzeleckiej, na odcinku drogi Ozierki-Gołubkowo, w odległości 50 metrów od zagajnika pod nazwą Otdielnaja, został ostrzelany z haubicy 405 przeciwnika, prawdopodobnie kalibru 155 mm i pocisk trafił bezpośrednio w cel. Zostało to zauważone z naszych pozycji i ogłoszono alarm.

Po przybyciu oficerów pułku na miejsce śmiertelnego wypadku, ciała poległych znajdowały się w stanie nierozpoznawalnym, ich strzepy — porozrzu-

cane, jednakowoż zostali rozpoznani na podstawie zachowanych w kieszeniach mundurów blaszek-medalionów identyfikacyjnych z danymi o każdym z nich. Dowódca, Kobrisow F. I., którego znaleziono w odległości 45 metrów na tejże drodze, leżącego bez przytomności, kontuzjowanego, został odwieziony do szpitala. Obecnie znajduje się w stanie ciężkim, lecz nie beznadziejnym. O szczególnym niebezpieczeństwie tego odcinka dowódca Kobrisow F. I. uprzedzony został przez postawionych na rozwidleniu dyżurnych, którzy utrzymują, że ich nie posłuchał. Przypuszcza się, że trafienie to było przypadkowe, wystrzał pojedynczy, bez celowania, o nękającym charakterze. Szczątki ciał zebrano z maksymalną skrupulatnością, wydano od iziawo- wi pogrzebowemu polecenie, by rozdzielić je równomiernie do trzech trumien, z dosypaniem — dla utrzymania odpowiedniego ciężaru — ziemi wziętej z miejsca śmiertelnego wypadku, następnie trumny zamknąć, lubić gwoździe i oblec w całości tkaninę pogrzebowe.

Pogrzeb odbędzie się jutro, 3 listopada o godzinie 14.00 w Centralnym Parku Kultury i Wypoczynku miasta Myriatin; wszyscy trzej pochowani zostaną we wspólnej mogile z oddaniem honorów wojskowych: marsze odegra zjednoczona orkiestra dywizji strzeleckiej, salwę honorową zaś — wybrani przedstawiciele najlepszych zgrupowań i jednostek armii, a na wiecu miejscowej ludności wystąpią przedstawiciele partyjnych i państwowych organizacji oraz społeczności miasta. Na miejscu pochówku ustawiony zostanie tymczasowy obelisk z połączonymi nazwiskami poległych i pięcioramienną czerwoną gwiazdą. W przyszłości zamierza się wznieść trwały nagrobek upamiętniający na wieki wyczyn bohaterów-wyzwolicieli Myriatina.

Miejsce śmierci majora DONSKOJA Andrieja Nikołajewicza, młodsze-

go sierżanta SZESTIERIKOWA Siergieja Timofiejewicza, starszego szeregowca SIROTINA Wasilija Pietrowicza zostało zaznaczone na mało-skaloioiej mapie operacyjnej, mapa zaś wraz z nagrodami i aktami osobowymi poległych spoczywa w sejfie wydziału politycznego armii, za który odpowiada — st. lejt-nant Byczkowa G. I.

Do rodzin poległych śmiercią odważnych wysłała się indywidualne listy.

Pamięć o poległych pozostanie na zawsze w sercach żołnierzy 38. Armii.

406

Podpisy: /-/Purtow /-/Fartusow

Za zgodność z oryginałem: /-/ G. Byczkowa

Uwaga: samochód „willis”, nr boczny 090678, który przypisany był do dowódcy 38 Armii, zgodnie z aktem zostaje spisany na straty jako nie nadający się do remontu.

Po upływie piętnastu lat, umierając ciężko, strasznie, zapragnął, by zawieziono go w to miejsce za Kuncewem, do którego dojechał wówczas, w 1943 roku. Żona zamówiła taksówkę, pomogła włożyć płaszcz i ciepłe buty „żegnaj młodość”, córki sprowadziły go ze schodów, posadziły, ale dalej niż do bramy nie towarzyszyły mu. Nie interesowały się wcale ani tym, jak wojował, ani jego wspomnieniami „o walkach-zgliszczach, o przyjaciółach-towarzyszach”. Oczywiście martwiły się, że jest coraz słabszy, coraz mniejszy i w objętości i we wzroście, co on poczytywał za początek odejścia w niebyt.

O jego wychudzeniu młodsza powiedziała:

— To drobiazg, papo, to znaczy tylko, żeś przedtem składał się głównie z wody.

Rzeczywiście, można się było tym pocieszać.

Zamówiony taksówkarz okazał się nieomal jeszcze chudszy, o umęczonej twarzy, pooranej głębokimi zmarszczkami, oczach wodnisto-niebieskich, w których czało się ciepło swoistej świętości — takie twarze mają tylko ci, którzy pijąc na umór, nie muszą już zakąsać. Na widok swego pasażera wyszedł i otworzył drzwi zapytując:

— A dokąd to zawieziemy towarzysza gwardii pułkownika?

Powiedział wesoło, a popatrzył ze współczuciem. „Dobry jestem”

— pomyślał generał nawet bez smutku i odpowiedział bez wyrzutu, uśmiechając się bezkrwistymi wargami:

— Coś za dużo mi przypisujesz.

— Chyba nie — powiedział kierowca. — Mam dobre oko.

— To się czuje — powiedziała żona.

Było to w przeddzień świąt październikowych i Moskwę zdobyły sztandary, transparenty, portrety drogich i ukochanych. Święto to było nienawistne generałowi „z powodów pogodowych”, jak mówił, i w rzeczy samej, długo wybierali oni dzionek dla przewrotu! Ale był to także przeddzień innego święta — 15-lecia wyzwolenia. Przedstawia; rocznicy tego dnia, który spędził w szpitalu zupełnie nieprzytomny,
407

dnia, który w rodzinie generała z szacunkiem uchodził milcząco za jego osobiste święto. Na ten dzień przysyłano mu zaproszenia na spotkanie weteranów 38. Armii do którejś z moskiewskich restauracji, tym razem do Białej sali restauracji „Praga”; zapraszał nowy przewodniczący komitetu założycielskiego, eks-politruk kompanii karabinów maszynowych, obecnie zdymisjonowany major, Bieżgłasy. „Przeby-

liście wraz z armią — pisał — sławną drogę od Woroneża do Predsławla". I chociaż wszystko to było słuszne, nawet więcej niż słuszne, bowiem do Predsławla generał nie doszedł, a tylko do Myriatina, wszystko jedno — było mu przykro. Czemuż to jego, generała, zaprasza jakiś tam major? A co on wtedy robił, ten Biezglasny? Pewno w kancelarii siedział, papierki podpisywał, ot, jaki to podpis sobie wyrobił — niczym minister obrony!.. Nigdy go nie zapraszano, kiedy miał być Tierieszczenko, i nie dyktowała tego subtelność gospodarzy: nie wiedzieli wcale, czy pragnie się widzieć z Tierieszczenką, natomiast wiedzieli doskonale, że Tierieszczenko nie życzy sobie takiego spotkania. Tym razem z Tierieszczenką niepodobna było się porozumieć: dowodził jakimś nie byle jakim okręgiem i aspirował do rangi marszałka, zaproszono więc Kobrisowa. Nie poszedłby, nawet gdyby był zdrowy. Nie odpowiadał też na zaproszenia, by przyjechał do Predsławla — no i nie zobaczył go. Nie chciał czytać o jego odbudowie, nie oglądał kroniki filmowej na temat tego miasta. Poleciał w testamencie, by go pochowano w Myriatinie, ale córki, gdy się o tym dowiedziały, poprosiły tatusia, by nie robił głupstw, należy mu się miejsce na cmentarzu Nowo-Diewiczym, a jeżeli jemu jest wszystko jedno, to rodzinie i potomkom bynajmniej nie będzie wszystko jedno. Teraz nie było już żadnego testamentu. I nie był potrzebny, wszystko i bez niego wzięły w swoje ręce córki.

Z pewnymi trudnościami, które udało się jednak przezwyciężyć, córki powychodziły za mąż, starszą mąż porzucił, i u młodszej, bodajże, wszystko się ku temu skłaniało, wszelako wyrosły nowe pokolenia, i każ-

da nowopowstała rodzina otrzymywała swój kąt w mieszkaniu. Jemu i żonie pozostał najmniejszy pokoik, co prawda, nie przechodni i nie przylegający doń — generał już się znał na tych rzeczach. Zresztą i w przedpokoju wydzielono mu kawałek terytorium, odosobniając stałą przegródką do sufitu; i tam, gdzie ongiś siedział Szestierikow i przeglądał albumy z fotografiami, tam teraz siedział generał i pocił się nad swoimi wspomnieniami. Papierki, które namawiały do pisania, jako że chciało się wreszcie powiedzieć całą prawdę o wojnie, rozkładał w kuchni na stole, który zamierzano wyrzucić, ale uprosił, by mu go zostawiono.

I była jeszcze Aprielowka; te dwa hektary otrzymał zaraz po Zwycięstwie wraz z tanim domkiem fińskim, ale z ogrodu i sadu nic nie wyszło, córki nie miały do tego głowy, a myślały tylko o tym, jak tę „willę" podzielić albo sprzedać, on zaś od razu żałował, że zgodził się na takie zawracanie głowy. Gdybyż tu królował Szestierikow. Ale nie było Szestierikowa.

Z ulicy Gorkiego skręcili na obwodnicę Sadowoje Koko. Z prawej strony wznosił się Majakowski, którego tego lata ustawiono przy pomocy dźwigów, narzuciwszy mu na szyję stalową pętlę, głowę zaś okręciwszy jakimś workiem. Tego lata generał jeszcze mógł dojść tutaj pieszo... Wiersze generał zawsze lubił i nie miał nic przeciwko pomnikowi, o którym wypadało źle mówić, tylko nie bardzo wiadomo było, co też się dzieje z prawą ręką poety; wyglądało na to, że wyjmuje kieszonkowy zegarek — sprawdza, czy nie czas już na spacer na ukos do „Ermitażu" na obiadek. Za jego plecami, przesłaniając niemal

wszystkie okna budynku, wznoszono na sznurach, kołysany wiatrem, portret Chruszczowa. Generał patrzył z niedowierzaniem — czy to ten sam, który przyjechał do niego na przyczółek i obdarowywał ukraińskimi koszulami z haftami i frendzlami? Oto jaką władzę zagarnął, samego Żukowa spławił dając mu dymisję — jego, bez którego pół roku temu ani chybi by się nie utrzymał. I żadne wspomnienia bez niego się nie obejdą. Literacki wyprostowywacz kości, młody szafawiła, którego z ramienia Wydawnictwa Wojskowego przystawiono do generała, ażeby „ożywił” jego zapiski i ustne opowieści — i nie nauczono, że do generałów wypada przychodzić o umówionej godzinie — ów przyszedł pisarz powiedział, że teraz minęły czasy kultu i o Naczelnym można nie wspominać, ale bez spotkania z Nikitą Siergiejewiczem obejść się nie da, teraz nadeszła nowa era i lata się liczą „od Narodzin Chruszczowa”. Spotkanie na przyczółku młody nicpoń zdyskwalifikował, poprosił, by generał wspomniał o czymś od serca, a najlepiej — o czymś bohaterskim. Przypomniało mu się coś od serca, a nawet w jakimś sensie bohaterskiego: na Front Woroneski przyjechał kiedyś Chruszczow, by poznać nową armię, i Kobrisow powitał go przed samym wjazdem do wsi, gdzie mieścił się sztab. Była wczesna wiosna, i całe pole pokrywały tysiny obnażonej ziemi. Spotkanie mogło być malownicze, przyjechali nawet filmowcy, by je uwiecznić, ale wszystko

409

popsuł nadlatujący „Messerschmitt”. Najbezpieczniej dla Nikity Siergiejewicza byłoby walnąć się w błoto, obok maskującej przywiewanej trawy, on jednak, nie chcąc pobrudzić swej bekieszy, legł na białym jak

cukier śniegu. Pilot „messera” chyba tylko ze skrajnego zdziwienia nie trafił w taki wspaniały cel, ale wszyscy byli zaniepokojeni. Adiutant wciąż padał na Nikitę Siergiejewicza, zasłaniając go swym ciałem, a Nikita Siergiejewicz zrzucał go i przeklinał. Epizod nicponiowi spodobał się, ale ubódł do żywego redaktora Wydawnictwa Wojskowego. Powiedział, że skoro się nie pamięta, to trzeba coś wymyśleć. Jak to wymyśleć — jeśli nie było? A bardzo prosto, wszyscy wymyślają, nikt tego przecież sprawdzać nie będzie. Ważne jest to, że w takim to czasie i w takim to miejscu takie spotkanie mogło nastąpić. I zaraz wymyślono coś odpowiedniego, jak to rozniosły się pogłoski, że obetną pensje generałom. Ale jakoś odechciało się wymyślać...

A Naczelnny — ten całe hektary rozdawał, w tym i Aprelewkę.

Miał gest, ten zbój, tego mu nie można odmówić. I oto obwodnicą, przez Sadowoje Koko, w lipcu czterdziestego czwartego pogał pięćdziesiąt siedem tysięcy jeńców — pokazał Niemcom Moskwę, i ich pokazał Moskwie: wygłodzonym, wymęczonym przez wojnę ludziom powiedział tym samym: nie tacy oni znowu straszni, jak się wam wydaje i święto nasze — nie jest za górami. I jak precyzyjnie wybrał porę roku: sam środek lata, lipiec, ale obiecał, że można już się nie bać, tego lata Niemcy nie będą atakować. W sierpniu taka obietnica byłaby już zbędna. W czym rzeczywiście celował — to w takich właśnie efektach, podnoszących armię i naród na duchu, i o których nie sposób nie wspomnieć bez rozrzewnienia i zachwytu! Tak cesarze gnali po Rzymie barbarzyńców przykutych do rydwanów. I w ogóle generał nie miał nic przeciwko temu, by opowiedzieć o spotkaniu z Naczelnym, a

gdyby tylko było można, to właśnie o tym w Komisariacie Ludowym Obrony, drugiego dnia wojny; no, można by nieco złagodzić akcenty, z biegiem lat spotkaniu temu nadawał nowy sens, i wspominał o nim bez odrazy. Ale okazało się, że i o tym, nie wiedzieć czemu, nie można, a więc najlepiej — w ogóle nie wspominać.

„A ty — zapytywał sam siebie — o wszystkim masz ochotę wspominać?” Przychodziły zaproszenia od weteranów innej armii, którą dowodził po 38. — nigdy im nie odpowiadał. Prawdę mówiąc nie był już dowódcą, coś w nim zamarło. Co więcej, od ponad roku nie otrzymał ani jednego orderu osobiście, wszystkie były z tych tylko, które przyznawano hurtem całemu frontowi. Przyjeżdżał dowódca frontu

410

Popów i mówił ze smutnym wyrzutem w głosie: „Fotiju Iwanyczu — zamierzasz jeszcze wojować?” Obaj byli generałami-pułkownikami, obaj Bohaterami, tak więc surowo karcić Kobrisowa nie ośmiał się, zresztą człowiek był z niego delikatny, dlatego też nie doczekał się gwiazd marszałkowskich, ani orderu „Zwycięstwa”. „A ja, co, Markianie Michajłowiczu, twoim zdaniem, nie wojuję? — Tak, ale jakoś dziwnie wojujesz. Całe gospodarstwo zaprowadziłeś, krowy masz, pełno kobiet, co i raz weselisko sprawiasz, a Niemca wcale nie niepokoisz.” — „A po co miałbym go niepokoić, skoro mnie nie tyka? Jak będzie wspólne natarcie — ruszymy po malutku, po cóż się szamotać bez potrzeby? Niemca postraszysz — potem mi przez tydzień nie da spokoju”. — „Mówili mi, Kobrisowa trzeba będzie trzymać na wodzy, a ty żadnej inicjatywy nie przejawiasz. Nie interesujesz się nawet tym, co

się u ciebie dzieje na lewej flance..." — „Herbatki nie odmówisz?" — pytał w odpowiedzi Kobrisow. — „Każę postawić samowar, a nim się woda zagotuje, nim chlapniemy sobie po filiżaneczce, złożą nam raport, co się tam dzieje, na tej flance. Na której, powiadacie? Na lewej?" Dowódca od herbatki się nie wymawiał, mówił tylko z westchnieniem: „Oduczyłeś się, Kobrisow, wojować..." A Kobrisow coraz większą ulgę, nawet zadowolenie znajdował w tym, żeby się schować pod płaszczkiem swego bzika. Stało się to jego stylem. Rozmyślając o tym teraz, przypomniał sobie podsłuchaną rozmowę dwóch żołnierzy, którzy ryli dla niego okop, młodego i starszego. „A co względem stylu, co do stylu, czy oni się między sobą różnią zasadniczo, ci nasi dowódcy armii?" — dopytywał się młodszy. A ten drugi, wiekiem i doświadczeniem frontowym starszy, robiąc sobie skręta z gazetki „Bojowej Listok", odpowiadał mu: „Jakże by nie tak — zasadniczo? Jeden ma w sobie mniej bzika, a drugi więcej, ot, czym się różnią...". Ach, mądrała! Doprawdy, niczego mądrzejszego nie usłyszał Kobrisow o sobie i swoich kolegach w ciągu całej wojny.

Nie czekając na zwycięski koniec, zaproponowano mu szkołę wojsk artyleryjskich. Co zdążyli osiągnąć jego absolwenci podczas wojny? „Odnotować się" — jak mawiał. Zresztą kilku spośród nich brało udział w zdobyciu Reichstagu, byli też i tacy, którzy zdążyli na pierogi do Pragi, a co poniektórzy nawet w składzie 38... W ich pamiątkowych albumach z fotografiami znajdował się i on, w pięknym owalu, i zaznaczano, że to właśnie on formował 38. Wszystko się jakoś z nią wiązało, z tą, którą mu odebrano. I jeśli się zastanowić, to i on także, wbrew

swemu pechowemu losowi, wyzwalał Pragę, pomógł czeskim po-

411

wstańcom wykurzyć esesowców. Czechom, co prawda, pomogli już przedtem własowcy, ot, trafiają się czasami takie zbieżności. No cóż, to i dobrze, że zakończył Własow swą pokrętną, beznadziejną drogę dobrym uczynkiem, i mógłby Naczelnicy to uwzględnić i nie skazać go, a wybaczyć mu w atmosferze ogólnej radości. Ale tak już jest, że i na dobre uczynki trzeba jeszcze mieć prawo zasłużyć, a któż je przyzna zdrajcy?! I cóż to by było u nas za Zwycięstwo, cóż to za radość — bez „sprawiedliwego gniewu ludu”, bez „świętej odpłaty”?...

Jechali teraz Prospektem Kutuzowa, tu również pełno było Chruszczowów i innych drogich i kochanych, z ich powodu musiał przejechać obok Panoramy Borodińskiej i niewidocznej Góry Pokłonnej i nie dostyszał początku, kiedy taksówkarz zaczął opowiadać żonie o swym udziale w bitwie o Moskwę:

...a czołgi gna, rozumiecie, gna, a czołgi ma wściekłe, ach, jakie wściekłe! I wszystkie dokądś w bok pognały. No a mnie co — więcej niż innym trzeba? Ja też na bok. Nie to, żebym dał drapaka, ale pędzę, co sił. Powiem wam, Majo Afanasjewno, gdzie najlepiej zwiewać. Najlepiej — do samego środka. Jak byłem młody, to dobrze biegałem, wszystkich mogłem wyprzedzić, ale jakiś jakby instynkt mi podpowiadał: „Nie spiesz się, nie spiesz...” — nie daj Boże, politruk z pistoletem wyskoczy naprzeciwko: „Stój, tchórze, zdrajcy!” — albo oddział zaporowy z karabinów maszynowych puści serię — pierwsze kule twoje będą. A wszystkich przepuścić do przodu — też niedobrze, Niemiec

dogania, po plecach z automatów grzmoci, i nikt cię nie osłania. Tak że najlepiej — w samym śródeczku. Ale powiem wam, Maju Afanasjewno, kiedy w śródeczku źle, a lepiej — na boczku. To kiedy „messer” nadleci — po naszymu „messer”, a po ichniemu „Messerschmitt” — właśnie on w sam śródeczek cały zapas amunicji zasunie, bo tutaj — skupisko, a po co mu się za pojedynczymi uganiać?.. A tu „Junkers” nadleciał, osiemdziesiąty siódmy, „łapciarz”, jak go nazywaliśmy, też wściekły był, bombką w nas — trach! Ogłuszyło mnie — i leżę w leju. Nie wiem, kto mnie do leja strącił, jak się ocknąłem — leżę zasypany, w głowie, za przeproszeniem — taki huk aż dzwoni. A powiadają, że całe życie w takiej chwili przed oczami człowieka mu miga. No może nie całe, a częściowo... Ale wiele trzeba było wtedy przemyśleć. I po co to, myślę sobie, ludzie wojnę wymyślili? Ach, matulu ty moja, wojna!.. Nie daj Boże!..

„Nie rozumiem — myślał generał. — Któż to wtedy odnosił zwycięstwa, jeśli mieliśmy takich obrońców ojczyzny, to w śródeczek się

422

starat dostać, to na bok?..” I ze zdumieniem przyznawał, że tak, właśnie oni. Zawsze otaczali go ludzie waleczni, w dodatku starający się w jego obecności wykazać swoją walecznością, toteż wyrobił sobie zdanie, że cała armia jest w zasadzie taka. A w rzeczy samej tylko znikomą jej część, jak w granacie zapłon, stanowią ci, którzy lubią wojować, i bez których wojna nawet trzech dni by nie potrwała, a dla ludzi w masie, „w śródeczku”, jest tylko straszna i nienawistna. Więc, być może, nic w tym dziwnego i haniebnego, że on również na długo przed śmier-

cią poczuł do niej obrzydzenie? Co prawda, jeszcze dwanaście lat po zakończeniu wojny stał na czele uczelni kształcącej czołgistów, ale cóż to była za wojna — studiować operacje, które się nigdy nie powtórzą? Pomału odechciało mu się nawet wspominać wojnę, życie wypełniły analizy i diagnozy, opowieści o operacjach zupełnie innego rodzaju, o tym, jak przygotowywali i jak dawali narkozę, i kiedy się ocknął po kilku godzinach. Prawda była taka, że umarł tam, w Myriatinie. Tam też powinien spoczywać. Przeczucie było słuszne, nie oszukało. I karawan pogrzebowy nie ominął go.

Lecz oto dzisiaj usłyszał nagle jakieś niejasne wezwanie, poczuł niepokój i smutek; poczuł żal do samego siebie, jak w młodości, że przegapił spotkanie i strach, że gdzieś się spóźni, i niewyraźne odczucie, że ktoś na niego czeka, i nie gdzieś, lecz właśnie tam, dokąd teraz zmierzał.

Przejechali przez Kuncewo — i oto zbliżali się do szczytu tego pagórka. Pamiętał, że miejsce to było na pierwszym wzniesieniu od granicy Kuncewa, ale granice tę przekroczyły już mizerne zabudowania i domki, wszystkie one wspinały się pod górę i przesłaniały go przed czymkolwiek wzrokiem. Szukał, gdzie się podział ten słup, na którym wisił wtedy głośnik. Nie było ani głośnika, ani słupa, a widniała jedynie budka transformatora z czaszką i puszczelami. Ale zapamiętał dobrze wszystkie pofałdowania terenu, i poprosił, by stanęli prawie tam, gdzie wtedy, tylko na na poboczu z przeciwnej strony.

— Odprowadzić cię, Fotiku? — zapytała żona. — Czy chcesz iść sam?

— Sam.

— Oczywiście, że sam— potwierdził taksówkarz. — Tak to jest,
Majo Afanasjewno. Wojna to sprawa męska.

I wyskoczył, by otworzyć drzwiczki.

— Weź proszek — powiedziała żona. I dała mu herbaty z termo-
su, żeby popił.

413

Na słabych, chwiejących się nogach przekroczył szosę i powoli
zszedł z nasypu na polankę.

Gdzież tu rozścielili pałatkę? I gdzie stała manierka z wódką i bu-
telka francuskiego koniaku z prowincji Cognac? I czy zachował się ten
dołek, który wydeptał Szestierikow dla butelki? Dołków było tu kilka,
i każdy mógł być jego. W zasadzie wszystko było tak samo. I taka sama
pogoda, tyle że wtedy nie czuli zimna, siedzieli w bluzach. Ale miejsce,
które rozpoznał doskonale — wedle wszelkich oznak, które trudno by-
łoby określić, choć pomylić się też trudno — nie pozostało jednak takie,
jak je zapamiętał. Z tego miejsca Moskwa była widoczniejsza, wyrazi-
stsza, i zbocze bardziej strome, i las był, zdaje się, bliżej. Cóż to — cof-
nął się? Albo go tak wyrąbali? Ale największe „nie to" kryło się w tym,
że bez ludzi, którzy miejsce to wtedy ożywiali, ono samo stało się
czymś innym. I natychmiast rozwiąła się nadzieja, że znalazłszy się tu-
taj wskrzesi ich w pamięci tak namacalnie, tak wyraziście, że do niego
przemówią.

Postać, przewyciężył atak bólu i ruszył pod górę, ku samocho-
wi. Z trudem wspinał się ku niemu — i nie wiedział jeszcze, że były to

jego ostatnie kroki po ziemi.

...Tak samo nie wiedział, kiedy na rokadowej szosie wygramolił się z „willisa”, że nigdy więcej nie zajmie swego miejsca obok Sirotina. Ten, który wyjechał mu na spotkanie, zatrzymał się w odległości stu metrów i całą pozostałą drogę przebył na piechotę, wymachując latarką, chociaż światło księżyca było zupełnie wystarczające. Kiedy podszedł, oświetlił samego siebie i odrzucił kapiszon brezentowego deszczowca, okazało się, że to szef sztabu Purtow.

— Wasiliju Wasyliczu, witaj! Co ty tak, bez orkiestry?

— Chwała Bogu, nie rozminęliśmy się. Przejdźmy się, Fotiju Iwanowiczu, muszę ci coś powiedzieć. A ty — powiedział do Sirotina — postój tu na poboczu. I broń miej lepiej w pogotowiu, niespokojnie tu u nas.

Odeszli spory kawałek drogi od samochodu, i Purtow cały czas milczał, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

— Dokąd mnie taszczysz? — zapytał Kobrisow.

— Nie, dokąd tyś się przytaszczył? — przystanąwszy rzekł Purtow gorącym półszepem, jakby ktoś mógł podsłuchiwać zza krzaków.

— Po coś tu wrócił, Fotiju Iwanowiczu, przecież zabiją cię, czyżbyś tego nie rozumiał?

— Po to jest wojna, żeby zabijali. A wróciłem — żeby wziąć Predsławl, ni mniej ni więcej.

— Który już obiecano Tierieszczence. Czyżby miał ci go podarować? Czy najważniejszy order zerwie sobie z piersi i tobie go przypnie? Zrozum że, wszystko się już utrzęśło, uspokoiło — a tu nagle ty

przyjeżdżasz... A przecież wojować trzeba, „perłę Ukrainy” wyzwalać. Nie ma dla ciebie miejsca w armii. W każdym razie nie teraz. Potem może i będzie, znajdą dla Tierieszczenki armię, on z łatwością przechodzi z jednej do drugiej. Zawsze trzymałem twoją stronę, ale teraz — proszę cię, wyjedź natychmiast!..

— Nie ma dla mnie miejsca? W mojej armii — nie ma?

Nie mógł już wyrzec słowa, żal i gniew podchodziły pod gardło.

Zostawił Purtowa i poszedł do swego samochodu. Przeszedł ponad połowę drogi, kiedy zahuczało w lesie, coraz bliżej i głośniej i zrozumiał, że to zabijają jego, przyspieszył więc kroku. On, „nawiedzony”, chciał być jak najszybciej razem ze swoimi ludźmi. Wtedy pozostałoby wszyscy przy życiu. Coś by się zdarzyło, ale nie zakończyło śmiercią. Nie zdążył... W twarz, w pierś, w brzuch uderzyła gorąca, twarda, jak kłoc, wybuchowa fala, żółtawo-czerwona fontanna ognia wzbija się nad malutkim „willisem”, oślepiając go, zatykając uszy nieznośnym, morderczym hukiem, a w karku i całych plecach poczuł uderzenie rozszarpanego asfaltu...

...Jakież ostry, jakież przerażający ból przeszył nagle serce! I jak załomotało pod obojczykiem. Z największym trudem dobrnął do samochodu — i ujrzał pytające twarze żony i taksówkarza, który wyskoczył, by przeprowadzić go przez drogę. A jednak przeszedł sam i usiłował wyglądać jak najlepiej.

— Weź jeszcze tabletkę — powiedziała żona.

Pomyślał, że jeśli weźmie, to przestraszy tym żonę, i pokiwał przecząco głową.

— Ta pierwsza jeszcze działa.

Ale kiedy ruszyli, zupełnie się rozkleił. Siedząc z tyłu usiłował niczym nawiedzony zamówić ból. Nie odwracali się w jego stronę, mógł więc odchylić głowę i zamknąć oczy. Ale kierowca, jak się okazało, widział go cały czas w lusterku.

— A towarzysz gwardii pułkownik, coś mi się wydaje, zmarkotniał...

I w tej samej chwili drobna postać pojawiła się na tamtym brzegu, za mostem pontonowym, po którym jechał generał, z prawej strony od

425

Siroтина. Przybliżyła się i on ją poznawał. Naładowana torba z krzyżem ciążyła jej na ramieniu i marszczyła naramiennik, a na pasie zwisał maleńki browning „Lama” — jego podarunek, z którym się nie rozstawała. Była młoda i zgrabna, była prześliczna w swojej wyłowiałej, spranej do ostatka odzieży siostrzyczki frontowej, śliczna była jej twarzyczka, której nie tknął czas, dziewczęco-męska, prostoduszna i ufna, z wyrazem dumnego wyzwania — czy taką zobaczyć można wśród dzisiejszych twarzy? Czekala na niego tam, choć go nie wołała i nie machała ręką, a po prostu stała i patrzyła na niego. Ale czy to nie ona przepowiedziała mu, że dalej nie zrobi ani kroku? „Widzę, jak leżysz na tamtym brzegu, od razu po przeprawie, całkiem bez ruchu...” I poczuł rozdzierającą serce tęsknotę do niej i strach przed tym, co miało się z nim stać. „Po co ci jestem potrzebny, chory starzec?” — pytał ją unikając nazywania jej po imieniu, gdyż gdzieś tam obok była żona, której wypadnie żyć i pamiętać o jego zdradzie. Ona by mu każdą

zdradę wybaczyła, ale nie tę ostatnią, z którą odchodzi się na zawsze.

„Umieranie — to też wiedza — pomyślał wyraziście. — I ku temu trzeba się sposobić...”

A tamta cały czas czekała na niego — cierpliwie, lecz i władczo, i rozkazująco, on zaś czuł się winny wobec niej. Jakby kogoś zdradził, oszukał, nie spłacił swego długu. „Wszystko spłacę — obiecał jej i wydawało się, że kiwnęła mu głową, uwierzyła. — Jadę do ciebie...” Ze wszystkich sił powstrzymywał na ustach jej imię, żeby nie zabrzmiało, i kiedy mu się to udało — poczuł ulgę.

— Dowiedzimy, Majo Afanasjewno, nie ma obawy! — usłyszał głos szofera. — Nie oddamy pułkownika gwardii!..

I skończyła się przeprawa, i ból opuścił go całkiem — bowiem wracał do swojej armii, do jej dyspozycji...

— On nie jest pułkownikiem — powiedziała żona. — Jest generałem-pułkownikiem.

Były to ostatnie słowa ze świata zewnętrznego, ale gdzieś z samego wnętrza, z głębin świadomości wyłaniały się głosy bardzo podobne do jego własnego, jakby rozmawiał sam ze sobą. Tak chyba też i było.

„Jeśli umarliśmy tak, jakeśmy umarli, to znaczy, że z naszą ojczyzną nic się nie da zrobić, ani dobrego, ani złego.” — „A zatem nasza śmierć niczego w niej nie zmieniła?” — zapytywał drugi głos. — „Niczego nie zmieniliśmy, ale sami zmieniliśmy się.” A drugi głos oponował: „Myśmy się nie zmienili, myśmy umarli. To wszystko, co mogliśmy zrobić dla ojczyzny. I tego dość.” — „Oni umarli po to, żeby

zmienili się inni." — „Chyba tak się stało. Zmienili się. Ale nie tak już bardzo gruntownie..." — „A ze mną, co się stało ze mną?" — „Czyżbyś nie wiedział? Ty umarłeś." — „Ale ja — zapytał — umarłem przynajmniej jako człowiek szczęśliwy?"

Nikt mu nie odpowiadał, i on o nic więcej nie pytał, przestał myśleć, oddychać, istnieć.

...Chciałoby się wierzyć jednak, że w tych odległych czasach, kiedy wracali do swej armii, do jej dyspozycji, cała czwórka była szczęśliwa. Szczęśliwy był generał Kobrisow — bowiem Myriatyński przywódca okazał się najpiękniejszą — i niedrogą — decyzją, która przesądziła o Predsławskiej operacji, i piękno to ocenili nawet ci, co zdołali usunąć go z 38. Zrzucony z konia, jako pionek mimo wszystko wkroczył na ostatnie pole i niechaj teraz spróbują nie uznać tego pionka za hetmana! I serce jego przepelnione było żołnierską wdzięcznością do Naczelnego, który odgadł jego zamysł i zrozumiał, że Myriatin był kluczem nie tylko do Predsławla, lecz i do całej prawobrzeżnej Ukrainy. A skoro tak chce Naczelnego, żeby Predsławl zdobyto w sam raz 7 listopada, to cóż, uczyni wszystko, co w jego mocy, by tak się stało. Bądź co bądź wszyscy czekali na święto. Myślał o tym przejeżdżając przez przeprawę, trzęsąc się na pustynnej rokadzie, zalanej srebrzysto-błękitnym światłem, i widząc dalekie, granatowe reflektory postojowe samochodu, którym wyjechano mu na spotkanie.

Był szczęśliwy ordynans Szestierikow, że nie będzie musiał spędzić reszty życia bez generała, tyle jeszcze czasu przed nimi, samej wojny jeszcze z półtora roku, a potem jeszcze czeka ich Aprelewka,

wspomnienia o dniach wojaczki, o tym, jak się spotkali, nie będzie temu końca! No, a jeśli wypadnie zginąć — to wszystkim razem.

Szczęśliwy był adiutant Donskoj, który przyglądał się z bliska wszystkim cierniom generalskiego losu i życzył sobie, by go to wszystko ominęło. Przepętniony mądrością tak też zapytywał samego siebie: „No i po co ci, Andrieju Nikołajewiczu, ten ból głowy?” I coraz częściej przymierzał się głośno do słowa „adiutant” i coraz bardziej mu się ono podobało. Coś w nim brzmiało energicznego, pięknego, młodeńczego.

I był szczęśliwy kierowca Sirotin, kiedy pozbył się swych lęków, że z tym generałem do końca wojny nie dociągnie. Z ostatniej „rogatki”, gdzie zanocowali, dodzwonił się jednak do Zojecki, przekazał jej trasę i czas przybycia — i mógł być teraz spokojny za wszystkich czterech. Nie byli już pyłkiem zagubionym w burzliwym wirze, wszechpo-
427

tężna służba tajna rozpościerała nad nimi zbawcze skrzydła — i żadne dreszcze, ani przecucia, ani myśli o pocisku, gotowym opuścić swoją lufę, nie dręczyły go w tej chwili, kiedy podpity dowódca batalionu, formując „równoległy wachlarz”, wydał rozkaz, by celować w prawy rąbek Księżyca, a smutny celowniczy podkręcając koło zamachowe i łowiąc w krzyż księżyc w nowiu, przywierał umęczoną brwią do gumowej osłony kątomierza działowego.

Moskwa-Niedernhausen, 1996

Postowie

Generał i jego armia

Ludzkie dusze [...] są nader żywotne, jak się poćwiartuje ciało — to człowiek ginie. A kiedy -poćwiartuje się duszę, to robi się tylko posłuszniejsza, i to wszystko. Nie, nie! Takich dusz gdzie indziej pan nie znajdzie. [...] Bezrękie dusze, beznogie, głuchonieme, gończe dusze, potępione dusze.

Jewgienij Szwarc

Wokół głównego motywu — drogi „willisa”, pędzącego do Moskwy przez ogarniętą wojenną pożogą, wyniszczoną Rosję — obudowuje się mozaikowo opowieść o generałach i ich armiach na szlakach II wojny światowej.

Motyw drogi, najważniejszy kompozycyjnie i ideowo dla całego utworu, wprowadza Władimow od pierwszego zdania utworu.

Najnowszy utwór Władimowa jest bez wątpienia klasyczną powieścią wojenną. W pełnym tego słowa znaczeniu: misternie skonstruowana przestrzeń utworu, przesycona ostrym zapachem krwi, prochu, wojennego pogorzelniska pulsuje dramatyczną i trwożliwą atmosferą wojny. Akcja właściwa powieści, maksymalnie skondensowana, zamyka się w ostatnich dniach listopada 1943 roku, wcześniej w dniach ataku i odwrotu armii hitlerowskiej spod Moskwy. Liczne zaś retrospekcje i fragmenty Nachgeschichte rysują uogólniony obraz całej wojny. Obraz fascynujący artystyczną wyrazistością, choć mallowany słowem oszczędnym i surowym. Bywa, że wojenną realność odzwierciedla w całej jej pełni kilka zaledwie detali, ale detali wyczelowanych z precyzją wielkiego mistrza, osiągającego w ten sposób pełnię życiowej prawdy. Szczegółów stwarzających nieodpartą iluzję, iż świat przedstawiony utworu mógł być kreowany jedynie przez uczestnika tamtej epoki.

Po powieściach wojennych Wiktora Niekrasowa, autorów nurtu prawdy okopów, Grossmana i Astafiewa nie sposób, wydawać by się mogło, stworzyć

nowe, oryginalne słowo o wojnie. Ale Władimow potrafił tego dokonać. Napisał utwór nowatorski i równocześnie osadzony głęboko w najlepszych tradycjach rosyjskiej batalistyki. Powieść nawiązującą swoiście, bo także polemicznie,

419

do tradycji Tołstojowskich. Sięgającą swymi korzeniami jeszcze głębiej — do prąźródła literatury rosyjskiej — folkloru i piśmiennictwa staroruskiego.

Stworzył utwór wojenny, a przecież kameralny, nasycony złożoną problematyką etyczną i historiozoficzną.

Utwór wzbudził wśród krytyków i badaczy literatury gwałtowne spory.

Był entuzjastycznie podziwiany, ale i zawzięcie, często z uciekaniem się do prymitywnych kłamstw i pomówień, atakowany. Przeprowadzona „facho-wo” nagonka krytyki na autora Rusłana obliczona była przede wszystkim na to, by zapobiec przyznaniu powieści pisarza-wygnańca nagrody Bookera.

Sięgnięto do arsenału starych, obraźliwych epitetów i patetycznych oskarżeń o szkalowanie Armii Radzieckiej, dobrze znanych z okresu mrocznej stalinowskiej nocy, później zaś często i chętnie powielanych. Postulowano się w recenzjach świadomymi przeinaczeniami Władimowowskiego tekstu i

preparowanymi dla doraźnych potrzeb krytyki, cytatami z Generała. Ataki prasy nie przyniosły jednak zamierzonych rezultatów. Powieść, znaną wtedy w wersji czasopiśmienniczej, nominowano w listopadzie 1995 roku do prestiżowej nagrody literackiej — Booker Prize. Otrzymał ją Władimow 4 grudnia 1995 roku.

Sukces powieści nie dziwi, jest bowiem ona dokonaniem literackim twórczej pełni jednego z najwybitniejszych prozaików naszych czasów. Autora na tak wysokim poziomie duchowej i artystycznej dojrzałości, „na którym — na-

pisze I. Murawiowa — dla pisarza nic nie jest już straszne". Władimow nie skrywa więc w przepastnych archiwach pamięci przerażających doświadczeń rosyjskiej przeszłości. Wraca też po raz kolejny w swej twórczości do przekłęti/ch pytań o rosyjską historię, o losy i kondycję moralną jednostki i narodu, którego życie przecięła na dwoje i krańcowo zdeformowała fatalna zmiana epok. Ale Generał i jego armia, jedna z najgłębszych i najpoważniejszych w historii literatury rosyjskiej historiozoficznych i etycznych interpretacji czasów wojny i pokoju, zachwyca czytelnika subtelnym, ascetycznym pięknem — cechą dzieł sztuki najwyższego formatu.

Temat wojny sprzyjał zwykle wniknięciu w głąb natury ludzkiej, zrozumieniu duszy narodu, mentalności historii i poprzez nie — wartości ogólnoludzkiej, składających się na całość cywilizacji.

Tak dzieje się w Władimowowskiej powieści. Wpatrując się z perspektywy dnia dzisiejszego w tragiczne wojenne wczoraj, pisarz podejmuje próbę odpowiedzi na pytania zasadnicze: kim był Człowiek w czas wojny, czas największego z kataklizmów, w którym zło ściera się gwałtownie z dobrem; jak kształtowały się w substancji ludzkiej duszy proporcje między odwagą i tchórzostwem, szlachetnością i nikczemnością, wolnością i zniewoleniem, prawdą i kłamstwem. Wnikliwie bada Władimow losy wartości poprzedniej epoki — tych zwłaszcza, z których winna budować się przyszłość: chce wiedzieć bowiem na pewno czego można oczekiwać dzisiaj i jak żyć dalej. Próbując ogarnąć doświadczenia sowieckie z podwójnego oddalenia, autor nie traci gorzkiej świadomości, iż przekłete -problemy tamtych lat — ciągle żywe — determinują tu i teraz Rosji. Historia stanie się więc dla niego przede wszystkim maską, kostiumem dnia dzisiejszego.

Generał przewyższa, pod każdym względem, osiągnięcia wybitnych poprzedniczek z nurtu „drugiej fali” prozy batalistycznej. Ostatecznie demaskuje spetryfikowane przez lata legendy o sowieckiej wojnie, odkłamuje mity, zmusza do zadumy nad winą i karą. Prowokuje pytaniami nie tylko o cenę, jaką przychodzi płacić narodowi za każde zwycięstwo, ale też o moralną kwalifikację czynów i tragedię tych Rosjan, którzy wstępując do ROA (Ruskiej Oswoboditelnoji Armii — Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej) pozornie przeszli na stronę wroga.

Nie bez powodu autor w szczególny sposób rozmieszcza akcenty znaczeniowe fabuły, uwydatniając tym samym ich sensy wyższe. Na pierwszej stronie powieści uwypukla je dodatkowo gęstym jak w poezji, uporządkowaniem naddanym. Motyw zwycięskiego finału wojny Władimow umieszcza już w początkowych zdaniach utworu; czwórkę jej bohaterów od razu wprowadza do panteonu zwycięzców. „Willis”, rozwijający swymi kołami kłębek historii, jawi się we Władimowowskiej metaforze jako rydwan, podobny do tych, którymi triumfatorzy zwykli wjeżdżać po zwycięskich bitwach do Rzymu; samo słowo zwycięstwo napisane zostaje dużą literą. Nie na działaniach wojennych i wyniku wojny będzie więc twórca koncentrował uwagę czytelnika. Opowiadając o losach generała Kobrisowa i w naturalny sposób wprowadzając inne postacie, Władimow odtwarza historię, lecz nie w formie doboru dat. Ta nic by nie wyjaśniała. Pisarz wnika w przyczyny tragicznych zdarzeń, demaskuje autentyczne dźwignie, uruchamiające sowieckie działania wojenne. Tnie głęboko — aż do ich sedna, do samych korzeni, nasycając dzięki temu maksymalnie tragizm utworu.

We Władimowowskiej powieści o wojnie nie ma wielkich scen batalisty-

cznych. Pisarz wycisza zgiełk bitew, by nie zagłuszał ludzkich myśli i uczuć. Epizody walk, przywoływane we wspomnieniach bohaterów utworu, są ważne przede wszystkim jako czynniki ludzkich postaw, instrumenty pozwalające wnikać w psychikę człowieka wyrzuconego po raz kolejny na tragiczny zakręt historii. Jeden z nich — odtwarzany przez wyobraźnię Kobrisowa | szturm Myriatina — uogólniony skrót działania całego mechanizmu wojny, staje się pretekstem do rozważań o specyfice sowieckiej wojny, znaczeniu i ci-
421

chym męstwem szeregowego żołnierza — małego pomocnika w wielkim dziele, wreszcie nieprzerwanej, nawet tragedią walki z okupantem, absolutnej ideologizacji każdego ludzkiego działania.

W scenie ważnej dla całości powieści — dramatycznym rozpoznawaniu przez Kobrisowa prawd, od dawna w nim utajonych, generał uświadamia sobie, iż w sowieckiej rzeczywistości, stale-podmienianej, wynaturzeniu podległa także historia. Zdegradowano bowiem jej podstawową właściwość — wymowę obiektywnych faktów dokonanych. Terazniejszość i przeszłość nie istnieją same w sobie, a są ciągle na nowo, dla doraźnych potrzeb, tworzone przez dwie siły fatalne — ideologię i kaprys Kremla-Mojry. Siły te, obdarzone w rosyjskim antyświecie sprawczą mocą demiurga, z łatwością przemieniają przeszłość w fantom, wznoszą na wyżyny lub strącają na dno łagrowego piekła i w niebyt każde indywidualne istnienie, przesądzają o kwestiach dla kraju fundamentalnych. W jednej ze scen powieści Wojenna Rada Generałów pod przewodnictwem Żukowa ma zadecydować, czy szturmowany będzie Kijów, czy też pozbawiony wszelkiego znaczenia strategicznego Myriatin. Żuków, współtwórca stalinowskiej maszyny państwowej i równocześnie jej „trybik” tylko,

odrzuci, genialny strategicznie, plan Kobrisowa szturmu Kijowa. Natarcie na miasteczko Myriatin, zamieszkałe przed wojną przez dziesięć tysięcy mieszkańców, pociągnie za sobą utratę dziesięciu tysięcy żołnierzy. Codzienna praktyka czasów wojny i pokoju jest więc identyczna. Za Rosję władza sowiecka płaci Rosją. Tak było od zawsze. Szeregowi żołnierze ginęli masowo przez całą wojnę, gdyż ich dowódcy prowadzili boje przy pomocy jedynej tylko, tradycyjnej strategii „czterech warstw”: na trzy warstwy trupów wypełza czwarta warstwa ludzkiego mięsa... Pogarda dla ludzkiego życia, znamienna cecha mieszkańca gułagowej żony, sprawia, iż dla władzy naród znaczył tyle, co materiał ludzki, nieporównanie mniej cenny niż mechanizmy. Argument Kobrisowa o ogromnych i niepotrzebnych ofiarach, które pochłonie ów szturm, nie dotrze zatem do świadomości pozostałych generałów Rady. Nie usłyszą go nawet i kaci, i ofiary w strefie antyzycia, którzy z woli tyrana i własnej, dobrowolnie podlegają procesowi depersonalizacji — utracie osobowości i samoświadomości. Epoka Wielkiego Strachu wchłonęła człowieka, zniszczyła w nim wszystko, co indywidualne i wyrzuciła ze swych trybów — inwalidę ducha. Nie potrafi on rozpoznać i ocenić samego siebie jako autora własnych czynów, to też ani nakaz wewnętrzny, ani zewnętrzny nie uczyni generałów odpowiedzialnymi za życie podległych im żołnierzy. Sowieccy dowódcy, „rzeźnicy”, jak określa ich Anninski, bezkarnie wysyłają więc na „ubój” setki tysięcy ludzi. Dla Żukowa, zdeformowanego tworu tam-

422

tych lat, nie istnieje żaden dylemat moralny: decyzje o wysłaniu na niechybną śmierć całych oddziałów podejmuje bez chwili zastanowienia.

W swej powieści o człowieku na wojnie pisarz ujawnia gorzkie prawdy. U

podłoża praw i reguł dominujących w sowieckim antyświecie mieści się tragiczne sprzężenie zwrotne. Siła ideologii stanowi świetną pożywką dla rozkwitających w niej bujnie ludzkich wad i słabości, ale i ona, żywiąc się ludzkimi ułomnościami, potęguje swą złowrogą moc. Żądza władzy, rywalizacja o wpływy i zaszczyty, pycha, oportunizm i karierowiczostwo, ukryte pod ideologicznym sloganem, były zatem kolejnymi ważkimi mechanizmami napędowymi decyzji i działań wojennych. W rzeczywistości ideologicznej utudy nagradza się więc tylko autorów zwycięstw pozornych. Zwycięstw wbrew sztuce wojennej i podstawowym zasadom strategii, wbrew człowiekowi i interesom ojczyzny wreszcie. W powieści ten typ radzieckich dowódców reprezentują wszyscy, z nielicznymi wyjątkami, wysocy rangą oficerowie.

Kobrisow zaś należy do małej grupy, ocalałych z pandemonium „jeżowoszczyzny”, utalentowanych strategów i anachronicznej w sowieckich realiach kategorii ludzi honoru. W hierarchii wyznawanych przezeń wartości szacunek do życia, odpowiedzialność i rycerski obowiązek służenia ojczyźnie zajmują miejsca najwyższe. Zostanie, rzecz jasna, skazany na nieuchronną klęskę, gdyż w krainie mimikry rycerski obowiązek przemienił się w niebezpieczną, śmiertelną często pułapkę. Wyższy sens służenia dawno już został utracony, mistrzów wojennego rzemiosła wyrzucają więc na margines rzeczywistości wojennej miernoty, skrętnie ukrywające, pod wysokim, ideologicznym frazesem, krzątanie wokół własnych, miałkich interesów.

Wnikając głęboko w przyczyny rosyjskich klęsk i tajemnicę zwycięstw, Władimow dojdzie do podobnego jak kiedyś L. Tołstoj wniosku — własną krwią i życiem uwolnili Rosję od okupanta zwyczajni, niczym nie wyróżniający się rosyjscy żołnierze. Ale Tołstojowska konstatacja w okrutnych

realiach dwudziestego wieku jest zaledwie cząstką prawdy. Heinz Guderian, utalentowany niemiecki dowódca, gubi się w domysłach, próbując zrozumieć duszę narodu, z którym przyszło mu walczyć. A także tajemnicę tego dziwnego kraju, w którym każdy napastnik, podążając od zwycięstwa do zwycięstwa, nieuchronnie zmierza ku klęsce.

Rosja i rosyjska dusza pełne są tragicznych rozdarć i antytez. Cech i zjawisk tak krańcowo różnych, że z natury wykluczających się, a przecież w rosyjskiej cywilizacji więziennej harmonijnie współistniejących. Guderian bezskutecznie próbuje dotrzeć do prawdy o tych kontrastach. Nie ma bowiem logicznego związku między prostacko-zabobonnym strachem rosyjskich żołnierzy i zdolnością do najwyższego heroicznego czynu; między ich leni-

423

stwem, brakiem inicjatywy a zażartą walką o skrawek ziemi i pokorną gotowością oddania zań życia. Nie ma też sposobu, by pojąć irracjonalne zjawisko, tak wiernie odzwierciedlające paradoksalną złożoność rosyjskiej duszy: szeregowi żołnierze walczą o wolność quasi-ojczyzny i umierają za to, czego najbardziej się boją i nienawidzą — za Stalina i sowiecki reżim. Rodziny więźniów, pomordowanych w Orle przez wycofujących się w popłochu funkcjonariuszy NKWD, zwrócą swą nienawiść przeciwko Guderianowi i jego czołgistom, choć wiedzą, iż sadystycznego mordu dokonali sami. Najazd okupanta wskrzesił bowiem w narodzie szczególny rodzaj godności. Swojskiej i zaściankowej, bo biernie przyzwalającej na każdą niegodziwość i podłość, byle — rodzimą. Godność, wyrażającą się w zazdrosnym, wstydliwym skrywaniu przed obcym potwornych okaleczeń własnego kraju. Guderian nie rozwikła w swych rozmyślaniach zagadki duszy rosyjskiej. Zaneguje natomiast zdecydo-

wanie dogmat o jej mistycyzmie i wyjątkowości.

Ogrom klęsk armii sowieckiej był nieuniknionym następstwem najbar-
dziej chyba przerażającego eksperymentu w dziejach ludzkości — brutalnej
wiwisekcji dokonywanej od 1917 roku przez władze bolszewicką na własnym
narodzie. Metodami, doprowadzonymi w swym okrucieństwie do perfekcji
wyhodowano wiele odmian człowieka nowych czasów, koszmarnego mutantą,
nazwanego później homo sovieticus. Proces modelowania ludzkich osobowości
trwał, mimo wojny nieprzerwanie. W bogatej strukturze ideowej utworu ten
problem wydaje się najważniejszy. Przepętnia atmosferę całej powieści, pul-
suje pod powierzchnią zdarzeń, łączy tamte czasy z dzisiejszymi. Wnikliwa
analiza i sugestywny opis metod łamania ludzkiej osobowości, niwelowania
w człowieku ostatnich śladów indywidualności, ma w powieści większą wagę
niż pytanie o cenę zwycięstwa, bowiem odpowiedź nań jest już powszechnie
znana.

Drugim po Kremlu fatum Rosji o szczególnie tragicznej mocy, deter-
minującym w państwie wszystkie bez wyjątku dziedziny życia, były specjalne
oddziały tajnego ścigania. Ich złowrogie istnienie stało się z czasem w kraju
tak naturalne, że aż tożsamy z elementarnym. Precyzyjnie skonstruowana ma-
china, poddająca ścisłej inwigilacji każdą sferę ludzkiej egzystencji, formuje
nowych ludzi z wyjątkowym znawstwem ich przywar. Modelowanie, przeni-
kające do ostatniej komórki jestestwa człowieka ma na celu odebranie duszy i
wstawienie w jej miejsce swoistej protezy, dzięki której nowy człowiek bez
sprzeciwu przyjmie jako swoją — odwróconą skalę wartości. Władimowo-
wski obraz formowania typowych dla stalinowskich czasów kategorii donosi-
cieli, uzyskany przy pomocy odmiennych środków literackich, dorównuje, a

często przewyższa najlepszą dotąd w rosyjskiej literaturze analizę procesu

424

zniewalania i donosicielstwa, dokonaną przez Grossmana w utworach *Życie i los* i *Wszystko płynie...*

Mimo dramatu wojny pełnej klęsk, w każdym zakątku kraju nieustraszonych, zdawać by się mogło, obrońców ojczyzny wzywają na tajne spotkania i nakłaniają do „współpracy” wszechmocni funkcjonariusze Smierszu.

Trzy sekretne spotkania Swietłookowa z współtowarzyszami wojennych peregrynacji Kobrisowa, najważniejsze kompozycyjnie i ideowo epizody utworu przynoszą dokładną demonstrację typowych strategii i środków w procesie zniekształcania osobowości, najważniejszego etapu formowania homosa.

Swietłookow, bohater-indywiduum jest równocześnie, a raczej przede wszystkim postacią-typem, uogólnionym portretem przedstawicieli tej niechlubnej profesji. Ten ekspert od niewolniczej mentalności nadzwyczaj „fachowo” werbuje donosicieli. Cyniczny i okrutny ma w sobie coś nieuchwytnie złowrogiego, niemal diabelskiego, bo wystawiającego w człowieku na próbę wszystko, co dobre. Umiejętnie manipuluje argumentami i ułomnościami charakterologicznymi werbowanych, prowadzi swoistą grę, a raczej skomplikowany proces kuszenia, w którym obietnice przeplata groźbami. Jest, jak każdy funkcjonariusz Smierszu, wszechmocny i wszechobecny.

Formowanie ludzkiej psychiki zniewolonej zaczyna się zawsze od zastraszenia i skrajnego poniżenia potencjalnego współpracownika. Zastraszeniu i upokorzeniu ofiar ma służyć w powieści symboliczny atrybut władzy opartej na przemocy — witka, którą Swietłookow demonstracyjnie smaga buty, oraz opowiadanie wulgarnego, dwuznacznego snu. Jego rozszyfrowania

żąda od wszystkich werbowanych.

Niezauważalnie dla poniżanych funkcjonariusz podporządkowuje sobie ich wolę — najpierw w sprawach drobnych, ale zgoda na uległość w sprawach małych prowadzi nieuchronnie do zniewolenia permanentnego, do nierozpoznawania sensów i skrajnej deformacji wartości: zło staje się dobrem, kłamstwo prawdą, donos — cnotą obywatelską. Sirotin, szofer Kobrisowa, usprawiedliwi swoje donosicielstwo wyższym celem — troską o życie generała, Doński zaś w niezgodzie z własnym sumieniem przyjmie bez sprzeciwu jawne kłamstwa — oskarżenia Kobrisowa o karierowiczostwo, brak szacunku i odpowiedzialności za życie żołnierzy. Ulepionych przez siebie nowych ludzi, Swietłokow uzbroi w odpowiednio dobrany układ wartości na wspak.

Narysowany paroma kreskami portret Swietłokowa jest niezmiernie znaczący. Wątpliwości nie ma: Swietłokow, Wielkorus o Inianych włosch, niewinnych, jasnobłękitnych oczach, dobrodusznej twarzy — to sól tej ziemi. Uprawiana przezeń etyka potrzeby dnia i nieustępliwe dążenie do celu najważniejszego — błyskawicznego osiągnięcia wyższych szczebli kariery sprawi, iż w

425

ciągu dwóch zaledwie miesięcy romantyczny „poeta”, lejtnant Swietłokow odnajdzie siebie prawdziwego w majorze Swietłokowie, krwawym oprawcy, pogardzającym człowiekiem i wrogim każdej inności. Stanie się on władcą dusz, świadomości i okrutnym dysponentem ludzkich losów.

We wszechobejmującej, strasznej rosyjskiej pustce nie ma punktu oparcia, bo nie ma go w charakterach większości bohaterów. Błądząca w próżni Rosja, wciąż nie czując pod sobą gruntu, wytwarza z siebie jako jedyną rekompensatę stanu zawieszenia, specjalną, ogromną frakcję wszechwład-

nych opryczników. Sprawia więc, iż jej mieszkańcy są w głębi swej egzystencji zupełnie bezsilni i dlatego — potencjalnie niegodziwi.

Sensy naddane Władimowowskiego tekstu obnażają straszne o Rosji prawdy: wybawienie kupuje się tu za cenę zatracenia; wolność za cenę zniewolenia; Ojczyznę za cenę Ojczyzny. Życie jest więc równe śmierci. Na szukanie sensu istnienia nie ma już ani czasu, ani siły.

Twórcy prozy batalistycznej, odkłamujący historię wojny sowiecko-niemieckiej dowodzili, iż zmagania dwóch nieprzyjacielskich armii stanowią za ledwie warstwę pierwszą znaczeń wojny, najbardziej płytką. Wojna była bowiem w wyższej płaszczyźnie jej sensów śmiertelną walką dwóch sił: totalitarnej przemocy nadpaństwa i wolności jednostki. Rezultat tej walki, w której linia podziału wrogich obozów przebiegała inaczej niż na froncie — pomiędzy komunistyczno-hitlerowskim totalizmem a wolną jednostką — miał przesądzić o losach ludzkości. Komunizm i nazizm są więc odmianami tego samego systemu totalitarnego. Najpełniej tezę tę przedstawił Grossman w słynnej dylogii Życie i los.

Władimow w swej „powieści trudnych pytań” idzie znacznie dalej. Tożsamość dwóch totalitaryzmów przyjmuje jako pewnik, nie dowodzi go więc, lecz akcentuje kilkoma tylko wymownymi epizodami. Dotyka natomiast kolejnego tematu-tabu: roli w sowieckiej rzeczywistości wojennej Własowa i żołnierzy Ruchu Wyzwoleńczego.

Nie ma sposobu, by przerwać łańcuch krzywd. Od bólu nie da się uciec: sowiecka przeszłość zostawiła niezatarte piętno na losach każdego jej uczestnika i nazaczyła przyszłość. Władimow, jako jeden z niewielu pisarzy rosyjskich stara się wniknąć w psychikę ludzi postawionych przed wyborem,

w którym pozytywnej alternatywy być nie może. Pisarz niczego nie usprawiedliwia, próbuje natomiast przeniknąć w głąb ludzkich intencji i zrozumieć motywy postępowania rosyjskich Wallenrodów. Podkreśla fakty, o których atakujący zaciekle Własowa chętnie zapominali: u podłoża masowego oddawania się do niemieckiej niewoli, zwłaszcza na Ukrainie, leżał protest przeciwko stalinowskiemu, fantasmagorycznemu w swym okrucieństwie nadpaństwiu.

426

Władimow nie idealizuje Własowa i — nie heroizuje. Portret bezimien- nego, tajemniczego generała w powieści, noszący cechy znanego bojownika, narysowany został z pełnym obiektywizmem.

W lapidarnym wizerunku Własowa pisarz zawarł najważniejsze cechy osobowościowe generała. Z subtelnym artyzmem zapowiedział jego tragiczno przyszłość, każąc odbiorcy odczytać ją z metaforycznej paraleli do losów św. Stratiłata. Podkreślając dobitnie wyjątkowe uzdolnienia strategiczne Własowa, jego odwagę, determinację i umiejętność podejmowania śmiertelnie niebezpiecznych, bo niezgodnych z wolą Stalina decyzji, dowiódł jednak autor, że Własow nie mógł wpisać się trwale w dzieje walki o demokrację i wewnętrzną wolność ojczyzny. Nie dorósł, wedle oceny pisarza, do roli przywódcy antytotalitarnego ruchu, był bowiem człowiekiem chwili — nie godziny nawet, a zaledwie minuty. Własow, wielki przez znikomy ułamek dziejów, brzemienia wodza Trzeciej Siły nie mógłby unieść. Nie miał do tego, podkreśla prozai- k, koniecznych predyspozycji: siły ducha i mocnej osobowości. Postać Własowa zajmuje w fabule powieści niewiele miejsca, ale to wystarczyło auto- rowi, by niejako na zewnątrz narracji, w płaszczyźnie sensów dodatkowych,

ujawnić różne oblicza rosyjskiej tragedii narodowej. Tematem swojego Własowa zapoczątkował Władimow ferment myślowy wśród współczesnych Rosjan. Zmusił do rozważań wnikliwych, wolnych od obowiązujących schematów ideologicznych oraz do weryfikacji zbyt jednostronnych ocen. Po opublikowaniu powieści rozgorzała gwałtowna dyskusja na temat rosyjsko-niemieckiego ruchu antytotalitarnego. Wielość interlokutorów i polaryzacja stanowisk w tym zaciekłym sporze świadczą o znaczeniu problemu w dzisiejszej Rosji.

Motyw drogi wojny, po której pędzi willis, scala liczne i różnorodne fragmenty fabularne w jednolitą materię utworu. Z drogi wojny właśnie wyruszają na spotkanie własnej Drogi Życia — w Przeszłość i Przyszłość ! — bohaterowie powieści. I na nią powracają, ale już inni, na zawsze odmienieni.

„Trójdzielna” niemal, gdyż oparta na trzech punktach stycznych treściowo, konstrukcja ogromnej części fabuły powieści sprzyja nie tylko szerokiej prezentacji problematyki utworu, ale także oryginalnemu portretowaniu. W trzech kluczowych epizodach tajemnych spotkań werbowanych ze Swietłokowem konstruuje pisarz w efektowny sposób bogate psychologicznie portrety głównych bohaterów fikcyjnych: szofera Sirotina, adiutanta Dońskiego i ordynansa Szeszterikowa. Każda z tych postaci w epizodzie jej poświęconym staje się medium narracyjnym, odbierającym otaczającą rzeczywistość, histo-

4:27

rię i zagubionego w niej człowieka w sposób sobie właściwy. Wielowymiarowa, bo powstająca na przecięciu „punktów widzenia” współwędrowców, generała i funkcjonariusza służby bezpieczeństwa — postać Kobrisowa zajmuje obok Swietłokowa, miejsce centralne.

W symbolicznej warstwie znaczeń drogi — a realibus ad realiom i równocześnie ad verum viafert — dla Sirotina i Dońskiego początek jej stał się zarazem Końcem, zaś dla Szestierikowa, Kobrisowa i Guderiana — na końcu był Początek...

Obrazy postaci współtowarzyszy generała Kobrisowa maluje Władimow w sposób nietypowy. Wyłaniają się one ze wspólnego jakby tła — wyobrażanego przez każdego z nich wizerunku Sztabu Głównego, nacechowanego w każdym przypadku innymi, o zasadniczym znaczeniu sensami metaforycznymi. Każda z tych wizji zawiera w sobie antycypującą portret, ukrytą w metaforze, najważniejszą cechę charakteru bohatera, bo determinującą pozostałe. Końcowym zaś akcentem charakterystyk jest przebieg potyczek bohaterów z majorem Swietłokowem. Pozostałe motywy budujące postacie cieniuja tylko i nasycają barwą obraz, nakreślony tak wyśmienicie pewną pisarską ręką już w tej części utworu.

Szofer Sirotin, zabobonny i prostacki, reprezentuje część tej masy, którą przed wojną pracowicie formowali prekursorzy Swietłokowa. Pozbawiony świadomości moralnej jest dla funkcjonariusza Smierszu łatwym do nadania ostatniego szlif, materiałem. Tym łatwiejszym, że rzeczywistości zewnętrznej nie rozumie, zaś jego rzeczywistość wewnętrzną ulepiono z różnych odmian strachu. „Archetypowy”, rosyjski mistyczny strach przed władzą sprawia, iż wyobrażany przezeń Sztab Generalny jawi się mu jako bajkowy niedosiężny teren, umieszczony wysoko, jakby w sferze sacrum, napawającej go lękiem. Uświęcona siedziba bogów jest dlań zagadkowa, groźna i wszechwładna.

Inny rodzaj nadprzyrodzonego strachu wzbudza w nim Kobrisow, któ-

regu kule się nie mają. Generalska nietykalność baśniowego bohatera nie fascynuje szofera. Boi się jej, gdyż w pustce jego egzystencji, w etycznej próżni jedynym oparciem jest dlań biologiczny instynkt przetrwania. Za wszelką cenę. Sparaliżowany strachem przed boskim, wszechpotężnym Swietłokowem ulega degradacji etycznej.

Chwila ostatecznego uznania przez Sirotina kształtu idei za jej treść — haniebnego czynu za działanie wysoce moralne, podyktowane jakoby dobrem generała, zakończy proces formowania w nim mentalności homososa. Rezygnacja Sirotina z drobnych nawet oznak wolności wewnętrznej skaże go na

428

całkowitą utratę osobowości. Będzie tym samym kimś w »wp| treści drogi życia.

Równie podany jak Sirotin tworzyłem do <>'><>/>Am I la lunki |i >twiti Uim/m sił specjalnych okaże się inteligent Andriej Doński, .uliut.inl p.i-nrinLi I)nnnkl w odróżnieniu od szofera rozpoznaje rzeczywistość, k-i/, nlr lMlnlf|r vv nlr autentycznie. Życie Dońskiego, nieprzerwany seans /. ro/.mynlem /mlcnta nych masek, składa się tylko z pozorów. Wyobrażana przezeń Nlml/llni wind/ najwyższych w Moskwie nie ma dla niego, rzecz jasna, cech M.itl|>r/,yiiitl/i' nych, lecz jest sceną, na której adiutant odegra rolę tak obmyślony, l>y imliwn.v kolejny szczebel kariery. Doński, pozujący na Tołstojowskiego arynloki.il": Andrieja Bołkońskiego jest w istocie rzeczy tchórzem, niewolnikiem pyihy i egocentryzmu. Kompleks niedowartościowania, żądza władzy i s/.ilon.i ,nn bicja adiutanta stają się mocnymi atutami w Swietłokowskiej gr/e-kuN/einu Qrws;-arystokrata Doński, omamiony mirażem wielkiej, i zasłużonej, jak pi/e konuje go funkcjonariusz, kariery poddaje się woli zniewalającego, i poilohmo

do prostackiego szofera, w nowych zadaniach, postawionych przed nim pi /<•/.

Swietłookowa, odnajduje coś fascynująco niepokojącego, jakiś nie spotk.iny dotąd atrakcyjny smak.

Doński, reprezentant moralności selektywnej nie umie zachować w sobie nic, co rozpoznał kiedyś jako prawdę i prawdziwe wartości. Upokarza się wobec zła, nie próbując nawet podjąć z nim walki. Nie sprzeciwi się więc zainicjowanemu przez Swietłookowa bestialskiemu mordowi jeńców — Rosjan w niemieckich mundurach. Odpowiedzialnością za swą bierność, winą za własne tchórzostwo obarczy Kobrisowa. Żyjąc tylko wobec siebie, w zetknięciu z wielkim złem jest bezsilny.

Moralna kapitulacja Sirotina i Dońskiego potęguje wrażenie nieskończonej sowieckiej próżni, zachłannie wysysającej z człowieka wszystko, prócz dławiącego strachu. Wydaje się, iż indywidualny bohater skazany został na taką samą jak w Katastrofie, Trzech minutach milczenia i Wiernym Rusłanie alternatywę: zginąć lub pozwolić zrównać się z masą. A jednak Szestierikow, ordynans generała, trzeci wezwany do lasku — niespodziewanie odmawia udziału w ogólnym szaleństwie. Świadomie przeciwstawia się woli Swietłookowa, tocząc z nim zacięty i zarazem inteligentny pojedynek. Odmowę współpracy i finał pojedynku także i w tym przypadku antycypuje wizja Sztabu Głównego — pośrednie, metaforyczne określenie cech osobowości bohatera i jego stosunku do władzy.

Ordynans, chłop z pochodzenia, odmystyczna złowrogą postacią funkcjonariusza: Swietłookow nie jest dlań ani diabłem-kusicielem, ani stwórcą kształtu i treści dnia powszedniego małych ludzi, lecz zwykłym, choć niebez-

piecznym, przestępcą-pasożytem. Poza baśniowego Iwana-duraczka, maska pseudogłupoty i chłopski spryt okażą się skutecznym orężem Szestierikowa w dramatycznej obronie przed Swietłokowowskimi pułapkami, pomogą wyprzedzać ciosy, uniezależniając tym samym przebieg zmagania od majora. Ordynans jest tym, który po moralnej kapitulacji Sirotina i Dońskiego przeciwstawia się niszczącej sile nadpaństwa.

Podobnie do Ingusa, bohatera Wiernego Rusłana, Szestierikow ma odwagę dobrych uczuć i czynów. Jest w nim bowiem po Grossmanowsku rozumiana dobroć — cecha wrodzona, ślepa i nieświadomiana. Ratując instynktownie życie drugiego człowieka (Kobrisowa) Szestierikow odpowiada tylko na zew własnej, niezafałszowanej natury. Nie oczekuje nagrody, nie odczytuje swego czynu jako bohaterstwa, ponieważ w ogóle nie poddaje go moralnej ocenie. Dobroć, decydująca o sile i autentyczności jego osobowości czyni go odpornym na indoktrynację, na próby mistyfikacji wartości. Prawdziwie wierny swemu wielbionemu generałowi będzie widziany przez Sztab Główny jako źródło zagrożeń dla Kobrisowa, źródło niezastużonych przez generała w najmniejszym stopniu krzywd.

Wzorem innych pisarzy batalistycznych, Władimow umieszcza w powieści obok realnych bohaterów, postacie fikcyjne lub lekko zakamuflowane. Zwarte, wyraziste portrety indywidualne generałów, biorących udział w scenie narady w Spaso-Pieskowskim, budują, cegiełka po cegiełce, pełny portret zbiorowy rosyjskiej generalicji. Spośród postaci historycznych, występujących w tym epizodzie (Żuków, Chruszczow, Watutin i inni), na szczególną uwagę zasługują wizerunki Żukowa i Chruszczowa. Skonstruował je pisarz niemal antytetycznie: arogancja, suchość i nieprzystępność Żukowa uwypuklają błę-

zenadę, infantylną wylewność i paplaninę Chruszczowa. Prostoduszna jowialność tego ostatniego bohatera jest, w istocie rzeczy, mistyfikacją.

Chruszczow, wzorcowy, wydawać by się mogło, apostoł komunizmu gotów, na pozór, złożyć na ołtarzu quasi-Religii każdą ofiarę, dawno już przestał być jej prawdziwym wyznawcą. Maską ortodoksyjnego wyznawcy nowej wiary służy mu do budowania własnej kariery. Dla niej zaprzeda każdą wartość — nawet dobro Ojczyzny.

Kontrast między postacią słynnego z okrucieństwa marszałka Żukowa, ukazaną w książce z typowym dla Władimowa obiektywizmem i cichym generałem Kobrisowem — chwyt artystyczny dla konstrukcji utworu niezmiernie ważki, wydaje się być równie istotny dla wymowy ideowej powieści. Zawiera bowiem w sobie fundamentalne dla Generała pytanie o zasady zapłaty za własne błędy i grzechy.

430

Pod koniec lat osiemdziesiątych Rosjanie podjęli specyfice sowieckiej wojennej historii. W. Astafiew w swojej powieści, pisał o konieczności zrewidowania całej wiedzy o Stalinie, iż dysputę tę należy bezwzględnie rozpocząć od działań Stalina i Żukowa, niszczących kraj i naród, a nie od okupanta. Według Astafiewa weryfikacja takich bohaterów, jest konieczny katharsis Rosjan: niemoralni! jent bowiem, który czci takich bohaterów.

Powieść General i jego armia, dzięki niezłomnej uczciwości, zmówi jej autora, okazała się kluczową repliką w tym tak ważnym dialogu Rosjan.

Jest Władimow niewątpliwie moralnym maksymalista. Tę twórczość, mani-
festującą się najpełniej w wierności kodeksowi honoru, wyróżniła plura /ii /
pokolenia twórców lat sześćdziesiątych a później z całej współczesnej literat-
ury rosyjskiej, skłonnej siłą ducha bohaterów wywodzić zawsze z zewnętrzne-
go wobec osoby, fundamentu: środowiska, gleby, narodu. Władimow /,\A,
ukazując w całej swej twórczości proces formowania się osobowości mtenr.il-
nej, rozkazał swym bohaterom żyć według maksymy: za swoje czyny i moralny
wybór — płać sam, ponieważ jesteś Człowiekiem i dlatego jesteś Człowiekiem.
W powieści Generał i jego armia wierni kodeksowi honoru pozost.m.i
dwaj bohaterowie: główna postać fikcyjna, Fotij Kobrisow i historyczna — I fi-
inz Guderian. Stanowią oni drugą po Stalinie i Hitlerze, parę swoistych boha-
terów-bliźniaków.

Para pierwsza — Hitler i Stalin — uosabia przewagę ideologii nad wszy-
stkimi bez wyjątku dziedzinami życia, nieporadność strategiczną, okrucień-
stwo, nieokiełznany kaprys i lekceważenie wartości absolutnych. Wszystkie te
cechy w różnych wariantach i natężeniu odzwierciedlają się w pomniejszych
Stalinach i hitlerach — wyższych dowódcach obu armii. Druga para bohaterów-
bliźniaków, Kobrisow i Guderian, symbolizuje postawy etyczne człowieka hono-
ru w wojnie: patriotyzm, odpowiedzialność, wojenne mistrzostwo, cywilną
odwagę, sprawiedliwość i szlachetność. Władimowowscy ludzie honoru bez
wahania gotowi są podjąć decyzje, niweczące ich kariery i zagrażające życiu.
Sylwetki obu bohaterów utkał autor z takich samych motywów. Gude-
rian i Kobrisow, obdarzeni sumieniem i współczuciem dla drugiego człowie-
ka, nie usprawiedliwiają lekceważenia ludzkiego życia naturalnym
okrucieństwem wojny. Są obaj dowódcy przepełnieni bólem po każdym ludz-

kim istnieniu. Kobrisow odmówi szturmowi Myriatina, Guderian zaś uratuje setki ludzkich istnień, podpisując pierwszy w historii II wojny światowej rozkaz o odwołaniu wojsk niemieckich spod Tuły i Kaszory. Obaj dowódcy, mi-
431

strzowie w swojej profesji, pojmują wojnę jako sztukę wojowania: niezliczone warianty oskrzydeleń, ataków, kleszczy i okrążeń, których nie można dokonać bez szeregowego pracownika wojny. Wojna, jak każda odmiana sztuki, uważa Guderian i jego bliźniaczy bohater Kobrisow, także, a może przede wszystkim, winna być wolna od ideologii.

Drogi wojny Guderiana i Kobrisowa, biegnąc bardzo blisko siebie pozostaną paralelne. Nie będą miały w powieści punktów stykowych, ale metaforyczne ich realizacje okażą się tożsame: drogi życia bohaterów wiodą w powieści wzwyż, ku pełnej człowieczej samorealizacji. Obaj generałowie popadną w niełaskę swoich Sztabów i bogów głównych, sprzeciwiając się, w imię odpowiedzialności za ludzkie istnienia i losy Ojczyzny, ich woli. W poczuciu odpowiedzialności właśnie, „kluczu” do wnętrza bytu prawdziwie ludzkiego „wyraża się w sposób najbardziej źródłowy prawda o człowieku. To ono wyróżnia i

wiąże człowieka ze światem, ono świadczy o jego wolności i skierowaniu ku wartościom.

„12

System zdarzeń, ześrodkowany wokół niemieckiego generała, szczytkowy i „krótki”, stanowi niewielki fragment fabuły powieści. Świetnie skonstruowany wątek, fragmentaryczny i pełen retrospekcji, rozwijający się na drodze wojny, mógłby rozrosnąć się w oddzielną powieść. Ale wszystkie jego odcinki nie mają szczególnego znaczenia dla samej akcji utworu. Służą jako tło

do historiozoficznych rozważań Guderiana, rozmyślań o istocie sztuki wojennej i wreszcie o znaczeniu oporu jednostki na arenach wielkich wojen. Przede wszystkim jednak ten szczególnie ważny, mikrofabularny wątek wśród wielu po mistrzowsku skonstruowanych przez Władimowa, wyłania, by użyć terminu R. Śliwowskiego, pełnokrwista i niekonwencjonalnie skomponowaną postacią niemieckiego generała.

Autor Wiernego Rusłana stworzył żywą, autentyczną postać genialnego stratega, człowieka o mocnej osobowości, uczciwego, prawie nie skażonego hitleryzmem. Guderian pokazany jako rycerz, po rycersku szlachetny tak samo wobec wrogów jak i własnych żołnierzy, nie walczy z określoną nacją, lecz spełnia ważną dla starzejącej się, bezwolnej Europy misję — prowadzi krucjatę przeciwko szarej dżumie bolszewizmu.

Pisarz nie przedstawia Guderiana jako niewinnej ofiary zawirowań historii, lecz pisarska uczciwość nakazuje mu stworzyć obraz obiektywny. Niemiecki generał wiernie służył Hitlerowi — ponosi więc współodpowiedzialność za okrucieństwa wojny. Ale powszechnie uznany wirtuoz wojennego fachu nigdy nie sprzeniewierzył się roli żołnierza i nie zmienił w oprawcę. Władimowski wizerunek niemieckiego przywódcy rozpętał prawdziwą burzę w rosyjskiej krytyce: zaatakowali go zajadle krytycy ortodoksyjni, ale i dla wielu

432

innych okazał się nad wyraz kontrowersyjny. W. uliiiiu ulrnlł Imwlem *l»»
minującą w rosyjskiej tradycji prozy batalistycznej. I ciulciuję, yaMmla|nt tą, w najlepszym razie — portretowanie ośmieszające w o[^].i.

Sołżenicyn w liście do autora Katastrofy, będącym w isloilr <liu!)|ii/^nw,i
recenzją książki, napisał:

Guderian — bardzo się udał. (Kiedy w sowieckich powieściach i>okii:\u>iiii< w\i sokich niemieckich dostojników — to zawsze byli oni martwymi kiiklnnn) Wul.-f. , 'c Panu niezgorzej dostało się za to wszystko w obelżywych recenzjach, mc umiriifci/i li odnaleźć iv książce najważniejszego. Proszę się nimi nie przejmować, ksitflhi nn zawsze pozostanie w naszej literaturze.

Władimow nie szuka także usprawiedliwień dla swego głównego hnh.t tera fikcyjnego, nie tworzy postaci idealnej. Kobrisow jest inny ni* po/ostali sowieccy generałowie, ponieważ zrozumiał swoje grzechy, przeci-rpi.il je i starał się odkupić.

Portret Kobrisowa buduje pisarz w sposób typowy dla utworu: mozai-kowa struktura ludzkiej osobowości jest jakby soczewką, przez którą odbiorca postrzega świat przedstawiony powieści. Niewielkie fragmenty biografii Ko-brisowa, prezentowane „punktowo” w retrospektywnych fazach czasu, su-biektywnie przeżywanego przez towarzyszy drogi generała i samego Kobrisowa, komponują się w wyrazisty portret bohatera. „Pokawałkowaną” biografię głównej postaci dopełnia autor przy pomocy specyficznego chwytu. Oglądane przez Szestierikowa zdjęcia z rodzinnego albumu Kobrisowów, do-określają pełne luk dzieje bohatera informacjami o dużym znaczeniu dla syl-wetki psychologicznej generała.

Kobrisow należy do ludzi z balastem przeżyć — win i upadków, które dały mu jednakże nieosiągalną dla innych możliwość odrodzenia. Utalento-wany strateg, stworzony do rycerskiej walki o szlachetne ideały, pacyfikując w przeszłości rosyjskie wsie działał przeciwko własnemu sumieniu i powoła-niu. Kobrisow czuje więc ból i gorycz niespełnienia: życie było, była w nim prawda i autentyczność, lecz nie udało się uniknąć niewybaczalnych kompro-

misów z rzeczywistością.

W utworze główny bohater dwa razy przechodzi jakby przez własną śmierć. Po raz pierwszy przed fizyczną śmiercią Kobrisowa, więźnia Łubianki, oskarżonego o zamach na Stalina, uratuje wybuch wojny; drugi raz — ciężko rannego — ocali ordynans Szestierikow. Fizyczne śmierci są warunkiem jego duchowego zmartwychwstania. Nie bez przyczyny zbawca Kobrisowa, Szestierikow, z mostu, pod którym leży umierający generał, widzi cerkiewkę zwieńczoną krzyżem — symbolem męki i równocześnie — zmartwychwsta-

433

nia. Wskrzeszony generał będzie trwał przy prawdach i wartościach, które dwukrotnie umierając, rozpoznał i zrozumiał.

Portret generała, układany z mikrocząsteczek chronotopu bohatera, przywoływanych we wspomnieniach jego świty, dopełnia się nowymi drobinami wspomnień, zawartych w dużym fragmencie powieści, w którym medium narracyjnym jest sam Kobrisow. Ich układ, achronologiczny i jakby chaotyczny, w naturalny sposób odzwierciedlający niespokojny nurt ludzkich myśli, jest w rzeczy samej podporządkowany nadrzędnemu celowi artystycznemu: odtworzeniu najważniejszych etapów kształtowania pełni ludzkiej osobowości. Władimow czyni ze swego cichego bohatera ośrodek świata przedstawionego powieści. Łączy on wszystkie chronotopy: nieprzystępny Sztab Główny, ostrzeliwane okopy, w których giną żołnierze, dację na tyłach, gdzie w przyszłości miał nadzieję znaleźć swój dom ordynans Szestierikow i inne. Dla prozaika bowiem ten właśnie człowiek może stanąć na grząskiej rosyjskiej ziemi i nie utonąć w niej. Niewielka garstka rosyjskich Kobrisowów, ludzi świadomego sumienia — to jedyna rosyjska nadzieja.

Uboga w zdarzenia, „krótka” akcja utworu, rozpoczęta na drodze wojny, poza nią nie wykracza, fabuła zaś, kalejdoskop wielu epizodów, rodzących się w świadomości bohaterów, obejmuje, dzięki precyzyjnej budowie czasu i przestrzeni dziesiątki lat władzy bolszewickiej. Konstrukcja powieści tworzy strukturę o formie i kształtach wyznaczanych rozświetlanymi z nagła i gasnącymi epizodami, dobranymi na pozór chaotycznie. Każdy z nich, brany pod pisarską lupę i oglądany aż do bólu wnikliwie, ujawnia swe najdrobniejsze szczegóły. Prezentowane oszczędnym, do końca przemyślanym słowem, konstruuje one w sposób niezwykle lapidarny, ale zarazem nadzwyczaj wyrazisty dzieje kraju, sens działań poszczególnych postaci, a także ich nasyczone bogatą treścią portrety.

Władimow, wychodząc z krótkiego epizodu tu i teraz zagęszcza przestrzeń życia większości bohaterów — ich przeszłość i przyszłość — do jednego akapitu. Buduje w ten sposób mikrowątki, stwarzające w utworze efekt wielu powieści w powieści.

Nowa, gorzka prawda o wojnie, nowa — o dniu dzisiejszym; doskonałość formy — i to wystarczy, by powieść usytuować wśród najważniejszych utworów lat dziewięćdziesiątych i równocześnie najważniejszych od 1945 roku, bowiem wnikliwe spojrzenie na przeszłość i teraźniejszość wpisuje ją w nurt literatury rozrachunkowej, demaskatorskiej i obyczajowej. Ale utwór jest także głębokim, nie pozbawionym gęstej atmosfery twórczości Dostojewskiego — dziełem psychologicznym i wnikliwym studium „okaleczonej rosyjskiej duszy”. W sferze sensów najwyższych — opisem Człowieczej Drogi ku samo-

434

realizacji. A także Drogi przeciwko sobie, nww«»ii»h |'l/</mih #toilw l'uwieść

przepelnia poczucie glębokiej tragedii indywidualnemu i sk<>wl>i/t<gu | >(nlt>-
nia. Dla Władimowa — tozsamej z dziejami Kowjt < >)• /y/ny

Sołżenicyn w cytowanym już liście do Włmllmuwfi iw« | i | m#v ii hhlalml?!>

powieści autora Katastrofy znamienne słowa:

Gratuluję Panu — książka jest niezwykle zmicuft.ii, wti.'ku, miftrrit fu umilili (r
zapamiętam ją do końca życia. Od pierwszych stronii czylii nif jif t wtlntn/triit nln
prawdziwa literatura, jakiej (współczesnej) już bardzo dawno nit ctylafant

Przypisy

1. Patrz o tym: L. Anninskij, Spasti Rossiju cennoj Rossiji, „Nowy) Mli" 111/1 ' >

s. 214-221.

2. Do pisania o wojnie autor przygotowywał się długo i r/.Hrlnle /il >

imponującą wiedzę, badając skrupulatnie, z zacięciem profesjon.ilm-go luMm ykn >

różne rodzaje źródeł dokumentalnych. Poświęcił wiele lat na lektury k»l(\t'k 11 >

tamtých czasach, nawiązał liczne kontakty z realnymi bohaterami triitru wojny.

Byli wśród nich marszałek K. Mierieckow, M. Łukin, przebywający kiedyś w nie->

woli razem z Własowem, czy też S. Bogdanów, generał-czołgista, nieraz slyk.ijiiicy >

się osobiście z H. Guderianem w trakcie przedwojennych wizyt tego ostatnii-^o w >

Związku Sowieckim. Nie bez znaczenia była też literacka współpraca z gi-nernlcm >

Siewastianowem, lecz kluczową rolę dla genezy powieści odegrała długa, bo datująca >

się od 1972 r., pełna serdeczności i wzajemnego szacunku, znajomość z generałom dy->

sydentem P. Grigorienko, człowiekiem wyjątkowo prawym, znanym z legendarnej >

niemal odwagi i bezkompromisowej uczciwości. Będzie on dla Władimowa uosobie->

niem wszystkich tych cech, które winno zawierać się w wysokim, wedle pisarza, poję->

ciu „Generał". >

3. Szczególnym stężeniem kłamstw, inwektyw i preparowanych nieuczciwie >

fragmentów Władimowowskiego tekstu charakteryzował się obszerny fragment książki W. Bogomołowa Sram imut i żywyje, i mierzuyje, i Rossija...

4.1. Murawiewa, Gienierał i jego armija. Nad prozoi Georgija Władimowa, „Rus-skaja Mysi”, 2-8IV 1993, s. 13 (tłumaczenie moje — K. P-B).

5. Patrz: A. Lipatow, Literatura i fakt. Wojna w twórczości pisarzy polskich i rosyjskich [w:] Druga wojna światowa w literaturze polskiej i obcej, Lublin 1994, s. 263.

6. Zob: N. Iwanowa, Dym otieczestwa, „Znamia”, 7/1994,183-1993.

7. Zob. L. Anninskij, op. cit., s. 216 i inne.

8. Tamże, s. 215.

435

9. „Smiersz” — skrót od ros. smiert' szpionam—był organizacją kontrwywiadu wojskowego, wyposażoną w czasie wojny w ogromne uprawnienia, wykorzystywane przede wszystkim do walki z tak zwanym „wewnętrznym wrogiem.”

„Smiersz” powstał przez wydzielenie specjalnych oddziałów z KGB.

10. Patrz: L. Anninskij, op. cit., s. 219.

\

11. Zob.: N. Iwanowa, op. cit., s.192.

12. J. Tischner, Myśkfiie według wartości, Kraków 1993, s. 50.

13. R. Śliwowski, Inna Rosja. O autorze Generała i jego armii, „Arcana” 1997, nr 2 (14), s. 66-74.

14. Guderian nie został skazany w wyniku Procesu Norymberskiego.

15. Cytat pochodzi z listu A. Sołżenicyna do Władimowa z 31 VIII 1997 roku (tłumaczenie — K. P-B). Kopia listu, udostępniona przez Władimowa znajduje się w archiwum autorki niniejszego tekstu.

Krystyna Pietrzycka-Bohosiewicz

Spis treści

Wstęp	5
Rozdział I	
Major Swietłookow	17
Rozdział II	
Trzej dowódcy armii i ordynans Szestierikow	61
Rozdział III	
Jednemu pamięć, drugiemu sława, a trzeciemu czarna woda	/ .15
Rozdział IV	
Na Predstawl!	297
Rozdział V	
Któż jest bez grzechu?	272
Rozdział VI	
Góra Pokłonna	345
Rozdział VII	
Pocisk	389
Posłowie	429
I	
Ina	

Gieorgij Władimow - u r. w 1931 w Charkowie, od 1983 r.

na emigracji w Niemczech; jest jednym z wielkich mistrzów rosyjskiej prozy XX wieku. Znany części polskich czytelników z wydawanego w drugim obiegu Wiernego Rusłana.

Najnowszy utwór Władimowa jest klasyczną powieścią wojenną, osadzoną głęboko w najlepszych, tołstojowskich

tradycjach rosyjskiej batalistyki. Wielka panorama frontu wschodniego II wojny światowej, z jego realnymi bohaterami - Żukowem, Stalinem. Guderianem. Własowem - jest jednocześnie wnikliwym studium ..okaleczonej rosyjskiej duszy".

Władimowowski tekst obnaża straszne prawdy o Rosji: wybawienie kupuje się tutaj za cenę zatracenia, wolność za cenę zniewolenia, życie za cenę śmierci. Powieść ukazuje w działaniu sowiecką strategię ..czterech warstw" (na trzy warstwy trupów wypełza czwarta warstwa ludzkiego mięsa...), wszechwładny na zapleczu frontu „Smiersz", ludzki strach i nadzieję, podłość i odwagę. Szukając odpowiedzi na pytanie, jak stanąć na grząskiej rosyjskiej ziemi i nie utonąć w niej, Władimow odsłania jednocześnie na przykładzie swoich bohaterów tragiczny wymiar indywidualnego losu, jaki nadaje mu nieuchronna odpowiedzialność moralna za każdy czyn i każdy wybór.

Nagrodzona prestiżową nagrodą literacką Booker Prize, powieść Władimowa jest bezspornie jednym z największych arcydzieł literatury rosyjskiej tego stulecia, obok Doktora Żywago, Archipelagu Gułag, Mistrza i Małgorzaty.

„Książka niezwykle znacząca, ważka, mądra.

Osobiście zapamiętam ją do końca życia. Od pierwszych stron czyta się ją z zachwytem: oto prawdziwa literatura, jakiej już bardzo dawno nie czytałem." -

Aleksander Solżenicyn